

Charlotte | Link



Drugie  
dziecko



Charlotte | Link

Drugie  
dziecko

Z języka niemieckiego przełożył

Dariusz Guzik



Tytuł oryginału:  
DAS ANDERE KIND

**Grudzień 1970 roku**

## Sobota, 19 grudnia

Wiedziała, że musi jak najszybciej uciekać.

Że znalazła się w niebezpieczeństwie i będzie zgubiona, jeśli zwróci na siebie uwagę ludzi zamieszkujących tę położoną na uboczu farmę.

Kiedy podeszła do bramy, chcąc ruszyć spiesznie drogą w dół, do swojego samochodu, wyrósł przed nią jak spod ziemi jakiś mężczyzna. Był wysoki i dość zadbany jak na mieszkańca tak podupadłego gospodarstwa. Miał na sobie dzinsy i sweter. Jego siwe włosy były krótko przystrzyżone. W błękitnych oczach ani śladu jakiegokolwiek uczucia.

Semira miała nadzieję, że jej nie zauważył, kiedy kręciła się za budynkami stajni. Może natknął się na jej samochód, a teraz przyszedł sprawdzić, kto się tu wałęsa. Musiała przekonująco pokazać, że jest niewinna, ba, naiwna, i to w chwili, gdy jej serce waliło jak szalone, a nogi dygotały ze strachu. To była dla niej ostatnia szansa. Jej twarz pokryły krople potu, chociaż tego grudniowego dnia wraz z zapadającym zmierzchem zaczynał dawać się we znaki dokuczliwy ziąb.

Jego głos był równie zimny jak jego oczy. - Co pani tu robi?

Próbowała się uśmiechnąć, lecz odniosła wrażenie, że zdradza tylko swój niepokój. - Dzięki Bogu, już myślałam, że nikogo tu nie ma...

Obrzucił wzrokiem całą jej postać. Semira próbowała sobie wyobrazić, co widzą jego oczy. Drobna, szczupła kobieta, niespełna

trzydziestoletnia, ciepło ubrana w długie spodnie, podbite futrem buty, grubą wiatrówkę. Ciemne włosy, równie ciemne oczy. Ciemnobrażowa cera. Oby tylko nie miał nic przeciwko Pakistańczykom. Oby tylko nie spostrzegł, że ma przed sobą Pakistankę, która w każdej chwili może wymiotować ze strachu. Oby tylko nie wyczuł jej lęku. Semira miała nieodparte wrażenie, że wokół unosi się jego woń.

Ruchem głowy wskazał zagajnik u stóp wzniesienia. - To pani samochód?

Popełniła błąd, zostawiając go tam, w dole. Drzewa rosły zbyt rzadko, zrzuciły już liście. Nie stanowiły dobrej kryjówki. Pewnie go zauważył, wyglądając przez któreś z okien na piętrze swego domu. I nabrał podejrzeń.

Była idiotką. Cóż za pomysł, by tu przyjeżdżać, nic nikomu nie mówiąc. I do tego jeszcze zaparkować auto w pobliżu zapomnianej przez Boga i ludzi farmy.

- Ja... zupełnie zabłądziłam - wyjąkała. - Nie mam pojęcia, jak się tu znalazłam. A potem zobaczyłam pański dom i pomyślałam, że zapytam...

- Tak?

- Nie znam tych stron. - Uświadomiła sobie, że jej głos brzmi zupełnie nienaturalnie, jest zbyt wysoki i nieco skrzekliwy. On jednak nie mógł przecież wiedzieć, jak bardzo różni się w tej chwili od jej zwykłego sposobu mówienia. - Właściwie to chciałam... chciałam...

- Dokąd chce pani jechać?

Miała pustkę w głowie. - Do... do... jakże nazywa się ta miejscowość...? - Oblizwała suche wargi. Stał przed nią psychopata. Powinien nie tylko siedzieć w więzieniu, ze względów

bezpieczeństwa powinien zostać odizolowany, nie miała co do tego wątpliwości. Pod żadnym pozorem nie powinna była tu sama przychodzić. Nie ma tu nikogo, kto mógłby jej pomóc. Aż nazbyt dobrze wiedziała, że miejsce, w którym się znalazła, było zupełnie opuszczone, odcięte od świata. Jak okiem sięgnąć nie było tu innych zagród, ani żywej duszy.

Nie mogła popełnić błędu. - Do... - wreszcie przypomniała sobie tę nazwę - Whitby. Chciałam się dostać do Whitby.

- W takim razie zboczyła pani z głównej szosy, i to spory kawałek drogi.

- Tak. Tak mi się wydawało. - Znow przymusiła się do uśmiechu. Mężczyzna nie odwzajemnił go. Obserwował ją zastygłym wzrokiem. Mimo że emanował obojętnością, Semira zdołała wyczuć jego nieufność. Podejrzliwość, która zdawała się narastać z każdą sekundą ich rozmowy.

*Musiła uciekać!*

Usiłowała zachować spokój, choć najchętniej rzuciłaby się do ucieczki. - Może pan mi powie, jak wrócić do głównej szosy?

Nie odpowiedział. Przeszywał ją wzrokiem swych lodowato błękitnych oczu. Nigdy jeszcze nie widziała tak zimnego spojrzenia. Jakby było wyzute z wszelkiego życia. Ucieszyła się, że jej szyję otulał szal. Po prawej stronie, poniżej zuchwy, mogła wyczuć gwałtowne drżenie nerwu.

Milczenie trwało zbyt długo. Usiłował się czegoś dowiedzieć. Nie ufał jej. Oceniał ryzyko, jakie przedstawiała sobą ta drobna istota. Lustrował ją wzrokiem, jakby chciał wnikać do jej umysłu.

Nagle po jego twarzy przemknął wyraz pogardy. Splunął przed nią na ziemię.

- Czarna hołota - wycedził. - Musicie teraz pchać się nawet do Yorkshire?

Drgnęła. Zastanawiała się, czy był rasistą, czy też może tylko prowokował, by ją wytrącić z równowagi. Chciał, żeby się zdradziła.

*Zachowuj się tak, jakby to była zwyczajna sytuacja.*

Poczuła, jak w jej gardle wzbiera szloch, nie zdołała powstrzymać ochryplego dźwięku. To nie była zwyczajna sytuacja. Nie miała pojęcia, jak długo jeszcze zdoła nad sobą zapanować.

- Mój... mąż jest Anglikiem - odparła. Zazwyczaj tego nie robiła. Nigdy nie chowała się za postacią Johna, kiedy napotykała na uprzedzenia związane z kolorem jej skóry. Tym razem jednak instynkt podszeptał jej tę odpowiedź. Stojący przed nią mężczyzna wiedział teraz, że jest zamężna i że ktoś zauważy jej nieobecność, jeśliby przytrafiło jej się coś złego. Ktoś osiadły w tym kraju, kto od razu będzie wiedział, co robić w przypadku zaginięcia człowieka. Ktoś, kogo policja potraktuje poważnie.

Nie miała pojęcia, czy jej odpowiedź zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Zmiataj stąd - rzucił.

Nie był to dobry moment, by się oburzać z powodu nieuprzejmych słów. Albo też spierać się w kwestii równouprawnienia ludzi o jasnym i ciemniejszym kolorze skóry. Liczyła się tylko ucieczka i powiadomienie policji.

Odwróciła się, zamierzając odejść. Zmuszała się, żeby nie biec, lecz iść miarowym, równym krokiem. Niech myśli, że poczuła się dotknięta. Nie może po niej poznać, że omal nie oszalała ze strachu.

Zrobiła cztery, pięć kroków, gdy naraz rozległ się jego głos. - He! Czekał no!

Przystanąła. - Tak?

Podszedł do niej. Mogła poczuć na sobie jego oddech. Papieros i kwaśne mleko.

- Byłaś przy szopach, prawda?

Przełknęła ślinę. Całe jej ciało zlał pot. - Jakich... jakich szopach?

Świdrował ją wzrokiem. W jego obojętnych oczach mogła wyczytać to, co on zdołał odkryć w jej oczach: ona wie. Poznała jego sekret.

Nie miał już cienia wątpliwości.

Rzuciła się do ucieczki.



**Lipiec 2008 roku**

## Środa, 16 lipca

### 1.

Po raz pierwszy zobaczył tę kobietę, kiedy wychodził z Friarage School, kierując się do swego mieszkania po drugiej stronie ulicy. Stała w otwartych drzwiach i najwyraźniej wahała się ruszyć przed siebie w ulewny deszcz. Dochodziła godzina szósta, było wyjątkowo ciemno jak na tak wczesną porę letniego wieczoru. Za dnia panował nieznośny upał, później nad Scarborough rozpętała się gwałtowna burza, a teraz świat dotknęło istne oberwanie chmury. Szkolny dziedziniec opustoszał. Nierówności asfaltu natychmiast zamieniły się w ogromne kałuże. Niebo przesłoniły wściekle skłębione granatowoczarne chmury.

Kobieta miała na sobie sięgającą za kolana kwiecistą letnią sukienkę, nieco staromodną, lecz odpowiednią na upalny, burzowy dzień. Długie włosy koloru ciemnoblonde splotła w warkocz, w dłoni trzymała torbę na zakupy. Przypuszczał, że nie należała do personelu szkoły. Być może była tu nowa. Albo też jest po prostu kursantką.

Korciło go, by podejść bliżej, zastanawiał się, czy nie powinien jej zagadnąć. To pewnie przez tę jej niezwykłą, staroświecką aparycję. Uznał, że ma najwyżej dwadzieścia parę lat, lecz wygląda zupełnie inaczej niż kobiety w jej wieku. Nie można powiedzieć, żeby jej widok elektryzował mężczyzn, coś w niej jednak w dziwny sposób przyciągało. Ciekawiło, jak wygląda jej twarz. Jak brzmi jej

głos. Czy rzeczywiście jest istnym zaprzeczeniem swej epoki oraz własnego pokolenia.

W każdym razie on chciał się tego dowiedzieć. Kobiety go fascynowały. Od kiedy zaś poznał niemal każdy ich typ, fascynowały go szczególnie te niecodzienne.

Podszedł do niej i zagaił: - Nie ma pani parasola?

Pytanie nie zabrzmiało zbyt oryginalnie, lecz zważywszy na potoki ulewnego deszczu, wydało się oczywiste.

Kobieta nie zauważyła, że ktoś się do niej zbliża, dlatego drgnęła nerwowo, wystraszona. Odwróciła się; zrozumiał wówczas swą pomyłkę. Nie miała dwudziestu kilku, lecz co najmniej trzydzieści pięć lat, może nawet więcej. Wyglądała sympatycznie, lecz zupełnie niepozornie. Błada, nieumalowana twarz, niezbyt ładna, niebrzydka, z gatunku tych, na które patrzy się nie dłużej niż przez dwie minuty.

Włosy niedbale odgarnięte z wysokiego czoła. Najwyraźniej zupełnie nieświadomie ucieleśniała sobą ów szczególny typ kobiet, które co prawda chcą się wyróżniać z tłumu, nie mają wszakże bladego pojęcia, co zrobić, żeby wyglądać bardziej atrakcyjnie i pociągająco.

Miłe, nieśmiałe stworzenie, zawyrokował. I zupełnie nieciekawe.

- Powinnaś była wiedzieć, że nadciąga burza - odpowiedziała. - Ale kiedy dziś w południe wychodziłam z domu, było tak upalnie, że myśl o zabraniu parasola wydała mi się śmieszna.

- Dokąd pani idzie? - zapytał.

- Właściwie tylko na przystanek przy Queen Street. Ale zanim tam dojdę, będę mokrzuteńka.

- O której odjeżdża pani autobus?

- Za pięć minut - odparła ze smutkiem. - To dziś ostatni kurs.

Pewnie mieszka w którejś z tych zapadłych wsi wokół Scarborough. To zadziwiające, jak blisko, tuż za rogatekami miasta, zaczynała się prowincja. Nagle człowiek trafiał w sam środek wielkiego nigdzie, do wiosek składających się z nielicznych, rozrzuconych po okolicy farm, do których nader rzadko docierały środki komunikacji. Ostatni autobus tuż przed osiemnastą! Młodzi ludzie czują się tam pewnie, jakby żyli w epoce kamiennej.

Gdyby była młoda i ładna, nie zawahałby się ani chwili, by zaproponować jej pomoc. Odwiózłby ją do domu samochodem. Najpierw zapytałby, czy nie zechciałaby się z nim czegoś napić gdzieś w pobliżu portu, w jednym z rozlicznych pubów. Umówione spotkanie czekało go dopiero późnym wieczorem, lecz aż tak bardzo mu na nim nie zależało. Do tego czasu wcale nie miał ochoty nudzić się w swym pokoju, wynajmowanym w domu przy końcu ulicy.

Myśl o tym, że miałby siedzieć w jakiejś knajpie przy lampce wina naprzeciw tego podstarzałego dziewczęcia - owszem, tak się właśnie prezentowała: jak podstarzałe dziewczę - i przez cały wieczór wpatrywać się w jej bezbarwną twarz, nie była bynajmniej kusząca.

Nawet program w telewizji wydawał się bardziej zajmujący. A mimo to zawahał się, nie chciał jej bowiem tak po prostu zostawić samej, przejść obok niej przez szkolny dziedziniec na drugą stronę ulicy. Sprawiała wrażenie... opuszczonej.

- Gdzie pani mieszka?

- W Staintondale - odparła.

Wywrócił oczami. Znał Staintondale. Chryste! Szosa, kościół, urząd pocztowy, w którym można też było kupić podstawowe artykuły żywnościowe oraz kilka tytułów czasopism. Parę domów.

Czerwona budka telefoniczna, służąca także za przystanek autobusowy. I rozrzucone tu i ówdzie po okolicy farmy.

- Z przystanku w Staintondale pewnie ma pani jeszcze spory kawałek drogi do pokonania - domyślił się.

Przytaknęła niewesoło. - Prawie pół godziny.

Popełnił błąd, zagadując ją o to. Miał wrażenie, że wyczuła jego rozczarowanie. Coś mu podpowiadało, że była to dla niej dobrze znana przykra sytuacja. Pewnie już nieraz udało jej się przykuć uwagę jakiegoś mężczyzny, jego zainteresowanie natychmiast jednak gasło, nim jeszcze zdołał się do niej naprawdę zbliżyć. Być może domyślała się, że byłby zaproponował jej pomoc, gdyby tylko była osobą trochę bardziej intrygującą. Pewnie wyszła z założenia, że i tak nic z tego nie będzie.

- Wie pani - rzucił spiesznie, zanim egoizm i wygodnictwo zdołały w nim powstrzymać przyływ wielkoduszności - zaparkowałem niedaleko stąd, przy tej ulicy. Jeśli pani chce, odwiozę panią do domu.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Ale... to wcale nie tak blisko... Staintondale jest...

- Znam tę miejscowość - przerwał jej w pół słowa. - Nie mam żadnych planów na najbliższe godziny, a przejazdka za miasto... to nie brzmi najgorzej.

- Przy takiej pogodzie... - przyznała z powątpiewaniem.

Uśmiechnął się. - Radziłbym pani przyjąć moją propozycję. Po pierwsze, pewnie i tak nie zdąży już pani na ten autobus. A po drugie, nawet jeśli się pani poszczęści, jutro lub najpóźniej pojutrze złapie pani okropne przeziębienie. No więc?

Zawahała się; wyczuł jej nieufność. Zastanawiała się, jakie motywy nim kierują. Wiedział, że jest przystojny i ma powodzenie

u kobiet, ona zaś raczej nie miała złudzeń co do tego, że taka kobieta jak ona może rozbudzić prawdziwą ciekawość u takiego jak on mężczyzny. Przypuszczalnie uznała go albo za seksualnego maniaka, który właśnie usiłuje ją zaciągnąć do samochodu, bo z zasady zwykł brać to, co mógł zdobyć, albo też za człowieka powodowanego litością. Żadna z tych możliwości nie przypadła jej do gustu.

- Dave Tanner - powiedział, wyciągając rękę. Uścisnęła ją z wahaniem. Jej dłoń była ciepła i miękka w dotyku.

- Gwendolyn Beckett - odparła.

Uśmiechnął się. - A zatem, Mrs Beckett, ja...

- *Miss* - poprawiła go spiesznie. - *Miss* Beckett.

- Okay, Miss Beckett. - Spojrzał na zegarek. - Pani autobus odjeżdża za minutę. Dla mnie sprawa jest rozstrzygnięta. Jest pani gotowa na sprint przez dziedziniec, a potem jeszcze parę metrów ulicą?

Przytaknęła, zaskoczona świadomością, że właściwie nie ma wyboru. Nie pozostało jej nic innego, jak tylko chwycić się brzytwy, którą jej podsunął.

- Niech pani trzyma torbę nad głową - poradził. - To panią nieco osłoni.

Pognali gęsiego przez tonący w kałużach szkolny dziedziniec. Wysokie drzewa rosnące wzdłuż otaczającego teren ogrodzenia z kutego żelaza ugięły się pod naporem nawalnego deszczu. Po lewej wznosił się ogromny budynek hal targowych z ich podziemnymi, przypominającymi katakumby kamiennymi korytarzami, gdzie w galeriach handlowych można było znaleźć mnóstwo kiczu i tylko trochę prawdziwej sztuki. Po prawej stronie ciągnęła się uliczka wyznaczona przez dwa szeregi wąskich domów

z czerwonej wypalanej cegły, do których prowadziły lakierowane na biało drzwi wejściowe.

- Tędy - wskazał drogę. Pobiegli obok domów, aż w końcu dotarli do niewielkiego, niebieskiego rdzewiejącego fiata, zaparkowanego po lewej stronie ulicy. Kiedy otworzył drzwi, oboje z westchnieniem ulgi opadli na przednie siedzenia.

Z włosów Gwendolyn ściekała woda, a jej sukienka kleiła się do ciała niczym mokra szmata. Wystarczyło ledwie kilka metrów, by przemokła do suchej nitki. Dave próbował nie zwracać uwagi na swoje mokre stopy.

- Co za głupiec ze mnie - przyznał. - Powinienem sam pójść po samochód i zabrać panią spod szkoły. Wtedy byłaby pani przynajmniej w połowie sucha.

- Co tam! - Nareszcie się uśmiechnęła. Zauważył, że ma ładne zęby. - Nie jestem z cukru. A zawsze to lepiej dojechać pod sam próg domu, niż tłuc się całą drogę autobusem, a potem jeszcze maszerować na piechotę. Dziękuję.

- Nie ma za co - odparł. Dopiero za trzecim razem udało mu się uruchomić samochód. Silnik zacharczał, auto szarpnęło. Dwoma zrywami znalazło się na ulicy, po czym, warcząc nierówno, ruszyło z miejsca.

- Zaraz będzie lepiej - zapewnił - silnik musi się rozgrzać. Jeśli ten szmelc przetrwa najbliższą zimę, będę mógł mówić o szczęściu.

Silnik zaczął pracować bardziej równomiernie. Tym razem się udało: zdoła dotrzeć do Staintondale i wrócić do miasta.

- Co by pani zrobiła, gdyby nie zdążyła pani na autobus, a ja bym się nie zjawił? - zapytał. Miss Beckett nieszczególnie go interesowała, nie chciał jednak, by najbliższe pół godziny, jakie

mieli spędzić razem w samochodzie, upłynęły w kłopotliwym milczeniu.

- Zadzwońabym po ojca - oznajmiła Gwendolyn.

Spojrzał na nią z ukosa. Kiedy wspomniała o ojcu, jej głos wyraźnie się zmienił. Zabrział cieplej, mniej powściągliwie.

- Mieszka pani z ojcem?

- Tak.

- A pani matka...?

- Moja matka zmarła wcześniej - odparła Gwendolyn w sposób dający do zrozumienia, że nie chce o tym mówić.

Córeczka tatusia, pomyślał, nie może się od niego uwolnić. Ma co najmniej trzydzieści pięć lat, a tatuś wciąż jest dla niej najważniejszy. Największy. Najlepszy. Nikt mu nie dorasta do pięt.

Domyślał się, że świadomie bądź nieświadomie, z całą pewnością robiła wszystko, by pozostać jego wymarzoną córeczką. Nosząc gruby jasny warkocz oraz staroświecką kwiecistą sukienkę, ucieleśniała sobą ów typ kobiety rodem z czasów jego młodości, przypadającej pewnie na lata pięćdziesiąte lub początek sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Chciała mu się przypodobać, on zaś raczej nie gustował w minispódniczkach, jaskrawym makijażu czy krótko strzyżonych włosach. Dzięki swemu wyglądowi pozostała zarazem osobą zupełnie asekualną.

W łóżku stary nie będzie jej chyba potrzebny, pomyślał.

Miał wyostrzone zmysły, wyczuł, że ona łamie sobie głowę nad zmianą tematu rozmowy. Przyszedł jej z pomocą.

- Uczę w Friarage School - odezwał się - ale nie dzieci. Wiezorami i w niektóre popołudnia szkoła udostępnia pomieszczenia dorosłym. Prowadzę kursy francuskiego i hiszpańskiego, dzięki temu jako tako sobie radzę.



- Pewnie świetnie pan włada tymi językami?

- W dzieciństwie mieszkałem przez dłuższy czas zarówno w Hiszpanii, jak i we Francji. Mój ojciec był dyplomatą. - Wiedział, że na wspomnienie o ojcu w *jego* głosie nie pobrzmiewa żaden cieplejszy ton. Musiał raczej zadać sobie nieco trudu, by stłumić w sobie zbytnią nienawiść. - Ale proszę mi wierzyć, to żadna przyjemność uczyć języków w grupie kompletnie pozbawionych talentu gospodyń domowych. Uwielbiam ich brzmienie i siłę ekspresji, a tymczasem przez trzy lub cztery wieczory w tygodniu muszę znosić, jak się je bezlitośnie kaleczy. - Uśmiechnął się zakłopotany, uświadomiwszy sobie, że chyba popełnił właśnie gafę.

- Przepraszam. Może pani też uczęszcza na jakiś kurs językowy i czuje się teraz dotknięta? Prócz mnie kursy prowadzą jeszcze trzy koleżanki.

Potrząsnęła głową. Choć we wnętrzu samochodu z powodu ściany deszczu nie było zbyt jasno, dostrzegł rumieńce na jej policzkach.

- Nie - zaprzeczyła - nie chodzę na kurs językowy. Ja...

Nie popatrzyła na niego, spoglądała przez okno. Dotarli do drogi prowadzącej ze Scarborough w kierunku północnym. Przed oczami przemykały jej rzędy domów w zabudowie szeregowej i supermarkety, warsztaty samochodowe i sprawiające ponure wrażenie puby. Park przyczep kempingowych zdawał się tonąć w strugach deszczu.

- Przeczytałam w gazecie - wyznała cicho - że w Friarage School... w środowe popołudnia będzie kurs, na którym... przez następne trzy miesiące... - zawahała się.

W lot zrozumiał, o czym mówiła. Czemu od razu się tego nie domyślił. Bądź co bądź był przecież członkiem tamtejszej kadry

nauczycielskiej. Znał nową ofertę. W każdą środę. Od pół do czwartej do pół do szóstej. Dziś pierwsze spotkanie. A ta Gwendolyn Beckett pasuje do profilu potencjalnego kursanta jak pięść do nosa.

- Ach tak, wiem - rzekł, starając się zachować w głosie zupełną obojętność. Jakby to była rzecz najnormalniejsza w świecie uczestniczyć w kursie dla... no właśnie, dla kogo? Niezdar? Niedołęg? Nieudaczników? - Czy przypadkiem nie chodzi w nim o... pewnego rodzaju trening samokontroli?

Nie mógł dojrzeć jej odwróconej twarzy, przypuszczał jednak, że poczerwieniała jak indor.

- Tak - odpowiedziała cicho. - O to właśnie chodzi. Trzeba się nauczyć przewycięzać własną nieśmiałość. Zbliżyć się do innych ludzi. Zapanować nad własnymi... lękami. - Odwróciła się w jego stronę. - Dla pana brzmi to pewnie zupełnie idiotycznie.

- Ależ skąd - zapewnił. - Jeśli sądzimy, że mamy w czymś braki, powinniśmy je uzupełnić. W każdym razie lepsze to, niż siedzieć beczynnym i narzekać. Proszę się nie zastanawiać. Niech pani spróbuje wykorzystać ten kurs jak najlepiej.

- Tak - odparła nieco strwożonym głosem. - Tak właśnie zrobię. Wie pan... nie czuję się zbyt szczęśliwa.

Znów odwróciła się do okna, on zaś nie odważył się wypytywać o szczegóły.

Milczeli.

Deszcz nieco zelżał.

Kiedy w centrum Cloughton skręcili w kierunku Staintondale, niebo niemal natychmiast przejaśniało. Wieczne słońce przedarło się przez chmury.

Zupełnie niespodziewanie poczuł się spięty. Roztrzęsiony Czujny. Przeczował, że w jego życiu zawiązuje się coś nowego. Może to mieć coś wspólnego z siedzącą obok kobietą.

Może też być zupełnie inaczej.

Usiłował zachować wewnętrzny spokój. I ostrożność.

Nie mógł już sobie pozwolić na popełnienie w życiu zbyt wielu błędów.

## 2.

Amy Mills potrzebowała pieniędzy, dlatego pracowała jako opiekunka do dzieci. W innych okolicznościach nigdy by się tego nie podjęła, lecz musiała sama opłacać swe studia i nie mogła zbyt marudzić. Wcale nie narzekała na tę pracę - ot, przesiadywała wieczorami w obcym salonie, czytała książkę albo oglądała telewizję, czuwała przy śpiącym dziecku podczas nieobecności jego rodziców. Przez to jednak sama kładła się spać późno, poza tym nie lubiła wracać do domu po zmroku. Szczególnie jesienią i zimą. Latem dni były dłuższe, a na ulicach Scarborough często panował ożywiony ruch, za sprawą licznych studentów, którzy opanowali to miasteczko na wschodnim wybrzeżu Yorkshire.

Tego wieczoru było jednak zupełnie inaczej. Burza oraz popołudniowa ulewa zapędziły wszystkich do domów i sprawiły, że ulice opustoszały. Na dodatek po upalnym dniu wyraźnie się ochłodziło. Zrobiło się nieprzyjemnie i wietrznie.

Nikogo nie spotkam po drodze, pomyślała Amy i poczuła się nieswojo.

W każdą środę przychodziła do Mrs Gardner, a właściwie do jej czteroletniej córki Lilianny. Mrs Gardner samotnie wychowywała dziecko. Z trudem wiązała koniec z końcem, dlatego miała się najrozmaitszych prac. W środowe wieczory prowadziła kurs

francuskiego w Friarage School. Zajęcia kończyły się o dziewiątej, lecz po nich cała grupa zawsze wychodziła razem do pubu.

- Nigdzie się nie ruszam - powiedziała do Amy - więc przynajmniej raz w tygodniu chciałabym się rozerwać. Czy masz coś przeciwko, jeśli będę wracać o dziesiątej?

Problem w tym, że nigdy nie wracała o dziesiątej. Jeśli zjawiała się pół do jedenastej, Amy mogła mówić o szczęściu; z reguły jednak za kwadrans jedenasta. Za każdym razem Mrs Gardner przeproszała ją wylewnie.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało! Chryste, jak ten czas szybko mija, kiedy zaczniesz się paplać o tym i owym...

Amy z chęcią rzuciłaby tę pracę, ale było to jej jedyne *stałe* poniekąd zajęcie. Co prawda opiekowała się też dziećmi z innych rodzin, lecz tylko dorywczo. Na śródowną zapłatę zawsze mogła liczyć, a w jej sytuacji było to na wagę złota. Gdyby nie ta droga powrotna do domu...

Ale z siebie tchórz, powtarzała sobie często, lecz wcale jej to nie pomagało pozbyć się strachu.

Mrs Gardner nie miała samochodu, którym mogłaby szybko odwieźć opiekunkę do domu, poza tym zawsze wracała pod wpływem alkoholu. Także i w tę środę sporo wypijała; zjawiała się później niż kiedykolwiek: dwadzieścia minut po jedenastej!

- Umawialiśmy się, że będę zostawać do dziesiątej - stwierdziła zdenerwowana Amy i zaczęła pakować książki. Wieczór spędziła na nauce.

Mrs Gardner przynajmniej udawała skruchę. - Wiem, trudno ze mną wytrzymać. Ale w naszej grupie pojawiła się nowa dziewczyna i postawiła nam kilka kolejek. Miała strasznie dużo do opowiedzenia, ani się obejrzałam... zrobiło się tak późno!

Wypłaciła Amy pieniądze i była na tyle honorowa, że dorzuciła pięć funtów. - Proszę. To za nadgodziny... Z Lilianą wszystko w porządku?

- Śpi. Nawet się nie obudziła. - Amy pożegnała się chłodno z rozochoczoną panią Gardner i wyszła z mieszkania. Znalazłszy się na ulicy, poczuła chłód i skuliła ramiona.

Pogoda prawie jesienna, pomyślała, a przecież mamy dopiero środek lipca.

Przynajmniej nie padało już od kilku godzin. Droga prowadziła najpierw w dół, wzdłuż St. Nicholas Cliff, obok nieco złuszczonej fasady Grand Hotelu, a następnie przez długi most z kutego żelaza, łączący śródmieście z South Cliff, przerzucony ponad ruchliwym za dnia skrzyżowaniem. Teraz, o tak późnej porze, miejsce to było zupełnie wymarłe, mimo że rozświetlał je jasny blask ulicznych latarni. Choć cisza uspiętego miasta przejmowała Amy lękiem, potrafiła jeszcze nad nim zapanować. Gorzej przedstawiał się odcinek drogi wiodący przez park. Po lewej, w dole, ciągnęły się morze i plaża, w oddali powyżej - pierwsze domy na South Cliff, pomiędzy nimi zaś ogrody Esplanade Gardens, piętrzące się w górę w formie tarasów, gęsto porośnięte przez krzewy i drzewa, poprzecinane siecią wąskich alejek. Najkrótsza droga wiodła pod górę, po stromych schodach wprost do szerokiej ulicy Esplanade; po jej zachodniej stronie stały jeden za drugim rozliczne hotele. To właśnie owe ciemne schody stanowiły najbardziej niepewny odcinek na trasie Amy. Gdyby tylko znalazła się na Esplanade, od razu poczułaby się lepiej. Potem musiała pokonać jeszcze spory kawałek pod górę, po czym tuż za Highlander Hotel skrócić w Albion Road, przy której stał szeregowy dom o wąskiej fasadzie, należący do jej ciotki. Amy mieszkała u niej podczas studiów.

Ciotka, osoba podstarzała i samotna, cieszyła się z towarzystwa ludzi. Amy zaś miała ubogich rodziców, dla których darmowe lokum dla córki było prawdziwym wybawieniem. Ponadto mogła stąd łatwo dotrzeć na piechotę do kampusu. Była wdzięczna za to, że coś w jej życiu ułożyło się lepiej, niż się spodziewała. Tam skąd pochodziła, na robotniczym osiedlu w Leeds, nikt by nie przypuszczał, że Amy dostanie się na uniwersytet. Była jednak inteligentna i pilna, a także, mimo całej swej przesadnej nieśmiałości i bojaźliwości, dość konsekwentna w dążeniu do celu. Jak dotąd wszystkie egzaminy zaliczyła z dobrym wynikiem.

Znajdowała się pośrodku mostu, gdy nagle przystanęła i obejrzała się za siebie. Nie dlatego, że coś dosłyszała; miała niemal odruchową skłonność, by mniej więcej w tym właśnie miejscu sprawdzać, czy wszystko w porządku, zanim zanurzy się w niesamowitą pustkę Esplanade Gardens. A przy tym wcale nie miała jasności co do tego, co miałoby oznaczać owo *w porządku*.

Jakiś mężczyzna schodził z St. Nicholas Cliff. Wysoki, szczupły, stawiał spieszne kroki. Nie mogła dojrzeć, jak był ubrany. Jeszcze tylko kilka metrów i dotrze do mostu, ku któremu bez wątpienia się kierował.

Poza nim jak okiem sięgnąć nikogo nie było widać.

Amy zacisnęła jedną dłoń na torbie z książkami, drugą zaś na kluczach od domu, które wygrzebała jeszcze u Mrs Gardner. Zawsze trzymała je w pogotowiu, kiedy zbliżała się do domu. Miało to oczywiście związek z jej lękami. Ciotka zazwyczaj zapominała zapalić lampę nad wejściem, Amy zaś nie lubiła stać i po omacku szukać w torbie kluczy, otoczona z obu stron wysokimi na trzy metry krzewami bzu, które niemal zupełnie zarastały krótką, wyłożoną płytami drózkę, a które stara kobieta z typowym dla jej

wieku nedorzecznym uporem wzbraniała się przyciąć. Amy chciała szybko wejść do środka. Szybko schronić się w bezpiecznym miejscu.

Schronić się przed czym?

Była zbyt bojaźliwa, wiedziała o tym. To niezupełnie normalne widzieć wszędzie tylko upiory, na każdym kroku wietrzyć włamywaczy, morderców, maniaków seksualnych. Przypuszczała, że źródłem jej lęku był sposób, w jaki została wychowana - nadmiernie hołubione, pilnowane, najcenniejsze, jedyne dziecko stosunkowo prostych rodziców. *Nie rób tego, nie rób tamtego, coś może ci się przytrafić...* Wciąż musiała słuchać tych ostrzeżeń. Zazwyczaj nie wolno jej było uczestniczyć w wycieczkach szkolnych rówieśników, bo matka wciąż się bała, że może się przydarzyć coś złego. Amy nie buntowała się przeciw tym zakazom; dość wcześnie zaczęła podzielać lęki matki i cieszyła się, kiedy mogła kolegom przedstawić taki oto argument:

*Nie wolno mi...*

Co wkrótce doprowadziło do tego, że prawie nie miała przyjaciół.

Znów się odwróciła. Obcy mężczyzna dotarł do mostu. Amy nie zatrzymała się. Przyspieszyła nieco kroku. Nie tylko ze strachu przed owym mężczyzną. Ze strachu przed własnymi myślami.

Samotność.

Pozostali studenci Scarborough Campus, stanowiącego filię uniwersytetu w Hull, przez pierwszy rok studiów mieszkali w akademiku, później zaś łączyli się w mniejsze grupy i zajmowali mieszkania należące do uniwersytetu, wynajmowane im za niewielką opłatą. Amy wciąż sobie wmawiała, że jej zakwaterowanie u ciotki jest czymś zupełnie naturalnym i ma same zalety, bo lepiej w ogóle nie płacić czynszu, niż płacić choćby

niewielki. Byłaby durna, gdyby zdecydowała inaczej. Gorzka prawda była jednak taka, że nie miała paczki przyjaciół, z którymi mogłaby zamieszkać. Nikt jej nigdy nie zapytał, czy chciałaby dzielić to czy tamto mieszkanie z tą bądź tamtą grupą. Gdyby zabrakło starej ciotki i jej pustego pokoju gościnnego, sprawa wyglądałaby jeszcze gorzej. Kwestia mieszkania stałaby się poważnym problemem, nie mówiąc o dodatkowych kosztach. Amy wolała się jednak nad tym nie zastanawiać.

Po przejściu na drugą stronę mostu wystarczyło ledwie parę kroków, by znaleźć się w parku. Z przyzwyczajenia Amy spojrzała w prawo, gdzie zaczynały się wiodące w górę schody. W miejscu, gdzie droga skręcała, stał nowy dom, przy którym w ostatnich tygodniach podjęto końcowe prace budowlane. Trudno się było zorientować, czy budynek ten miał służyć ludziom za mieszkanie, czy też gmina Scarborough przeznaczyła go na jakiś inny cel.

Amy minęła go spieszny krok; nagle aż się cofnęła. Dwa duże, splecione z drutu parkany budowlane, które otaczały dom, zagradały teraz nie tylko przejście schodami, ale także dostęp do biegnącej nieco dalej serpentynami alejki, którą dało się je obejść. Jej zwyczajna droga została zamknięta. Można było przecisnąć się bokiem, lecz Amy się zawahała. Po południu, gdy w iście tropikalnym upale wybrała się do wydzielonego jako strefa dla pieszych centrum, gdzie musiała załatwić parę spraw, zanim udała się do Mrs Gardner i jej córki, przejście było jeszcze otwarte. W międzyczasie przeszła jednak gwałtowna burza i przypominające potop oberwanie chmury. Zarówno schody, jak i alejka mogły zostać uszkodzone. Stopnie wydrażone i wyłamane. Ziemia rozmyta. Umocnienia zerwane, a żwir wypłukany. Korzystanie z tych dróg mogło grozić niebezpieczeństwem.



Poza tym było to wyraźnie zabronione.

Amy nie należała do ludzi, którzy po prostu nie zważają na takie zakazy. Nauczono ją podporządkowywać się zarządzeniom władz bez względu na to, czyje rozumiała, czy nie. Pewnie istniały po temu jakieś powody, to jej wystarczyło. A w obecnej sytuacji potrafiła je sobie nawet wyobrazić.

Niezdecydowana, odwróciła się.

Istniały inne drogi prowadzące przez Esplanade Gardens, ten labirynt dla spacerowiczów, lecz żadną z nich nie dotarłaby szybko i bezpośrednio do biegnącej w górę ulicy, a tym samym w pobliże zamieszkanym domostw. Najniżej położona droga wiodła w przeciwnym kierunku - w dół ku plaży, a dalej do Spa Complex, zespołu budynków o wiktoriańskim uroku. Stały one tuż przy brzegu i służyły miastu do wszelkiego rodzaju celów kulturalnych, jednakże nocą zamykano je na cztery spusty, nie było tam nawet nocnego stróża. Spod Spa Complex kursowała na górę kolejka linowa, przewożąca głównie starszych ludzi, dla których wspinaczka przez wykute w skale, położone na niezwykle stromym zboczach ogrody była nazbyt męcząca. Około pół godziny przed północą kolejka zamierała jednak w bezruchu, a w budkach z biletami nie było o tej porze żywego ducha. Oczywiście, na górę można było wejść także na piechotę, lecz wspinaczka od samego podnóża była długa i uciążliwa. Owa dolna droga miała tę zaletę, że była oświetlona - wielkie, łukowate w kształcie latarnie, również w stylu wiktoriańskim, dawały ciepłe, pomarańczowe światło.

Droga środkowa była najwęższa ze wszystkich. Spory jej odcinek biegł w połowie wysokości wzgórza, praktycznie płasko, w poprzek stoku. Potem zaczynała się łagodnie wznosić i niepostrzeżenie wiał w górę, tak że nawet pieszym o niezbyt

świetnej kondycji fizycznej umożliwiała dość komfortowy marsz. Amy wiedziała, że droga ta łączyła się z Esplanade tuż przed Crown Spa Hotel. Wybierając tę trasę, szybciej dotarłaby do celu, niż gdyby ruszyła drogą okrężną przez plażę. Szkopuł w tym, że nie było tam żadnych latarni. Droga niknęła między krzewami i drzewami w najczarniejszym mroku.

Zawróciła kilka kroków, patrząc w kierunku mostu. Mężczyzna dotarł już prawie na jego skraj. Czy sobie wmawiała, czy rzeczywiście poruszał się wolniej niż przedtem? Zwlekał nieco? I co w ogóle porabiał o tej porze w tym miejscu?

Tylko spokojnie, Mills, ty też jesteś *o tej porze w tym miejscu*, powtarzała sobie, a jednak jej serce wcale nie biło wolniej ani o pół taktu.

Pewnie wraca do domu tak jak ty!

Ale któż teraz może wracać do domu, no kto? Za dwadzieścia minut będzie północ. Nie jest to pora, o której ludzie wracają z pracy, chyba że dorabiają jako opiekunki do dzieci u pewnej bezwzględnej matki, która z zasady się spóźnia.

Wymówię tę pracę. Dłużej już tego nie zniosę. Za żadne pieniądze, postanowiła.

Roztrząsała możliwości, jakie jej pozostały; żadna z nich nie przedstawiała się zbyt zachęcająco. Mogła wrócić przez most do St. Nicholas Cliff, a potem ruszyć przez śródmieście i wspinać się długą Filey Road - to jednak zajęłoby połowę wieczności. Oczywiście, jeździły też autobusy, lecz nie miała pojęcia, czy jej linia kursuje o tak późnej porze. Poza tym kilka tygodni wcześniej skorzystała z autobusu ze względu na brzydką pogodę; na przystanku zaczepiali ją jacyś pijani smarkacze z ogolonymi głowami, ozdobieni wszelkiego rodzaju piercingiem. Bała się

śmiertelnie. Powiedziała sobie wówczas, że woli przemoknąć na deszczu do suchej nitki i narazić się na przeziębienie, niż znaleźć się ponownie w takiej sytuacji. Strach - znowu strach. Bała się przejść przez ciemny park. Bała się czekać na przystanku. Strach, strach, strach.

To on stanowił o jej życiu, a do tego nie mogła dopuścić. Nie mogła już dłużej popadać z jednego kryzysu w drugi, próbując unikać jednego rodzaju strachu i zarazem nieuchronnie przywoływać następny. By wreszcie w pewną chłodną, deszczową lipcową noc stać jak sparaliżowana na rozdrożu, wsłuchiwać się we własny zziębnięty oddech, czuć, jak serce wali jej niczym ciężki młot, i zadawać sobie pytanie, który z jej lęków jest bardziej, który mniej groźny. Co w końcu prowadziło do słynnych rozważań o dżumie i cholercie. To było po prostu straszne.

Mężczyzna zrównał się z nią, przystanął i spojrzał w jej stronę.

Sprawiał wrażenie, jakby na coś czekał, być może na to, co stojąca naprzeciw niego osoba powie lub zrobi. Amy uczone, że powinna spełniać oczekiwania innych, dlatego też odezwała się pierwsza.

- Dro... droga jest zamknięta - wyjaśniła. Jej głos nieco zacharczał, odchrząknęła. - Dwie siatki... nie da się przejść.

Mężczyzna skinął głową, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył drogą w kierunku plaży. Drogą oświetloną.

Amy odetchnęła. I nic, nic się nie stało. Wracał do domu, w normalnej sytuacji pewnie poszedłby schodami. Prawdopodobnie dotrze do Spa Complex, a potem zacznie się wspinać pod górę, klnąc w duchu, gdyż droga zajmie mu więcej czasu niż zwykle. W domu czeka na niego żona. Pewnie go zwymyśla. I tak za długo

zabawił z kumplami w knajpie, a teraz jeszcze to obejście. Miał dziś pecha.

Czasem tak się właśnie składa.

Zachichotała, sama jednak spostrzegła, że zabrzmiało to nerwowo. Lubiła fantazjować na temat sytuacji życiowej zupełnie obcych sobie osób. Pewnie dlatego, że zbyt długo była sama. Kto za mało przebywa z ludźmi z krwi i kości, ten musi się obracać w świecie własnych wyobrażeń.

Raz jeszcze spojrzała za siebie w stronę mostu. Nikogo nie było widać.

Obcy mężczyzna zniknął w oddali. Przejście schodami było zamknięte. Amy nie zwlekała dłużej. Wybrała drogę środkową, nieoświetloną. Błada poświata księżyca, przytłumiona przez długie pasma chmur, wystarczała, by dojrzeć zarys ścieżki pod stopami.

Dotrze do Esplanade, nie łamiąc sobie przy tym kości.

Po kilku sekundach zanurzyła się w gęstwinie mokrych od deszczu zarośli, będących w pełnym letnim rozkwicie.

Amy Mills zniknęła w ciemnościach.

# **Październik 2008 roku**

## Czwartek, 9 października

### 1.

Kiedy w pokoju Fiony Barnes zadzwonił telefon, starsza pani drgnęła, odwróciła się od okna, przy którym tkwiła wpatrzona w zatokę Scarborough, po czym podeszła do niewielkiego stolika, na którym stał aparat, niezdecydowana, czy powinna podnieść słuchawkę. Rankiem odebrała anonimowy telefon, podobnie jak dzień wcześniej w południe. W zeszłym tygodniu jeszcze dwukrotnie doszło do tego przygnębiającego incydentu. Właściwie nie była pewna, czy to, co ją spotkało, można w ogóle określić mianem anonimowego telefonu, bo po drugiej stronie nigdy nie padło ani jedno słowo. Mogła wszakże dosłyszeć czyjś oddech. Jeśli sama natychmiast nie rzuciła słuchawką, jak to w przypływie irytacji uczyniła tego ranka, ów nieznajomy lub nieznajoma przerywali połączenie po trwającym około minuty milczeniu.

Fionę niełatwo było przestraszyć, uchodziła za osobę o żelaznych nerwach, która potrafi zachować zimną krew. Jednakże ta historia zmąciła jej spokój i odebrała pewność siebie. Najchętniej zignorowałyby po prostu tego typu, nie podchodząc w ogóle do telefonu. Nie chciała jednak rezygnować z rozmów, które były dla niej ważne lub leżały jej na sercu. Na przykład ze swą wnuczką Leslie Cramer, która mieszkała w Londynie i właśnie przeżywała traumę rozvodu. Leslie nie miała innych krewnych prócz starej babci w Scarborough, dlatego Fiona nie chciała jej teraz zostawić samej.

Po piątym dzwonku podniosła słuchawkę.

- Fiona Barnes - przedstawiła się. Jej głos brzmiał szorstko, chropawo; to skutek ciągłego palenia papierosów, nałogu trwającego przez całe życie.

Po drugiej stronie cisza.

Fiona westchnęła. Powinna sprawić sobie nowy telefon. Z wyświetlaczem, na którym widać numer dzwoniącego. Wiedziałyby wówczas, kiedy dzwoni Leslie, resztę zaś połączeń mogłaby odrzucać.

- Kto tam? - spytała.

Milczenie. Oddech.

- Zaczyna mi to działać na nerwy - odezwała się Fiona. - Najwyraźniej ma pan jakiś problem. Może powinniśmy o tym porozmawiać. Obawiam się, że ta pańska dziwna taktyka daleko nas nie zaprowadzi.

Odgłosy w słuchawce stawały się coraz bardziej intensywne. Gdyby była młodsza, mogłaby pomyśleć, że ktoś się w niej zadurzył, a teraz, słuchając przez telefon jej głosu, oddaje się jakimś seksualnym praktykom. Uznała to jednak za bardzo mało prawdopodobne, w lipcu bowiem skończyła właśnie siedemdziesiąt dziewięć lat. Poza tym wydawało jej się, że nie jest to ów szczególny rodzaj oddechu wskazujący na seksualne pobudzenie. Człowiek przy telefonie sprawiał wrażenie podnieconego w całkiem inny sposób. Był zestresowany. Agresywny. Wyraźnie wzburzony.

Nie chodziło zatem o seks. W takim razie o co?

- Odkładam słuchawkę - zagroziła Fiona. Zanim jednak zdołała spełnić swą zapowiedź, połączenie zostało przerwane. W słuchawce brzęczał teraz jednostajny, przerywany sygnał.

- Pójdę na policję! - powiedziała z wściekłością, cisnęła słuchawką, po czym od razu zapaliła papierosa. Obawiała się jednak, że na posterunku policji zostanie spławiona. Przecież nikt jej nawet nie zwymyślał, nie napastował obscenicznymi słowami, nie groził.

Oczywiście, każdy zrozumie, że powtarzające się „głuche” telefony także można uznać za formę groźby, brakowało wszakże jakichkolwiek wskazówek, kim mógłby być ów dręczyciel. W tym zupełnie niejasnym przypadku policja nie zdecyduje się na zainstalowanie urządzenia identyfikującego anonimowego abonenta, poza tym prześladowca był z pewnością na tyle sprytny, by dzwonić wyłącznie z telefonów ogólnie dostępnych, i to za każdym razem z innego aparatu. Tacy ludzie wychowali się na telewizyjnych serialach kryminalnych. Wiedzą, jak należy w takich przypadkach postępować i jakich unikać błędów.

Poza tym...

Znów podeszła do okna. Był cudowny, przesycony słońcem dzień październikowy, wietrzny i pogodny; zatoka Scarborough tonęła w powodzi złocistego światła. Morze było wzburzone, mieniło się barwą głębokiego granatu, grzbiety fal wieńczyły połyskujące bielą korony piany. Każdy, kto mógł rozkoszować się takim widokiem, wpadłby w zachwyty. Lecz nie Fiona, nie w tym momencie. Nie docierało do niej nic z uroku pejzażu, który rozpościerał się za jej oknem.

Wiedziała, dlaczego nie pójdzie na policję. Wiedziała, dlaczego jak dotąd nikomu, nawet Leslie, ani słowem nie wspomniała o tych dziwnych telefonach. Dlaczego, mimo zaniepokojenia, zachowała całą tę historię wyłącznie dla siebie.



Logiczne pytanie, jakie niezwłocznie zadałby każdy, kto by się o tym dowiedział, brzmiałoby: Czy istnieje człowiek, który ma coś przeciwko pani? Ktoś, o kim mogłaby pani powiedzieć, że może mieć coś wspólnego z tą sprawą?

Szczerze mówiąc, musiałyby odpowiedzieć na to pytanie twierdząco. A to siłą rzeczy pociągnęłyby za sobą dalsze pytania. I konieczność wyjaśnień. I znów wszystko powróciłyby z dawną siłą.

Cała ta okropna historia. Wszystkie te rzeczy, o których pragnęła zapomnieć. Rzeczy, o których przede wszystkim Leslie nie powinna się dowiedzieć.

Gdyby jednak zaczęła udawać naiwną i zapewniła, że nie zna nikogo, kto mógłby jej grozić, kto mógłby ją w ten sposób dręczyć - wówczas nie miałyby najmniejszego sensu komukolwiek o tym opowiadać.

Zaciągnęła się dymem z papierosa. Jedynym człowiekiem, przed którym mogłaby się otworzyć, był Chad. On i tak znał prawdę. Może powinna z nim porozmawiać. Może byłoby lepiej, gdyby skasował e-maile, które mu przesłała. Przede wszystkim załączone pliki. Zachowała się lekkomyślnie, wysyłając takie rzeczy pocztą elektroniczną. Sądziła, że może zaryzykować, bo cała sprawa już dawno popadła w zapomnienie. Dla niej, dla nich obojga, wszystko to było tak bardzo odległe.

Może jednak się myliła.

Może powinna skasować cały ten obszerny materiał także we własnym komputerze. Przyszłoby jej to z trudem, lecz tak pewnie byłoby lepiej. To przecież iście zwariowany pomysł, żeby to wszystko opisać. Czego się spodziewała? Że dozna ulgi? Ukoi własne sumienie? Chciała raczej znaleźć dla siebie jakieś wyjaśnienie, dla siebie i Chada. Może miała nadzieję, że to pozwoli

jej lepiej zrozumieć samą siebie. Lecz nic takiego się nie stało. Wcale nie rozumiała siebie lepiej niż przedtem. Nic się nie zmieniło. Nikt nie zdoła odmienić własnego przeszłego życia, poddając je analizie, usiłując wcisnąć je w formę, która miałaby zrelatywizować zdarzenia. Błędy pozostaną błędami, grzechy pozostaną grzechami. Trzeba było z nimi żyć, trzeba będzie z nimi umrzeć.

Zgasiła papierosa w doniczce i poszła do swego gabinetu, by włączyć komputer.

## 2.

Ostatni interesant był najgorszy ze wszystkich. Ani przez chwilę nie przestawał zrzędzić. Parkiet na podłodze był wytarty, uchwyty do drzwi sprawiały wrażenie tandetnych, okna zdawały się niewystarczająco izolowane, pomieszczenia zostały źle zaprojektowane i niekorzystnie rozplanowane, kuchnia była mało nowoczesna, a widok na niewielki park za domem zupełnie nieciekawym.

- Można było sobie darować - powiedział z wściekłością na odchodnym. Leslie musiała się pohamować, by nie trzasnąć za nim drzwiami. Poczuliaby wtedy ulgę, choć faktycznie zamek w drzwiach nie był całkiem sprawny, jak zresztą - trzeba przyznać - niejedna jeszcze rzecz w tym mieszkaniu. Takie siłowe działanie zakończyłoby pewnie jego żywot.

- Gnojek - wyrzuciła z siebie zamiast tego. Poszła do kuchni, zapaliła papierosa i włączyła ekspres do kawy. Espresso dobrze jej teraz robi. Spojrzała przez okno na deszczowy dzień. Oczywiście że przy tej szarej, mżystej pogodzie park nie prezentował się zbyt zachęcająco, a jednak to właśnie ów porośnięty drzewami skrawek gruntu pośrodku Londynu sprawił, że dziesięć lat wcześniej ona i

Stephen zakochali się w tym mieszkaniu. Owszem, kuchnia była staromodna, podłoga skrzypiała, wiele rzeczy było podniszczonych i niepraktycznych, niemniej jednak mieszkanie miało swój urok i duszę. Zastanawiała się, jak można było tego nie wyczuć. Nadęty typ. Ale zrzędzili wszyscy. Najmniej chyba ta starsza kobieta, która zjawiała się jako druga. Może właśnie ona wynajmie po niej to mieszkanie... Czas naglił. Pod koniec października Leslie czekała przeprowadzka. Jeśli do tej pory nie znajdzie kogoś, kto przejmie od niej dotychczasową umowę najmu, będzie musiała płacić podwójnie, a na to nie mogła sobie przez dłuższy czas pozwolić.

Tylko bez nerwów, napomniała sama siebie.

Kiedy zadzwonił telefon, przez chwilę zamierzała go zignorować, lecz uświadomiła sobie, że mógł to być ktoś zainteresowany mieszkaniem. Przeszła do przedpokoju i podniosła słuchawkę.

- Cramer - przedstawiła się. Nazwisko męża coraz trudniej przechodziło jej przez gardło. Powinnam posługiwać się nazwiskiem panińskim, pomyślała.

W słuchawce usłyszała płochliwy, cichy głos. - Leslie? Mówi Gwen. Gwen ze Staintondale!

- Gwen ze Staintondale! - powtórzyła Leslie. Telefonu od Gwen, przyjaciółki z lat dzieciństwa i młodości, zupełnie się nie spodziewała, sprawił jej jednak dużą radość. Od dawna nie miała od niej żadnych wieści. Minął już chyba rok od dnia, kiedy spotkała ją po raz ostatni, w Boże Narodzenie rozmawiały krótko przez telefon, lecz wymieniły głównie obowiązkowe życzenia noworoczne.

- Co u ciebie? - spytała Gwen. - Wszystko w porządku? Dzwoniłam do szpitala, ale powiedzieli, że wzięłaś urlop.

- Tak, zgadza się. Całe trzy tygodnie. Muszę szukać najemcy do mojego mieszkania, przygotować przeprowadzkę i... no cóż,

wreszcie się rozwiodłam. Od poniedziałku znów jestem wolna! - Słuchała brzmienia własnego głosu. Swobody, z jaką obwieściła tę nowinę, sama jednak wcale nie odczuwała. Zdumiewające, ale to wciąż bolało. Wciąż.

- Mój Boże - powiedziała z zakłopotaniem Gwen. - To jest... myślę, że wszyscy się tego spodziewaliśmy, ale jakoś tak... człowiek zawsze ma nadzieję... Jak się czujesz?

- No cóż, rozstaliśmy się już przed dwoma laty. Pod tym względem niewiele się zmieniło. A jednak to mimo wszystko jakaś cezura w moim życiu, dlatego wynajęłam nowe mieszkanie. To obecne jest dla mnie za duże, poza tym... za bardzo przypomina mi o Stephenie.

- Doskonale to rozumiem - przyznała Gwen. W jej głosie pobrzmiewało przygnębienie, a jednak ciągnęła dalej: - Ja... zachowam się teraz zupełnie nietaktownie, ale... naprawdę nie wiedziałam, że dopiero co się rozwiodłaś, w przeciwnym razie... to znaczy, nigdy bym nie...

- U mnie wszystko dobrze. Serio. Więc przestań kluczyć, tylko mów, po co dzwonisz.

- No więc... mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale... chcę, żebyś się o tym dowiedziała jedna z pierwszych. Wychodzę za mąż!

Leslie rzeczywiście zaniemówiła na chwilę.

- Wychodzisz za mąż? - Domyśliła się, że pobrzmiewające w jej głosie zdumienie sprawi Gwen przykrość, lecz nie zdołała ukryć swego zaskoczenia. Gwen, istny archetyp starej panny, staroświecka dziewczyna rodem z wiejskiego odludzia... Gwen, dla której czas jakby zatrzymał się w miejscu, gdzieś w minionym stuleciu, kiedy młode panny wyczekiwały w domu, aż zjawi się

jakiś rycerz na koniu, by starać się o ich rękę... Wychodzi za mąż? Tak po prostu?

- Wybacz - dodała spiesznie - ja tylko... zawsze sądziłam, że nie zależy ci na małżeństwie.

Skłamała. Wiedziała, że Gwen zawsze dążyła do tego, by historie rodem z powieściowych romansów, które dosłownie pochłaniała, uczynić częścią własnego życia.

- Jestem taka szczęśliwa - wyznała Gwen - tak niewiarygodnie szczęśliwa... To znaczy, już prawie straciłam nadzieję, że znajdę sobie kogoś, a tymczasem wychodzę w tym roku za mąż! Pomyśleliśmy, że początek grudnia będzie w sam raz. Ach, Leslie, wszystko jest teraz... zupełnie inne!

Leslie wreszcie ochłonęła.

- Gwen, tak się cieszę! - powiedziała zupełnie szczerze. - Naprawdę, nawet nie przypuszczasz jak bardzo! Kim jest ten szczęściarz? Gdzie go poznałaś?

- Nazywa się Dave Tanner. Ma czterdzieści trzy lata... on mnie kocha.

- To cudownie - powiedziała Leslie, lecz znów dało o sobie znać jej lekkie zdumienie. W pierwszej chwili pomyślała o znacznie starszym mężczyźnie, może jakimś wdowcu, co najmniej sześćdziesięcioletnim, któremu zależało też trochę na tym, by go otoczono opieką. Było jej wstyd, lecz poza czystym wyrachowaniem nie mogła sobie wyobrazić innego powodu, dla którego mężczyzna mógłby zadawać się z Gwen. Była osobą miłą, szczerą i życzliwą, jednak nie miała w sobie bodaj nic, co mogłoby przyciągać spojrzenia mężczyzn... Chyba że ktoś cenił sobie wyłącznie zalety charakteru, co wedle doświadczenia Leslie czyniło niewielu mężczyzn.

Być może jednak moja ocena jest zupełnie chybiona, pomyślała.

- No więc, o wszystkim dokładnie ci opowiem - zapewniła Gwen; jej głos aż drżał z radości i ekscytacji. - Ale najpierw chciałabym cię zaprosić. W sobotę świętujemy coś w rodzaju... zaręczyn, a twoja obecność byłaby dla mnie najpiękniejszym prezentem!

Leslie się zamyśliła. Podróż na północ była zbyt długa i uciążliwa jak na jeden weekend, lecz przecież wzięła urlop. Mogłaby wyruszyć już jutro, w piątek, i zostać tam jeszcze ze trzy, cztery dni. Yorkshire to jej rodzinne strony, dorastała w Scarborough, a nie była tam już od bardzo dawna. Mogła się zatrzymać u swej babci Fiony, starsza pani z pewnością by się ucieszyła. Oczywiście, nie miała na to czasu, nagliła bowiem kwestia wynajęcia mieszkania, a jednak byłoby miło złożyć znów wizytę przeszłości.

Szczerze mówiąc, wprost umierała z ciekawości, kim jest ów mężczyzna, którego Gwen - *jej przyjaciółka Gwen!* - miała zamiar poślubić.

- Słuchaj, Gwen, myślę, że to się uda - oznajmiła. - Rozwód jest przecież... cóż, w każdym razie podróż odwróciłaby od niego moje myśli, to nie jest zły pomysł. Mogłabym przyjechać już jutro. Dobrze?

- Leslie, nawet nie wiesz, jak się cieszę! - krzyknęła Gwen. Jej głos brzmiał inaczej niż przedtem. Radośnie i optymistycznie. - Poza tym mamy wspaniałą pogodę! Wszystko się dobrze składa.

- Tu w Londynie pada - odparła Leslie. - To jeszcze jeden powód, żeby wyruszyć w podróż. Cieszę się, że znów cię zobaczę, Gwen. I Yorkshire!

Ledwie skończyły rozmawiać, znów zadzwonił telefon. Tym razem był to Stephen.

Jego głos, jak zawsze, wypełniał smutek. On nie pragnął rozstania, nie chciał rozwodu.

- Halo, Leslie. Chciałem się tylko dowiedzieć... znów cię dzisiaj nie było... Czy wszystko w porządku?

- Wzięłam trzy tygodnie urlopu. Przeprowadzam się i na gwałt szukam lokatora do naszego mieszkania. A ty przypadkiem go nie chcesz?

- Wyprowadzasz się z naszego mieszkania? - spytał zaskoczony.

- Jest dla mnie po prostu za duże. A poza tym... muszę zacząć wszystko od nowa. Nowe mieszkanie, nowe życie.

- Zazwyczaj to nie takie proste.

- Stephen...

Musiał dosłyszeć w jej głosie zniecierpliwienie, bowiem natychmiast zmienił ton. - Wybacz, oczywiście nic mi do tego.

- Ano właśnie. Dobrze by było, gdybyśmy spróbowali nie wtrącać się nawzajem do naszego życia. Wystarczy, że w szpitalu tak często wchodzimy sobie w drogę. Poza nim nie powinniśmy mieć z sobą nic wspólnego.

Oboje pracowali jako lekarze w tym samym szpitalu. Leslie długo rozmyślała nad tym, czy nie powinna poszukać sobie innej posady, lecz nigdzie nie znalazła tak idealnych warunków jak w Royal Marsden w Chelsea. W końcu obudziła się w niej przekora: czemu dla mężczyzny, który ją zdradził i oszukał, miałyby poświęcać także własną karierę?

- Przepraszam, Stephen, ale się spieszę - powiedziała chłodno. - Muszę załatwić jeszcze parę spraw, a jutro wyjeżdżam na kilka dni do Yorkshire. Gwen wychodzi za mąż i w sobotę urządza zaręczyny.

- Gwen? Twoja przyjaciółka Gwen? Wychodzi za mąż? - Stephen był tak samo zdumiony jak Leslie, gdy usłyszała tę nowinę.

Pomyślała, jakie to musiało być dla Gwen upokarzające - każdy, komu przekazywała tę wiadomość, reagował, jakby spadł z obłoków, i nie potrafił ukryć swego zaskoczenia. Może jednak nie w pełni rozumiała, jaka przykrość ją przy tym spotyka.

- Tak. Jest przeszczęśliwa. I niczego tak bardzo nie pragnie, jak mojej obecności na zaręczynach. Poza tym chciałabym, rzecz jasna, poznać jej narzeczonego.

- Ile ona ma lat? Co najmniej trzydzieści pięć, prawda? Rzeczywiście najwyższy czas, żeby wreszcie zostawiła swego ojczulka i zaczęła własne życie.

- Po prostu jest do niego bardzo przywiązana. Właściwie zawsze miała tylko jego, a wtedy taka zażyła więź wydaje się całkiem normalna.

- Ale niezbyt zdrowa - zauważył Stephen. - Nie mam nic do starego Chada Becketta, Leslie, ale byłoby lepiej, gdyby już wcześniej pchnął lekko swoją córkę w szeroki świat, zamiast pozwalać jej więdnąć na tej farmie na odludziu. Miło, że są ze sobą zgodni, lecz w życiu młodej kobiety trzeba jednak czegoś więcej. Cóż, wygląda na to, że postanowiła ruszyć z miejsca. Miejmy nadzieję, że złowiła jakiegoś porządnego faceta. Ona jest taka niedoświadczona.

- Najpóźniej w sobotę wieczorem dowiem się czegoś więcej - powiedziała Leslie, po czym nagle zmieniła temat. Stephen nie był jej już na tyle bliski, by chciała z nim rozmawiać o swojej przyjaciółce i jej domniemanych psychicznych deficytach. - Moje nowe mieszkanie jest znacznie mniejsze od tego - oznajmiła - więc nie zdołam zabrać wszystkich mebli. Jeśli chcesz, możesz sobie coś wybrać.

Kiedy się wyprowadzał, nie wziął niczego. Niczego nie chciał.



- Właściwie wszystko już mam - odparł - co niby miałbym zabrać?

- Na przykład stół kuchenny - odpowiedziała uszczypliwie Leslie - w przeciwnym razie wyląduje na śmietniku.

Ten śliczny, nieco chybotliwy, stary drewniany stół... ich pierwszy wspólny zakup, jeszcze z czasów studenckich. Tak bardzo go lubiła. A jednak przy tym właśnie stole wyznał jej wówczas swój błąd - przyznał się do krótkotrwałego, idiotycznego romansu z dziewczyną, którą poznał przypadkiem w knajpie.

Potem nic już nie było takie jak wcześniej. Leslie do dziś nie mogła spojrzeć na ten stół, nie czując przy tym dławienia w gardle na myśl o tamtej pamiętnej scenie, która stała się początkiem końca. Płonąca świeca. Butelka czerwonego wina. Mrok za oknem. I Stephen, który koniecznie musiał ukoić własne sumienie.

W ciągu minionych dwu lat myślała czasem, że wszystko mogłoby się ułożyć, gdyby tylko zniknął ten stół. A jednak nie zdobyła się na to, żeby przepędzić go ze swego mieszkania.

- Nie - odparł Stephen po chwili milczenia - ja też go nie chcę.

- To na razie - powiedziała Leslie.

- Pozdrowienia dla Gwen - dorzucił Stephen, po czym bez dalszych słów pożegnania zakończyli rozmowę.

Spojrzała na swe odbicie w okrągłym lustrze, wiszącym naprzeciw niej w garderobie. Wyglądała mizernie, wyczerpana walką.

Doktor Leslie Cramer, lat trzydzieści dziewięć, radiolog. Rozwiedziona.

Pierwszym towarzyskim wydarzeniem, w jakim weźmie udział po rozwodzie, będą akurat zaręczyny.

Może to nie jest zły znak, pomyślała.

Aczkolwiek wcale nie wierzyła w znaki. Cóż za niedorzeczna myśl.

Zapaliła kolejnego papierosa.

### 3.

Zobaczył ją w świetle przydomowej latarni i pomyślał: Boże drogi! Prawdopodobnie całymi godzinami zastanawiała się nad tym, jak by się tu pięknie wystroić. Niestety, rezultat jak zwykle okazał się po prostu okropny. Kwiecistą bawełnianą spódnicę odziedziczyła chyba po zmarłej matce, przyszło mu na myśl, w każdym razie, zarówno jeśli idzie o materiał, jak i o krój, prezentowała się niczym z innej, zamierzchłej epoki. Do tego włożyła nieco przyciężkie brązowe buty oraz źle skrojony szary płaszcz, który, choć była szczupła, bardzo ją pogrubił. Spod płaszcza przebierała żółta bluzka, żółty zaś był akurat jedynym kolorem, który nie pojawiał się na pstrokatej spódnicy. Kiedy znajdą się w restauracji i zdejmie płaszcz, będzie wyglądać niczym wielkanocna pisanka.

W jednej chwili porzucił myśl, by zabrać ją do Scarborough. Byłoby mało sympatycznie, gdyby natknął się tam przypadkiem na swoich znajomych. Jakiś zajazd poza miastem wydawał się bardziej odpowiedni... Usiłował wygrzebać z pamięci jakiś adres... I do tego niedrogi. Z pieniędzmi było u niego jak zwykle krucho.

Uśmiechnęła się. - Dave!

Podszedł do niej, wziął ją w ramiona, przełamując lekki opór, po czym ucałował niewinnie w policzek. Na szczęście była tak bardzo oderwana od życia, że jak dotąd ani nie uskarżała się na brak namiętnych pocałunków czy seksu, ani też za nimi nie tęskniła. Wiedział, że jej ulubioną lekturą były romanse wydawane w formie zeszytów, i przypuszczał, iż dzięki pewnej swej powściągliwości

odpowiadał po trosze jej romantycznemu wyobrażeniu o przyszłym narzeczonym. Czasem go to wzruszało. Potem jednak zastanawiał się, czy rzeczywiście było warto.

- Chcesz się przywitać z tatkiem? - spytała.

Skrzywił się. - Raczej nie. Zawsze daje mi wyraźnie do zrozumienia, że za mną nie przepada.

Gwen nie próbowała oponować. - Musisz go zrozumieć, Dave. To starszy człowiek, dla niego wszystko dzieje się zbyt szybko. Kiedy czuje się zaskoczony, jeszcze bardziej zamyka się w sobie. Zawsze tak było.

Wsiedli do rozklekotanego samochodu Dave'a. Jak zwykle minęła dłuższa chwila, zanim silnik zaskoczył. Po raz kolejny Dave zaczął się zastanawiać, jak długo ta kupa zardzewiałego złomu na czterech kołach będzie mu jeszcze służyć.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Gwen, kiedy mijali bramę wjazdową, której wielkie, brązowe drewniane wrota wisiały krzywo na zawiasach. Już od wielu lat nie dało się ich zamknąć, lecz nikt się tym nie przejmował. Wydawało się zresztą, że na farmie Beckettów, należącej do rodziny od pokoleń, nikt się już o nic nie troszczy - czy to z powodu nieudolności, czy też braku pieniędzy.

- To niespodzianka - odparł tajemniczo Dave, sam jednak tego nie wiedział i miał nadzieję, że coś spontanicznie przyjdzie mu do głowy.

Gwen rozparła się na siedzeniu, zaraz jednak znów się wyprostowała. - Pokazywali dziś w telewizji tę policjantkę, inspektor śledczą... jakośtam, która prowadzi sprawę Amy Mills. Wiesz, tej dziewczyny...

Minęły już prawie trzy miesiące od dnia, w którym w Esplanade Gardens w Scarborough znaleziono zmasakrowane zwłoki

dwudziestojednoletniej studentki, a mimo to okoliczni mieszkańcy nie przestawali o tym rozprawiać. Już dawno nie zdarzyło się tam nic podobnego. Sprawca chwycił ofiarę za ramiona i wielokrotnie gwałtownie uderzał jej głową o kamienny mur. Ze szczegółów, jakie w niewyjaśniony sposób wyciekły do prasy z zakładu medycyny sądowej, zszokowana opinia publiczna dowiedziała się, że człowiek ten za każdym razem pozwalał, by nieprzytomnej ofierze wróciła świadomość, zanim ze zdwojoną siłą znów zaczął uderzać. Amy Mills, wciąż na nowo odzyskując przytomność, cierpiała katusze co najmniej przez dwadzieścia minut, zanim straciła życie.

- Oczywiście, że wiem, kto to Amy Mills - powiedział Dave - ale dziś nie oglądałem telewizji. Podali jakieś nowe szczegóły?

- Odbyła się konferencja prasowa. Presja na funkcjonariuszy zajmujących się dochodzeniem jest chyba spora, dlatego znów musieli wystąpić przed kamerami. W końcu okazało się jednak, że nic nie mają. Żadnego śladu, żadnego punktu zaczepienia. Zupełnie nic.

- Ten sprawca to chyba jakiś zupełny wariat - odparł Dave.

Gwen wzdrygnęła się i skuliła ramiona. - Na szczęście nie została zgwałcona. Przynajmniej tego nie musiała znosić. Ale przez to policja drecze w miejscu, brakuje motywu.

- Tak czy siak, to nie było mądre z jej strony, żeby nocą wędrować samotnie przez takie pustkowia - stwierdził Dave. - Esplanade Gardens... toż to zupełne odludzie o tak późnej porze!

- Nie chodziło też o pieniądze - referowała Gwen. - Ani o biżuterię. Jej portfel leżał w torebce, a zegarek i dwa pierścionki miała na rękach. Wygląda na to, że... zginęła za nic!

- Sądzisz, że poczułaby się inaczej, gdyby rozwalił jej czaszkę z powodu tysiąca funtów? - spytał nieco szorstko Dave. Dostrzegłszy

jej przerażone spojrzenie, zaraz dodał łagodnie: - Przepraszam. Nie chciałem na ciebie naskoczyć. Tak czy owak, nie jest miło słyszeć, że po Scarborough grasuje jakiś wariat i uśmierca kobiety, najwyraźniej bez żadnego powodu. Ale kto wie? Może był to akt zazdrości albo coś podobnego. Były chłopak, który nie poradził sobie z frustracją... Niektórzy ludzie wariują, kiedy czują się odrzuceni.

- Ale gdyby w grę wchodził były chłopak, którego można by o coś takiego posądzać, policja dawno by już o tym wiedziała - zauważyła Gwen.

Był późny październikowy wieczór. Jechali przez wyżynne torfowiska Yorkshire. Krajobraz widoczny w bladej poświacie księżyca był pagórkowaty i jałowy. Pastwiska otaczały na przemian to płoty, to znów kamienne murki. Gdzieś wyzierała z mroku sylwetka krowy lub owcy. Późno wybrali się na tę kolację, lecz Dave musiał poprowadzić kurs hiszpańskiego i dopiero po ósmej wyruszył ze Scarborough.

Przynajmniej miał już pomysł, dokąd mogliby pojechać - do pewnej skromnej knajpki w okolicach Whitby. Niezbyt tam było romantycznie, za to tanio; miał też pewność, że nie spotka ludzi, na których opinii mu zależało. Zdażył się już przekonać, że Gwen miała niewygórowane wymagania i nigdy się nie skarżyła. Mógł jej obiecać kolację przy świecach, a potem zabrać do KFC, ona zaś przystałaby na to bez słowa sprzeciwu. Jedynym mężczyzną w jej życiu był do tej pory ojciec, i choć była doń przywiązana, darząc go mieszaniną uczuć miłości, wierności i troskliwości, nie miała jednak, jak się zorientował Dave, jakichkolwiek złudzeń co do tego, że ich jednostajny, pozbawiony perspektyw wspólny żywot na odciętej od świata, nieco podupadłej farmie w Staintondale nie jest ani zdrowy, ani satysfakcjonujący. Była niezmiernie wdzięczna za

to, że Dave w sposób tak niespodziewany wtargnął w jej nudną, monotonną codzienność. Dniami i nocami dręczyła ją obawa, że mogłaby go stracić. Bardzo się starała nie rozgniewać go ani narzekaniem, ani wysuwaniem pretensji czy wszczynaniem kłótni.

Ale ze mnie drań, pomyślał, cholerny drań... W tej chwili przynajmniej ją uszczęśliwiam.

I nie zrani jej. Będzie to ciągnął. Tak postanowił. Nie miał wyboru.

Gwen Beckett była jego ostatnią szansą.

A ja jestem ostatnią szansą dla niej, pomyślał i z niejakim wysiłkiem stłumił kielkujące w nim uczucie paniki. Resztę życia spędzi z tym podstarzałym dziewczęciem u swego boku. To może trwać jeszcze ze czterdzieści albo nawet pięćdziesiąt lat.

Często o niej rozmyślał. Opowiedziała mu o pewnych zdarzeniach ze swego życia, niektóre fragmenty dopasował sobie sam. Jej ojciec najwyraźniej zawsze był wobec niej uległy, co Gwen tłumaczyła miłością, choć Dave uważał czasem, że mógł to być przejaw obojętności. Mając szesnaście lat, rzuciła szkołę, ponieważ, jak wyjaśniła, „nie sprawiało jej to już żadnej frajdy”; nawet i w tym przypadku tatko się nie sprzeciwił. Gwen nie wyuczyła się żadnego zawodu, a sens swego życia widziała w tym, by prowadzić owdowiałemu ojcu dom oraz poprawić stan jego finansów. W tym celu przekształciła dwa pomieszczenia w domu na farmie na pokoje gościnne z myślą o usługach typu *bed&breakfast*. To niewielkie przedsięwzięcie nie odniosło większego sukcesu, co wcale nie zdziwiło Dave'a. Stary, podniszczony dom wymagał niezwłocznie modernizacji, jeśli miał przyciągnąć ludzi, którzy chcieliby spędzić wakacje na wschodnim wybrzeżu północnego Yorkshire. Po kilku dziesięcioleciach posuchy region znów przeżywał rozkwit jako cel

urlopowych wyjazdów, ludzie jednak chcą dziś mieć porządną łazienkę, prysznic, w którym bojler z ciepłą wodą nie opróżni się po upływie kilku minut, ładną, czystą zastawę śniadaniową oraz ujmujące w jakiś sposób pierwsze wrażenie, kiedy dojeżdżają do miejsca, w którym pragną spędzić swe najcenniejsze w roku tygodnie. Porośnięte zielskiem, podziurawione błotnistymi jamami podwórze farmy Beckettów wcale nie zachęcało do tego, by się tam zatrzymać na wypoczynek. Prawdę mówiąc, spędzała tam regularnie urlop jedna jedyna para, a to głównie dlatego, że - jak opowiadała Gwen - towarzyszyły jej zawsze dwa olbrzymie dogi, których nigdzie indziej nie chciano przyjąć.

Kim jest ta Gwen Beckett? - zapytywał sam siebie po kilka razy na dzień. Może zbyt często.

Była bardzo nieśmiała, miał jednak wrażenie, iż głównie dlatego, że prowadząc tak samotnicze życie, z dala od świata, straciła kontakt z innymi ludźmi. Ciepło i z podziwem w głosie mówiła o swoim ojcu, jakby w przekonaniu, że w tym ustronnym Staintondale przeżywa razem z nim swe najlepsze lata i nic piękniejszego nie mogłoby jej w życiu spotkać. Potem jednak powracał myślami do owych słów, które wypowiedziała tamtego lipcowego wieczoru, kiedy się poznali: „Nie czuję się zbyt szczęśliwa”.

Na własną rękę wyszukała i zapisała się na kurs, podczas którego ludzie tacy jak ona nabierali zaufania do samych siebie oraz uczyli się ujmującego sposobu bycia. Co tydzień przez trzy miesiące jeździła do Scarborough, by wykorzystać każdą godzinę zajęć. Uczyniła to, co pisma kobiece radziły podobnym do niej czytelniczkom: Zróbcie coś z sobą! Ruszcie się z domu! Poszukajcie towarzystwa innych ludzi!

Dave sądził, że Gwen musiała poczuć, iż obiecany sukces rzeczywiście pojawił się w okamgnieniu. Czasem wydawało się, że sama nie może w to uwierzyć. Zebrała całą swą odwagę i pojechała do Friarage School. Już pierwszego dnia poznała tam mężczyznę, którego poślubi i z którym spędzi resztę życia.

Była szczęśliwa. A jednak wyczuwał jej lęk. Lęk, że coś się może zdarzyć, że ten sen może prysnąć jak mydlana bańka, że wszystko to wygląda zbyt pięknie, by mogło być prawdą...

I kiedy o tym rozmyślał, czuł się podle. Wiedział bowiem, że jej lęk był uzasadniony.

Jakby przeczuwając, że myśli Dave'a zaprzęta pytanie o charakter ich związku, i nie są one w pełni szczęśliwej natury, spytała niespodziewanie: - Nasze sobotnie zaręczyny odbędą się tak, jak zaplanowaliśmy? - W jej głosie brzmiał niepokój.

Dave zdobył się na uspokajający uśmiech. - Ależ oczywiście. Czemu miałyby się nie odbyć? Chyba że twój ojciec nagle je zbojkotuje i nie wpuści nas do domu. Ale nawet wtedy możemy pojechać do jakiejś restauracji.

Błagam, tylko nie to! Z Londynu przyjeżdża przyjaciółka Gwen, będzie też małżeństwo, które razem ze swymi dogami spędza właśnie urlop na farmie Beckettowi, a także Fiona Barnes, stara przyjaciółka rodziny - choć rola, jaką odegrała w historii Beckettów, nie była dlań do końca zrozumiała. Siedem osób! Praktycznie nie miał już pieniędzy. Nie zdołałby pokryć kosztów przyjęcia w restauracji. Gdyby poróżnili się ze starym Beckettem, miałby poważny problem.

Usiłował nie okazywać swego zatroskania. - Nic nie zepsuje naszych zaręczyn - zapewnił.



Gwen wyciągnęła do niego rękę; ujął ją. Była lodowata w dotyku. Odwrócił ją, przycisnął do swych ust i ciepłym oddechem ogrzał wnętrze dłoni.

- Zaufaj mi - poprosił. Takie słowa zawsze są na miejscu, wiedział o tym. A szczególnie wobec kobiet takich jak Gwen - choć nigdy wcześniej nie poznał tak niezwykłego przypadku. - Nie igram z tobą.

Nie, to nie była gra. Naprawdę.

Uśmiechnęła się. - Wiem o tym, Dave. Czuję to.

Wcale nie, pomyślał, boisz się, ale wiesz, że nie możesz się poddać własnemu lękowi. Oboje musimy przez to przebrnąć. Każde z nas na tym zyska. Każde na swój sposób.

Wokoło zapadła już zupełna ciemność. Pędzili w głąb nocnej samotności. Dave miał wrażenie, że porusza się w czarnym tunelu. Poczul ucisk w gardle. Po jednej whisky poczułby się lepiej, wiedział o tym. A po drugiej jeszcze lepiej. Zupełnie nie dbał o to, czy potem będzie mógł prowadzić.

Najważniejsze, by zatarła się nieco ostrość myśli, jakie go dopadły. By jego przyszłość stała się znośniejsza.

## **Piątek, 10 października**

1.

Jennifer Brankley wspominała swoje szkolne lata, lecz nie te, gdy jako mała dziewczynka ubrana w niebieską plisowaną spódniczkę i blezer dźwigała na plecach wielki brązowy tornister, lecz czasy późniejsze, kiedy sama prowadziła lekcje. Każdego ranka, pełna energii i oczekiwań, przekraczała próg szkolnego budynku, ciesząc się nadchodzącym dniem. Zdawało jej się, że od tej pory minęły już całe dziesięciolecia, niekiedy miała wrażenie, jakby to były wspomnienia z jakiegoś innego życia. Tymczasem od owego czasu, który nazywała najlepszym w swym życiu, dzieliło ją ledwie kilka lat. Ledwie kilka lat... a nic już nie było takie jak przedtem.

Plastikowe torby z zakupami - przede wszystkim karmą dla swych psów, dogów Cala i Wotana - postawiła pod drzewem, tuż za wysokim czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza, otaczającym teren Friarage Community Primary School. Był to dość duży kompleks budynków, kilka jedno- i dwupiętrowych domów z czerwonej cegły. W oknach widniały błękitne żaluzje. Po lewej stronie, za szkołą, piętrzyło się wzgórze zamkowe, przed nim zaś wznosił się St. Mary's Church, znany głównie z tego, że na tamtejszym cmentarzu znajduje się grób pisarki Anne Brontë. Zamek i kościół zdawały się bronić miasta, szkoły i dzieci.

Ładna miejscowość, pomyślała Jennifer.

Już po raz szósty lub siódmy razem z mężem Colinem spędzała wakacje na farmie Beckettów w Staintondale. Szczególnie Jennifer bardzo polubiła wschodnie wybrzeże Yorkshire. Smagane wiatrem płaskowyże sąsiadujące z rozległymi dolinami, bezkresne, ogrodzone niskimi kamiennymi murkami pastwiska, skalne urwiska opadające stromo ku morzu, niewielkie piaszczyste zatoki wtulone w strome klifowe wybrzeże. Lubiła też miasto Scarborough z jego dwiema dużymi, półkolistymi, rozdzielonymi przez cypel zatokami, starym portem, nobliwymi domami wznoszącymi się wysoko na South Cliff, licznymi staroświeckimi hotelami, których fasady musiały stawiać czoło podmuchom wiatru oraz słonej wodzie, przez co wciąż sprawiały wrażenie nieco złuszczonej. Colin mruczał niekiedy pod nosem, że byłoby miło spędzić czasem urlop gdzie indziej, to jednak oznaczałoby konieczność oddania Cala i Wotana do hotelu dla zwierząt, co wydawało się nie do pomyślenia w przypadku tak nadwrażliwych psów. Na szczęście dla Jennifer to właśnie Colin pierwszy wpadł na pomysł, by sprowadzić do domu psy, i to duże. Teraz mogła mu o tym przypominać za każdym razem, kiedy zaczynał narzekać. Colinowi tymczasem chodziło przede wszystkim o codzienny obowiązek wyprowadzania psów na kilkugodzinne spacer. „Cudowny środek na depresję - mawiał - i pod każdym względem dobry dla zdrowia. Któregoś dnia nie będziesz już mogła zrezygnować z ruchu na świeżym powietrzu”.

Miał rację. Psy i spacerki odmieniły jej życie. Pomogły odbić się od dna. Może nie uczyniły z niej kobiety naprawdę szczęśliwej, lecz przynajmniej znów nadały jej życiu sens.

Zwierzęta dostała od stowarzyszenia, które próbowało znaleźć przez Internet nowych właścicieli dla porzuconych dogów.

Jednorocznego Cala zostawiono przywiązanego na skraju szosy, Wotan zaś został oddany do schroniska po tym, jak jego właściciele uświadomili sobie poniewczasie, że życie z tak dużym psem w mieszkaniu na ósmym piętrze wieżowca nie należy do najłatwiejszych.

Najgorsza jest zawsze ludzka głupota, myślała często Jennifer. Gorsza niemal niż rozmyślne okrucieństwo, głupota bowiem jest znacznie bardziej rozpowszechniona. Głupota i bezmyślność. To przez nie świat cierpi. A najbardziej zwierzęta.

Dziś zostawiła psy na farmie pod opieką Colina i razem z Gwen pojechała do miasta. Przez trzy miesiące Gwen chodziła na kurs, który miał jej pomóc w przezwyciężeniu nieśmiałości. Ostatnie spotkanie odbyło się w minioną środę, dlatego w ten piątek po południu prowadząca kurs urządzała skromną imprezę pożegnalną.

Jennifer musiała się pilnować, by nie wyrazić swej opinii na temat kursu. Nie wierzyła w tego rodzaju historie. Ludzie, których zachowania utrwały się przez dziesięciolecia, w trakcie trzech miesięcy treningu mieliby się zupełnie zmienić i na nowo wziąć swoje życie we własne ręce? Jej zdaniem w przypadku tego rodzaju ofert igrano z rzeczywistymi problemami i trudnościami zdesperowanych nierzadko ludzi, którzy byli gotowi uchwycić się każdej deski ratunku, a przy tym wysupłać na to niemało pieniędzy. Gwen przyznała, że wydała na kurs wszystkie oszczędności, Jennifer nie miała jednak wrażenia, żeby rzeczywiście na nim skorzystała. Oczywiście, że się zmieniła, lecz nie wskutek jakiegoś kuglarskiego hokus-pokus, jakie urządzano w jej obecności w środowe popołudnia. Tak przynajmniej uważała Jennifer. Powodem owej przemiany był raczej zupełnie

niespodziewany zwrot, jaki nastąpił w życiu prywatnym Gwen. Mężczyzna. Mężczyzna, który się w niej zakochał.

Nazajutrz miały się odbyć zaręczyny. Jennifer wprost nie mogła w to uwierzyć. Musiała jednak przyznać, zważywszy, że Gwen poznała go w tej szkole, że zarówno uczestnictwo w kursie, jak i wydane nań oszczędności niezupełnie poszły na marne.

Gwen wychodzi za mąż! Dla Jennifer, która liczyła sobie co prawda ledwie dziesięć lat więcej od przyjaciółki, lecz zawsze czuła się po trosze jak jej matka, była to prawdziwa sensacja, istny dar, cudowne zrządzenie losu. Zarazem jednak budził się w niej pewien niepokój: Kim jest ten mężczyzna? Dlaczego wybrał właśnie Gwen, która, choć ujmująca i troskliwa, nigdy dotąd nie zdołała oczarować żadnej męskiej istoty? Była taka staroświecka. Tak oderwana od życia. Potrafiła mówić tylko o swoim ojcu, tatuś to, tatuś tamto... Każdego faceta doprowadziłoby to do szału.

Jennifer z całego serca pragnęła dzielić radość z Gwen, a jednak nie potrafiła. Poprzedniego dnia obrzuciła Dave'a Tannera przelotnym spojrzeniem, kiedy przyjechał na farmę, by zabrać Gwen na randkę. Od tej chwili jej niepokój narastał. Patrząc na jego samochód, należało raczej sądzić, że ma niewiele grosza. Jak zresztą mogło być inaczej, skoro utrzymywał się z lekcji francuskiego i hiszpańskiego, mieszkał zaś w podnajętym umeblowanym pokoju. Nic nie przemawiało za tym, że jest człowiekiem zamożnym. A jednak prezentował się dobrze i miał światowe maniery, o czym zdołała się przekonać nawet przez tych kilka chwil, kiedy mogła go obserwować z okna swego pokoju. Jennifer nie miała wątpliwości, że mógł zdobywać serca zupełnie innych kobiet niż Gwen - młodszych, ładniejszych i bardziej wyrafinowanych. Chociaż nie był bogaty.

Być może to właśnie w fatalnej sytuacji życiowej krył się powód jego miłosnego związku z Gwen. Myśl ta nie pozwoliła Jennifer zasnąć poprzedniej nocy.

Nie odezwała się jednak ani słowem. W każdym razie nie w obecności Gwen. O swych obawach opowiedziała Colinowi, on wszakże stanowczo ją przestrzegł, by się do tego nie mieszała. „Jest dorosła! Ma trzydzieści pięć lat. Najwyższy już czas, by sama decydowała o swoim życiu. Nie możesz jej wiecznie pilnować!”.

Racja, pomyślała Jennifer, obserwując budynek szkoły skąpany owego spokojnego październikowego popołudnia w promieniach słońca. Muszę z tym skończyć, nie mogę ciągle chronić Gwen Beckett przed wszelkim nieszczęściem. Nie jest moją córką. Nie jesteśmy nawet spokrewnione. A nawet gdyby tak było, osiągnęła już wiek, w którym sama musi decydować o tym, jak się potoczy jej życie.

Drzwi frontowego budynku otwarły się. Wychodzący ludzie musieli uczęszczać na ten sam kurs co Gwen. Jennifer usiłowała wyzbyć się wszelkich uprzedzeń, a także opanować nadmierną, niestosowną w tym przypadku ciekawość. Jak wyglądają ci, którzy w tego rodzaju zajęciach upatrują ostatek być może szansy na zmianę we własnym życiu? Czy są podobni do Gwen - trochę niedzisiejsi, powściągliwi, łatwo się rumieniący i w gruncie rzeczy ujmujący? Czy też w nieprzyjemny sposób nieśmiali, oępiali, zupełnie sfrustrowani? Agresywni? Szkaradni, aż człowiekowi zapiera dech?

Wyglądają całkiem zwyczajnie, stwierdziła Jennifer. Dostrzegła znacznie więcej kobiet niż mężczyzn. Ściśle mówiąc, było ich tylko dwóch. Kobiety nosiły dzinsy i swetry albo lekkie żakiety, dzień był bowiem ciepły. Niektóre były naprawdę ładne. Żadna z nich jednak

nie wyróżniała się jakąś nadzwyczajną urodą, nikt też nie prowokował krzykliwym, wyrazistym strojem. W sumie ludzie raczej powściągliwi, stroniący od możliwości znalezienia się w centrum uwagi. W żadnym jednak razie nie sprawiali wrażenia w jakikolwiek sposób upośledzonych, dziwnych czy też odpychających.

Jennifer uśmiechnęła się, ujrawszy Gwen. Kwiecista, sięgająca poniżej kolan spódnica, jak zwykle. Toporne buty. I skąd wytrzasnęła ten okropny płaszcz? Czy jej narzeczony zdoła jej to kiedyś wybić z głowy?

Gwen podeszła do niej w towarzystwie mężczyzny i kobiety; oboje w wieku około trzydziestu, czterdziestu lat. Na pierwszy rzut oka kobieta sprawiała wrażenie dość niepozornej, przy bliższym spojrzeniu okazała się jednak całkiem atrakcyjna. Gwen przedstawiła ich sobie: - Jennifer Brankley. Jennifer, to Ena Witty i Stan Gibson.

Ena Witty uśmiechnęła się bojaźliwie i wymamrotała coś na powitanie. Mówiła bardzo cicho. Stan Gibson natomiast spojrzał na Jennifer promiennym wzrokiem. - Witaj, Jennifer. Gwen dużo nam o pani mówiła. I o pani psach. Rzeczywiście są tak wielkie, jak twierdzi Gwen?

- Jeszcze większe - odpowiedziała Jennifer - ale są potulne jak baranki. Nie powinnam o tym mówić głośno, lecz obawiam się, że nawet włamywacza powitałyby merdaniem ogona i przyjaźnie polizałyby mu rękę.

Stan się roześmiał. - Wolałbym tego nie sprawdzać.

- Bardzo lubię psy - powiedziała Ena.

Jennifer pomyślała, że Ena Witty dokładnie odpowiada profilowi osoby, dla której przeznaczony był program tych zajęć. W przeciwieństwie do Stana Gibsona. Nie był jakoś oszalamiająco

przystojny, emanował wszakże sympatią i szczerością. Nie wyglądał też na kogoś, kto musiałby przełamywać w sobie nieśmiałość i lęki. Czego tu zatem szukał przez ostatnie miesiące?

Jakby czytając w jej myślach, Gwen pospieszyła z wyjaśnieniami: - Stan nie chodził z nami na kurs. W sierpniu i wrześniu szkoła zleciła całkowitą przebudowę kilku pomieszczeń. Stan pracuje w firmie, która otrzymała to zlecenie. W środy wciąż tu jeszcze przebywał, kiedy zaczynaliśmy kurs. W ten sposób poznał Enę.

Ena płochliwie spuściła wzrok.

Ta Friarage School to istne pośrednictwo w zawieraniu znajomości, pomyślała Jennifer. Gwen spotkała tu mężczyznę swego życia. Ena Witty znalazła chłopaka... Jak tak dalej pójdzie, dyrekcja szkoły może zaczniesz czerpać z tego zyski!

- Jako że jestem teraz z Eną, mogłem wziąć dziś udział w uroczystym zakończeniu - powiedział Stan. - Przez ostatnie tygodnie często też gawędziliśmy z Gwen. Jak sądzisz, Ena, czy nie zaprosilibyśmy kiedyś Gwen i Jennifer do nas?

- *Do nas?* - spytała zaskoczona Ena.

- Skarbie, znów robisz wielkie oczy. Myślę, że to oczywiste, iż któregoś dnia przeprowadzisz się do mnie, a wtedy zaprosimy naszych drogich przyjaciół *do nas!* - Roześmiał się głośno i serdecznie, po czym zwrócił się do obu kobiet. - Dla Eny to wszystko pewnie dzieje się trochę za szybko. Jutro z rana ruszamy do Londynu, do niedzielnego południa zatrzymamy się u moich rodziców. Chcę im przedstawić Enę.

Gwen i Jennifer wymieniły krótkie spojrzenia. Obie odniosły wrażenie, iż Ena nie jest całkiem zadowolona z planów Stana, ale nie ma odwagi mu o tym powiedzieć.



Po chwili uśmiechnęła się i wyznała: - Miło, że nie jestem już sama. - Jennifer zrozumiała wówczas, że to właśnie osamotnienie, jakiego doświadczała ta kobieta, stanowi najważniejszy motyw spajający całą grupę, o wiele istotniejszy niż wszelkie ich problemy, niż nieśmiałość, niewiara w siebie czy jakiegokolwiek fobie. Ludzie spotykający się na takich kursach zwątpili przede wszystkim w sens samotności. Kobiety takie jak Ena żyły samotnie, gdyż nie potrafiły zwrócić na siebie niczyjej uwagi i nie nauczyły się, jak pokazać światu swe talenty, uzdolnienia, zalety. Kobiety takie jak Gwen ograniczały się do jednej tylko roli, zostały przez nią niejako zablokowane i w pewnej chwili zrozumiały, że życie przemija obok nich w coraz szybszym tempie. Tęskniły za ucieczką od długich, cichych, melancholijnych weekendów oraz niekończących się wieczorów spędzanych przed telewizorem.

- Zadzwonimy do was jeszcze z zaproszeniem - powiedział Stan.

Pożegnali się, po czym Jennifer i Gwen ruszyły w kierunku przystanku autobusowego. Karma dla psów sporo ważyła, ale Gwen wcale się nie skarżyła, pomagając dźwigać torby. Mogły wziąć samochód Chada albo Colina, Gwen jednak, choć miała prawo jazdy, nie lubiła prowadzić i tylko w razie konieczności siadała za kierownicą.

A Jennifer...

- Może po prostu spróbujesz? - zapytał w południe Colin. - Może będzie lepiej, niż myślisz.

Potrząsnęła głową. - Nie. Nie potrafię. Nie dam rady. To znaczy... zwyczajnie już sobie nie ufam, a przecież tyle się może zdarzyć...

Nie nalegał. Wiedziała, że Colin pragnie, by ze wzmożonym zapałem pracowała nad odzyskaniem dawnego zaufania do samej

siebie, czasem jednak miała wrażenie, że zbyt długo z tym zwlekała i już nigdy nie zdoła zebrać w sobie dość odwagi. Uznała zresztą, że prowadzi już poniekąd normalne życie. Nie odważyła się więcej sięgnąć za kierownicą samochodu, była też trochę nieufna i stroniła od ludzi. Nie została jednak sama. Miała Colina i psy. Wakacje u Chada i Gwen. Była zadowolona. Zapanowała nad swymi depresjami. A jeśli nawet czasem powracały, łykała tabletkę, choć zdarzało się to najwyżej raz na tydzień. Nie była uzależniona od lekarstw, jak to próbowano w tamtym czasie insynuować.

O tym jednak nie wolno jej było myśleć. O całym tym błocie, jakim ją wówczas obrzucono. To było dawno temu. Inny czas, inne życie.

Znalazła dla siebie nowe miejsce.

Musiała tylko zostawić za sobą to dawne. Nie upiększać go dłużej ani za nim nie tęsknić. To nie dzieje się z dnia na dzień, o czym zdołała się boleśnie przekonać. Lecz kiedyś z pewnością jej się uda.

A wtedy wszystko się ułoży.

## 2.

- Ma pan gościa, czeka w pokoju - powiedziała Mrs Willerton, gospodyni, kiedy Dave otworzył drzwi i wszedł do wąskiego przedpokoju, którego ściany obwieszane były kiczowatymi rysunkami zwierząt. - To Miss Ward. Pańska... no cóż... czy jest już pańską byłą dziewczyną czy jeszcze nie?

- Przecież mówiłem pani, żeby pod moją nieobecność nikogo nie wpuszczać do mojego pokoju - odparł gniewnie Dave, po czym, nie czekając na dalsze pytania, ruszył stromymi schodami na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Że też musi wynajmować tu pokój i ciągle mijać się z tą wścibską babą. Mrs Willerton

okazywała niezwykle zainteresowanie życiem uczuciowym Dave'a, pewnie dlatego, że jej własne, jak sądził, skończyło się kilka dekad temu. Mr Willerton, jak mu któregoś dnia wyznała zawstydzona, już przed dwudziestu laty uciekł od niej razem ze swą narzeczoną z fanklubu miłośników motocykli Harley-Davidson.

Dave doskonale go rozumiał.

Był zmęczony. Przez dwie godziny prowadził zajęcia z francuskiego i musiał znosić okropną wymowę, jaką tuzin gospodyń domowych w średnim wieku z północnego Yorkshire kaleczyło język, który on sam uwielbiał ze względu na jego melodyjne brzmienie. Coraz mocniej tęsknił za tym, by rzucić to wszystko. Jego życie było w tej chwili nazbyt męczące, zbyt skomplikowane, zakręcone, a do tego jeszcze obciążone nieustannym rozmyślaniami o tym, czy nie zamierza właśnie popełnić strasznego błędu. Karen Ward, dwudziestojednoletnia studentka, z którą pozostawał w związku przez półtora roku, była ostatnią osobą, jaką chciał tego wieczora spotkać.

Wszedł do pokoju. Jak zwykle panował w nim niemały bałagan. Łóżko było niezasłane, na krześle leżało parę porzuconych w nieładzie ubrań. Na stole przy oknie widniały pozostałości po obiedzie - tekturowe pudełko z resztkami dania z ryżu, zakupionego w pakistańskiej budce. Tuż obok stała opróżniona do połowy, niedbale zakorkowana butelka białego wina. Karen złościła się, że czasem popijał alkohol już w południe. Przynajmniej takich wymówek nie będzie musiał w przyszłości znosić.

Karen przycupnęła na zydłu przy brzegu łóżka. Miała na sobie ciemnozielony golf oraz bardzo obcisłe dzinsy, okrywające jej piękne, długie nogi. Jasne zmierzwiłone włosy opadały luźno na ramiona. Dave znał ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że z rana

poświęcała sporo czasu, by uzyskać tak bezpretensjonalny wygląd. Ani jeden kosmyk nie leżał inaczej, niż sobie tego życzyła. Również prawie niewidoczny makijaż był efektem żmudnych zabiegów.

Kiedyś bardzo go fascynowała. Nigdy jednak nie żywił do niej nic więcej prócz podziwu dla jej świetnego wyglądu. Widocznie nie była to wystarczająca podstawa naprawdę trwałego związku.

Poza tym była po prostu za młoda.

Zamknął za sobą drzwi. Szedł o zakład, że pani Willerton stoi na dole w przedpokoju i nadstawia uszu.

- Witaj, Karen - powiedział jakby od niechcenia.

Podniosła się z miejsca, jak gdyby oczekiwała, że podejdzie do niej i przynajmniej na chwilę weźmie w ramiona. On jednak nie wykonał żadnego ruchu. Stał przy drzwiach, nie zdjął nawet kurtki. Nie chciał dać po sobie poznać, że jest gotowy na dłuższą rozmowę.

- Witaj, Dave - rzekła w końcu Karen - wybacz, że tak po prostu... - Nie dokończyła zdania. Dave nie był na tyle uprzejmy, żeby przyjąć jej przeprosiny za niespodziewane najście. I tak wiedział, że są nieszczerze.

Milczał.

Karen rozejrzała się po mało przytulnym pokoju z wyrazem bezsilności na twarzy.

- Wygląda jeszcze gorzej niż ostatnio - zauważyła.

Cała Karen. Zawsze musiała zrzedzić. Że pił za dużo wina albo że zbyt rzadko sprzątał, za długo sypiał, okazywał zbyt mało ambicji i tak dalej, i tak dalej.

- Minęło już trochę czasu, od kiedy byłeś tu ostatni raz - odparł.  
- Od tamtego dnia nikt po mnie nie sprzątał. - I bardzo dobrze, dorzucił w myślach.

Jego odpowiedź była błędem; zaraz to sobie uświadomił, słysząc nieco uszczypliwą ripostę Karen: - Zależy, jak na to spojrzeć, Dave. O ile sobie przypominam, moja ostatnia wizyta miała miejsce dokładnie przed tygodniem.

Idiota. W zeszłym tygodniu także palnął podobne głupstwo, choć przyrzekł sobie, że w obecności Karen nigdy więcej mu się to nie przydarzy. Poznał ją przypadkiem w pubie, kiedy późnym wieczorem włóczył się po knajpach - w Newcastle Packet, w pobliżu portu, gdzie do niedawna dorabiała jako kelnerka. Zaczekał, aż skończy pracę. Wypili razem kilka drinków, po czym zabrał ją do swojego pokoju. Kochali się namiętnie i bez zahamowań, jak sobie niejasno przypominał. Od kiedy z nią zerwał pod koniec lipca, spotkali się jeszcze kilka razy, ot, zwyczajnie dlatego, że lubił z nią gawędzić, śmiać się i kochać. Musiał się też czasem oderwać od nudnego, nieciekawego towarzystwa Gwen. Nie było to jednak fair w stosunku do Karen, złościło go, że znów zaczyna tracić siłę woli. Nic dziwnego, że Karen odzyskała nadzieję, iż Dave do niej wróci.

- No więc, po co tu na mnie czekałaś? - spytał, choć dobrze znał odpowiedź.

- Nie domyślasz się?

- Szczerze mówiąc: nie.

Spojrzała na niego z takim wyrzutem, jakby ją spoliczkował. Dave zebrał się w sobie. - Karen... przykro mi z powodu zeszłego tygodnia. Jeśli... to dlatego tu jesteś. Wypiłem kilka kieliszków za dużo. Ale nic się nie zmieniło. Między nami wszystko skończone.

Wzdrygnęła się nieznacznie, słysząc jego słowa, lecz nie straciła panowania nad sobą. - Kiedy w lipcu ze mną zerwałeś, z dnia na dzień zresztą, chciałam wiedzieć tylko jedno. Pamiętasz? Chciałam wiedzieć, czy to przez inną kobietę.

- Tak. I?

- Twierdziłeś, że nie ma żadnej innej. Nasze rozstanie miało związek wyłącznie z nami.

- Wiem, co wtedy powiedziałem. Czemu do tego wracasz?

- Bo... - Zawahała się. - Bo tymczasem kilka osób mi doniosło, że kogoś jednak masz. W ostatnich tygodniach wielokrotnie widywano cię z inną kobietą. Podobno nie jest już taka młoda, a do tego trochę niepozorna.

Nie znosił tego rodzaju rozmów. Czuł się jak na przesłuchaniu.

- A jeśli nawet? - wycodził agresywnie. - Gdzie jest napisane, że po romansie z tobą już nigdy nie będzie mi wolno spotykać się z inną kobietą?

- Trwający półtora roku związek nazywasz romansem?

- Nazwij to, jak chcesz. W każdym razie...

- W każdym razie nie wierzę, że ta twoja... znajomość jest całkiem nowa. Rozstaliśmy się 25 lipca. Dzisiaj mamy 10 października.

- Tak. Niedługo miną trzy miesiące.

Spojrzała na niego wyczekująco. Został zapędzony w kozi róg, czuł, jak wzbiera w nim złość. Jeszcze to... I bez tego miał dość spraw na głowie... Jakby życie nie dawało wystarczająco dużo powodów do gniewu.

- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć - powiedział chłodno.

Jej wargi zadrżały.

Chryste, tylko niech nie zacznie ryczeć, pomyślał zdenerwowany.

- Po ostatnim tygodniu... - zaczęła łamiącym się głosem. Natychmiast jej przerwał:

- Zapomnij o zeszłym tygodniu! Byłem pijany. Powiedziałem już, że jest mi przykro. Co jeszcze chcesz usłyszeć?

- Kim ona jest? Mówią, że jest ode mnie znacznie starsza.

- Kto tak mówi?

- Ludzie, którzy widzieli was razem. Moi koledzy.

- Tak, jest starsza od ciebie. I co z tego?

- Ma prawie czterdziestkę!

- A jeśli nawet? Pasuje do mnie. W końcu też mam czterdziestkę na karku.

- A więc to prawda.

Nie odpowiedział.

- Zawsze miałaś tylko bardzo młode dziewczyny - rzekła zrozpaczona Karen.

Młodość. Jedyne, co miała do zaoferowania.

- Może już pora, bym zmienił swe życie - odparł.

- Ale...

Rzucił na stół aktówkę, którą przez cały ten czas trzymał w ręce.

- Dość tego, Karen. Przestań się upokarzać. Jutro będziesz tego gorzko żałować. Między nami wszystko skończone. Istnieje mnóstwo mężczyzn, których zainteresuje taka ładna dziewczyna jak ty. Po prostu zapomnij o mnie i nie martw się.

Popłynęły pierwsze łzy. Karen znów osunęła się na zydel, na którym przysiadła w oczekiwaniu na niego. - Nie potrafię o tobie zapomnieć, Dave. Nie potrafię. I myślę... że tak naprawdę ty też nie możesz o mnie zapomnieć, bo inaczej... w zeszłym tygodniu...

- Że co? Nie kochałbym się z tobą? O to ci chodzi? Do diabła, Karen, wiesz przecież, jak to jest!

- Ta twoja nowa jest zupełnie nieatrakcyjna. Może nie sypiasz z nią tak chętnie jak ze mną.

- To chyba moja sprawa. - Był coraz bardziej wściekły, bo rzeczywiście trafiła go w czuły punkt. Wprost nie wyobrażał sobie seksu z Gwen, już teraz ogarniał go lęk przed tym zbliżającym się nieuchronnie dniem - albo nocą. Może będzie się musiał kompletnie spać, a wtedy spróbuje sobie wyobrazić piękne ciało Karen.

Lepiej, żeby Karen nigdy się o tym nie dowiedziała.

Zalewała się łzami. - Dzisiaj znowu była u mnie inspektor Almond - szlochała. - Z powodu Amy Mills.

Zrezygnowany Dave zdjął kurtkę. To potrwa trochę dłużej. Podjęła temat, przy którym ostatecznie rozplynie się we łzach. Przynajmniej nie chodziło tu o niego. Niewielki postęp. Gdyby tylko nie był tak zmęczony, zniechęcony, przygnieciony problemami.

- A ta czego znowu chciała? - spytał ulegle. Kiedy Karen, zamiast odpowiedzieć, wybuchnęła jeszcze gwałtowniejszym płaczem, wyjął z szafki butelkę wódki, do tego dwa niezbyt czyste kieliszki. - Chodź. Łyknij sobie!

Rzadko pila alkohol i zawsze biadoliła, kiedy on to robił. Tym razem jednak uniosła kieliszek do ust i wypła jednym haustem.

Kazała sobie nalać drugi i opróżniła go w podobny sposób. Przynajmniej na chwilę jej szloch nieco złagodniał.

- Ach, właściwie to znów wypytywała o to samo co poprzednim razem - odpowiedziała Karen. Nawet teraz wyglądała na równie przybitą i zmieszaną jak w lipcu, kiedy morderstwo Amy Mills wstrząsnęło całym Scarborough. - Jestem jedyną osobą, z którą Amy miała jakąś styczność, dlatego ponownie chciała ze mną omówić wszelkie jej zwyczaje, rozkład dnia i takie tam. Ale ja przecież sama niewiele wiem na ten temat. To znaczy... -



Przygryzła wargi. - Amy zawsze wydawała mi się trochę... dziwna. Taka... zamknięta w sobie. Było mi przykro. Na pewno nie byliśmy bliskimi przyjaciółkami.

- I dlatego nie masz sobie nic do zarzucenia - stwierdził Dave. - Zrobiłaś więcej od innych. W końcu byłaś z nią raz czy dwa na kawie, zwierzała ci się ze swoich kłopotów. Chryste, przecież ona nie potrafiła nawiązać kontaktu z innymi. To nie twoja wina.

- Policja nie ma bladego pojęcia, kto to mógł zrobić. Nie mają żadnych śladów, niczego - ciągnęła Karen. - Takie przynajmniej odniosłam wrażenie. - Po chwili spytała: - Znasz dobrze Mrs Gardner?

- Chodzi ci o...

- O Mrs Gardner. Kobietę, której dziecko Amy co wieczór niańczyła.

- Linda Gardner. Oczywiście, że ją znam. Ona także uczy języków, zawsze uzgadnialiśmy program naszych kursów. Ale poza tym nie mieliśmy z sobą żadnego kontaktu.

- Prowadziła zajęcia w tamten wieczór, kiedy zamordowano Amy.

Wieczór, kiedy poznał Gwen i odwiózł ją do domu. Jak dobrze go pamiętał... Aż za dobrze!

- Zgadza się. Dlatego Amy opiekowała się jej dzieckiem.

- Inspektor Almond poszukuje osób, które o tym wiedziały. Że Amy pracowała u Mrs Gardner. Pytała mnie o to. Powiedziałam, że wiedziałam.

- Nie zaliczasz się raczej do grupy podejrzanych.

- Chciała wiedzieć, czy znam ludzi, którzy także o tym wiedzieli.

- Spojrzała na niego wyczekująco.

Powinna od razu powiedzieć, o co jej chodzi, pomyślał ze złością. Nie cierpiał, jak ciągle krążyła wokół sedna sprawy.

- Tak? I co?

- Nie powiedziała jej, że wydaje mi się, że ty także o tym wiedziałeś.

- A to dlaczego?

Miał teraz wrażenie, jakby na niego czyhała. - Dave... nie chciałam narobić ci kłopotów. Miałaś wtedy wolny wieczór. I pewnie sobie przypominasz, że dzień później strasznie się pokłóciliśmy, bo nie przyszedłeś na spotkanie i nie chciałeś mi powiedzieć, co się właściwie stało.

To chyba oczywiste. Miał jej powiedzieć o wyjeździe do Staintondale? I, siłą rzeczy, o wszystkim, co z tego wynikło?

Zmusił się do zachowania spokoju, choć nerwy mu puszczały. - Zawsze irytował mnie sposób, w jaki chcesz mnie kontrolować. Być może to jeden z powodów naszego rozstania.

- Wiedziałeś o tym? Że Mrs Gardner zatrudniała studentkę?

- Może mi kiedyś o tym wspominała. I co z tego? Myślisz, że zacząłem się w parku na Amy i ją zabiłem?

Karen zaprzeczyła ruchem głowy. - Nie.

Wyglądała na zmartwioną i zmęczoną. Z pewnością nie z powodu losu koleżanki, którą ledwie znała. I pewnie nie dlatego, że policja miała najwyraźniej trudności z wyjaśnieniem tej sprawy. Oto jej związek z Dave'em rozpadł się. Zmroziło go poczucie winy. Wzbierała w nim złość. Nie chciał dźwigać tego ciężaru.

- A zatem... - odezwał się.

Sięgnęła po torebkę. Nie potrafiła odwlekać dłużej pożegnania.

- A zatem - powtórzyła. Jej głos zabrzmiał matowo.

Skrzywił się. - Przykro mi, że tak się to potoczyło. Naprawdę.

Jej oczy znów wypełniły się łzami. - Ale dlaczego, Dave? Po prostu tego nie rozumiem.

Bo kompletnie zwariowałem, pomyślał, bo robię coś zupełnie idiotycznego. Bo chciałbym wreszcie zacząć nowe życie. Bo widzę przed sobą tylko jedno wyjście. Bo mogę pójść tylko *tą jedną* drogą.

Wiedział, że nie znosiła, kiedy odpowiadał wytartymi frazesami, a jednak tak właśnie zrobił.

- Niektórych spraw po prostu nie rozumiemy. Ale musimy się z tym pogodzić.

Otworzył jej drzwi. W przedpokoju na dole zaskrzypiała podłoga. Gospodyni, która przez cały czas stała przy schodach, uciekła w popłochu.

- Odprowadzę cię na dół - zaproponował Dave.

Znów się rozplakała. Przynajmniej na koniec spróbuje być wobec niej uprzejmy.

### 3.

Siedziały przy butelce wody mineralnej i mnóstwie paczek papierosów. Leslie po raz kolejny uświadomiła sobie, że nigdy nie zdoła przywyknąć do niektórych sprzeczności, jakie kryły się w postępowaniu jej babci. A już na pewno nie do tej jednej: Fiona dymiła jak fabryczny komin, paląc po sześćdziesiąt papierosów dziennie i zupełnie ignorując widniejące na opakowaniach ostrzeżenia, które w dość drastycznych słowach i obrazach przepowiadały jej śmierć w męczarniach, nieodłącznie związaną z przyjemnością palenia. Jednocześnie wzbraniała się skosztować choćby odrobiny alkoholu czy przechowywać w domu bodaj jedną butelkę jakiegoś trunku.

- To absolutnie niezdrowe - powtarzała w kółko - zupełnie ogłupia. Nie będę dobrowolnie niszczyć sobie szarych komórek!

Po długiej podróży samochodem z Londynu na północ Leslie z ochotą odprężyłaby się przy kilku lampkach wina, nie mówiąc już o tym, że po całym tygodniu, który zaczął się dla niej rozwodem, najchętniej porządnie znieczuliłaby się alkoholem. Była wściekła, że nie pomyślała o tym dziwactwie Fiony i nie zabrała z sobą ani jednej butelki.

Siedziały obie w pokoju dziennym przy niewielkim stoliku barowym, przysuniętym pod samo okno. Na zewnątrz zapadły już głębokie ciemności, lecz pomiędzy chmurami, ciągnącymi po nocnym niebie nad Southbay w Scarborough, tu i ówdzie pobłyskiwały gwiazdy. Czasem nawet przezierał blask księżyca. W jego poświacie morze wyglądało niczym mroczna, ponura, mocno falująca masa.

- I co sądzisz o Gwen? - zapytała Leslie.

Fiona zapaliła kolejnego papierosa; to już piąty, od kiedy zjawiała się u niej wnuczka i zajęła pokój gościnny.

- Sprawia wrażenie nieco przytłoczonej tym wszystkim, co ją spotkało. Ale czy jest też szczęśliwa? Tego nie wiem. Jest spięta. Według mnie nie do końca ufa własnemu narzeczonemu.

- Pod jakim względem?

- Może ma wątpliwości co do jego prawdziwych intencji. Nie ona jedna. Jej ojciec i ja uważamy podobnie.

- Znasz Dave'a Tannera?

- Czy go znam? To chyba za wiele powiedziane. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy spotkałam go parę razy na farmie Beckettów. Któregoś dnia nawet zaprosiłam go razem z Gwen do siebie. Wydaje mi się, że były to dla niego nader nieprzyjemne chwile. On nie lubi spotykać się z ludźmi z otoczenia Gwen - choć i tak jest ich niewielu. Być może obawia się, że ktoś go przejrzy.

- Przejrzy? Mówisz, jakby był jakimś...

- Oszustem? Tak właśnie uważam - powiedziała porywczo Fiona. Nerwowo zaciągała się papierosem. - Możemy być z sobą szczerze, Leslie, przecież jesteśmy rodziną. Cenię Gwen. Ma miłe usposobienie. Czasem jednak za bardzo się stara zadowolić ludzi, a to może działać na nerwy - choć bez wątpienia nie da się tego wytłumaczyć złym charakterem. Ma trzydzieści pięć lat i o ile mi wiadomo, w jej życiu nie było jak dotąd mężczyzny, który by się nią bliżej zainteresował. Obie dobrze wiemy dlaczego!

Leslie obróciła się nieznacznie. - Cóż, ona jest...

- Trudno znaleźć kogoś równie niepozornego. Jest śmiertelnie nudna. Czasem wygląda jak prawdziwa oferma. Okropnie się ubiera. Jest strasznie staroświecka, ukształtowała ją tandeta, którą ciągle czytuje. Żyje w jakimś nieistniejącym świecie. Rozumiem, dlaczego mężczyźni omijają ją szerokim łukiem.

- Zgoda, ale być może ktoś poznał jej wnętrze i...

Fiona parsknęła z pogardą. - I co tam znalazł? Gwen nie jest głupia, ale jej edukacja zakończyła się wraz z ostatnim szkolnym dzwonkiem. Nigdy też właściwie nie interesowała się życiem innych. Poczekaj, aż jutro wieczorem poznasz Dave'a Tannera! Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, by zdołał dłużej wytrzymać z kobietą, z którą praktycznie nie będzie miał o czym rozmawiać.

- Myślisz, że...

- Jest wykształcony, inteligentny, interesuje się wszystkim, co się dzieje w świecie. Poza tym to przystojny facet, przed którym niejedne drzwi stoją otworem. Niewątpliwie zmarnował trochę czasu w życiu. I w tym właśnie, moim zdaniem, kryje się cała zagadka.

- Myślisz, że... - powtórzyła raz jeszcze Leslie.

- Wiesz, z czego ten człowiek się utrzymuje? Prowadzi wieczorowe kursy językowe dla gospodyń domowych. A przecież może się pochwalić maturą i studiami z zakresu nauk politycznych, choć przerwał je przed złożeniem końcowego egzaminu. Zamiast tego zaangażował się w ruch na rzecz pokoju, robiąc przy okazji mnóstwo idiotycznych rzeczy, które nie zaprowadziły go daleko. Obecnie ma czterdzieści trzy lata i wynajmuje umeblowany pokój, bo na nic więcej go nie stać. I jest z tego cholernie niezadowolony.

- Sporo o nim wiesz.

- Chętnie zadaję bezpośrednie pytania. A na podstawie odpowiedzi, jakie otrzymuję, oraz tych, których nie otrzymuję, tworzę sobie pewien obraz. Dość często nie jest on całkiem błędny.

Student bez dyplomu, pacyfista, ekoaktywista - nieźle to wszystko wygląda jak na stosunkowo młodego jeszcze człowieka. Życie ciekawe i z całą pewnością bardziej ekscytujące niż mieszczańska egzystencja. Ale któregoś dnia wszystko to się wywraca. Kiedy człowiek się starzeje. Kiedy mieszkanie w akademiku oraz spotkania na niekończących się marszach protestacyjnych przestają do człowieka pasować. Wydaje mi się, że Tanner już od dawna jest z tego powodu niezadowolony, lecz teraz dopadł go jeszcze klasyczny *midlife crisis*. Panikuje, bo to dla niego ostatni dzwonek, by stworzyć sobie uporządkowane życie z pewnym, stałym dochodem. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że jest to człowiek nieco zdesperowany. Nawet jeśli nie daje tego po sobie poznać.

- Fiona, czy ty wiesz, co mówisz?

- Owszem. I na dobrą sprawę należałoby powiedzieć o tym również Gwen.

Leslie przygryzła wargi. - Wykluczone, Fiona. To by ją... To niemożliwe!

- A czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie czeka ją życie? - krzyknęła Fiona. - Ten facet uwije sobie na farmie przytulne gniazdko i w błogim spokoju zaczeka, aż Chad pożegna się z tym światem, co zresztą może niedługo nastąpić. Nie wątpię, że wkrótce potem przedstawi mnóstwo dobrych pomysłów, jak by tu przekształcić farmę w naprawdę atrakcyjną propozycję dla wczasowiczów. Być może wykaże też dość zapału, by zrealizować swe plany i rzeczywiście zrobić coś z tą posiadłością. Sposób, w jaki Chad i Gwen prowadzą obecnie te swoje usługi *bed&breakfast*, jest doprawdy żałosny, on zaś z całą pewnością zdoła umiejętnie rozruszać całe to przedsięwzięcie. Ale w małżeństwie chodzi przecież o coś więcej, prawda? Idę o zakład, że on będzie bezczelnie zdradzać Gwen. Powetuje sobie wszystko ze studentkami z kampusu Scarborough. Któregoś dnia Gwen go przyłapie, a wtedy jej świat wywróci się do góry nogami! Czy możemy do tego dopuścić?

- Przecież *sama* tak postanowiła.

- Bo sądzi, że nie ma innego wyboru. Od lat wyczekuje na księcia, który zjawi się na białym rumaku i uniesie ją do swego zamku. No i w końcu się zjawił, choć nie na białym koniu, tylko w najbardziej zdezelowanej kupie zardzewiałego złomu, jaką w życiu widziałam. Ale co tam. Jest samiuteńki jak palec, a przez to zyskuje w oczach Gwen. Tak bardzo, że ona tłumi w zarodku wszelkie budzące się w niej odruchy sprzeciwu - a że się u niej pojawiają, nie mam co do tego wątpliwości.

- Przez telefon jej głos brzmiał inaczej. Swobodniej. Radośniej. Bardzo mnie to ucieszyło.

- Na pewno ta historia dodała jej skrzydeł. Psiakrew, Leslie - Fiona gwałtownym ruchem zgaszyła papierosa - myślisz, że zależy mi na tym, by powiedzieć Gwen prawdę? Oczywiście, że nie! Nikomu na tym nie zależy. To skomplikowana sytuacja.

- Może to nie nasza sprawa, Fiona. Nawet nie jesteśmy z nią spokrewnione.

- A jednak Gwen ma tylko nas. Jej ojciec nie przepada za Tannerem, ale nie będzie się w to mieszał. Zawsze miał do niej słabość.

Nigdy by się nie odważył robić jej trudności, i to akurat teraz. Ale ja... zawsze widziała we mnie kogoś w rodzaju zastępczej matki. Zawsze mi ufała. Chciałabym... - Urwała nagle, nie wyjawiając, czego pragnęła, być może nazbyt wyraźnie uświadomiła sobie próżność tej myśli. Zamiast tego uważnie przyjrzała się wnuczce. - A co u ciebie? Jak się czuje... świeżo upieczona rozwódka?

Leslie wzruszyła ramionami. - Do samotności zdążyłam już przywyknąć. Rozwód był tu tylko formalnością.

- Na szczęśliwą to ty nie wyglądasz!

- A czego się spodziewałaś? Chciałam spędzić ze Stephenem resztę życia. Chcieliśmy mieć dzieci... Nie planowałam przeprowadzać się w wieku trzydziestu dziewięciu lat do małego mieszkanka w sam raz dla pracujących singli, i zaczynać wszystkiego od początku.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego od niego odeszłaś! Tak dobrze do siebie pasowaliście. Mój Boże, któregoś dnia za dużo wypił i wskoczył do łóżka z jakąś młódką, której imienia nazajutrz już nie pamiętał... I z tego powodu musiałaś wszystko przekreślić?



- Zawiódł moje zaufanie. Wcześniej nie sądziłam, że może być aż tak źle. Ale utrata zaufania kładzie się cieniem na całym codziennym życiu. Wszystko się zmieniło. Nie mogłam tego... nie mogłam go dłużej znieść.

- W takich sprawach każdy musi sam decydować - odparła Fiona.

- No właśnie - przytaknęła Leslie. - Także Gwen. Fiona, to przecież jej życie. Jest dorosła. Dave Tanner to człowiek, którego zdecydowała się poślubić. Musimy respektować jej wybór.

Fiona mruknęła coś pod nosem. Leslie nachyliła się ku niej.

- Pomówmy o tobie, Fiona. Nie wyglądasz najlepiej. Rzadko kiedy byłaś taka blada. Schudłaś. Czy wszystko w porządku?

- Oczywiście, że wszystko w porządku. Niby co by miało nie być? Jestem już staruszką. Nie oczekuj, że z każdym dniem będę coraz bardziej rumiana i młodsza. W życiu mam już z górki. Niestety.

- W tak pesymistycznym nastroju jeszcze cię nie widziałam.

- Nie jestem pesymistką, jestem po prostu realistką. Nadeszła jesień, dni są często chłodne i przesycone wilgocią. Czuję to w kościach. To normalne, Leslie. To zupełnie normalne, że nie jestem już taka, jaką mnie dawniej znałaś.

- Na pewno nic cię nie trapi?

- Na pewno. Posłuchaj, Leslie, nie martw się o mnie. Dość masz własnych spraw na głowie. A teraz - podniosła się z miejsca - chodźmy spać. Późno już. Muszę nabrać sił, jeśli jutro mam przeżyć te huczne zareczyny w idyllicznej scenerii farmy Beckettów - tym bardziej że mam świadomość, że będzie to początek prawdziwej tragedii!

- A *jednak* jesteś pesymistką - uśmiechnęła się Leslie, spoglądając za wychodzącą z pokoju babką. Dobrze znała Fionę.

Lepiej niż kogokolwiek na świecie.  
Była pewna, że coś jest nie tak.

## Sobota, 11 października

1.

- Ale przecież już mnie pani o to wszystko pytała - żaliła się Linda Gardner. Jej głos świadczył o tym, że była nie tyle rozdrażniona, ile raczej zmęczona. Właśnie wybierała się z córką na zakupy, gdy zadzwoniła inspektor Almond z pytaniem, czy mogłaby wpaść do niej na chwilę. To ta niska, oschła policjantka, z którą rozmawiała w lipcu przez kilka godzin. Koszmar natychmiast powrócił. Rzadko zupełnie ją opuszczał.

- Wiem - odparła Valerie Almond. Siedziała naprzeciw Lindy w jej pokoju dziennym. Zdawała sobie sprawę, jak bardzo ciążyła tej młodej kobiecie jej ponowna wizyta. - Mrs Gardner, muszę przyznać, że w sprawie tego okropnego morderstwa Amy Mills nadal drepczemy w miejscu. Dlatego ponownie analizujemy wszystko, czym dysponujemy - niestety, nie ma tego zbyt wiele. W nadziei, że coś przeoczyliśmy. Albo że ktoś z przesłuchiwanym coś jeszcze sobie przypomni. Coś, o czym zapomniał nam powiedzieć. Już nieraz dochodziło w ten sposób do przełomu w śledztwie.

Linda wyjrzała przez okno, jakby szukała tam czegoś, czego mogłaby się ucześcić. Świetlisty błękit nieba, złocisty dzień październikowy. - Tylko że... wciąż mam okropne wyrzuty - powiedziała cicho. - Gdybym tak nie goniła za rozrywkami, gdybym zupełnie nie straciła poczucia czasu... może Amy wciąż by żyła. Wie pani, od kiedy mój mąż nas zostawił, co dzień zmagam się z trudnościami. Sama, z malutkim dzieckiem, nie mam zbyt wielu

możliwości. Często czuję się, jakby ktoś przywiązał mnie łańcuchem do tego mieszkania. Do dziecka. Wieczorny kurs francuskiego był dla mnie czymś szczególnym. Kobiety i mężczyźni w moim wieku, z którymi po zajęciach mogłam pójść do pubu. Skosztować wina, pośmiać się, porozmawiać... wiedząc, że mała jest w dobrych rękach Amy. Na opiekunkę mogłam sobie pozwolić najwyżej raz w tygodniu. Środowe wieczory były... czekałam na nie przez cały długi tydzień.

- Mówi pani w czasie przeszłym - zauważyła Valerie. - Zarzuciła pani prowadzenie kursu?

- Nie. Ale przestałam wychodzić po zajęciach z kursantami. Nie potrafiłabym. - Jej oczy wypełniły się łzami. Zaciśnęła wargi, żeby zebrać się w sobie.

Valerie spojrzała na nią ze współczuciem. - Proszę nie robić sobie wyrzutów. Wcale nie wiemy, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby wróciła pani do domu o umówionej porze.

- Ale przecież ten... ten morderca był w Esplanade Gardens w tym samym czasie, gdy pojawiła się tam Amy. Gdyby wcześniej...

- To tylko jedna z hipotez - przerwała jej Valerie. - Włóczący się po parku kryminalista napotyka przypadkową ofiarę. Według innej ktoś celowo obserwował Amy Mills. Nadal nie wiadomo, dlaczego przejście zostało zabarykadowane dwoma budowlanymi parkanami. Tamtego dnia rozmawialiśmy z robotnikami zatrudnionymi na pobliskiej budowie. Przysięgali, że żaden z nich nie ustawił parkanów w tym miejscu. Również zarząd parku nic o tym nie wiedział. Nie było powodu, by zamknąć tę drogę, wszystko było w najlepszym porządku. Oczywiście mógł to być zwyczajny figiel jakichś durnych wyrostków. Równie dobrze jednak ktoś mógł rozmyślnie zagrozić Amy przejście. Nie miała wyboru, musiała

pójść okrężną drogą przez park. Tam zaczął się na nią morderca, być może widział, jak przechodzi przez most. To mogło się wydarzyć nawet i dwie godziny wcześniej. Być może pani spóźniony powrót do domu spowodował jedynie, że sprawca musiał dłużej czekać.

- Jeśli to wszystko było zaplanowane...

- W każdym razie nie możemy tego wykluczyć. Dlatego pytałam panią, kto jeszcze wiedział, że Amy u pani pracuje.

Linda Gardner sprawiała wrażenie zmieszanej. - Ale... o co mogło tej osobie chodzić? To znaczy... przecież to nie było morderstwo na tle seksualnym, prawda? Pieniądzy sprawca też nie zabrał. Nie mówiąc o tym, że Amy i tak prawie żadnych nie miała.

- Prawdziwy szaleniec może zabić z wielu powodów - odparła Valerie. Widząc przygnębioną minę swej rozmówczyni, nie wspomniała o tym, że kiedy ujrzała zmasakrowane zwłoki Amy Mills, nabrała przekonania, iż motywem tego zabójstwa musiała być nienawiść. Albo osobista zawzięta nienawiść do Amy Mills, albo też ogólna, nie mniej gwałtowna agresja w stosunku do wszystkiego, co kobiece.

Znów wróciła do początkowego pytania: - Kto jeszcze wiedział o tym, że Amy Mills pracowała u pani? - Spojrzała w notatki.

- Podczas przesłuchania w lipcu wymieniła pani swych uczniów uczęszczających w każdą środę na kurs francuskiego. Powiedziała pani wówczas, że było ich w sumie ośmioro. Sześć kobiet i dwóch mężczyzn. W tamtą środę wszyscy byli obecni.

- Tak. Ale...

- Rozmawialiśmy z tymi ludźmi. Rzeczywiście, nic nie wskazuje na to, by ktokolwiek z nich miał z tym coś wspólnego, nie chciałabym jednak w tej chwili wykluczać żadnej z opcji. Czy jest ktoś jeszcze?

Linda zamyśliła się. - Stara kobieta mieszkająca piętro niżej mogła o tym wiedzieć. Ale nie jestem tego pewna. To znaczy, nigdy jej o tym nie wspominałam, jednak sama mogła się domyślić, widząc Amy przechodzącą obok jej mieszkania.

- Jak się nazywa ta kobieta?

- Copper. Jane Copper. Ale to absurd, żeby ją podejrzewać. Jest niska, wątła, niedługo skończy osiemdziesiąt lat.

- Mieszka sama? Czy krewni albo znajomi często ją odwiedzają? Może syn? Wnuk? Ktokolwiek?

- O ile mi wiadomo, ona nie ma nikogo. Wygląda na bardzo samotną.

Valerie zanotowała nazwisko Jane Copper, nie miała jednak złudzeń co do jej osoby.

- Mój były mąż wiedział - powiedziała nagle Linda. - Tak, mówiłam mu o tym.

- Gdzie mieszka pani eks?

- W Bradford. Czyli nie tak znów blisko stąd. Ale on nie znał Amy, nie znał nawet jej nazwiska. Kiedyś opowiadałam mu przez telefon, że uczę francuskiego, by dorobić trochę grosza, a on spytał, co w tym czasie robię z małą. Wyjaśniłam mu, że znalazłam do opieki studentkę. Wydaje mi się jednak, że on nawet nie wiedział, że kurs odbywa się we środy. Prawie nie mamy z sobą kontaktu.

- Mimo to chciałabym poznać nazwisko i adres pani męża - odparła Valerie.

Linda podała żądane informacje.

- Dlaczego pani małżeństwo się rozpadło?

Linda wykrzywiła twarz w gorzkim uśmiechu. - Młode dziewczęta. Bardzo młode. Zwyczajnie nie potrafił zostawić ich w spokoju.

- Nieletnie?

- Nie, nie aż tak młode.

Valerie nagryzmołała coś w notatniku. - Tak czy inaczej porozmawiamy z pani mężem. Czy przypomina sobie pani kogoś jeszcze?

- Sama nie wiem...

- Może ktoś z Friarage School? - indagowała Valerie.

Linda zastanawiała się nad tym, z kim właściwie miała jeszcze kontakt. Z nikim nie zaprzyjaźniła się bliżej, nie miała ani czasu, ani możliwości, by nawiązać jakąkolwiek znajomość.

Wtem pojawiła się pewna myśl, wspomnienie, bardzo mgliste... Po zamordowaniu Amy Mills rozmawiała o tej tragedii z wieloma kolegami, przyznając się do tego, że zatrudniała Amy i lekkomyślnie wykorzystywała czas młodej dziewczyny. Ale wcześniej... Wydawało jej się, że już *wcześniej* napomknęła o tym przy jakiejś okazji. W szkole.

Nagle sobie przypomniała. Przystojny mężczyzna, który również uczył francuskiego. Razem uzgadniali pewne kwestie na początku każdego kursu. Podczas pierwszego przesłuchania nie przyszło jej to do głowy.

- Dave - powiedziała - wydaje mi się, że Dave Tanner o tym wiedział.

Valerie nachyliła się ku niej. - Kim jest ten Dave Tanner? - spytała.

## 2.

Od samego początku wieczór zwiastował katastrofę, którą w istocie ostatecznie się zakończył. Wszyscy byli co do tego zgodni. Każdy potwierdzał, że panowała atmosfera, jakby siedziało się na beczce prochu.

Jak zwykle to Fiona nie potrafiła utrzymać języka na wodzy. Taksowała wzrokiem Gwen, unosząc przy tym wysoko brwi. Gwen miała na sobie nad wyraz ładną sukienkę z aksamitu w kolorze brzoskwiowym, ściągniętą w talii czarnym lakierowanym paskiem. Dzięki temu widoczne stało się to, o czym nikt z obecnych dotąd nie wiedział: Gwen miała nadzwyczaj smukłą talię i o wiele zgrabniejszą figurę, niż można by sądzić, patrząc na jej dotychczasowe workowate stroje.

- Śliczna sukienka - przyznała w końcu Fiona. - Nowa? Do twarzy ci w niej!

Gwen uśmiechnęła się, uszczęśliwiona tym komplementem.

- Dave wyszukał ją dla mnie. Uważa, że śmiało mogę podkreślić nieco figurę.

- I ma rację - potwierdziła łagodnie Fiona, by zaraz potem pokazać pazury: - Czy zapłacił też za nią?

Gwen osłupiała.

- Fiona, proszę, to nie powinno cię obchodzić - mruknęła Leslie, dotknięta do żywego.

Dave Tanner zacisnął wargi.

- Nie - odparła Gwen - nie chciałam na to pozwolić.

- Mężczyzna śmiało mógłby podarować czasem swojej przyszłej żonie coś specjalnego - oświadczyła Fiona - ale to oczywiście tylko moje zdanie.

Po tych słowach zapadło kłopotliwe milczenie. Sytuację uratowała w końcu Jennifer Brankley. Pomogła Gwen przy gotowaniu i nakrywaniu do stołu, przez co zyskała status współgospodyni wieczoru.

- Możemy siadać do stołu - zakomunikowała, starając się, by jej głos zabrzmiał radośnie. - Proszę wszystkich o przejście do salonu.



Pokój dzienny służył jednocześnie za jadalnię. Usiedli wokół dużego stołu i prowadzili wymuszoną konwersację. Colin Brankley prawie nie uczestniczył w nużących rozmowach. Obserwując zebranych, myślał sobie: W gruncie rzeczy każdy chciałby stąd uciec.

A najbardziej Dave Tanner.

Colin Brankley pracował w Leeds jako kierownik filii pewnego banku i wiedział, że w powszechnej opinii uchodzi za człowieka pozbawionego fantazji i znajomości ludzkiej natury. Postrzegano go jako bezbarwnego, raczej nudnego urzędasza, żyjącego jedynie swymi bilansami i dokumentami. W rzeczywistości jednak jego pasją były książki, każdą wolną chwilę poświęcał lekturze i bardziej niż ktokolwiek inny pogrążał się w swym własnym, urojonym świecie. Sporo rozmyślał o ludzkich charakterach, z którymi stykał się na kartach powieści, lepiej też znał tajniki ludzkiej duszy, niż można by się spodziewać po człowieku o okrągłej twarzy, przerzedzonych włosach, w okularach o grubych szklach na nosie.

Konsumując pieczeń jagnięcą w sosie miętowym - choć w istocie nie zwracał uwagi na to, co spożywa - w myślach formułował swe spostrzeżenia na temat obecnych przy stole gości.

Chad Beckett, ojciec Gwen. Jak zawsze zatopiony w myślach, stąd niełatwo dało się poznać, co tak naprawdę sądzi o zaręczynach córki z pojawiającym się znikąd, nieco nieprzeniknionym Dave'em Tannerem. Być może niepokoił się o nią, nie był jednak człowiekiem, który dałby temu wyraz nawet w rozmowie w cztery oczy, a już z pewnością nie w większym gronie. Nigdy by też nie próbował pokrzyżować planów własnej córki - nawet wówczas, gdyby chodziło o jej dobro.

Fiona Barnes. Jak zawsze swarliwa, jak zwykle czuła się odpowiedzialna za rodzinę Beckettów, tak za córkę, jak i za ojca. Siedziała obok Chada i od razu pieczołowicie pokroiła mu nieco łykowaty kawałek pieczeni na mniejsze porcje. Również ją Colin poznał dosyć dobrze podczas letnich pobytów u Beckettów. Często przyjeżdżała na farmę, siadała z Chadem w słońcu przed domem albo wyciągała go na spacer po łąkach. Oboje nierzadko się kłócili, lecz były to raczej sprzeczki starych małżonków, podczas których spór przekształcał się nieomal w poufały rytuał, przybierał pewną szczególną formę konwersacji. Fiona Barnes zawsze była traktowana jako *stara przyjaciółka rodziny*, przy czym nikt dokładnie nie wiedział, jak owa przyjaźń się zawiązała ani też jak długo już trwa.

Colin mógłby przysiąc, że Fiona i Chad w pewnym okresie życia stanowili parę zakochanych. Ponieważ Chad bardzo późno się ożenił, Colin przypuszczał, iż jego romans z Fioną miał miejsce wcześniej. Dlaczego nie przekształcił się w trwały związek, tego Colin nie wiedział. Dla osieroconej przez matkę Gwen Fiona dość wcześnie stała się powiernicą; Colin miał wrażenie, że Gwen była do niej bardzo przywiązana i liczyła się z jej opinią. W kwestii zamążpójścia nie pozwalała się jednak odwieść od swego zamiaru, nieważne, jak groźnie brzmiałyby przestrogi Fiony.

Leslie Cramer, mieszkająca w Londynie wnuczka Fiony Barnes. Colin poznał ją dopiero na przyjęciu, ale już wcześniej słyszał o niej co nieco z ust Gwen. Wiedział, że jej małżeństwo rozpadło się całkiem niedawno. Była lekarką. Po wczesnej śmierci matki dorastała pod opieką babki i często towarzyszyła jej podczas odwiedzin na farmie Beckettów. Tym sposobem pomiędzy Leslie i Gwen zawiązało się coś na kształt przyjaźni, choć trudno było sobie

wyobrazić dwie bardziej różniące się kobiety. Leslie wyglądała jak klasyczna nowoczesna karierowiczka, nieco chłodna, zdyscyplinowana, nastawiona na sukces. Zupełnie nie pasowała do staroświeckich, zapuszczonych wewnątrz domu Beckettów. Nawet jej szykowny jasnoszary kostium nie współgrał z wiejskim krajobrazem Yorkshire.

A jednak Colin miał wrażenie, że zaręczynowego przyjęcia Gwen nie traktowała jak przykrego obowiązku, odliczając z zaciśniętymi zębami mozolnie upływające minuty. Od dawna czuła szczerze przywiązanie do Gwen, a nawet do małomównego Chada i jego podupadłej farmy. Za fasadą jej świetnego wyglądu i delikatnego makijażu kryło się osamotnienie, czasem nawet smutek.

Gwen, szczęśliwa narzeczona. Dave Tanner miał rację, brzoskwiniowa sukienka świetnie na niej leżała, dodając jej bladym policzkom różanego blasku. Wyglądała ładniej niż zazwyczaj, sprawiała jednak wrażenie bardzo spiętej. Gwen nie była głupia. Wiedziała, że jej narzeczonego obserwują i oceniają dziś argusowe oczy, i oczywiście wyczuwała awersję, jaką emanowała Fiona, powściągliwość okazywaną przez Leslie, niesmak kryjący się w milczeniu ojca. Z całą pewnością nie o takich zaręczynach marzyła. Starła się podtrzymywać nieskładną rozmowę, wiedzioną, jak się zdawało, przede wszystkim troską, by nazbyt długie milczenie nie skłoniło Fiony do wyrażania kąśliwych uwag czy zadawania niestosownych pytań. Colinowi zrobiło się jej żal, kiedy musiał patrzeć, ile wysiłku ją to kosztuje. Chcąc dodać jej otuchy, posłał jej uśmiech, ona jednak była zbyt zdenerwowana, by go zauważyć.

Obok niej siedział Dave Tanner, jej przyszły mąż. Colin widział go przelotnie już wcześniej, kiedy Dave odwiózł Gwen do domu tym

swoim żalonym gruchotem. Przystojny mężczyzna, któremu jednak nie do końca udawało się ukryć przed wzrokiem innych swe materialne ubóstwo. Jego włosy już dawno winny trafić pod nożyczki dobrego fryzjera, marynarka zaś, sądząc po jej kroju i materiale, pochodziła z taniego stoiska w domu towarowym. Colin uważał, że ten trochę podniszczony, wyświechtany strój całkiem do niego pasował, przydając mu nieco artystycznego sznytu przedstawiciela cyganerii. Wydawało się jednak, że Tanner czuje się z tym nieswojo. Colin, który potrafił głęboko zajrzeć w ludzkie wnętrza, sądził, że w postawie Dave'a Tannera wyczuwa jakąś rozpaczliwą desperację. Ten człowiek znajdował się pod ogromną presją. Czy był zakochany w Gwen? Colin miał co do tego wątpliwości. W swym dążeniu do małżeństwa Tanner kierował się zupełnie innymi motywami, bez wątpienia jednak był zdecydowany uczynić wszystko jak najlepiej. Facet niczego sobie, zawyrokował w myślach Colin.

Fiona Barnes miała z pewnością odmienne zdanie.

Spojrzenie Colina padło na Jennifer, jego żonę. Siedziała przy samym końcu stołu, dzięki czemu miała na oku oba psy, które spały wyciągnięte na kocach tuż obok drzwi. Cal cicho chrapał, podczas gdy Wotan wierzgał we śnie tylnymi łapami. Czasem drapał pazurami o kamienną posadzkę. Jennifer sprawiała wrażenie... zadowolonej. Okoliczność tę Colin uznał za godną uwagi, rzadko bowiem mógł powiedzieć o swej żonie, że jest naprawdę usatysfakcjonowana. Cierpiała na wyraźny syndrom pomocnika, zmagająca się z depresją, zupełnie wypadła z rytmu pracy zawodowej i nie potrafiła przeboleć tego, co uporczywie nazywała swoją *porażką*. Poza tym była dobroduszna i

współczująca, zdawała się zupełnie pozbawiona takich cech jak zawiść czy złośliwość.

Od pierwszego dnia pobytu na farmie czuła się niejako odpowiedzialna za szczęście Gwen. Dave Tanner wzbudzał w niej pewną nieufność, postanowiła wszakże nie słuchać podszeptów strachu. Jennifer najwyraźniej doszła do wniosku, że na obecnym etapie nie wolno Gwen ranić ani zniechęcać, bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Fionę Barnes prawdopodobnie posłałaby najchętniej do diabła.

Kiedy Jennifer podała deser - lody cytrynowe z imbirowymi placuszkami, które sama upiekła - Fiona zwróciła się niespodziewanie do Dave'a Tannera. Sposób, w jaki na niego napadła, mógł sprawiać wrażenie, że przez cały wieczór czekała na ten właśnie moment.

- Czy ma pan może jakąś porządną pracę? - spytała. - Nie mam oczywiście na myśli tych kilku wieczorów w tygodniu, podczas których usiłuje pan nauczyć gospodynie domowe ze Scarborough francuskiego i hiszpańskiego.

Gwen najpierw pobladła, potem poczerwieniała. Wyglądając pomocy, spojrzała w stronę Jennifer, która kosztując łyżeczką lody, zastygła nagle w bezruchu. Colin spostrzegł, iż Leslie Cramer przymknęła na chwilę oczy.

Babka sprawia jej czasem prawdziwą przykrość, pomyślał niemal z ubawieniem.

- Obecnie - odrzekł Dave - zajmuję się wyłącznie prowadzeniem kursów.

Fiona udała zdumienie, choć oczywiście znała odpowiedź.

- I to wypełnia młodemu człowiekowi najlepsze lata życia? Liczy pan sobie czterdzieści trzy lata, prawda? Zamierza się pan ożenić,

założyć rodzinę. Może będzie miał pan z Gwen dzieci. Co pan opowie tym dzieciom o swoim zawodzie? Że prowadzi pan kursy językowe, na dodatek przez... ile to właściwie wieczorów w tygodniu?

- Obecnie to jedynie trzy wieczory - wyjaśnił Dave. Nadal był uprzejmy, sprawiał jednak wrażenie spiętego. - Chętnie uczyłbym częściej - ciągnął - ale niestety brakuje chętnych, by otworzyć kolejne kursy. Tym bardziej że mamy jeszcze drugą nauczycielkę francuskiego, Lindę Gardner, która...

Gwen uznała, że nadszedł moment na zmianę tematu rozmowy.

- Linda Gardner stała się osobą sławną w Scarborough - przerwała narzeczonemu w pół słowa - w smutnych, niestety, okolicznościach. To jej córeczką opiekowała się Amy Mills tamtego wieczora, kiedy została zamordowana.

Leslie natychmiast pospieszyła przyjaciółce z pomocą. - Macie tu w Scarborough morderstwo?

Nim Gwen zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, ponownie wmieszała się Fiona. - W tej chwili - rzekła wyraźnie ostrzejszym głosem - znacznie bardziej interesuje mnie Mr Tanner niż pożałowania godna Amy Mills. Chad - zwróciła się do staruszka, który wpatrywał się w swą porcję lodów cytrynowych z taką nieufnością, jakby wietrzył w nich jakieś zagrożenie - Chad, zadaję tu pytania, które właściwie powinieneś zadać ty. Czy rozmówiłeś się już ze swym przyszłym zięciem?

Chad uniósł wzrok. - Niby w jakiej sprawie?

- No, na przykład na temat jego planów. On przecież zamierza poślubić twoją córkę, twoje jedyne dziecko.

- I tak nie zdołam temu zapobiec - odparł znużonym głosem Chad. - I czemu właściwie miałbym to robić? Gwen jest dorosła.

Sama musi o tym decydować.

- On nie ma pieniędzy, nie ma porządnej pracy. To powinno cię przynajmniej *zainteresować!*

- Fiona, posuwasz się stanowczo za daleko! - krzyknęła ostro Leslie. Jej głos był tak donośny, że obudził nawet Cala i Wotana.

Oba psy uniosły łby, Cal warknął cicho.

- Ona ma rację - powiedział Dave. Spojrzał na Fionę. Ani oczy, ani wyraz twarzy nie zdradzały jego myśli. - Ma pani rację, Mrs Barnes. Nie mam porządnej pracy. Niestety, nie zdołałem ukończyć studiów ani też zdobyć innego wykształcenia. Prowadząc kursy, z trudem wiązę koniec z końcem. Ale nigdy nie ukrywałem tego przed Gwen. Nie zwodzę jej. Nikogo z was.

- Wydaje mi się, że jednak pan to robi, Mr Tanner - odparła spokojnie Fiona.

Gwen wydała cichy odgłos przerażenia.

Jennifer ukryła twarz w dłoniach.

Leslie wyglądała tak, jakby chciała zabić własną babkę.

Nawet Chad poczuł się zmuszony coś powiedzieć. - Fiona, może naprawdę nie powinniśmy się w to mieszać. Zwłaszcza my oboje...

- Co masz na myśli, mówiąc *zwłaszcza my oboje?* - kłapnęła Fiona.

Wyraz jego twarzy, zawsze nieco zagubiony, zmienił się. Spojrzenie stało się klarowne i bezpośrednie. - Przecież wiesz - odparł spokojnie.

- Myślę, że... - podjęła Leslie, lecz przerwał jej Tanner, który nagłym ruchem odsunął krzesło i podniósł się z miejsca.

- Nie wiem, co dokładnie mi pani zarzuca, Mrs Barnes - powiedział. - Nie zamierzam jednak dłużej tolerować sposobu, w jaki mnie pani traktuje, choć podczas tej spokojnej uroczystości

świętujemy moje zaręczyny. Sądzę, że jak na jeden wieczór wszyscy mamy już dość.

- Proszę, Dave, nie odchódź! - błagała Gwen. Była blada jak ściana.

- Mogę panu powiedzieć, co panu zarzucam, Mr Tanner - odparowała Fiona. Colin pomyślał, że ta stara kobieta rzeczywiście nie ma najmniejszego wyczucia chwili, w której należałoby trzymać język za zębami. - Zarzucam panu, że nie kocha pan Gwen Beckett, szczególnie ją pan ceni ani poważa. Zarzucam panu, że poprzez to małżeństwo chce pan zagarnąć dla siebie farmę Beckettów. Zarzucam panu, Mr Tanner, że znalazł się pan w godnej pożałowania, pozbawionej perspektyw sytuacji, z której widzi pan dla siebie jedno jedyne wyjście: małżeństwo z zamożną kobietą. Wie pan doskonale, co można by zrobić z tą farmą, z terenem położonym bezpośrednio nad morzem. Ożenek z Gwen jest dla pana niczym wygrany los na loterii, i pragnie pan tej wygranej za wszelką cenę. Uczucia Gwen, jej przyszłość, to wszystko nie ma dla pana żadnego znaczenia.

Po tych słowach zaległo głucho, przykre milczenie.

Dave Tanner szybkim krokiem opuścił pokój.

Gwen wybuchła szlochem.

Pod wpływem ciepła bijącego od kominka lody w pucharkach powoli się roztopiały. Nikt nie skosztował już ani odrobiny.



## Niedziela, 12 października

### 1.

Krótko po północy wróciła do mieszkania babki, wciąż czując w sobie złość. Była trochę podpita. A nawet dość porządnie podpita, bo jak się sama przekonała, otwarcie drzwi wejściowych kosztowało ją sporo wysiłku. Następnie pomyliła drzwi do mieszkania. Na szczęście w porę zorientowała się, że jest na niewłaściwym piętrze budynku, zanim zdążyła ściągnąć z łóżka zaspanego sąsiada. Teraz stała w mieszkaniu Fiony, wiedząc, że musi łyknąć co najmniej dwie aspiryny, w przeciwnym bowiem razie nazajutrz rzeczywiście poczuje się źle.

Drzwi do sypialni Fiony były zamknięte. Staruszka pewnie już smacznie śpi. Leslie zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna zajrzeć i upewnić się, że wszystko jest w porządku. Nie chciała jednak ryzykować. Fiona w końcu by się obudziła, a wtedy Leslie nie mogłaby za nic ręczyć. Pewnie doszłoby do okropnej kłótni, po której całymi miesiącami nie potrafiłyby nawiązać ze sobą normalnego kontaktu.

Może do rana opadną najgorsze emocje.

Leslie wśliznęła się do łazienki, przetrząsnęła szafkę z lekarstwami i znalazła napoczęte pudełko aspiryny, zawierające jeszcze dwie tabletki. Napełniła wodą kubek do mycia zębów, wrzuciła tabletki. Patrzyła, jak powoli się rozpuszczają.

Przed oczami przemykały jej obrazy tamtego straszego wieczoru.

Chwilę po tym, jak Dave wybiegł z domu, usłyszeli cztery lub pięć daremnych prób uruchomienia samochodu.

Może mu się nie uda i wróci do nas, pomyślała Leslie, lecz miała świadomość, że po takim upokorzeniu zwyczajnie *nie mógłby* wrócić, nawet jeśli musiałby iść do Scarborough na piechotę.

W końcu jednak silnik zaskoczył. Wyjąc niemiłosiernie, samochód odjechał z podwórza. Gwen nie odezwała się ani słowem, wstała i wyszła z pokoju. Usłyszeli na schodach odgłos jej kroków, znużonych, powolnych.

Leslie również się podniosła, lecz Jennifer pierwsza znalazła się przy drzwiach. - Proszę zostać, ja się o nią zatroszczę. - Obrzuciła Fionę chłodnym spojrzeniem. - Może powinna pani odwiedzić swą babcię do domu. - Po tych słowach zniknęła. Oba psy zerwały się z podłogi i sapnąwszy, podreptały w ślad za swą panią.

- Fiona, jak mogłaś... - zaczęła Leslie, lecz Fiona przerwała jej w pół słowa. - Nie chcę teraz wracać do domu. Muszę jeszcze odbyć ważną rozmowę z Chadem. Jedź sama. Wezmę potem taksówkę.

- Jeśli złapiesz tutaj taksówkę...

- Powiedziałam przecież, że muszę coś omówić z Chadem. To może trochę potrwać. A zatem albo zaczekasz, albo pozwolisz, bym wróciła taksówką. - Wstała i dała Chadowi znak, by poszedł za nią. Kipiąc złością, Leslie przyglądała się bezradnie, jak jej babka, narobiwszy swawolnie ogromnego rozgardiaszu, nie tłumacząc się ani słowem i nie pokazując po sobie choćby odrobiny zakłopotania, zajęła się własnymi sprawami. Jakby nic się nie stało. Ot i cała Fiona.

- Nie, nie sądzę, bym chciała poczekać - rzekła z gniewem. - Nie wytrzymam tu już ani minuty.

Fiona wzruszyła ramionami. Leslie kochała swą babkę, wiedziała jednak, że ta potrafi się ukryć za fasadą niepojętej oziębłości i wyniosłości, jeśli nie chce mieć do czynienia z pewnymi ludźmi czy sytuacjami. Nagle przypomniała sobie, ileż to razy, będąc nieznośną dorastającą nastolatką, musiała znosić takie zachowanie Fiony i jak bardzo z tego powodu cierpiała. Stare rany znów zaczynały doskwierać.

Leslie uświadomiła sobie, że to właśnie one skłoniły ją do stwierdzenia, iż nie chce zostać na farmie ani sekundy dłużej.

Nie potrafiła już znieść obecności babki. I dlatego dobrze wiedziała, że nie może wrócić prosto do mieszkania staruszki, gdzie na domiar złego nie znajdzie ani odrobiny wódki czy brandy, którą mogłaby ukoić wściekłość i smutek.

Pożegnała się z Colinem - dziwny to, nieprzenikniony człowiek, pomyślała. Zapewnił ją, że dopilnuje, by Fiona wróciła taksówką. Uspokajała ją świadomość, że Gwen jest pod opieką Jennifer. Wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie. Kiedy w Burniston mijiała jasno oświetlony pub, przyhamowała, skręciła na parking, po czym wysiadła z samochodu. Tego wieczoru The Three Jolly Sailors zapełniali prawie wyłącznie mężczyźni. Ich po części zdziwione, po części dwuznaczne spojrzenia podążały w ślad za obcą kobietą, która podeszła do baru i usiadła na jednym z obitych skórą stołków. W prowincjonalnym Yorkshire kobiety nie chadzały same po knajpach, Leslie było to jednak zupełnie obojętne. Zamówiła podwójną whisky, potem drugą i trzecią, być może doszła jeszcze jedna. Pamiętała dochodzącą z toalet intensywną woń środków dezynfekujących, a także starego uprzejmego barmana, który podsunął jej talerz pełen frytek zapiekanych z serem.

- Powinna pani coś przegryźć - poradził, jednakże widok rozmiękłych frytek i roztopionego sera omal nie przyprawił jej o mdłości. Jakiś mężczyzna próbował ją zagadnąć, lecz ofuknęła go tak agresywnie, że natychmiast oddalił się przerażony. Kiedy o północy wyszła chwiejnym krokiem na parking, zdawała sobie sprawę, że pod żadnym pozorem nie powinna siadać za kierownicą, lecz wcale się tym nie przejęła. W końcu dotarła szczęśliwie do domu, nie napotkawszy policyjnej kontroli ani nie powodując żadnego wypadku.

Do domu... Jej babka zajmowała mieszkanie w olbrzymim, rzucającym się w oczy białym apartamentowcu Prince-of-Wales-Terrace, South Cliff. Był to jeden z najlepszych adresów w Scarborough. Z widokiem na całą południową zatokę. Mimo to Leslie nigdy nie czuła się tam dobrze. Także tej nocy.

Tabletki rozpuściły się całkowicie. Leslie piła małymi łykami. Broniła się przed kacem, który wszystko by jeszcze pogorszył.

Co by pogorszył? Wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Źle, że wieczór skończył się dla Gwen tak fatalnie. Pozostało mieć nadzieję, że Dave Tanner nie zniknął na zawsze. Lecz czy był to powód, prawdziwy powód jej kiepskiego samopoczucia?

Wszystko przez to, że jest taka nieczuła, tak cholernie nieczuła, pomyślała o Fionie. Chciałabym stąd uciec, natychmiast, najlepiej jeszcze dziś w nocy, ale boję się wracać do mojego mieszkania.

Mieszkania, które wypełniała pustka, odkąd odszedł Stephen. Mieszkania, w którym wszystko jej o nim przypominało. Mieszkania, w którym przed dwoma laty legło w gruzach jej życie, miłość, szczęście, poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa, plany na przyszłość.

Ujrzała przed sobą lekko zaczerwienioną twarz Stephena. Usłyszała jego cichy głos. - Muszę ci o czymś powiedzieć, Leslie...

Wtedy pomyślała: Nie mów, lepiej tego nie mów! Przez ułamek sekundy przeczuwała bowiem, że oto zbliża się chwila, która odmieni całe jej życie. Wyczuwała to i chciała powstrzymać, lecz powstrzymać się tego nie dało. Wciąż siedziała na gruzach tamtego wieczoru i nie potrafiła zrozumieć.

Opróżniła szklankę z rozpuszczoną aspiryną. Jesteś pijana, Leslie, powiedziała do siebie, to dlatego jesteś taka sentymentalna. Stephen nie odszedł, to ty go wyrzuciłaś. I postąpiłaś słusznie. W przeciwnym razie wszystko zamieniłoby się w powolne umieranie. Od dwóch lat mieszkasz sama i dobrze sobie radzisz, dlatego jutro wrócisz tam bez trudu. Nie dziś w nocy. W takim stanie jeszcze grzmotniesz w filar jakiegoś mostu.

Wyszła z łazienki i na palcach przemknęła obok pokoju Fiony. Kiedy zamknęła za sobą drzwi własnego pokoju, odetchnęła z ulgą. Przestrzeń wokół niej trochę wirowała, z trudem dostrzegała poszczególne przedmioty.

O jedną whisky za dużo, pomyślała sennie. Może jednak trzeba było zjeść te frytki...

Jakimś sposobem zrzuciła z siebie ubranie, zostawiając wszystko w nieładzie na podłodze, włożyła piżamę i wpełzła do łóżka. Poczowała chłód prześcieradła i kołdry. Drżąc z zimna, zwinęła się w kłębek. Jak embrion.

Doktor Leslie Cramer, radiolog, lat trzydzieści dziewięć, rozwiedziona. Leżała zalana w pestkę w lodowatym łóżku w Scarborough i nikt jej nie ogrzał. Nikt.

Rozpląkała się. Znow pomyślała o swym pustym mieszkaniu w Londynie i zaszlochała jeszcze mocniej. Naciągnęła kołdrę na

twarz, jak to robiła w dzieciństwie. By nikt nie usłyszał jej płaczu.

## 2.

Nie znosił scen jak ta podczas kolacji. Nie znosił, kiedy uczucia wrzały, gdy emocje wymykały się spod kontroli, gdy kobiety płakały, gdy jego własna córka zamykała się w pokoju, gdy wszystko rozsypywało się w proch, on zaś miał przy tym wrażenie, że padają nań pełne wyrzutów spojrzenia, gdyż najwyraźniej oczekiwano, by uczynił coś, co owemu chaosowi położy kres. Oczekiwania tego nie potrafił jednak spełnić, być może w ogóle nie umiał spełniać niczyich oczekiwań i w tym właśnie tkwił zasadniczy problem jego życia.

Chad Beckett miał osiemdziesiąt trzy lata.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w tym życiu już się nie zmieni.

Wybiła piąta nad ranem w niedzielę, lecz dla Chada nie była to bynajmniej nietypowa pora pobudki. W czasach gdy farma jeszcze funkcjonowała, jego ojciec często zrywał z łóżek całą rodzinę o czwartej. Chad nie potrafił zmienić rytmu, w jakim upłynęło całe jego życie. I wcale tego nie chciał. Lubił owe godziny przed nastaniem świtu, kiedy świat wypełniała cisza i senność. Wydawało mu się, że należy on wówczas tylko do niego. O tak wczesnej porze urządzał często wędrówki na plażę, zanurzając się czasem w gęstej mgle, która napływała od morza w stronę lądu i ograniczała widoczność do minimum. Ścieżkę w dół stromego zbocza musiał wtedy pokonywać niemal po omacku, lecz nie stanowiło to dla niego żadnej przeszkody. Znał każdy kamień, każdy konar. Zawsze czuł się pewnie.

Teraz jednak nie mógł już ryzykować. Od trzech lat dokuczało mu biodro, przez co każdy krok był dlań udręką. Do lekarza

wszakże się nie wybrał. Zasadniczo nie miał nic przeciwko lekarzom, nie wierzył jednak, że ktokolwiek może mu w tej kwestii pomóc. W każdym razie na pewno nie obyłoby się bez operacji, sama zaś myśl o pobycie w szpitalu napawała go lękiem. Przeczuwał, że gdyby tam trafił, pewnie by już nie wrócił na farmę, a ponieważ postanowił umrzeć we własnym łóżku, nie opuści teraz, u schyłku życia, swojej ziemi.

Wolał zaciskać zęby.

Dzień będzie słoneczny i pogodny, a to oznaczało, iż znów poczuje się lepiej. Gorsze bywały dni deszczowe, gdy wilgotny ziąb przenikał do kości. Dom był źle ogrzewany, szczególnie zimą pokoje wciąż wypełniała wilgoć. Jego matka wieczorami wkładała do łóżek cegły, które wcześniej całymi godzinami rozgrzewała w kuchni na żeliwnym piecu. Dzięki temu przynajmniej robiło się nieco cieplej, tym bardziej że również prześcieradła nigdy nie były zupełnie suche. Jednakże jego matka dawno już nie żyła, Gwen zaś nigdy nie poznała tego zwyczaju. On sam uważał, podobnie zresztą jak w wielu innych kwestiach, że zajmowanie się tym nie ma obecnie większego sensu. Dotyk wilgotnej pościeli pod wieczór nie był przyjemny, lecz w końcu człowiek zasypiał, a wtedy nie zwracał już na to uwagi.

Nasłuchiwał odgłosów z góry. Wydawało się, że cały dom wciąż jest pogrążony we śnie. Z pokoju Gwen nie dobiegał żaden dźwięk, również u Brankleyów i ich psów nic się nie poruszyło. To dobrze. Po takim wieczorze jak wczorajszy wszyscy działaliby mu tylko na nerwy.

Poczłapał do kuchni, by zaparzyć sobie kawy, zawrócił jednak, widząc od progu panujący w tym małym pomieszczeniu bałagan. Jako że Jennifer przez cały wieczór zajmowała się Gwen, a później

wyprowadziła jeszcze psy, pewnie to Colin uprzątnął stół, uznał jednak, że wypełnił swe zadanie, zbierając jedynie talerze i szklanki oraz przenosząc żywność do kuchni. Naczynia piętrzyły się na stole i kredensie, wypełniały zlew po brzegi. Resztki zupy, pieczeni i warzyw lepiły się w garnkach, których nikt nie nakrył. Nieprzyjemnie pachniało.

Chad postanowił zrezygnować na razie z kawy.

Powoli przeszedł do niewielkiego pokoju obok salonu, który służył jemu i Gwen za swego rodzaju biuro. Farma nie wymagała jeszcze prowadzenia biura z prawdziwego zdarzenia. Umieścili tam jednak komputer, który mimo oporów Chada przed postępem technicznym któregoś dnia znalazł za sprawą Gwen miejsce w tym domu. Segregatory z dokumentami z lat wcześniejszych, kiedy farma Beckettów przynosiła jeszcze niejaki zyski, zapełniały drewniane regały stojące przy ścianach. Na biurku leżało kilka katalogów. Moda, jak zauważył Chad, materiały, które Gwen niekiedy zamawiała. Stęknąwszy, usiadł na krześle przy biurku i włączył komputer.

Że też zdołał się nauczyć obsługi takiego sprzętu! Wzdragał się przed tym dość długo, lecz Fiona ostatecznie zdołała go namówić, by sprawił sobie adres e-mailowy. Ściśle mówiąc, zrobiła to za niego, wprowadziła również hasło. - Gwen często przesiaduje przed komputerem. Nie musi czytać twojej poczty - wyjaśniła, na co Chad odparł: - Jakiej poczty? Nie dostaję już nawet zwyczajnych listów, któż więc miałby przysyłać mi wiadomości przez komputer?

- Ja - odpowiedziała Fiona, po czym powoli i cierpliwie objaśniła, jak to wszystko działa: w jaki sposób ma sprawdzać swoją skrzynkę pocztową, jak wpisać hasło - *Fiona*, oczywiście - jak otwierać wiadomości. W jaki sposób na nie odpowiadać. Od tej pory



korespondowali z sobą za pomocą tego osobliwego medium, któremu Chad co prawda nadal nie ufał, nie potrafił się jednak zupełnie wyzwolić spod jego uroku. Miło było otrzymać czasem list od Fiony. I odpisać jej w kilku bezbarwnych słowach. Nie odważył się wszakże zgłębiać tajników tego *wybryku nowoczesności*, jak określał technikę komputerową. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy surfować po Internecie, zresztą i tak nie wiedział, jak to się robi.

I wcale nie chciał wiedzieć.

Fiona zachowywała się wczoraj nieco histerycznie. Pewnie dlatego nie spoczęła, póki nie sprowokowała tego incydentu. Atak na Dave'a Tannera był dla niej sposobem na rozładowanie emocji, chociaż Chad był przekonany, że jej awersja do narzeczonego Gwen wcale nie była udawana i że istotnie ma wobec niego poważne zastrzeżenia. Być może jej zarzuty dotyczące jego planów były uzasadnione, on sam jednak mimo najlepszych chęci nie uznawał tego za powód do irytacji. To było życie Gwen. Przekroczyła już trzydziestkę, na małżeństwo nie było za wcześnie, może będzie z Tannerem szczęśliwa. Chad nie uważał, by miłość była jedynym motywem, dla którego dwoje ludzi powinno się pobrać. Może rzeczywiście Tanner próbował poprawić swoją sytuację życiową. I co z tego? W ostateczności wyjdzie to farmie Beckettów na dobre. Może będą mieli dzieci, a Gwen rozkwitnie w roli matki. Była bardzo samotna. Chad postrzegał tę kwestię w sposób pragmatyczny: lepszy Tanner niż nikt. W gruncie rzeczy nie potrafił zrozumieć wzburzenia Fiony.

Zepsuwszy zupełnie atmosferę wieczoru, siedziała teraz na składanym krześle naprzeciwko biurka i paliła jednego papierosa za drugim. Znał ją od dzieciństwa, znał ją lepiej niż kogokolwiek na

świecie i wiedział, że coś ją trapi i dręczy. Po kolejnej porcji narzekań na planowany ślub Gwen przeszła wreszcie do sedna.

- Chad, odbieram ostatnio dziwne telefony - powiedziała cicho i porywczo - no wiesz, anonimowe.

Nie wiedział, nigdy go coś takiego nie spotkało. - Anonimowe telefony? Jakiego rodzaju? Czy ktoś ci grozi?

- Nie. Nic. To znaczy, ten człowiek w ogóle nic nie mówi. On... albo ona... tylko dyszy.

- Czy to...?

Potrząsnęła głową. - Nie. To nie *ten* rodzaj oddechu. Powiedziałabym, że nie jest seksualny. To zupełnie spokojny oddech. Myślę, że on po prostu słucha, jak się denerwuję, po czym odkłada słuchawkę.

- A jak reagujesz?

- Pytam, kim jest. Czego chce. Mówię mu... albo jej... że to milczenie donikąd nas nie zaprowadzi. Że chcę wiedzieć, o co chodzi. Ale nigdy nie dostaję odpowiedzi.

- Może powinnaś po prostu robić to samo. Nic nie mówić. Natychmiast odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszysz jego oddech.

Skinęła głową. - Błędem było zadawać się z tym człowiekiem. Prawdopodobnie zareagowałam dokładnie tak, jak tego oczekiwał. Mimo to... - Zapaliła kolejnego papierosa. Nie po raz pierwszy Chad zadawał sobie pytanie, jak można przez tyle dziesiątek lat palić taką ilość papierosów i pozostać w dobrym zdrowiu.

- Zastanawia mnie, kto to może być - powiedziała, zaciągnąwszy się gwałtownie kilka razy. - Co on chce osiągnąć? I dlaczego to ja znalazłam się na celowniku?

Chad wzruszył ramionami. - Może to przypadek. Wyszukuje sobie ludzi w książce telefonicznej i po prostu do nich wydzwania.

Pewnie nie jesteś jedyną ofiarą. Może robi to całymi dniami, po kolei, a do ciebie dzwoni tak często, bo się najbardziej ze wszystkich denerwujesz.

- Ależ to chore!

- Owszem. W pewnym sensie tak. Ale może być zupełnie nieszkodliwe. Pewnie po drugiej stronie siedzi jakiś beznadziejnie zakompleksiony człowiek, który nie ma odwagi ruszyć się z domu i zagadać do obcej osoby. Dzwoniąc w ten sposób, czuje się silny. I nic więcej się za tym nie kryje.

Przygryzała dolną wargę. - I nie sądzisz, by miało to coś wspólnego z tą... historią?

Od razu się domyślił, do czego zmierzała. - Nie. Czemu tak uważasz? Minęło już tyle czasu.

- No tak, ale... może to nie koniec, prawda?

- Kto miałby z tego powodu do ciebie wydzwaniać?

Nie odpowiedziała, lecz znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że ma jakieś podejrzenia. Domyślał się, jakie to nazwisko kołacze jej się po głowie.

- Nie sądzę - odparł. - Dlaczego właśnie teraz? Po tylu latach?

Tak, *dlatego teraz?*

- Nie wierzę, że kiedykolwiek przestanie mnie nienawidzić.

- Czy ona w ogóle jeszcze żyje?

- Myślę, że tak. W Robin Hood's Bay...

- Tylko nie nabijaj sobie tym głowy - ostrzegł.

- Nonsens - odparła tak szorstko, jak tylko potrafiła. Ręka, w której trzymała papierosa, lekko drżała.

Następnie wyjawiała właściwy powód rozmowy. - Chciałabym, żebyś skasował swoje e-maile. Wszystkie, jakie do ciebie wysłałam. Te, które pisałam w... *tej sprawie*.

- Skasować? Po co?
- Wydaje mi się, że tak będzie bezpieczniej.
- Nikt ich nie może przeczytać.
- Gwen korzysta z tego samego komputera.
- Ale przecież dlatego musiałem założyć sobie to... to hasło. Na nic się to zda, czy tak? Co za idiotyzm, cała ta komputerowa technika... W każdym razie nie wierzę, że Gwen mogłaby próbować grzebać w moich sprawach. Aż tak bardzo się mną nie interesuje.

Po raz pierwszy w trakcie całej rozmowy uśmiechnęła się. Raczej złośliwie niż radośnie.

- W takim razie źle ją oceniasz. W jej hierarchii jesteś drugi po Bogu. Ale w kwestii stosunków międzyludzkich nigdy nie miałeś nosa. Mimo to - na powrót spoważniała - proszę cię, żebyś skasował e-maile. Poczulałabym się pewniej.

Komputer był gotowy, Chad otworzył program pocztowy. W ciągu ostatniego półroczka Fiona przesłała mu pięć wiadomości z załącznikami. Pomędzy nimi widniały jej zwyczajne e-maile z pozdrowieniami.

Słowa pociechy, kiedy pogoda nie dopisywała i stąd domyślała się, że dokuczają mu bóle. Kąśliwe uwagi, gdy się złościła z powodu jego długiego milczenia. Pełne ironii docinki, kiedy po spotkaniu z jakimś dawnym wspólnym znajomym obgadywała go bez zahamowań. Czasem komentowała jakiś obejrzany film. Czasem użalała się z powodu postępującej starości. Nigdy jednak nie padło ani jedno słowo o dawnych czasach. O ich wspólnej przeszłości.

Aż do marca tego roku. Wtedy niespodzianie nadeszła pierwsza wiadomość z załącznikiem oraz instrukcją, jak go otworzyć.

- Dlaczego? - zapytał w odpowiedzi. Widniało w niej tylko to jedno słowo: *Dlaczego*, pisane pochyłą wytłuszczoną czcionką, po

którym następowało co najmniej dziesięć znaków zapytania.

Jej odpowiedź brzmiała: - Bo muszę uporać się z samą sobą. Bo muszę komuś o tym opowiedzieć. A ponieważ nikt inny nie może się o tym dowiedzieć, pozostałeś tylko ty!

Odpisał jej: - Przecież i tak o wszystkim wiem!

Ona na to: - Dlatego nie stanowisz zagrożenia.

Teraz pomyślał: Ona sobie z tym nie poradzi.

Przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru zapytał, co w takim razie skłoniło ją do opisanie tego wszystkiego. Tego wszystkiego, o czym nikt nie powinien się dowiedzieć. Prócz niego samego, choć przecież znał tę historię i wcale nie lubił do niej wracać.

Zamyśliła się, wypaliła papierosa, po czym rzekła: - Być może to świadomość, że długo już nie pożyję.

- Jesteś chora?

- Nie. Ale stara. Pewnie niedługo już pociągnę, nie ma się co oszukiwać.

Czytał, co do niego pisała, lecz nie wszystko. Nierzadko czuł, że to ponad jego siły. Był wściekły, że musiała znów wszystko odgrzebywać. Jątrzyć dawne rany. Wydobywać na jaw dzieje dawno już zapomniane.

Kliknął w pierwszy e-mail. Wiadomość nosiła datę 28 marca.

Napisana była w typowym dla Fiony stylu.

„Halo, Chad, dobrze się dziś miewasz? Jest sucho i ciepło, zatem *musisz się czuć dobrze!* Napisałam coś, co powinienesz przeczytać. Przeznaczone jest wyłącznie dla Ciebie. Znasz tę historię, ale może nie wszystkie szczegóły. Tylko Tobie ufam. Fiona.

PS. Kliknij dwukrotnie w załączony plik. Następnie kliknij *Otwórz!*”.

Chad otworzył plik.

## Drugie dziecko.doc

### 1.

Przynajmniej nie musiałyśmy się troszczyć o jednego członka rodziny, wówczas, późnym latem roku 1940, gdy życie nas wszystkich całkowicie się zmieniło. Ojcowie wielu moich przyjaciółek walczyli na froncie, a ich rodziny drżały ze strachu, w obawie przed złymi wieściami. Mój ojciec natomiast zmarł, zanim wybuchła wojna, wiosną 1939 roku. Jedną z jego słynnych włości po knajpach, w trakcie których przepijał tę odrobinę grosza, jaką zdołał zarobić przy sprzątanii ulic, zakończyła się bójką z innymi pijakami, przy czym nie udało się później ustalić, kto ją rozpoczął ani o co właściwie poszło. Prawdopodobnie o nic szczególnego. Jakkolwiek było, ojciec mój został w niej ciężko ranny, znalazł się w szpitalu, gdzie zapadł na tężec, z którym w owym czasie nie umiano sobie poradzić tak łatwo jak dziś. Krótco potem ojciec zmarł. Ja i matka zostałyśmy same i musiałyśmy odtąd wyżyć z renty, jaką rodziny zmarłych otrzymywały od państwa. Mimo to powodziło nam się lepiej niż poprzednio, bo nikt już nie przepijał naszych pieniędzy w knajpach. Poza tym matka pracowała w dwóch miejscach jako sprzątaczką, dzięki czemu powiększała nasze dochody. Jakoś wiązałyśmy koniec z końcem.

Latem roku 1940 miałam jedenaście lat. Mieszkałyśmy w londyńskim East Endzie, zajmując niewielkie lokum na poddaszu. Pamiętam, że tamtego lata panował straszny upał, zamieniający nasze mieszkanie w istny piekarnik. Niemcy usiłowały właśnie wplątać cały świat w wojnę. Francja znalazła się pod okupacją, a przy okazji naziści zajęli także należące do Anglii wyspy w kanale La Manche. W Anglii szerzył się niepokój, choć rząd propagował

hasła wytrwania aż do końca, zagrzewał ludzi do walki i zapowiadał rychłe zwycięstwo nad nazistowskimi Niemcami.

- Co zrobimy, kiedy tu przyjdą? - spytałam matkę. Potrząsnęła głową. - Nie przyjdą, Fiona. Wyspy nie da się tak łatwo zdobyć.

- Ale wyspy w kanale przecież zajęli!

- One są małe i pozbawione obrony. I leżą bardzo blisko Francji. Nie martw się.

Niemcy co prawda nie przyszli, ale z nastaniem września wysłali za to swoje bombowce. Rozpoczął się *The Blitz*. Noc w noc atakowano Londyn, noc w noc wyły syreny, ludzie gromadzili się w schronach przeciwlotniczych, rozpadające się domy zasypywały całe trakty uliczne gruzem i popiołem. Nazajutrz znajoma niegdyś okolica wyglądała zupełnie inaczej, albo bowiem brakowało któregoś domu, albo jego dymiące ruiny sterczały cicho ku niebu. W drodze do szkoły widywałam ludzi szukających w gruzowisku resztek dobytku, które mogły przetrwać to piekło. Pewnego razu ujrzałam umorusaną, wychudzoną młodą kobietę, która niczym obłąkana rozgrzebywała kamienie doszczętnie zawałonego domu. Krew spływała jej po dłoniach i ramionach, łzy ciekły po twarzy, pozostawiając w warstwie pyłu jasne, lśniące ślady.

- Tam jest moje dziecko! - krzyczała. - Tam jest moje dziecko!

Byłam zszokowana, gdyż najwyraźniej nikogo to nie obchodziło. Kiedy wieczorem opowiedziałam o tym mamie, pobladła i wzięła mnie w ramiona. - Oszalałabym, gdyby tobie przytrafiło się coś podobnego - wyznała. Wydaje mi się, że to właśnie tamtego dnia w jej głowie zaczęła kiełkować myśl, że muszę wyjechać z Londynu.

Ewakuację rozpoczęto dużo wcześniej. Już 1 września 1939 roku, w dniu, w którym Hitler zaatakował Polskę, i na dwa dni przed wypowiedzeniem przez Anglię wojny Niemcom, setki tysięcy



Brytyjczyków, przede wszystkim mieszkańców dużych miast, zaczęto wywozić w wiejskie regiony kraju. Już wtedy szerzył się strach przed nalotami, baliśmy się przede wszystkim tego, że Niemcy mogą nas zaatakować przy użyciu gazów bojowych. Każdy musiał stale nosić z sobą maskę przeciwgazową, w całym mieście można było spotkać tablice ostrzegawcze, które miały nam przypominać o tym, jak realne było osaczające nas zagrożenie. *Hitler will send no warning*, ostrzegały nas wielkie czarne litery umieszczone na jaskrawożółtym tle. Znaczyło to: W każdej chwili może nas to podstępnie dopaść.

W pierwszej kolejności ewakuowano oczywiście dzieci, lecz także ciężarne kobiety oraz ludzi niewidomych albo w inny sposób upośledzonych. Raczej mimochodem matka zapytała mnie, czy ja też chcę wyjechać, lecz broniłam się przed tym, jak tylko potrafiłam. W końcu ustąpiła. Poczułam ogromną ulgę, bo cała ta historia budziła we mnie lęk, nieomal przerażenie. Ktoś wpadł na kuriozalny pomysł, by tę pierwszą ewakuację nazwać akurat *Operation Pied Piper*. Podobnie jak większość dzieci, również i ja aż za dobrze znałam legendę o fleciście z Hameln. Poprowadził on dzieci w długim korowodzie w nieznaną i już nigdy więcej ich nie widziano. Nie dodawało to zbytnio otuchy. Wciąż sobie wyobrażałam, że wszystkich nas zabiorą i już nigdy nie wrócimy do domu.

Nadto chodziły słuchy, że odbywa się to czasem bardzo chaotycznie. Anglia została podzielona na trzy rodzaje stref: ewakuacyjne, neutralne oraz takie, które miały przyjąć ewakuowanych. Donoszono o przepełnionych pociągach, dotkniętych traumą małych dzieciach, które nie potrafiły znieść rozłąki z rodzicami, oraz źle zorganizowanej akcji przydzielania ich

do rodzin w innych miastach. East Anglia zgłaszała całkowite przepełnienie, podczas gdy w innych rejonach gościnni rodzice tłumnie czekali, gotowi na przyjęcie dzieci. Utyskiwano na rząd, że na całą akcję przeznaczył zbyt mało funduszy, w dodatku z początku nie było żadnych bombardowań. Pod koniec roku większość ewakuowanych powróciła do swoich domów i rodzin.

- A widzisz - powiedziałam do matki - dobrze, że nie wyjechałam.

Potem jednak nastąpiło lato roku 1940. Wszyscy wówczas zrozumieli, że wojna potrwa dłużej, niż się spodziewano, a do tego naziści znaleźli się niebezpiecznie blisko. Od czerwca znów podjęto zakrojoną na wielką skalę akcję ewakuacji. Rząd wzywał rodziców, szczególnie tych mieszkających w Londynie, żeby odsyłali swoje dzieci.

I znów centrum Londynu tonęło w plakatach. Tym razem widniały na nich sylwetki dzieci oraz wielki napis: *Mothers! Send them out of London!*

Nikogo jednak nie zmuszano, każdy sam mógł zdecydować, jak postąpi. Dlatego też przez pewien czas udawało mi się wyperswadować matce każdą myśl o umieszczeniu mnie w bezpiecznym miejscu.

Teraz, na jesieni, wyczuwałam wszakże, że moja sytuacja zaczyna się pogarszać, co napełniło mnie niepokojem.

Na początku października zbombardowano nasz dom. Razem z innymi mieszkańcami siedziałyśmy w schronie, kiedy nagle rozległ się nad nami potężny huk. Myślałyśmy, że popękają nam w uszach bębenki. Jednocześnie ziemia zadrżała, a ze stropu nad naszymi głowami posypały się pył i kawałki tynku.

- Wychodź! - krzyknął jakiś człowiek. - Wszyscy natychmiast wychodź!

Niektórzy rzucili się w panice ku wyjściu. Inni wzywali, by zachować rozwagę. - Tam na zewnątrz jest piekło! Zostańcie tutaj. Strop wytrzyma!

Moja matka chciała zostać, z zewnątrz bowiem dochodziły teraz wyraźne odgłosy licznych eksplozji bomb, następujących szybko jedna po drugiej. Uważała za bardziej prawdopodobne to, że zginiemy na ulicy, niż że zostaniemy pogrzebani żywcem w piwnicy. Ja wolałam uciekać, ponieważ strach, że tu na dole będziemy się powoli dusić, ścisnął mnie za gardło. Nie uczyniłabym jednak nic, na co nie zgodziłaby się moja matka, więc trwałam, dygocząc, trzęsąc się i kryjąc twarz w dłoniach.

Wczesnym rankiem odwołano alarm. Napętnieni strachem przed tym, co nas czeka na zewnątrz, wypelzaliśmy na górę na czworakach. Nasz dom zmienił się w kupę gruzu. Podobnie sąsiedni. I następny. Niemal wszystkie stojące przy naszej ulicy. Przecieraliśmy oczy i z przerażeniem patrzyliśmy na to dzieło zniszczenia.

- Stało się - powiedziała w końcu moja matka. Jak my wszyscy nałykała się sporo pyłu i jej głos brzmiał tak, jakby była przeziębiona.- Nie mamy już domu.

Grzebałyśmy przez chwilę w gruzowisku, nie znalazłyśmy jednak niczego, co mogłoby się nam przydać. Odkryłam strzęp materiału z mojej ulubionej sukienki, czerwone płótno w żółte kwiaty. Zabrałam z sobą ten skrawek, reszty sukienki nigdzie nie było widać.

- Możesz go używać jako chusteczki - powiedziała mama.

Następnie udałyśmy się na poszukiwanie nowego schronienia. Ledwie kilka ulic dalej mieszkali nasi jedyni krewni, siostra mojego ojca i jej rodzina. Mama sądziła, że z pewnością przygarną nas na jakiś czas.

Rzeczywiście, dom ciotki Edith wciąż jeszcze stał, jednakże nasz widok nikogo nie ucieszył. Sześcioosobowa rodzina tłoczyła się w trzypokojowym mieszkaniu na parterze, do tego przyjęli już pewną przyjaciółkę, która podobnie jak my została bez dachu nad głową.

Na domiar złego mąż ciotki Edith wrócił właśnie z lazaretu i cierpiał, jak Edith po cichu wyznała mamie, na pomieszenie zmysłów. Całymi dniami przesiadywał w oknie, patrzył przez nie i od czasu do czasu popłakiwał. Stało się jasne, że brakowało tylko mnie i mamy, by zapanował tam zupełny chaos.

Wtedy właśnie mama znów zaczęła wspominać o rozstaniu, jej słowa brzmiały bardzo poważnie. Słyszałam, jak mówiła o tym z Edith.

- Zastanawiam się, czy nie wysłać Fiony na wieś. Z Londynu wywożą coraz więcej dzieci. Tutaj nie jest bezpieczna.

- To dobry pomysł - odparła ucieszona Edith, oznaczało to bowiem jedną osobę mniej w przepełnionym mieszkaniu. Własnych dzieci nie chciała jednak odesłać. Utrzymywała, że nie potrafiłaby znieść rozłąki z nimi.

Niestety, moja matka nie była aż tak sentymentalna. Choć płakałam, krzyczałam i byłam zupełnie zdesperowana, nie dała się przebłagać i podjęła wszelkie niezbędne kroki.

Wkrótce potem znalazłam się na liście dziecięcego transportu, który z początkiem listopada miał wyruszyć do Yorkshire.

Pociąg miał odjechać nazajutrz o godzinie dziewiątej z Paddington Station. Był 4 listopada; dzień spowijała mgła, lecz widać było, że słońce usiłuje rozproszyć szarość poranka.

- Zobaczysz, będzie dziś cudowny jesienny dzień - powiedziała mama, chcąc dodać mi otuchy.

Nie mogłam być w gorszym nastroju, było mi zupełnie obojętne, czy słońce świeci czy nie. Człapałam obok matki, która przewiesiła sobie przez ramię obowiązkową maskę przeciwigazową. W ręce dźwigałam niewielką tekturową walizkę pożyczoną od Edith. Rząd opublikował wykazy, które precyzyjnie określały nawet liczbę chusteczek, jaką każde dziecko musiało z sobą zabrać. Ponieważ nasz dom został zbombardowany i miałyśmy niewiele pieniędzy, mama nie zdołała nawet w części spełnić tych wymagań. Wśród schodzonych ubrań swoich dzieci ciotka Edith wygrzebała dla mnie przykrótką sukienkę, sweter, z którego rękawów sterczały mi przeguby dłoni, oraz parę właściwie chłopięcych półbutów. Mama uszyła dla mnie koszulę nocną i zrobiła na drutach dwie pary rajtuzów. Na drogę włożyłam sukienkę w kratkę, którą miałam na sobie w noc bombardowania, stary sweter z dzianiny oraz czerwone sandały - jedyne rzeczy, jakie mi zostały. W istocie było już za zimno na taki strój, toteż mama ostrzegła mnie, że z pewnością złapię przeziębienie. Byłam jednak uparta. Straciłam wszystko, co posiadałam, a teraz moja własna matka wysyłała mnie w daleką podróż. Dlatego potrzebowałam *własnej* sukienki oraz *własnych* butów, żebym mogła przynajmniej uchwycić się czegoś dobrze mi znanego. A niech się nawet przeziębę. Może dostanę zapalenia płuc i umrę. Dobrze ci tak, mamo, nie zostanie ci już nikt bliski z rodziny.

Musiałśmy przejść ulicą, przy której mieszkaliśmy aż do tamtej październikowej nocy, kiedy na nasz dom spadły bomby. Miałam wrażenie, że to najbardziej zniszczona ulica w całym Londynie. Na samym jej krańcu stał do niedawna samotny budynek, lecz już z daleka dostrzegłyśmy, że on również padł ofiarą nalotów.

- Myślę, że oni chcą, żeby w Londynie nie został kamień na kamieniu - powiedziała przerażona mama. Mówiąc *oni*, miała na myśli Niemców.

Kiedy podeszłyśmy bliżej, poczułyśmy intensywną woń spalenizny, która spowijała tę ostatnią, zdobytą już twierdzę oporu naszej ulicy. Widziałyśmy, jak dym unosi się z gruzowiska. Dom musiał przegrać tę walkę dopiero podczas jednej z ostatnich nocy. Znałyśmy pobieżnie tamtejsze rodziny, tak jak zna się ludzi z sąsiedztwa, mieszkających w odległości kilku metrów, przy tej samej ulicy. Rozpoznawało się twarze, pozdrawiało nawzajem, wiedziało też co nieco na temat warunków ich życia, acz bez nazbyt wielu szczegółów. Na pierwszym piętrze mieszkała rodzina Somerville'ów. Ojciec, matka i sześcioro dzieci. Z drugą wiekiem córką bawiłam się czasem, ale tylko wtedy, gdy bardzo się nudziłam i nie miałam innego towarzystwa. Rodzina Somerville'ów uchodziła za aspołeczną, i choć nikt nie mówił o tym w obecności dzieci, zasłyszałam to i owo. Mr Somerville sporo pił, znacznie więcej niż mój tato, i to od rana do wieczora. O żadnej porze dnia nie widywało się go trzeźwym. Znęcał się nad żoną, co sprawiło, że Mrs Somerville, która podobno również o wiele za dużo piła, chodziła z groteskowo wykrzywionym nosem - złamany w trakcie awantury z mężem, źle się zróśł. Znęcał się także nad dziećmi. Niektóre były podobno upośledzone, ponieważ za często bił je po

głowie, do tego zaszkoziło im nadmierne picie matki w czasie ciąży. Jakkolwiek było, nikt nie chciał się znaleźć w nieco dwuznacznej sytuacji, zadając się zbyt często z rodziną Somerville'ów. Ja również możliwie najrzadziej kontaktowałam się z ich dziećmi.

Przez chwilę stałyśmy przed dymiącymi zgliszczami, zastanawiając się z niepokojem, co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali. Wtedy z sąsiedniego domu, którego parter częściowo się zachował, a przynajmniej miał dach, wyszła młoda Miss Taylor. Pochodziła z wioski w Devon i przybyła do Londynu, by tutaj spróbować szczęścia. Pracowała w pralni. Prowadziła za rękę małego chłopca, poznałam, że był to Brian Somerville, jedno z licznych dzieci Somerville'ów. Miał siedem czy osiem lat i uchodził za nad wyraz niedorozwiniętego.

Miss Taylor miała twarz bladą jak płótno.

- Ostatnie trzy noce to było prawdziwe piekło - pożałowała się. Dostrzegłam, że mocno drżą jej wargi. - To było... myślałam, że... - Przetarła dłonią czoło, które mimo chłodu poranka było zroszone potem. Mama powiedziała mi później, że była w stanie szoku.

- Spróbuję poszukać schronienia u przyjaciółki - wyjaśniła - mieszka kawałek za miastem, mam nadzieję, że tam nie bombardują tak mocno. W mojej ruinie i tak jest teraz za zimno. Ja tego już dłużej nie wytrzymam. Nie wytrzymam! - Zalała się łzami.

Moja matka wskazała na małego Briana, który obserwował nas swymi ogromnymi, przerażonymi oczami.

- A co z nim? Gdzie jego rodzice?

Miss Taylor zaszlochała gwałtownie. - Nie żyją. Wszyscy nie żyją. Także jego rodzeństwo. Wszyscy.

- Wszyscy!?! - krzyknęła zszokowana matka.

- Odgrzebali ich - szepnęła Miss Taylor, która chyba właśnie sobie uświadomiła, jakie konsekwencje może mieć ta rozmowa dla przeżywającego traumę dziecka u jej boku. - Wczoraj, przez cały dzień. Wszystkich mieszkających w tym domu... albo raczej to, co z nich... zostało. Dom został trafiony przedwczoraj w nocy. Mówili, że nikt nie zdołałby tego przeżyć.

Mama z przerażenia przycisnęła dłoń do ust.

- A ten nagle zjawił się u mnie zeszłej nocy. - Miss Taylor ruchem głowy wskazała na chłopca. - Brian. Nie wiem, skąd się wziął. Nie można z niego wydobyć ani słowa. Albo został zasypany, zdołał przeżyć i sam się uwolnił, albo w nocy nie było go w domu. Wie pani...

Wiedziałyśmy. Czasem, gdy Mr Somerville był kompletnie pijany, potrafił zwyczajnie nie wpuścić własnych dzieci do mieszkania. Często któreś z nich szukało schronienia u sąsiadów, latem zaś nierzadko nocowały na ulicy. Kiedy byłam młodsza i głupsza, czasem zazdrościłam im tej swobody.

- Co mam teraz zrobić z tym malcem? - zawołała Miss Taylor.

- Nie może go pani zabrać do tej swojej przyjaciółki? - zapytała moja matka.

- W żadnym wypadku. Zresztą, ona całymi dniami pracuje. Nikt z nas nie mógłby się o niego zatroszczyć.

- Ma jakichś krewnych?

Miss Taylor potrząsnęła głową. - Rozmawiałam czasem z Mrs Somerville. Z ochotą odeszłaby od męża, ale mówiła, że nie ma nikogo bliskiego, do kogo mogłaby pójść. Obawiam się, że Brian... został sam na świecie.

- W takim razie musi go pani oddać pod opiekę Czerwonego Krzyża - poradziła mama i spojrzała litościwie na pobladłego



chłopca.

- Biedactwo!

- O Boże, o Boże - biadolila Miss Taylor. Wydawało się, że ta sytuacja zupełnie ją przerosła.

I wtedy moja matka zrobiła coś, co miało dla naszych losów ważkie konsekwencje, coś, co właściwie do niej nie pasowało, nie była bowiem specjalnie uczynna. Zawsze powtarzała, że dość mamy własnych kłopotów, starając się związać koniec z końcem, i nie możemy sobie pozwolić na to, żeby się zajmować problemami innych.

- Niech mi go pani odda, zabiorę go z sobą - powiedziała. - Prowadzę właśnie Fionę na dworzec, wyjeżdża na wieś. Na pewno spotkam tam kogoś, kto mi pomoże, może jakąś siostrę z Czerwonego Krzyża. Mogę im oddać Briana.

Miss Taylor wyglądała tak, jakby zaraz miała się rzucić mojej matce na szyję. Nim się obejrzała, mama miała u boku dwójkę dzieci: własną jedenastoletnią córkę w zbyt cienkiej letniej sukience, z tekturową walizką w dłoni oraz ośmioletniego chłopca w lepkich od brudu spodniach i przypominającym worek wełnianym swetrze, który, jeśliby wnieść z jego stanu, musiał już służyć całemu pokoleniu dzieci jako swego rodzaju strój na każdą okazję. Chłopiec poruszał się jak w transie. Wydawało się, że nie dociera doń nic z tego, co się wokół niego dzieje.

W takim właśnie szyku dotarliśmy w końcu na dworzec - jak się okazało, w ostatniej chwili. Albo mama pomyliła godzinę odjazdu pociągu, albo zbyt szybko się guzdraliśmy, albo też nasz marsz opóźniał niezmiernie powolny Brian. W każdym razie większość dzieci znajdowała się już w pociągu; gromadnie uczezione okien, machały do stojących na peronie rodziców. Wiele z nich płakało. Niektóre

matki wyglądały tak, jakby chciały wdrapać się do przedziałów, niektóre dzieci krzyczały, że chcą wysiąść i wrócić do domu. Wszystkie miały przyczepione niewielkie wywieszki z widniejącym na nich nazwiskiem. Siostry z Czerwonego Krzyża i pozostali pomocnicy, trzymając w dłoniach podkładki z zaciskiem oraz listy z nazwiskami, biegali tam i z powrotem, usiłując zachować w tym chaosie jaką taką orientację.

Mama zdecydowanym ruchem zastąpiła drogę jednej z pomocnic, siostrze z Czerwonego Krzyża. - Przepraszam. Moja córka jest zapisana na ten wyjazd.

Siostra była sporej, krzepkiej postury i miała tak niesympatyczny wyraz twarzy, że aż mnie strach obleciał. - Nie za wcześnie?! - huknęła.

- Nazwisko?

- Swales. Fiona Swales.

Siostra spojrzała na listę, po czym postawiła haczyk, pewnie przy moim nazwisku. Wygrzebała spod papierów niewielką tekturową wywieszkę.

- Proszę napisać nazwisko córki. I datę urodzenia. I swój londyński adres.

Mama wyszperała z torebki ołówek i przykucnęła, żeby napisać wszystkie dane na wywieszce. Siostra spojrzała na Briana. - A co z nim? On też jedzie?

Brian bojaźliwie chwycił mnie za rękę. Zabolalo mnie, a jednak nie cofnęłam ręki, choć z ochotą bym to uczyniła.

- Nie -odparła moja matka - to sierota. Nie wiem, co z nim począć.

- A niby skąd ja mam wiedzieć?

Mama wyprostowała się i umocowała wywieszkę na wyłogu mojej kurtki.

- Przecież pani jest z Czerwonego Krzyża!

- Ale ja się nie zajmuję sierotami! Nie widzi pani, ile mam tu na głowie? - To powiedziawszy, pognała dalej, żeby zbesztać małą dziewczynkę, która płacząc, usiłowała wysiąść z pociągu, głośno przy tym krzycząc za swoją matką.

- Musisz już wsiadać, Fiona - nalegała nerwowo mama.

Brian uczeplił się mnie oburącz.

- Mamusiu, on nie chce mnie puścić - powiedziałam zaskoczona siłą, z jaką zaciskały się jego drobne dłonie.

Matka próbowała uwolnić mnie od Briana. Konduktor zagwizdał. Nim się obejrzałam, tłum ludzi popchnął nas w stronę wagonów. Dzieci, których nie można było rozłączyć, rodzice, którzy raz jeszcze sięgali do okien, chcą uścisnąć dłonie lub pogłodzić policzki swych dzieci. Wokół mnie rozgrywały się ściskające za serce sceny pożegnań. Byłam zdecydowana w nich nie uczestniczyć. Byłam zła na mamę, że mnie odsyła, i nie miałam wątpliwości, że nigdy nie zdołam jej tego wybaczyć. Znalazłam się tuż przy żelaznych prętach schodów, które prowadziły do wnętrza pociągu. Brian uparcie trzymał mnie za rękę, choć dość energicznie i bezwzględnie próbowałam się od niego uwolnić. Za moimi plecami napierał istny mur ludzi.

Odwróciłam się. - Mamusiu! - krzyknęłam.

Straciłam ją z oczu w tej ciżbie. Skądś dobiegał jej głos, lecz nie mogłam jej dostrzec. - Wsiadaj, Fiona! Wsiadaj!

- Brian nie chce mnie puścić! - ryknęłam.

Jakiś ojciec stojący tuż za nami podniósł swoją małą córeczkę i wepchnął ją do wagonu. Następnie jedną ręką chwycił mnie, a

drugą Briana, i po chwili oboje również znaleźliśmy się w środku.

- Zamykać drzwi! - krzyknął konduktor.

Zaczęłam przeciskać się w przejściu, Brian, nie puszczając mnie ani na moment, szedł za mną krok w krok.

*Wspaniale, mamusiu! Ciekawe, jak się go teraz pozbędę!*

- Jesteś niemożliwy! - warknęłam na niego. - Nie wolno ci tu nawet być! Natychmiast odeślą cię z powrotem!

Patrzył na mnie swymi ogromnymi oczami. Uderzyło mnie, jak bardzo bladą ma skórę i jak wyraźnie widać splot cieniutkich błękitnych żył na jego skroniach.

Nie miał wywieszki, walizki, maski przeciwgazowej. Nie było go na żadnej liście. Zaraz odeślą go z powrotem. To nie była moja wina. Nic nie mogłam na to poradzić, że jakiś nieznajomy ojciec wepchnął go do pociągu.

Znalazłam wolne miejsce na jednej z drewnianych ławek i wepchałam się między inne dzieci. Brian usiłował wdrapać się na moje kolana, lecz go odepchnęłam. W końcu stanął obok mnie.

- Nie bądź taka niemiła dla swojego braciszka - upomniała mnie jakaś dwunastoletnia chyba dziewczyna, która siedziała naprzeciw mnie i pałaszowała apetycznie pachnącą kanapkę z pasztetówką.

- To nie jest mój brat - zaoponowałam. - W ogóle go nie znam!

Pociąg ruszył z miejsca. Musiałam gwałtownie przełykać, by nie wybuchnąć łzami. Wiele dzieci płakało, lecz ja nie chciałam się do nich zaliczać. Powoli opuściliśmy dworzec. Słońce wciąż jeszcze nie zdołało przebić się przez mgłę. Dzień był szary i ponury. Moja przyszłość nie rysowała się lepiej. Szara, ponura i tak niepewna, jakby ją również spowiła wilgotna nieprzenikniona mgła.

Czułam, że moje dzieciństwo dobiegło końca. Pożegnałam je bez łez, za to z sercem ciężkim jak ołów.

### 3.

Dopiero późnym popołudniem dotarliśmy do Yorkshire. Rozkład jazdy został zupełnie zaburzony, bo nasz pociąg kilka mil za Londynem nieoczekiwanie się zatrzymał i miał ponad trzy godziny postoju. Bomby, które zrzucono tu poprzedniej nocy, zwały na tory dwa wielkie drzewa; kiedy dotarliśmy do tego miejsca, podjęto już prace porządkowe i naprawcze. Towarzyszące nam siostry i nauczycielki zadawały sobie sporo trudu, żeby przywrócić nam dobry nastrój i utrzymać jako taki spokój. Niektóre organizowały zabawy w mniejszych grupach, inne rozdawały papier i kredki. W końcu promienie słońca przebiły się przez zasłonę mgły, rozproszyły jej opary i zanurzyły jesienny krajobraz w łagodnej poświacie. Pozwolono nam wsiąść i rozprostować nogi. Niektóre dzieci od razu zaczęły się bawić w berka, inne przycupnęły pod drzewami, by układać pierwsze listy do rodziców. Były też takie, które wciąż płakały. Ja trzymałam się na uboczu; rozpakowałam kanapki, które przyszykowała mi mama, i zaczęłam jeść.

Brian przylgnął do mnie niczym cień. Patrzył na mnie uporczywie swymi wielkimi przerażonymi oczami. Przejmował mnie grozą i był natrętny. Choć cieszyłam się, że nie odzywa się do mnie ani słowem, jego absolutne milczenie uznałam jednak za nieco irytujące.

- W ogóle nie umiesz mówić? - zapytałam.

Nie przestawał się we mnie wpatrywać. Zrobiło mi się go żal. Bądź co bądź stracił całą rodzinę, a teraz znalazł się w pociągu do Yorkshire, i to przez przypadek. Przywodził mi na myśl jakieś małe zagubione zwierzątko. Ale przecież sama miałam ledwie jedenaście lat, byłam speszona, przestraszona i pełna bólu z powodu rozłąki z matką. Skąd miałam czerpać energię, by się zaopiekować tym

bezbronnym stworzeniem? Nawet nie miałam pojęcia, jak sama dam sobie radę.

Podzieliłam się z nim kawałkiem chleba; jadł go, przeżuając powoli. Nawet wtedy nie spuszczał mnie z oczu.

- Nie możesz na chwilę przestać się na mnie gapić? - spytałam podenerwowana.

Tak jak się spodziewałam, nic nie odpowiedział. I oczywiście nadal wybałuszał na mnie oczy. Pokazałam mu język. Miałam jednak wrażenie, że nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

Kiedy dotarliśmy do Yorkshire, zapadał już zmierzch. Głęboki mrok nocy miał wkrótce ukryć tę krainę przed wszelkimi spojrzeniami. Słońce dawno już zaszło. Wjechaliśmy na dworzec w Scarborough, wysiedliśmy zesztywniali z wagonów. Dygotaliśmy z zimna, które przenikało to późne jesienne popołudnie. Ożywiona paplanina, wypełniająca czas weselszym spośród nas, ucichła. Teraz, kiedy nastąpiły ciemności, wszystkich przejął lęk przed nieznanym. I z całą mocą powróciła tęsknota za domem. Myślę, że ani jedno dziecko nie miałoby w tamtej chwili nic przeciwko kolejnym nocom spędzonym w schronie wśród nieustannego gradu bomb, gdyby tylko mogło być razem z rodziną. Później, kiedy dorosłam, czytałam rozprawy na temat ewakuacji dzieci. Podjęto badania naukowe w tej dziedzinie, pisano prace doktorskie. Przeważała niemal jednomyślna opinia, że trauma, która dotknęła tak liczną grupę dzieci wskutek nagłej rozłąki z rodzicami oraz późniejszego, nierzadko złego traktowania w rodzinach zastępczych, w sposób bardziej negatywny i trwalszy zaważyła na ich dalszym życiu niż bez wątpienia równie traumatyczne przeżycia podczas nocnych bombardowań.

Ja w każdym razie rzadko w całym moim życiu czułam się bardziej załóżnie i smętnie, bardziej bezbronna i zdana na łaskę losu niż wówczas, gdy przybyłam do tej nieznannej miejscowości, gdzie czekała mnie niepewna przyszłość.

Na peronie stał jakiś mężczyzna; zaczął rozmawiać z tą niesympatyczną siostrą, którą już w Londynie uznałam za nieprzyjemną, a która widocznie była odpowiedzialna za naszą grupę. Musieliśmy ustawić się w dwuszeregu. Kwestię, komu powinnam podać rękę, rozwiązał Brian, który, skoro tylko wysiedliśmy, znów się mnie uczeplił. Wyglądaliśmy jak rodzeństwo: starsza siostra, trochę młodszy brat. Cóż, pomyślałam, już niedługo. Najpóźniej jutro odeślą go z powrotem do Londynu.

Prawie mu zazdrościłam, potem jednak uświadomiłam sobie, że w Londynie nie czeka na niego matka, tak jak na mnie. Jeśli prawdą było to, co mówiła Miss Taylor, że nie ma on już żadnych żyjących krewnych, zapewne oddadzą go do sierocińca.

Biedaczysko, pomyślałam.

Podążyliśmy za owym mężczyzną, przeszliśmy przez budynek dworca i dotarliśmy na parking dla autobusów, na którym czekało już kilka pojazdów. Kazano nam wsiadać, nieistotne do którego. Jedynie kilkoro dzieci, których nazwiska widniały na osobnej liście, przydzielono do konkretnych autobusów. Jak się później okazało, byli to szczęśliwcy, którzy znaleźli schronienie u swoich krewnych, stąd cel ich podróży został już wcześniej ustalony. Dla wszystkich pozostałych była to kwestia otwarta. Dzieci rozwożono po różnych wsiach, z których większość leżała szmat drogi w głąb lądu. Autobus, do którego ja trafiłam - z Brianem u boku - jako jedyny nie oddalał się od strefy przybrzeżnej i rozwoził pasażerów w pobliżu Scarborough. Samo Scarborough nie pełniło w owym czasie

funkcji reception zone, strefy przyjęć, jednakże wyznaczono do tego celu okoliczne małe miejscowości, pilnie potrzebowano bowiem nowych miejsc dla ewakuowanych.

Nikt nas nie pilnował podczas wsiadania do pojazdu, nikt nie zwrócił uwagi na to, że chłopczyk trzymający mnie za rękę nie posiada ani wywieszki z nazwiskiem, ani bagażu. Ponaglano nas w pośpiechu, toteż nie miałam odwagi zagadnąć nikogo z dorosłych. Może to dziwne, że nie potrafiłam działać rozsądnie, trzeba jednak pamiętać, jak bardzo byłam wystraszona i niepewna.

Kiedy wyjechaliśmy poza granice miasta, w autobusie zapadła kompletna cisza. Tylko dwie małe dziewczynki cicho popłakiwały, daremnie usiłując powstrzymać łzy. Nikt nie odezwał się słowem. Wszystkich przeszywał strach. Dręczyły zmęczenie i głód. Myślę, że większość czuła się podobnie: baliśmy się, że jeśli otworzymy usta, wybuchniemy płaczem.

Przywarłam twarzą do szyby. Przed moimi oczami przemykał niewyraźny krajobraz. Żadnych domów. Pagórkowata kraina, niewiele drzew. Gdzieś tam musi być morze. Znalazłam się bardzo daleko od Londynu.

Nagle autobus zatrzymał się na poboczu szosy. Kiedy kazano nam wysiadać, poczułam zmieszanie. Tutaj? W samym sercu pustkowia? Wśród łąk i pastwisk? Czyżbyśmy mieli spędzić noc w szczerym polu?

Kiedy wysiedliśmy i ponownie ustawiliśmy się w obowiązkowym dwuszeregu, w pewnej odległości dostrzegłam jednak blask światła. Im bliżej podchodziliśmy, tym wyraźniej rysowały się w ciemności sylwetki kilku budynków. Dwa lub trzy jednopiętrowe domy, które zdawały się jakby porzucone w samym środku pustkowia. Bądź co bądź zwiastowały jednak światło i nade wszystko ciepło - na



dworze zrobiło się nieprzyjemnie zimno i marzłam okrutnie w tej mojej letniej sukience, dzianym swetrze i zsuwających się z nóg rajstopach.

Gdy dotarliśmy do budynków, musieliśmy się zatrzymać. O ile dobrze rozpoznałam, były to małe sklepy z różnymi towarami oraz stojące obok niego dwa domy mieszkalne. Jedna z sióstr poleciła nam poczekać na zewnątrz; rozbiegliśmy się po łące naprzeciwko sklepu. Choć nasz marsz nie trwał długo, większość od razu usiadła na krótkiej jak szczyt trawie, pokrytej już wieczorną wilgocią. Wszyscy byliśmy zmęczeni. Zmęczeni strachem.

Nie potrafiłam już dłużej znieść zimna, toteż otworzyłam moją małą walizkę, wygrzebałam sweter z przykrótkimi rękawami i wciągnęłam go przez głowę. Poza tym włożyłam parę rajtuzów, które zrobiła dla mnie mama, w nadziei, że rozgrzeję nieco moje lodowate stopy. Zauważyłam, że Brian w ogóle nie nosił rajtuzów; podarowałam mu, choć niechętnie, moją drugą parę. Były na niego za duże, lecz przez to, że również buty miał za duże - przypuszczałam, że odziedziczył je po jednym ze swych starszych braci, i jak to u Somerville'ów bywało, nikt w najmniejszym stopniu nie zważał, czy pasują - mieliśmy gdzie upchać nadmiar wełny. Po raz pierwszy od chwili wyjazdu z Londynu odwrócił ode mnie wzrok. Patrzył na rajtuzy i z niemal nabożnym wyrazem twarzy wciąż je gładził.

- Przestań, nie dałam ci ich na zawsze! Chcę je dostać z powrotem! - ostrzegłam.

Nie przestawał gładzić wełny.

Drzwi sklepu otworzyły się, podobnie jak drzwi pobliskich budynków; tłum dorosłych wyszedł na zewnątrz. Wszyscy sprawiali

wrażenie poirytowanych i rozsierdzonych, gorączkowo perswadowali coś naszym opiekunkom. Ze słów, które zasłyszałam, wynikało, że byli wściekli z powodu naszego spóźnionego przybycia. Liczyli na znacznie wcześniejszy przyjazd pociągu do Scarborough, a tym samym i nasze pojawienie się. Złościли się, że w oczekiwaniu na nas musieli spędzić pół dnia na tym pustkowiu.

Siedząca obok dziewczynka szturchnęła mnie łokciem. - To są rodziny, u których będziemy mieszkać - syknęła - rodziny zastępcze!

- Domyśliłam się - odparłam nieco zarozumiale.

Obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem z ukosa. - Mnie zabierze moja ciocia. A ciebie?

- Nie wiem, do kogo trafię.

Jej wzrok napełniło współczucie. - Biedactwo!

- A to czemu? - chciałam się dowiedzieć. Staralam się, by mój głos zabrzmiał czupurnie, choć serce waliło mi jak oszalałe.

- No cóż, krążą straszne historie - powiedziała moja sąsiadka z pewnym upodobaniem do sensacji. - Można trafić do okropnej rodziny. Może przez cały dzień będziesz musiała ciężko pracować i nie dostaniesz prawie nic do jedzenia. Poza tym będą się nad tobą znęcać. I to okropnie. Słyszałam o pewnym przypadku...

- Co za bzdury! - przerwałam jej w pół słowa, w głębi ducha byłam jednak znacznie bardziej przerażona, niż potrafiłam to przyznać. A co, jeśli ona ma rację? Jeżeli czeka mnie piekło? Wtedy ucieknę, postanowiłam, i nawet gdybym musiała iść do Londynu na piechotę, nie zostanę w miejscu, gdzie mnie źle traktują.

Dorośli stanęli naprzeciwko nas, jedna z sióstr zaczęła wyczytywać nazwiska z listy. Wywołane dzieci musiały wystąpić z szeregu, przydzielano je do nowych rodzin. Zasadniczo byli to ich

krewni, w niektórych natomiast przypadkach, gdy dzieci i dorosłych nie łączyło żadne pokrewieństwo, już wcześniej podjęto chyba jakieś ustalenia dotyczące przydziału. Miałam głęboką nadzieję, że tymi ludźmi kierują same szlachetne motywy, gotowość niesienia pomocy oraz litość.

Nabrałam wszakże poważnych wątpliwości. Ciotka Edith opowiadała mi, że rodziny przyjmujące ewakuowane dzieci otrzymywały za to od rządu pieniądze. Pamiętam, że moją matkę bardzo to rozzłościło, zarzuciła ciotce Edith „plotkarską naturę”. Nie chciała, bym się dowiedziała o tych pieniądzach, to bowiem podawało oczywiście w wątpliwość szczerą intencję owych rodzin.

Wyczytano nazwisko dziewczynki stojącej obok mnie. Rzuciła się do przodu i uradowana padła w objęcia młodej kobiety, która, bliska płaczu, uściskała ją serdecznie. Ciotka. Strasznie zazdrościłam tej dziewczynce. Nigdy wcześniej nie zastanawiałam się, dlaczego - prócz ciotki Edith i jej dzieciarni w Londynie - nie mam żadnych krewnych, w tej jednak chwili odebrałam to jako bolesny brak w moim życiu. Jakże przyjemnie byłoby teraz przytulić się do kogoś, kto mnie zna i kocha.

Zamiast tego siedziałam na łące w mroku listopadowego wieczoru, rozświetlonym jedynie mizernym blaskiem kilku lamp oliwnych, które wyniesiono na zewnątrz, gdzieś w Yorkshire, z dala od wszystkiego, co było mi znajome, i nie miałam pojęcia, jaka czeka mnie przyszłość. U mego boku przeżywający traumę chłopiec, nieustannie gładzący rajtuzy, które mu włożyłam, malec, który chyba postanowił nigdy więcej nie odstąpić mnie ani na krok. Do tych jeszcze niewyczytanych podeszli teraz ludzie, którym nie przydzielono dotąd żadnego dziecka. Chodzili powoli pomiędzy rzędami, oświetlali nas latarkami lub stajennymi latarniami,

wyszukiwali dziecko, które chcieliby z sobą zabrać. Oceniali nas i taksowali wzrokiem, a następnie albo zabierali, albo odrzucali. Jeszcze dziś, kiedy piszę te słowa, pamiętam, jak mała, jak upokorzona, jak bezbronna i wydana na pastwę losu czułam się w tamtej chwili. W obecnych czasach takie postępowanie byłoby nie do pomyślenia. W XXI wieku w Anglii nie sposób sobie wyobrazić, by można było usadzić dzieci w rzędach na łące i oferować do wzięcia niczym na cotygodniowym jarmarku. Zdarzyło się to jednak w szczególnych okolicznościach tamtych lat. Siła niemieckich nalotów bombowych na Londyn zaskoczyła wszystkich, liczba zaś ofiar przekroczyła najgorsze nawet obawy. Obrona przeciwlotnicza brytyjskiej stolicy okazała się słabo wyposażona, a tym samym nieskuteczna. Ewakuacja dzieci na wieś w celu ich ochrony, nieważne, w jakich warunkach, okazała się sprawą najwyższej wagi. Zabrakło czasu na jej perfekcyjną organizację. Nie zawracano sobie głowy psychiką dzieci. Po prostu musiały to wszystko jakoś znieść.

Przede mną przystanęła jakaś kobieta i nachyliła się ku mnie. Wydawała się niewiele starsza od mojej matki, miała miły wyraz twarzy i subtelne rysy. Uśmiechnęła się.

- Jak się nazywasz? - spytała i zaraz potem sama sobie odpowiedziała, czytając napis na wywieszce, którą nosiłam: - Fiona Swales. Urodziłaś się 29 lipca 1929 roku. W takim razie masz jedenaście lat.

Skinęłam głową. Z jakiegoś powodu nie wypowiedziałam żadnego słowa. Wyciągnęła do mnie rękę. - Jestem Emma Beckett. Mieszkam na farmie niedaleko stąd. Słyszałam w radio o ewakuacji londyńskich dzieci i chciałam jakoś pomóc. Czy chciałabyś przez jakiś czas zamieszkać u nas?

Znów przytaknęłam skinieniem głowy. Jeszcze uzna mnie za niemowę. Była naprawdę miła, uświadomiłam sobie, że mogłabym trafić znacznie gorzej.

Farma... Nigdy dotąd nie byłam na farmie.

Spojrzała na Briana. - A to twój młodszy brat?

Brian, wciąż skupiony na swoich rajtuzach, zrozumiał, że o nim właśnie mowa. Natychmiast uczeplił się bojaźliwie mojego ramienia. Próbowałam się od niego uwolnić, lecz bezskutecznie. - Nie. - Wreszcie odzyskałam mowę. - Nie mam brata. To jest chłopiec naszych sąsiadów. On jest... nie powinien tu w ogóle...

- Nie? - spytała zaskoczona Emma Beckett. - Czy jego rodzice wiedzą, że tu jest?

- Jego rodzice nie żyją - wyjaśniłam - jego rodzeństwo również. Z całej rodziny przeżył tylko on. Przedwczoraj w nocy ich dom został zbombardowany.

Emma Beckett wyglądała na dogłębnie wstrząśniętą. - To straszne! Co my z nim teraz zrobimy? - Odwróciła się i skinęła na młodą kobietę, po czym wyjaśniła jej pokrótce sytuację. Kobieta zaczęła nerwowo oddychać, sprawiała wrażenie, jakby ją to przerosło. Jak szalona kartkowała swoje listy z nazwiskami.

- Nie ma go na liście? - pytała. - Jak on się nazywa?

- Brian Somerville - odparłam.

Przewracała ponownie kartki, potrząsając głową. - Nie ma go w wykazie!

Mówiłam to od samego początku. Opowiedziałam, jak nam go oddano i jak nagle razem ze mną znalazł się w pociągu. Młoda kobieta skinęła na siostrę z Czerwonego Krzyża. Wstałam, żeby nie siedzieć już dłużej jak mała skulona dziewczynka przed trzema dorosłymi osobami, tłoczącymi się teraz nerwowo wokół nas.

Również Brian natychmiast podniósł się z miejsca. Wciąż trzymał mnie mocno za rękę.

Siostra, rzecz jasna, także nie mogła odnaleźć jego nazwiska na swojej liście.

- W ogóle nie powinien wsiadać do tego pociągu - wyjaśniła, lecz było już za późno, by naprawić ten błąd.

- Co z nim teraz będzie? - spytała ponownie Emma Beckett. Brian zaczął dygotać. Jego drobne rączki objęły mnie tak mocno, że aż mnie to zabolowało.

- Właściwie powinien wrócić z nami do Londynu - powiedziała siostra.

- Ale przecież nie ma tam nikogo bliskiego! - krzyknęła Emma.

- Są sierocińce.

- Ale także bomby! Tu jest o wiele bezpieczniej!

Siostra zawahała się. - Nie mogę tak po prostu wywieźć z Londynu niezarejestrowanego dziecka. Będę miała nieprzyjemności i...

- Możemy go zabrać do domu w Whitby - zaproponowała młoda kobieta - trafią tam również te dzieci, które dziś wieczorem nie znajdą rodzin zastępczych.

Emma Beckett przykucnęła i spojrzała uważnie na Briana. - Jest w szoku - oznajmiła - nie sądzę, by można go było teraz oddzielić od Fiony. Ona jest chyba dla niego jedynym oparciem!

No to cudnie! Przeczynałam to w trakcie całej podróży. Że przylgnę do Briana Somerville'a, a on do mnie. Dorośli naradzali się między sobą, lecz w końcu nasze opiekunki przystały na to, by Emma Beckett zabrała do siebie na farmę także Briana.

- Wyjaśnimy to w Londynie - powiedziała siostra, po czym przy nazwisku Emmy i jej adresie dopisała w swym notatniku kilka

dodatkowych informacji. - Damy pani znać.

- W porządku - przytaknęła z ulgą Emma. Wzięła swoją walizkę.

- Chodźcie, dzieci. Jedziemy do domu.

Trochę złościła mnie ta jej uprzejmość. I troska, by pomóc nam przetrwać tę sytuację. *Jedziemy do domu!* Czy ona rzeczywiście sądziła, że jej farmę, tu, na krańcu świata, uznam za mój dom tylko dlatego, że ona tego chce? Mój dom był u mamy w Londynie. Nigdzie indziej.

Poczłapaliśmy za nią. Brian wciąż trzymał mnie za rękę. Niemal przywykłam już do tego ciężaru, który musiałam ciągnąć za sobą już prawie od dwunastu godzin. Zeszliśmy drogą w dół, po czym skręciliśmy w lewo i poszliśmy kawałek szosą, aż po lewej stronie dostrzegliśmy sylwetkę kościoła. Przed nim, na poboczu, stał zaparkowany samochód terenowy, coś w rodzaju jeepa z dwoma odkrytymi ławkami w tylnej części. Duża stojenna latarnia stojąca na jednej z ławek oświetlała całą scenerię nikłym blaskiem. Kiedy podeszliśmy bliżej, przed drzwiami po stronie kierowcy zarysował się jakiś cień. Ktoś czekał tam na nas oparty o samochód. Wysoki chłopiec, który miał może piętnaście albo szesnaście lat, znalazł się w kręgu światła latarni. Miał na sobie długie spodnie i gruby sweter, przeżuwał coś w ustach - źdźbło trawy, jak się przekonałam, kiedy przystanęłam tuż przed nim. Miał ponurą minę. W przeciwieństwie do Emmy nasza obecność najwyraźniej wcale go nie ucieszyła.

- To jest Chad, mój syn - powiedziała Emma, kładąc jednocześnie swoją walizkę na skrzyni ładunkowej auta. - Chad, to jest Fiona Swales. A to Brian Somerville.

Chad wlepił w nas wzrok. - Myślałem, że zamierzasz przyjąć *jedno* dziecko. A tu widzę *dwoje!*

- Potem ci to wyjaśnię - ucięła Emma.

Wyciągnęłam rękę do Chada. Po chwili zawahania uścisnął ją. Mierzyliśmy się wzrokiem. W jego oczach dostrzegłam niechęć, ale i zaniepokojenie.

- Chad nie ma rodzeństwa - wyjaśniła Emma - dlatego pomyślałam, że miło mu będzie mieszkać przez jakiś czas pod jednym dachem z innymi dziećmi.

Chad najwyraźniej miał na ten temat odmienne zdanie, przypuszczalnie jednak już wcześniej często i z żarciem o tym dyskutowali, wobec czego nie miał teraz odwagi otwarcie zmanifestować swej opinii.

Mruknął coś tylko pod nosem, po czym usadowił się na ławce.

- Weź oba maluchy z sobą do przodu, mamo - powiedział.

Poczułam złość, że określił mnie w ten sposób, tym większą, że potraktował mnie tak samo jak Briana; który w moich oczach był jeszcze prawie jak niemowlę.

- Mam jedenaście lat - wyjaśniłam prowokacyjnie i uniosłam podbródek, żeby wyglądać na choć trochę wyższą.

Chad uśmiechnął się szyderczo. Zmierzył mnie wzrokiem z wysokości samochodu.

- Naprawdę jedenaście? Psiakrew! - odparł. Wtedy nawet ja zrozumiałam, że kpi sobie ze mnie. - Ja mam piętnaście i nie mam ochoty zadawać się ani z tobą, ani z tym maluchem uwieszonym na twoim ramieniu. Zrozumiano? Zostawcie mnie w spokoju, a wtedy ja też dam wam spokój, i zaczekamy, aż Niemcy przegrają wreszcie tę wojnę i wszystko wróci do normy.

- Chad! - napomniała go Emma.

Wsiadliśmy do samochodu. Choć Chad obszedł się ze mną naprawdę niegrzecznie, był jednak tamtego dnia pierwszym



człowiekiem, któremu udało się poprawić mi nieco humor. Dlaczego? Tego nie umiałam sobie wytłumaczyć. Lecz kiedy ruszyliśmy spod kościoła, zanurzając się w głąb nocy i mrok niepewności, nie było mi już tak ciężko na sercu. Poczułam lekkie zaciekawienie tym, co mnie czeka.

## Niedziela, 12 października

### 3.

Leslie obudziła się z okropnym bólem głowy. Kiedy już doszła do siebie na tyle, że potrafiła sobie przypomnieć zdarzenia poprzedniego wieczora, zaczęła się zastanawiać, jak fatalnie by się czuła, gdyby nie wzięła podwójnej aspiryny.

Wygramoliła się z łóżka i chwiejnym krokiem wyszła z pokoju. Palilo ją straszne pragnienie. W wysuszonych ustach i gardle czuła piekący ból. Weszła do kuchni, odkręciła kran, nachyliła się i obmyła usta lodowatą wodą. Następnie skropiła twarz, żeby zupełnie się ocknąć.

Kiedy się wyprostowała, poczuła się nieco lepiej.

Rzut oka na kuchenny zegar uzmysłowił jej, że dochodzi już południe. Musiała spać jak kamień, co było dość niezwykle, zazwyczaj bowiem zrywała się z łóżka bardzo wcześnie, nawet jeśli poprzedniego wieczoru siedziała do późna. Zupełnie tak jak jej babka. Fiona już o świcie zawsze była na nogach. Leslie wspominała, jak będąc nastolatką, czuła się dosłownie porażona energią tej starej kobiety.

W tej chwili jednak Fiony nigdzie nie było widać. Mieszkanie było jak wymarłe.

Może wyszła na spacer. Leslie wyjrzała przez okno. Znów nastał cudowny dzień. Słońce rozświetlało wody zatoki od strony południowej, skrząc korony piany na grzbietach ciemnobłękitnych

fal. Szklista kopuła nieba sięgała wysoko. Kilka żaglówek wypłynęło z przystani. Pewnie znów zrobi się bardzo ciepło.

Dziwne, że w kuchni nic nie wskazywało na to, by Fiona zjadła rano śniadanie czy też przyszykowała coś dla swej wnuczki, jak to zazwyczaj czyniła. Przynajmniej zostawiłaby kawę na płycie grzewczej w ekspresie. Kiedy Leslie spojrzała uważniej, stwierdziła, że w szklanym dzbanku znajdowała się resztką kawy z poprzedniego dnia. Gdy uniosła dzbanek, lura chlupnęła, odsłaniając pozostawione na ściankach naczynia brunatne obwódki. Od ponad dwudziestu czterech godzin nikt tu nie zaglądał.

Leslie poirytowana zmarszczyła czoło. Babka nie potrafiła obyć się rano bez co najmniej dwóch filiżanek mocnej czarnej kawy oraz papierosa. Wydawało się wręcz nie do pomyślenia, by wstała i wyszła na spacer, rezygnując z tych dwóch rzeczy.

Leslie przeszła do pokoju dziennego. Pusto. Cisza. Brak popiołu w popielniczce. Czy to możliwe, żeby około pół do dwunastej w południe Fiona wciąż spała?

Nie namyślając się długo, ruszyła do pokoju Fiony. Uchyliła cicho drzwi. Dostrzegła łóżko, starannie nakryte niebieską narzutą. Zasłony nie były zaciągnięte. Pantofle Fiony stały przed szafą na ubrania. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak zwykle w ciągu dnia. Nie dało się stwierdzić, czy ktoś tu w nocy spał.

Być może Fiona przegadała z Chadem Beckettem pół nocy i ostatecznie postanowiła przenocować na farmie. Możliwe, że miała równie mało ochoty na rozmowę co jej wnuczka. Leslie, wciąż jeszcze czując złość, choć złagodził ją nieco dokuczający jej ciężki kac, pomyślała, że najlepiej będzie w ogóle się tym nie przejmować. Fiona zachowała się okropnie i nic nie szkodzi, jeśli się przekona,

że bliscy jej ludzie są oburzeni i nie tak łatwo dadzą się udobruchać. Colin lub Jennifer mogą ją odwieźć do Scarborough albo wróci taksówką. Ona zaś zaparzy sobie teraz kawy, przygotuje kanapki na drogę i ruszy do Londynu. W związku z czekającą ją przeprowadzką ma dość spraw na głowie. Czemu miałyby trwonić czas, użerając się ze staruszką.

Mimo tych rezolutnych myśli poszła do pokoju dziennego i chwyciła za słuchawkę. Lepiej jednak się upewni, że wszystko jest w porządku. Dzięki temu będzie miała spokojniejszą podróż.

Dopiero po dłuższej chwili na farmie Beckettów odebrano telefon. Leslie usłyszała głos Gwen. Dźwięczał tak, jakby młoda kobieta płakała przez kilka godzin - co wcale nie dziwiło, zważywszy na wczorajsze zdarzenia.

- Halo, Leslie - powiedziała Gwen. Te dwa słowa zabrzmiały tak ponuro, że Leslie poczuła ukłucie w sercu. - Dotarłaś wczoraj bez przeszkód do domu?

- Tak. Wszystko w porządku. Niestety, zboczyłam nieco z drogi i trafiłam do pubu, a teraz czuję się tak, jakby ktoś ścisnął mi głowę w imadle. Ale to nic, przejdzie. Posłuchaj, Gwen, Fiona była wczoraj nie do zniesienia. Chcę, żebyś wiedziała, że jestem całkowicie po twojej stronie.

- Dzięki - odparła cicho Gwen - wiem, że nie chciałaś do tego dopuścić.

- Czy ty... czy Dave odezwał się tymczasem?

- Nie. - Gwen znów zalała się łzami. - Nie odezwał się. I nie odbiera komórki. Z tuzin razy próbowałam go złapać. Wysłałam mu cztery SMS-y, ale na nie również nie odpisuje. Leslie, on ze mną zerwał. Nie ma już ochoty. I ja go rozumiem!

- Oczekaj trochę - pocieszała ją Leslie. - Naturalnie, że czuje się teraz dotknięty. Fiona ostro go zaatakowała, i to przy ludziach. Wcale mnie nie dziwi, że się gdzieś zaszył. Ale jestem pewna, że kiedyś wyjdzie ze swej kryjówki.

Gwen głośno opróżniła nos.

- Myślisz, że ona ma rację? - spytała.

- Kto? Fiona?

- W tym, co mówiła. Że Dave... że chodzi mu tylko o farmę. Że wcale mu na mnie nie zależy.

Leslie się zawahała. Rozmowa niebezpiecznie zmierzała w kierunku zaminowanego terenu, ją zaś dręczył akurat okropny ból głowy.

- Myślę, że Fiona w ogóle nie ma prawa tak mówić - odparła. Zarazem jednak tłumiła w sobie wewnętrzny głos, który jej podszeptował, że Fiona, bądź co bądź, odznaczała się zawsze sporą wiedzą o ludziach. - Ona nawet dobrze nie zna Dave'a. Ja niestety też. Wczorajszy wieczór trwał zbyt krótko, żebym mogła wyrobić sobie o nim zdanie.

Znów pozwoliła sobie na małe kłamstewko. Oczywiście nie zdążyła dobrze poznać Dave'a Tannera. Niemniej jednak od samego początku podzielała nieufność swej babki. Tanner zbyt dobrze wyglądał, był człowiekiem zbyt światowym, by można było uwierzyć, że zakochał się akurat w Gwen. Oboje nazbyt wiele różniło, a nie były to odmienności z rodzaju tych, co się przyciągają, lecz tych, które się wzajemnie wykluczają. Nadto aparycja Tannera zdradzała jego oczywisty niedostatek pieniędzy. Leslie doskonale rozumiała powody, dla których Fiona doszła do takich, a nie innych wniosków.

- Bardzo bym chciała, żebyś poszła do Dave'a i porozmawiała z nim - powiedziała Gwen. - Żeby zobaczył, że nie wszyscy z naszej rodziny są przeciwko niemu. A przy okazji może zdołałabyś się zorientować, co on... naprawdę do mnie czuje.

- Prawdę mówiąc, zamierzałam właśnie ruszać do Londynu - odparła trochę obcesowo Leslie. Myśl o tym, że miałyby się jeszcze bardziej wplątać w tę fatalną historię, zupełnie nie przypadła jej do gustu.

- Ale przecież chciałaś zostać kilka dni w Scarborough! - krzyknęła przerażona Gwen.

Leslie wyjaśniła, że jest trochę zła na babkę i dlatego nie ma ochoty zostać na dłużej. - Właściwie poczułam dziś rano ulgę, że nie musiałam jej oglądać na oczy. Czy miałaś już wątpliwą przyjemność zjedzenia z nią śniadania, czy może udało ci się zejść jej z drogi?

Po drugiej stronie zapanowało na chwilę pełne konsternacji milczenie. - Jak to? - zapytała Gwen. - Jej tu nie ma. Wybierała się do nas?

Leslie poczuła, że czubki jej palców zaczynają lekko mrowić.

- Nie spała u was?

- Nie. O ile mi wiadomo, zamówiła taksówkę, żeby wrócić do domu.

- Ale wszystko wskazuje na to, że... wcale tu nie spała.

- To dziwne - odparła Gwen. - U nas też jej nie było.

Leslie czuła coraz mocniejsze mrowienie w koniuszkach palców.

- Posłuchaj, Gwen, oddzwonię. Muszę to dokładnie sprawdzić.

Odłożyła słuchawkę, przeszła do sypialni Fiony, otworzyła szafę z ubraniami. Uważnie przeglądnęła sukienki, spódnice i bluzki, aż nabrała pewności, że nie było wśród nich sukni, którą Fiona

włożyła poprzedniego wieczoru. Podobnie zresztą w łazience i w koszu na bieliznę. Brakowało też butów i torebki. Jako że Fiona na pewno nie wyszła na spacer w jedwabnej sukni, szpilkach i z torebką w ręku, pozostawała jeszcze ostatnia ewentualność - od poprzedniego wieczoru nie zmieniła ubrania. W każdym razie nie u siebie w mieszkaniu.

Z całą pewnością nie wróciła do domu.

Leslie pobiegła do swojego pokoju i narzuciła na siebie ubranie. Choć miała nieodpartą ochotę na przyjemny długi prysznic i filiżankę mocnej kawy, postanowiła nie marnować ani chwili. Rozczesała tylko włosy, po czym zabrała kluczyki do samochodu oraz klucze od mieszkania, wybiegła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Trzy minuty później była już w drodze na farmę Beckettów.

Nisko zawieszone, bardzo ostre słońce świeciło jej prosto w twarz, potęgując ból głowy. Nie zważała na to.

#### 4.

- Zamówiłem dla niej taksówkę - opowiadał Colin. - Długo rozmawiała z Chadem, na pewno ze dwie godziny. Potem wyszli razem z gabinetu i powiedziała, że chce wrócić do domu. Oglądałem telewizję i właśnie zamierzałem pójść na górę, by położyć się spać. Zaproponowałem, że zamówię dla niej taksówkę. Oświadczyła, że chce przejść się kawałek, noc była bowiem dość jasna. Poprosiła, żebym zamówił jej taksówkę pod Whitestone-Farm. Tak właśnie zrobiłem.

- Pod Whitestone-Farm? - spytała zaskoczona Leslie. - W takim razie musiała przejść przez las, pokonać ten mały mostek, potem pod górę... Zabrało jej to co najmniej piętnaście minut! - Leslie, Colin oraz blada i zapłakana Gwen rozmawiali w kuchni. Gwen

zmywała, Colin zaś, który wcześniej siedział przy stole i ze zmarszczonym czołem studiował stos gęsto zadrukowanych papierów, stał teraz i wycierał naczynia.

- Ale tego właśnie chciała - powiedział. - Przejść się. - Zamyślił się na chwilę. - Odniosłem wrażenie, że była nieco rozdrażniona. Albo tak na nią podziałała ta cała sprawa z Dave'em Tannerem, albo rozmowa z Chadem okazała się nieprzyjemna. W każdym razie była wyraźnie wzburzona. Wcale się nie dziwię, że potrzebowała nieco ruchu.

- Zastanawiam się, dokąd mogła potem pojechać - rozważała Leslie. - Być może nie chciała wracać do domu, żeby nie wejść mi w drogę. Choć byłoby to zachowanie zupełnie nietypowe. Nie jest osobą, która unika konfrontacji.

Odwróciła się, słysząc za plecami czyjeś kroki. To Chad wyłonił się z pokoju dziennego. Jak zawsze sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie.

- Witaj, Leslie - zagadnął. - Czy Fiona też tu jest?

- Wygląda na to, że Fiona zniknęła - wyjaśnił Colin.

Chad błędził zmieszonym wzrokiem po twarzach obecnych.

- Jak to zniknęła?

- Wczoraj wieczorem Colin zamówił dla niej taksówkę - odrzekła Leslie - pod Whitestone-Farm, bo chciała się trochę przespacerować. Ale nie wróciła do domu. Chad, widziałeś, jak wychodziła?

- Ostatni raz widziałem ją w drzwiach - odpowiedział Chad - kiedy zamierzałem położyć się do łóżka. Właśnie wkładała płaszcz i oświadczyła, że czekając na taksówkę, wyjdzie jej naprzeciw. Słyszałem jeszcze, jak zamknęła za sobą drzwi.



- Zadzwońię do centrali taksówek - oznajmił Colin, odkładając ścierkę na stół. - Musieli zarejestrować ten przejazd. Wtedy będziemy wiedzieć więcej. - Czmychnął do gabinetu, gdzie znajdował się telefon.

Gwen skończyła zmywać i wytarła dłonie. - Nie martw się, Leslie. Na pewno wszystko się wyjaśni.

Leslie spróbowała się uśmiechnąć. - Jasne. Złego diabli nie wezmą. - Przyłożyła dłoń do czoła. - Okropnie boli mnie głowa. Czy mogę prosić o kawę? I to możliwie jak najmocniejszą?

- Oczywiście - odparła natychmiast Gwen. - Zaraz nastawię wodę.

Z przedpokoju dobiegły odgłosy dreptania i ziajania. Obydwa dogi od razu zajrzały do kuchni. Za nimi pojawiła się Jennifer; miała zarumienione policzki i zmierzwione włosy. - Pięknie dziś na dworze - oznajmiła. - Słońce i wiatr, i krystalicznie czyste powietrze. Gwen, powinnaś była pójść ze mną. Och, witaj Leslie! Jak się miewasz?

- Fiona zniknęła - powiedziała Gwen.

Jennifer wyglądała na równie zmieszaną jak kilka minut wcześniej Chad. - Co znaczy: zniknęła?

- Znaczy tyle, że wczoraj wieczorem wyjechała stąd, ale nie dotarła do domu - wyjaśniła Leslie. - Zauważyłam to dopiero dziś około południa. Colin właśnie dzwoni do centrali taksówek.

Colin pojawił się za plecami żony. - Sprawdzają to - oznajmił.

- Oddzwonią.

- Bardzo dziwne - zauważył Chad.

- To, że zabrał ją Dave Tanner, możemy chyba wykluczyć - powiedziała Leslie.

- Dave'a nie było już od ponad dwóch godzin, kiedy Fiona zbierała się do powrotu - potwierdził Colin. - Musiałby przebywać gdzieś w pobliżu, ale... czemu miałby to robić?

- Może chciał się ponownie spotkać ze swoją narzeczoną - podsunęła Jennifer. - Gdy wreszcie wszyscy odjadą albo położą się spać.

W oczach Gwen pojawił się promyk nadziei. - Naprawdę tak sądzisz? - spytała.

- Ale dlaczego miałby czekać na Fionę? Akurat! - odparła Leslie.

Jennifer wzruszyła ramionami. - Miał powody, żeby z nią porozmawiać. Przekonać ją do szczerości swych zamiarów, przedstawić jej swój punkt widzenia. Nie do niego należało wyjaśnienie wieczornego incydentu, ale być może chciał to jednak uczynić.

- W takim razie dlaczego nie odwiózł jej potem do domu? - zapytał Chad.

- Zabrał ją do siebie. Rozmawiali całą noc. A potem wybrali się do jakiegoś lokalu na śniadanie! - Jennifer szukała w oczach pozostałych potwierdzenia własnych słów. - Po nich można się tego spodziewać. Tak po Tannerze, jak i po Fionie.

- Sama nie wiem... - zaczęła Leslie, lecz wtedy zadzwonił telefon. Nie dokończyła zdania, wraz z pozostałymi czekała w milczeniu, aż Colin wróci z gabinetu.

- To naprawdę zagadkowe - oznajmił. - Rozmawiali właśnie z kierowcą. Zgodnie ze zgłoszeniem podjechał pod Whitestone-Farm, miał tam zaczekać. Nikogo jednak nie było widać. Odczekał dłuższą chwilę, po czym powoli ruszył dalej ulicą, ale tam również nikogo nie było. W końcu, trochę poirytowany, pojechał do domu, nie

załatwiwszy zlecenia. W centrali zameldował, że to chyba jakaś pomyłka.

Wszyscy spojrzeli po sobie. W powietrzu dało się wyczuć napięcie. I strach.

- A zatem najpierw sprawdzimy drogę do Whitestone-Farm - zdecydowała Leslie. - Może Fiona upadła albo dostała zawrotów głowy... Ma już przecież swoje lata! - Spojrzała na obydwu mężczyzn. - Że też żaden z was nie wpadł na to, żeby towarzyszyć starej kobiecie w samym środku nocy! Albo wybić jej z głowy ten pomysł ze spacerem.

- Fiona nie da sobie niczego wybić z głowy - mruknął Chad. I miał rację.

Colin przecesał dłonią włosy. Spojrzał, świadom swej winy. - Racja - przyznał - oczywiście należało ją odprowadzić. Było... późno, i myślę, że... nie czułem się za nią odpowiedzialny. Poza tym byłem rozgniewany... *wszyscy* byli na nią źli... - Umilkł bezradnie.

Leslie postanowiła dłużej nie drażnić tematu. Miał rację. Fiona rozzłościła wszystkich. A ją najbardziej. Tak bardzo, że wróciła do domu sama, zamiast zaczekać na babkę.

- Gwen, spróbuj, proszę, jeszcze raz złapać Dave'a. Może on coś wie. Jeśli dalej nie będzie odpowiadał na twoje telefony, sama go odwiedzę. - Leslie odwróciła się, gotowa do wyjścia. - Czy ktoś pójdzie ze mną i pomoże mi przeszukać drogę?

Colin i Jennifer przyłączyli się do niej, Jennifer zabrała też psy. Wąska dróżka tonęła w ciszy słonecznego światła. Po obu stronach ogradzał ją żywopłot wysokości dorosłego człowieka, mieniąc się wszystkimi barwami jesieni. Gdzieniedzie na gałązkach wisiały jeszcze dojrzałe, czarne jeżyny. Spokojna niedziela października, przywodząca na myśl późne lato... W dali iskrzył się błękit morza.

W niewielkiej odległości ujrzeni przed sobą sporych rozmiarów bramę, zagradzającą dostęp do sąsiedniej farmy. Wzdłuż rozległych pastwisk dla owiec prowadziła ścieżka. Szosa skręcała w tym miejscu ostro w prawo i łagodnymi łukami wiodła w dół, zagłębiając się w las złożony z wysokich, wciąż jeszcze okrytych gęstym listowiem drzew, zarośli i paproci. Słoneczne światło docierało tu jedynie miejscami, było przytłumione i nadawało wszystkiemu miękki odcień zieleni. Wąski mostek z kamienną balustradą prowadził ponad głębokim zalesionym wądołem, którego dnem woda sączyła się tej suchej jesieni ledwie niewielką strugą. W oddali droga znów wiła się z wolna w górę.

Nocą musi tu być ciemno choć oko wykol. Zabłądzenie było jednak praktycznie niemożliwe, nigdzie bowiem nie dało się zboczyć z drogi. Wądoł zaś był odgraniczony murem. Stoczyć się w dół mógł tylko człowiek pijany w sztok. Fiona z pewnością była, jak zawsze zresztą, zupełnie trzeźwa.

Leslie ogarniał coraz głębszy strach. Coś tu się nie zgadzało.

Powędrowali aż do Whitestone-Farm, a nawet kawałek dalej, penetrowali zarośla na poboczu, rozglądali się po ciągnących się w oddali pastwiskach. Psy biegały tam i z powrotem, podskakując radośnie; nic nie wskazywało na to, żeby zwietrzyły coś niezwykłego.

- Czy mogłyby podjąć trop? - spytała Leslie. - Gdyby dać im do powąchania na przykład jakąś część garderoby Fiony?

Jennifer potrząsnęła głową. - Do tego psy muszą być szkolone. Te nie wiedziałyby, co z tym począć.

Przygnębieni ruszyli w drogę powrotną. Cokolwiek przytrafiło się Fionie, na drodze, którą miała iść, nie pozostawiła żadnych śladów.

Przy bramie prowadzącej na farmę czekała na nich Gwen, która tymczasem wielokrotnie próbowała skontaktować się z Dave'em Tannerem. - Nadal nie odbiera komórki - oznajmiła - zupełnie jakby zapadł się pod ziemię!

- Tak jak moja babcia - odparła Leslie, sięgając do kieszeni spodni po kluczyki do samochodu. - Dlatego pojedę teraz do niego. Gwen, chcesz się ze mną zabrać?

Gwen się wahała, zwlekała, aż w końcu zdecydowała, że jednak zostanie. Nic nowego, pomyślała Leslie o zachowaniu przyjaciółki: ona nigdy nie przechodzi do ofensywy. Wciąż pozostaje w ukryciu. Doprowadziła do tego, że w jej życiu niewiele się działo, a przez dłuższe okresy zupełnie nic.

Leslie kazała sobie podyktować adres i wkrótce znów siedziała w swoim samochodzie. Kiedy jechała rozświetloną promieniami słońca szosą, wciąż czując ból głowy i przekraczając nieco dozwoloną prędkość, poczuła nieodparte pragnienie rozmowy ze Stephenem. Żeby mu powiedzieć, że zdarzyło się coś strasznego, by usłyszeć od niego słowa pociechy i rady, posłuchać jego ciepłego głosu, który wciąż miał na nią kojący wpływ. Lecz zdołała zapanować nad tą chwilą słabości. Stephen nie był już mężczyzną stojącym u jej boku. A poza tym nie wydarzyło się przecież nic strasznego.

Przynajmniej na razie nic na to nie wskazywało.

## 5.

Dave Tanner mieszkał w samym centrum miasta, zaledwie kilka kroków od strefy dla pieszych, gdzie znajdowały się domy towarowe i pomniejszych sklepiki, w bezpośrednim sąsiedztwie hal targowych oraz Friarage School, w której prowadził kursy. Friargate Road otaczały z obu stron domy szeregowe, wzniesione z

czerwonej wypalanej cegły, z lakierowanymi na biało drzwiami wejściowymi. Większość z nich była posadowiona poniżej poziomu ulicy, dlatego wiodły do nich prowadzące w dół schody. Sprawiały przez to wrażenie nieco mrocznych suterren.

Kiedy Leslie zatrzymała się tuż za zardzewiałym gratem Dave'a Tannera i wysiadła z samochodu, wyczuła w lekkim powiewie wiatru zapach morza. Rozproszyło to trochę nastrój przygnębienia, który zaczął spowijać całą jej istotę. Morza nie było stąd wprawdzie widać, ale przydawało ono tutejszemu powietrzu świeżości i czystości, czyniąc z tego monotonnego osiedla miejsce niezwykle.

Przyglądała się domom. Zauważyła, że w prawie każdym ogródku oraz na większości murków widniały wywieszki zabraniające na tej ulicy gry w piłkę. Widocznie rozbito tu już niejedną szybę, co z pewnością miało związek z mieszczącą się w pobliżu szkołą. Mieszkańcy zgodnie usiłowali zawczasu zapobiec temu zagrożeniu.

W domu, w którym mieszkał Dave Tanner, prawie niepostrzeżenie poruszyła się na parterze żółtawa, wypłowiała firanka. Leslie domyśliła się, że ktoś ją obserwuje. Z domu stojącego nieco dalej, po drugiej stronie ulicy, wyszła młoda kobieta z dzieckiem na ręku.

Rozejrzała się nerwowo, po czym ruszyła w kierunku St. Helen's Square, który prowadził do strefy dla pieszych. Obrzuciła Leslie nieufnym spojrzeniem.

Na tej ulicy rzadko widują nieznajomych, pomyślała Leslie. Albo mój stosunkowo nowy samochód wygląda tu strasznie egzotycznie.

Właśnie miała zadzwonić do drzwi, kiedy kątem oka dostrzegła zbliżającą się postać. Odwróciła się.

Ulicą szedł Dave Tanner. Był rozluźniony, a przynajmniej takie sprawiało wrażenie. Na widok Leslie przyspieszył kroku.

- No proszę - odezwał się, podchodząc do niej - taka wizyta w niedzielę! Czy przybyła tu pani jako wysłanniczka rodziny Beckettów, by sprawdzić warunki oraz otoczenie, w jakich mieszkam?

Skoro nie przywitał się z nią, Leslie również poniechała tego rytuału. Dość obcesowo zapytała: - Czemu nie odbiera pan telefonów od Gwen?

Spojrzał na nią osłupiały, po czym raptownie się roześmiał.

- I dlatego pani przyjechała? Żeby mnie o to zapytać?

- Nie. Właściwie to szukam mojej babci. Fiony Barnes.

Słyszając to, był nie mniej zdumiony. - Tutaj? U mnie?

- Czy wczoraj wieczorem wrócił pan prosto do domu? - spytała Leslie.

Sprawa miała wrażenie rozbawionego. - Czy to przesłuchanie?

- Tylko pytanie.

- Wróciłem prosto do domu, owszem. Nie mam pojęcia, gdzie podziewa się pani babka, i szczerze mówiąc, nie jestem zbyt zainteresowany spotkaniem z nią. - Wskazał na drzwi wejściowe. - Może nie będziemy rozmawiać na ulicy? Ma pani ochotę na kawę?

Leslie co prawda poprosiła Gwen o kawę, uświadomiła sobie jednak, że ostatecznie nie miała czasu jej wypić. Dochodziła już druga po południu, ona zaś nic jeszcze tego dnia nie jadła. Niemal chwiała się na nogach, a jej żołądek zdradzał objawy lekkich nudności.

- Kawa dobrze by mi zrobiła - odparła z wdzięcznością.

Dave ruszył przodem, zszedł w dół po schodach ku drzwiom wejściowym. Leslie mogła teraz dostrzec wyraźną sylwetkę osoby

kryjącej się w oknie za firanką. Zauważył ją również Dave.

- Moja gospodyni - wyjaśnił - aktywnie uczestniczy w życiu innych ludzi, by użyć nad wyraz pozytywnego sformułowania. - Otworzył drzwi. - Proszę, niech pani wejdzie.

Leslie znalazła się w wąskim ciemnym korytarzu i omal nie zderzyła się ze starszą kobietą, która wychodziła właśnie ze swego pokoju dziennego. To musiała być gospodyni. Zmierzyła Leslie wzrokiem od stóp do głów.

- No proszę! Odwiedziny?

Leslie podała jej dłoń. - Jestem doktor Leslie Cramer. Muszę krótko porozmawiać z Mr Tannerem.

- Willerton - odparła gospodyni. - Jestem właścicielką tego domu. Wynajmuję pokój na górze, od kiedy mój mąż już tu nie mieszka.

Dave przecisnął się między obiema kobietami i ruszył w kierunku schodów. - Proszę uważać na stopnie, doktor Cramer - ostrzegł. - Są schodzone i strome, a światło nadzwyczaj mętne.

- Niech pan sobie poszuka pokoju gdzie indziej, skoro u mnie jest tak obskurnie! - krzyknęła urażona Mrs Willerton.

Leslie pospieszyła za Dave'em, rozpoczynając iście karkołomną wspinaczkę po schodach. Dave otworzył drzwi na piętrze. - Niestety, muszę panią wprowadzić prosto do mojej sypialni - powiedział. - Nie mam więcej pomieszczeń do dyspozycji.

W pokoju panował totalny chaos. Stała w nim co prawda szafa, lecz Tanner z całą pewnością nie trzymał w niej ubrań. Spodnie i swetry leżały przerzucone bezładnie przez oparcia krzeseł i foteli albo też walały się po podłodze. Łóżko było niezasłane, pościel całkiem zmiętoszona. Obok stała butelka wody mineralnej. Gazety, wielokrotnie czytane i zupełnie pogniecione, zakrywały całą



powierzchnię niewielkiego stołu w kącie pokoju. Leslie zauważyła szminkę leżącą na okiennym parapecie oraz zwinięte czarne rajstopy pod krzesłem przy stole. Była zaskoczona faktem, że Gwen często tu nocowała, tłumaczyła sobie jednak, że wbrew swej aparycji nie musi być przecież żelazną dziewicą i ma oczywiście prawo zabawiać się tu z narzeczoną. Odmienne zachowanie byłoby wręcz nienormalne. Nie przypuszczała jednak, że Gwen używa szminki - nigdy jeszcze nie widziała jej z umalowanymi ustami. Nie spodziewała się też cieniutkich czarnych rajstóp z jedwabiu. Ale któż to mógł wiedzieć.

Może udając się na randkę z Dave'em, Gwen przeobrażała się w wampa. Być może tu właśnie kryło się rozwiązanie zagadki tych dwojga tak niewiarygodnie odmiennych ludzi. Seks. Może uprawiali szaleńczy, fantastyczny, wprost nieziemski seks.

Leslie musiała jednak przyznać, że w przypadku Gwen trudno to sobie było wyobrazić.

Dave zdjął z krzesła kilka T-shirtów. - Proszę, niech pani usiądzie. Zaparzę kawę.

Nad zlewem umieszczonym w swego rodzaju aneksie kuchennym przy drzwiach nalał wody do czajnika i włączył go. Wyjął z szafki słoik - kawa rozpuszczalna, pomyślała z rezygnacją Leslie, tego się właśnie obawiałam - i nasypał łyżką brązowego proszku do dwóch filiżanek. Uprzątnął ze stołu gazety, po czym postawił na nim miseczkę z mlekiem w proszku oraz paczkę cukru w kostkach.

- *Voilà!* Zaraz wszystko będzie gotowe!

- Był pan już na spacerze? - zapytała Leslie.

Przytaknął. - Zbyt ładna pogoda, żeby siedzieć cały dzień w tym pokoju, nie sądzi pani?

- Czy wczoraj wieczorem od razu położył się pan spać? To znaczy, po tym wszystkim, co zaszło, musiał pan być trochę wzburzony.

- Nie, wcale nie byłem wzburzony. I owszem, od razu poszedłem spać. - Przyniósł zagotowaną wodę, napełnił filiżanki. - Doktor Cramer, co to ma niby znaczyć? Wciąż pyta mnie pani o to, co robiłem wczoraj wieczorem. Dlaczego? Co się stało z pani babką? I co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Wczoraj wróciłam sama do jej mieszkania. Byłam na nią wściekła i nie miałam ochoty z nią rozmawiać. Została jeszcze jakiś czas na farmie Beckettów, potem poprosiła Colina Brankleya, żeby zamówił dla niej taksówkę. Życzyła sobie jednak, by podjechała pod farmę oddaloną od Beckettów o dobre piętnaście minut marszu. Colin twierdzi, że była bardzo wzburzona i koniecznie chciała się przejść. Taksówkarz nikogo jednak w umówionym miejscu nie zastał, krążył jeszcze przez chwilę po okolicy, aż w końcu odjechał do Scarborough. Fiona ani się nie pojawiła w swoim mieszkaniu, ani też nie wróciła na farmę Beckettów. Po prostu zniknęła. I dlatego zaczynam się martwić.

- Rozumiem. Ale dlaczego pomyślała pani, że ja mógłbym znać miejsce jej pobytu?

Leslie łyknęła kawy, parząc sobie przy tym język. Smakowała okropnie. Wbrew swemu przyzwyczajeniu sięgnęła po cukier.

- Miałam nadzieję, że pan coś wie. Mogło się przecież zdarzyć, że Fiona odwiedziła pana, ponieważ zachowała się wobec pana okropnie. Chciałam po prostu... spróbować.

- Niestety, naprawdę nie mam pojęcia, gdzie mogłaby się podziewać - zapewnił Dave.

I czemu miałyby mnie okłamywać, pomyślała Leslie. Poczowała znużenie i strach. A jednak wzbraniała się przyznać, że jej babci mogło się przydarzyć coś poważnego. Fiona nie była z rodzaju tych, którym coś się przytrafia. Zaraz jednak zadała sobie pytanie, czy ktoś taki w ogóle istnieje: człowiek, któremu nic się nie przytrafia. Czyż to nie jest ów niesamowity fatalizm, że każdego wszystko może spotkać, zawsze i wszędzie?

Rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, jak dorosły mężczyzna może mieszkać w takich warunkach. Student, być może, ale mężczyzna przed czterdziestką? Co w życiu Dave'a Tannera poszło nie tak? W jego oczach czaił się niepokój, może nawet cień zwątpienia. Nie znosił tego pokoju i, o dziwo, nie uczynił nic, by go nieco ulepszyć, wręcz przeciwnie, zupełnie go zaniedbał. Ten pokój uosabiał jego złość wobec własnego życia - wobec nędznego, zapuszczonego domu, natrętnej gospodyni, samochodu, który stale odmawiał posłuszeństwa, przypuszczalnie także wobec pracy, która nie przynosiła mu jakiegokolwiek satysfakcji czy spełnienia. Uważała go za człowieka inteligentnego i wykształconego - dlaczego niczego więcej nie osiągnął, dlaczego znalazł się w tej dziurze, pod jednym dachem z tą wstrętną starą kobietą?

- Wydaje mi się, że wczoraj wieczorem opuściłem farmę Beckettów około pół do dziewiątej - powiedział Dave - i szacuję, że byłem tu przed dziewiątą. Napiłem się jeszcze wina i poszedłem spać. Fiony Barnes ani nie widziałem, ani z nią nie rozmawiałem. To wszystko.

- Musiał pan być wczoraj wściekły.

- Owszem, czułem gniew, ponieważ zaatakowała mnie w obecności wszystkich. Bo zepsuła nam wieczór. Jej opinia na temat mojej osoby nie była dla mnie całkiem obca, nawet jeśli nie

wyraziła jej dotąd w sposób tak bezpośredni. Zawsze wyczuwałem jej nieufność.

- Ona się martwi o Gwen.

- Jakim prawem?

- Co pan ma na myśli? - spytała zaskoczona Leslie.

Gwałtownym ruchem zamieszał w filiżance, aż rozlał nieco kawy na stół. - To, co mówię. Jakim prawem? Ona nie jest dla Gwen ani matką, ani babką. Nie jest z nią nawet spokrewniona. Co ją skłania do tego, by tak bardzo się wtrącać w życie Gwen?

- Od wieków przyjaźni się z jej ojcem. Gwen bardzo ją lubi, zawsze traktowała ją jak zastępczą matkę. To siłą rzeczy rodzi poczucie odpowiedzialności. A Fiona jest nieufna.

- Dlaczego?

Leslie ostrożnie ważyła słowa. - Pewnie pan wie, że jest pan dość atrakcyjnym mężczyzną, Dave. Nie wątpię, że z łatwością wzbudza pan zainteresowanie młodych, ładnych, ciekawych kobiet. Czemu zatem Gwen? Ona jest...

Patrzył na nią wyczekująco. - Tak?

- Nie jest jakąś szczególną piękną - powiedziała Leslie - co niekoniecznie byłoby problemem, gdyby jednocześnie odznaczała się radosnym, dowcipnym, byстрыm usposobieniem. Albo niezwykłą inteligencją, albo fascynującą pewnością siebie, wielką ambicją, bystrością umysłu... czymkolwiek. Lecz ona jest nieśmiała, trochę oderwana od życia i mało... mało interesująca. Moja babcia nie rozumie, co pana w niej pociąga.

- Pani babka dobrze to rozumie. Farma. Sporo morgów cudownego terenu, który w niedługim czasie będzie należał do Gwen.

Przecież jasno powiedziała, że chodzi mi wyłącznie o to. O posiadłość.

- I ma rację? - spytała prowokacyjnie Leslie.

- Co pani ma na myśli? - odpowiedział pytaniem Dave.

- Nie chcę być nieuprzejma...

- Proszę się nie krępować.

- Okay. Nie mogę uwierzyć, że zadowala pana życie, jakie pan tu prowadzi. Myślę, że szuka pan okazji, by się stąd... z tego wszystkiego - tu wskazała ręką na nieuporządkowany pokój - wyrwać. Jest pan mężczyzną, który robi na kobietach wrażenie, lecz nie może im pan niczego ofiarować, a to znacznie ogranicza pańskie możliwości zmiany swego obecnego położenia poprzez małżeństwo. Kobiety w pana mniej więcej wieku widok tego pokoju odstręcza. Młode dziewczyny pewnie w mniejszym stopniu, lecz one z reguły niczego nie posiadają i dlatego nie mogą wyciągnąć pana z tego bagna. Patrząc z tej perspektywy, Gwen to dla pana niezwykle szczęśliwy traf - takiej okazji nie może pan przepuścić, bo podobna z całą pewnością szybko się nie nadarzy, jeśli w ogóle kiedykolwiek.

Słuchał w milczeniu. Nawet jeśli złościły go jej słowa, nie dawał tego po sobie poznać. Sprawiał wrażenie zupełnie niewzruszonego.

- Słucham panią - odezwał się, kiedy na chwilę przerwała - proszę kontynuować, skoro już pani zaczęła.

- Gwen jest samotna - podjęła Leslie, odzyskując pewność siebie - mimo miłości, jaką darzy swego ojca, czuje się samotna. Uświadamia sobie, że jej życie, w obecnym jego kształcie, nie daje jej żadnych perspektyw na przyszłość. Marzy o księciu z bajki i jest gotowa na wiele ustępstw, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto przybędzie po nią na swym rumaku i uniesie ku wspólnej

przyszłości. Przymknij oko na wszystko, co u innych kobiet być może wzbudziłoby podejrzenia i kazałoby zachować powściągliwość.

- Na przykład?

- Pańskie warunki życia. Ten wynajmowany pokój. Pańską pracę, którą w istocie można określić jedynie jako *zajęcie*, a nie *pracę*.

Samochód, który w każdej chwili może się rozpaść. Nie jest pan już studentem. Dlaczego żyje pan w ten sposób?

- Może tak właśnie lubię.

- Nie wierzę.

- Ale pani nie może tego wiedzieć.

- W takim razie zapytam inaczej - rzekła Leslie. - Skoro wszystko w pańskim życiu jest w najlepszym porządku, a Fiona się myli i to nie o farmę Beckettów panu chodzi - wobec tego o co? Co się panu w Gwen podoba? Czemu ją pan kocha?

- A czemu kocha pani swojego męża?

Leslie wzruszyła ramionami. Ogarnęła ją złość, kiedy poczuła rumieńce na swych policzkach. - Jestem rozwiedziona — odparła.

- Dlaczego? Dlaczego się nie udało?

Gwałtownym ruchem odstawiła filiżankę, którą właśnie miała zbliżyć do ust. Teraz również ona miała przed sobą brązowe jeziorko. - Sądzę, że to nie pańska sprawa - odpowiedziała ostrym tonem.

Dave zachował spokój. - Zgadza się. I dlatego ani pani, ani nikogo innego, w tym także Fiony Barnes, nie powinno obchodzić, co łączy mnie z Gwen. Kiedy ktoś na mnie w ten sposób nastaje, czuję się tak, jak poczuła się pani, słysząc moje pytanie. Nikogo nie powinno to obchodzić. I jeszcze jedno - jego głos przybrał niemal groźny ton. - Powinniście pozwolić Gwen podążać własną drogą.

Wszyscy. Dajcie jej wreszcie dorosnąć. Pozwólcie jej decydować o sobie. Nawet jeśli to były decyzje błędne. I niewłaściwy mężczyzna. Nieważne. Ale przestańcie ją uszczęśliwiać. Utrwalacie przez to tylko jej alienację i życiową niezaradność. Powinniście czasem o tym pomyśleć!

Przełknęła ślinę. - Zachęcał mnie pan do nieuprzejmości, Mr Tanner.

- Owszem. Żeby pani coś zrozumiała.

Czuła gniew, lecz właściwie nie wiedziała, przeciwko czemu miałyby go skierować. Skarcił ją i potraktował jak jakąś uczennicę, zarazem jednak uświadomiła sobie, że on ma rację. Obie z Fioną mieszały się w sprawy, które nie powinny ich w ogóle obchodzić. Traktowały Gwen jak małe dziecko, Dave'a zaś jak matrymonialnego oszusta. Jak dotąd rodziło to jedynie kontuzję i nieszczęście: Dave opuścił przedwcześnie własne przyjęcie zaręczynowe, Gwen siedziała w domu i wypłakiwała sobie oczy, a Fiona jakby zapadła się pod ziemię. Bilans tego weekendu przedstawiał się druzgocąco.

Wspomnienie Fiony skierowało myśli Leslie na niecierpiącą zwłoki kwestię. Opróżniła spiesznie filiżankę, na której dnie osadziła się góra cukru zmieszana z nierozpuszczonym mlecznym proszkiem, po czym podniosła się z krzesła.

- Nie chcę się panu narzucać - powiedziała. - I dziękuję za kawę. Ale teraz muszę poszukać mojej babci. Obawiam się, że jeśli nie zjawi się do wieczora, zawiadomię policję.

Dave także wstał z miejsca.

- To nie jest zły pomysł - stwierdził - ale być może czeka już na panią w domu.

Leslie miała co do tego wątpliwości. Po omacku zeszła po stromych, pogrążonych w mroku schodach. Gospodyni stała w korytarzu przed lustrem i przecierała ścierką jego ramę. To oczywiste, że usiłowała wyłapać każde słowo rozmowy na piętrze.

Jak Dave to wytrzymuje, zastanawiała się Leslie, lecz po chwili знаła już odpowiedź: On tego nie wytrzymuje. Jest głęboko nieszczęśliwym człowiekiem.

Dave odprowadził ją do samochodu. Wsiadając, zwróciła się do niego: - Proszę wyświadczyć mi tę przysługę i zadzwonić do Gwen. Ona nie ponosi żadnej winy za to, co się wczoraj stało. Proszę nie traktować tego jako dalsze mieszanie się w nie swoje sprawy. To tylko prośba przyjaciółki.

- Zobaczymy - odparł niejasno Dave.

Odjeżdżając, spojrzała we wsteczne lusterko, lecz Dave'a nie było już widać. Od razu wrócił do siebie. Z lekkim dreszczem pomyślała, jak nieprzyjemna musi być dla niego długa cicha niedziela w tym ponurym pokoju. Za nic w świecie nie zamieniłaby się z Tannerem.

Mieszkanie Fiony było tak samo puste jak rankiem, nic też nie wskazywało na to, by pod jej nieobecność ktoś do niego zaglądał.

Leslie poczuła straszliwy głód. Wyjęła z zamrażalnika mrożony zrazik i umieściła go w mikrofalówce. Następnie zadzwoniła na farmę Beckettów, by zapytać o najświeższe wieści, lecz Chad poinformował ją tylko, że niczego nowego się nie dowiedział.

- Zaczekam do piątej - oznajmiła Leslie - potem dzwonię na policję.

- Dobrze - przytaknął Chad.

Nałożywszy danie na talerz, usiadła przy oknie w pokoju dziennym i spojrzała na skąpaną w słońcu zatokę, plażę, która roiała



się od spacerowiczów i szalejących psów, port, wznoszący się ponad nim zamek. Już po kilku kęsach poczuła sytość w żołądku, choć jeszcze kilka minut wcześniej sądziła, że w każdej chwili może zemdleć z głodu. Ogarnęło ją przemożne mroczne przeczucie. Mogła mieć tylko nadzieję, że to jedynie skutek jej nadszarpniętych nerwów i okaże się ono zupełnie nieuzasadnione.

Może Fiona, powodowana przekorą i złością, wynajęła pokój w hotelu, by ich wszystkich potrzymać trochę w niepewności.

Czy byłaby do tego zdolna? - zastanawiała się Leslie.

Znała odpowiedź. Zbyt dobrze bowiem znała kobietę, która ją wychowała. Fiona wcale nie liczyła się z innymi, nawet z własną wnuczką.

Jeśliby chciała zniknąć, nawet nie zawracałaby sobie głowy konsekwencjami tego kroku dla swojej jedynej krewnej i jej przyjaciół.

## 6.

Wąwóz na skraju pastwiska dla owiec, wśród łąk za Staintondale zalało ostre światło. Ustawione naprędce reflektory rozjaśniły scenerię z okrutną, bezwzględną wyrazistością. Taśmy odgradzające, samochody, ludzi. Gdzieś dalej w ciemnościach pobekiwały owce.

Inspektor Valerie Almond otrzymała wezwanie w trakcie rodzinnej uroczystości i w tej chwili czuła niechęć do swego zawodu. Wyrwana z ciepłej, pogodnej atmosfery pokoju pełnego ludzi, których kochała, choć zbyt rzadko widywała, znalazła się od razu na pogrążonym w mroku pastwisku. Przyjechał po nią współpracownik, bo na uroczystości pojawiła się bez własnego samochodu. Miała na sobie kostium i buty na wysokich obcasach, nie była zatem stosownie ubrana, by przejść po łące do krawędzi

stromego zbocza. Do tego było już ciemno, a od morza powiewała nieprzyjemnie chłodna bryza.

- Gdzie kobieta, która ją znalazła? - spytała.

Towarzyszący jej sierżant Reek wyprowadził z cienia obok jednego z zaparkowanych samochodów jakąś postać i podszedł z nią do światła rzucanego przez reflektor. Młoda kobieta, oceniła Valerie, nie ma nawet dwudziestu pięciu lat. Nosiła dżinsy, gumki i gruby sweter. Wyglądała przerażająco blado, była w szoku.

- Pani się nazywa...? - zapytała Valerie.

- Paula Foster. Mieszkam trochę dalej, na Trevor-Farm. - Wykonała nieokreślony ruch ręką w mroki nocy. - Pracuję tam od trzech miesięcy jako praktykantka. Studiuję rolnictwo.

- O której godzinie pani tu przyszła? - dopytywała się Valerie. - I po co?

- Około dziewiątej. Chciałam przyjrzeć się jednej z owiec - wyjaśniła Paula.

- Co z tą owcą?

- Ma ropiejącą ranę na nodze. Od dwóch dni. Spryskuję ranę rano i wieczorem sprayem dezynfekującym. Zazwyczaj jestem tu około szóstej.

- Dlaczego dziś dopiero o dziewiątej?

Paula schyliła głowę. - Był tu mój chłopak - odparła cicho - i jakoś... straciliśmy poczucie czasu.

Valerie nie uznawała tego za powód do wstydu.

- Rozumiem. A skąd pani wiedziała, że ta owca jest właśnie tutaj? Zwierzęta rozbiegają się przecież po całym ogromnym pastwisku.

- Tak. Ale tam stoi szop. - Ponownie wskazała w nieprzeniknione ciemności po drugiej stronie taśm odgradzających.

- Nie tak daleko stąd, choć teraz nie można jej dojrzeć. Obecnie nie wypuszczamy stamtąd rannego zwierzęcia. Ale dzisiaj...

- Tak?

Paula Foster była uosobieniem nieczystego sumienia. - Kiedy podeszłam, drzwi były otwarte. Boję się, że dziś rano ich nie domknęłam. Byłam taka podenerwowana, spieszyłam się do mojego chłopaka... Owca zniknęła.

- I poszła pani na poszukiwania?

- Tak. Miałam przy sobie latarkę i szukałam wszędzie, okrążając szopę coraz większym łukiem. A potem to usłyszałam. Z wąwozu, tam w dole. Umilkła. Jej wargi lekko drżały. - Usłyszałam ciche pobekiwanie - podjęła - i domyśliłam się, że pewnie stoczyła się w dół zbocza i teraz nie może się stamtąd sama wydostać.

- Więc zeszła pani do wąwozu? - wywnioskowała Valerie.

- Tak. Zbocze jest co prawda dość strome, ale to tylko ziemia i liście. Nietrudno było zejść na dół.

- I wtedy zobaczyła pani ciało tej kobiety.

Paula pobladła jeszcze bardziej. Z trudem mówiła dalej. - Prawie się na nią ześlizgnęłam. Prze... przestraszyłam się śmiertelnie, pani inspektor. Martwa kobieta... tuż... pod moimi stopami... Byłam przerażona... - Objęła obiema rękami głowę. Najwyraźniej nadal nie mogła ochłonąć z przerażenia.

Valerie spojrzała na nią ze współczuciem. Okropna sytuacja: mroczny jesienny wieczór, opustoszała okolica, szkaradne zwłoki na dnie wąwozu. I młoda kobieta, szukająca tylko zagubionej owcy. Usiłowała zadawać możliwie rzeczowe pytania, by jej rozmówczyni mogła się nieco uspokoić.

- Od razu zadzwoniła pani na policję?

- Najpierw wspięłam się na górę, tak szybko jak tylko mogłam - wyjaśniła Paula. - Być może... krzyczałam przy tym, dokładnie nie pamiętam. Na górze chciałam zadzwonić, ale byłam poza zasięgiem sieci. Często w tej okolicy zanika. Pobiegłam w kierunku szosy, i gdzieś tam złapałam słaby sygnał.

- A potem czekała pani na nas? Czy ponownie zeszła pani w dół, by szukać zwierzęcia?

- Zeszłam w dół - powiedziała Paula. - Ale owcy nie znalazłam. Obawiam się, że pobiegła dalej w głąb wąwozu. Pewnie rzeczywiście krzyczałam, to ją mogło wystraszyć. A teraz te wszystkie światła, ludzie... na pewno sama nie wróci. Koniecznie muszę jej poszukać.

- Rozumiem - odparła Valerie. Odwróciła się do sierżanta Reeka. - Reek, zejdziecie razem z Miss Foster na dół i pomożecie jej szukać owcy. Nie chcę, żeby teraz chodziła tu sama.

Reek bynajmniej nie wyglądał na zachwyconego, ale nie odważył się sprzeciwić. Już zamierzali razem z Paulą zejść do wąwozu, gdy Valerie naraz przyszło coś do głowy.

- Miss Foster, mówiła pani, że przychodzi tu rano i wieczorem doglądać zwierzęcia. To znaczy, że dziś rano była pani w szopie?

Paula przystanęła. - Zgadza się. Około szóstej.

- I niczego pani nie zauważyła? Może coś wydawało się inne niż zazwyczaj... Może zwierzę było niespokojne albo coś w tym rodzaju?

- Nie. Wszystko było jak zawsze. Panował jeszcze mrok. Nawet gdyby ktoś się tu włóczył - mówiąc to, musiała przełknąć ślinę - i tak bym go nie zauważyła.

- W porządku. Sierżant Reek spíše pani dane. Z pewnością będziemy musieli jeszcze z panią porozmawiać. - Tym samym

Valerie zakończyła przesłuchanie, po czym sama zaczęła schodzić w dół zbocza do leśnego wąwozu. Karkołomne przedsięwzięcie, zważywszy na jej nieodpowiednie obuwie. Podczas schodzenia padło niejedno przekleństwo. Na dole natrafiła na lekarza przykucniętego obok leżącego w listowiu ciała kobiety. Lekarz się wyprostował.

- Przekonujące ustalenia, doktorze? - zapytała Valerie.

- Jeszcze nic naprawdę przydatnego - odparł lekarz. - Zwłoki kobiety w wieku od siedemdziesięciu pięciu do osiemdziesięciu pięciu lat. Została uderzona. Przypuszczam, że kamieniem co najmniej wielkości pięści, ciosy na chybił trafił trafił między skrońmi a potylicą, co najmniej dwanaście razy. Musiała szybko stracić przytomność, sprawca jednak nie przestawał uderzać. Przypuszczam, że zmarła wskutek krwawienia śródmózgowego.

- Czas zgonu?

- Szacunkowo czternaście godzin temu, a więc około ósmej rano. Przedtem jednak przeleżała tu nieprzytomna co najmniej osiem godzin. Na podstawie pierwszych ustaleń wydaje mi się, że nie była jeszcze martwa, gdy morderca stąd odszedł. Obdukcja da nam więcej szczegółów, ale sądzę, że do zdarzenia doszło między dwudziestą drugą a północą.

- Czy zabezpieczone ślady coś nam mówią? Miejsce zbrodni pokrywa się z miejscem znalezienia zwłok?

- Z tego co udało mi się ustalić, została zaatakowana na górze, na skraju wąwozu. Potem stoczyła się na dół. Sprawca najwyraźniej pozostał na górze.

Valerie przygryzła dolną wargę.

- Na pierwszy rzut oka widać pewne podobieństwo do przypadku Amy Mills - oznajmiła.

Lekarz także rozważał już tę kwestię. - Obie zostały zabite uderzeniem, choć w odmienny sposób. W przypadku Amy Mills wielokrotnie uderzano jej głową o mur, podczas gdy ta ofiara otrzymała cios kamieniem w głowę. Obie zostały potraktowane bardzo brutalnie i z dużą siłą. Widać też jednak znaczne różnice...

Valerie wiedziała, co miał na myśli. - Spora różnica wieku obu ofiar. I oczywiście miejsce zbrodni.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, że sprawca, włócząc się po mieście, zaczaja się w jakimś szczególnie odosobnionym miejscu, aż zjawi się tam ofiara - powiedział lekarz. - Kto jednak czyha na taką okazję na odludnym pastwisku dla owiec?

Valerie zamyśliła się. Oczywiście mogło być tak, że ktoś zaczął się na Paulę Foster. Była niewiele starsza od Amy Mills, regularnie przychodziła w to miejsce. Jeśli to ona miała być ofiarą, wówczas morderstwo staruszki było przypadkowe. Pojawiła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu i dosłownie wpadła w ręce czającego się zabójcy. Nie wyjaśniało to jednak kwestii, dlaczego sprawca czekał na Paulę Foster w nocy. I co ta starsza kobieta w eleganckim, na ile Valerie zdołała ocenić, niemal odświętnym ubraniu, porabiała nocą na wąskiej, nieoświetlonej ścieżce biegnącej przez teren jednej z farm, niemal kilometr od szosy, pomiędzy pastwiskiem dla owiec a wąwozem? Czego tam szukała?

A może to ona od początku była celem ataku? Czy sprawca zaciągnął ją tutaj, a następnie wykonał na niej wyrok?

Podszedł młody policjant. W dłoniach chronionych przez gumowe rękawiczki trzymał torebkę.

- Zawiesiła się na jednym z drzew na zboczu - oznajmił. - Bardzo prawdopodobne, że jest to własność ofiary. W środku znaleźliśmy

paszport należący do niejakiej Fiony Barnes, nazwisko panięskie Swales, urodzonej 29 lipca 1929 roku w Londynie. Zamieszkała w Scarborough. Postać na zdjęciu wykazuje duże podobieństwo do naszej ofiary.

- Fiona Barnes - powtórzyła Valerie - lat siedemdziesiąt dziewięć. - Pomyślała o młodziutkiej Amy Mills. Czy istnieje między nimi jakiś związek?

- I jeszcze coś - dorzucił gorliwie młody funkcjonariusz. Pracował od niedawna i bardzo starał się wykazać. - Zadzwoiłem na posterunek w Scarborough. O godzinie 17.20 dzisiejszego popołudnia zgłoszono zaginięcie niejakiej Fiony Barnes. Uczyniła to jej wnuczka.

- Dobra robota - pochwaliła Valerie. Objęła rękami swoje zmarznięte ciało. Dał coraz chłodniejszy wiatr, harując po pozbawionej drzew wyżynie i wypełniając cały wąwóz.

Zaraz po odnalezieniu zwłok ustalono nazwisko ofiary. Poszło sprawniej i łatwiej niż zazwyczaj w takich przypadkach. Nierzadko mijały tygodnie, zanim udało się poznać tożsamość zmarłego. Jednakże Valerie wystrzegła się przedwczesnego optymizmu. Amy Mills także szybko zidentyfikowano, lecz do dziś fakt ten ani o krok nie posunął naprzód śledztwa.

- W takim razie natychmiast jedziemy do tej wnuczki - oznajmiła.

Młody policjant rozpromienił się, gdy sobie uzmysłowił, że to on będzie mógł odwieźć swoją przełożoną. Sierżant Reek bowiem włączył się po nocy gdzieś po okolicy w poszukiwaniu rannej owcy.

Czasem po prostu dopisuje szczęście.

## Poniedziałek, 13 października

1.

- Nie śpisz? - szepnęła Jennifer. Wsunęła głowę do pokoju Gwen. - Zobaczyłam światło...

Gwen nie leżała w łóżku. Nawet się nie rozebrała. Siedziała w fotelu przy oknie i bez ruchu wpatrywała się w ciemność nocy, zalegającą nad okolicą. Było pół do piątej nad ranem. Nic jeszcze nie zapowiadało rychłego nadejścia dnia.

Dogi Cal i Wotan precyzyjnie się obok Jennifer, podbiegły do Gwen i zaczęły lizać jej dłonie. Zatopiona w myślach Gwen podrapała ich ogromne łby.

- Możesz wejść - powiedziała - ani na chwilę nie zmrużyłam dziś oka.

- Ja także - odparła Jennifer, weszła do pokoju, po czym cicho i energicznie zamknęła za sobą drzwi.

Były w szoku. Jak wszyscy na farmie. Od chwili, kiedy wczoraj późnym wieczorem zadzwoniła do nich Leslie. Po tym, jak przyjechała do niej funkcjonariuszka policji.

Chad bez słowa zaszył się na górze w sypialni i zaryglował za sobą drzwi.

Colin, stawiając wielkie kroki, chodził tam i z powrotem między pokojem dziennym a kuchnią.

- To niemożliwe - powtarzał co pewien czas - to nie może być prawdą!



Gwen i Jennifer jak osłupiałe siedziały obok siebie na sofie, skonsternowane, oniemiałe.

Fiona nie żyła. Została w okrutny sposób zamordowana. Na skraju pastwiska dla owiec, w miejscu nie tak odległym od farmy Beckettów, lecz z dala od dróżki, którą chciała się przejść w sobotni wieczór. Nikt nie miał pojęcia, jak się tam znalazła.

Długo po północy poszli do swoich sypialni. Lecz najwyraźniej nikt nie zmrużył oka.

- Chciałam coś z tobą omówić - powiedziała Jennifer. Sprawiała wrażenie spiętej, lecz Gwen wcale to nie dziwiło. Sama miała poczucie, jakby od stóp do głów przesywał ją prąd. Powieki miała ciężkie ze zmęczenia, nie odczuwała jednak potrzeby snu. Pociła się i jednocześnie dygotała z zimna. Jak przy grypie. Tyle że gorzej, znacznie gorzej.

- Tak?

Jennifer usiadła na łóżku. - Rozmyślałam - zaczęła ostrożnie. - Może wyda ci się to dziwne, że zastanawiam się nad takimi sprawami, akurat teraz, ale... wiem, że czujesz się fatalnie...

Gwen miała wrażenie, jakby jej usta wypełniała wata. Mówienie sprawiało jej trudności. - Nie mogę w to uwierzyć - odparła z mozołem - to po prostu... jakiś zły sen. Fiona zawsze była... nietykalna. Silna. Była... - Szukała stosownych słów, by opisać, kim była dla niej Fiona, lecz nie potrafiła znaleźć odpowiedniego sformułowania. - Zawsze tu była - powiedziała w końcu - zawsze tu była, i miało się wrażenie, że zawsze tu będzie. Dawało to tak wiele... pewności.

- Wiem - zapewniła łagodnym głosem Jennifer. Musnęła rękę Gwen. - Wiem, ile dla ciebie znaczyła. Wiem również, że pragniesz teraz spokoju, ale musimy coś omówić. To ważne.

- Tak? - spytała Gwen obojętnym tonem.

- Dziś zjawi się tu policja, żeby nas wszystkich przesłuchać w sprawie sobotniego wieczoru - wyjaśniła Jennifer. - Będą dokładnie o wszystko wypytywać. Powinnyśmy się zastanowić, co im powiemy.

Mimo letargu Gwen była poirytowana. - Po co? Przecież możemy powiedzieć, jak było naprawdę.

Jennifer mówiła powoli, starannie dobierając słowa. - Problemem jest kłótnia między Fioną i Dave'em. Bądź co bądź była bardzo ostra.

- No tak, ale...

- Policja się tego uczepli. Spójrz: Fiona tak mocno atakuje Dave'a, że on, wściekły, opuszcza dom, chociaż to jego zaręczynowa kolacja. Kilka godzin później Fiona nie żyje. Zostaje zamordowana. To im da do myślenia.

Gwen się wyprostowała. - Myślisz, że...

- Z pewnością najpierw zaczną podejrzewać Dave'a. Wiemy, czy aby na pewno od razu pojechał do domu? Równie dobrze mógł się jeszcze gdzieś włóczyć. Mógł dogonić Fionę, kiedy szła drogą do Whitestone-Farm.

- Ale to przecież absurd! Jennifer, ja znam Dave'a! Czegoś takiego nigdy by nie zrobił. Nigdy!

- Mówię tylko, co pomyśli sobie policja - powiedziała z naciskiem Jennifer. - Dave miałby motyw, rozumiesz? Mógłby ją zabić w tak zwanym afekcie, powodowany wściekłością. Albo też działać według z góry ułożonego planu. Być może przestraszył się, że Fiona mogłaby zniweczyć wszystkie wasze zamiary. Że nie przestanie podsycać w tobie wątpliwości. Mogła pokrzyżować wszystkie jego plany. Miał powody, żeby na zawsze zmusić ją do milczenia!

- Mówisz zupełnie tak, jakbyś go już napiętnowała jako mordercę.

- Bzdura. Ale ty i on musicie się przygotować na to, że policja przedstawi wam takie wnioski.

- Nam?

- Ciebie również mogą podejrzewać - odparła powoli Jennifer.

Gwen spojrzała na nią zszokowana. - Mnie?

- No cóż, ty też byłaś zła na Fionę. I także się bałaś, że ona może przekreślić twoje marzenia o przyszłości. Nawet dziś nie masz pojęcia, czy Dave nie jest na tyle wściekły, by się tu już nigdy więcej nie pokazać!

- Ależ Jennifer, przecież nie pójdę tam i... To zupełnie niedorzeczne!

- Co robiłaś po wyjściu Dave'a? - spytała Jennifer.

Gwen spojrzała oszołomiona. Sprawiała wrażenie, jakby wywody przyjaciółki zupełnie ją sparaliżowały. - Przecież wiesz. Siedziałyśmy razem w tym pokoju. Płakałam. Pocieszałaś mnie.

- Ale później wyszłam jeszcze z psami na spacer. A ty nie chciałaś pójść ze mną.

- Nie, ale...

- Posłuchaj, Gwen, to tylko propozycja. Oczywiście, nie musisz na nią przystać, ale... Dlaczego im po prostu nie powiedzcieć, że mi towarzyszyłaś? Razem wyprowadziłyśmy psy. W ten sposób zyskasz alibi i nie będziesz musiała się bronić przed jakimikolwiek zarzutami.

- Ale ja nie potrzebuję żadnego alibi! - odparła przerażona Gwen.

- Oczywiście, że nie, ale nie zaszkodzi je mieć. - Jennifer wstała i skierowała się ku drzwiom. - Możesz to sobie przemyśleć. Przejdę

się kawałek z Calem i Wotanem. Kiedy wrócę, powiesz mi, co postanowiłaś. Jeśli posłuchasz mojej propozycji, będziemy musiały jeszcze co nieco uzgodnić, żebyś wiedziała, gdzie dokładnie byliśmy o tamtej porze.

Otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. - Wszystko jasne?

Gwen wcale nie wyglądała tak, jakby cokolwiek było dla niej jasne. - Tak - odparła jednak - zrozumiałam. Przemyślę to, Jennifer.

Wlepiła wzrok w drzwi, które zamknęły się za przyjaciółką, i naraz pomyślała: Tym sposobem także Jennifer nie będzie mieć powodów do niepokoju.

## 2.

- Czy zna pan tę kobietę? - spytała inspektor Valerie Almond, podsuwając Dave'owi Tannerowi pod nos fotografię. Wciąż jeszcze zaspany, skinął głową.

- Tak.

- Kto to jest?

- Fiona Barnes. Słabo ją znam.

- A tę kobietę? - Pokazała inne zdjęcie.

- Nie znam jej osobiście, ale wiem z gazet, że to Amy Mills. To tę dziewczynę zamordowano tu w lipcu.

- Fionę Barnes znaleziono wczoraj wieczorem martwą w Staintondale - powiedziała Valerie.

Był tak osłupiały, że aż poczuł, jak blednie na twarzy. - Co takiego?

- Została zatłuczona kamieniem. Niektóre szczegóły przywodzą na myśl morderstwo Amy Mills.

Dave podniósł się z krzesła. Powoli przetarł twarz dłonią. - Dobry Boże - rzekł.

Valerie odniosła wrażenie, że jest autentycznie wstrząśnięty.

A jednak przez wszystkie lata pracy doświadczyła zbyt wiele, by cokolwiek jeszcze brać za dobrą monetę. Dave Tanner rzeczywiście mógł być zupełnie zaskoczony i zszokowany, lecz równie dobrze mógł odgrywać doskonale przedstawienie. Valerie postanowiła pozostać na razie niewzruszona.

Przyjechała razem z trochę niewyspanym sierżantem Reekiem, który przez pół nocy szukał rannej owcy, aż w końcu ją znalazł i musiał wyciągać z dna wąwozu. Przywitana przez gospodynię Dave'a, zażądała z nim rozmowy. Nazwisko Tanner zelektryzowało ją poprzedniego wieczoru, kiedy przekazała Leslie Cramer tragiczną wiadomość o śmierci jej babki i odbyła z nią pierwszą, ostrożną rozmowę. Tanner, podobnie jak Mrs Gardner, u której pracowała Amy Mills, prowadził kursy językowe w Friarage School i już po raz drugi został wymieniony z nazwiska w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa.

On mógł być tu łącznikiem. Przynajmniej w tej chwili stanowił jedyne wspólne ogniwo pomiędzy tymi dwiema jakże różniącymi się kobietami.

Dave Tanner leżał jeszcze w łóżku, kiedy gospodyni zapukała do jego drzwi i powiadomiła o przybyciu policjantów. Aż sapała ze zdenerwowania. Tanner zdumiał się, lecz od razu był gotów do rozmowy. Włożył dzinsy i sweter, po czym przyjął funkcjonariuszy w swoim pokoju. zaproponował im kawę, oboje jednak odmówili. Valerie taksowała go baczным spojrzeniem. Jego zapuchnięte oczy zdradzały, że za dużo pił, to jednak nie czyniło go ani mniej, ani bardziej podejrzanym. Valerie była na siebie zła, że nie poddała go uważnej obserwacji tuż po rozmowie z Mrs Gardner, lecz w pierwszej kolejności zajęła się jej byłym mężem. Okazał się on

człowiekiem zupełnie nieszkodliwym, ponadto mógł potwierdzić miejsce swego pobytu w czasie, gdy zamordowano Amy Mills - spędzał wówczas urlop na Teneryfie. W podanym przez niego hotelu potwierdzono prawdziwość jego słów.

- Rozmawialiśmy z doktor Leslie Cramer - powiedziała Valerie - wnuczką Fiony Barnes. Wedle jej relacji w miniony sobotni wieczór między panem a Mrs Barnes wywiązała się ostra kłótnia.

- Właściwie nie była to żadna kłótnia. Mrs Barnes zaatakowała mnie - pewnie znacie treść jej zarzutów. W końcu miałem dość i wyszedłem. To wszystko.

- Doktor Cramer oświadczyła, że zgodnie z tym, co jej pan mówił, wrócił pan tutaj i od razu położył się spać.

- W istocie.

- Świadczenie?

- Brak.

- A pańska gospodyni?

- Siedziała przed telewizorem. Nie zauważyła mojego powrotu.

- Skąd pan to wie?

- Ponieważ zawsze się zrywa i doskakuje do mnie, *jeśli* mnie zauważy.

- Gdzie pan był 16 lipca tego roku? Wieczorem?

- Miałem... randkę.

- I sypie pan takimi informacjami jak z rękawa? Ja nie umiałabym tak od razu powiedzieć, co porabiałam konkretnego dnia przed niemal trzema miesiącami.

Spojrzał na nią nieprzyjaźnie.

Właśnie zrozumiał, że znalazł się w niezbyt korzystnym położeniu, pomyślała Valerie.

- 16 lipca poznałem moją narzeczoną. To dlatego mówiłem o *randce*. I dlatego też znam tę datę na pamięć.

Valerie zajrzała do notatek. - Pańska narzeczona, Miss Gwendolyn Beckett, zgadza się?

- Dokładnie tak.

- Gdzie ją pan poznał?

- W Friarage School. Tamtego dnia nie prowadziłem zajęć, ale poszedłem po materiały, których zapomniałem zabrać. Gwen Beckett uczęszczała na kurs. Kiedy miała wracać do domu, lało jak z cebra. Zaproponowałem, że ją podwiozę. Tak też zrobiłem.

- Rozumiem. Która to była mniej więcej godzina?

- Wyruszyliśmy około szóstej. Mniej więcej o pół do dziewiątej byłem z powrotem w domu.

- Dość wcześnie.

- Dotarliśmy na farmę około pół do siódmej. Przesiedzieliśmy z godzinę w samochodzie. Rozmawialiśmy. Ona opowiadała o swoim życiu, ja o swoim. Potem ruszyłem w drogę powrotną.

- Został pan potem w domu? Sam?

- Tak.

- Czy pańska gospodyni może to potwierdzić?

Przeczesał dłonią włosy, sprawiał wrażenie bezradnego. - Nie mam pojęcia. To znaczy, jeśli dzień 16 lipca nie jest dla niej jakoś szczególnie ważny, pewnie nie pamięta, czy tamtego wieczoru byłem w domu czy nie. Ale może mi pani wyjaśni, co...

- Czy poznał pan Fionę Barnes dopiero w zeszłą sobotę? - Valerie raptownie zmieniła temat rozmowy. - Czy może znał ją pan już wcześniej?

- Znałem ją. Spotkałem parę razy na farmie, gdy odwoziłem Gwen. Raz nawet zaprosiła mnie i Gwen do siebie. Ona przyjaźni

się z ojcem Gwen.

- Czy już wówczas dochodziło między wami do sporów?

- Nie.

- I nigdy nie dała do zrozumienia, że panu nie ufa?

- Widać było, że za mną nie przepada. Była chłodna i nieprzychylna, zawsze patrzyła na mnie wrogo. Ale nie miało to dla mnie większego znaczenia.

- Aż do przedwczorajszego wieczoru?

- Zaatakowała mnie w sposób bardzo bezwzględny. Owszem, przestało mi to być obojętne, dlatego wyszedłem. Ale jej nie zabiłem. Na Boga! Aż tak bardzo mi na staruszce nie zależy, ani też na tym, co ona o mnie sądzi!

Valerie obrzuciła wzrokiem pokój Dave'a Tannera. Jak każdy jego gość, była zaskoczona panującym w nim bałaganem, niechlujstwem, niedającymi się przeoczyć oznakami materialnego ubóstwa. Język Dave'a Tannera, jego aparycja, jego zachowanie świadczyły o dobrym wychowaniu, wyższym wykształceniu, pochodzeniu z co najmniej wyższej klasy średniej. Tanner zupełnie nie pasował do tego domu, do tego pokoju. Siłą rzeczy Valerie nabrała takich samych podejrzeń, jakich nie mogły się wcześniej wyzbyć zarówno Fiona Barnes, jak i Leslie Cramer. Farma, którą Gwen Beckett odziedziczy w nieodległej przyszłości - czyżby to ona miała stać się ratunkiem dla Dave'a Tannera? Jak bardzo obawiał się tego, że swymi zjadliwymi uwagami, być może trafiającymi w samo sedno, Fiona Barnes mogłaby odwieść Gwen od zamiaru poślubienia go? Uciszenie tej starej kobiety, jakimkolwiek sposobem, mogło mu się wydać prawdziwą koniecznością.

Valerie znów zmieniła temat.



- Wiedział pan, że pańska koleżanka, Mrs Gardner, zatrudniała młodą dziewczynę do opieki nad jej córką w czasie, gdy ona prowadziła zajęcia?

- Tak. Wspomniała mi o tym przy jakiejś okazji. - Tanner był teraz bardzo skupiony, aczkolwiek dało się wyczuć, że usilnie starał się panować nad sobą. Valerie zdawała sobie sprawę, że przejrzał jej zamiar wyprowadzenia go z równowagi poprzez raptowne zmiany tematu rozmowy. - Ale nie znałem jej nazwiska. Dziewczyny też osobiście nie znałem.

- Wiedział pan, gdzie mieszka Mrs Gardner?

- Nie. Nie mieliśmy z sobą prawie żadnego kontaktu.

- Niemniej w szkolnym sekretariacie w każdej chwili mógłby pan oczywiście zdobyć jej adres.

- W istocie. Ale tego nie zrobiłem. Nie miałem powodu.

Valerie znów rozejrzała się po pokoju, tym razem jednak wyraźnie taksującym wzrokiem, co nie mogło ujść uwagi Tannera. - Mr Tanner, mam, jak sądzę, podstawy przypuszczać, że pańska sytuacja finansowa nie przedstawia się zbyt różowo. Prowadzenie kursów językowych jest pana jedynym źródłem dochodu?

- Tak.

- Domyślam się, że jakoś pan sobie radzi.

- Owszem.

Valerie poprzestała na tym. Podniosła się z miejsca. - Na razie to wszystko, Mr Tanner. Raczej na pewno będziemy mieć do pana dalsze pytania. Nie zamierza pan w najbliższym czasie opuszczać miasta?

- Nie.

- To dobrze. Odezwiemy się. - Valerie i sierżant Reek wyszli z pokoju. W korytarzu natrafili na gospodynię.

- I co? - spytała bez tchu. - Coś przeszkrobał?

- To było rutynowe przesłuchanie - odparła Valerie. - Proszę nam powiedzieć, czy wie pani może, o której godzinie Mr Tanner wrócił w sobotę wieczorem do siebie?

Mrs Willerton z wielkim żalem musiała przyznać, że nie pamięta. - Usnęłam przed telewizorem - wyjaśniła. - Kiedym się obudziła, była już prawie północ. Czy Mr Tanner był już wtedy w domu, tego nie wiem.

Również Valerie wyraziła z tego powodu żal. Tak niezwykle wścibska i natrętna gospodyni jak Mrs Willerton była w gruncie rzeczy darem niebios dla prowadzących dochodzenie funkcjonariuszy policji, nader dokładnie znała bowiem ludzi ze swego otoczenia. Fakt, że przespała akurat decydujący sobotni wieczór, można było uznać jedynie za przykry kaprys losu.

- Czy pamięta pani dzień 16 lipca tego roku? - dopytywała się Valerie.

Po gospodyni widać było umysłowy wysiłek.

- 16 lipca mówi pani? 16 lipca?

- To dzień, w którym zamordowano Amy Mills. O tym zdarzeniu na pewno pani słyszała.

Gospodyni wytrzeszczyła oczy. - Czy Mr Tanner ma z tym coś wspólnego? - szepnęła przerażona.

- Obecnie brak po temu jakichkolwiek przesłanek - zbagatelizowała sprawę Valerie.

- Na pewno chce pani wiedzieć, czy w tamten wieczór był w domu - domyśliła się Mrs Willerton. Spojrzała pełna desperacji. - Nie mam pojęcia. Mój Boże, naprawdę nie wiem!

- Nic nie szkodzi. - Valerie uśmiechnęła się przyjaźnie. - Minęły przecież trzy miesiące. Byłby to cud, gdyby pamiętała pani takie

szczegóły.

- Zadzwoń do pani, jak coś sobie przypomnę - obiecała Mrs Willerton. Reek wręczył jej wizytówkę. Gospodyni chwyciła ją drżącymi rękoma.

Valerie nie robiła sobie wielkich nadziei. Mrs Willerton była stara, samotna i znudzona. Nawet gdyby dostarczyła jakichś informacji, należałoby je traktować z wielką dozą sceptycyzmu. Pewnie niczego by nie zmyśliła, niemniej jednak starałaby się ubarwić wszelkie zdarzenia, w znacznym stopniu nadwerężając pojęcie prawdy. Zależało jej na tym, by zwrócić na siebie uwagę, stać się kimś ważnym, zyskać na znaczeniu. Tanner stałby się dla niej ofiarą.

Valerie i Reek wyszli na ulicę. Dzień nabrał szczególnego uroku. Wszystko wskazywało na to, że znów będzie upalnie.

- I co teraz? - spytał Reek.

Valerie spojrzała na zegarek. - Na farmę Beckettów - postanowiła.

### 3.

Gapiła się na telefon, czekała, aż zadzwoni, wiedziała wszakże, że takie czekanie jest zabójcze. Wsłuchiwała się w odgłosy mieszkania: cichy pomruk lodówki w kuchni, tykanie zegara, kapanie niedokręconego kranu. W mieszkaniu piętro wyżej ktoś chodził po pokoju, od czasu do czasu zaskrzypiała cicho podłoga. Za oknem, ponad zatoką, późne lato znów pokazywało całe swe bogactwo, oblewając światłem morskie fale i sprawiając, że liście drzew w Esplanade Gardens płonęły wszelkimi możliwymi barwami. Niebo przybrało kolor chłodnego, czystego błękitu. W porannej audycji w radio wzywano, żeby delektować się dniem. Zbliżała się bowiem pora deszczu i mgieł.

Leslie próbowała zrozumieć, że jej babcia nie żyje.

Że już nigdy nie wróci do tego mieszkania.

Że wszystko, co widzi wokół siebie, znajome meble, wiszące na ścianach obrazy, zasłony, porzucony w nieładzie na fotelu sweter, są teraz relikdami, pozostawionymi przedmiotami, ziemskim majątkiem, który dla dotychczasowej właścicielki nie przedstawia już żadnej wartości. Było to wprost niepojęte, bo życie Fiony wciąż przezierało z każdej poszczególnej rzeczy. Jej ulubiony gatunek sera w lodówce, spory zapas papierosów, róże na stole, którym sama dolała niedawno świeżej wody. Gumowce pod garderobą, które zawsze wkładała przy deszczowej pogodzie. Jej szczoteczka do zębów w łazience, grzebień, suszarka do włosów. Trochę kosmetyków, których używała.

Do żadnego z tych przedmiotów już nie wróci.

Do mnie już nie wróci, pomyślała Leslie.

Fiona zastępowała jej matkę. Ona traktowała ją jak matkę.

A teraz ją straciła.

Kiedy minionej niedzieli w nocy zwinęła się w łóżku w kłębek i rozplakała z samotności i zimna, jej matka albo już nie żyła, albo właśnie umierała.

I nie umarła w łóżku, nie umarła w spokoju, nie mogła się z nikim pożegnać. Zabił ją jakiś szalenciec. Zaczaił się na nią, rozbił jej czaszkę, porzucił ją na dnie leśnego wąwozu.

To niewyobrażalne. Rozsadzało wszelkie ramy pojmowania, ramy tego, co Leslie potrafiła sobie wyobrazić. Uświadamiała sobie, że jest w stanie szoku, i choć z absolutną jasnością rozumiała, co się stało, rozumiała każde słowo, jakie poprzedniego wieczora wypowiedziała do niej inspektor Almond, to jednak owo przerażenie, w całej swej ostateczności, wciąż jeszcze do niej w

pełni nie dotarło. Wciąż jeszcze wyrastał mur pomiędzy nią a potworną świadomością, że wydarzyło się coś, co odcisnie piętno na całym jej dalszym życiu. Ze śmiercią swej babci, będącej dla niej jedynym punktem odniesienia w okresie dzieciństwa i młodości, nigdy naprawdę nie zdołała się pogodzić. Zawsze będzie jej towarzyszyć myśl o zbrodni, brutalnej, dzikiej i nikczemnej. Nigdy nie zdoła odwiedzić grobu Fiony, nie myśląc o ostatnich minutach życia staruszki. Nie usłyszy pocieszających słów w rodzaju: *Nie cierpiała* albo: *Śmierć była dla niej wybawieniem*, albo: *Przynajmniej nie trwało to długo*. Jedno było bowiem pewne: Fiona cierpiała. Śmierć o tyle stała się dla niej wybawieniem, że przerwała okrucieństwo zabójcy. I nie było prawdą, że nie trwało to długo. Ten człowiek, kimkolwiek był, włókł ją na odludne pastwisko, gnał, przymuszał. Musiała się domyślać, co ją czeka. Czy zdjęta śmiertelnym strachem wołała wnuczkę?

Pomimo szoku Leslie zdołała odbyć zadziwiająco rzeczową rozmowę z Valerie Almond. Funkcjonariuszka w oszczędnych, ostrożnie dobieranych słowach powiadomiła ją o gwałtownej śmierci babki.

- Niestety, mam do pani parę pytań - dodała na koniec - ale z tym możemy poczekać do jutra.

Leslie siedziała na sofie jak ogłuszona i potrząsała głową. - Nie, nie. Proszę pytać od razu. Wszystko w porządku.

Rozmowa pomogła jej przetrwać pierwsze godziny. W sposób racjonalny, ścisły i szczegółowy opisała wydarzenia sobotniego wieczoru. Poczowała się lepiej, wyteżając umysł, by sobie przypomnieć nawet nieistotne drobiazgi.

W końcu zapytała: - Czy będę musiała zidentyfikować ciało babci?

Valerie skinęła głową. - To byłoby pomocne. Co prawda nie ma żadnych wątpliwości co do tożsamości zmarłej, niemniej dzięki temu zyskalibyśmy stuprocentową pewność. W tej chwili znajduje się w zakładzie medycyny sądowej, ale... byłoby dobrze, gdyby ktoś mógł pani towarzyszyć. Czy ma pani w Scarborough innych krewnych?

Leslie zaprzeczyła ruchem głowy. - Nie. Fiona była moją jedyną krewną.

Valerie spojrzała na nią ze współczuciem. - Teraz też nie ma pani dokąd pójść? Chyba byłoby lepiej, gdyby nie zostawała pani na noc sama w tym mieszkaniu.

- Chcę tu zostać. Poradzę sobie. Jestem lekarką - dodała, i choć jej zawód nie miał w tej chwili właściwie żadnego znaczenia, wydawało się, że ta uwaga w jakiś sposób przekonała Valerie.

Inspektor Almond oświadczyła, że nazajutrz z rana wybiera się na farmę Beckettów, żeby porozmawiać z jej mieszkańcami.

- Pojadę około dziesiątej. Byłoby dobrze, gdyby pani również przy tym była. Mam przysłać po panią samochód?

- Będę tam. Wezmę moje auto, dziękuję.

Inspektor pożegnała się, wręczając Leslie wizytówkę z prośbą, by zatelefonowała, gdyby przypomniała sobie coś, co mogłoby mieć związek z morderstwem jej babki.

- Nawet gdyby wydało się to pani banalne - dodała - dla nas może mieć znaczenie.

Leslie zadzwoniła na farmę i powiadomiła przerażoną Gwen o przebiegu wydarzeń. Gwen zadawała pytanie za pytaniem, wyrażała swój strach i przerażenie, znów pytała tak długo, aż Leslie poczuła, że w każdej chwili może stracić resztkę opanowania i zacznie krzyczeć.

- Posłuchaj, Gwen, na pewno rozumiesz, że w tej chwili potrzebuję trochę spokoju - przerwała przyjaciółce. - Zobaczymy się jutro, dobrze?

- A nie chcesz od razu do nas przyjechać? Nie możesz teraz być sama! Myślę, że to niedobrze, gdy...

- Do jutra, Gwen! - I odłożyła słuchawkę.

Jak minęła noc? Nie potrafiłaby tego powiedzieć. Czy krążyła bez celu po pokojach? Siedziała na sofie i gapiła się w ścianę? Leżała na łóżku Fiony, bezsennie, z szeroko otwartymi oczami? Kartkowała stary album ze zdjęciami? Następnego ranka w jej głowie kłębiły się niewyraźne obrazy. Wszystko to robiła tej okropnej nocy, kiedy godziny mijały tak powolnie i nużąco, jakby świt miał nigdy nie nadejść. Pamiętała, że jakimś sposobem wsiadła do samochodu i pojechała na stację benzynową. Wróciła z butelką wódki, sporo wypila. Było jej wstyd, ale dlaczego, u licha, Fiona nigdy nie miała w mieszkaniu ani kropli alkoholu?

Nic nie zjadła na śniadanie, nie mogła. Od kolacji przed dwoma dniami nie miała nic w ustach prócz paru kęsów zraza. Za to wlała w siebie mnóstwo alkoholu. Wszystko jedno.

O pół do dziewiątej nie wytrzymała i spróbowała dodzwonić się do Stephena do szpitala. Właśnie operował, jak jej powiedziano, ale przekażą mu informację. Dlatego siedziała teraz przy telefonie. Zgrzytała zębami, gdyż przed dwoma laty przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie będzie szukać u Stephena pomocy, bliskości ani wsparcia. Wytrwała w tym postanowieniu nawet w najczarniejszych, najsmutniejszych chwilach po rozwodzie. Nawet w ciągnące się bez końca weekendy, które ze łzami w oczach spędzała przed telewizorem przy butelce wina, czując się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Wiedziała, że on

rzuciłby się jej na powrót w ramiona, gdyby tylko dała mu choćby najbardziej znikomy sygnał. Lecz ona zaciskała zęby.

Aż do dziś. Do tego zdarzenia. Nie wiedziała bowiem, jak zdoła to wszystko przetrzymać, gdy już otrząśnie się z odrętwienia.

Zadzwoił telefon.

Zapomniała o dumie i od razu odebrała. - Tak? Stephen?

Po drugiej stronie nic, tylko milczenie.

- Stephen? Mówi Leslie.

Słyszała tylko czyjś oddech.

- Kto tam? - spytała.

Oddech. Ktoś się rozłączył.

Potrząsnęła głową i też odłożyła słuchawkę. Sekundę później znów rozległ się dzwonek telefonu. Tym razem usłyszała głos Stephena.

- Leslie? Przed chwilą było u ciebie zajęte. To ja, Stephen.

- Tak, Stephen, witaj. Właśnie odebrałam dziwny telefon. - Odpędziła od siebie tę myśl. Ktoś pomylił numer albo zrobił to dla żartu.

- Właśnie wychodzę z sali operacyjnej. Odezwałbym się wcześniej. Czy coś się stało?

- Fiona nie żyje.

- *Co takiego?*

- Została zamordowana. W sobotę wieczorem.

- To niemożliwe! - krzyknął przerażony Stephen.

- Znalaziono ją wczoraj. To... to nie do pojęcia, Stephen.

- Wiadomo już, kto to zrobił?

- Nie. Nie mają jeszcze bladego pojęcia.

- Została okradziona?



- Znalezione jej torebkę. Portfel też. Nie, chyba nie chodziło... o pieniądze.

Jej głos brzmiał monotownie.

Stephen potrzebował kilku sekund, żeby zapanować nad sobą i zebrać myśli. - Posłuchaj - odezwał się w końcu - zobaczę, czy uda mi się zorganizować tutaj jakieś zastępstwo. A wtedy najszybciej, jak się da, przyjadę do Scarborough. Do ciebie.

Potrząsnęła gwałtownie głową, choć Stephen nie mógł tego widzieć. - Nie. Nie dlatego dzwonię. Chciałam tylko... - Urwała w pół słowa, zaczerpnęła głęboko tchu. Czego to ja właściwie chciałam?

- Może potrzebujesz obecności kogoś, kto weźmie cię w ramiona - powiedział Stephen.

Zabrzmiało to miękko. Współczująco. Wyrozumiale. Życzliwie. W gruncie rzeczy był kimś, kogo teraz właśnie pragnęła. Kto by ją przytulił, na którym ramieniu mogłaby położyć głowę. Kto wsłuchałby się w jej ból. Z kim mogłaby porozmawiać o swoim poczuciu winy.

Skalna opoka pośród kipieli. Był nią niegdyś. Ona zaś sądziła, że tak będzie zawsze. Aż po kres czasu.

Mimo kłopotów i słabości znów poczuła złość z powodu jego zdrady. Szok, ból tamtej chwili powróciły we wspomnieniu. Chciał ją wziąć w ramiona? Akurat z jego strony takiego gestu nie pragnęła.

- Zachowaj te swoje talenty dla knajpianych znajomości - odparła tylko i zakończyła rozmowę, rzucając słuchawką.

To chyba nie było fair, skoro to ona poprosiła go o telefon. Rozmowa ta, bądź co bądź, nie była jego wymysłem.

A jednak tak właśnie się teraz czuła.

4.

- Anonimowe telefony? - zapytała ostrym tonem Valerie Almond. - Jakiego rodzaju?

Chad Beckett zamyślił się. - Chyba było tak, że nikt nic nie mówił. Dzwonił telefon, ktoś dyszał do słuchawki, nie odpowiadał na pytania, a w końcu się rozłączał.

- Kiedy to się zaczęło?

- Tego dokładnie nie powiedziała. *W ostatnim czasie*, wydaje mi się, że tak to właśnie ujęła.

- Fiona Barnes opowiedziała panu o tym w sobotni wieczór?

- Tak. Po wyjściu Dave'a Tannera, kiedy moja córka zaszyła się zapłakana w swoim pokoju. Poprosiła mnie wówczas o rozmowę. Wtedy usłyszałem o tych telefonach.

- Ta sprawa pewnie ją przygnębiła, jak sędzę.

- Trochę zaniepokoiła, owszem.

- A czy miała jakieś podejrzenie, o kogo mogłoby chodzić?

Chad znów wzruszył ramionami. - Nie.

- Żadnego? Może ktoś jej nie znosił? Albo z kimś się pokłóciła? Jakieś dawne niesnaski? Takie rzeczy zdarzają się w życiu każdego człowieka.

- Ale rzadko kiedy prowadzą do anonimowych telefonów. W każdym razie Fiona nie potrafiła ich z niczym powiązać.

- A pan? - Valerie spojrzała uważnie na starszego człowieka. - Czy pan może je z czymś powiązać?

- Nie. Przedstawiłem Fionie moje przypuszczenia. Jakiś szaleniec, który wyszukuje ofiary w książce telefonicznej. Nieszkodliwy wariat, czerpiący satysfakcję z tej wątpliwej formy władzy. Za tego rodzaju telefonami kryją się zwykle tacy właśnie ludzie.

- Z pewnością. Tyle że ich ofiar nie znajduje się wkrótce potem martwych w leśnym wąwozie. Musimy tę wskazówkę potraktować poważnie, Mr Beckett. Gdyby przypomniał pan sobie kogoś, kto mógłby być autorem takich telefonów, proszę mnie o tym powiadomić.

- Oczywiście - odparł Chad Beckett.

Poszarzał na twarzy, jego skóra lekko połyskiwała. Chyba miał problemy z krążeniem. Z rozmowy Valerie dowiedziała się, jak długo znał Fionę Barnes: od piętnastego roku życia. W czasie wojny, podczas ewakuacji dzieci, trafiła jako mała dziewczynka na farmę Beckettów. Wtedy narodziła się ich dozgonna przyjaźń. Sposób, w jaki jego stara przyjaciółka zginęła, wydawał się Beckettowi koszmarem, był on jednak typem człowieka, który z nikim nie zamieni słowa na ten temat. Sam będzie się zmagał z tą historią, i nieważne, jak będą wyglądać jego bezsenne noce, jak straszliwe obrazy będą nawiedzać jego dni - on i tak przed nikim się nie otworzy.

Pożegnawszy się, Valerie wyszła z jego gabinetu. Przy wejściu napotkała Leslie i Jennifer, które cicho z sobą rozmawiały. Valerie postanowiła od razu zapytać o te telefony.

- Doktor Cramer, jak dobrze, że panią widzę. Czy pani babcia wspominała kiedyś o anonimowych telefonach, które odbierała od pewnego czasu?

- Nie - odrzekła Leslie - nic mi o tym nie mówiła, ale... - Coś sobie przypominała. - Dziś rano sama odebrałam dziwny telefon. Ktoś po prostu dyszał do słuchawki, po czym się rozłączył. Nie zastanawiałam się jednak nad tym.

- To dość dokładnie pokrywa się z opisem, jaki Fiona Barnes przedstawiła Mr Beckettowi w wieczór swej śmierci - wyjaśniła

Valerie. - Żadnych słów, tylko dyszenie. Telefon odebrała pani w mieszkaniu swej babci?

- Tak - potwierdziła Leslie.

Valerie się zamyśliła. Zebrała w pokoju dziennym wszystkich mieszkańców farmy i rozmawiała z nimi o owym fatalnym w skutkach sobotnim wieczorze. Następnie mówiła z każdym z nich na osobności. Wypytywała o ewentualnych wrogów Fiony Barnes. Nikt nie zgłosił żadnych podejrzeń. Rzeczywiście wydawało się, że jedynym poważnym kandydatem do tego miana jest Dave Tanner. Z wypowiedzi świadków wynikało, że Fiona bezlitośnie go upokorzyła. Wszyscy jednak zapewniali, że nie potrafią sobie wyobrazić, by mógł z tego powodu przeobrazić się w mordercę.

- To nie jest człowiek tego pokroju - powiedziała Jennifer Brankley. Valerie postanowiła nie wspominać o tym, że jedynie w wyjątkowych przypadkach można u ludzi rozpoznać gotowość do kryminalnych zachowań. Miała do czynienia z brutalnymi mordercami, których sposób bycia i powierzchowność sprawiały, że można by im bez wahania powierzyć wszystko, co najcenniejsze.

- Gdyby ten podejrzany anonim był mordercą Fiony, nie dzwoniłby dziś z rana do jej mieszkania - uważała Jennifer. - Wiedziałyby przecież, że ona dawno już nie żyje.

Valerie słuchała jej z roztargnieniem. Problem w tym, że na obecnym etapie nie mogła wykluczyć którejkolwiek możliwości, a jednocześnie nie miała w ręku żadnych przekonujących argumentów. Anonim, który upatrzył sobie Fionę? Skąd miałby wiedzieć, że w sobotę późnym wieczorem będzie szła opustoszałą szosą prowadzącą na farmę Beckettów? Nikt przecież nie był w stanie przewidzieć tego zdarzenia. Wiedziały o tym jedynie osoby biorące udział w tej nieszczęsnej uroczystości zaręczynowej. Któż

jednak spośród nich i z jakiego powodu mógł tam pójść i z tak okrutną wściekłością zamordować staruszkę?

Pożegnała się z Jennifer i Leslie, po czym wyszła na podwórze, które mimo zaniedbania wyglądało w urokliwym świetle dnia niemal idyllicznie. Morska bryza przynosiła z sobą zapach alg i słonawy posmak.

Valerie się zamyśliła.

Wnuczka, Leslie Cramer, zeznała, że opuściła farmę dużo wcześniej niż jej babka i wstąpiła po drodze do pubu Jolly Sailors w Burniston, by szukać pocieszenia w kilku szklaneczkach whisky. Łatwo da się to sprawdzić. Valerie wiedziała, że w tej okolicy kobieta, która samotnie wchodzi do baru, żeby się tam wstawić, nie może nie zwrócić na siebie uwagi.

Chad Beckett rozmawiał z Fioną w swoim gabinecie. Opowiedziała mu wówczas o anonimowych telefonach, które widocznie budziły w niej obawy. Chad starał się ją uspokoić. Potem gawędzili jeszcze o tym i owym, aż wreszcie ona postanowiła wrócić do domu, on zaś udał się na spoczynek. Istniała oczywiście możliwość, że ruszył w ślad za nią, jednakże Valerie miała co do tego wątpliwości. Po pierwsze nie dostrzegła jakiegokolwiek motywu, po drugie zauważyła, jak ociężale się poruszał. Wydawało się, że chodzenie sprawiało mu znaczny ból. To już staruszek, jego ciało było w kiepskiej formie. Fionę Barnes natomiast opisywano jako nad wyraz sprawną i ruchliwą na jej wiek osobę. Trudno było sobie wyobrazić, że zdołał dotrzeć aż do wąwozu i miał jeszcze dość sił, by zabić kobietę, która z łatwością mogłaby przed nim uciec.

Colin Brankley. Wczasowicz, który zamówił taksówkę. Pożegnał się z Fioną, po czym poszedł do łóżka. Jego żona nie mogła tego potwierdzić, ponieważ była wówczas z psami na spacerze. W

myślach Valerie postawiła przy nazwisku Colina znak zapytania. Intelktualista, mól książkowy, który od lat spędzał wakacje na tej ponurej farmie.

- Moja żona jest bardzo przywiązana do tych psów - wyjaśnił - dlatego nie mamy zbyt wielkiego wyboru, jeśli chodzi o miejscowości wypoczynkowe. Poza tym Jennifer przyjaźni się z Gwen.

Okay. Nie brzmiało to mało przekonująco. A jednak należało wziąć pod uwagę dwa fakty. Colin miał około czterdziestu pięciu lat, był krzepki i zwinny. Z całą pewnością posiadał odpowiednią sprawność fizyczną, by móc uśmiercić starszą kobietę. I nie miał alibi. Valerie postanowiła sprawdzić, co porabiał i gdzie przebywał w noc, kiedy zamordowano Amy Mills, choć z góry przeczuwała, że to nie na wiele się zda. Pewnie zezna, że leżał wtedy w swoim łóżku i spał, a jego żona to potwierdzi.

Jego żona. Jennifer. Wydawała się osobą nieprzeniknioną, choć Valerie nie umiałaby dokładnie wyjaśnić dlaczego. Miała niespokojny wzrok, była niczym kocioł parowy, w którym panuje zbyt wysokie ciśnienie i tylko ogromnym wysiłkiem udaje się go utrzymać pod kontrolą. Coś z nią było nie w porządku. Nadto nazwisko Jennifer Brankley budziło w Valerie nieokreślone wspomnienie. Już się z nim kiedyś spotkała, lecz mimo najlepszych chęci nie zdołała go z niczym powiązać.

Spróbuje to ustalić.

Pierwsze półtorej godziny po raptownie przerwanej kolacji Jennifer Brankley spędziła w pokoju Gwen, pocieszając zupełnie załamana młodą kobietę.

Następnie zdołała ją namówić na wspólne wyprowadzenie psów na spacer. Jak podała Jennifer, przebywały poza domem dobre

półtorej godziny.

Na nieszczęście poszły w przeciwnym do szosy kierunku, w stronę wzgórz, a potem zeszły wąwozem w dół aż nad sam brzeg morza.

- Czy nie było za ciemno na taką wędrówkę? - spytała Valerie, unosząc wysoko brwi.

- Świecił księżyc - odparła Jennifer - a ja dobrze znam tę drogę. Psy również. Pokonujemy ją dwa, trzy razy dziennie. Na wszelki wypadek zabrałam latarkę.

Gwen Beckett potwierdziła tę historię. Nie chciała nigdzie wychodzić, lecz Jennifer uznała, że nieco ruchu dobrze jej zrobi. Nie potrafiła jednak powiedzieć, jak długo trwał ich spacer.

- Byłam... jakby ogłuszona - powiedziała cichym głosem. - Tak bardzo cieszyłam się z tego wieczoru, a tu wszystko zakończyło się fiaskiem. Byłam zrozpaczona. Myślałam, że wszystko przepadło.

Valerie przeszła kilka kroków po podwórzu, po czym usiadła na stosie drewna i skierowała wzrok ku wschodniemu horyzontowi. Farma leżała u stóp niewielkiego wzniesienia, którego łagodny stok przecinały stare kamienne murki. Gdzieniegdzie rosły drzewa, połyskujące w promieniach słońca ognistą czerwienią i złocistą żółcią. Wedle słów Jennifer droga, a raczej wydeptana ścieżka, wiodła kawałek pod górę, a dalej biegła w linii prostej w kierunku południowym i kończyła się przy wąwozie, przez który przerzucono drewniany most wiszący. Po drugiej stronie mostu znajdowały się stopnie, prowadzące serpentynami w dół wąwozu. Trzeba było jeszcze przejść spory kawałek zarośniętą ścieżką, aż w końcu wąwóz otwierał się na plażę. Tym sposobem docierało się do niewielkiej zatoki należącej do farmy Beckettów.

- Czy można się tam kąpać? - zapytała Valerie.

Gwen przytaknęła. - Ale jest sporo kamieni. Przed wieloma laty mój ojciec planował nawieźć tam piasku, by stworzyć niewielką plażę dla naszych gości. Ale nic z tego nie wyszło.

Ta farma to prawdziwy skarb, jeśli by tylko wprowadzić zmiany i umiejętnie wykorzystać jej możliwości, pomyślała Valerie. Nie przeczuwała, że podąża tym samym tokiem myślowym co Fiona, która uznała, że zalety farmy dostrzegł również Tanner, kiedy zaczął się starać o względy Gwen Beckett. Jak daleko mógłby się posunąć, jeśli nie chciał, by nękający ogień ze strony tej starej kobiety zniweczył jego zamiary tak wobec narzeczonej, jak i jej majątku?

Także Gwen czuła się zagrożona. Niemłoda już, niepozorna kobieta, w której życiu niespodziewanie pojawił się interesujący mężczyzna i zapragnął ją poślubić. Valerie od razu wyczuła, że Gwen dostrzegła w Davie swą jedyną szansę, i pewnie nie bez racji. Fiona była dla niej zagrożeniem. Jeśli by nie przestała bezwzględnie podjudzać przy każdej okazji przeciwko rodzącemu się związkowi - kiedy nadszedłby ów moment, w którym Tanner miałby dość i rzuciłby to wszystko? Ale czy to możliwe, żeby taka Gwen Beckett zabiła z tego powodu kobietę, którą znała od kołyski, którą kochała i do której czuła przywiązanie? Gwen sprawiała wrażenie zszokowanej i napełnionej bólem. Jeśli nie było to tylko doskonałe aktorstwo, wiadomość o śmierci Fiony autentycznie ją zaskoczyła i zupełnie wytrąciła z równowagi.

Drepczę w miejscu, pomyślała Valerie. Miała świadomość, że wciąż nie zna prawdziwego motywu zabójstwa Fiony Barnes. Wiedziała jedynie o kłótni z Tannerem, owym incydencie podczas przyjęcia zaręczynowego. To jednak za mało. Morderstwa dokonano z taką siłą, z taką brutalnością, że jadowite ataki Fiony wydawały



się nazbyt błahym powodem. Zepsuła wszystkim wieczór. Ale była starą kobietą, w następnym roku miała obchodzić osiemdziesiąte urodziny. Któż przypisywał jej aż taką władzę, by w poważny sposób mogła wpływać na życie innych ludzi, a nawet je zniszczyć?

I jaki to wszystko miało związek z zabójstwem Amy Mills?

Następna sprawa to ustalenia zakładu medycyny sądowej, pomyślała Valerie. Muszę wiedzieć, czy oba morderstwa mogły zostać popełnione przez tę samą osobę. Wtedy bowiem kłótnia, jaką rozpętała Fiona, straciłaby zupełnie znaczenie.

Znów trzeba będzie przyjrzeć się bacznie Tannerowi. Jak dotąd bowiem był jedyną znaną jej osobą, która miała związek z obu zabójstwami - aczkolwiek Valerie musiała przyznać, że w przypadku Amy Mills był to związek dość problematyczny i wydumany.

Dobrze byłoby wiedzieć, czy również Amy Mills niepokoiły anonimowe telefony. Pozostawała jeszcze postać Pauli Foster. Być może to ona miała być właściwą ofiarą. Ktoś mógł wiedzieć, że co wieczór przychodzi do szopy. Podobnie jak i o tym, że Amy Mills w każdą środę musiała o późnej porze wracać sama przez opustoszały park. Dwie młode kobiety, które niewiele różniło. Wówczas Fiona zginęłaby przez przypadek. Bo komuś przeszkodziła?

Dlaczego, miast iść w stronę Whitestone-Farm, udała się ścieżką w kierunku wąwozu? A może spotkała mordercę na szosie? Rozpoznała go i dlatego nie mógł pozwolić jej odejść? Pozostawało przy tym zagadką, dlaczego ktoś czyhający na Paulę Foster włóczył się tam o pół do jedenastej. Rozkład zajęć Pauli był zupełnie inny.

Valerie wstała i podeszła do samochodu. Będzie musiała porozmawiać z patologiem. Zamierzała również, o ile znajdzie czas, poszukać w policyjnych komputerach informacji na temat Jennifer

Brankley. Być może w tym przypadku okaże się to bez znaczenia, niemniej jednak chciała wyjaśnić, w związku z jaką sprawą słyszała już kiedyś jej nazwisko.

Otworzyła drzwi samochodu. Czuła zmęczenie. Liczne elementy tej układanki zdawały się przed nią piętrzyć coraz wyżej i wyżej, bezładnie, chaotycznie. Obawiała się, że tej góry puzzli nigdy nie zdoła uporządkować.

Zmusiła się do przestrzegania starej reguły, którą sama sobie przed laty ukuła: nie patrzeć na górę, lecz jedynie wykonać następny krok. A potem następny. I następny. Ulegała panice, gdy sprawy piętrzyły się przed nią zbyt wysoko, stawały się zbyt nieprzeniknione, zbyt zagmatwane.

Targał nią okropny strach przed niepowodzeniem.

Niezbyt to korzystne, zważywszy na jej zawód. Miała jedynie nadzieję, że żaden z jej kolegów niczego się nie domyśla.

Valerie wykonała nawrót i wyjechała z podwórza.

## 5.

- Doktor Cramer? Mogę zająć pani chwilę? - Colin Brankley pojawił się w drzwiach kuchni. W ręce trzymał plik papierów i niespokojnie rozglądał się dookoła, jakby chciał się przekonać, że nikogo nie ma w pobliżu.

Leslie stała przy zlewie i napełniała szklanę wodą. Czuła pragnienie, była zmęczona i odurzona, a jednocześnie bardzo poruszona. Jej nerwy nieomal wibrowały pod skórą. Zapytywała samą siebie, kiedy się rozplacze, zacznie krzyczeć albo zupełnie się załamie. W oczach innych ludzi musiała uchodzić za osobę niezwykle spokojną, może nawet niewzruszoną. Ona wszakże wiedziała, że wszelkie uczucia związane z jej babcią, z jej gwałtowną śmiercią, lecz również z całym jej życiem, głęboko ją

przeobrażały. W jej wspomnieniach wciąż powracały obrazy, sceny, epizody, momenty, o których nie myślała już od wieków, przez co wydawały się zupełnie zapomniane, zgoła nieprawdziwe. Jak w gorączce.

Pewnie dlatego poczuła pragnienie, chciała się napić wody możliwie zimnej i orzeźwiającej.

- Leslie - odpowiedziała - proszę do mnie mówić po prostu Leslie.

- Dobrze. - Colin wszedł do kuchni. - Leslie. Ma pani teraz chwilę czasu? - Zamknął za sobą drzwi.

- Tak, oczywiście. - Podniosła szklanę do ust, zauważyła jednak, że ręka lekko jej drży. Opuściła szklanę. W obecności Colina Brankleya nie może sobie pozwolić na poplamienie ubrania, choćby tylko wodą. - Pewnie jest sporo do zrobienia, ale sama nie wiem...

- Urwała w pół słowa, niezdecydowana. - W tej chwili sama nie wiem, co począć - dokończyła cicho.

Colin spojrzał na nią ze współczuciem. - Doskonale rozumiem. To był straszliwy cios. Dla nas wszystkich, ale szczególnie dla pani. Nikt z nas... nie potrafi tego pojąć.

Jego uprzejmość działała kojąco. Spostrzegła, że coś zaczęło dławić ją w gardle, gwałtownie przełknęła ślinę. Z chęcią rozplakałaby się, lecz nie był to odpowiedni moment. Nie w kuchni, nie przy Colinie. Ledwie go знаła. Nie chciała się załamać na jego oczach.

- Ma pan coś dla mnie? - spytała rzeczowo, wskazując papiery, które trzymał w dłoni.

- Tak. - Z wahaniem położył ich stos na kuchennym stole. Ponownie rozejrzał się wokoło, jakby się obawiał, że w każdej

chwili ktoś może nadejść. - To coś, co... cóż, właściwie powinno to, jak sądzę, znaleźć się w posiadaniu policji, ale...

- Ale?

- Ale myślę, że nie mnie o tym decydować. Pani jest wnuczką Fiony. Pani najlepiej będzie wiedziała, co z tym należy zrobić.

- Cóż to jest?

Colin zniżył głos. - Pliki tekstowe. Załączniki do e-maili, które Fiona Barnes wysłała do Chada Becketta.

Spojrzała na niego zaskoczona. - To Chad Beckett umie obsługiwać komputer? I ma własny adres e-mail?

- Obsługiwać to chyba nie jest właściwe słowo. Ale własny adres posiada, owszem. Zdaniem Gwen to Fiona uporczywie się tego domagała. Oboje dość często pisywali do siebie.

- I?

Colin niepewnie dobierał słowa. - Fiona i Chad znali się od dzieciństwa. I chyba z wewnętrznej potrzeby, żeby raz jeszcze wyjaśnić samej sobie pewne zdarzenia, Fiona spisała ich wspólną historię. A przynajmniej istotne jej zdaniem fragmenty. Nadała jej szczególny tytuł, aczkolwiek jego zagadka wyjaśni się w trakcie lektury. *Drugie dziecko*. Ponownie sięga do przeszłości, opisuje ich pierwsze spotkanie. Wie pani, podczas ewakuacji z Londynu. Przyjazd na tutejszą farmę Beckettów...

Leslie słuchała z uwagą, czując coraz większą irytację. - Znam tę historię. Fiona często mi o tym opowiadała. Wzruszające, że spisała ją ponownie dla siebie i Chada. Ale niezupełnie rozumiem... jak ten wydruk dostał się w pańskie ręce? Czy to nie są pliki przeznaczone wyłącznie dla Chada?

- Z całą pewnością. Staje się to zupełnie jasne w trakcie lektury. Historia ich obojga. Kiedy się czyta o tym, jak było naprawdę.

- Jak było naprawdę?

- Jestem prawie pewien - odrzekł powoli Colin - że z ust babci usłyszała pani wersję ocenzurowaną. Podobnie Gwen знаła jedynie część prawdy. A tym samym my wszyscy.

Leslie zaświtała w głowie pewna myśl. Mimo swych zmartwień uśmiechnęła się do niej. - Sądzi pan, że Fiona i Chad mieli romans? Czy moja babcia opisuje dzikie orgie gdzieś w stogu siana? Proszę mi wierzyć, nigdy mi oczywiście o tym nie opowiadała, ale zawsze byłam przekonana, że z Chadem łączyło ją coś więcej. Wcale mnie to teraz nie szokuje. A policji, jak sądzę, daleko to nie zaprowadzi.

Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. - Proszę to przeczytać. A potem zdecydować, co z tym zrobić.

W jej oczach malował się chłód. - Skąd pan to wziął? Jak dotarł pan do e-maili Chada?

- Gwen - odparł.

- Gwen?

- Korzysta z tego samego komputera co jej ojciec. Chyba zaczęła co nieco... szpiegować. W każdym razie nie miała większych trudności z rozszyfrowaniem hasła, którym zabezpieczył swoje konto pocztowe. *Fiona*. Tak ono brzmi.

Leslie przełknęła ślinę.

On ją kochał. Domyślała się tego.

- I przeszukała jego wiadomości?

- Otworzyła pliki i przeczytała tę opowieść. Była tak zszokowana, że wydrukowała ją w całości. Dała do przeczytania Jennifer zaraz po naszym przyjeździe na farmę w zeszłym tygodniu. Wczoraj z rana Jennifer przekazała mi wydruk, za zgodą Gwen. W tym czasie nikt z nas jednak nie wiedział nic o zbrodni. Całość przeczytałem w ciągu wczorajszego dnia i nocy.

- Rozumiem. Teraz trzy osoby wiedzą wszystko o sprawach, które właściwie dotyczą jedynie Fiony i Chada.

- Proszę to przeczytać - nalegał Colin.

Czuła, jak wzbierają w niej złość i konsternacja. Cóż za zdrada wobec tych dwojga starszych ludzi, którzy z nostalgią wspominali własną przeszłość. Była jeszcze w stanie zrozumieć, że Gwen nie potrafiła się powstrzymać i natrafiwszy na jej ślad, przeczytała historię życia swego ojca. Ale czy musiała w to wtajemniczyć dwoje obcych ludzi? Jej długoletnia przyjaźń z Brankleyami może i była zażyła, nie oznaczało to jednak, że stali się członkami rodziny. Wzięłaby w obronę swoją babcię, lecz wiedziała, że jest już na to za późno.

- Nie jestem pewna, czy chcę to przeczytać - powiedziała. - Wie pan, zawsze respektowałam prywatne życie Fiony.

- Fiona padła ofiarą okrutnego morderstwa. Ta historia mogłaby rzucić nowe światło na zagadkę jej śmierci.

- Dlaczego nie wręczył pan tego wszystkiego inspektor Almond, kiedy tu była?

- Ponieważ ta opowieść rzuca również światło na postać Fiony. Jeśli to, co tu opisano - wskazał na stos kartek - zostanie upublicznione, z czym zresztą należy się liczyć, gdy wpadnie to w ręce policji, i do tego ukaże bezpośredni związek z zabójstwem Fiony, wówczas może ucierpieć jej dobra pamięć tu w Scarborough.

Leslie już nawet nie próbowała ukrywać irytacji. - A cóż takiego zrobiła? Obrabowała bank? Była kleptomanką albo nimfomanką? Miała perwersyjne skłonności? Zdradzała swego męża? Czy może razem z Chadem zdradzali jego żonę? Wspierała IRA? Należała do organizacji terrorystycznej? Colin, cóż ona takiego zrobiła?

- Proszę to przeczytać - powtórzył po raz trzeci. - Proszę zabrać te papiery do domu. Gwen i Jennifer nie muszą wiedzieć, że są u pani.

- A to dlaczego?

- Gwen w żadnym wypadku nie chce, żeby policja poznała ich treść. Ma na względzie przede wszystkim osobę swego ojca. Jennifer ją popiera, jak zwykle. Obie pogniewałyby się na mnie, gdyby się dowiedziały, że dałem pani ten wydruk. Ale uważam, że...

- Tak? - spytała Leslie, kiedy umilkł.

- Uważam, że ma pani prawo poznać prawdę - podjął Colin - i to pani, pani jedna ma prawo zdecydować, czy powinna zostać upubliczniona. Doskonale zrozumiałbym, gdyby nie zechciała pani tego uczynić. Być może jednak od tego zależy wyjaśnienie sprawy zabójstwa. Również i o tym powinna pani sama rozstrzygnąć: czy morderca pani babci odpokutuje ostatecznie swoją winę. Być może wcale nie będzie pani tego chciała.

Obleciał ją strach. Choć wiedziała, że nie otrzyma żadnej odpowiedzi, zapytała: - Co to takiego, Colin? Co, na Boga, kryją te papiery?

Postanowił nie powtarzać po raz czwarty zdania: *Proszę to przeczytać.*

Spojrzał na nią.

Miała wrażenie, że niemal z litością.

## Drugie dziecko.doc

### 4.

Na farmie Beckettów wcale nie było tak źle. Wręcz przeciwnie, po dość krótkim czasie żyło mi się tam nadspodziewanie dobrze.

Emma Beckett nadal była taka miła i troskliwa jak w dniu naszego przyjazdu. Traktowała nas łagodniej niż moja matka, na więcej też pozwalała. Zawsze można było coś od niej wyłudzić: to kromkę chleba z wędliną, to szklanekę soku jabłkowego domowej roboty, czasem nawet kawałek czekolady. Żyła w przeświadczeniu, że tęsknota za domem może doprowadzić mnie do obłądu, ja zaś pozwalałam jej w to wierzyć, dzięki temu bowiem o wiele więcej zyskiwałam.

Jednakże Chad, jej syn, przejrzał mnie. - Szczwany z ciebie lis - powiedział któregoś dnia. - Przed moją matką grasz zagubioną małą owieczką. Tak naprawdę jednak ani trochę nie tęsknisz za Londynem!

Ani trochę - to nie było prawdą. Brakowało mi naszego starego domu, ulicy, dzieci, z którymi się tam bawiłam. Czasem tęskniłam też za mamą, choć była taka zrzędliva. Lecz w noc nalotu bombowego, który pozbawił nas dachu nad głową, mój dom i tak przestał istnieć. Pobyt w przepelnionym mieszkaniu ciotki Edith nie budził we mnie dobrych wspomnień. Pamiętam wszakże, że pewnej nocy długo płakałam, bo rozmyślałam o moim ojcu. Choć tyle pił i nigdy nie dawał mamie pieniędzy, był jednak moim ojcem. Mamę na pewno jeszcze zobaczę, Londyn również, byłam o tym święcie przekonana. Ojciec natomiast odszedł już na zawsze.

Nie zastąpił mi go mąż Emmy, Arvid. Nie był co prawda wobec mnie niemiły, lecz w gruncie rzeczy traktował mnie jak powietrze. I tak zostało przez cały czas mojego pobytu. Od samego początku



miałam wrażenie, że nie akceptował pomysłu żony, by przyjąć pod swój dach ewakuowane dziecko, i niełatwo dał się w końcu do niego przekonać. Być może skusiły go pieniądze, jakie rodziny zastępcze otrzymywały od rządu. Pojawiło się jednak, poniekąd przez przeoczenie, jeszcze jedno dziecko, *to drugie dziecko*, jak określał Briana, za które nie dostaną ani grosza. A to nie polepszało w jego oczach całej sytuacji.

- Briana wkrótce zabierze Czerwony Krzyż - powtarzała często Emma, gdy Arvid zrzędził z powodu konieczności wykarmienia dodatkowej osoby. W rzeczywistości jednak nikt się po niego nie zgłaszał.

Wydawało mi się, że Emma czuła z tego powodu ulgę. Nie chciała, żeby Brian trafił do sierocińca. Ze swej strony nie podjęłaby żadnych kroków, które doprowadziłyby do skrócenia jego pobytu na farmie Beckettów.

Polubiłam życie na farmie. Trudno sobie wyobrazić większy kontrast w stosunku do Londynu. Niekończące się z pozoru odludzie. Rozległe łąki poprzecinane kamiennymi murkami, upstrzone setkami pasących się owiec. Zapach morza. Lubiłam chadzać nad należącą do farmy zatokę, wędrować ryzykowną, tajemniczą dróżką, wiodącą przez głęboki wąwóz, oraz po dziko zarośniętej, niewidocznej niemal ścieżce u stóp stromych ścian skalnych. Przedzierałam się przez trawy i paprocie, mroczne zimą, w słonecznym świetle lata zatopione w osobliwej zielonkawej poświacie. Wyobrażałam sobie, że jestem jednym z wielkich odkrywców, o których słyszałam w szkole: Krzysztofem Kolumbem albo Vasco da Gamą. Wszędzie wokół mogli się czaić tubylcy, ludożercy, którym za żadne skarby nie mogłam dać się schwytać. W zębach trzymałam kij, to był mój nóż, moja jedyna broń. Każdy

trzask w zaroślach, każdy ostrzejszy krzyk ptaka wywoływał we mnie dreszcz oraz gęsią skórkę na całym ciele. W takich chwilach brakowało mi jedynie towarzystwa innych dzieci. Po naszych ulicach w Londynie, w labiryncie podwórzy na tyłach domów zawsze włóczyliśmy się całą hordą, dziesięcioro, czasem nawet piętnaścioro albo dwadzieścioro dzieci. Tutaj byłam zupełnie sama. Co prawda chodziłam do szkoły w Burniston i nawiązałam dobry kontakt ze szkolnymi kolegami, którzy postrzegali mnie jako dość egzotyczną postać. Niestety, mieszkaliśmy zbyt daleko od siebie, by móc się spotykać także po szkole. Jak okiem sięgnąć nie było tam nic prócz pastwisk dla owiec, gdzieś tam tylko spotykało się rozsiane po okolicy pojedyncze farmy. By dostać się z jednej na drugą, trzeba by wędrować całymi godzinami.

Byłam skorym do zabawy dzieckiem, które korzystało ze swobody i niezliczonych możliwości, jakie oferowało życie na wsi, lecz byłam również dziewczynką u progu okresu dojrzewania. Mama zawsze twierdziła, że jestem przedwcześnie dojrzała. Może miała rację, przynajmniej jak na ówczesne warunki lat czterdziestych. W nocnej szafce w moim pokoju znalazłam kilka powieści obyczajowych w formie zeszytowej i pochłonęłam je z wypiekami na twarzy. Były stare i pomięte, zastanawiałam się, czy Emma czytała je równie namiętnie jak ja. Zresztą, „namiętny” było właśnie tym słowem, które najcelniej charakteryzowało treść owych lektur. Właściwie nie chodziło w nich o nic innego. Piękne kobiety, silni mężczyźni. Myśl o tym, co razem robili, sprowadzała rumieńce na moje policzki. Niczego bardziej nie pragnęłam, niż szybko dorosnąć, by móc samej przeżyć wszystko to, o czym się z nich dowiedziałam. Niemal mimowolnie zaczęłam sobie wyobrażać, że

owym mężczyzną u mego boku, tym silnym, przystojnym bohaterem jest Chad Beckett.

Szaleńczo go podziwiałam. Wydaje mi się, że byłam w nim nawet zakochana. Na nieszczęście on widział we mnie jedynie nieciekawą dzierlatkę, którą przywlokła na farmę jego matka i która pewnie wkrótce znowu zniknie. Traktował mnie z jeszcze większą bodaj obojętnością niż jego ojciec.

Jedyną ludzką istotą, która - kiedy tylko było to możliwe - trzymała się blisko mnie, był Brian. Owo *kiedy tylko było to możliwe* oznaczało: kiedy tylko nie zdołałam się go pozbyć. Z czasem stawałam się coraz bardziej przebiegła, jeśli zależało mi na tym, by się gdzieś przed nim ukryć. Błąkał się wtedy niczym jakaś zagubiona owieczka i cicho popłakiwał, o czym donosiła mi Emma z delikatnym wyrzutem w głosie.

Ja natomiast utrzymywałam, że on po prostu działa mi na nerwy. - Jest znacznie ode mnie młodszy. I nie mówi ani słowa! Cóż mam z nim począć?

Istotnie, Brian nadal nie umiał mówić Emma chciała się ode mnie dowiedzieć, czy może wcześniej mówił, uważała bowiem, że powinnam o tym wiedzieć, skoro mieszkał w sąsiedztwie.

Mimo najlepszych chęci nie mogłam sobie tego przypomnieć. Któż z nas właściwie zwracał w ogóle uwagę na małego Briana? Mogłam Emmie powiedzieć tylko tyle, ile powtarzano na ulicy - że wszystkie dzieci Somerville'ów były trochę durnowate. Słowa te rozzłościły Emmę - po raz pierwszy widziałam ją wtedy naprawdę rozgniewaną. - Jak można mówić coś takiego? - krzyknęła. - O dzieciach, które nie potrafią się same bronić? Jak można w ten sposób ferować takie wyroki?

Nie chciałam jej drażnić jeszcze bardziej, zwracając uwagę na to, że przynajmniej w przypadku Briana wydawało się to prawdą. Ośmioletnie dziecko - a może już dziewięcioletnie, nikt przecież nie wiedział, kiedy ma urodziny - nie umie jeszcze mówić? To nie jest normalne. To samo powiedziały dzieci z mojej szkoły, kiedy pewnego razu Emma przyjechała na rowerze, żeby podrzucić mi pozostawione w domu śniadanie. Brian siedział na bagażniku. Była właśnie przerwa, gdy wydając z siebie nieokreślone dźwięki, zsunął się z roweru i uradowany rzucił się w moim kierunku. Bełkotał coś, czego nikt nie potrafił zrozumieć.

- Twojemu bratu brak chyba piątej klepki - powiedziała później do mnie przewodnicząca klasy.

- To nie jest mój brat! - krzyknęłam, z ogromną chyba złością, bo koleżanka cofnęła się przerażona.

- Już dobrze, dobrze - próbowała mnie udobruchać jak jakiegoś rozdrażnionego psa.

Bardzo mi zależało na tym, żeby nikt nie myślał, że jestem spokrewniona z tym małym półgłówkiem. Tak właśnie nazywałam go w myślach: mały półgłówek. Głośno nie mogłam tak mówić, w każdym razie nie w obecności Emmy.

Wszystko to brzmi bardzo chłodno, bardzo nieczule. Chyba rzeczywiście można tak o mnie powiedzieć: istotnie niezbyt mile odnosiłam się do tego roztrzęsionego małego chłopca. Trzeba wszakże pamiętać, w jakiej sytuacji znajdowałam się na przełomie lat 1940/41. Byłam dzieckiem, które lubiło zabawy przygodowe. Do tego młodą dziewczyną rozczytującą się w romansach, wydaną na pastwę wzburzonych uczuć, które żywiła do piętnastoletniego młodzieńca. Z dnia na dzień utraciłam Londyn, moje znajome otoczenie, i znalazłam się na jakiejś owczej farmie w Yorkshire.

Umarł mój ojciec, matka była daleko ode mnie. Siedziałam w piwnicy naszego domu, kiedy został on trafiony przez niemiecką bombę i zawalił się nad naszymi głowami. Sporo tych spraw, i jakoś musiałam sobie z nimi poradzić, dziś już to wiem.

Ale w tamtym czasie nie było to dla mnie takie oczywiste. Czułam tylko, że Brian dosłownie mnie tłamsi tym swoim przywiązaniem, tą swoją miłością. Że to mnie po prostu przerasta. Że obecność tego milczącego, przeżywającego traumę małego chłopca jest zbyt wymagająca. Dość brutalnie się przed tym broniłam. Być może nie było to aż tak niezwykle, zważywszy na mój wiek.

Byłoby z pewnością czymś zupełnie normalnym, gdyby Emma poszła z Brianem do lekarza. Trudno było przecież nie zauważyć, że malec potrzebował pomocy, medycznej bądź psychologicznej. I prawdopodobnie Emma również to widziała. Nigdy nie miałam sposobności, żeby z nią o tym porozmawiać, sądzę jednak, iż ona po prostu bała się zwrócić na siebie uwagę, pokazując się z dzieckiem w urzędach. Z Londynu nikt się po niego nie zgłosił. Przypuszczalnie informacje o Brianie zaginęły gdzieś w drodze między siostrą, która w ów mroczny listopadowy wieczór po naszym przyjeździe do Staintondale zanotowała jego nazwisko, a odpowiednimi służbami w Londynie. Emma była przekonana, że umieszczenie go w sierocińcu oznaczałoby dla chłopca prawdziwą tragedię, dlatego cieszyła się, że widocznie o nim zupełnie zapomniano. Robiła przeto wszystko, żeby trzymać go w ukryciu. Zrezygnowała z wizyt u lekarza, nie miała też skrupułów i nie posłała go do szkoły. Każdy bowiem, kto go spotkał, od razu mógł się zorientować, że Brian nie byłby w stanie dotrzymać kroku ani swym rówieśnikom, ani nawet młodszym od siebie dzieciom.

Ponieważ zaś cała ta historia co prawda denerwowała Arvida, zarazem jednak los Briana był mu zupełnie obojętny, Emma mogła postępować wedle własnego uznania. Także Chad trzymał się od tych spraw z daleka. Był zresztą w wieku, w którym ma się zupełnie inne rzeczy w głowie. Mnie natomiast wkrótce potem interesował już tylko Chad, Brian zaś jedynie o tyle, że zmuszał mnie do przebiegłości, koniecznej by się od niego uwolnić. Dla wszystkich prócz Emmy stał się wkrótce *Niktosiem*. Tak właśnie po pewnym czasie zaczął nazywać go Chad: *Nobody*.

Czyli Nikt.

## 5.

W lutym 1941 roku odwiedziła mnie w Staintondale mama. Właściwie chciała przyjechać już na Boże Narodzenie, lecz rodzina, u której sprzątała i wykonywała rozmaite prace domowe, potrzebowała w tym okresie jej pomocy, ona zaś nie chciała zrezygnować z możliwości dodatkowego zarobku. Wcale mnie to nie zmartwiło. Święta na farmie Beckettów bardzo mi się spodobały, spadło nawet trochę śniegu. W tygodniach poprzedzających święta z niezwykłą gorliwością przykładałam się do pracy, pomagając, kiedy tylko mogłam, na farmie lub w domu, dzięki czemu uzbierałam całkiem pokaźne kieszonkowe. Kupiłam za nie finkę dla Chada, wiedziałam, że od dawna o niej marzył. Kiedy rozpakował prezent, jego oczy rozbłysły. Dziękując mi, spojrzał na mnie nieco odmienionym wzrokiem. Jakby nie widział już we mnie jakiejś głupiej małej dziewczuszki z Londynu, która grała mu tylko na nerwach, lecz poniekąd człowieka, którego należy traktować zupełnie poważnie. Jego spojrzenie i uśmiech były dla mnie najpiękniejszym prezentem na święta. Podarował mi też książkę:

*Małe kobiety* pióra Luizy Alcott.

- Bo tak bardzo lubisz czytać - wyjaśnił nieco zakłopotany.

Chciałam go uściskać, ale się nie odważyłam. Przycisnęłam tylko mocno książkę do siebie.

- Dziękuję - powiedziałam cicho i przyrzekłam sobie, że przechowam tę książkę po wsze czasy. Udało mi się. Mam ją do dziś.

W Boże Narodzenie udaliśmy się do kościoła, śpiewaliśmy i objadaliśmy się przy stole. Wcale mnie nie ucieszył długi, pisany w poczuciu winy list od mojej mamy, w którym wyjaśniała i usprawiedliwiała swą nieobecność. Wręcz przeciwnie, to *we mnie* wzbudził on poczucie winy. Mamie wydawało się, że strasznie za nią tęsknię, i pewnie nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby tak właśnie się działo. Zastanawiałam się, dlaczego właściwie nie tęsknię za domem i jak w ciągu kilku zaledwie tygodni zdołałam zaaklimatyzować się tak dobrze na farmie Beckettów. Dziś wydaje mi się, że znam odpowiedź na to pytanie. Nie dlatego, że byłam zakochana w Chadzie Becketcie. Nie tylko dlatego, że wcześniej kłóciłam się często z matką, a teraz znacznie łatwiej dogadywałam się z łagodną Emmą. Myślę, że tam, na wschodnim wybrzeżu Yorkshire, odnalazłam *moją krainę*. Nie jestem mieszczuchem. Chociaż urodziłam się w Londynie i spędziłam tam pierwszych jedenaście lat życia, nie potrafiłam uznać tych ulic, tych tłumów ludzi, tych wysokich domów za moją ojczyznę. Bezkresne natomiast, pofałdowane łąki Yorkshire, rozmarzone wioszczyńy, niebo i ziemia stapiające się w jedno na nieskończenie odległym horyzoncie, bliskość morza, liczne zwierzęta i czyste powietrze napełniały mnie uczuciem, że oto znalazłam się w domu. Przebywałam tam, gdzie moje miejsce. Nawet jeśli wówczas jeszcze tego nie rozumiałam.

Kiedy moja matka przyjechała wreszcie w któryś weekend w połowie lutego, stwierdziła, że naprawdę dobrze wyglądam. Yorkshire nie pokazało się od swej najlepszej strony, ale której krainie udaje się to już w lutym? Panowała chłodna, szara, dżdżysta pogoda. Podwórze pełne było błota, a wierzchołek wzgórza za nim skrywały nisko zwieszane chmury. Mimo to chciałam pokazać mamie most, wąwóz, plażę, ona jednak wzbraniała się wyjść ze mną na dwór.

- O wiele za zimno - odparła, rozcierając zziębnięte ramiona, choć siedziałyśmy w pokoju dziennym przy kominku - i za mokro. W taką pogodę nie będę się wspinać po jakichś skałach, przykro mi, kochanie. Jeszcze złamię sobie nogę.

Odniosłam wrażenie, że farma Beckettów nieszczególnie jej się spodobała, że nie wytrzymałaby tu dłużej niż pół tygodnia. Choć oczywiście lepsze to niż bomby zrzucone na Londyn.

- Niemcy wciąż urządzą naloty - opowiadała mama. - Co prawda nie są już tak groźne jak na początku, ale cieszę się, że możesz tu jeszcze zostać. Dla bezpieczeństwa. Mnóstwo ludzi wysłało swoje dzieci na wieś.

Sama nadal mieszkała u ciotki Edith. Wyznała mi, że jest tam strasznie.

- Po prostu za dużo ludzi, a za mało miejsca. Znasz przecież Edith. Od razu daje ci do zrozumienia, że grasz jej na nerwach. Mnie traktuje jak jakiegoś żebraka. A przecież jestem żoną jej zmarłego brata! Nie kimś obcym!

Spojrzała na Briana, który jak zwykle trzymał się blisko mnie. Siedział na podłodze i popychał tam i z powrotem drewniany samochód, należący niegdyś do Chada. Jak zwykle jego zabawa była pozbawiona wyraźnego sensu.



- Czy on nas rozumie? - zapytała.

Potrząsnęłam głową. - Nie sędę. Prawie w ogóle też nie mówi.

Właściwie dopiero z początkiem stycznia po raz pierwszy podczas swego pobytu na farmie Brian próbował składać coś na kształt wyrazów. Emma zareagowała wprost euforycznie, ja natomiast uważałam, że nic szczególnego nie dokonał. Jak na złość, jego pierwsze dość wyraźnie wypowiedziane słowo brzmiało *Fiona*. Poza tym potrafił wymówić coś, co przypominało *chodź!* oraz *niko*. Emma zgadywała, co mogłoby znaczyć to drugie słowo. Chad i ja byliśmy pewni, że w rzeczywistości chciał powiedzieć *Niktoś*, imię, którym zwracaliśmy się do niego, kiedy byliśmy z nim sami. Nie wyjawiliśmy tego jednak, wiedząc, że Emma rozgniewałaby się z tego powodu.

Kiedy mama upewniła się, że Brian rzeczywiście nie zdoła wypaplać tego, co może przy nas usłyszeć, wyjawiała mi informację, która, jak przypuszczam, stała się właściwym powodem jej podróży na północ.

- Być może nie pomieszkam już długo u ciotki Edith - powiedziała.

- Czy nasz dom zostanie odbudowany? - zapytałam.

- Nie. To pewnie jeszcze trochę potrwa. Usuwają już gruz z ulic, ale odbudowa właściwie się nie opłaca, póki Niemcy wciąż atakują.

- To dokąd chcesz się przeprowadzić?

Zawahała się przez chwilę. W końcu powiedziała cicho i szybko:

- Poznałam kogoś...

Nie od razu zrozumiałam. - Tak?

- Nazywa się Harold Kane. Jest... pracuje w londyńskiej stoczni. Jako brygadzysta!

- Mężczyzna? - spytałam z niedowierzaniem.

- Oczywiście, że mężczyzna - odparła mama nieco poirytowana. -  
A któż by inny?

Poczułam się jakby uderzona obuchem. Nie było mnie w domu ledwie cztery miesiące, a mama już myślała o zamążpójściu. Byłam na tyle duża, żeby wiedzieć, ile jest dwa dodać dwa. Jeśli mówi, że poznała mężczyznę, a zaraz potem wspomina, że nie zostanie już długo u ciotki Edith, oznaczało to rzecz jasna, że zakochała się w tym Haroldzie Kanie i pewnie wkrótce przeprowadzi się do jego mieszkania. Jak mogła działać tak szybko? Tato nie żył, Anglia toczyła wojnę, Hitler szykował się na podbój świata, mnie trzeba było ewakuować - a moja matka nie miała nic lepszego do roboty, niż rozglądać się za nowym mężczyzną. Jej zachowanie wydało mi się przykre i trochę pozbawione godności.

Poza tym zauważyłam, że stałam się trochę zazdrosna. Mój związek z Chadem nadal był nad wyraz jednostronny i właściwie utknął w martwym punkcie, mama natomiast w mgnieniu oka znalazła sobie jakiegoś faceta, który najwyraźniej był gotów się z nią ożenić. To *na mnie* przyszła teraz kolej. Byłam młoda. Mama zaś, mając trzydzieści dwa lata, wydawała mi się wówczas kobietą sędziwą. Bądź co bądź najważniejsze lata swego życia miała już za sobą.

- Jak to pracuje w stoczni? - spytałam zjadliwym i nieco wyzywającym tonem. - Dlaczego nie walczy na wojnie?

Mama westchnęła, dostrzegłszy tę prowokację oraz kłopoty, jakie na nią czyhały. - Został zwolniony ze służby - wyjaśniła - ponieważ wykonuje ważną w czasie wojny pracę.

Chciałam mruknąć pod nosem coś w stylu *dekownik*, nie odważyłam się jednak. Przeczuwałam, że mama może zareagować złością. Poza tym przypuszczalnie było to zupełnie nieuzasadnione.

Arvid Beckett również został zwolniony ze służby, gdyż był potrzebny do pracy na farmie. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, by go za to potępiać. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby żadnego mężczyzny nie posyłać na front. Podzielałam głęboką obawę Emmy, że może to spotkać także Chada, jeśli wojna wkrótce się nie skończy. Mama z pewnością drżałaby o tego swojego Harolda, dlatego ucieszyła się, że może on pozostać w Londynie.

- No cóż, w takim razie pewnie nie będzie już dla mnie miejsca w twoim życiu - powiedziałam ponurym tonem. Słyszając tę uwagę, mama oczywiście mocno zaprotestowała.

- Jesteś moim dzieckiem! - krzyknęła i wzięła mnie w ramiona. - Między nami nic a nic się nie zmieni!

I pewnie tak właśnie myślała. Choć nie miałam jeszcze bogatego życiowego doświadczenia, instynkt podpowiadał mi, że coś się jednak zmieni. Zawsze coś się zmienia, gdy w rodzinie pojawia się nowa osoba. Kto wie, jak ten Harold będzie mnie traktować? Jakos nie potrafiłam sobie wyobrazić jego zachwytu faktem, że narzeczona sprowadzi wkrótce do siebie prawie już dwunastoletnią córkę.

Kiedy następnego ranka odprowadzałam mamę spory kawałek drogi do głównej szosy, którą raz na dzień kursował autobus do Scarborough, gorąco pragnęłam, żeby mój pobyt na farmie Beckettów potrwał jeszcze długo, naprawdę długo. Coraz słabiej odczuwałam potrzebę powrotu do Londynu. Paradoks całej sytuacji polegał na tym, że czas mojego pobytu w Yorkshire zależał od czasu trwania wojny, żaden zaś rozsądny człowiek nie mógł żywić nadziei, że wojna potrwa jeszcze długo. Tym bardziej że Chad w kwietniu kończył szesnaście lat i mógł się znaleźć w krytycznym położeniu.

Kiedy stałam na poboczu i machałam ręką do odjeżdżającej na stację matki, zalałam się łzami. Moje życie wydało mi się zagmatwane i trudne. W jednej chwili spowił je mrok, to budziło niepokój. Owładnęło mną uczucie, że u nikogo w całym świecie nie odnajdę już prawdziwego oparcia. A już najmniej u własnej matki.

Stało się to latem. Na początku sierpnia, kilka dni po moich dwunastych urodzinach otrzymałam od mamy telegram. Donosiła mi, że wyszła za mąż za Harolda.

## 6.

Dzień był gorący i suchy, niebo mieniło się barwą krystalicznego błękitu, tak typowego dla sierpniowej pogody. Na drzewach dojrzewały jabłka. Wiatr przemieszał zapachy morza i świeżo skoszonej trawy. Dzień skończenie doskonały. Wakacje. Swoboda. Mogłabym położyć się pod drzewem, czytać, marzyć, spoglądać na nieliczne, sunące ociężale po niebie obłoki.

Zamiast tego przysiadłam na plaży na głazie i pogрузyłam się w myślach. W dłoni trzymałam telegram, w którym w oschłych słowach donoszono mi, że od poprzedniego dnia mam ojczyma. *Ojczym!* Macochy znałam z bajek. Ojczymowie pewnie wcale nie byli lepsi.

Mało nie wypłakałam sobie oczu.

Oczywiście wiedziałam, że dzień ten kiedyś nadejdzie, a mimo to, o dziwo, byłam zupełnie zszokowana. Czułam się zdradzona, pominięta. Mama powinna najpierw porozmawiać o tym ze mną, zamiast stawiać mnie przed faktem dokonany, na domiar złego informując mnie drogą telegraficzną. Powinna była przedstawić mi Harolda, sprawdzić, czy potrafię znaleźć z nim wspólny język, czy będzie dla mnie miły, czy damy sobie radę. A co, jeśli od razu mnie znienawidzi - a ja jego? Jeśli będzie mnie szykanował, utrudniał mi

życie, będzie na mnie wrzeszczał? Co wówczas pocniemy? Czy dojdzie do rozwodu? Może mamie było to zupełnie obojętne. Może całkiem straciła dla niego głowę i już jej nie obchodziło, jak się miewa jej dziecko.

Przy słowie *dziecko* przyszła mi do głowy kolejna straszna myśl: co, jeśli mama i Harold będą mieli dziecko? Mama chyba nie była na to jeszcze za stara, w przeciwnym bowiem razie Harold pewnie by jej nie poślubił. Oczywiście zostałamby wówczas zupełnie odsunięta na bok. Mama troszczyłaby się tylko o wrzeszczące niemowlę, Harold zaś adorowałby ubóstwianego potomka. A ja byłabym dla wszystkich jedynie zawadą. W końcu pewnie oddaliby mnie razem z Brianem do sierocińca. Harold z pewnością zadręczałby mamę tak długo, aż wreszcie przystałaby na takie rozwiązanie.

Byłam tak bardzo pogrążona w mrocznych myślach, tak zapłakana i rozżalona, że nie od razu zauważyłam, że zbliża się do mnie jakiś człowiek. Dopiero gdy kątem oka dostrzegłam nagle czyjś ruch, podniosłam wzrok przerażona.

To był Chad. Stał przede mną w odległości kilku kroków i wcale nie wyglądał na ucieszonego moim widokiem.

- Jesteś tutaj - powiedział, przeciągając sylaby. - Myślałem, że mogę tu być sam.

- Często tu przychodzę - odparłam.

Na szczęście nie sprawiał wrażenia rozgniewanego. - Rozumiem. Niezłe miejsce, żeby się wypłakać, nie?

Wygrzebałam chusteczkę i oczyściłam nos, wiedziałam jednak, że mam zaczerwienione, napuchnięte oczy i plamy na twarzy, przez co wyglądam okropnie jak rzadko kiedy.

- Moja mama wyszła ponownie za mąż - rzekłam, machając ręką z telegramem.

Chad powtórzył: - Rozumiem. - Następnie rozejrzał się nieufnie wokoło. - Czy Niktoś jest gdzieś w pobliżu?

Tego mi jeszcze brakowało!

- Zgubiłam go. Bez obaw, sam nie odważy się tu przyjść.

Chad z wahaniem zrobił parę kroków w moim kierunku. Z pewnością wolałby być teraz sam, coś go jednak powstrzymywało przed tym, by mnie po prostu odegnąć jak jakąś natrętną muchę. Z początku zawsze tak robił. Ale teraz miałam już dwanaście lat. A dwunastoletniej dziewczynki nie można już było traktować tak lekceważąco i niegrzecznie. Na myśl o tym poczułam się nieco lepiej.

- Wstrętny typ? - zapytał, wskazując na telegram.

Przełknęłam ślinę. Tylko znów się nie rozbecz.

- W ogóle go nie znam - musiałam przyznać. - Mama poznała go już po moim przyjeździe tutaj. Od tego czasu nie byłam w Londynie.

- Mogła go zabrać z sobą, kiedy przyjechała w odwiedziny. Jeśli już wtedy go znała.

- Pewnie nie miał czasu. Wykonuje jakąś ważną w czas wojny pracę. - Przynajmniej coś, z czego można być choć trochę dumnym.

Chad chyba nie uważał tego rodzaju pracy za powód do chwały, bo wydał policzki i prychnął pogardliwie. - Jak mój ojciec! Z tą idiotyczną farmą! Ważna mi tam praca! W czasie wojny jest tylko jedno miejsce dla mężczyzny: na froncie!

Słyszając te słowa, poczułam zimny dreszcz przebiegający mi po plecach, zarazem jednak wywarły one na mnie spore wrażenie. Jego głos zabrzmiał tak mężnie, tak zdecydowanie. Tego lata Chad

ukończył szkołę i z większym zaangażowaniem musiał pomagać ojcu w pracy na farmie. Zajęcie to nie sprawiało mu wiele satysfakcji i coraz częściej wywoływało kłótnie między nim i Arvidem. Cztery tygodnie wcześniej podsłuchałam rozmowę Arvida z Emmą. Emma pragnęła, żeby Chad kontynuował naukę w szkole, a potem, być może, wstąpił na uniwersytet.

- Da sobie radę! - powiedziała niemal błagalnym tonem. - Podobnie uważają jego nauczyciele. Ma dobre stopnie.

Nic jednak nie wskórała.

- Szkoła! Uniwersytet! I po co mu to? Odziedziczy farmę, a do jej prowadzenia nie potrzebuje żadnych specjalnych dyplomów. Wdroży się w swój fach, a pewnego dnia przekażę mu to wszystko. Może się uważać za szczęściarza. Kto dziś dostaje taki majątek praktycznie w prezencie?

Teraz jednak odniosłam wrażenie, że Chadowi nie zależało na tym, żeby kontynuować edukację. Wytyczył sobie inne cele, i to mnie zaniepokoiło.

- Właśnie odbyłem rozmowę z rodzicami - odezwał się. Miał zarumienione policzki, prawdopodobnie nie tylko od wspinaczki przez wąwóz. - Mam szesnaście lat, mógłbym się zgłosić, gdyby ojciec dał mi pozwolenie! Zupełnie nie rozumiem, dlaczego się sprzeciwia! - Usiadł wreszcie na głazie tuż obok mnie, chwycił kilka drobnych kamyków i cisnął nimi ze złością w morze.

- Zgłosić się? Masz na myśli...

- Na front oczywiście. Chcę walczyć. Tak jak inni!

- Ale przecież niewielu szesnastolatków walczy na wojnie - zauważyłam.

- Niektórzy walczą - upierał się Chad. Znow cisnął parę kamyków.

Rzadko widywałam go tak rozgniewanego.

- Twój ojciec potrzebuje cię na farmie.

- Mój kraj potrzebuje mnie na froncie. Inni umierają za Anglię!

A ja siedzę tu i strzygę owce. Wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy? - Obrócił się twarzą do mnie. W jego oczach dostrzegłam nie tylko złość. Także smutek. Niemal desperację.

Być może w tej chwili czuł się podobnie jak ja.

- Czy ty właściwie wiesz, kim jest Hitler? - zapytał.

Nie miałam wyrobionego zdania. - Nie do końca...

- On jest szalony - rzekł Chad - zupełnie zwariował. Chce podbić cały świat. Atakuje każdy kraj. Teraz rusza na Rosję. Tego może się podjąć jedynie obłąkaniec!

- Na pewno nie uda mu się pokonać Rosji - powiedziałam nieśmiało. Wiedziałam, że tego lata Hitler zaatakował Rosję, ale wiele się nad tym nie zastanawiałam. Miałam nadzieję, że Chad nie uzna mnie teraz za głupią.

- Wyobraź sobie, że Niemcy wtargną do Anglii - powiedział Chad. - Nie chodzi o zrzućenie paru bomb, choć wyrządzają tyle szkód. Ale wyobraź sobie, co by było, gdyby nagle znaleźli się tutaj.  
*Gdyby Niemcy nagle znaleźli się tutaj!*

Oczywiście nie sądziłam, by wtargnięcie Niemców mogło jeszcze pogorszyć moje obecne położenie. Nawet Hitler nie wydawał mi się postacią równie straszną jak fantom Harolda Kane'a. Nie odważyłam się jednak powiedzieć tego na głos.

- To by było straszne - odparłam więc posłusznie.

- To byłaby katastrofa - powiedział z naciskiem Chad, po czym pogrążył się w ponurym milczeniu.

- Przede wszystkim to mama mnie powstrzymuje - odezwał się po chwili. - Tatę pewnie zdołałbym przekonać. Ale ona dostaje



histerii, kiedy tylko wspomnę, że chcę iść na wojnę!

- Boi się o siebie.

- Boi się! Jestem już prawie dorosły. Któregoś dnia przestanie się o mnie bać. Niech sobie ściska i całuje Niktosia, niech go zadusi tą swoją troskliwością. Do mnie to już nie pasuje. Muszę iść własną drogą. Słuchać własnych przekonań!

Uważałam, że jego słowa brzmią bardzo dobrze. Jak zawsze robiły na mnie niesamowite wrażenie. Mimo to ja również nie chciałam, żeby szedł na wojnę. Oczywiście, że nie, w żadnym wypadku. Lecz obawiałam się mu o tym powiedzieć. Chciałam, by widział we mnie sprzymierzeńca, nie zaś młodsze wcielenie jego bojaźliwej matki.

- W życiu - odezwałam się - czasem nie układa się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Wydawało mi się, że to spostrzeżenie nie jest jakoś szczególnie inteligentne. Po prostu prawdziwe.

Chad spojrział na mnie.

- Ale nie trzeba się na to godzić - odrzekł.

- Czasem jednak... - Pomachałam telegramem.

- Czasem człowiek jest zupełnie bezsilny.

Nadal patrzył na mnie. Coś się jednak zmieniło. Jego wzrok był już inny... On... tak, spoglądał na mnie, jakby po raz pierwszy popatrzył na mnie świadomie.

- Masz piękne oczy - powiedział. Zabrzmiało to niemal zaskakująco. - Naprawdę, jest w nich coś szczególnego. Złote plamki.

Mam oczy koloru zielonego z niewielką domieszką brązu. Brązu, nie złota.

Może to światło zmieniło ich barwę. Albo widział, co chciał zobaczyć. Tego nie wiem. Poczułam się jednak, jakby świat nagle zatrzymał się w miejscu. Jakby fale zamarły, zamilkły mewy, jakby ucichł letni wietrzyk. Poczułam suchość w ustach, musiałam przełknąć ślinę. Telegram, zawarta w nim wiadomość, która tak mną wstrząsnęła, naraz stały mi się obojętne.

- Ja... - zaczęłam, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. - Dziękuję - wydobyłam z siebie, uświadamiając sobie, że naprawdę nie mam bladego pojęcia o życiu. Co należałoby powiedzieć w takiej chwili? *Dziękuję* zabrzmiało jak od powiedź jakiejś uczennicy. Mimo najlepszych chęci nic innego nie przyszło mi do głowy.

Pewnie uzna mnie za idiotkę, pomyślałam zdeprymowana. Owa szczególna chwila, w której świat wokół mnie wstrzymał oddech, minęła tak szybko, jak szybko nadeszła - dla dziewczyny, której odjęło mowę, gdy mężczyzna powiedział jej coś miłego.

On jednak wciąż patrzył na mnie odmienionym wzrokiem, w którym kryło się coś, co dawało mi nadzieję, że już nie widzi we mnie jedynie uczennicy.

Sięgnął po telegram. - Daj no - odezwał się.

Kilkoma szybkimi ruchami zrobił z niego papierowy samolot, a potem podniósł się z miejsca. - Chodź - powiedział - po prostu go odeślemy!

Wstałam. Chad sprawdził kierunek wiatru, po czym zręcznie puścił samolot w górę. Pochwyciły go i uniosły prądy termiczne. Przeleciał spory dystans, nim uderzył w taflę morza. Przez chwilę widzieliśmy, jak tańczył na niewielkich falach, potem zniknął nam z oczu.

- Przepadł - odezwał się Chad. - Po prostu nie myśl o nim więcej.

Roześmiałam się. To było takie proste. Rzeczywiście, mama od razu zniknęła. Podobnie Harold Kane. Naraz przestała mnie interesować moja przyszłość, pytanie o to, co się ze mną stanie. Prawdziwa była tylko teraźniejszość, plaża, morze, niebo. I Chad, który oczywiście wziął mnie za rękę.

- Chodź - powiedział - wracajmy do domu.

Pamiętam, że w drodze powrotnej towarzyszyła mi myśl, że jest to najszczęśliwsza godzina mojego życia. Nigdy nie mogłabym być szczęśliwsza, a życie doskonalsze. Nawet dziś, po ponad półwieczu, wciąż mogę poczuć niezwykłą atmosferę tamtego popołudnia. Być może tak właśnie jest w życiu każdego człowieka: istnieją chwile, które nas oczarowują, ilekroć wracamy do nich myślami, nieważne, jak wiele czasu upłynęło, nieważne, jak potoczyło się nasze życie. Sądzę, że owym szczególnym elementem tamtego popołudnia było oczywiście wyznanie miłości - bo tak właśnie odebrałam słowa Chada o moich oczach. I rzeczywiście, później miało się okazać, że odwzajemnił on wreszcie moje uczucia, które w cichym rozmarzeniu żywiłam dla niego od tak dawna. Z perspektywy czasu wiem jednak, że ta chwila kryła w sobie coś więcej, coś więcej niż tylko romantyczne spotkanie chłopca i dziewczyny na plaży. Był to - choć wówczas nie mogłam tego jeszcze wiedzieć - jeden z nielicznych momentów, które ja i Chad Beckett przeżywaliśmy w stanie niewinności. Rozumiem to dosłownie. W niczym jeszcze wówczas nie zawiniliśmy.

To się miało zmienić. Dziś mam już pewność, że wspólna historia naszego życia, która bez wątpienia była możliwa, legła w gruzach.

Z naszej winy.

## Wtorek, 14 października

### 1.

Obudziło ją brzęczenie budzika. Po chwili zastanowienia uświadomiła sobie jednak, że to niemożliwe, przebywała bowiem w Scarborough, a nie w swoim londyńskim mieszkaniu, tutaj zaś nie miała żadnego budzika. Musiało jej się coś przyśnić. Albo było to tylko przywidzenie. Tym bardziej że wokół panowała kompletna cisza.

Usiadła na łóżku. Za oknem nastał już świt. Ujrzała, jak mgła lgnie do szyb. Pogodowi prorocy nie mylili się: nadeszła jesień.

Już chciała opaść z powrotem na poduszki, gdy ponownie zabrzączał dzwonek. Zrozumiała, że ktoś czeka za drzwiami. Po omacku sięgnęła po zegarek. Dochodziła dziewiąta. Nigdy jeszcze tak długo nie spała. Z niejakim poczuciem winy pomyślała o zakupionej poprzedniego dnia whisky, której sporo wypła, siedząc wieczorem w pokoju dziennym Fiony. To pewnie alkoholowe upojenie uraczyło ją tak długim i głębokim snem.

Dziś wieczorem tylko herbata, powzięła w duchu postanowienie, choć ogarnęło ją gorzkie przecucie, że nie zdoła go dotrzymać.

Wstała i poczłapała niepewnie przez mieszkanie. Przechodząc obok pokoju dziennego, zobaczyła przez otwarte drzwi leżący na stole plik kartek, wręczony jej przez Colina. Cały wieczór spędziła na czytaniu. *Drugie dziecko.doc*. Obok stała szklanka i butelka whisky. Lampa wciąż się paliła, zapomniała ją wyłączyć.

Nacisnęła przycisk otwierający drzwi wejściowe, po czym zamknęła drzwi do pokoju dziennego. Chwilę później na schodach pojawił się Stephen, niewyspany, z torbą podróżną w dłoni i w tenisówkach na nogach.

- Obudziłem cię? - zapytał.

Była zupełnie osłupiała. - Tak. Nie. Właściwie tak, ale nic nie szkodzi. - Cofnęła się o krok. - Może wejdiesz...

Przestąpił próg mieszkania, otrząsnął się niby zmoknięty pies.

Miał na sobie połyskującą od wilgoci wiatrówkę. - Dawno już tu nie byłem i zaparkowałem zbyt daleko - usprawiedliwiał się. - Na dole, przy Spa Complex. Musiałem przejść przez cały park... Chryste, jakie te drogi tutejsze są strome, a do tego ta mgła, własnej ręki nie widać!

Leslie wciąż usiłowała się ocknąć. - Skąd przybywasz?

- Z Londynu. Wyjechałem dziś około czwartej nad ranem.

- Po co?

Zdjął mokrą kurtkę. - Dostałem urlop. I pomyślałem...

- Niby co?

- Pomyślałem, że może mnie potrzebujesz. Wyobrażam sobie, jak okropnie się czujesz...

Skrzyżowała ręce na piersiach w obronnym geście. - Mówiłam ci, żebyś nie przyjeżdżał.

- A jednak do mnie zadzwoniłaś - odparł.

- Przykro mi. To był błąd.

Wyglądał na urażonego. - Leslie, czy mogłabyś...

- Wykluczone! - prychnęła. Tylko nie ulec słabości. Nie rozczulać się. Pomyśl o tym, co ci zrobił. Jak bardzo bolało, kiedy opowiedział o swoim wyskoku. Jak się potem czułaś. Strach, że to się może powtórzyć. Nieufność, czy rzeczywiście była to tylko jedna noc.

Strach i nieufność. I swoboda, kiedy wreszcie zebrała w sobie dość sił, by ostatecznie z nim zerwać.

Nie zważając na jej słowa, mówił dalej: - Czy mogłabyś przynajmniej przez chwilę pomyśleć o tym, że przez dziesięć lat byliśmy małżeństwem, a znamy się od piętnastu? Że twoja babcia była też częścią mojej rodziny? Ja także odczuwam stratę. Ja także mam prawo do smutku. I mam prawo wiedzieć, co się stało.

- Okay. Ostatni punkt: co się stało? W tej chwili nikt tego nie wie. Jeśli zjawileś się z tego powodu, muszę cię rozczarować. Żadnych nowych ustaleń. A punkt przedostatni: oczywiście, że możesz się smucić. Ale, proszę, sam. Beze mnie.

Stali naprzeciw siebie. Leslie zauważyła, że jej oddech jest krótki i urywany. Próbowwała nad sobą zapanować.

*Nie pozwól, żeby cię zirytował!*

Stephen spojrział na nią zamyślony, po czym sięgnął po swoją wiatrówkę, którą wcześniej położył na oparciu krzesła. - To zabrzmiało jednoznacznie. Poszukam sobie jakiegoś miejsca, gdzie dostanę śniadanie i...

Czując zawstydzenie, Leslie zakłopotana odgarnęła dłonią włosy z czoła. - Śniadanie możesz zjeść tutaj. Już dobrze. Przepraszam, jeśli...

Uśmiechnął się z wyrazem ulgi. Czmychnęła do łazienki, on zaś wszedł do kuchni. Dawniej dość często spędzali wakacje u Fiony w Yorkshire, więc Stephen orientował się w rozkładzie mieszkania. Oglądając w lustrze swą napuchniętą twarz, Leslie niemal z ulgą pomyślała, że nie jest teraz sama. Być może śmierć Fiony zapoczątkuje nowy okres, w którym ona zarzuci swą wrogość i puści w niepamięć dawne urazy. A w końcu może nawiąże przyjacielskie stosunki ze Stephenem.

Wzięła prysznic, wysuszyła włosy, wskoczyła w dżinsy i sweter, po czym weszła do pokoju dziennego. Poczowała zapach kawy. Stephen nakrył stół przy oknie, choć efekt jego starań przedstawiał się raczej skromnie. Na talerzu pośrodku lśnił spory kawałek cheddara, obok stała miska wypełniona krakersami. Stephen, który spoglądał w nieprzeniknioną zasłonę mgły, odwrócił się. - Czym ty żyjesz? - zapytał. - Lodówka jest pusta. Jedyne, co znalazłem w kuchni, to spory zapas kawy i papierosów!

- Właśnie. Masz odpowiedź na swoje pytanie - odparła Leslie. - Kawa i papierosy. Tym żyję.

- Niezbyt to zdrowe.

- Sama jestem lekarką. - Usiadła, nalała sobie kawy, skosztowała pierwszy łyk. - Jak dobrze! Powoli wracam do życia!

Podczas śniadania - jeśli ów mizerny posiłek można nazwać śniadaniem - Leslie poinformowała o znanych sobie skromnych wynikach dochodzenia, o nieszczęsnych zaręczynach, o wczasowiczach Colinie i Jennifer Brankleyach, o kłótni pomiędzy Dave'em Tannerem a Fioną. O fatalnej w skutkach decyzji Fiony, żeby iść nocą na piechotę.

- A potem gdzieś na tej opustoszałej drodze musiała spotkać mordercę.

- Ten Dave Tanner jest pewnie głównym podejrzanym - domyślił się Stephen. - Mógł się kręcić w pobliżu. Z twojego opisu można by wnioskować, że tamtego wieczoru miał prawo poczuć się śmiertelnie urażony.

Gra słów była zupełnie niezamierzona, ale Leslie ją podchwyciła. - Śmiertelnie urażony. Coś tu nie pasuje. Był urażony, owszem. Żeby jednak z tego powodu gotów był zabić... to nie do pomyślenia.

- Co to za człowiek?

- Nieprzenikniony. Lecz nie do tego stopnia, żeby go posądzać o zbrodnię. Swoim postępowaniem potwierdza raczej przypuszczenia Fiony. Możliwe, że faktycznie prowadzi z Gwen nieuczciwą grę. Jest przystojny, to typ mężczyzny, do którego młode kobiety lgną całymi chmarami, on tymczasem ledwie wiąże koniec z końcem. Gwen, a ściślej mówiąc farma Beckettów, to dla niego prawdziwa gratka.

- Mężczyzna, który się z nią ożeni, z którym może będzie mieć dzieci, jest prawdziwą szansą także dla Gwen - odparł zamyślony Stephen. - Sądzę, że to nie jest klasyczna romantyczna historia, ale mimo wszystko ten związek mógłby przynieść korzyści im obojgu.

- Jeśli on zdoła się oprzeć kuszącym propozycjom pięknych dziewcząt - zauważyła Leslie, po czym dodała uszczypliwie: - A oboje aż za dobrze wiemy, z jakim trudem przychodzi to czasem mężczyznom.

Stephen chyba chciał odpowiedzieć, poniechał jednak tego zamiaru.

Po chwili wskazał na niewielki stolik, na którym znajdowały się wydruki komputerowe, szklanka i butelka, jednoznacznie świadczące o tym, jak Leslie spędziła miniony wieczór. - Ciekawa lektura? - zapytał.

- Historia życia Fiony. A przynajmniej pewien jej fragment. Spisała ją dla Chada i przesłała mu e-mailem. Była przeznaczona chyba tylko dla jego oczu, ale Gwen odgadła hasło i wszystko wydrukowała. Te kartki przekazał mi Colin Brankley. Zachowywał się bardzo tajemniczo, ale niezupełnie rozumiem dlaczego. Fiona opisuje swoją wojenną ewakuację z Londynu, życie na farmie Beckettów. Często mi o tym opowiadała. Nowością jest to, że była



rzeczywiście zakochana w Chadzie, czego zresztą od dawna się domyślałam, i że istniał między nimi jakiś związek. Do końca jeszcze nie dojrzałam.

Wzruszyła ramionami. - Jak widzisz, topiłam wczoraj smutki w alkoholu i w którymś momencie przestałam już rozumieć, co czytam. - Zamyśliła się. Z gąszczu stępionych przez alkohol wspomnień zaczęło się coś wyłaniać, jakieś pojęcie...

- Wina - powiedziała - napomknęła o winie, którą sprowadzili na siebie razem z Chadem. Ale tego jeszcze nie przeczytałam.

- O jaki rodzaj winy mogłoby tu chodzić? Masz jakieś przypuszczenia?

- Właściwie żadnych. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to sytuacja, w której Fionę i Chada nadal coś łączyło, nawet wówczas, gdy Fiona była już zamężna, a Chad żonaty. Co prawda... Fiona pisze, że jej wspólne życie z Chadem zostało zniweczone *wskutek jakiejś winy*, a to oznacza, że nie ma to właściwie żadnego związku z ich późniejszymi partnerami! - Zmarszczyła czoło. - Mówiłam ci, że od pewnego czasu Fiona odbierała anonimowe telefony?

- Nie. Jakiego rodzaju?

- Milczenie. Oddech. Nic więcej. Nikomu o tym nie wspomniała, jedynie Chadowi. W wieczór swej śmierci. Te telefony musiały ją bardzo przygnębiać.

- Czy w rozmowie z Chadem wysunęła jakieś podejrzenie, kto...

- Nie. Chyba nie miała zielonego pojęcia, kto to mógł być.

Stephen odstawił filiżankę, nachylił się i spojrzał na Leslie poważnym wzrokiem. - Leslie, uważam, że ta historia - ruchem głowy wskazał na stolik z wydrukami - powinna trafić w ręce policji. Może się w niej kryć jakaś rozstrzygająca wskazówka, klucz do całej zagadki.

- Jak dotąd jest to jedynie opowieść o życiu. Historia miłosna.

- Fiona pisze o poczuciu winy.

- Ale...

- Nie lekceważ tego. Ona pisze o winie. Odbiera anonimowe telefony. Wreszcie zostaje zamordowana. Oznacza to, że wszystko, co w jakikolwiek sposób może dać wgląd w jej życie, musi zostać udostępnione policji.

- Stephen, te zapiski mają bardzo osobisty charakter. Nawet ja, będąc jej wnuczką, nie czuję się komfortowo podczas ich lektury. To są wspomnienia, które chciała dzielić wyłącznie z Chadem. A teraz znają je także Gwen, Jennifer i Colin. I ja. Szczerze mówiąc, jestem trochę zła na Gwen, że je wywęszyła. Przede wszystkim nie powinna była dopuścić do nich Jennifer i Colina, którzy nie są nawet naszą rodziną. Czy oni muszą wiedzieć, jakie myśli i uczucia targały Fiona, kiedy była jeszcze dzieckiem, a potem młodą dziewczyną?

- Być może kryją się tam rzeczy, z którymi Gwen sama nie umiała sobie poradzić. Leslie...

Zniecierpliwionym ruchem sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła. - Dobrze. Okay. Przeczytam. A jeśli znajdę coś, co może się okazać istotne, powiadomię oczywiście policję.

- Mam nadzieję, że potrafisz właściwie ocenić, co jest naprawdę istotne - odparł Stephen. - I pamiętaj, Leslie, nie możesz niczego zatrzymać dla siebie. Nawet jeśli przeczytasz o czymś, co...

- Tak?

- Jeśli przeczytasz o czymś, co może ukazać twoją babcie w niezbyt dobrym świetle. Ważne jest odnalezienie mordercy. Ważniejsze niż wszystko inne.

- Stephen, pewnie jeszcze o tym nie wiesz: w lipcu zamordowano w Scarborough młodą kobietę. W podobny sposób jak Fionę. Może więc być i tak, że zabójstwo Fiony nie ma żadnego związku z jej życiem. Być może miała po prostu pecha i wpadła w ręce grasującego tu psychopaty, który morduje kobiety.

- To możliwe. Wszystko jest możliwe.

Leslie wstała. Stephen naraz wydał jej się zbyt bliski. Pokój zbyt ciasny. Kawa nadto wystygła.

- Wiesz co - odezwała się - chyba zgłodniałam. A to śniadanie wcale nie zaspokoilo mojego głodu. Chodźmy na miasto, poszukamy czegoś konkretnego do jedzenia. Potem pójdziemy na zakupy. Zróbmy... zróbmy coś zwyczajnego!

W jego oczach mogła wyczytać, o czym myślał: że jeszcze przez długi czas nic w jej życiu nie będzie zwyczajne.

Że ta ucieczka w tumany mgły przyniesie jej tylko krótką chwilę wytchnienia, nic więcej.

## 2.

Przedpołudnie przyniosło Valerie Almond wieści dobre i mniej dobre. Postanowiła jednak zachować optymizm i te dobre cenić wyżej.

Pomysł, by poszukać informacji o Jennifer Brankley, okazał się strzałem w dziesiątkę. Valerie powinszowała sobie świetnej pamięci. Co prawda nie potrafiła sobie przypomnieć żadnych szczegółów, ale nazwisko Brankley od razu wzbudziło w niej pewne podejrzenia. Poszukiwania za pomocą komputera przyniosły potwierdzenie. Okazało się, że siedem lat wcześniej Brankley była wplątana w skandal.

Nauczycielka ze szkoły w Leeds. Nad wyraz lubiana przez uczniów, budząca respekt wśród kolegów z pracy, szanowana przez

rodziców. Jennifer była znana z bardzo bezpośredniego, zażyłego stosunku do swych młodych wychowanków. Uważała, że rola nauczyciela nie powinna się ograniczać do przekazywania wiedzy i doprowadzenia uczniów do końcowego egzaminu. Chciała być dla nich partnerką, powiernicą, pewnym punktem odniesienia. Chciała poświęcić się dla nich bez reszty i jak się wydawało, jej starania spotykały się z akceptacją. Jennifer Brankley wielokrotnie wybierano na najpopularniejszą nauczycielkę roku, w całej szkole trudno było spotkać człowieka, który by nie wypowiadał się o niej w samych superlatywach. W każdym razie *przed* ową historią.

„Posunęła się oczywiście za daleko” - cytowano w internetowym wydaniu pewnej gazety wypowiedź jednego z kolegów, który chciał pozostać anonimowy. „Mimo całej swej wyrozumiałości tudzież gotowości do niesienia pomocy uczniom *tego* nie wolno jej było robić!”.

Chodziło o zaopatrywanie pewnej siedemnastoletniej uczennicy w silne środki uspokajające, i to przez kilka miesięcy. Dziewczyna przez cały okres nauki szkolnej cierpiała z powodu silnego lęku przed sprawdzianami, a przed egzaminami końcowymi objawy te zdawały się jeszcze nasilać. Dręczyły ją stany lękowe i ataki paniki. W stanie narastającej desperacji zwierzyła się z nich swej nauczycielce Jennifer Brankley. Przed budzącym szczególnie silny lęk okresem egzaminów Jennifer wspomogła ją środkami uspokajającymi, dzięki którym uczennica rzeczywiście zaznała ulgi i odprężenia. Egzaminy ciągnęły się przez cztery bez mała miesiące. Uczennica była zachwycona działaniem tabletek, do tego poczuła, że jest w stanie osiągać ponadprzeciętne wyniki. Dlatego później nie chciała zrezygnować z farmaceutyków. Wedle doniesień prasowych Jennifer Brankley miała jakoby powiedzieć, że była

zupełnie świadoma, iż balansuje na krawędzi, zdawała sobie sprawę, że wchodzi w kolizję z prawem. Mimo to nie potrafiła się oprzeć błagalnym prośbom dziewczyny.

Do katastrofy doszło wtedy, gdy uczennica opowiedziała o tabletkach swojej przyjaciółce, ta zaś przekazała informację rodzicom.

Ci natychmiast skontaktowali się z rodzicami dziewczyny. Do sprawy włączyły się dyrekcja szkoły i policja, powiadomiono prasę. W ciągu jednego dnia Jennifer Brankley znalazła się w oku potężnego cyklonu. Musiała się poczuć fatalnie w obliczu szyderstw, pogardy, wściekłości okazywanych jej ze wszystkich stron. Przede wszystkim prasa nie mogła się rzecz jasna powstrzymać przed wykorzystaniem tej historii zgodnie z wszelkimi regułami sztuki dziennikarskiej.

Valerie odnalazła w archiwum niektóre nagłówki gazet. *Nauczycielka świadomie wpędza uczennicę w uzależnienie od tabletek* oraz: *Uzależniona - w jakim celu Jennifer B, toczyła swą perfidną grę?* należały do najłagodniejszych.

W którymś momencie wyszło na jaw, że również Jennifer Brankley zażywała czasem tabletki, żeby zapanować nad codziennym stresem. Fakt ten w zwyczajnych okolicznościach nikogo by nie zainteresował, bo wykonywała swój zawód bez zarzutu, nie objawiała jakichkolwiek dolegliwości i w żadnym razie nie była uzależniona od żadnego preparatu. Kiedy jednak została już pochwycona w sieć podejrzeń, napastliwości i żądzy sensacji, wykorzystano przeciwko niej wszelkie zdobyte informacje - na pierwszym miejscu oczywiście fakt przyjmowania przez nią tabletek, który rozdmuchano do rozmiarów *niebezpiecznego uzależnienia*. Z pewnością posłużono by się także jej małżeństwem

czy też przeszłością, gdyby tylko znaleziono coś sensownego, co nadawałoby się na spektakularny tytuł prasowy. Media z okolic Leeds i Bradford przepuściły Jennifer przez swą branżową wyżymaczkę.

Na końcu czekało ją zwolnienie z pracy w szkolnictwie.

Valerie wstała zza biurka i sięgnęła po kurtkę.

Sierżant Reek, siedzący naprzeciw niej, uniósł wzrok. - Pani inspektor?

- Jadę do Pauli Foster - wyjaśniła Valerie. - Co prawda nie wierzę, żeby Fiona Barnes została zamordowana przez pomyłkę, chcę to jednak dokładnie wyjaśnić. A potem być może wstąpię również na farmę Beckettów.

W drodze na parking myślała o mniej budujących wiadomościach tego przedpołudnia. Gotowe już były końcowe raporty z sekcji zwłok i zabezpieczenia śladów, brakowało w nich jednak wskazówek, które mogłyby pomóc w dalszym śledztwie. Wyglądało na to, iż Fiona Barnes spotkała swego zabójcę w nocy na szosie, po czym albo sama decydując się na uciezkę, albo też do tego zmuszona, ruszyła wąską ścieżką wiodącą na teren Trevor-Farm. Morderca zadał jej kilka ciosów dużym kamieniem w tył głowy. Każdy z nich odznaczał się coraz większą siłą i brutalnością. Potwierdziły się przypuszczenia lekarza badającego miejsce zdarzenia, że Fiona Barnes wciąż jeszcze żyła, kiedy morderca się stamtąd oddalił. Zmarła dopiero w niedzielę wczesnym rankiem wskutek krwawienia śródmózgowego, będącego następstwem pęknięcia czaszki. Samej napaści dokonano między godziną jedenastą a pół do dwunastej w nocy.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Fiona po pierwszym uderzeniu straciła przytomność lub przynajmniej zdolność

poruszania się, nic bowiem nie wskazywało na to, żeby się broniła przed napastnikiem. Nie znaleziono ani fragmentów naskórka pod jej paznokciami, ani też włosów obcej osoby na zwłokach.

Mimo wprost akrybicznych poszukiwań na terenie okalającym miejsce znalezienia zwłok nie natknięto się na narzędzie zbrodni. Kamieni wszakże było tam pod dostatkiem. Fakt ten rodził podejrzenie, że sprawca nie był uzbrojony, gdy napotkał swą ofiarę. Broń wybrał zupełnie spontanicznie, dostosowując się do sytuacji. Był na tyle sprytny, że kamień albo zabrał z sobą, albo też porzucił z dala od miejsca zabójstwa. W pobliżu można było znaleźć sporo niewielkich strumieni. Jeśli wrzucił go do jednego z nich, mało prawdopodobne, by zdołano go kiedykolwiek odnaleźć.

W tym kryje się wyraźne podobieństwo do przypadku Amy Mills, pomyślała Valerie, po czym wsiadła do samochodu. Również jej zabójca nie był uzbrojony. Żeby uśmiercić swą ofiarę, wykorzystał mur. Albo bardzo dobrze znał to miejsce, albo też wyszedł po prostu z założenia, że w stosownym momencie wpadnie na jakiś pomysł. Oba przypadki przynajmniej pod tym względem wydawały się nie do końca zaplanowane. Jednakże miejsca, w których pochwycono ofiary, mogły zostać bardzo skrupulatnie wyszukane i wybrane z rozwagą. Zabójca Amy Mills włożył dodatkowo rękawiczki. Dziewczyna w każdy środowy wieczór przemierzała Esplanade Gardens. Pytanie, dlaczego budowlane parkany zagroziły jej wówczas drogę, nadal pozostawało bez odpowiedzi. Mógł to być zatem element planu zabójstwa.

Trudno było natomiast przewidzieć, że późnym wieczorem Fiona Barnes będzie szła opustoszałą szosą. Sama przecież tego nie planowała. Czekając na przyjazd taksówki, spontanicznie zdecydowała się wyjść jej pieszo naprzeciw. W normalnych

okolicznościach wróciłaby do domu samochodem razem ze swoją wnuczką.

W normalnych okolicznościach...

Valerie powoli wyjechała z dziedzińca posterunku policji. Mgła zgęstniała tak bardzo, że ograniczyła widoczność do ledwie kilku stóp. Włączyła światła i z zalem pomyślała o słonecznej pogodzie poprzedniego dnia. Przyjemnie było wstać rano i zabrać się do pracy. Dziś natomiast cały świat zdawał się poruszać ociężale, jakby był z ołowiu, uwieczony w kokonie, który pochłaniał wszelkie odgłosy i zamazywał obrazy.

Co za cholerny dzień, pomyślała Valerie, sunąc powoli ulicą.

Wszelkie okoliczności zabójstwa Fiony Barnes skłaniały do wniosku, że morderca należał do grona osób, które wzięły udział w owych nieszczęsnych zaręczynach. Problemem było to, że Valerie nie potrafiła wskazać motywu. Na dobrą sprawę mieli go jedynie Tanner oraz być może również Gwen Beckett, jednakże nie wydawał się on na tyle poważny, by skłonić ich do popełnienia tak brutalnego morderstwa.

Poprzedniego dnia długo rozmawiała z lekarzem sądowym.

- Mężczyzna czy kobieta? Jak pan sądzi?

Patolog się zawahał. - Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że sprawcą powodowała ogromna wściekłość. On - albo ona - coraz bardziej upajał się własną przemocą. Cios, od którego zginęła Fiona Barnes, wymagał dużej siły.

- Większej, niż można by się spodziewać po kobiecie?

- Niekoniecznie. Kryła się w nim prawdziwa nienawiść. A nienawiść potrafi potroić siły. Nie, nie mogę wykluczyć, że sprawcą była kobieta. I bez wątplenia był praworęczny.



Wspaniale, pomyślała z sarkazmem Valerie, to oczywiście bardzo zawęży krąg potencjalnych sprawców. Praworęczny, podobnie jak co najmniej dwie trzecie całej ludzkości, a do tego zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Strasznie mi to pomogło.

Poczuła na piersiach dobrze znany ucisk. Wiedziała, że wkrótce musi przedstawić jakiś trop, a najlepiej rozwiązanie zagadki - albo obydwu, w przeciwnym bowiem razie do sprawy włączą się wyższe instancje. Zostanie wtedy odsunięta od dochodzenia, nie zdoła wyjaśnić tych zbrodni, poniesie całkowitą porażkę. Jeśli potwierdzi się podejrzenie, że sprawa dotyczy seryjnego mordercy, na którego ślad nie jest w stanie wpaść stosunkowo młoda funkcjonariuszka, przyślą jej kogoś ze Scotland Yardu. Pilnie potrzebowała jakiegoś punktu zaczepienia.

Jennifer Brankley. Już od pierwszej chwili wydała jej się dziwną kobietą. Nie tylko dlatego, że spędzała wakacje na tej ponurej farmie i wszędzie wozila z sobą dwa ogromne psy. Valerie dostrzegła w niej coś odmiennego. Teraz zaś, po przeczytaniu starych doniesień prasowych, wiedziała już, w czym rzecz: Jennifer Brankley była osobą głęboko rozgoryczoną. Czuła się źle i niesprawiedliwie potraktowana - przez życie, los, przez ludzi. Nigdy nie przeboleła decyzji o zwolnieniu jej z pracy w szkole, nigdy się z tym nie pogodziła. Ta historia wciąż ją dręczyła, nawet po tylu latach.

Jak przedstawiał się jej profil psychologiczny?

Cierpi na syndrom pomocnika, pomyślała Valerie, przejeżdżając powoli przez ledwie widoczne we mgle skrzyżowanie. Jej zachowanie w stosunku do tamtej uczennicy nie było normalne. Mogłaby dla tej dziewczyny uczynić wiele - porozmawiać z rodzicami, zasięgnąć porady lekarza albo psychologa, cokolwiek.

Ona jednak chciała jej pomóc sama, w sposób spontaniczny i bezpośredni. Zaryzykowała wszystko. Zawód, karierę. Ta historia mogła ją kosztować nawet małżeństwo. Całe to medialne bagno pochłonęło już niejednego związek. Colin Brankley pracuje w banku. Jego przełożeni z pewnością nie byli zachwyceni. Bez wątplenia miał nieprzyjemności z tego powodu. Również i z tym Jennifer musiała się liczyć. Jakby nie dostrzegała niczego prócz problemów tej uczennicy. Jakby wszystko inne straciło dla niej znaczenie.

Do dziś uważa, że potraktowano ją źle. Nie fair. Że spotkała ją krzyżująca niesprawiedliwość. Widać to po niej. Chciała dobrze. Oni zaś ją zniszczyli.

Kim jest dla niej Gwen?

Łączy je silna więź, to da się wyczuć. Jennifer jest trochę jak matka, starsza siostra, powiernica. Ile byłaby gotowa zrobić dla Gwen?

Czy tamtego wieczoru uznała szczęście Gwen, jej przyszłość z Tannerem za zagrożone i postanowiła owo zagrożenie - w osobie Fiony Barnes - wyeliminować?

A może nic takiego nie zostało zaplanowane? Może ktoś - Jennifer? Dave? - dogonił Fionę, chciał z nią porozmawiać, domagał się od niej wyjaśnień, dlaczego wtrąca się w nie swoje sprawy? Czy sytuacja wymknęła się spod kontroli, czy rozmowa raptem przemieniła się w kłótnię, a w końcu w przemoc?

Valerie uderzyła dłonią w kierownicę. Błądzenie we mgle. Otóż to. Bezradne zgadywanie, dreptanie po omacku, rozważanie, odrzucanie hipotez. Żadnego punktu zaczepienia, nic.

Idź naprzód, nie rozpraszaj się, napominała samą siebie. Bacz na wszystko. Staraj się niczego nie przeoczyć. Dlaczego skupiła swoją uwagę na Tannerze?

Nie tylko dlatego, że miał on - choć niezupełnie przekonujący - motyw, by posunąć się wobec Fiony Barnes do rękoczyn. Również dlatego, że był jedyną osobą, którą mogła w jakiś sposób powiązać z Amy Mills, jakkolwiek ów związek nie był aż tak oczywisty. Czy istniał ktoś jeszcze? Ktoś, kto mógł znać Amy Mills?

Skreśliła w kierunku Staintondale. Tumany mgły kładły się na ziemi niczym olbrzymie poduszki. Wysokie mokre trawy pochylały się nad błyszczącą od wilgoci powierzchnią asfaltu. Valerie musiała się według nich orientować, żeby utrzymać właściwy tor jazdy.

Gwen Beckett. Uczęszczała na kurs do Friarage School. Uczyła tam Linda Gardner. Amy Mills pracowała dla Lindy Gardner.

Bądź co bądź to jakiś związek. Nawet jeśli w konsekwencji dość absurdalny. Gwen Beckett jako niewzruszona dwukrotna morderczyni - trudno to było sobie wyobrazić. W przypadku Mills brakowało oczywistego motywu. Fiona natomiast zepsuła jej przyjęcie zaręczynowe. Czyżby samo to wystarczyło?

Instynkt podpowiadał Valerie: Nie!

Amy Mills. Valerie przywoływała w myślach szczegóły z życia zamordowanej kobiety. Nagle aż drgnęła i wyprostowała się. Że też o tym wcześniej nie pomyślała... Amy Mills pochodziła z Leeds. Uczęszczała do tamtejszej szkoły. W Leeds uczyła też Jennifer Brankley... Związek wątpliwy, ale zawsze to coś.

Przez zestaw głośnomówiący w samochodzie natychmiast skontaktowała się z sierżantem Reekiem.

- Reek, sprawdźcie, proszę, do której szkoły w Leeds chodziła Amy Mills. I w której, również w Leeds, uczyła Jennifer Brankley. W obu przypadkach może to być kilka szkół. Sprawdźcie, czy są jakieś punkty styczności i czy obie kobiety się znały.

- Zrobi się. Mrs Brankley zeznała jednak, że nigdy nawet nie słyszała nazwiska Mills.

- Zeznania mogą być prawdziwe lub fałszywe, Reek. Naszym zadaniem jest to wyjaśnić.

- Okay - odrzekł Reek.

Valerie się rozłączyła. Jadąc dalej, czuła mocniejsze bicie serca. Poruszenie. Ekscytacja. Cokolwiek to było. Na pewno uczucie, na które tak niecierpliwie czekała. Wreszcie krok naprzód, wreszcie jakiś trop. Może okaże się wyraźny.

Niemal w ostatniej chwili zauważyła niewielką boczną drogę prowadzącą na farmę, gdzie mieszkała Paula Foster. Gwałtownie szarpnęła kierownicę, skręciła w bok. Musi się teraz skupić na dziewczynie, musi wykluczyć hipotezę, że w rzeczywistości to ona miała być ofiarą, a tym samym nadal grozi jej niebezpieczeństwo.

Choć w myślach możliwość tę już wykluczyła.

### 3.

- Naprawdę, Dave. Nic, absolutnie *żadne* słowo wypowiedziane przez Fionę tamtego wieczora, nie jest w stanie zmienić moich uczuć do ciebie. Nadal jestem... nadal cię kocham. Wierzę, że będziemy razem. - Gwen patrzyła na niego przenikliwym wzrokiem. Siedziała na krześle w jego pokoju, ubrana jak zwykle w długą wełnianą spódnicę i zrobiony samodzielnie na drutach sweter nieokreślonej barwy. Miała z sobą dużą torbę. Pokonała szmat drogi, najpierw piechotą, potem autobusem, potem znów pieszo z przystanku. Panująca na dworze wilgoć przemieniła jej włosy w coś, co przypominało watę cukrową, kędzierzawiąc je we wszystkie strony. Jej ciemne oczy wyglądały w pobladłej twarzy jak dwa węgielki. Wystarczyłaby odrobina różu, żeby nieco poprawić ogólne wrażenie, może cień szminki...

Ona nigdy nie nauczy się dbać o swój wygląd, pomyślał Dave, przyglądając się Gwen. Przysiadł na łóżku i właśnie zdołał niepostrzeżenie wepchnąć stopą pod stelaż zmięte rajstopy pozostawione przez Karen. Dzięki Bogu Gwen niczego nie zauważyła. Tak bardzo była przejęta mówieniem, przekonywaniem go, że udało mu się nawet schować dyskretnie szminkę Karen, kiedy krążył po pokoju i parzył herbatę. Gwen złożyła mu niezapowiedzianą wizytę. Pojawiła się nagle przed drzwiami, drobna postać wynurzająca się z mgły. Gospodyni nie było w domu, więc Dave osobiście otworzył jej drzwi. O dziwo, był przynajmniej ubrany. Kiedy się obudził przed południem, jedno spojrzenie za okno przekonało go, że rozsądnie będzie spędzić cały dzień w łóżku. Na zajęcia do szkoły musiał wyjść dopiero pod wieczór. Dziwny wewnętrzny niepokój kazał mu jednak zerwać się na równe nogi. Potrzebował dłuższej chwili, żeby sobie uzmysłowić, że w jego obecnym położeniu ma niewątpliwie prawo czuć się wzburzonym. Nie miał pojęcia, jak to wszystko dalej się potoczy. Przede wszystkim nie wiedział, jak bardzo mogą mu zagrozić ustalenia dotyczące zabójstwa Fiony Barnes.

Oczywiście pozostawał podejrzanym numer jeden i zdawał sobie sprawę, że dość krótka rozmowa z inspektorem Almond poprzedniego dnia niewiele w tej kwestii zmieniła. Nie mogli mu niczego udowodnić, ale go podejrzewali. Jeśli nie znajdą innych tropów, dobiorą mu się do skóry i pętla na jego szyi będzie się zaciskać coraz mocniej. Był człowiekiem bez reputacji, żyjącym w osobliwych warunkach, co wcale nie poprawiało jego położenia. Cała ta sprawa mogła się dla niego źle skończyć, nie miał co do tego złudzeń.

Olej tę staruchę Barnes, pomyślał, popijając mocną kawę, żeby się nieco rozgrzać. Dzień był zimny, a jego gospodyni jak zwykle

oszczędzała na ogrzewaniu.

*Olej to wszystko. Zostaw Gwen i całą tę jej rodzinę. Nie przyniosła ci szczęścia ani farma Beckettów, ani cała reszta. Poszukaj sobie innej drogi.*

Łatwo powiedzieć. Nie widział przed sobą innej drogi. Od lat. Mało prawdopodobne, żeby teraz nagle jakaś się przed nim otwarła.

Kiedy usłyszał dzwonek do drzwi, pomyślał najpierw, że to pani inspektor z policji chce go ponownie zarzucić pytaniami. Przez krótką chwilę rozważał nawet, czy w ogóle warto otwierać, mógłby przecież udawać, że nikogo nie ma w domu. Potem jednak wziął się w garść. Lepiej od razu stawić czoła faktom. Lepiej, jeśli się dowie, co na niego mają, zamiast chować głowę w piasek.

Okazało się jednak, że to nie inspektor Almond stoi przed drzwiami, tylko Gwen. A teraz już od kwadransa siedziała w jego pokoju i perorowała. Była tak zziębnięta i mokra, że od razu zaparzył herbatę. Przynajmniej nie zrzędziła na otaczający go chaos, jak to zawsze robiła Karen. Gwen była u niego dopiero dwa razy i nigdy nie powiedziała złego słowa na temat panującego w pokoju totalnego bałaganu. Mimo to niechętnie widział ją u siebie. Jego pokój stanowił pieczarę, rodzaj azylu. Potrzebował miejsca, w którym mógłby się przed nią ukryć, dla niej zaś oznaczałby zakazaną sferę tabu.

Nagle pomyślał, że już raczej wołałby ponownie spotkać inspektor Almond.

A nie swoją narzeczoną.

O ile w ogóle byli narzeczonymi. Stosowna uroczystość została, bądź co bądź, gwałtownie przerwana. Może raczej była jego „niedoszłą” narzeczoną. Lecz nawet i to brzmiało poniekąd groźnie.

- Już dobrze - powiedział łagodnym tonem, kiedy do niego dotarło, że Gwen przerwała i spogląda nań wyczekująco. - Naprawdę, Gwen, nie czuję do ciebie urazy. Przecież nic nie mogłaś poradzić na tę gadaninę Fiony.

- Szczerze mówiąc, wcale nie jest mi przykro, że ona nie żyje - wyznała nagle Gwen z niezwykłą wprost porywczością. - Wiem, że to grzech, że nie wolno tak myśleć, ale tym razem naprawdę posunęła się za daleko. Zawsze dobrze mi życzyła, ale czasem... To znaczy, nie można się tak do wszystkiego wtrącać, prawda? Tylko dlatego, że dawniej mój ojciec i ona... - Nie dokończyła zdania.

Dave domyślał się, co chciała powiedzieć. Sam doszedł do podobnych wniosków. - Oboje coś dawniej łączyło, zgadza się? - spytał. - Nie sądzę, by kogokolwiek mogło to zdziwić. To się czuje.

- Gdyby tylko o to chodziło - odparła Gwen. Zmieszanie kryjące się w jej oczach nie uszło jego uwagi. - Mój ojciec i Fiona byli... oni...

- Co takiego? - dopytywał się Dave, kiedy umilkła.

- Minęło tyle czasu - odrzekła cicho Gwen. - Może te sprawy nie mają już żadnego znaczenia.

W normalnej sytuacji pewnie wcale by go nie zainteresowało, co się wydarzyło w życiu Chada Becketta i Fiony Barnes - do których w równej mierze czuł serdeczną antypatię - jednakże wobec aktualnego stanu rzeczy, przede wszystkim zaś mając na uwadze własne położenie, nie mógł sobie pozwolić na pominięcie takich szczegółów.

Dlatego nachylił się ku niej nieznacznie. - Może jednak ma to jakieś znaczenie, kto wie. Bądź co bądź Fiona została zamordowana w dość brutalny sposób.

Spojrzała na niego zszokowana, jakby dopiero teraz usłyszała o tym potwornym zdarzeniu, o którym rozprawiano już w każdym

zaułku Scarborough i w jego okolicach. - Ale... to przecież nie ma nic wspólnego z nią i moim ojcem - powiedziała - albo z ich wspólną historią. Mordercą jest prawdopodobnie ta sama osoba, która zabiła Amy Mills, nie ma tu żadnego związku.

- Dlaczego tak sądzisz? To znaczy: że to ta sama osoba?

- Tak zrozumiałam słowa inspektor Almond - odparła niepewnie Gwen.

Także i jemu Almond podsunęła pod nos fotografię Amy Mills. Wiedział, że brano pod uwagę możliwość, że obie sprawy są z sobą powiązane, on wszakże miał wrażenie, iż funkcjonariuszka dysponuje wprawdzie kilkoma wskazówkami, brakuje jej jednak choćby cienia dowodu.

- Być może - odezwał się - ale równie dobrze mogło być całkiem inaczej. Gwen, jeśli wiesz o czymkolwiek, co może się okazać przydatne dla policji, powinnaś...

- Dave, ja... nie powinniśmy już więcej o tym mówić. - Jej oczy wypełniły się łzami.

Po co w ogóle poruszasz ten temat, pomyślał ze złością, skoro nie chcesz o tym mówić.

- Wiesz przecież, że dla policji jestem jednym z głównych podejrzanych, prawda?

Z pewnością o tym wiedziała, a jednak sprawiała wrażenie przerażonej, słysząc, jak mówi o tym bez ogródek.

- Ale... - podjęła.

Przerwał jej. - Oczywiście, że tego nie zrobiłem. Nie mam na sumieniu ani tej Amy Mills, ani staruszki Barnes. Amy Mills w ogóle nie znałem, a Fiona Barnes... Chryste, nie poszedłem za nią i nie grzmotnąłem jej kamieniem w głowę tylko dlatego, że wygłosiła kilka złośliwych uwag na mój temat. Tamtego wieczora w sobotę



byłem wściekły, ale przecież nie traktuję osiemdziesięcioletniej niemal kobiety na tyle poważnie, żeby ją zamordować z powodu jej chybionych insynuacji.

- Oni naprawdę nie uwierzą, że to byłeś ty, a skoro nic nie zrobiłeś, nie masz się czego bać - odparła tonem świadczącym o jej głębokiej ufności w efekty dochodzeniowej pracy policji.

Dave, który niewiele lat wcześniej określał policjantów wyłącznie mianem cholernych glin, nie potrafił podzielać tej ufności. Dla niego sprawa była jasna: inspektor Valerie Almond chciała piąć się po kolejnych szczeblach kariery, oczywiście jak oni wszyscy. Do tego potrzebne jej było rozwikłanie zagadki tych *morderstw z wyżywnych torfowisk*, jak pewna gazeta ochrzciła oba zabójstwa, pomijając wielkodusznie milczeniem niezgodność faktów geograficznych. Warunkiem było, rzecz jasna, udowodnienie winy sprawcy. Im dłużej będzie dreptać w miejscu, z tym większą desperacją uchwyci się jedynej drobnej wskazówki, jaką posiadała - a był nią, na swoje nieszczęście, on sam. Przez to, że ta Barnes zbeształa go przy całej chmarze świadków, znalazł się teraz na celowniku policji. Oczywiście, trzymał jeszcze asa w rękawie i zamierzał go wykorzystać w razie konieczności, ale zdecyduje się na to jedynie wtedy, gdy nie będzie już miał wyboru.

- Gwen, czy wiesz... - zaczął, lecz urwał w pół słowa, spojrzawszy w jej twarz, na której malowały się naiwność i ślepa uległość. Chciał jej co nieco powiedzieć o ludziach, których niesłusznie podejrzewano i zamykano, o ambitnych policjantach i skorumpowanych sędziach, o potędze prasy, która potrafiła wywierać naciski na urzędników i skłaniać do niewłaściwych wyborów, o pociąganiu za sznurki na najwyższych politycznych szczeblach, którego ofiarą padał często nic nieznaczący obywatel,

jeśli tylko sieć powiązań ambitnych karierowiczów okazywała się dostatecznie trwałą. Nigdy nie wierzył w to, że wystarczy nie dopuścić się nieprawości, by nie zostać ukaranym. Nigdy nie miał zaufania do systemu prawnego, zawsze uznawał go za cyniczny i przekupny. I właśnie o to, o to przekonanie, przed dwudziestu laty tak bardzo poróżnił się z ojcem, tym arcysłużącym *systemu*, że od tamtego czasu nie utrzymywał żadnego kontaktu z rodziną.

Mógłby wyjaśnić Gwen, że w tym właśnie kryje się powód, dla którego jego życie przybrało taki, a nie inny kształt. Życie, które niejeden mógłby uznać za nieudane, które on sam - i tu tkwiło źródło jego depresji - wystarczająco często za takie uznawał. Jest nim niezdolność do ułożenia sobie - na jakiegokolwiek płaszczyźnie - stosunków ze swym krajem, państwem, całą strukturą polityczną i społeczną. Niezdolność do tego, by stać się częścią społeczeństwa Wielkiej Brytanii, skoro społeczeństwo to odrzucał i nim pogardzał. Mógłby porozmawiać ze swą narzeczoną o dylemacie, który z biegiem lat coraz bardziej się dlań krystalizował. Dylemacie wynikającym ze zrozumienia, że mimo wszystko jest częścią tego systemu i musi się weń wpasować, że ostatnimi czasy brak mu sił, by się mu stale i konsekwentnie przeciwstawiać. To jednak oznacza, że będzie postrzegał samego siebie jako zdrajcę własnych przekonań, własnej tożsamości, własnej osobowości.

W kobiecie, którą zamierzał poślubić, chciałby widzieć człowieka, przed którym mógłby się otworzyć, wyjaśnić tkwiące w nim sprzeczności, wiedział jednak, że Gwen nie będzie w stanie za nim podążyć. Jej życiem była farma. Jej cudowny tatuś. Książkowe romanse, kiczowate filmy telewizyjne oraz wieczne czekanie w nadziei na wielkie szczęście. Nie uważał jej za głupią. Jednakże jej życie rozgrywało się we własnym wszechświecie i inaczej niż w

przypadku większości współczesnych, w zbyt dużym stopniu zostało naznaczone przez samotność, oderwanie od świata, bojaźliwość i ignorancję.

Kiedy opowiadał jej o swoich młodzieńczych protestach przeciwko stacjonowaniu wyrzutni Cruise Missiles\*, ona wytrzeszczyła na niego oczy, jakby mówił o zielonych ludzikach z kosmosu. Rozpoczął wtedy długi i burzliwy monolog, w którym dał wyraz swemu niezadowoleniu z okresu rządów Thatcher, a także z tego, jak silnie owe czasy naznaczyły jego dalsze życie, wpływające głównie pod znakiem sprzeciwu. Słuchała go, a jednak wyglądała na zrozpaczoną.

Wiedział, że powodem nie były jej odmienne poglądy polityczne. Z tym byłby się pogodził, traktując wynikające stąd intelektualnie tarcia między nimi jako interesujące. Problem polegał na tym, że ona nie miała *absolutnie żadnych* poglądów politycznych. Było jej zupełnie obojętne, czy ster rządów dzierżą laburzyści czy konserwatyści. W istocie ani jedni, ani drudzy w niczym nie zmieniali jej trudnej sytuacji osobistej. Dotyczyło to pewnie liczniejszej rzeszy ludzi, tyle że oni nie ignorowali wszystkiego, co nie działo się wyłącznie w ich najbliższym otoczeniu. Taka postawa była czymś niecodziennym. To przykre, że Gwen najwyraźniej nie potrafiła inaczej.

\* Pocisków manewrujących [przyp. tłum.].

- Ach, nic takiego - powiedział tylko, rezygnując z ponownej, z góry skazanej na niepowodzenie próby otwarcia przed przyszłą żoną swego wnętrza i opowiedzenia jej o myślach, lękach i sprzecznościach, jakie nim targały.

- Po prostu obiecaj mi, że jeśli dowiesz się czegoś istotnego na temat Fiony, powiadomisz o tym policję - dodał. Od tego przecież

zaczęli. Że Fiona i jej ojciec narobili kiedyś straszego bigosu, który dla Gwen okazał się dziś mało strawny. To może mieć jakieś znaczenie.

Chyba jednak żadnego, pomyślał.

Spojrzała na niego. Myśłami znów była gdzie indziej. Przy *swoim* początku.

- Czy zostaniesz... zostaniemy... to znaczy... czy coś się zmieniło?  
- zapytała.

Teraz, podszeptał mu wewnętrzny głos, teraz mógłbyś odejść. Z dość dobrego powodu. Byłaby zrozpaczona, ale przecież nie musiałyby brać na siebie odpowiedzialności za porażkę waszego związku. Cała wina spadłaby na Fionę, tę starą jędzę z niewyparzoną gębą. Mogłaby jej nienawidzić do końca świata i nie musiałyby się zadręczać z powodu własnej niedoskonałości. Wyświadczyć jej tę przysługę. Wykorzystaj ten łaskawy moment.

Nie potrafił. Wiedział, że miałby słuszość, a jednak nie potrafił tego zrobić. To ona była drogą prowadzącą poza ten zimny pokój.

Mógł nią uciec od tego życia na skraju nędzy, wypełnionego całodziennym spaniem, całonocnym piciem. Uwolnić się od poczucia, że jest nieudacznikiem, który nie potrafi już stanąć na własnych nogach.

- Nie, Gwen - odparł głosem chropawym od wysiłku, by przetrwać tę chwilę. - Nie. Nic się nie zmieniło.

Wstała. Uśmiechnęła się.

- Chcę się z tobą kochać, Dave - powiedziała. - Teraz. Tutaj. Bardzo tego pragnę.

Chryste, pomyślał przerażony.

Telefon zadzwonił w chwili, w której Colin zaczął się intensywnie zastanawiać nad przygotowaniem obiadu. Było już pół do trzeciej i dokuczał mu silny głód. Chyba nikt na farmie Beckettów nie czuł się dziś odpowiedzialny za kuchnię. Gwen zniknęła gdzieś z samego rana i nikt nie wiedział, dokąd poszła, Chad natomiast zabarykadował się w sypialni - dosłownie, drzwi były zamknięte na klucz. Na ostrożne pytania Colina odpowiadał tylko opryskliwym pomrukiem.

Zupełnie niespodziewanie zjawiła się inspektor Almond i niezwłocznie oświadczyła, że chce porozmawiać w cztery oczy z Jennifer. Od pół godziny siedziały razem w pokoju dziennym na parterze, podczas gdy Colin czekał na piętrze, coraz bardziej zaniepokojony. I głodny.

Pognał do gabinetu na dole, by odebrać telefon. Bądź co bądź miał dzięki temu sposobność, by znaleźć się w pobliżu pokoju dziennego i rozmawiających tam osób.

- Tak? - zgłosił się, wyteżając jednocześnie słuch, by wyłapać coś z rozmowy za ścianą - bezskutecznie, jak się jednak okazało.

- Halo! - w słuchawce rozległ się kobiecy głos, dość cichy, stąd niełatwo go było zrozumieć. - Z kim rozmawiam?

- Brankley. Colin Brankley. Farma Beckettów.

- Och, Colin! Jest pan mężem Jennifer, prawda? Mówi Ena. Ena Witty.

Colin nie miał zielonego pojęcia, z kim rozmawia. - Tak? - zapytał.

- Ja... jestem przyjaciółką, dobrą znajomą Gwen Beckett. Czy może pan poprosić ją do telefonu?

- Niestety nie - odrzekł Colin. - Gwen nie ma w domu. Czy mam jej coś przekazać?

Zdawało się, że informacja ta zupełnie zbiła Enę Witty z tropu.

- Nie ma jej? - dopytywała się z niedowierzaniem.

- Owszem. Czy ma oddzwonić?

- Tak. To znaczy... muszę z nią porozmawiać w ważnej sprawie.

Przynajmniej tak sędzę... że to bardzo ważne. Ale nie jestem pewna i dlatego... może... zadzwonię ponownie...

Colin miał wrażenie, że jego rozmówczyni jest strasznie speszona. Chciał szybko zakończyć rozmowę, gdyż właśnie dosłyszał odgłos otwieranych drzwi, a krótko potem warkot uruchamianego silnika na podwórzu. Dzięki Bogu, Almond wreszcie odjeżdża. Musiał pilnie zająć się żoną.

- No więc, Mrs Witty - odezwał się nieco zniecierpliwiony - chętnie przekażę Gwen, że pani dzwoniła. Czy Gwen ma pani numer?

Ena tego nie wiedziała. Podyktowała Colinowi swój numer, a po chwili wahania, zastanawiając się widocznie, jak dalece może zaufać obcemu człowiekowi po drugiej stronie, dodała: - Mam... wie pan, mam duży problem... Jestem trochę bezradna i muszę z kimś porozmawiać. To pilne. Oczywiście wiem, że... Cóż, Gwen ma teraz zupełnie inne zmartwienia na głowie. Czytałam w gazecie o tej okropnej zbrodni, popełnionej w pobliżu farmy Beckettów. Ofiara była podobno dobrą znajomą rodziny. Jakie to musi być straszne dla Gwen!

- Wszyscy jej pomagamy - odparł Colin. Nie chciał drążyć tego tematu. Nie znał tej przyjaciółki Gwen, nie miał pojęcia, jak zażyła łączy je znajomość. - A więc, Mrs Witty... - odezwał się, uświadamiając sobie, że czas nagli.

- Przepraszam, że przeszkodziłam - usprawiedliwiała się Ena. - I proszę powiedzieć Gwen, by koniecznie do mnie zadzwoniła. To

naprawdę bardzo ważne.

Raz jeszcze obiecał przekazać jej prośbę, po czym pożegnał się i spiesznie odłożył słuchawkę. Natychmiast pognął do pokoju dziennego, gdzie na sofie siedziała pobladła Jennifer. Colin uznał, że wygląda na wyczerpaną.

- Skarbie, nareszcie. Poszła sobie. Napijemy się herbaty? A może chcesz coś zjeść?

Jennifer zaprzeczyła. - Nie jestem głodna. Ale jeśli ty...

- Nie mam ochoty jeść sam - odparł Colin. Drżąc z zimna, skulił ramiona. - Chryste, jaka tu wilgoć i chłód! A do tego mgła za oknem... co za okropny dzień, nie uważasz?

Nie odpowiedziała. Z determinacją przyklęknął przed kominkiem. - Pomóż mi - poprosił. - Skoro nikogo to nie obchodzi, sami musimy się tym zająć.

Kiedy starali się rozpaścić ogień, Colin niby mimochodem zapytał: - I czegoś chciała? Mam oczywiście na myśli tę Almond.

Jennifer, podając mu polana, znieruchomiała nagle. - Ona wie - mruknęła.

- Co takiego?

- O tej historii. Że byłam nauczycielką, i... cóż, właściwie wie wszystko. Powiedziała mi.

- Jakie to ma znaczenie w obecnym dochodzeniu?

- Chciała wiedzieć, czy znam Amy Mills. Tę dziewczynę, wiesz, którą zamordowali tu w lipcu.

- Niby skąd miałabyś ją znać?

- Pochodziła z Leeds. Chodziła tam do szkoły. Mogło się tak zdarzyć, że ją uczyłam.

On również zamarł w bezruchu, spojrzał na nią. - Ale jej nie uczyłaś, prawda? Mówiłaś przecież, że nigdy nie słyszałaś tego

nazwiska i...

- Nie. Nie znałam jej.

Porzucił myśl o rozpaleniu ognia w kominku, choć nadal nic nie łagodziło panującego w pokoju ziąbu oraz beznadziei tego mglistego dnia. Jennifer siedziała na dywaniku obok drewnianych polan i patrzyła w odrętwieniu przed siebie. Colin przykucnął przed nią, wziął ją za rękę. Były lodowate. - Na pewno jej nie znałaś?

- Nie.

- Ależ to zupełnie... - Westchnął ciężko, próbując opanować wzburzenie, czuł jednak, jak ogarnia go złość. - Nic nie mają - powiedział gorzko. - Zupełnie nic. Nawet najdrobniejszego punktu zaczepienia. I dlatego zaczynają teraz grzebać w przeszłości ludzi. Ta policjantka jest bezradna, oto moje zdanie. I zbyt wiele od niej wymagają. A teraz wygrzebuje jakieś pradawne historie i próbuje z nich coś sklecić. Ciekawe, co jeszcze wyszpera na nasz temat!

- Ona wie, że łykałam czasem tabletki.

- No i co z tego? Czy to zabronione?

- Chciała wiedzieć, czy teraz też jakieś biorę.

- I co powiedziałaś?

- Powiedziałam prawdę. Że czasem zażywam środki na uspokojenie, zanim na przykład wyjdę na miasto, albo kiedy mam coś w planach. Ale zdarza się to rzadko.

- I słusznie. Tak robi mnóstwo ludzi. Posłuchaj, ona w ogóle nie ma prawa pytać o takie rzeczy. A ty nie musisz jej odpowiadać. To nie powinno jej obchodzić.

- Ona mi nie uwierzyła - szepnęła Jennifer.

- W co nie uwierzyła?

- Że ja... żyję całkiem zwyczajnie. Tak dziwnie na mnie patrzyła. Myślę, że koniecznie chce mi przypisać jakiś nałóg, bo wtedy można



by utrzymywać, że jestem nieobliczalna i mogę być niebezpieczna. A jej współpracownik już sprawdza moje zeznanie na temat Amy Mills. Wypytuje w szkołach w Leeds i u jej rodziców.

- Nie znajdzie niczego, co mogliby wykorzystać przeciwko tobie.

- Pewnie nie - odparła Jennifer, lecz jej głos brzmiał monotoniście, bez cienia nadziei.

Colin mocniej ścisnął jej dłonie. - Kochanie, co się dzieje? Co cię trapi? Nic na ciebie nie mają i tak już zostanie. Tylko nie daj się zastraszyć.

Spojrzała na niego. Mógł wyczuć jej strach. Cholera, ale był wściekły. Wściekły na tę Almond. Cóż za bezwzględna osoba. Wiedział przecież, dlaczego Jennifer była taka wzburzona.

- Do szafu doprowadza cię to, że znów musisz o tym wszystkim mówić, prawda? - zapytał ostrożnie. - Że to znowu wypłynęło. I podniosła się wrzawa. Zadręczają cię dawne uczucia, mam rację?

Przytaknęła. Depresja mocno trzymała ją w swych szponach, aż było widać, jak paraliżuje jej ciało. Stan ten trwał przez pierwsze trzy lata po *tej historii*. Tymczasem zdołała odzyskać panowanie nad sobą. On jednak nie miał złudzeń - jej wewnętrzny spokój łatwo można było zburzyć, przede wszystkim wtedy, gdy komuś bardzo na tym zależało.

Naprawdę miał ochotę udusić tę Almond.

- To się nigdy nie skończy - szepnęła.

- Nieprawda. To minęło. Już po wszystkim, nawet jeśli jakaś głupia policjantka o to pyta.

- To było moje życie. Szkoła. Dziewczynki. Było dla mnie wszystkim.

- Wiem. Tak to traktowałaś. Ale jest mnóstwo innych rzeczy, dla których warto żyć. Nie tylko praca zawodowa.

- Ja...

- Mamy siebie. Tworzymy szczęśliwe i trwałe małżeństwo. Jak sądzisz, ilu ludzi pragnie czegoś takiego? Mamy ładny dom. Mamy sympatycznych przyjaciół. Mamy naszą dwójkę czarujących, miłutkich piesków... - Uśmiechnął się krzywo, z nadzieją, że zdoła wywołać uśmiech także na jej twarzy. I rzeczywiście spróbowała, ale się nie udało.

- No cóż - powiedział mimo wszystko. Wyciągnął rękę, odgarnął jej z czoła kosmyk włosów. - Posłuchaj, nie sędzę, żeby ta Almond znów ci się naprzykrzała. Kluczy we mgle - dosłownie, wyjrzyj za okno! Donikąd jej to nie zaprowadzi, ani w sprawie Leeds, ani szkoły, ani Amy Mills. Będzie musiała zarzucić ten trop i rozejrzeć się za jakimś innym. Poza tym, abstrahując od tego wszystkiego: w chwili zabójstwa byłaś na spacerze z psami. Towarzyszyła ci Gwen, ona może to potwierdzić. Mówiłaś o tym Valerie Almond?

Zamiast odpowiedzieć, Jennifer spytała: - Kto przed chwilą dzwonił?

Colin się zachnął. - Jakaś znajoma Gwen. Ena Witty czy jakoś tak. Dość zakręcona osóbka. Ma jakiś problem i pilnie chce porozmawiać z Gwen. Wydawała się bardzo wzburzona i zaniepokojona. Gwen ma do niej oddzwonić.

Jennifer sprawiała wrażenie, jakby spoglądała wstecz w odległe czasy. - Ach tak. Ena Witty. Ze swoim głośnym przyjacielem. Chodziła razem z Gwen na ten kurs. Poznałam ją przelotnie w zeszły piątek. - Potrząsnęła głową. - Jakby to było w jakimś innym świecie - mruknęła.

- Nasz świat znów będzie zupełnie normalny - zapewnił Colin. - Spokojny, niewzburzony, niczym niezmacony. Bezpieczny.

- Tak - odparła Jennifer. Jej głos zabrzmiał w tej chwili jak głos uczennicy, która dzielnie zgadza się na coś, w co sama ani na jotę nie wierzy.

Już od dawna jej świat nie wydawał się normalny.

## 5.

Oczywiście Stephen zaproponował, że będzie jej towarzyszył, ba, prawie się narzucał, ona zaś czuła, że odmowa bardzo by go zraniła. Zawsze, gdy mogła zadać mu ból, odczuwała zadowolenie. Wszelako już w chwili, gdy się nim rozkoszowała, wiedziała, że po krótkim czasie przeminie, ona zaś znajdzie się w samym sercu głębokiej pustki. Możliwość sprawienia mu przykrości nie potrafiła ostatecznie uśmierzyć jej własnego bólu, nadszarpniętego zaufania, rozczarowania, jakiego doznała. Było to jak krótkie ogłuszenie, nic więcej.

Sama pojechała do Hull, by w tamtejszym zakładzie medycyny sądowej zidentyfikować zwłoki babki. Ani przez sekundę nie żywiła nadziei, że wszystko może okazać się pomyłką, że zobaczy ciało jakiejś obcej osoby, a Fiona wróci kilka dni później z jakiejś niedalekiej podróży, zdziwiona wzburzeniem, jakie wywołało jej zniknięcie.

Zwłoki zostały porządnie przygotowane. Rany na głowie były prawie niewidoczne. Na twarzy nie malował się spokój, jakiego można by się spodziewać po zmarłych, nie było w niej jednak wyrazu zmęczenia. Już raczej pewnej obojętności. Nawet wobec własnej śmierci, pomyślała Leslie, zachowała chłód i dystans.

Skinęła głową, potwierdzając, że to zwłoki jej babki, po czym spieszenie opuściła pomieszczenie. W przedsionku zapaliła papierosa, trzymając go w drżącej dłoni, zaciągała się gwałtownie.

Towarzyszająca jej Valerie Almond chciała podać jej szklankę wody, Leslie jednak odmówiła. - Dziękuję. Wolałabym kieliszek wódki.

Valerie uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Prowadzi pani samochód.

- Jasne. Tylko żartowałam.

Valerie zaproponowała, że poleci funkcjonariuszowi, żeby po nią przyjechał i odwiózł do domu, lecz Leslie odmówiła. Czuła się lepiej, gdy działała samodzielnie, kiedy musiała się skupić, odszukać drogę, znaleźć miejsce na parkingu. Na tylnym siedzeniu policyjnego radiowozu naszłoby ją mnóstwo myśli o babci, a tego należało za wszelką cenę unikać.

- Da pani radę wrócić do domu? - spytała zaniepokojona Valerie.

Leslie nie znosiła chwil, kiedy sprawiała wrażenie osoby słabej.

- Jestem lekarką, pani inspektor. Widok ludzkich zwłok nie zwala mnie z nóg - odrzekła.

- Była pani do babci bardzo przywiązana, prawda?

- Ona mnie wychowała. Moja mama zmarła, kiedy miałam pięć lat. Od tamtej pory Fiona była dla mnie wszystkim.

- Jak zmarła pani matka?

Nim odpowiedziała, zaciągnęła się papierosem. - Mama była hipiską. Dzieckiem kwiatem. Stale w drodze z jednego festiwalu na drugi. I ciągle pod wpływem narkotyków. To był wówczas element życia. Haszysz, marihuana, LSD. Do tego alkohol. Któregoś dnia dorwała koktajl zmieszany z tego wszystkiego i jej organizm już tego nie zniósł. Zmarła wskutek niewydolności serca i nerek.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Valerie.

- Tak - odparła Leslie niejasno.

Po chwili taktownego milczenia, odczekawszy, aż przebrzmia słowa Leslie o przedwczesnej utracie matki, Valerie zapytała: - Jak

dobrze zna pani Jennifer Brankley?

- Jennifer? Właściwie to w ogóle jej nie znam. Osobiście poznałyśmy się dopiero zeszłej soboty, na tym... przyjęciu zaręczynowym.

- Ale słyszała pani o niej wcześniej?

- Owszem. Gwen wspominała o niej w swoich listach i w rozmowach telefonicznych. Wydawało się, że łączy je zażyła przyjaźń. Przynajmniej dwa, nierzadko nawet trzy razy do roku Brankleyowie spędzali urlop na farmie Beckettów. Cieszyło mnie, że dzięki temu Gwen zarobi trochę grosza. Poza tym pilnie potrzebowała przyjaciółki. Gwen była... jest... bardzo samotna.

- Czy odniosła pani wrażenie, że Jennifer Brankley czuła się po trosze jak jej opiekunka?

- Jennifer jest od Gwen dziesięć lat starsza. Może i próbowała zastępować jej matkę. Do czego pani zmierza?

- Usiłuję zrozumieć pewne sprawy i nieco je uporządkować - odparła niejasno Valerie.

Leslie zamyśliła się, po czym się roześmiała. - Ale chyba nie sądzi pani, że Jennifer Brankley zamordowała moją babcię? Żeby ratować związek Gwen i Dave'a Tannera? Jak jakaś *Übermutter* dla Gwen?

- Ja nic nie sądzę, doktor Cramer. Przede wszystkim nie chcę wyciągać przedwczesnych wniosków. Istnieją dwie możliwości: albo Fionę Barnes zamordował ktoś obcy, spotkawszy ją przypadkiem - co brzmi mało prawdopodobnie, zważywszy na późną porę, o jakiej wybrała się na spacer oraz na zupełnie odosobnienie farmy. Bardziej logiczna wydaje się druga możliwość: mordercą był ktoś z grona osób, które świętowały zaręczyny - czy przynajmniej miały taki zamiar.

- W takim razie podejrzewa pani mnie, Colina i Jennifer Brankleyów, Dave'a Tannera, Gwen i Chada Becketta.

- To za dużo powiedziane. Jak już mówiłam, na razie porządkuję pewne kwestie. Próbuję zajrzeć za kulisy.

- To absurd, pani inspektor. To zupełnie nie do pomyślenia, by zrobił to ktoś z nas.

- Jest pani tego absolutnie pewna? W gruncie rzeczy zna pani dobrze jedynie Gwen i Chada Beckettów. Wszyscy pozostali byli dla pani - i właściwie są - obcymi ludźmi.

Leslie rozmyślała o tym zdaniu w drodze powrotnej. Pojechała wzdłuż wybrzeża do Scarborough. Roztaczały się stamtąd zapierające dech w piersiach widoki na morze, lecz tego dnia mgła przesłaniała wszystko. Ponadto zapadał już zmrok. Mgła, ciemność, chłód.

Stosowna dekoracja dnia, w którym musiała zidentyfikować zwłoki kobiety, będącej dotąd jej ostatnią żyjącą krewną.

Właściwie dopiero teraz zostałam naprawdę sama, pomyślała Leslie. Drżała z zimna, choć nastawiła ogrzewanie na maksimum i w samochodzie było całkiem ciepło. Kiedy rozstałam się ze Stephenem, miałam jeszcze Fionę. Teraz nie mam już nikogo.

Uchwyciła się słów Valerie Almond, by nie zatracić się w myślach o własnej samotności. Chyba nie po to wytrwała cały dzień, nie uroniwszy ani jednej łzy, żeby się teraz rozplakać.

Zgoda, prócz Gwen i Chada nie znała nikogo z nich. Jeśli się dobrze zastanowić, już od pierwszej chwili uznała Jennifer za osobę nieprzeniknioną. Podobnie zresztą Colina. Wyglądał jak poczciwy, może nieco ograniczony pracownik banku, coś jej jednak podpowiadało, że jest kimś innym. Kryło się w nim coś więcej, lecz

chyba nie potrafił tego okazać. Może to człowiek niespełnionych możliwości, wciąż niedoceniany.

Każdy ma jakiegoś fioła, pomyślała Leslie, ale to jeszcze nie czyni z nas morderców. W jaki sposób inspektor Almond scharakteryzowałaby mnie? Sfrustrowana, samotna, odnosi sukcesy zawodowe, ale w życiu prywatnym ponosi same porażki. Rozczarowana mężczyznami, być może w ogóle rozczarowana życiem. Trudne dzieciństwo z uzależnioną od narkotyków matką. Następnie wychowywana przez babkę, co zawsze może być tylko namiastką prawdziwej, trwałej rodziny.

Na dobrą sprawę mam w sobie potencjał, żeby zbzikować i zabić starą kobietę. Valerie Almond zastanawia się pewnie, jakie miałyśmy z Fioną rachunki do wyrównania.

I znów powróciła myślami do Fiony. Musiała się pilnować, by nie popaść w sentymentalizm.

A zatem, dawne rachunki: *Byłaś cholernie oziębła. Potrafię to ocenić, bo jeśli zachowałam jakieś naprawdę żywe wspomnienie o mojej matce, to wygląda ono tak: była taka ciepła. Taka radosna. Może i zakręcona, naszpikowana jakimiś prochami aż po cebulki włosów, total high, ale tego nie potrafiłam jeszcze wówczas zrozumieć. Pamiętam tylko, że często mnie obejmowała. Zawsze brała w ramiona. Ścisnęła. Nocami spałam przytulona do niej...*

*Uwaga, Leslie. Nie idealizuj jej. Miała mnóstwo facetów. Wiesz to co prawda od Fiony, ale przecież przypominasz sobie jak przez mgłę tych długowłosych typów przy porannym śniadaniu. Bywały noce, kiedy bezlitośnie wyrzucała cię z łóżka, musiałaś wtedy spać gdzie indziej, bo ona wolała się bzykać, niż przytulać do swojej małej dziewczynki. Nietatwe to było dla dziecka, które nawykło do czegoś innego.*

*Fiona ucieleśniała stabilizację. Wszystko było uporządkowane. Nigdy by mnie nie wzięła do siebie do łóżka, ale też nigdy by mnie stamtąd nie wyrzuciła, bo miała właśnie ochotę na co innego. Miałam własny pokój, własne łóżko. Wszystko było przewidywalne. Wszystko było zimne.*

Zjechała na parking, z trudem dostrzegając wjazd we mgle. Zatrzymała się, wygrzebała papierosa. Musiała z tym skończyć. Z myśleniem o Fionie, o własnym dzieciństwie. Wkraczała na zbyt grząski teren. Wszystko to zmieniało się za szybko, wytwarzając niebezpieczny wir. Wykształciła w sobie skuteczne mechanizmy obrony. Śmierć Fiony nie mogła ich zniweczyć.

Poczuła nieomal ulgę, gdy rozległ się dzwonek jej komórki. Domyślała się, że usłyszy głos zamartwiającego się o nią Stephena. Do czego nie miał już żadnego prawa.

Nie był to jednak Stephen. Dzwonił Colin Brankley.

- Przepraszam, Leslie, że ci przeszkadzam... Próbowałem cię złapać w mieszkaniu twojej babci, ale odebrał tam jakiś pan, i dał mi numer twojej komórki...

Nie widziała powodu, by mu wyjaśniać, że ów *pan* to jej były mąż. W tej chwili uświadomiła sobie, że właściwie nie lubi Colina Brankleya. Był nieprzenikniony. Być może nawet nieszczerzy.

- Tak? - powiedziała tylko.

- Otóż... moja żona się zamartwia. Gwen wyszła z domu przed południem i do tej pory nie wróciła.

- Czy to aż tak niezwykle?

- Właściwie tak. Zawsze przynajmniej mówi, dokąd idzie. Jeśli w ogóle gdziekolwiek wychodzi. Już samo to jest do niej niepodobne.

- Może jest u swojego faceta. Czy to możliwe?



- Tak... - odparł Colin przeciągle. Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Pogodzi się z Dave'em. Przynajmniej mam taką nadzieję. Po nieudanych zaręczynach oboje z pewnością mają sobie wiele do wyjaśnienia.

- Nie znam numeru telefonu Dave'a Tannera.

Leslie wiedziała, że Colin działał pewnie pod presją żony, Jennifer zaś ze swej strony kierowała się troską o Gwen. Mimo to nie potrafiła stłumić w sobie narastającej irytacji. Gwen miała trzydzieści pięć lat. Mogła przebywać poza domem tak długo, jak tylko chciała, i nie musiała się z tego nikomu tłumaczyć, a już na pewno nie mieszkającym u niej wczasowiczom. To nie do pomyślenia, żeby wydzwaniał za nią jakiś Colin Brankley.

Jej głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała: - Ja także nie mam numeru Tannera. I uważam, że nie powinniśmy pilnować Gwen. Jest wystarczająco dorosła, żeby sama mogła o sobie decydować.

- Oczywiście. Tylko że po tym wszystkim, co zaszło...

- ...nadal nie widzę powodu, by ją szpiegować.

- Nie uważałbym siebie i Jennifer za szpiegów - odparł chłodno Colin, po czym bez pożegnania odłożył słuchawkę.

Był wściekły. A niech sobie będzie. Czemu właściwie miałyby się przejmować Brankleyami?

Ruszyła w dalszą drogę, mimo wszystko nieco zaniepokojona tą rozmową. Gwen była dorosła, miała chłopaka, za którego chciała wyjść, i na dobrą sprawę w normalnych okolicznościach nie byłoby nic niezwykłego w tym, że przez jeden dzień i jedną noc przebywa poza domem. W normalnych okolicznościach... Właściwie co w osobie Gwen było normalne? Czy do jej zachowania można przykładać zwyczajową miarę?

A czy całą tę sytuację można uznać za normalną? Oto młoda dziewczyna zostaje brutalnie zamordowana w odludnym rejonie Scarborough. Starsza kobieta zostaje zatłuczona na śmierć na skraju pastwiska dla owiec. Do kręgu podejrzanych, których policja bierze pod lupę, zalicza się narzeczony Gwen...

Przez moment Leslie zastanawiała się, czy nie wpaść po drodze do Dave'a Tannera. Zajrzeć do niego, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale jak miałyby to uzasadnić?

*Cześć, Gwen, chciałam tylko zobaczyć, czy wszystko okay. Martwimy się...*

Największym problemem w życiu Gwen było to, że właściwie nigdy naprawdę nie dorosła. Być może z pomocą Dave'a uda jej się wreszcie tego dokonać. Czyż nie należało jej w tym wspierać, zamiast nadal traktować ją jak małe dziecko?

Porzuciła myśl o wstąpieniu do Tannera i pojechała prosto do mieszkania babki.

Ucieszył ją widok jasno rozświetlonych okien. Dopiero co pożegnała się ze swą zmarłą babcią - zimne, ciemne mieszkanie mogłoby w ten mglisty jesienny wieczór zrobić przygnębiające wrażenie. Kiedy otworzyła drzwi, poczuła zapach przygotowanych przez Stephena potraw. Curry, kolendra... Pachniało przyjemnie i kusząco. Przez otwarte drzwi do pokoju dziennego zauważyła, że na stole płoną świece. Z kuchni wyszedł Stephen, na biodrach miał przewiazaną ścierkę, a w dłoni kieliszek białego wina.

- Jesteś nareszcie! - Przez chwilę wydawało się, że chce odłożyć kieliszek i wziąć ją w ramiona, coś go jednak powstrzymało. Stał przed nią niezdecydowany. - Jak było? Jak się czujesz?

Zdjęła płaszcz. - No cóż, miło nie było. Czuję się też nieszczególnie. Ale jakoś sobie radzę.

- Jesteś pewna?

- Ależ tak! - Wzięła od niego kieliszek i wypła spory łyk. -  
Dobrze, że zrobiliśmy zakupy.

- Przygotowałem twoje ulubione danie.

- To miłe. Dziękuję.

Uśmiechnął się.

Nagle pomyślała: Jaki on łagodny. Jaki zatroskany. Jaki...  
poufały. Mimo to i tak by się nam nie udało. To nie jest mężczyzna,  
którego mi trzeba. Którego by do mnie pasował. Którego pragnę.

Ta myśl była dla niej czymś zupełnie nowym, zrodziła się nagle,  
w chwili, gdy stała w progu kuchni. Okropnie ją przeraziła.  
Stephen i Leslie, wymarzona para na całe życie. Związek rozpadł  
się tylko dlatego, że Stephen w chwili słabości uległ pochlebstwom  
obcej kobiety. Zniszczył to, co wydawało się niezniszczalne; dla niej,  
wścieklej i żadnej zemsty, był to zawsze punkt wyjścia.

Może się jednak myliła. Może on tylko przyspieszył to, co i tak  
musiało nastąpić, w ten czy inny sposób.

Obserwował mimikę jej twarzy i dostrzegł wewnętrzne  
wzburzenie. - Co się dzieje?

- Nic. - Otrząsnęła się niczym pies, po czym spieszenie opróżniła  
kieliszek. Tylko nie teraz, nie rozmyślaj o tym. O sobie i Stephenie.

- A tu co słyhać? - spytała.

- Dzwonił niejaki Mr Brankley. Z farmy Beckettów.  
Zamartwiają się tam o Gwen. Podałem mu numer twojej komórki.

- Tak, wiem. Dzwonił. Uważam tę ich troskę za przesadę. Gwen  
leży pewnie z Dave'em w łóżku i miewa się świetnie.

- Byłoby dobrze. - Zawahał się. Wyczuła, że ma coś jeszcze do  
powiedzenia.

- Tak?

- Dzwonił ktoś jeszcze - odparł Stephen nieswoim głosem.

Leslie natychmiast natężyła uwagę. - Tylko nie...

- Jakiś anonim - wyjaśnił Stephen. - Dokładnie tak, jak to opisałaś. Milczenie. Oddech. A potem przerwanie połączenia.

Wlepiała weń wzrok. - Ale przecież Fiona nie żyje!

- Może on o tym nie wie. Nie musi być mordercą.

- Albo - odrzekła powoli Leslie - jej śmierć mu nie wystarcza.

Uwziął się na nas wszystkich. Na całą rodzinę.

- Przecież to absurd - zaproponował Stephen.

Jego głos nie zabrzmiał przekonująco.

## Drugie dziecko.doc

### 7.

Kiedy Emma zaczęła niedomagać? Kiedy to zauważyliśmy? Dziś niestety nie potrafię tego powiedzieć. Moje myśli bez reszty wypełniał Chad. Jesienią 1941 oraz wiosną 1942 roku przeżywałam takie chwile, że gdyby na farmę Beckettów spadła niemiecka bomba, nawet bym tego nie zauważyła. Byłam zakochana tak mocno i gwałtownie, że nic innego mnie nie interesowało. Nie miałam jeszcze trzynastu lat, lecz uważam, że w moim życiu zaszło kilka szczególnych wydarzeń, które uczyniły ze mnie przedwcześnie dojrzałą dziewczynę - co często podkreślała także moja matka. Ojciec pijak, ustawiczny brak pieniędzy, jego wczesna śmierć, wojna, bombardowania, noc spędzona w piwnicznym schronie, kiedy dom runął ponad naszymi głowami... Raptowne rozstanie z matką i, na sam koniec, poczucie, że zostałam przez nią zdradzona dla jakiegoś nieznanego mi mężczyzny - wszystko to odebrało mi mnóstwo dzieciństwa, ograbiło mnie z jego niewinności. Czułam się dorosła. Myliłam się rzecz jasna, lecz istotnie byłam chyba zbyt dojrzała na swoje dwanaście lat. Mentalnie i fizycznie już dawno przekroczyłam próg okresu dojrzewania.

Chad i ja wykradaliśmy sobie wspólny czas, kiedy tylko nadarzyła się po temu sposobność. Wcale nie było to łatwe, gdyż musiałam chodzić do szkoły i sporo czasu traciłam na pokonywanie długiej drogi tam i z powrotem. Chad natomiast od rana do wieczora zmuszany był przez ojca do pracy na farmie. Zawsze jednak jakoś udawało nam się stamtąd czmychnąć. Miejscem naszych spotkań był ów skromny kawałek kamienistej plaży w zatoce, także zimą, kiedy niczym nieosłonięci, byliśmy tam

wystawieni na podmuchy wschodniego wiatru, który huczał po morzu i odmrażał nam nosy. A jednak lubiłam ten dokuczliwy ziąb, może dlatego, że chroniąc się w objęciach Chada, czułam niezwykle ciepło i miałam wrażenie, że zawińęłam do bezpiecznej przystani.

W tamtym czasie nie uprawialiśmy seksu, wydaje mi się, że oboje nie mieliśmy dość odwagi. Moje uczucia i tak były raczej romantycznej natury, cielesnego pożądania jeszcze nie odczuwałam - albo co najwyżej jego pierwsze symptomy, przytłumione przez strach i niepewność. W przypadku Chada było z pewnością zupełnie inaczej, ale zachował rozsądek, uznając, że jestem zbyt młoda. Kiedy nadeszła wiosna, a wraz z nią ciepłe dni i długie jasne wieczory, i w każdej chwili mogliśmy się kochać na tej naszej „tajemnej” plaży, pewnie nie raz ogarniało go pożądanie, lecz wówczas puszczał mnie i odsuwał się ode mnie najdalej, jak się dało.

Zazwyczaj więc rozmawialiśmy. Właściwie wciąż o tych samych sprawach. Zastanawiam się dziś, jak to możliwe, że nigdy nam się to nie sprzykrzyło. W tamtym jednak czasie wszystko było tak ekscytujące, nawet wciąż te same historie. Ściśle mówiąc: wciąż ten sam lament Chada na temat wojny i tego, że nie może wziąć w niej udziału. Drażniło go to okrutnie, czasem budziło w nim wściekłość, to znów niemal wpędzało w depresję. Pamiętam, jak pewnego razu wtrąciłam nieśmiało: - Ale gdybyś teraz wyjechał na front, nie mógłbyś być ze mną!

- Jedno nie ma z drugim nic wspólnego - odrzekł Chad.

- Ależ ma. Albo będziesz na wojnie, albo tutaj ze mną. Oszałałabym z tęsknoty, gdyby cię tu nie było!

- Chyba jeszcze tego nie pojmujesz. Chodzi o coś więcej niż tylko o moje czy twoje uczucia. Chodzi o Anglię. Chodzi o obłąkanego

dyktatora, który napada na inne kraje. Trzeba mu wreszcie stawić opór!

W głębi ducha wcale nie wierzyłam, że los Hitlera zależy od tego, czy Chad wyjedzie na front czy nie. Rozumiałam wszakże, co miał na myśli, i dlatego nic więcej nie powiedziałam. Mimo to było mi smutno. Wyczuwałam różnicę. W życiu Chada istniała prócz mnie jeszcze jedna namiętność, potężna, może potężniejsza niż jego uczucia do mnie.

W moim natomiast istniał tylko on.

Pamiętam, że zimą, aż do późnej wiosny Emma często zapadała na zdrowiu. Wiedzieliśmy wprawdzie o tym, lecz nie docierała do nas świadomość, że powtarza się to z niepokojącą częstotliwością. Po jednym zapaleniu gardła przyplątało się kolejne. Ledwie wyleczyła gwałtowny katar, zapadła na bronchit. Zima była bardzo chłodna i ostra. Emma z pewnością liczyła na to, że jej stan się poprawi, kiedy znów nastaną cieplejsze dni. Jednakże w maju 1942 roku, niezwykle upalnym i suchym, dostała takiego kaszlu, iż wydawało się, że się nim udusi. Mimo to, rżąc i sapiąc, wstawiała dzień w dzień z łóżka i człapała do pracy. Dostała wtedy tak wysokiej gorączki, że Arvid, który zazwyczaj niewiele, jeśli w ogóle, troszczył się o żonę, wezwał w końcu lekarza. Ten zdiagnozował początki zapalenia płuc i zalecił jej pozostanie w łóżku.

- Właściwie, Emmo, powinna pani iść do szpitala – powiedział - ale nie mam odwagi tego pani zaproponować, bo chyba znam odpowiedź.

- Nie chcę się ruszać z domu - odparła natychmiast Emma chrypliwym głosem.

Odwrócił się ku mnie. Wpuściłam go do domu i zaprowadziłam na górę, a teraz stałam nieco bojaźliwie w progu. Kiedy

zauważyliśmy, że Emma zaczyna niedomagać? - brzmiało moje uprzednie pytanie. Sądzę, że uświadomiłam to sobie w tamtej właśnie chwili. Bardzo późno. I wstyd mi za to.

- Zatrószysz się o Emmę - powiedział do mnie lekarz. - Ugotujesz dla niej dobrego, mocnego rosółu i dopilnujesz, żeby go zjadła. Musi pić dużo wody. I ma leżeć w łóżku, rozumiano? Nie chcę słyszeć o tym, że schodzi na dół, że przygotowuje jedzenie dla całej rodziny albo że sprząta dom. Musi mieć całkowity spokój.

Przyrzekłam robić wszystko, co mi nakazał. Bałam się. Koniecznie chciałam się zatroszczyć o Emmę.

Kiedy lekarz wyszedł, powiedziała mi, o kogo mam przede wszystkim zadbać: oczywiście o Niktosia.

- Podczas mojej choroby musisz się zająć Brianem - szepnęła. - Proszę, Fiona, on nie ma nikogo. Arvid za nim nie przepada, a dla Chada on w ogóle nie istnieje. To biedny mały chłopiec... - Zakasłała, z grymasem bólu na twarzy usiłowała zaczerpnąć powietrza.

Miałam ochotę jej powiedzieć, że obydwie uwagi dotyczą także mnie. Ja również nie znosiłam Niktosia i postanowiłam traktować go jak powietrze, miałam jednak świadomość, że w tej chwili Emmy nie wolno było irytować. Powiedziałam więc tylko: - Ale ja siedzę przecież pół dnia w szkole!

- Muszę się postarać o to, żeby w tym czasie Arvid miał na niego oko - charczała Emma. - Ale popołudniami mogłabyś jednak...

- Dlaczego nie odeślemy go wreszcie do sierocińca? I tak nie może tu zostać na zawsze - odparłam z niechęcią.

Emma przymknęła oczy, wyczerpana. - On by tam zginął - mruknęła. - Fiona, proszę...



Cóż mi pozostało? Popołudniami Niktoś lgnął do mnie jak mucha do miodu. Arvid miał nad nim pieczę przed południem i kłął z tego powodu na czym świat stoi. Zachowywał się tak, jakby farma miała wręcz upaść tylko dlatego, że musiał się opiekować *tym drugim dzieckiem*, jak go nadal nazywał. Kiedy tylko wracałam ze szkoły i znalazłam się w zasięgu jego wzroku, popychał go w moim kierunku, zanim zdążyłam odłożyć torbę i umyć ręce. Widząc mnie, Niktoś promieniał ze szczęścia i nie odstępował ani na krok. Był przy mnie nieustannie, a przecież miałam też sporo obowiązków na głowie. Musiałam odrabiać lekcje, przygotowywać posiłki, sprzątać w domu, karmić kury, zbierać jajka, troszczyć się o warzywnik. Nie mogłam się od niego uwolnić. Kiedy przy plewieniu chwastów wyprostowałam się i odwróciłam, zderzyłam się z nim, bo stał tuż za moimi plecami i pożerał mnie wzrokiem. Kiedy karmiłam kury, ciągle wchodził mi w drogę. A w kuchni wprost doprowadzał mnie do szału, gdyż nie lubiłam gotować, jego zaś dziwnie uważne, proszące o wyrozumiałość spojrzenie, którym śledził każdy mój arcyniepewny ruch, jeszcze bardziej mnie irytowało.

Oczywiście, byłam w złym humorze, ponieważ prawie w ogóle nie widywałam Chada, jedynie podczas wspólnych posiłków. Nawet gdybym późnym popołudniem zdołała się uporać ze wszystkimi obowiązkami, jak mogłabym się spotkać z Chadem nad zatoką, skoro Niktoś snuł się za mną jak cień? Któregoś dnia zamknęłam go w pokoju i czmychnęłam z domu, pożalowałam tego jednak po powrocie. Niktoś przeżył tak silny stres, że narobił w spodnie, a do tego zwymiotował. Cuchnął niemiłosiernie, podobnie jak cały pokój, a twarz napuchła mu od płaczu. Całe szczęście, że Emma się o tym nie dowiedziała. Musiałam niepostrzeżenie wyprać jego ubranie, wymyć go w wannie, a potem jeszcze zetrzeć podłogę. Pełna złości

zadawałam sobie pytanie, dlaczego Emma nie rozejrzy się wreszcie za odpowiednim miejscem dla chłopca. Przecież było już jasne, że jest upośledzony i nic się w tej kwestii nie zmieni, on zaś będzie dla nas coraz większym ciężarem.

Żeby odpłacić mu za to, że miałam przez niego tyle dodatkowej pracy, wyszorowałam go w lodowato zimnej wodzie, on jednak nie był na tyle uprzejmy, by z tego powodu kwękać albo wybuchnąć płaczem. Wręcz przeciwnie, odniosłam niemal wrażenie, że tak bardzo był mi wdzięczny za choćby i taką pomoc, że pozwoliłby się nawet zakuć w lód albo zanurzyć pod wodę na długie minuty. Choć dygotał z zimna, a jego wargi posiniały, spoglądał na mnie błyszczącymi oczami, w których mogłam wyczytać oddanie i uwielbienie.

- Fiona - wyjąkał, uśmiechając się - i... i Niko.

- Ty nie nazywasz się Niko - ofuknęłam go. - Nazywasz się *Niktoś!* Wiesz, co to oznacza? Że jesteś Nikim! Kompletnym zerem!

Pewnie nie rozumiał znaczenia moich słów, bo rozpromienił się, jakbym właśnie uczyniła mu miłosne wyznanie.

- Niko - powtórzył, a potem dodał: - Fiona! - Wyciągnął rękę, próbując dotknąć moich włosów.

Natychmiast odwróciłam głowę. - Zostaw! A teraz wychodź z wanny. Muszę cię wytrzeć.

Posłusznie stanął na dywaniku, dygocząc z zimna i dzwoniąc zębami. Spojrzałam na jego wychudzone zmarznięte ciało i poczułam jakby wyrzut sumienia. Zachowałam się okrutnie i podle, polewając go przez kilka minut lodowatą wodą. W końcu nie pobrudził się umyślnie, lecz z czystej rozpacz, gdyż zamknęłam go w pokoju i pozostawiłam samego na co najmniej dwie godziny. Może ogarnął go lęk, o jakim nie miałam nawet pojęcia. Ale, do

diaska, wkrótce miałam trzynaste urodziny, byłam zakochana, chciałam choć trochę nacieszyć się życiem. Opieka nad dziewięcioletnim, niedorozwiniętym umysłowo chłopcem - to było dla mnie zbyt wiele.

Patrząc z perspektywy czasu, acz nie chcąc ukazać siebie i mojego zachowania w lepszym świetle, muszę jednak przyznać, że chyba postępowałam całkiem zwyczajnie. Gdyby Brian był moim młodszym bratem oddanym mi pod opiekę, równie usilnie próbowałabym wszelkich sposobów, żeby się uchylać od tego obowiązku, i pewnie nie traktowałabym go przyjaźnie. Większość dziewcząt w moim wieku tak by właśnie postąpiło. Problem jednak w tym, że Brian nie mógł się przed tym bronić jak normalnie rozwinięte dziecko. Każdy inny chłopiec, gdyby został zamknięty w pokoju, wrzeszczałby na całe gardło, łomotałby i kopał w drzwi, i po kilku minutach ktoś z dorosłych by go stamtąd uwolnił. Nie pozwoliłby też na to, żeby go polewano lodowatą zimną wodą. Nawet gdybym była od niego starsza, znalazłby swe sposoby, by mi się przeciwstawić.

Brian był jednak inny. Ja zaś zbyt młoda, aby tę jego bezradność, zależność od innych naprawdę zrozumieć i właściwie ocenić. Targały mną sprzeczne uczucia litości i gwałtownego rozdrażnienia, lecz rozdrażnienie przeważało wszystko. Gdyby się do mnie aż tak bardzo nie przywiązał, nie uczepił się mnie, a zarazem nie zamknął na wszelki głos rozsądku, wszelką rozmowę, być może zdobyłabym się na bardziej przyjazny ton. A tak uderzałam tylko w mur jego zasklepionego umysłu i nie znalazłam w sobie dość cierpliwości, dość spokoju, żeby nawiązać z nim nic jakiegokolwiek porozumienia.

A jednak moje zachowanie tamtego dnia tak bardzo mnie przerażyło, że przez następne tygodnie trochę bardziej się starałam. Skutkiem czego Niktoś jeszcze bardziej się do mnie przywiązał, ja zaś prawie w ogóle nie miałam okazji być z Chadem sam na sam. A to oczywiście wcale nie ociepliło moich uczuć do tego małego chłopca.

W czerwcu Emma, przeraźliwie wychudzona, jakby pozostał z niej tylko cień, mogła wreszcie wstać z łóżka. Choć przez pierwsze tygodnie nierzadko potrzebowała jeszcze mojej pomocy, mogła już na powrót zająć się Niktosiem, dzięki czemu znów niemal codziennie udawało mi się wymknąć nad zatokę na spotkanie z Chadem. Po upalnym maju nastał równie upalny czerwiec i jeszcze gorętszy lipiec. Bezchmurne dni, unosząca się woń traw i kwiecica, szafirowobłękitne morze u naszych stóp, długie wieczory, podczas których zachodzące słońce rozniecało wspaniałą łunę na zachodnim nieboskłonie. Wojna toczyła się daleko stąd, zupełnie mnie nie obchodziła. Gdyby Chad wciąż nie wspominał o swym zamiarze wyruszenia na front, pewnie bym zapomniała, że gdzieś tam toczą się bitwy, spadają bomby, szerzą się nieszczęścia i przelewają łzy. Czułam się pewnie, bo Emma z pewnością by na to Chadowi nie pozwoliła. Cieszyłam się najpiękniejszym latem mojego życia. Nie tylko wówczas miałam takie wrażenie. Nawet dziś wiem, że były to najlepsze tygodnie w moim życiu.

29 lipca 1942 roku skończyłam trzynaście lat. List, który tego dnia otrzymałam od matki, położył kres wszystkiemu - beztróskim letnim tygodniom, młodzieńczemu miłosnemu szczęściu, nieograniczonej swobodzie na farmie Beckettów, która już dawno stała się moim miejscem na ziemi, moim domem.

Mama napisała mi, że ataki na Londyn znacznie osłabły i byłoby zupełnie niezrozumiałe, gdybym nadal miała uderzać Beckettów po kieszeni (tak właśnie się wyraziła, a przecież za mój pobyt w Yorkshire wypłacano im pieniądze!). Przyjedzie pod koniec sierpnia, żeby mnie zabrać do Londynu. Poza tym już najwyższy czas, bym wreszcie poznała mojego ojczyma.

Poczułam się, jakbym spadała w bezdenną przepaść. Jeśli właśnie napisałam, że lato 1942 roku było najpiękniejsze w moim życiu, to jest to prawdą jedynie do tamtej słonecznej środy pod koniec lipca. Od tego dnia pogrążyłam się w najczarniejszej rozpacz.

Nadchodzący sierpień miał się stać najgorszym w moim życiu.

## 8.

Pierwszego września wróciłam do Londynu. Podczas całej podróży pociągiem nie zamieniłam z matką ani słowa. Tak ją to złościło, że obgryzała paznokcie i w ogóle nie chciała na mnie spojrzeć. Mieliśmy późne lato, był słoneczny dzień, lecz Londyn wydał mi się okropny, ponury i zupełnie nie do zniesienia. Można tu było zobaczyć i poczuć wojnę, która na północy, w Yorkshire, wydawała się tak odległa. Zniszczone domy, zwały gruzu, spalone trakty uliczne. Ludzie ze zwieszonymi głowami spieszyli chodnikami, wielu z nich było mizernie odzianych i wyglądało na wygłodzonych. Ze stacji musiałyśmy iść do naszego mieszkania na piechotę - ściśle mówiąc: do mieszkania Harolda Kane'a, przyrzekłam sobie, że nigdy nie uznam go za swój dom. Zamiast zapachu wiatru, soli i siana otaczał mnie smród benzyny i kurz. Mama niosła moją walizkę, ja zaś dźwigałam torbę, do której Emma zapakowała mi chleb, mięso i ser, całe ich stosy, uznała bowiem, że w Londynie wszystkiego zacznie brakować. Jak się

wkrótce przekonałam, miała rację. Mama beznamiętnym głosem zaproponowała, że zabierze również Niktosia i *przekaze go odpowiedniej placówce*, lecz Emma, co było do przewidzenia, odmówiła przerażona. Nigdy tak bardzo nie zazdrościłam Niktosiowi jak tamtego dnia, który dla niego oznaczał pozostanie w tym rajskim miejscu, dla mnie zaś bolesne pożegnanie. Płakał, kiedy opuszczałam z mamą podwórze. Dostrzegłam jeszcze, jak Emma wkłada mu do ust cukierek, żeby go trochę pocieszyć.

Chad był zajęty pracą przy owcach i nie pokazał się ani na chwilę. Ustaliliśmy to poprzedniego wieczora, wołałam, żeby tak właśnie zrobił. Nie chciałam się rozplakać, a tak pewnie by się stało, gdyby stał obok matki i Niktosia i machał mi na pożegnanie. Mogłam to wszystko przetrwać tylko pod warunkiem, że w głębi ducha pozostanę nieczuła i pełna złości. Jego spojrzenie zerwałoby we mnie wszystkie tamy.

Widząc dość poważne zniszczenia w mieście, po raz pierwszy tego dnia odezwałam się do matki. - I tu nie spadają już żadne bomby? Wygląda tak, jakby zrzucano je co noc.

- No proszę! - odparła mama. - A jednak umiesz mówić!

Spojrzałam na nią z wyrzutem.

- To są zniszczenia po atakach z końca 1940 i pierwszej połowy 1941 roku - wyjaśniła. - Teraz naprawdę niewiele się dzieje. Od tygodni nie było nocnego alarmu.

- Aha - odpowiedziałam z niechęcią. Była to iście niedojrzała myśl, lecz w owej chwili życzyłam sobie, żeby najbliższej nocy nadleciały nad Londyn całe tuziny niemieckich samolotów i zrzuciły nań tony bomb, wówczas mama dostrzegłaby swój błąd i trzęsąc się ze strachu, odesłała mnie z powrotem do Yorkshire.

Matka przystanąła i przetarła dłonią zroszoną potem twarz. Moja walizka sporo ważyła, popołudnie, mimo późnej pory, było bardzo ciepłe. - Fiona. Jesteśmy rodziną. Ty, Harold i ja. To niedobrze, jeśli pozostaniemy sobie zupełnie obcy.

- Dla twojego Harolda i tak jestem obca. W końcu on mnie w ogóle nie zna.

- Tym gorzej. Już od roku jest twoim ojcem, a...

- Ojczymem.

- Zgoda, ojczymem. Ważne, byście do siebie przywykli, żebyśmy wszyscy troje potrafili żyć razem.

- A jeśli się to nie uda?

- Uda się. Fiona, ciesz się, że masz jeszcze rodzinę! Są dzieci, które przez tę wojnę straciły wszystko! Pomyśl o biednym Brianie Somerville'u, który nie ma już nikogo na świecie!

- O nim wolę nie myśleć - odrzekłam ze złością - bo jeszcze pęknę z zazdrości. On mógł zostać. Ja nie.

Teraz to mama wyglądała na bardzo urażoną, uważałam jednak, że sama jest sobie winna. Przez resztę drogi znowu milczałyśmy. Tamtego dnia nasze rozmowy po prostu się nie kleiły.

Mieszkanie Harolda Kane'a mieściło się w Stepney, w jednym z najszpetniejszych domów, jakie kiedykolwiek widziałam. Ponury, szary budynek odsunięty od ulicy, schowany za dwoma innymi, wyższymi o kilka pięter domami, które utrudniały dostęp światła i słonecznych promieni. Tylko jeden jedyny dom przy tej ulicy został doszczętnie zniszczony przez bomby, jednakże fala uderzeniowa musiała rozbić szyby w oknach kilku innych budynków, gdyż wszędzie widziałam dziwne, szkaradne konstrukcje z plastikowych plandek i drewnianych desek. Ulica była wąska i ciemna, nawet w słoneczny dzień. Zimą musiało tu być niesłychanie ponuro.

Przywykłam do rozległych przestrzeni sielskiego Yorkshire. Chciało mi się wyć.

Harold Kane był już w domu. Miałam nadzieję, że będzie jeszcze w pracy, dzięki czemu zyskam nieco czasu, żeby obejrzeć mieszkanie i jako tako się zaaklimatyzować. Kiedy ciężko sapiąc, weszliśmy z walizką i torbą po stromych ciemnych schodach na czwarte piętro, otworzył nam drzwi. Był wysoki i zwalisty, miał niezdrową czerwonawą cerę - wówczas jeszcze nie wiedziałam, że była to cecha pijaka. Uznałam go za szpetnego i nieprzyjemnego. Od razu go znienawidziłam.

- To ty jesteś Fiona - powiedział, podając mi rękę. - Witamy w Londynie, Fiona!

Starał się być dla mnie uprzejmy, ale mu nie ufałam. Przeczucie podpowiadało mi, że pomysł, by mnie tu sprowadzić, nie zrodził się w jego głowie, lecz w głowie mojej matki. Cóż niby miałyby począć z trzynastoletnią dziewczyną, która nagle wdarła się w ich przytulne sam na sam? Przez rok urządzili już sobie razem z mamą nowe życie. Dla niego mogłam być tylko nieproszonym gościem.

Mieszkanie było niewielkie i dość skromnie urządzone. Nawet w naszym starym mieszkaniu żyliśmy w lepszych warunkach, choć przecież nigdy nie miałyśmy w nadmiarze pieniędzy. Były tam dwa pokoje oraz niewielka izdebka. Wszystkie pomieszczenia miały widok na tyły domu, gdzie w niewielkiej odległości stał sąsiedni budynek, tak blisko, iż miało się wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę przez okno, by dotknąć jego murów. Nie docierały tu promienie przedwiecznego słońca, można by sądzić, że mamy ponury dzień listopadowy, a nie słoneczny pierwszy września.

Jedno pomieszczenie służyło za kuchnię i pokój dzienny, drugie za sypialnię mamy i Harolda. Mała izdebka - jak się domyśliłam -



była przeznaczona dla mnie. Ledwie zmieściły się w niej łóżko i wąska szafa na ubrania, zajmując niemal całą przestrzeń. Prawie nie mogłam się tu obrócić.

- A gdzie mam odrabiać lekcje? - spytałam ze złością.

- Przy stole kuchennym - odparła matka, starając się okazać niefrasobliwą wesołość, co wszakże sprawiało całkiem sztuczne wrażenie. - Masz tam miejsca pod dostatkiem i nikt nie będzie ci przeszkadzał!

Musiałam panować nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem. Wszystko wyglądało jeszcze gorzej, niż się spodziewałam. Nie żebym była zanadto rozpieszczona. Również na farmie Beckettów pomieszczenia były małe i ciemne, dom bardzo podniszczony, a mój pokój, jeśli mam być szczerą, niewiele większy od tej izdebki. Jednakże w pogodne dni przez wszystkie okna wlewało się do wnętrza słoneczne światło, rozpościerał się z niego widok na bezkresne łąki, które na linii horyzontu stapiały się z niebem. Z jednego z pokoiów na piętrze można było ponad obniżeniem terenu dostrzec morze. Napełniało mnie tam poczucie niemal bezgranicznej wolności. Tu natomiast czułam się jakby żywcem pogrzebana, osadzona w murach więzienia.

- Przez cały dzień jestem w stoczni - powiedział Harold, próbując mnie pewnie pocieszyć. - Twojej mamy także nie ma w domu, bo, niestety, nadal chodzi sprzątać, choć wcale nie musiałyby tego robić. Całe mieszkanie należy do ciebie.

- Te pieniądze są nam potrzebne - rzekła mama.

- I bez nich byśmy sobie poradzili - odparł Harold.

Miałam wrażenie, że jestem świadkiem dość zadawnionego sporu. Najwyraźniej praca mamy była drażliwą kwestią.

- Czasem jednak mogłoby być niewesoło - upierała się.

Zacząłam się poważnie zastanawiać, z jakiego powodu wyszła za tego Kane'a. Ani nie był przystojny, ani też nie miał za wiele pieniędzy. Gdzie, do diabła, tkwił jego urok, który tak podziałał na moją matkę? Uważałam ją za dość atrakcyjną kobietę, mogłaby sobie znaleźć coś lepszego niż akurat takiego napęczniałego grubasa. Mój zmarły ojciec może i był pijakiem, do tego zupełnie niesłownym, mimo wszystko był jednak przystojnym mężczyzną. Pamiętam, że jako dziecko czułam dumę, kiedy szłam z nim przez miasto i dostrzegałam spojrzenia, jakimi obdarzały go obce kobiety. W przypadku Harolda trudno było to sobie wyobrazić.

Czy mamie naprawdę było to potrzebne?

Oczywiście teraz potrafię to lepiej ocenić. Wedle dzisiejszych poglądów moja matka, mając trzydzieści pięć lat, była jeszcze dość młodą kobietą, wówczas jednak uchodziła za osobę posuniętą w latach. Była wdową, miała dziecko, nie miała pieniędzy. Nie chciała zostać sama przez resztę życia, a mężczyźni nie smalili już do niej cholewek. Tym bardziej że większość z tych, którzy byli w jej wieku, walczyła na froncie i nie myślała o ożenku. Mama zawsze była osobą bardzo pragmatyczną. Harolda Kane'a postrzegała jako realną i zapewne ostatnią swoją szansę, i postanowiła ją wykorzystać. A teraz była zdecydowana zrobić to jak najlepiej. Problem polegał na tym, że ja miałam w tym uczestniczyć, gdy tymczasem broniłam się przed tym ze wszystkich sił.

Na kolację jedliśmy ziemniaki i mięso. Mięso było tak żylaste, że wciąż trzeba było wyciągać sobie z zębów włókna, ziemniaki natomiast wydały mi się rozmiękłe. Mama zauważyła, że mi nie smakuje.

- Jedzenie na wsi z pewnością było lepsze - powiedziała. Po raz pierwszy od chwili, kiedy wbrew mej woli zabrała mnie ze

Staintondale, w jej głosie zabrzmiał ton przeprosin. - Tu w mieście z powodu wojny mamy z tym pewne problemy.

Milczałam. I cóż miałabym powiedzieć? Nie tylko jedzenie, po prostu wszystko było tam lepsze. Zapadał wieczór. O tej porze jak zwykle wyruszyłam nad naszą zatokę na spotkanie z Chadem. Objęlibyśmy się, poczułabym bicie jego serca przy moim. Opowiedzielibyśmy sobie nawzajem, jak nam minął dzień, a potem musiałabym wysłuchać jednej z jego pełnych wściekłości tyrad na temat upragnionego udziału w wojnie...

Odsunęłam talerz. Myśl o Chadzie znaczyła dla mnie zbyt wiele. Nie potrafiłam już przełknąć ani kęsa.

Zauważyłam zresztą, że Harold też nie jadł za wiele, pił za to mnóstwo piwa. Więcej, niż komukolwiek mogłoby posłużyć. Jego nabrzmiałe ciało poruszało się raczej dzięki spożywanemu alkoholowi aniżeli bardzo przeciętnej sztuce kulinarnej mojej matki. Kolejny pijak! W owym czasie nie snuło się jeszcze tego rodzaju psychologicznych rozważań. Gdyby było inaczej, wówczas i ja zrozumiałabym prawdopodobnie, że życie mojej matki toczy się wedle pewnego fatalnego schematu: jej ojciec był alkoholikiem, podobnie pierwszy i drugi mąż. Sama miała skłonności do tego nałogu i najwyraźniej nie potrafiła przerwać tej spirali. Nie mogłam pojąć, że jest niewolnikiem własnego uzależnienia. Z niedowierzaniem wciąż zadawałam sobie pytanie: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego Harold Kane?

Po kolacji od razu położyłam się spać, nawet nie pomogłam posprzątać ze stołu ani pozmywać. Nikt nie oponował, uznano, że jestem znużona po tak wyczerpującym dniu. Kiedy jednak rozbierałam się w ciasnocie mojej izdebki, usłyszałam, jak Harold skarży się mamie:

- Ona mnie nie znosi! Od razu to zauważyłem!

- Dzisiejszy dzień oznaczał dla niej wielką zmianę - odrzekła mama. - Bardzo się przywiązała do rodziny Beckettów w Yorkshire, a teraz czuje się stamtąd wyrwana i pozbawiona oparcia. Wszystko traktuje tu z dezaprobatą. Nie powinieneś brać tego do siebie.

- Wydaje mi się, że błędem było zabierać ją stamtąd wbrew jej woli - oświadczył Harold. Zamarłam w nadziei, że oboje dojdą może do wniosku...

Mama jednak natychmiast rozwiąła to marzenie. - Nie - powiedziała zdecydowanie - to nie był żaden błąd. Wręcz przeciwnie, był już najwyższy czas. Mogła zupełnie żyć się z tamtą rodziną, powinnam była zareagować znacznie wcześniej.

- Ale przecież to był twój pomysł, żeby ją wysłać na wieś!

- Wiesz, jak to było. Bomby spadały noc w noc. Nie chciałam stracić jedyne dziecko. Lecz teraz także nie chcę go stracić w inny sposób, rozumiesz? Gdy uzna za swą matkę inną kobietę!

- Zrobimy wszystko, żeby nie pozostała twoim jedynym dzieckiem - usłyszałam słowa Harolda. Mimo młodego wieku i braku doświadczenia nie uszło mojej uwagi, że ton jego głosu się zmienił. - Może powinniśmy od razu ponownie spróbować, jak sądzisz?

- Muszę posprzątać w kuchni. Poza tym Fiona jeszcze nie śpi. W każdej chwili może tu wejść.

- Bzdura. Jest strasznie zmęczona. Będzie dziś spała jak zabita.

- Harold... przestań... naprawdę boję się, że Fiona... Przestań!

Przewrócili krzesło. Usłyszałam chichot mamy. Przerazona wstrzymałam oddech. Chyba nie zaczną teraz...

Odgłosy, jakie po chwili dobiegły do moich uszu, były jednoznaczne. Moja matka i Harold Kane rzeczywiście robili to w

kuchni, zaraz po kolacji, nie zważając na to, że wszystko, ale to wszystko słyszę.

To było nie do zniesienia. Absolutnie nie do zniesienia.

Nie rozebrałam się do końca, lecz tak jak stałam, w kwiecistej letniej sukience uszytej dla mnie przez Emmę i w podkolanówkach, wpełzłam do łóżka i jego zatęchłej pościeli. Przycisnęłam twarz do poduszki, oburącz zatkałam sobie uszy, żeby nie słyszeć nic z owych odrażających odgłosów z pokoju obok. Przez cały ten okropny długi dzień potrafiłam nad sobą panować - aż do teraz.

Płakałam. I myślę, że były to najgorętsze, najgwałtowniejsze łzy w całym moim życiu.

## 9.

Przez następne tygodnie i miesiące wcale nie ułatwiałam życia matce i Haroldowi. Gniew, że wbrew mej woli zabrano mnie do Londynu, wcale nie minął, wręcz przeciwnie, wciąż we mnie narastał. Nadeszła jesień, a wraz z nią mgły i wczesnie zapadający zmrok. Ogarnął mnie minorowy nastrój.

Harold i ja staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę, o ile było to możliwe w tym ciasnym mieszkaniu. Rzeczywiście, praktycznie całymi dniami przebywał w stoczni, gdzie pracował jako brygadzysta. Kiedy wracał do domu, dość szybko się upijał, po czym zasypiał na niewielkiej, rozchwianej sofie w kuchni. Chrapał i cuchnął alkoholem; za każdym razem, gdy musiałam przejść obok niego, przeszywał mnie dreszcz.

- Mamo, to przecież *pijak* - powiedziałam któregoś dnia. - Jak mogłaś wyjść za *pijaka*?

- Wszyscy mężczyźni piją - oświadczyła matka. Z jej punktu widzenia i zważywszy na jej doświadczenia, było to pewnie prawdą.

Potrząsnęłam głową. - Nie! Na przykład Arvid Beckett...

Moją uwagą trafiłam oczywiście w jej najczulszy punkt. - Skończ wreszcie z tymi Beckettami! - ofuknęła mnie. - Dla ciebie są drugimi po Bogu! Ale to są przecież zwyczajni ludzie, jak ty i ja, i Harold!

- Oni nie piją - upierałam się.

- W takim razie mają pewnie inne nałogi. Każdy ma jakiś nałóg. Uwierz mi!

Może i miała rację, nie potrafiłam tego ocenić. W każdym razie pijaństwo Harolda oraz widok jego nabrzmiałej twarzy budziły we mnie tak wielką odrazę, że przez całe późniejsze życie żywiłam głęboką niechęć do alkoholu i nigdy go nie piłam. Nienawidziłam tego. Nawet dziś nie trzymam w mieszkaniu choćby jednej butelki alkoholu na wypadek dolegliwości trawiennych.

Chodziłam do szkoły, wypełniałam sumiennie wszelkie zadania, wolny zaś czas spędzałam na układaniu niezliczonych listów do Chada. Opisywałam mu beznadziejność dnia powszedniego, mroczną atmosferę w zniszczonym przez bombardowania Londynie, ciemne mieszkanie, niedobory żywności. Najwięcej miejsca poświęcałam w moich listach postaci Harolda. Przedstawiałam go jako prawdziwego potwora. Chad musiał odnieść wrażenie, że matka poślubiła tłuste, tępe, wiecznie zapijaczone monstrum. Miałam nadzieję, że mnie pocieszy, lecz rzadko otrzymywałam odpowiedź. Dał mi do zrozumienia, że nie przepada za pisaniem listów, na farmie zaś ma sporo pracy. Tęskni jednak za mną i często o mnie myśli. To musiało mi wystarczyć. W końcu był mężczyzną. Im zaś niełatwo przychodzi przelewać uczucia na papier.

Pod koniec listopada otrzymałam list, w którym, jak zwykle, narzekał, że osiadł na owczej farmie, zamiast wyruszyć na wojnę za

Anglię. - Szczęście opuszcza Niemców - pisał - można ich pokonać, a ja chcę przy tym być! - Na koniec wspomniał, że jego matka znów ciężko choruje. - Kaszel, gorączka, naprawdę źle wygląda. Nie dla niej ta zimna, wilgotna pogoda, ale na wyjazd na południe brak nam pieniędzy, a i czas po temu nie najlepszy. Wyspy na kanale może byłyby niezłe, ale tam siedzi hołota Hitlera. Poza tym - jak byśmy tu sobie bez niej poradzili?

Musiałam pomyśleć o Niktosiu. Kto się o niego zatroszczy, jeśli Emma znów przez długie tygodnie będzie przykuta do łóżka? Może oddadzą go wreszcie do sierocińca. Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Boże Narodzenie przyniosło mi szczególną niespodziankę. Rankiem po wręczeniu prezentów - otrzymałam głównie praktyczne rzeczy, jak szalik, czapkę i rękawiczki - mama wyznała, że w lipcu będę miała rodzeństwo.

- Braciszka - dorzucił siedzący na sofie Harold. Żeby uczcić ten dzień, pierwszy kieliszek wódki wypił już o dziewiątej rano.

- Przecież tego nie wiemy - odparła mama.

- Ja wiem - upierał się Harold - to będzie chłopak. Zobaczysz!

- I co? Cieszysz się? - spytała mnie mama.

- W lipcu - powiedziałam przeciągle. - To może urodzi się w ten sam dzień co ja. - Jeszcze tylko tego brakowało, żeby syn Harolda, który pewnie wda się zupełnie w swego ojca, ukradł mi urodziny.

- Na pewno nie - zaprzeczyła mama. - Lekarz mówi, że na początku lipca. Może nawet pod koniec czerwca. Na pewno nie będziecie wchodzić sobie w paradę. - Jej oczy błyszczały, a rysy twarzy złagodniały. Ona naprawdę się cieszyła, że urodzi dziecko tego... czerwonogębnego opoja!

Coś jeszcze zaprzętało moje myśli. - Tu nie ma miejsca dla jeszcze jednej osoby! Będzie za ciasno! - Miałam nadzieję, że może teraz uznają wreszcie konieczność odesłania mnie z powrotem do Staintondale.

Wydawało się jednak, że mama jest innego zdania. - Przez pierwszy rok będzie spał ze mną i z Haroldem. A potem zobaczymy. Może znajdziemy trochę większe mieszkanie.

- Jasne, że znajdziemy - odezwał się Harold. Miałam ochotę zapytać, z czego chce opłacić wyższy czynsz, skoro większą część swych zarobków tak konsekwentnie wymienia na alkohol. Zagryzłam jednak wargi. Były święta. Nie chciałam nam wszystkim zepsuć tego dnia.

Nie musieliśmy zawracać sobie głowy ani terminem urodzin, ani kwestią mieszkania, bowiem cała ta historia zakończyła się tragicznie.

Pod koniec lutego mama przewróciła się nieszczęśliwie na oblodzonej ulicy przed naszym domem. Z grymasem bólu na twarzy doczłapała jakoś na górę do mieszkania, opadła na sofę, cicho jęczała. Zaparzyłam jej herbaty, ale wypiała tylko parę łyków.

- Strasznie boli, Fiona - szepnęła - strasznie mnie boli!

- Mamo, powinniśmy sprowadzić lekarza!

Potrząsnęła głową. - Nie. On tylko napędzi mi stracha. Muszę trochę poleżeć w spokoju i wszystko będzie dobrze.

Bóle jednak wyraźnie się nasilały, gdyż jęczała coraz głośniejsze i przyciskała obie ręce do podbrzusza. Martwiłam się coraz bardziej. Prócz przygodnego kataru matka nigdy nie miała żadnych dolegliwości, pamiętam, że zawsze była zdrowa i pełna sił. Teraz jej pobladła twarz przybrała żółtawy odcień, miała zupełnie bezkrwiste wargi, wiła się rozpaczliwie we wszystkie strony. Kiedy



wstała z trudem, żeby zrobić parę kroków w nadziei, że dzięki temu miną jej skurcze, zobaczyłam na jasnej sofie wielką czerwoną plamę.

- Mamo, ty krwawisz! - zawołałam przerażona.

Spojrzała na plamę. - Wiem. Ale... to się zdarza... to jeszcze nic nie znaczy...

- Pozwól mi wreszcie sprowadzić lekarza! - błagałam.

Choć ledwie stała na nogach, ofuknęła mnie:

- Nie! W żadnym wypadku! Zabraniam ci!

- Ale dlaczego, mamo? Ja...

Zacisnęła wargi, wycedziła tylko „Nie!”, powlekła się z powrotem na sofę i ciężko na niej usiadła. Byłam zrozpaczona.

Zwyczajnie nie rozumiałam, dlaczego tak mocno wzbrania się przed sprowadzeniem lekarza. Miała bóle, straciła sporo krwi... Czy naprawdę sądziła, że wszystko tak po prostu dobrze się skończy? Byłam zbyt młoda, żeby pojąć, że moja matka przeżywa szok, że właśnie traci dziecko, że podświadomie to wyczuwa, a jednak z całych sił broni się przed tym, by to otwarcie przyznać. Za wszelką cenę chciała dać Haroldowi syna, którego tak mocno pragnął, dość długo próbowała zajść w ciążę. Nie zdołała zapanować nad instynktem macierzyńskim, uchwyciła się myśli o nienarodzonym dziecku, usiłowała ochronić siebie i swoje maleństwo przed rzeczą i prawdopodobnie druzgocącą diagnozą lekarza. Zupełnie odrzuciła rzeczywistość, kładąc przy tym na szali własne życie. Stałam obok bezradna, przestraszona ostrością głosu, z jaką zabroniła mi sprowadzić pomoc.

Pod wieczór nie potrafiła już dłużej znieść bólu. Wreszcie uzmysłowiła sobie, że trzeba coś zrobić.

- Biegnij do stoczni - szepnęła chrapliwym głosem - najszybciej jak zdołasz! Sprowadź Harolda. Musi tu natychmiast przyjść!

Bez wątpienia byłoby rozsądniej od razu biec po lekarza, poczułam wszakże ulgę, że mogę zrzucić odpowiedzialność na kogoś dorosłego. Do stoczni, w której pracował Harold, nie było z naszego mieszkania daleko, może dwadzieścia pięć minut piechotą. Wydaje mi się, że tamtego mroźnego lutowego wieczora roku 1943 pokonałam ten dystans w niecałe dziesięć minut. Choć ulice pokrywała niebezpieczna warstwa lodu, pędziłam pomiędzy rzędami domów, serce waliło mi jak oszalałe, dostałam kolki, miałam wyschnięte usta i świszczący oddech. Panika dodawała mi jednak sił. Instynkt od dawna podpowiadał mi, że mama może umrzeć, jeśli nie otrzyma pomocy. Straciłyśmy zbyt wiele czasu. Modliłam się, żeby spotkać Harolda, by się nie okazało, że już wyszedł i właśnie pije pierwszego drinka w którymś z rozlicznych obskurnych pubów w pobliżu doków. Wiedziałam, że wtedy nie miałabym prawie żadnych szans go odnaleźć. Na szczęście złapałam go w chwili, gdy żegnał się z kumplami. Był zupełnie osłupiały, gdy niespodziewanie wyłoniłam się przed nim z mroku. Połykałam gwałtownie powietrze i wiłam się z powodu kolki.

- Mama - wysapałam. - Musisz natychmiast wracać do domu. Ona... bardzo źle się czuje!

Harold zaskoczył mnie tym, że bez zbędnych pytań czy wahania ruszył biegiem do domu. Nigdy bym nie uwierzyła, że ten wysoki zwalisty mężczyzna może poruszać się tak szybko. Kiedy dotarliśmy do domu, jego twarz miała ciemnoczerwoną barwę i lśniła od potu, a jednak nie przystanął ani na chwilę. Mogliśmy chyba mówić o szczęściu, że nie dostał przy tym ataku serca.

Mama leżała skulona na sofie, podtrzymując oburącz brzuch. Jej spiczasty nos sterczał ponad zapadłą poźółkłą twarzą. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogło do tego dojść w ciągu kilku zaledwie godzin, lecz wydawało się, że w jedno popołudnie postarzała się o całe lata i schudła sporo funtów. Spojrzała na swego męża wylupiastymi oczami.

- Harold - zabrzmiało to jak łkanie - myślę... że nasz syn... on...

- Bzdura - odparł Harold - będziemy mieć najładniejszego chłopca na świecie, zobaczysz!

Towarzyszył jej w drodze do szpitala. Przez chwilę dostrzegłam wyraz jego twarzy, kiedy nie wykrzywił jej grymas uśmiechu dla mamy. Nie wróżył nic dobrego.

Tamten wieczór i następna noc pozostawiły we mnie jedynie niewyraźne wspomnienia. Wydaje mi się, że próbowałam uspokoić myśli, biorąc się do sprzątnięcia mieszkania i próbując zetrzeć krew z sofy. Nie całkiem mi się to jednak udało. Później sofa miała w tym miejscu nieco ciemniejszy odcień; mama nie mogła znieść tego widoku, toteż Harold musiał się jej pozbyć. Nigdy się nie dowiedziałam, co z nią zrobił.

W końcu nie pozostało mi nic innego, jak tylko czekać i czekać. Zaparzyłam sobie herbaty, usiadłam przy kuchennym stole i gapiłam się w ścianę. Ogarnęło mnie okropne poczucie winy. W głębi ducha czułam tak wielkie uprzedzenie wobec tego dziecka, tak często pragnęłam, żeby nigdy nie pojawiło się na świecie. A teraz wydawało się, jakby moje skryte życzenie spełniło się w przerażający sposób. I do tego mogłam jeszcze stracić matkę. Wyglądała strasznie, straciła tyle krwi. Co będzie, jeśli nie wróci? Czemu nie zignorowałam jej zakazu i dużo wcześniej nie sprowadziłam lekarza? Zmagałam się z sobą, zalewałam łzami i po

raz pierwszy w życiu doświadczyłam, że czekanie może oznaczać najokropniejsze męczarnie.

Było już po północy, kiedy usłyszałam na schodach kroki Harolda. Ciężkie, powolne. Chyba trzymał się poręczy. Zerwałam się do drzwi. Stał przede mną, patrzył nabiegłymi krwią oczami, cuchnął alkoholem. W drodze powrotnej ze szpitala musiał wstąpić do niejednej knajpy.

- Fiona - odezwał się przeciągłym głosem.

- Co z nią? Harold, co z moją matką?

Wtoczył się do mieszkania, podszedł prosto do kuchennego kredensu i wyjął z niego butelkę wódki. Z ochotą bym go zatłukła.

- Harold! Proszę! Co z mamą?

- Poradzi sobie. Op-operowali ją.

Przymknęłam oczy. Poczulałam zawroty głowy, zawroty ulgi. Mama żyje. Mama do mnie wróci.

- Dziecko - wyszeptał Harold. Język stanął mu kołkiem. Pociągnął spory łyk z butelki, po czym odwrócił się ku mnie. - T-to na-prawdę b-był ch-chłopiec. Mój syn... n-nie ż-żyje.

Szczerze mówiąc, wiadomość ta nieszczególnie mnie poruszyła. Nic mnie nie łączyło z dzieckiem Harolda Kane'a, ot, przyrodni braciszek. Nie potrafiłam przestać myśleć wyłącznie o jednym: mama żyje, mama żyje, mama żyje!

Kamień spadł mi z serca.

Za to Harold popadł w okropny stan. Był zupełnie zrozpaczony. Pił coraz więcej wódki, zawodził coraz bardziej bełkotliwym głosem i opłakiwał swe nienarodzone dziecko. Dziecko, którego tak bardzo wyczekiwali. Dziecko, które tyle dlań znaczyło. Dziecko, które miało odmienić jego życie.

W końcu miałam już dość i odezwałam się dość arogancko: - Mój Boże, Harold, przecież urodzi następne dziecko. Na pewno się uda!

Opuścił butelkę, którą miał właśnie przytknąć do ust.

- Nigdy... więcej - powiedział - już nigdy więcej. L-lekarz mówi, że już s-się n-nie uda.

- Przykro mi - odparłam nieporadnie. I cóż niby miałabym powiedzieć? Harold gapił się na mnie, by po chwili, ku mojemu przerażeniu, wybuchnął szlochem. - O Boże - zawodził - o Boże!

Zatoczył się w moim kierunku. - F-fiona, F-fiona, uściskaj... uściskaj mnie...

Natychmiast zaczęłam się cofać, aż oparłam się plecami o kant szafy.

- Harold! - próbowałam się bronić.

Stał tuż przede mną. Tak okropnie cuchnął alkoholem, że dostawałam mdłości. Poza tym wzbudzał we mnie strach. Czego ode mnie chciał? Nigdy się nie uściskaliśmy, choć mamie z pewnością by się to spodobało. Nie chciałam tego, on to respektował. Jednak teraz, w kuchni, w środku nocy, pod wpływem ogromnego stresu, pijany i zrozpaczony, mógł stracić nad sobą panowanie.

- Ani kroku bliżej - ostrzegłam go ochryłym głosem.

- Fiona - żalił się nadal, wyciągając ku mnie rękę.

Schyliłam się i przemknęłam pod jego ramieniem ku drzwiom. Byłam od niego zwinniejsza i szybsza, a do tego trzeźwa. On jednak był znacznie silniejszy i gdyby do czegoś doszło, nie miałam żadnych szans. Żadnych szans - niby do czego miałyby dojść?

Później nabrałam przekonania, że Harold Kane nie miał wobec mnie żadnych drożnych zamiarów. Ani wcześniej, ani kiedykolwiek potem nie dał powodu do podejrzeń, że upatrył mnie

sobie. Wręcz przeciwnie, któregoś dnia zrozumiałam, że był całkowicie zapatrzony w moją matkę. Innych kobiet zdawał się w ogóle nie zauważać.

Chyba rzeczywiście szukał jedynie pocieszenia. Był całkiem zrozpaczony. Zawalił mu się świat. Nieważne, czy miał przed sobą kobietę czy mężczyznę, każdemu rzuciłby się w ramiona, żeby znaleźć oparcie, odrobinę bezpieczeństwa. Byłam jednak bardzo młoda. Bardzo wrażliwa. Żywiłam do niego odrazę i nieufność. Byłam wyczerpana tym okropnym popołudniem, spędzonym z jęczącą, kwilącą matką. Miałam zupełnie zszarpane nerwy.

- Będę krzyczeć - ostrzegłam - jeśli zbliżysz się o krok, zakrzyczę cały dom!

Zatrzymał się osłupiały. - T-ty myślisz, że...?

Nie czekałam, aż dokończy pytanie. Błyskawicznym ruchem odwróciłam się, pognałam przez niewielki przedpokój, zatrzęsnęłam za sobą drzwi mojego pokoju i zapałam się o nie od wewnątrz. Nie było w nich zamka, czego już nie raz żałowałam, nigdy jednak tak bardzo jak tamtej nocy. Czułam się zupełnie bezbronna, nie miałam się gdzie schronić. Harold łatwo mógł mnie dopaść, nie potrafiłabym się przed nim obronić. Jedyne, co mi pozostało, to pod żadnym pozorem nie zasnąć i możliwie jak najbardziej utrudnić mu napaść na mnie. Jeśli by odważył się wkroczyć na moje terytorium, będę walczyć i wrzeszczeć. Na pewno nie zaskoczy mnie we śnie.

I tak czuwałam przez całą noc, do samego świtu. Siedziałam na podłodze, oparta plecami o drzwi, i gapiłam się w ciemność. Byłam śmiertelnie znużona i zarazem zupełnie nie odczuwałam potrzeby snu, serce mi waliło, myśli kołatały się po głowie. Nie mogłam tu pozostać, było to dla mnie oczywiste. Harold powiedział, że mamę

operowano, a to oznaczało, że będzie musiała zostać jakiś czas w szpitalu. Co najmniej dziesięć dni, może nawet dwa tygodnie. W żadnym wypadku nie spędzę tyle czasu w tym mieszkaniu, sama, z jej zapijaczonym mężem. Nie znosiłam go. Budził we mnie lęk.

Na całym świecie istniało tylko jedno miejsce, w którym czułam się bezpiecznie. Mogłam mieć tylko nadzieję, że zaoszczędzone kieszonkowe wystarczy na bilet kolejowy do Scarborough. Kiedy tam dotrę, zobaczymy, co dalej. Nie łudziłam się, że matka i Harold tak łatwo zaakceptują moją ucieczkę, lecz mama była przynajmniej na razie niezdolna do walki, Harold zaś nie mógł mi rozkazywać. Najważniejsze, żeby najpierw znaleźć się w bezpiecznym miejscu.

To było najważniejsze.

I tak, rozmyślając, przesiedziałam aż do świtu. Nie usłyszałam żadnych odgłosów Harolda, nie próbował też wejść do mojego pokoju. W którymś momencie musiałam na chwilę zasnąć, bo przeraziłam się, słysząc trzask zamykanych drzwi do mieszkania, pierwszy dźwięk od kilku godzin. Zaraz potem dobiegły mnie odgłosy kroków na schodach. Dzięki Bogu, Harold jak co dnia wyszedł do pracy.

Odrętwiała, podniosłam się z podłogi. Oczy piekły mnie z wyczerpania. Mimo to byłam zdecydowana nie kłaść się ani na pół godziny. Umyję się, przebiorę, spakuję najpotrzebniejsze rzeczy. I bez zwłoki wyruszę w drogę na stację.

Następną noc spędzę już na farmie Beckettów.

10.

Wydawało mi się, że moja podróż ciągnie się bez końca. Wystarczyło mi pieniędzy na bilet, po południu dotarłam do Scarborough. Uplynęła jednak cała wieczność, zanim dowiedziałam się, którym autobusem mam stamtąd ruszyć w dalszą drogę, potem

zaś odchodziłam od zmysłów, czekając, aż autobus wreszcie się zjawi. Według rozkładu powinien odjechać znacznie wcześniej, kiedy jednak poskarżyłam się na to kierowcy, wzruszył tylko ramionami i rzekł: - Jest wojna, młoda panno.

- Jego słowa, nazwanie mnie *młodą panną* ogromnie poprawiło mi nastrój. - Większość kierowców walczy na froncie. My pomocnicy przecież się nie rozerwiemy.

Niedługo potem dotarliśmy do Staintondale. Przywarłam nosem do szyby, chłonąc zanurzone w ostatnich promieniach dnia obrazy znajomego, tak mi drogiego krajobrazu. Chociaż ów lutowy dzień był zimny i szary, choć pola i niebo na horyzoncie niknęły w oparach zimowej mgły, a wszystkie drzewa pozbawione były jeszcze liści, mogłabym uściskać i przytulić do serca każdy skrawek pola, każdą łąkę, każdą skibę, każdy kamienny murek i każdy okalający pastwiska wykrzywiony płot. Wiedziałam, jak tu będzie za kilka tygodni, kiedy wszędzie wystrzelą z ziemi narcyzy, wysokie marcowe niebo pokryje nieziemski błękit, a drzewa zaczną powoli rozkwitać.

Boże, pozwól mi tu zostać, modliłam się w myślach, pozwól mi tu zostać!

Od szosy, przy której kierowca mnie wysadził, do samej farmy był jeszcze spory kawałek drogi. Choć spakowałam niewiele rzeczy, torba zaczęła mi ciążyć. Ale cel mojej podróży był już w zasięgu ręki, świadomość tego dodała mi sił. Od trzydziestu sześciu godzin nie zmrużyłam oka, a mimo to sen mnie nie morzył. Za chwilę zobaczę Chada. Emma weźmie mnie w ramiona.

Za chwilę znajdę się w domu.

Farmę skrywała głęboka ciemność, co mnie trochę zaniepokoiło. Zapadł już wieczór, jedynie zachodni horyzont mienił się jeszcze



jaśniejszym odcieniem szarości, na której tle bezlistne drzewa wyglądały niczym dziwaczne wycinanki. Od strony morza podniósł się wiatr, chłodny i przesycony solą. Wysiłek rozgrzał moje ciało. Stałam przed bramą i spojrzałam na dom. Emma zwykła zapalać kilka świateł, lubiła bowiem, gdy jej dom promieniował ciepłem i życiem. Nieraz byłam świadkiem kłótni, jakie toczyła z tego powodu z Arvidem. On oczywiście uważał jej upodobanie za rozrzutność. Mimo to zawsze udawało jej się przeforsować swoje zdanie w tej kwestii, choć zazwyczaj była wobec swego męża raczej uległa.

Może nikogo nie ma w domu. Dokąd jednak mogliby się wybrać, w ten chłodny wieczór w samym środku tygodnia?

Powolnym krokiem zbliżyłam się do wejścia, przystanąłam na chwilę przed drzwiami, po czym z wahaniem nacisnęłam na klamkę. Drzwi się uchyliły. Siedzący w sieni tuż za drzwiami kot przemknął obok mnie i zniknął w ciemnościach.

W domu unosiła się nieprzyjemna woń, od razu to wyczułam. Zaduch, zapach jedzenia, kurz. W domu Emmy, mimo biedy, zawsze było czysto i świeżo, pachniało kwiatami, świecami albo dymem z kominka. Dom, w którym każdego gościa witano z otwartymi ramionami. Teraz jednak... Czy wciąż półrocza, jakie upłynęło od mojego wyjazdu, farma mogła aż tak bardzo się zmienić? Czy może to ja się zmieniłam? Postrzegałam wszystko inaczej? Byłam przemęczona, wypalona wewnątrz?

- Halo? - zawołałam nieśmiało. Nigdy nie zostawiali niezamkniętych drzwi, jeśli wychodzili z domu.

Przeszłam przez sieni, zajrzałam do pokoju dziennego. Ciemno. Chłód. Brak ognia w kominku, żadnych świec w oknie.

Ruszyłam dalej. - Halo? - powtórzyłam. - Czy jest tu kto?

Kiedy dotarłam do kuchni, zauważyłam nikły blask światła przenikający przez szparę pod drzwiami. Odetchnęłam. A jednak ktoś tu jest. Mimo to wciąż czułam niepokój.

Coś było nie tak.

Otworzyłam drzwi do kuchni.

Światło u sufitu było zgaszone, paliła się tylko lampka nad zlewem. Ledwie rozświetlała pomieszczenie. Było dosyć chłodno, choć wydawało mi się, że w piecu płonie niewielki ogień. Przy kuchennym stole siedział Arvid, wysoka, ciemna, milcząca postać. Przed nim stały kubek i dzban. Wokół unosił się lekki zapach lipowej herbaty, którą Emma zwykła parzyć wieczorami przed zaśnięciem.

- Arvid! - Weszłam do środka, obawiając się, że go wystraszę, on jednak nawet nie drgnął. Choć pewnie słyszał moje kroki i wołanie, w ogóle nie zareagował. - Arvid, to ja, Fiona.

Uniósł wzrok. Wiedziałam, że jest małomówny, w tej jednak chwili nie wydał mi się zwyczajnie milczący, w złym, jak zawsze, nastroju. Sprawiał wrażenie... odrętwiałego.

- Arvid, gdzie Emma? Gdzie Chad?

Obrzucił mnie wzrokiem. Moje ciało przekłuło zimne, ciężkie ostrze strachu. - Gdzie oni są? - powtórzyłam z naciskiem.

W tej samej chwili usłyszałam odgłos kroków na schodach. Ktoś biegł przez sień. Obróciłam się, w moje ramiona wpadł Niktoś. Jego twarz rozpromieniał uśmiech, wydawał z siebie przypadkowe dźwięki. Jedynym słowem, jakie wyłaniało się z tego niezrozumiałego bełkotu, było: Fiona! Fiona! Głaskał mnie przy tym po twarzy i ślinił się ze szczęścia.

Jak zawsze nie miałam dla niego zbyt wielu uczuć, ale w tej chwili poczułam tak wielką ulgę, spotkawszy jeszcze kogoś prócz

milczącego Arvida, że mocno go uściskałam.

- Brian! Ależ ty przez zimę wyrosłeś!

Bulgotał i śmiał się. Wydawało się, że jego rozwój psychiczny nadal nie idzie w parze z fizycznym.

Ponownie zwróciłam się do Arvida.

- Arvid! Gdzie jest Chad? Proszę!

Coś się zmieniło w wyrazie jego twarzy. Wydawało się, że jego beznamienne oczy wreszcie mnie dostrzegły. Poruszył wargami, potrzebował jednak dwóch prób, żeby wyartykułować słowo i przez kilka sekund w przedziwny sposób przypominał bełkoczącego Niktosia.

- Chad w zeszły piątek zgłosił się do armii.

Przełknęłam sucho ślinę. - Co?

- Nie mogłem go powstrzymać - odparł Arvid. - Nie chciałem. Jest mężczyzną. Sam musi odpowiadać za swoje czyny.

- Ale... co... co na to Emma?

Ona nie mogła na to pozwolić. Nigdy by się nie zgodziła. Nic nie napawało jej takim strachem, jak...

Znów zapadło milczenie. Ucichły nawet pomruki Niktosia. Wokół mnie gęstniała cisza, a w niej huczała prawda, huczała tak głośno i wyraźnie, że z przerażeniem zrozumiałam wszystko, zanim Arvid znów się odezwał.

- Emma zmarła przed dwoma tygodniami - powiedział.

Wybrałam drogę prowadzącą donikąd. Tak przynajmniej czułam się tamtej nocy, leżąc w łóżku w moim dawnym pokoju na farmie Beckettów. Wciąż nie mogłam zasnąć, choć byłam kompletnie wyczerpana. Wsłuchiwałam się w znajome odgłosy tego domu, trzeszczenie desek w sieni, cichy brzęk szyb, gdy wiatr uderzał w okna, westchnienia drzew na dworze, kiedy podmuch

chłostał ich nagie gałęzie. O niczym tak gorąco nie marzyłam, za niczym tak bardzo nie tęskniłam w ciągu minionych miesięcy, jak za chwilą, kiedy znów znajdę się w tym domu, w tym pokoju. A jednak inaczej ją sobie wyobrażałam. Emma miała mnie wziąć w ramiona, a Chad... Z Chadem chciałam zbiec do naszej zatoki i bez tchu, z bijącym sercem, oddać się w opiekę jego słów, jego głosu, jego delikatnych dłoni... Zamiast tego...

Emma nie żyje! Nie mogłam tego pojąć. Chad na froncie, to przynajmniej było logiczne, nigdy nie ulegało wątpliwości, że będzie to pierwszy krok, jaki podejmie, jeśli zdoła pokonać opór swej matki, w jakikolwiek sposób. Widocznie Chad natychmiast wykorzystał sposobność. Nie zamieniwszy ze mną choćby jednego słowa! Nie powiadomił mnie ani o tym, że wyrusza na front, ani o śmierci swej matki. Jaką rolę odgrywałam w jego życiu? Najwyraźniej nie myślał o mnie ani w połowie tak intensywnie, jak ja o nim. Poczulałam się urażona, zasmucona. I bezradna.

Siedziałam jeszcze przez chwilę z Arvidem w kuchni, rozmawialiśmy, właściwie po raz pierwszy, od kiedy go poznałam. Stał się teraz bardzo samotnym człowiekiem. Już od dłuższego czasu nie potrafił się uporać z ogromem pracy na dużej farmie ze sporą liczbą owiec, a co dopiero teraz, kiedy brakowało mu pomocy syna. Farma Beckettów była coraz bardziej zaniedbana, widać to było choćby wewnątrz domu. Emma zawsze potrafiła jako tako zatuszować jego ubóstwo. Arvidowi brakowało na to czasu, sił i pewnie też niezbędnych po temu umiejętności.

Opowiadał, że przez całą zimę zmagająca się z ciężkim bronchitem, a w styczniu ponownie wywiązało się zapalenie płuc.

- Znów się opierała przed pójściem do szpitala. Martwiłem się... miała taką wysoką gorączkę, całymi dniami, ale nie chciałem też

zabierać jej stąd wbrew jej woli. W końcu wszystko potoczyło się bardzo szybko. Chyba straciła już całą odporność.

Wróciłam wspomnieniami do Emmy, którą po raz pierwszy spotkałam w ów mroczny listopadowy wieczór na łące niedaleko Staintondale. Zdrowa kobieta, delikatnej wprawdzie, lecz nie kruchej postury. Zanik jej sił nastąpił nagle, bez konkretnej, wyraźnej przyczyny. Wieczne przeziębienia. Przewlekły kaszel. Ciężkie zapalenie płuc przed rokiem, które z trudem przetrwała. I którego właściwie nigdy nie doleczyła.

Siedziałam w kuchni, drżąc z zimna, gdyż piec nie dawał wiele ciepła. Po raz pierwszy przyszło mi na myśl, że farma Beckettów, będąca dla mnie rajem na ziemi, dla Emmy mogła być miejscem mozołu i udręki. Wilgotny dom z przeciągami. Piece, w których każdego ranka trzeba było rozpalać ogień. Wodę w kuchni czerpało się za pomocą pompy, której obsługa wymagała sporej siły fizycznej. Na tej farmie czas zatrzymał się w miejscu, wszystko wyglądało tak, jak sto lat wcześniej. Doprowadzono wprawdzie prąd, dzięki czemu pojawiło się światło elektryczne, lecz, jak opowiadał mi Chad, przewody ułożono dopiero w roku 1936. Pranie, gotowanie, prasowanie, wszystkie te prace, które Emma musiała wykonywać każdego dnia, kosztowały ją mnóstwo czasu i sił. Harowała od rana do wieczora, nigdy się nie skarżąc i nie oczekując od nas, dzieci, jakiegokolwiek pomocy. Za ważniejsze uznała to, byśmy porządnie odrabiali szkolne zadania, a potem znaleźli jeszcze czas na zabawę. Tym sposobem, cicho i powoli, wyczerpała wszystkie swoje siły.

- Arvid - odezwałam się w pewnej chwili, wypiwszy już trzecią filiżankę herbaty - Arvid, czy mogę tu zostać? Nie chcę wracać do Londynu.

Kiwał się na obie strony, nie wiedząc, co odpowiedzieć. - To niemożliwe - odrzekł w końcu.

- Ależ tak! Jestem tam śmiertelnie nieszczęśliwa. Nie potrafię porozumieć się z moim... moim ojczymem. Pije, jest odrażający.

- Ile masz lat?

- Prawie czternaście - odparłam. Do końca lipca było jeszcze sporo czasu, lecz nie zawsze trzeba być aż tak dokładnym.

- Czyli trzynaście. Jesteś jeszcze uczennicą!

- Mogłabym prowadzić dom. Gotować, sprzątać, robić pranie... Wszystko to potrafię!

- Musisz chodzić do szkoły. Poza tym twoi rodzice nigdy by się na to nie zgodzili. Gdybym miał tu telefon, musiałbym ich powiadomić. Mogę popaść w tarapaty... mieszkając tu sam z taką młodą dziewczyną jak ty! Nie, Fiona, przykro mi. Jeśli cię tu zatrzymam, trafię jeszcze do więzienia!

- A jeśli moja matka się zgodzi?

- Nie zgodzi się - przepowiedział Arvid. - Moja farma była dla twojej matki dobrym miejscem, gdy na Londyn sypał się grad bomb, a my żyliśmy tu jak rodzina. Teraz wszystko się zmieniło. Przyjedzie, żeby cię stąd zabrać.

Kiedy leżałam w łóżku i usiłowałam analizować nowiny z ostatnich godzin, ogarnęło mnie przecucie, że Arvid niestety ma rację. Mama nie chciała mnie tu zostawić nawet wtedy, gdy Emma jeszcze żyła. Że nie pozwoli mi tu zamieszkać samej z Arvidem i Niktosiem, było niemal pewne.

Następnego ranka zanosilo się na śnieżycę, mimo to przez pół dnia włóczyłam się po terenach należących do farmy. Krok w krok szedł za mną Niktoś, wpatrzony we mnie rozpromienionym wzrokiem. Odwiedzałam znajome miejsca i wyplakiwałam ciche

ły, wkrótce bowiem miałam je znów pożegnać. Zeszłam nad zatokę, przysiadłam na głazie, długo spoglądałam w morze, tak rozpaczliwie szare. Rozmyślałam o Chadzie i naszym ostatnim wspólnym letnim wieczorze spędzonym w tym miejscu. Ostry wrzask mew desperacko rozdzierał mi uszy, zdając się echem moich ponurych myśli. Gdzie jest Chad? Czy grozi mu niebezpieczeństwo, właśnie teraz, kiedy rozmyślałam o nim w naszym zakątku? Czy przeżyje wojnę? Czy go jeszcze kiedyś zobaczę?

Nie wstrzymałam potoku łez. Niktoś, który przykucnął obok mnie, nie zakłócał ani mojego płaczu, ani myśli. Jak zwykle w zupełności mu wystarczało, że jest blisko mnie. W pewnej chwili przyszło mi na myśl, żeby na niego spojrzeć. Zobaczyłam, że dygoce z zimna na całym ciele, a jego wargi przybrały niemal liliowy kolor. Sama też pewnie nie wyglądałam inaczej. Nie zauważyłam, że powoli zamieniam się w sople lodu. Tymczasem zaczął sypać gęsty śnieg, ledwie było widać morze.

Podniosłam się z miejsca.

- Chodź, wracamy prędko do domu - oznajmiłam. - Jeszcze zamarzniemy tu na śmierć!

Posłuchał mnie natychmiast. Poszedłby za mną w morze, gdybym tego od niego zażądała.

W domu rozpaliłam ogień w kominkach, zaparzyłam herbaty, posprzątałam w kuchni, wyszukałam w spiżarni resztki skąpych zapasów, żeby przyrządzić z nich kolację. Arvid powinien zobaczyć, że potrafię więcej niż którakolwiek z trzynastoletnich uczennic oraz że obecność kobiety na farmie będzie z korzyścią dla niego. Kiedy zamiatałam podłogę i szorowałam blat roboczy, Niktoś siedział przy kuchennym stole, popijał herbatę, przegryzał dość suche już keksy, które udało mi się znaleźć, i przypatrywał mi się lśnącymi oczami.

Musiałam zastanowić się także nad jego losem. Miał już chyba około dziesięciu lat, lecz w rozwoju umysłowym trwał niezmiennie na poziomie co najwyżej pięciolatka, który nie potrafił jeszcze posługiwać się mową. I tak już pewnie pozostanie. Wraz ze śmiercią Emmy po raz drugi w swym krótkim życiu stracił matkę. Z powodów, których nigdy nie poznałam, byłam jego wielką miłością, zdolną nawet zrównoważyć mu pod względem emocjonalnym stratę Emmy. Niestety, wyglądało na to, że ja również nie będę mogła zostać. Co się z nim stanie? Arvid nigdy go nie akceptował, nie troszczył się o niego. Cóż miałby w obecnej sytuacji począć z małym, upośledzonym chłopcem?

Sierociniec, pomyślałam, teraz nie będzie już innego wyjścia, jak tylko oddać go do sierocińca.

Nie czułam się dobrze z tą myślą. Ale cóż mogłam na to poradzić?

Nim nastał wieczór, dom lśnił czystością, wilgotne dotąd powietrze było teraz ciepłe i suche, pachniało drewnem płonącym w kominkach oraz jedzeniem, które przyrządziłam. W oknach zapłonęły świece. Poza tym wykąpałam Niktosia i włożyłam mu świeże ubranie, sama również wystroiłam się możliwie najlepiej. Chciałam, żeby Arvid jeszcze raz się zastanowił, czy powinien mnie odesłać. Na dworze padały grube płatki śniegu. W pokoju dziennym na sofie wyłożyły się dwa mruczące koty. Gdy Arvid wróci po długim, ciężkim dniu pracy, zmęczony i przemarznięty, po prostu *musi* zauważyć zmianę.

Kiedy usłyszałam odgłosy jego kroków przed drzwiami, wstałam, wygładziłam spódnicę i wyszłam do sieni, malując na ustach pełen wyczekiwania uśmiech. Słyszałam hałas, z jakim otrzepywał buty ze śniegu.



Drzwi się otwarły, do środka weszło dwóch mężczyzn.

Byli to Arvid i Harold.

- Porozmawiajmy otwarcie - odezwał się Harold. Wyglądał na zmęczonego, był trzeźwy. Rzadko go widywałam w takim stanie. Wydał mi się odmieniony.

Siedzieliśmy w kuchni. Arvid rozsiadł się wygodnie w pokoju dziennym, Niktosiowi kazałam iść do łóżka, lecz czasem słyszałam szuranie na schodach, świadczące o tym, że włóczył się z kąta w kąt, pewnie znów szukając mojej bliskości. Do kolacji zasiedliśmy wszyscy razem, choć ja nie przełknęłam prawie ani kęsa. Nawet nie potrafiłam się cieszyć z tego, że Arvid pochwalił moje popołudniowe starania - acz na swój własny, oszczędny w słowa sposób. - Ładnie wygląda, dom. A jedzenie smaczne.

Spotkali się przy bramie. Arvid wracał właśnie z jednego z owczych pastwisk, Harold zaś pokonał pieszo drogę z przystanku autobusowego i poczuł głęboką ulgę, gdy natknął się wreszcie na ludzką siedzibę. Przypuszczalnie Arvid od razu się zorientował, kogo ma przed sobą.

- Wiem, że mnie nie znosisz - podjął Harold. Nerwowo splótł dłonie i oparł przed sobą na stole. - Choć nie mam pojęcia, dlaczego tak jest, bo przecież nic ci nie zrobiłem... Ale jest jak jest.

Nic nie odpowiedziałam. I cóż miałabym powiedzieć?

- Jeśli o mnie chodzi, pozwoliłbym ci tu zostać, gdyby Mr Beckett wyraził na to zgodę. Ale w żadnym razie nie uznałbym tego za najszcześniejsze rozwiązanie... No cóż, nieważne, co ja o tym myślę. Fiona, to niemożliwe. Ze względu na twoją mamę. Nie mogę cię tu zostawić. Ona by się z tym nie pogodziła.

- Godziła się z tym już prawie dwa lata - odparłam.

- Twój pobyt tutaj miał sens. W Londynie nie byłaś bezpieczna. Lecz teraz już tak nie jest.

- Wojna jeszcze się nie skończyła.

- Nie potrwa już długo - stwierdził Harold. - Szczęście opuszcza Niemców. Wkrótce nadejdzie ich koniec.

To akurat nic a nic mnie w tej chwili nie obchodziło.

Harold wygrzebał z kieszeni spodni chusteczkę i otarł pot z czoła. -Wziąłem wolne, żeby tu przyjechać - powiedział - a twojej mamie naopowiadałem wierutnych kłamstw, bo przecież łatwo zauważy, że przez dwa dni nie odwiedzam jej w szpitalu. Nie powinna się dowiedzieć, że uciekłaś. Nie wolno jej się denerwować.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Nie wiedziałem. Ale mogłem się domyślić.

- Nie musiałeś przyjeżdżać.

- A co mam powiedzieć twojej mamie, która leży w szpitalu, ma bóle i wciąż płacze, bo straciła nasze dziecko? Co mam jej powiedzieć, jeśli zapyta, dlaczego jej nie odwiedzasz? Co mam jej powiedzieć, kiedy wróci do domu i zapyta, gdzie się podziewasz?

Przygryzłam wargi. Nie zastanawiałam się nad tym, co to będzie oznaczać dla mamy.

- Fiona, robię to dla twojej mamy - rzekł Harold. Wydawało mi się, że w rozmytych rysach jego twarzy dostrzegam coś, czego dotąd u niego nie znałam: determinację.

- Nie chodzi tu o mnie czy o ciebie. Chodzi o twoją mamę. Musisz ze mną wrócić. Proszę. Będzie zrozpaczona, jeśli tego nie zrobisz.

- Przecież ma ciebie - odparłam.

Wykonał pogardliwy ruch ręką. - Tego nie możesz porównywać. Jesteś jej dzieckiem. Jedynek. I cóż, już ci mówiłem, wszystko na

to wskazuje, że pozostaniesz tym jedynym.

W jego głosie pobrzmiwał prawdziwy ból. Utrata syna była dla niego ogromnym ciosem, wstrząsnęła nim do głębi. Był już innym Haroldem niż ten, którego znałam: zranionym, zrozpaczonym, a zarazem na tyle silnym, żeby nie poddać się bezwolnie zmartwieniom. Spodziewałam się raczej, że skryje się w jakimś kącie i będzie bez umiaru poić się alkoholem. Zamiast tego wziął sobie do serca dobro mojej matki tak bardzo, że wsiadł w pociąg, przyjechał do Scarborough, odnalazł mnie, a teraz próbował nakłonić do powrotu. Nie łudziłam się, że wkrótce znów przemieni się w dawnego pijaka. Najwyraźniej jednak miał też inną naturę, i mogłam ją przez krótki moment zobaczyć. Po raz pierwszy poczułam dla niego pewien szacunek.

- A jak ty to sobie wyobrażasz? - spytał. Przy kolacji dowiedział się o zasadniczych zmianach, jakie zaszły na farmie Beckettów. - To znaczy, ty i ten Arvid, sami tutaj... to przecież niemożliwe!

- Jest tu jeszcze Brian!

- Mały chłopiec! Chryste, Fiona! Czy ty naprawdę sądzisz, że twoja mama zniosłaby to choćby przez jeden dzień?

Byłam zdruzgotana. Wszyscy byli przeciwko mnie: mama, Harold, Arvid. Nie miałam żadnych szans.

Do kuchni wszedł Arvid. - Dostanę jeszcze herbaty? - zapytał.

Ucieszyłam się, że mogę się odwrócić i uruchomić pompę, by napełnić wodą kociołek. Dzięki temu żaden z mężczyzn nie widział, jak do oczu napływają mi łzy.

- Ona musi wrócić jutro ze mną do Londynu - oświadczył Harold.

- Też tak uważam - rzekł Arvid.

Postawiłam kociołek na piecu. Ręka mi lekko drżała.

- Moja żona... mama Fiony... nie czuje się dobrze - mówił Harold, który z jakichś powodów zdawał się nabierać zaufania do małomównego Arvida. - Właśnie straciła dziecko. Naszego syna. Miał się urodzić latem.

- Przykro mi - odparł drętwo Arvid.

- Tak. Było ciężko, bardzo ciężko. - Harold znów przetarł czoło chusteczką. Dziwiłam się, w kuchni było ciepło, lecz na pewno nie gorąco.

Dopiero później zrozumiałam, że tamtego wieczora Harold miał objawy głodu alkoholowego. O tej porze pochłaniał zazwyczaj całe butelki mocnych trunków. Na tak nagłą zmianę jego organizm zareagował silną potliwością.

- Miałbym dla was małego chłopca - powiedział Arvid. Wskazał w kierunku drzwi, przy których kręcił się Niktoś, ubrany w dość niechlujną pasiastą piżamę. - Tam, to drugie dziecko. Nie wiem, co z nim począć!

- To nie jest wasz syn? - spytał Harold.

Arvid potrząsnął głową. - Też przyjechał z Londynu. Razem z Fioną. Został zupełnie sam na świecie.

- Cała jego rodzina zginęła - dodałam. - W ich dom trafiła bomba.

- Jacyś krewni?

- Żadnych.

- Biedny chłopiec! - powiedział Harold. Wymownie popukał palcem w czoło. - Coś z nim nie tak, prawda?

- Całkiem upośledzony - potwierdził Arvid.

Milczenie. Było jasne, że również Harold nie jest zainteresowany Niktosiem.

- Musi trafić do sierocińca - powiedział w końcu.

- Jasne, że musi. Już dawno powinien - przytaknął Arvid.

- Niech pan posłucha, zabrałbym go z sobą do Londynu, ale w tej chwili mam już zbyt wiele spraw na głowie - oświadczył Harold. Jego twarz znów lśniła od wielkich kropli potu. - Mój szef był trochę zły z powodu tych dwóch dni urlopu, żona będzie mi wiercić dziurę w brzuchu, a przecież nie powinna się dowiedzieć o wyjeździe Fiony. Jestem... nie mogę do tego...

- Rozumiem - odparł Arvid. W jego głosie brzmiała nuta rozczarowania. Chętnie pozbyłby się Niktosia w możliwie najprostszy sposób.

- Tutaj też pewnie macie sierocińce - rzekł Harold.

Arvid sprawiał wrażenie nieco bezradnego. Mimo młodego wieku instynktownie rozumiała jego dylemat. Przez cały czas opowiadał się za tym, żeby *zabrać stąd to drugie dziecko*, jak się zawsze wyrażał. Teraz, po śmierci Emmy, nikt właściwie nie mógł mu już w tym przeszkodzić. A jednak powstrzymywała go właśnie śmierć Emmy. Emma pokochała Briana jak własne dziecko, czuwała nad nim i broniła go niczym anioł stróż z ognistym mieczem w dłoni. Mimo cierpkiego, nieprzystępnego charakteru Arvida myśl o tym, żeby wkrótce po śmierci żony uczynić coś, na co ona nigdy by się nie zgodziła, wywołała w nim wewnętrzny konflikt.

Zdobyłby się na to, żeby go nam powierzyć, i wmówiłby sobie, że postąpimy właściwie. Wziąć chłopca za rękę i samemu pomaszerować do najbliższego sierocińca - to już zupełnie co innego. Zaistniała sytuacja była oczywiście najmniej korzystna dla małego Niktosia: Arvid nie chciał go zatrzymać, nie mógł jednak zdobyć się na to, by go oddać. Można było przewidzieć, że będzie trwał w niezadowoleniu, złości, bezczynności i frustracji. Całkiem

bezbronny Niktoś będzie wystawiony na oziębłość i rozgoryczenie dręczące samotnego Arvida.

Kiedy nazajutrz wczesnym rankiem z ciężkim jak ołów sercem, pogrążona w smutku wyruszałam z Haroldem w kierunku szosy, by złapać tam autobus do Scarborough, mały uchwycił się mnie kurczowo. Po jego bladej twarzy spływały łzy.

- Fiona - wołał - Fiona! Niko!

Pogładziłam go po włosach. Na pożegnanie zdobyłam się wobec niego na łagodność. - Fiona znów przyjedzie - przyrzekłam. - Fiona przyjedzie i zabierze Niko. Obiecuję.

Z nadzieją i ufnością skierował na mnie swe jasnoblękitne oczy, pełne miłości i wiary. Na krótką chwilę obudziły się we mnie wyrzuty sumienia: wrócić na pewno wrócę. Zabrać go - o nie! Sądziłam, że za kilka tygodni lub miesięcy Arvid nie będzie już czuł zobowiązań wobec zmarłej żony i odda chłopca do sierocińca.

Byłam przekonana, że nigdy więcej nie zobaczę Niktosia.

Przekonanie to miało się istotnie potwierdzić. Już nigdy więcej go nie ujrzałam. Oto ostatni obraz, jaki zachowałam o nim w pamięci: podwórze farmy Beckettów któregoś śnieżnego, bardzo zimnego lutowego poranka roku 1943. Nisko zwieszane, szare chmury, gnane ostrym wiatrem po niebie. Nieutulony smutek, samotność, wiosna odległa o całą wieczność. Mały chłopiec stoi w bramie zbyt lichy ubrany, dygocze z zimna. Spogląda za nami. Płacze. Próbuje się uśmiechać przez łzy. Macha na pożegnanie.

Udało mi się tchnąć w niego ufność, to pozwoliło mu znieść tę chwilę. Bo przecież kiedyś do niego wrócę.

On w to naprawdę wierzył.

## Środa, 15 października

### 1.

Gnała drogą biegnącą w pobliżu portu, wściekła, zmieszana, z pochyloną głową, otulając ramionami tułów, broniąc się przed napierającą wilgocią, przed którą nie chroniła jej dostatecznie cienka przeciwdeszczowa kurtka. Był wczesny ranek, mgła kłębiła się ponad zatoką i lądem. Od poprzedniego dnia pogoda nie poprawiła się ani na jotę. Wydawało się, że mewy pojawiają się znikąd i donikąd pierzchają. Czasem ponad niewidoczną powierzchnią wody rozbrzmiewały rogi mgłowe statków. Choć był to zwyczajny dzień pracy, ulic nie wypełniał jeszcze gwarny tłum ludzi. Albo może większości z nich po prostu nie dało się dostrzec.

Musiała wyjść na dwór, przejść się, oczyścić umysł. Od wczesnego rana przewracała się bezsennie w swym łóżku, a właściwie w łóżku Fiony. Pokój gościnny oddała do dyspozycji Stephenowi.

Stephen.

Usiedli razem do kolacji, popijali wino, w milczącym porozumieniu nie wspominając więcej o anonimowym telefonie. Następnie Stephen uprzątnął kuchnię, a Leslie usiadła w pokoju dziennym i czytała e-maile babci pisane do Chada. Zgodna, przytulna atmosfera. Miło, że nie musiała siedzieć w mieszkaniu sama. Już prawie zapomniała, jakie to uczucie.

Dzięki lekturze postać Fiony stała jej się bliższa, bez wątpienia. Poznała szczegóły, o których nie słyszała, zaczynała rozumieć

charakter oraz cechy szczególne zmarłej. Przede wszystkim jednak ogarniało ją z wolna poczucie zagrożenia, cień podstępного zła. Fiona pisała o winie. Leslie wciąż jeszcze nie do końca rozumiała, ku czemu to wszystko zmierza, lecz zaczynała się coraz bardziej niepokoić, martwić, rozwijać w sobie przeczucie jakiejś tragedii, nie wiedząc, czego miałyby ona dotyczyć. Pewnie czytałaby przez całą noc, gdyby do pokoju nie wszedł nagle Stephen, zdenerwowany, z lekkim rumieńcem na policzkach.

- Muszę z tobą porozmawiać, Leslie. Masz teraz czas?

Uniosła wzrok znad tekstu. - Co się dzieje?

- Chciałem ci o czymś powiedzieć... już dawno... ale nigdy jakoś nie mieliśmy okazji, żeby dłużej porozmawiać...

Zjeżyły się jej włoski na ramionach. *Nie chcę tego wiedzieć!*

Mimo to rzekła: - Tak? Co takiego?

Usiadł. Zwlekał kilka chwil, widocznie zastanawiał się, od czego najlepiej zacząć.

- Wtedy, po naszym rozstaniu - podjął w końcu - kiedy postanowiłaś, że mam się wyprowadzić... Rozpocząłem terapię. Trwała mniej więcej rok.

- Terapię?

- Terapeutka specjalizuje się głównie w relacjach międzypartnerskich. Ja... chciałem wiedzieć, dlaczego tak się stało.

Momentalnie zupełnie zaschło jej w ustach. Dochodziło do tego za każdym razem, gdy przypominano jej o tamtym wieczorze. Dlaczego nie potrafiła tego przeboleć, nie mogła wreszcie traktować tego spokojnie?

- I co? - spytała.

- Wiesz, jakie pytanie najpierw mi zadała? „Czego panu brakowało w pańskim małżeństwie, doktorze Cramer?”. A ja



natychmiast odpowiedziałem, że... niczego.

Przebiegła palcem po leżących przed nią kartkach. Ów gest miał nie tyle wygładzić papier, ile raczej uśmierzyć jej zdenerwowanie. Nagle cała ta sytuacja wydała jej się napaścią. Siedziała, czytała, była pogrążona w innym świecie, w innym czasie. Zbliżyła się do Fiony, a tym samym do korzeni swojej własnej historii oraz własnej matki. Na godzinę lub dwie rzeczywistość wokół niej przestała istnieć. A teraz zjawia się Stephen i bez jakiegokolwiek łagodnego wstępu stawiają wobec jednego z najbardziej traumatycznych przeżyć w jej dotychczasowym życiu.

*Powinnam go zwyczajnie wyrzucić. Powinnam się bronić przed rozmową z nim. Co mnie obchodzą jakieś bzdury, które wyssał sobie z palca w trakcie tych setek godzin terapii?*

Dziwnym trafem od razu wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa. Obrzuciła go chłodnym z pozoru spojrzeniem, drżąc w głębi ducha.

- A potem ty i twoja terapeutka podczas długich rozmów ustaliliście, że jednak czegoś brakowało?

- Zawsze miałaś rację. Gdy próbowałem ci wytłumaczyć, że naprawdę była to jedynie... pomyłka, nieuwaga, połączenie lekkomyślności i zbyt dużej ilości alkoholu, ty wciąż drażyłaś. Musiało się w tym kryć coś więcej, musiało we mnie tkwić niezadowolenie, coś takiego nie spada jak grom z jasnego nieba. I tak dalej.

- Stephen, ja...

- Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że miałaś rację - przerwał jej gwałtownie. - Tak właśnie było. Myślę, że istnieje powód, dla którego tak się to wówczas potoczyło.

*Nie chcę tego wiedzieć. Już nie.*

Dlaczego jedynie tak pomyślała, zamiast powiedzieć to na głos? Czemu nie otworzyła ust? Dlaczego, choć czuła niechęć, nie wyraziła jej?

Bo szok, jaki wówczas przeżyłam, wciąż jeszcze nie minął, pomyślała, gnając przez opary mgły kłębiące się niby para w pralni. Bo nadal jestem w szoku.

- Sądzę, że często wyczuwałem twoją oziębłość i nie chciałem się z tym pogodzić. Czułem się słabszy, podporządkowany, ponieważ to ja mocniej kochałem. Zawsze się obawiałem, że odejdiesz ode mnie, jeśli zjawi się jakiś fajniejszy, ciekawszy, bardziej ekscytujący mężczyzna. Ja...

Wreszcie zdobyła się na to, żeby coś powiedzieć. - I wolałeś mnie uprzedzić? Zrobiłeś coś, co musiało doprowadzić do rozstania, i na tym sprawa załatwiona, prawda?

Aż drgnął, słysząc jej szorstki głos. - Po prostu szukałem odrobiny akceptacji. Ta kobieta... to mógł być ktokolwiek. Ona mnie uwielbiała. Dawała mi odczuć, że jestem facetem budzącym pożądanie. To było... miłe uczucie.

- Pieprzyć się z nią?

- Wzbudzać w niej pożądanie.

Wstała, stwierdzając ze zdumieniem, że niepewnie trzyma się na nogach.

- Co to ma znaczyć, Stephen? Co chcesz mi powiedzieć? Że nie dość cię uwielbiałam? Nie widziałam w tobie półboga? Nie zapewniałam każdego dnia na nowo, że cię bezgranicznie podziwiam, a twoja męska aparycja, twój świetny styl stale robi na mnie wrażenie?

- Oczywiście, że nie. Chciałem tylko...

- Ale to właśnie przed chwilą mi zakomunikowałeś. Poszedłeś do baru, gdzie jakaś młódka zaczęła ci szeptać miłe słówka. I to było tak przyjemne, po tylu latach cierpień zadawanych przez oziębłą żonę, trwania w poczuciu uległości, że natychmiast zacząłeś z nią flirtować, a następnie zabrałeś do siebie do domu i tam ją zbałamuciłeś, bo twoja małżonka szczęśliwym trafem akurat wyjechała. Potem dopadło cię poczucie winy, ale udało ci się go pozbyć, gdy twoja przemądrzała terapeutka w przekonujący sposób wyjaśniła ci, że koniec końców wszystkiemu winna jest twoja żona. Oziębła. Nieprzystępna. Istna karierowiczka! Tak, nie powinna się dziwić, że się ją zdradza!

- Nic nie rozumiesz i niepotrzebnie się unosisz - odrzekł Stephen. Było po nim widać, że gorzko pożałował, iż w ogóle podjął ten temat.

Dlaczego jego słowa tak bardzo złączyły jej myśli? Nie była w stanie dalej czytać. Zaparzyła sobie herbaty, by odzyskać spokój, mimo to nie zasnęła głębokim snem, a od wczesnego ranka nie zmrużyła już oka. Teraz zaś gnała przez skłębioną mgłę, bo nie mogła już dłużej wysiedzieć w mieszkaniu.

Minęła budynek z czerwonej cegły z pomalowanym na niebiesko dachem, gdzie trzymano łódź ratunkową, której używano, gdy ktoś na morzu potrzebował pomocy. Przylegały do niego niewielkie sklepiki, oferujące sandwicze i napoje, jednak o tak wczesnej porze były jeszcze pozamykane. Widziała kutry rybackie, wielkie szyldy, na których widniały oferty wycieczek wędkarskich, białą latarnię morską przy wejściu do portu. Lunapark, wesołe miasteczko z diabelskim młynem, huśtawkami i budami, stał cichy i opustoszały, zanurzony we mgle, jakby nigdy nie migotały tu światła, nie huczała muzyka, nie krzyczeli i nie śmiali się ludzie.

Wszystko spowijała cisza, cisza i pustka. Dotarła do portu pływowego, weszła na wysokie drewniane kładki, przecinające go niczym plecionka. U jej stóp kołysały się łodzie, które już wkrótce ugrzęzną w szlamie. Zaczął się odpływ. Poziom wody się obniżał.

Przystanąła. Gdyby mgła nie była tak gęsta, dostrzegłaby z tego miejsca dom, w którym mieszkała jej babcia. Na dobrą sprawę widać go było z każdego niemal punktu w południowej zatoce. Duży, lśniąco biały budynek, wznoszący się wysoko na South Cliff.

Stephen pozostał w mieszkaniu. Pewnie jeszcze spał.

Miała przed oczami jego postać, ujrzała ich razem, w czasach, które wspólnie spędzili. To prawda, była ambitniejsza, bardziej konsekwentnie dążyła do celu. Na studiach dostawała lepsze oceny. Pierwsza otrzymała dyplom. Pierwsza zrobiła specjalizację. Często zapisywała się na kursy dokształcające, podczas gdy Stephen zadowalał się tym, co już osiągnął, i żył rytmem codzienności.

Znamienne, że to właśnie jej dokształcanie się umożliwiło Stephenowi miłosną przygodę.

Czy jest to rzeczywiście jakiś problem, dziś, w dwudziestym pierwszym wieku? Czy mężczyźni, wykształceni i inteligentni, wciąż nie potrafią znieść myśli o tym, że kobieta u ich boku odnosi większe niż oni sukcesy?

Jeszcze mocniej dręczyło ją pytanie, jak istotny jest tu zarzut, że była *oziębła*? Czy to przypadkiem nie urojenie, czy Stephen nie wmówił sobie tego, żeby nie dostrzegać faktu, że nie potrafił się pogodzić z jej sukcesami zawodowymi, z jej ogromnymi ambicjami? Czy może rzeczywiście taka właśnie była: oziębła?

Zeszłej nocy wyraźniej niż kiedykolwiek uzmysłowiła sobie, jak bardzo chłodne było jej dzieciństwo i młodość, spędzone u boku Fiony. Babcia posiadała mnóstwo pozytywnych i godnych podziwu

cech, lecz nie sposób zaprzeczyć, że nie było wśród nich serdeczności i empatii. W jej obecności stale odczuwało się ich potrzebę, głód, który pozostawał niezaspokojony. Mała Leslie cierpiała z tego powodu znacznie boleśniej, niż to sobie uświadamiała. Lecz jak bardzo została tym naznaczona? Jak bardzo sama była dziś niezdolna do okazywania serdeczności, uczuć miłości i czułości?

- Nie wiem - powiedziała na głos - po prostu tego nie wiem!

- Czego pani nie wie? - spytał jakiś głos za jej plecami. Odwróciła się. Z mgły, niczym z pustki, wyłonił się Dave Tanner ubrany w czarną kurtkę przeciwdeszczową z naciągniętą na głowę kapuzą. Wyglądał na zmarzniętego.

- Przepraszam - odezwał się - nie chciałem pani przestraszyć. Zobaczyłem panią z nabrzeża i pomyślałem... - Nie dokończył zdania.

- Ach, to pan - odparła Leslie, próbując się otrząsnąć z dręczących ją myśli. - Nigdy bym nie pomyślała, że ktoś poza mną włóczy się tak wcześnie przy tej okropnej pogodzie.

Uśmiechnął się. - Czasem trzeba wyjść. Nieważne, jaka akurat jest pogoda.

Może on także przed czymś uciekał, a może tylko miał dość swego ponurego pokoju. Jak wygląda dzień w tym mieszkaniu, gdy za oknem ściele się mgła, a człowiek nie ma nic do roboty, jest sam, pozbawiony jakichkolwiek perspektyw? O czymś sobie przypominała. - Czy Gwen była u pana? Colin i Jennifer szukali jej wczoraj.

Przytaknął. - Była u mnie. Przez cały wczorajszy dzień. I całą noc. Po raz pierwszy.

- Nigdy wcześniej nie nocowała u pana? - zapytała ze zdziwieniem Leslie. Przypomniała sobie czarne rajstopy w pokoju Dave'a. Może spotykali się popołudniami, a wieczorami Gwen grzecznie wracała na farmę. Już czas, żeby zmienić swoje życie, czas najwyższy.

- Nie - odrzekł - jeszcze nigdy.

Wyglądał na nieszczęśliwego. Zdeprymowanego. Stroskanego.

Nagle zaświtała jej w głowie myśl: on ucieka przed *nią*! To dlatego włóczy się tu tak wcześnie z rana.

Jakby czytając w jej myślach, zapytał: - A pani? Co panią gna o tej porze do portu?

- Mój eks. Znowu się pokłóciliśmy.

Widząc jego poirytowane spojrzenie, dodała: - Zjawił się tu niespodziewanie. Chciał mnie wesprzeć po śmierci babci. Kierowały nim szlachetne pobudki. Ale my oboje pod jednym dachem... to po prostu niemożliwe.

Dave nie odpowiedział, lecz Leslie odniosła wrażenie, że ją rozumie. W końcu zapytał:

- Jadła już pani śniadanie?

Kiedy potrząsnęła głową, nie namyślając się długo, wziął ją pod rękę i pociągnął za sobą.

- Chodźmy. Nie wiem, jak pani się czuje, ale ja jestem przemoknięty i całkiem zziębnięty. Muszę się napić mocnej kawy.

Ruszyła za nim, czując wdzięczność i ulgę.

## 2.

- Bingo! - rzekła Valerie. - Wiedziałam.

Odłożyła słuchawkę. Sierżant Reek przeszkodził jej w śniadaniu, czego zazwyczaj nie lubiła, był to bowiem jedyny posiłek za dnia, który mogła zjeść w jakim takim spokoju. Chleb tostowy,

jajko sadzone, kawa oraz nadawane w radio wiadomości. Przez resztę dnia musiał jej zwykle wystarczyć sandwich, który smakował raczej plastikowym opakowaniem aniżeli swą zawartością, wieczorem zaś wracała do domu tak późno i na tyle zmęczona, że nie miała ochoty ani siły, żeby coś sobie ugotować.

Jednakże Reek przekazał jej dobre wieści, przez co nastrój znacznie się jej poprawił.

Poinformował ją, że potwierdziły się zeznania Leslie Cramer. - W chwili zabójstwa rzeczywiście przebywała w Jolly Sailors. Tamtejszy gospodarz nadal nie może uwierzyć, że kobieta potrafi wypić taką ilość whisky, a potem jeszcze samodzielnie ustać na nogach! - Następnie Reek przeszedł do sedna.

- Amy Mills co prawda nie zdawała końcowego egzaminu w szkole, w której uczyła Jennifer Brankley - relacjonował - jednakże od dwunastego do czternastego roku życia uczęszczała do innej szkoły - proszę zgadnąć, do której!

Valerie spiesznie przełknęła kęs tostu. - Do szkoły Jennifer Brankley?

- Zgadza się. Kolega sprawdził to na miejscu i właśnie przesłał mi e-maila.

Valerie z uznaniem zauważyła, że Reek o tak wczesnej porze zwykł już siedzieć przy komputerze.

- A jednak - ciągnął Reek - Mrs Brankley nigdy nie uczyła klasy Amy Mills. Pod tym względem nie można stwierdzić, że kłamała, mówiąc, iż nie zna tego nazwiska. To bardzo duża szkoła. Mogła nie poznać wszystkich uczniów.

- Mimo wszystko istnieje jednak możliwość, że miały z sobą kontakt. Na przykład na zastępstwach. Czy Brankley była już

wówczas nauczycielką zaufania? Amy Mills mogła się do niej zwrócić z jakimś problemem.

- Tego nie wiem - musiał przyznać Reek.

- Sprawdźcie to. Tak czy owak, dobra robota, Reek. Dzięki.

Po tej rozmowie była zbyt podekscytowana, żeby dokończyć śniadanie. Wkładając naczynia do zmywarki, próbowała odzyskać spokój. Zdawała sobie sprawę, że zwykle działała nerwowo i chaotycznie, kiedy sprawy posuwały się nie dość sprawnie. Przypadek Amy Mills zbyt długo już tkwił w martwym punkcie. Czuła presję, gdyż wiedziała, że wyższe instancje krytycznie oceniają jej pracę i po morderstwie Fiony Barnes trzeba się wreszcie wykazać postępami w śledztwie. Choć nikt jej tego nie powiedział wprost, czuła, że znalazła się w decydującym momencie kariery zawodowej, być może rozstrzygającym o jej przyszłości. Cieszyła się opinią uzdolnionej, inteligentnej, acz nazbyt nerwowej funkcjonariuszki. To właśnie miało wpływ na jej sytuację, którą sama odbierała jako pewien rodzaj stagnacji. Jej awans został zablokowany, ponieważ nikt nie miał pewności, czy wykaże się należyłą odpornością psychiczną w warunkach, gdy zostanie poddana jeszcze większej presji.

Musiała szybko rozwikłać przypadki Mills i Barnes, być może stanowiące jedną i tę samą sprawę. Zarazem jednak winna zachować spokój i nie podejmować żadnych przedwczesnych kroków. Nie mogła wychodzić z założenia, że oba morderstwa należy przypisać temu samemu sprawcy, choć niektóre okoliczności za tym przemawiały. Nie mogła również tracić z oczu wszelkich innych możliwości i skupiać się wyłącznie na Jennifer Brankley tylko dlatego, że tamta straciła pracę i sprawiała wrażenie osoby przybitej i rozgoryczonej.



To nie wszystko, pomyślała, ona знаła obydwie ofiary. W każdym razie Fionę Barnes. A w przypadku Amy Mills jest to bardzo prawdopodobne. Jeśliby miało się to potwierdzić, trzeba będzie wówczas zadać pytanie, dlaczego zaprzeczyła, by kiedykolwiek choćby słyszała jej nazwisko. Zanim w rejonie Scarborough znalazło się ono na ustach wszystkich.

Postanowiła pojechać w południe na farmę Beckettów. Zamierzała skonfrontować Jennifer Brankley z nowymi ustaleniami i bacznie obserwować jej reakcję.

Rozmowa z Paulą Foster z dnia poprzedniego niewiele jej dała, a ściślej mówiąc, doprowadziła do skreślenia dziewczyny z listy potencjalnych ofiar. Valerie była niemal w stu procentach pewna słuszności tej decyzji. Nic nie wskazywało na to, żeby Foster miała się znaleźć na celowniku mordercy, chyba żeby założyć, że ktoś zagiął parol na młode kobiety w ogólności; wtedy Foster byłaby potencjalną ofiarą na równi z tysiącami innych. Paula Foster nie знаła ani Dave'a Tannera, ani Jennifer Brankley. Pracowała na farmie od niedawna, od rana do wieczora była tak zajęta, że nie miała czasu nawiązać znajomości w okolicy. Z końcem roku miała wrócić do Devon. Wyglądało na to, że znalezienie zwłok starej kobiety na skraju pastwiska dla owiec będzie jedynym istotnym przeżyciem, jakie pozostanie w jej wspomnieniach z okresu pobytu w Yorkshire.

Valerie umyła zęby, nałożyła nieco szminki, zabrała torebkę i wyszła z mieszkania. Na dworze nic tylko mgła. Mimo to była w pogodnym nastroju. Miała poczucie, że z tego ogromnego, zupełnie splątanego kłębka wreszcie zdołała pochwycić początek nitki. Kłębek nie wyglądał przez to na mniej zagmatwany, zaświtała jednak nadzieja, że kiedyś uda się dotrzeć do samego środka.

### 3.

- Czy Gwen już jest? - spytała Jennifer, wchodząc do sieni. Tuż za nią pojawiły się oba wielkie psiska, które na zewnątrz pobieżnie wytarła ręcznikiem. Colin właśnie wychodził z kuchni. - Nie. Chryste, ależ jesteście mokrzy!

- Mgła - odparła Jennifer, zdejmując kurtkę. - Nie widać czubka własnego nosa. Jakby się szło przez ścianę wody.

Spojrzał na nią z czułością. Zmierzwiłone, wilgotne włosy, zarumienione policzki. Stary sweter, na którym widniała psia sierść, pochlapane błotem dzinsy. Zawsze miał wrażenie, że jest najprawdziwsza, gdy wracała z przechadzki w towarzystwie psów. Była wtedy zwyczajną Jennifer, spokojną, zrelaksowaną, rozluźnioną. Pogodną w ów niewymuszony, oczywisty sposób. Była zupełnie inna niż dawniej, kiedy wracała ze szkoły. Zawsze jej o tym przypominał, gdy wpadała w depresję i traktowała swe życie jak jedną wielką porażkę.

- Byłaś wtedy nie tylko szczęśliwa. Byłaś też spięta, podenerwowana. Często przeciążona wymaganiami. Zbyt zaangażowana, zbyt blisko wszystkiego i wszystkich. Byłaś wycieńczona. Byłaś...

W tym miejscu zwykle mu przerywała. - Ech, a teraz to niby jestem w pełni szczęśliwym człowiekiem?

- Prawdopodobnie nikt nigdy nie będzie w pełni szczęśliwym człowiekiem. Ale ty ówczesne życie gloryfikujesz. I wzbranasz się dostrzegać to, co dobre w twoim obecnym życiu.

- Nie widać zbyt wiele dobrego, kiedy jest się nieudacznikiem.

- Nie jesteś nieudacznikiem...

Były to klasyczne rozmowy, kręcące się w kółko bez końca, w trakcie których Jennifer coraz bardziej pogrążała się w depresji, aż

sięgała samego dna melancholii i rozpaczliwego poczucia niedoskonałości. Z trudem, jeśli w ogóle, udawało się ją stamtąd wydobyć. Dlatego teraz nie wspomniał o tym ani słowem, nie w tej chwili. Jak dobrze wygląda, jaką emanuje wewnętrzną harmonią. Byłaby temu zaprzeczyła. Jakby nie potrafiła zaakceptować tego, że - choćby tylko czasem - wszystko się dobrze układa. Często miał wrażenie, że ona traktuje swoje depresje jako karę za porażkę, że kurczowo się ich uchwyciła, dosłownie się w nich zagrzebała, gdyż uznała je za absolutnie słuszne i zasłużone. Nie mogła dopuścić do tego, by poczuć się dobrze, nie po tym, jak zawiodła na całej linii.

- Śniadanie gotowe - powiedział więc tylko.

- Przebiorę się migiem i wysuszę włosy. Zaraz będę gotowa.

Colin wszedł do pokoju dziennego. Przy stole siedział Chad, odsunął jednak swój talerz na bok i pogrążony w myślach mieszał kawę w filizance. Wydawało się, że w ciągu tych niewielu dni, które upłynęły od śmierci Fiony, wyraźnie się postarzał. Colin pomyślał o zapiskach Fiony. Chad i Fiona właściwie nigdy nie byli parą, lecz od młodych lat łączyła ich silna więź, która przetrwała całe dziesięciolecia i towarzyszyła obojgu aż do starości. Oboje poślubili swoich partnerów, założyli własne rodziny, nigdy jednak nie zerwali zażyłych więzów. Chad stracił właśnie najważniejszą bodaj osobę swego życia, i do tego we wstrząsający, nieprzewidziany sposób. Zgodnie ze swym zwyczajem z nikim o tym nie rozmawiał, ale było po nim widać cierpienie.

- Gwen wciąż jeszcze nie wróciła - powiedział Colin.

Chad uniósł wzrok. - Pewnie jest u swego narzeczonego.

- Często znikwała na noc? - zapytał Colin. Jennifer twierdziła, że Gwen jeszcze nigdy nie nocowała u Dave'a, co mogło być prawdą, bo Gwen lubiła jej się zwierzać ze swych sekretów. Chad jednak tego

nie wiedział. - Nie mam pojęcia. Nie sędzę. Ale jest już dorosła. Poza tym oboje mają chyba sporo do omówienia - po tej sobotniej historii.

- Hm - mruknął Colin. Prócz niego i Jennifer najwyraźniej nikogo to nie martwiło. Na pewno nie ojca Gwen, także Leslie Cramer zareagowała mieszaniną beztroski i rozdrażnienia. Ze złością pomyślał o wczorajszej rozmowie telefonicznej. W zasadzie od samego początku uważał Leslie za osobę niezbyt sympatyczną, a teraz tylko się utwierdził w tym przekonaniu.

- Wiem, to nie w porządku, że Gwen tu nie ma i że nie przygotowała śniadania - powiedział Chad. - Skoro podejmuje wczasowiczów, musi się o nich troszczyć. Dostaniecie oczywiście rabat, kiedy będziecie wyjeżdżać, Colin.

- Ależ proszę! Nie dlatego zapytałem o jej nieobecność. Traktuję siebie i Jennifer raczej jako przyjaciół niż wczasowiczów, a samodzielne przygotowanie śniadania nie stanowi żadnego problemu. Ja tylko zaczynam się niepokoić. To nie jest w stylu Gwen, znikać na całą noc i nikogo o tym nie powiadomić.

- Tacy już są młodzi ludzie - odparł Chad. Colin znowu zaczął się zastanawiać, czy Chad traktuje córkę jak osobę, czy może jak jakiś sprzęt w swoim domu, niewiele się różniący od, powiedzmy, sofy w pokoju dziennym czy kuchennego stołu, coś, czego człowiek potrzebuje, do czego się przyzwyczajają, o czym jednak nigdy nie rozmyśla ani się temu dokładnie nie przygląda. Kiedy stwierdził: „Tacy już są młodzi ludzie”, wydawało się, że mówi o jakiejś nastolatce, a nie o kobiecie przed czterdziestką. A już na pewno nie o własnej córce. Jeśli bowiem Gwen czegoś w życiu nie dostała, to właśnie udziału w owym przedstawieniu, które współtworzą *młodzi ludzie*. To właśnie stanowiło o jej odrębności, lecz zarazem było

źródłem jej tragizmu. Jej ojciec zdawał się zupełnie tego nie rozumieć.

Colin usiadł i sięgnął po dzbanek z kawą. Chciał zagadnąć Chada o zapiski, które otrzymał od Fiony, a które czytali już wszyscy w tym domu, nie zdobył się jednak na odwagę. Chad nie wiedział, że córka szperała w jego e-mailach, nie mówiąc już o pokazywaniu tego, co w nich znalazła, innym osobom. Z drugiej jednak strony krył się w nich potencjał, który w obliczu wydarzeń... O tym jednak będzie musiała zdecydować Leslie. Kiedy przeczyta całość, będzie zmuszona podjąć dalsze kroki. On i Jennifer trzymali się z boku, nie mogli się w to mieszać.

Do pokoju weszła Jennifer. Włożyła nowe dżinsy i czysty sweter, włosy doprowadziła do względnego ładu. Colin znów pomyślał, że mogłaby być bardzo pociągającą kobietą, gdyby tylko jej rysy ożywiło nieco więcej radości. Poczucie nieszczęścia głęboko wryło się na twarzy Jennifer. Jedynie oba psy potrafiły złagodzić jej wyraz. Nie udawało się to żadnemu człowiekowi, nawet jej mężowi.

- Jadę do Scarborough - oświadczyła. - Chcę się trochę powłóczyć, zrobić zakupy, może pomyszkuję też po księgarni. Mam ochotę posiedzieć potem na sofie i spędzić parę miłych godzin na lekturze.

Colin uśmiechnął się. - I nie wstąpisz przypadkiem do Dave'a Tannera, żeby sprawdzić, czy nie ma tam Gwen?

Jennifer nie dała się wprawić w zakłopotanie. - Być może. Ktoś przecież musi się o nią zatroszczyć.

Ostrze riposty było oczywiście skierowane w Chada, który jednak wcale się tym nie przejął. W milczeniu popijał kawę. W powietrzu wyczuwało się napięcie, nikt wszakże nie miał na szczęście ochoty doprowadzić do scysji.

- Nie wiem, czy wrócę na obiad - dodała po chwili Jennifer - Byłoby miło, Colin, gdybyś potem wyprowadził na chwilę psy.

Obiecał jej, że to zrobi. Ucieszył się. To był dobry znak, że Jennifer wykazywała jakąś aktywność, nawet jeśli w istocie skłaniała ją do tego głównie troska o Gwen. Być może zazna prawdziwej przyjemności, myszkując po sklepach, włócząc się po mieście, kosztując pasty w jakiejś włoskiej restauracji. Dobrze i to na początek. Po zwolnieniu ze szkoły na dziesięć miesięcy zaszła się w domu, nie ruszała się stamtąd ani na krok. Jeszcze dziś Colin wieszował sobie pomysł, żeby ją przekonać do zakupu psów. Konieczność regularnego wyprowadzania ich na spacer okazała się wówczas przełomem.

- Weźmiesz samochód? - zapytał, choć domyślał się odpowiedzi.

Jennifer zastanawiała się przez moment, potem jednak potrząsnęła głową. - Pojadę autobusem. Wiesz przecież...

- Wiem - odparł z rezygnacją Colin. Dawniej Jennifer nie bała się prowadzić samochodu. Lecz po *tej historii* nie odważyła się już więcej usiąść za kierownicą. Colin nie wiedział, na czym polegał tu związek. Wyglądało na to, że Jennifer przestała sobie ufać. W miarę upływu czasu znikła nadzieja, że kiedykolwiek znów się na to odważy.

Wyjrzał przez okno. Wydawało się, że mgła gęstnieje coraz bardziej. Dziwny dzień. Głuchy. Nawet krzyku mew nie było słychać.

Poczuł niepokój. Nie wiedział czemu.

To pewnie przez tę mgłę.

#### 4.

- Moja gospodyni wypowiedziała mi mieszkanie od pierwszego listopada - powiedział Dave.

Byli jedynymi gośćmi w King Richard III, niewielkim sklepiku z kawą w pobliżu portu, w którym można też było zjeść śniadanie.

Młody mężczyzna, podawszy im z markotną miną kawę oraz *scones*\*, usiadł znudzony za sklepową ladą.

\* Okrągłe ciastka, które zazwyczaj łamie się na kawałki i smaruje masłem, podawane w Wielkiej Brytanii do herbaty [przyp. tłum.].

- Niezbyt tu przytulnie - stwierdził Dave, kiedy znaleźli się w środku. Okna lokalu wychodziły na wymarłą o tej porze portową promenadę, z mgły wyłaniały się jedynie pojedyncze maszty żaglówek. - Ale mają tu *scones* z marmoladą, i to całkiem niezłe.

- Również kawa smakuje nadspodziewanie dobrze - przyznała Leslie. Była mocna i gorąca. Doskonała przy tej zimnej i wilgotnej aurze.

- Wolno jej? - zapytała. - Tak od razu wyrzucić pana za drzwi?

- Sądzę, że tak - odparł Dave. - Nie zawarliśmy żadnej umowy najmu czy czegoś podobnego. Mieszkam u niej „na czarno”, niczego nie podpisywaliśmy. Jak miałbym ją w tej sytuacji pozwać? Poza tym - no cóż, nie jestem duszą i ciałem przywiązany do tej reprezentacyjnej siedziby, co łatwo może pani sobie wyobrazić.

- Jaki podała powód?

- Twierdzi, że córka jej przyjaciółki zamierza studiować w Scarborough i chce u niej zamieszkać. Idę o zakład, że ta przyjaciółka w ogóle nie istnieje. Prawda jest oczywiście taka, że ona się mnie boi. Boi się, że zamordowałem zarówno Amy Mills, jak i Fionę Barnes, a ona może być następną ofiarą. Już teraz nie sypia nocą w domu, tylko wychodzi wieczorami do jednej z sąsiadek. A tam, jak się zdaje, rozgłasza o mnie przerażające historie. Gdy rozglądam się po ulicy, czuję, jakby przeszywała mnie setka oczu

skierowanych z okien w moją stronę. Jest mi to jednak zupełnie obojętne. Niech wszyscy sobie myślą, co tylko chcą.

- Skoro pan i Gwen bierzecie w grudniu ślub, nie będzie to żaden problem. Wprowadzi się pan do niej na farmę z początkiem listopada.

- Tak - odparł Dave. Nie westchnął przy tym, lecz owo *tak* zabrzmiało właśnie jak westchnienie.

Leslie objęła dłońmi swój kubek. Ciepło łaskotało koniuszki jej palców, z czasem zdawało się docierać także do ramion. Przyjemne uczucie, które nie tylko zdołało przegnać wilgotny chłód przenikający jej kości, lecz także złagodzić wzburzone emocje. Wiedziała, że być może posuwa się za daleko, niemniej sposób, w jaki Dave Tanner na nią patrzył, pozwalał sądzić, że ma ochotę na rozmowę i nie poczuje się nagabywany.

- Nie oszalał pan z miłości do Gwen, prawda? - spytała cicho.

- Chyba widać to wyraźnie, czyż nie?

- Owszem.

Rozparł się na krześle. - Ja jej w ogóle nie kocham, Leslie, w tym właśnie sęk. I wcale nie chodzi tu o jej mało ujmujący wygląd. Kobieta mogłaby być brzydka jak noc, a mimo to mnie zafascynować. Gwen nawet nie jest brzydka. Lecz fascynacja - to chyba właśnie sedno sprawy. Nic, zupełnie nic mnie w niej nie *fascynuje*.

- Jednak w większości związków fascynacja tak czy owak z czasem słabnie.

- Ale na samym początku stanowi tę iskrę. Musi być coś, co w drugim człowieku przykuje uwagę, zaciekawi, od czego się już nie uwolnisz. Wie pani, o czym mówię, prawda? Dlaczego poślubiła pani swego męża?



Ostatnie pytanie ją zaskoczyło, wsączyło na kilka sekund poczucie niepewności. - Zakochałam się w nim - odpowiedziała po chwili.

- W czym dokładnie?

- W całym człowieku.

Nie dawał za wygraną. - I nic, absolutnie nic w nim pani nie przeszkadzało?

- Ależ oczywiście, że tak.

*Jego bierność. Potrzeba harmonii. Że mi tak często pochlebiał. Że tak wiele wymagał ode mnie i od innych. Jego słabość.*

- Lecz coś innego przesłoniło to, co pani przeszkadzało. Pozwoliło się pani mimo wszystko zakochać. A nawet wyjść za niego za męża. Sprawilo, że chciała pani spędzić z nim resztę życia.

- Tak. To, co mi się w nim spodobało, było o wiele mocniejsze.

- I cóż to było?

- Jego troskliwość - odparła - jego ciepło. Dał mi poczucie bezpieczeństwa.

Spojrzał na nią zamyślonym wzrokiem. - Wcześniej brakowało pani poczucia bezpieczeństwa? Gwen opowiadała mi, że dorastała pani pod opieką babki. Po wszystkim, czego doświadczyłem od Fiony Barnes, mogę sobie wyobrazić, że...

- Nie chcę rozmawiać o mojej babci - przerwała mu ostro Leslie.

- Okay! - Dave natychmiast się wycofał. - W porządku. Przepraszam, jeśli pozwoliłem sobie na zbyt wiele.

- Mówiliśmy o panu i Gwen. To pan musi powziąć decyzję, nie ja. Ja już zdecydowałam dwa lata temu: rozstałam się z mężem.

- Mimo to, jak widzę, wciąż potrafi panią wyprowadzić z równowagi. Te rozmowy z samą sobą, które prowadziła pani dziś o tak wczesnej porze, najwyraźniej były z nim związane.

Łyknęła kawy, parząc sobie przy tym usta, ale zignorowała ból.

- Zdradził mnie - wyznała po chwili. - Przed ponad dwoma laty. Z kobietą, którą poznał przypadkiem, kiedy ja byłam na szkoleniu. Nigdy bym się o tym nie dowiedziała, lecz na nieszczęście tak bardzo zaczęły mu ciążyć wyrzuty sumienia, że w końcu wszystko mi wyznał. Nie mogłam z nim dłużej mieszkać. Od ubiegłego poniedziałku jesteśmy rozwiedzeni. To wszystko. Nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia.

- A co dziś rano tak panią wzburzyło?

- Wczoraj wieczorem nagle oświadczył, że w gruncie rzeczy to wszystko moja wina. Wmówiła mu to jakaś terapeutka. Do tej przygody miłosnej doszło tylko dlatego, że cierpiał z powodu mojej oziębłości, moich ambicji oraz mojej - jak to ocenił - wyższości. Na swoje wyznanie zdobył się nie z powodu wyrzutów sumienia, lecz potraktował je jako wołanie o pomoc. Czego ja nie zdołałam zrozumieć i na domiar złego wyrzuciłam go z mieszkania. Biedaczek! Ależ sprawiłam mu przykrość.

Dave spojrzał na nią zamyślony, nic jednak nie powiedział.

Otworzyły się drzwi, wraz z falą wilgotnego powietrza do środka wkroczyło dwóch mężczyzn. Przez chwilę sprawiali wrażenie zaskoczonych obecnością w lokalu innych gości, lecz wcale się tym nie przejęli. Zamówili kawę i stojąc przy kontuarze, wdali się w cichą rozmowę z gospodarzem.

Leslie odsunęła talerz z napoczętym ciastkiem. - Chyba nie dam rady nic zjeść - powiedziała.

- Nie smakuje pani? - zapytał Dave.

- Ależ smakuje, lecz kiedy zbyt intensywnie rozmyślałam o moim byłym mężu, zawsze psuje mi to apetyt - wyjaśniła Leslie.

Spojrzała nań prowokacyjnie. - Czy panu też to się zdarza? Że nie może pan jeść, kiedy pomyśli pan o Gwen?

- Aż tak źle nie jest.

- Czym pan to sobie rekompensuje? Przeszkadza panu wprawdzie, że Gwen nie budzi w panu jakiegokolwiek fascynacji, ale mimo to zamierza ją pan poślubić, spędzić z nią resztę życia. Dlaczego? Co w pana przypadku równoważy wszystko to, czego pan w niej nie znosi?

Spojrzał na nią tak, jakby chciał sprawdzić, czy traktowała poważnie swoje pytanie, czy tylko próbowała go sprowokować. - Pyta pani serio?

- Tak.

Uśmiechnął się znużony. - Przecież pani wie. Wiedziała to również pani babka.

Leslie skinęła głową. - A więc to prawda. Farma. To farma trzyma pana przy Gwen.

W tej chwili wydawał się zrezygnowany, nazbyt wyczerpany, by cokolwiek koloryzować.

- Tak. Tak właśnie jest.

- Czego się pan spodziewa, kiedy już pan zamieszka na farmie Beckettów?

Teraz również on odsunął na bok talerz. Wydawało się, że pytanie o przyszłość także jemu odbiera apetyt. - Chcę zerwać z życiem, jakie obecnie prowadzę - wyjaśnił - *muszę* z nim zerwać. Nie mogę tego dłużej ciągnąć. Ale potrzebuję czegoś... na kształt odskoczni. Nie mam się czym pochwalić prócz przerwanych studiów oraz całej serii przygodnych zajęć, dzięki którym od niemal dwudziestu lat jako tako brnę przez życie.

- Chciałby pan ożywić na farmie Beckettów hodowlę owiec?

Potrząsnął głową. - Do tego się chyba nie nadaję. Chciałbym rozwinąć to, co obecnie, niestety w mizernym stylu i bardzo nieprofesjonalnie, prowadzi Gwen. Chciałbym uczynić z farmy miejsce atrakcyjne dla urlopowiczów. Yorkshire staje się jednym z najbardziej lubianych regionów wakacyjnych w Anglii. Farma kryje w sobie tysiące możliwości, i to bez potrzeby zniszczenia jej uroku, jej pierwotnego charakteru. Dom musi mieścić czyste, przestronne pokoje dla gości. W dół nad zatokę musi prowadzić łatwa, bezpieczna droga, żeby ludzie nie musieli się przedzierać przez ten zarośnięty wąwóz. Trzeba stworzyć możliwość kąpieli. W stajniach można trzymać kucyki i oferować wycieczki trekkingowe. Proszę mi wierzyć - mówił coraz głośniej, zniżył jednak głos, kiedy spostrzegł, że ludzie przy kontuarze patrzą w jego stronę - mam dobre pomysły. Mogę coś zrobić z tym kawałkiem ziemi.

- A potrzebny zapał do pracy? - zapytała Leslie. - Ma go pan pod dostatkiem?

- Wątpi w to pani?

- Zbyt słabo pana znam. Lecz z tego wszystkiego, co mi pan opowiedział na temat swego dotychczasowego życia, wnoszę, że zapał do pracy i stanowczość przy podejmowaniu decyzji nie należą do pańskich mocnych stron. Rozumie pan, trochę podejrzani wydają mi się zawsze ludzie, którym trzeba czegoś wielkiego - w pana przypadku sporego kawałka ziemi - by mogli się wreszcie wykazać. Nierzadko są to bowiem ludzie, którzy żyją złudzeniami, którzy zawsze uważają, że jedynie wskutek niesprzyjających okoliczności nie zdołali odnieść sukcesu. Tymczasem prawdziwe historie sukcesów pisze się inaczej. Ludzie zaczynają w nich od zera, a mimo to są w stanie coś osiągnąć.

Mina Dave'a pozostała niewzruszona. Leslie nie potrafiła z niej wyczytać, czy rozłościły go jej dobitne słowa.

- Jest pani bardzo szczerą - powiedział w końcu - lecz czy zastanawiała się pani nad tym, jakie inne możliwości ma Gwen? Ona żyje wyłącznie z renty ojca. Kiedy Chad Beckett umrze - a to może niedługo nastąpić - z dnia na dzień zostanie bez jakichkolwiek środków do życia. Nie ma własnego źródła dochodów. Fakt zaś, że dwa, trzy razy w roku przyjeżdżają do niej Brankleyowie, nie zapewni jej środków na przeżycie.

- Mogłaby sprzedać farmę.

- Swoją dom? Jedyne miejsce, które zna, w którym czuje się szczęśliwa?

- A jest szczęśliwa?

- Czy byłaby szczęśliwsza bez farmy? W jakimś mieszkaniu w bloku?

- Mogłaby poszukać sobie jakiejś pracy. Wreszcie znalazłaby się między ludźmi. Może spotkałaby mężczyznę, który pokochałby ją naprawdę.

- No cóż - rzekł Dave. Po chwili milczenia dodał: - A więc będzie pani próbowała wybić jej z głowy związek ze mną?

- Nie! - Leslie potrząsnęła głową. - Nie mam zamiaru mieszać się do tego. Gwen sama musi zdecydować. Jest dorosła.

Spojrzał na nią.

- Nie spałem z nią zeszłej nocy - powiedział bez ogródek. - W ogóle nigdy z nią nie spałem.

Leslie znów pomyślała o czarnych rajstopach w jego pokoju.

*Nie powinno cię to nic a nic obchodzić*, napominała samą siebie.

- Nie? - spytała tylko.

- Nie. Ona tego chciała. Ale ja... nie potrafię. Ledwie daję radę się przemóc, żeby ją objąć, a co dopiero... - Nie dokończył zdania.

- Cóż, jak w takim razie wyobraża pan sobie małżeństwo? - zapytała Leslie.

Nie odpowiedział.

## 5.

Jennifer znalazła karteczkę z dokładnym adresem Dave'a Tannera na korkowej tablicy w pokoju Gwen. Choć wiedziała oczywiście, że niestosownie jest wchodzić do pokoju pani domu podczas jej nieobecności, tłumaczyła sobie, że troska uzasadnia jej postępowanie. To niepodobne do Gwen, żeby tak długo przebywać poza domem i nikogo o tym nie powiadomić.

Marsz na piechotę do szosy wydał jej się dziś znacznie dłuższy niż zazwyczaj, powodem tego mogło być wszakże przesycone wilgocią powietrze, utrudniające oddychanie. Żeby złapać autobus, trzeba było dotrzeć do czerwonej budki telefonicznej. Na szczęście przybyła tam na czas. Niecałe trzy kwadransy później wysiadła w centrum Scarborough na przystanku Queen Street; stamtąd było już niedaleko do Friargate Road, przy której mieszkał Dave.

Mimo to Jennifer poczuła się zupełnie wyczerpana, gdy wreszcie stanęła przed drzwiami niewielkiego domu w zabudowie szeregowej.

Po dwukrotnym naciśnięciu dzwonka otworzyła jej gospodyni i obrzuciła nieufnym spojrzeniem.

- Tak?

- Dzień dobry. Nazywam się Jennifer Brankley. Czy zastałam Dave'a Tannera?

Na dźwięk nazwiska Tanner twarz starszej kobiety jeszcze bardziej skamieniała.

- Kim pani jest? - spytała.

- Jennifer Brankley. Jestem przyjaciółką Gwen Beckett. Narzeczonej Mr Tannera.

- Pana Tannera nie ma w domu.

Wzrok Jennifer mimowolnie powędrował ku ciemnej sieni.

- Nie ma go?

- Proszę posłuchać, byłam na górze, nie ma go. W garderobie na dole nie ma jego kurtki. Wyszedł.

- Wie pani może, czy nocował dziś u siebie?

Gospodyni spojrzała na nią ze złością. - Tego nie wiem, Mrs Brankley, nie mam zielonego pojęcia. A wie pani dlaczego? Bo nie mogę już spać we własnym domu! Jestem utrapieniem dla sąsiadów, bo wciąż ich proszę, żeby ktoś mnie przyjął na noc. Wpadam w panikę, gdy mam spać pod jednym dachem razem z tym człowiekiem. Nie potrafię zmrużyć oka! On ma prawdopodobnie dwa morderstwa na sumieniu, a ja, do diaska, nie mam ochoty być trzecią ofiarą!

- Skąd pani przyszło do głowy, że on popełnił dwa morderstwa? - zapytała Jennifer, zaskoczona pewnością, z jaką stara wysunęła to twierdzenie.

- No, przecież umiem dodawać! Była tu policja. Wypytywali o tamten wieczór, kiedy zamordowano Fionę Barnes, i o ten, gdy ukatrupili tę młodą studentkę. A jakże! W obu przypadkach chcieli wiedzieć, czy Mr Tanner był wtedy w domu. Głupia to ja nie jestem. Oni wiedzą, że to on jest mordercą, tylko nie mogą mu nic udowodnić. Tak się dzieje w dzisiejszych czasach, największych przestępców puszcza się wolno, bo nie można ich zamknąć bez dowodów. Ale co się potem dzieje z niewinnymi ludźmi, to polityków wcale nie obchodzi!

- W takim razie pewnie pani nie wie, czy Miss Beckett nocowała dziś u Mr Tannera? - podjęła Jennifer, bo w tej chwili pytanie to nurtowało ją znacznie bardziej niż wymiana opinii światopoglądowych.

- Oczywiście, że tego nie wiem! - prychnęła gospodyni. - I coś jeszcze pani powiem: wkrótce wcale nie będę musiała tego wiedzieć! Wypowiedziałam Tannerowi mieszkanie. Pierwszego listopada wyląduje na ulicy, a wtedy, Bóg mi świadkiem, poczuję się znacznie lepiej !

Po tych słowach z hukiem zatrzasnęła za sobą drzwi. Jennifer stała we mgle zupełnie zbaraniała. Zadarła głowę i gapiła się na fasadę domu, jakby żywiła nadzieję, że znajdzie tam jakąś wskazówkę. Nawet nie wiedziała, które okno należało do pokoju Dave'a, czy w ogóle wychodziło na ulicę. Zdeprymowana opuściła posesję, przechodząc po krótkiej, wyłożonej płytami dróżce i pokonując kilka schodów. Ta wizyta nic jej nie dała, zupełnie nic. Tannera nie było w domu - nie przypuszczała, żeby gospodyni skłamała w tym względzie - nie znalazła też żadnego śladu Gwen.

Owładnęło ją niedobre przeczucie. Zastanawiała się tylko, czy jest ono uzasadnione.

Najchętniej wróciłaby na farmę, sądziła jednak, że to oznaczałoby swego rodzaju porażkę. Pojechała przecież do miasta, każdy natychmiast domyśliłby się, że szukała jedynie Gwen, a potem odwróciła się na pięcie i pognęła do domu. Może rzeczywiście powinna wykorzystać okazję i zrobić coś, co odmieniłoby nieco jej pustelniczy żywot. Mogłaby zrealizować pomysły, o których mówiła Colinowi: powłóczyć się po mieście, a nawet wstąpić do kawiarni i coś zamówić.

Ot, błahostka dla większości ludzi. Dla niej odważny krok.



Spacerowała przez chwilę po pasażach pod halą targową. Było tam ciepło i sucho. W niewielkich, przeładowanych towarami sklepikach patrzyła na sztukę przemieszaną z kiczem, myszkowała po antykwariacie, przeglądała stare pocztówki i podziwiała serwis do herbaty, jedną z niewielu gustownych rzeczy pośród ogólnej oferty. Śliczny prezent ślubny dla Gwen - o ile do ślubu z Dave'em Tannerem kiedykolwiek dojdzie.

Następnie przeszła do wydzielonej strefy dla pieszych. Kupiła miękki wełniany szal dla Colina, a dla siebie zrobioną na drutach czapkę. Za obie rzeczy zapłaciła *jego* pieniędzmi, ta świadomość ją ukłuła. Dawniej miała własne dochody. Colin co prawda nigdy nie robił jej wyrzutów, że sam pokrywał wszelkie wydatki, spłacał hipotekę domu w Leeds, ponosił koszty utrzymania, kupował karmę dla psów i opłacał rachunki za weterynarza, a także finansował oczywiście wakacje na farmie Beckettów.

Po raz pierwszy pomyślała o tym, że może warto by poszukać sobie jakiegoś zajęcia. Do pracy w szkolnictwie wrócić już nie mogła, lecz może znalazłoby się dla niej coś innego. Mogłaby wówczas odciążyć Colina, a czasem spełnić też własne zachcianki, nie czując przy tym wyrzutów sumienia.

Zwolnienie z pracy wcale nie musiało oznaczać końca wszystkiego. Nawet jeśli tak właśnie to odbierała, i to już od pierwszej chwili. Nie wiedziała, w jaki sposób miałyby przezwyciężyć bezwład, w jaki wówczas popadła.

Może dam radę, pomyślała, przyglądając się bezwiednie sklepowej wystawie, na której prezentowano lichtarze i antyczną biżuterię. Jeśli uda mi się wykonać pierwszy krok, myślę, że mogłabym...

- Mrs Brankley - usłyszała za plecami czyjś głos. Odwróciła się przerażona, została bowiem wyrwana z przykrych rozmyślań na temat własnej przyszłości. Marszcząc czoło, spojrzała na stojącą za nią młodą kobietę. Była pewna, że ją zna, nie potrafiła sobie jednak w tej chwili przypomnieć skąd.

- Tak? - zapytała.

Kobieta lekko się zarumieniła. - Ena - przedstawiła się - Ena Witty.

Nareszcie skojarzyła. Dziedziniec Friarage School owego spokojnego popołudnia przed kilkoma dniami. Ludzie wychodzący z budynku, uczestnicy kursu, który ukończyła Gwen. Ena Witty była wśród nich. Gwen ją przedstawiła.

- Ach, Miss Witty - odparła - teraz sobie przypominam! Zeszły tydzień, szkoła...

- Była ze mną Gwen Beckett - dodała Ena - i Stan, mój przyjaciel. Rozmawialiśmy chwilę...

- Oczywiście, dobrze pamiętam - przytaknęła Jennifer, choć uświadomiła sobie, że Ena ledwie wydobyła z siebie słowo, za to jej chłopak sporo mówił. - To było miłe spotkanie. - Przypomniała sobie o wczorajszym telefonie. - Miss Witty, mój mąż mówił mi wczoraj, że pani dzwoniła i chciała rozmawiać z Gwen. Bardzo mi przykro, ale Gwen nie wróciła jeszcze do domu, a przynajmniej nie było jej wówczas, gdy wyruszałam do miasta. Dlatego nie mogliśmy jej...

- Ależ nic nie szkodzi - przerwała jej Ena. - I tak długo się zastanawiałam, czy powinnam jej w ogóle zawracać głowę. Przeczytałam w gazecie o jej związku z tą zamordowaną kobietą... nazywała się Barnes, prawda? Gwen oczywiście ma teraz inne sprawy na głowie, ale...

- Wszyscy jesteśmy trochę skołowani - przyznała Jennifer.

- Jak już mówiłam, potrafię to sobie wyobrazić. Nie dzwoniłabym, gdybym nie... Borykam się z dość poważnym problemem i nie mam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać. Gwen znam od niedawna, poznałyśmy się dopiero na kursie, lecz od pierwszej chwili wydała mi się bardzo miła, dlatego pomyślałam sobie... chciałam z nią tylko krótko porozmawiać... ona trochę zna Stana, mojego chłopaka, bo zawsze przychodził po mnie do szkoły...

- Na pewno coś na to poradzimy - zapewniła Jennifer, utwierdzając się w swych dotychczasowych przypuszczeniach: problem Eny, o którym tak bardzo chciała z kimś porozmawiać, nazywał się Stan. Ów dominujący typ, który prawdopodobnie wtargnął w jej spokojne życie niczym huragan, przynosząc z sobą ożywienie, ale pewnie i mnóstwo kłopotów.

- Gdy tylko zobaczę się z Gwen, powiem jej o wszystkim, na pewno zaraz do pani zadzwoni. Jej także dobrze zrobi rozmowa o czymś innym niż wydarzenia na farmie.

Wydawało się, że Ena poczuła lekką ulgę, najwyraźniej nabrała animuszu. - Nie chciałabym się narzucać, ale gdyby pani... gdyby pani nie miała teraz innych planów... Czy miałyby pani ochotę pójść ze mną na kawę?

Jennifer domyśliła się, że złożenie tej propozycji kosztowało Enę mnóstwo odwagi. To dlatego chodziła na kurs we Friarage School. Podejmowanie tego rodzaju decyzji przychodziło jej na co dzień z ogromnym trudem. Ot, zaprosić na kawę kogoś, kto wydał jej się sympatyczny, kogo jednak dobrze nie znała.

Tylu ludzi, pomyślała, dzień w dzień zмага się z różnymi lękami, z nieśmiałością, niewiarą we własne siły, i nikt by się nie domyślił, jak okropnie się tym zadręczają.

Nie chciała odprawić Eny z niczym.

Zamaszystym ruchem podciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. Dochodziło pół do pierwszej, stanowczo za wcześnie, żeby wracać do domu. I tak miała zamiar napić się kawy, choć sama i w spokoju. Miała wrażenie, że Ena znajdowała się pod ogromną presją i jeśli choć trochę się otworzy, być może zwierzy się nowej znajomej ze wszystkich swych trosk, szczególnie tych, których źródłem był świeży jeszcze związek ze Stanem Gibsonem. Jennifer nie była pewna, czy jest w tej chwili odpowiednim partnerem do takiej rozmowy.

Sama zmagала się z tyloma poważnymi problemami.

- Cóż - powiedziała - myślę, że...

Ena wyczuła jej wahanie. - Proszę... Sprawiłoby mi to wielką radość.

Jennifer nigdy nie potrafiła odprawić z kwitkiem ludzi szukających pomocy. Nagle zrozumiała, że to jest właśnie sedno sprawy: Ena prosi o pomoc. Nie trapi jej ot jakiś tam niedorzeczny problem. Ona naprawdę potrzebuje pomocy.

- Okay - odparła, dając za wygraną - napijmy się razem kawy. - Bądź co bądź wiele dziś rozmyślała na temat robienia pierwszego kroku. W jej przypadku ów pierwszy krok być może sprowadzał się do tego, żeby znów nawiązać kontakt z ludźmi, zamiast ich ciągle unikać.

Może rzeczywiście zdoła pomóc Enie Witty. Choćby tylko zgadzając się jej wysłuchać.

Być może dziś wieczorem Ena będzie mogła zasnąć z poczuciem, że mimo wszystko istnieją jeszcze ludzie zainteresowani nią i jej sprawami.

Jennifer postanowiła czerpać z tego radość.

## 6.

- Wielka szkoda - powiedziała Valerie Almond - bardzo chciałam porozmawiać z pańską żoną, Mr Brankley.

Stali naprzeciw siebie w drzwiach domu na farmie. Colin nie zaprosił jej do środka, a tylko oświadczył chłodno, że nie zastała Jennifer.

Valerie chciała się dowiedzieć, kiedy wróci, Colin jednak wzruszył tylko ramionami.

- Nie potrafię pani pomóc - odrzekł krótko - ale przekażę żonie, że chce pani z nią pomówić.

Valerie wyczuła w jego głosie wrogość. Przejrzał ją, zrozumiał, że ma zamiar dobrać się Jennifer do skóry.

- Ustaliłam, że Amy Mills nie zawsze uczęszczała do tej szkoły, w której zdawała końcowy egzamin - oznajmiła. - Przez dwa lata chodziła do szkoły w Leeds, w której uczyła pańska żona.

Na ułamek sekundy nie zdołał ukryć swego zaskoczenia. Sprawiał wrażenie, jakby o tym nie wiedział. Nie oznaczało to jednak, że również Jennifer nie miała o tym pojęcia. Być może nie mówiła mężowi wszystkiego.

- Ach tak? - odezwał się Colin. Taksował Valerie wzrokiem zza okrągłych szkieł okularów. Miał mądre spojrzenie, sprawiał wrażenie człowieka, który często rozmyśla, częściej, niż można by sądzić, sugerując się jego niepozorną aparycją.

Jest bardzo inteligentny, pomyślała Valerie, w żadnym razie nie jest tylko pogodnym poczciwcem, na jakiego na pierwszy rzut oka wygląda.

- Czy w pana obecności nigdy nie wspomniała o tym, że choćby przelotnie znała Amy Mills? Albo przynajmniej jej nazwisko?

- Nie, pani inspektor. Nie mówiła mi nic innego poza tym, co zeznała przed panią.

Valerie odwróciła się sfrustrowana. - Przyjadę innym razem - powiedziała. Zastanawiała się, czy on ostrożnie gra, czy może zaczyna rozumieć powiązania.

Jakie? Jakie? Jakie? *Jeśli* Jennifer Brankley знаła Amy Mills, jaki mogłaby mieć powód, żeby uśmiercić tę młodą dziewczynę w tak okrutny sposób?

Kiedy szła do samochodu, rozległ się dzwonek komórki. W tej samej chwili zobaczyła Gwen Beckett wysiadającą przed bramą z taksówki. Wyglądała na zmarzniętą i niewyspaną.

Skąd ona znów wraca? - zastanawiała się Valerie. Zaraz też zrozumiała, że nikt nie musi udzielać jej odpowiedzi. I pewnie nikt by tego nie uczynił.

- Tak? - odebrała telefon, otwierając jednocześnie drzwi do samochodu. Żeby tylko szybko uciec od tego wilgotnego chłodu.

Dzwonił sierżant Reek. Był podekscytowany.

- Pani inspektor, zmiana sytuacji. Zadzwoń na Mrs Willerton. Wie pani, to gospodyni Dave'a Tannera. Znalazła sąsiadkę, która jakoby widziała, że w nocy, kiedy zamordowano Fionę Barnes, Mr Tanner wyszedł późnym wieczorem z domu. Było to około godziny dziewiątej.

- Około dziewiątej? W takim razie niedługo tam zabawił.

- Na to wygląda. Oczywiście nie wiadomo, na ile ta sąsiadka jest wiarygodna, sądzę jednak, że należy z nią pomówić.

- Koniecznie. Macie adres?

- Tak. Mieszka nieco dalej, po drugiej stronie ulicy.

Valerie przygryzła wargi. Nie poleciła przepytac sąsiadów w sprawie podanych przez Tannera godzin. Mogło się to okazać

błędem.

- Niech pan tam jedzie, Reek. Niedługo będę na miejscu. I sprawdźcie, czy Tanner jest w domu. Jeśli tak, zatrzymajcie go.

- Już się robi, pani inspektor.

Osunęła się na fotel kierowcy, raczej sfrustrowana niż podekscytowana. *Wcale nie jest dobra!* Płacze się, postępuje chaotycznie, nie zważa na rutynowe działania. Prosty wywiad środowiskowy, dlaczego w ogóle nie przyszło jej to do głowy? Miała wręcz nadzieję, że świadek okaże się niewiarygodny i zadufany w siebie, a wtedy swoje przeoczenie będzie mogła jakoś zatuszować. Co jednak, jeśli zeznanie kobiety przyniesie przełom? Wówczas posypią się pytania, na które nie będzie miała przekonujących odpowiedzi.

Usiłowała odzyskać spokój. Nie może teraz tracić opanowania. Musi pojechać na miejsce. Porozmawiać ze świadkiem. Przepytać Tannera.

*Do jasnej cholery, Valerie, skup się. I nie daj się zwariować. Wszystko się ułoży.*

Spojrzała w kierunku drzwi wejściowych. W progu stali Gwen i Colin, rozmawiali z sobą. Gwen była bardzo blada, niemal poszarzała na twarzy. Zanim Valerie zamknęła drzwi samochodu, usłyszała, jak Colin zapytał ze zdumieniem: - A więc również Tanner zna tę historię? Naprawdę?

- Ciszej! - niknęła Gwen.

Valerie zamknęła drzwi, uruchomiła silnik, zawróciła z, piskiem opon i wyjechała z podwórza.

Świadek nazywała się Marga Krusiński, lat około trzydziestu. Na rękę trzymała dziecko i rozmawiała z sierżantem Reekiem łamaną angielszczyzną. Reek bezskutecznie próbował przerwać

potok jej słów i przejść do sedna sprawy. Marga Krusiński rozwiodła się z mężem i przeniosła do Scarborough, lecz on podążał jej śladem, wszędzie na nią czyhał, gnębił ją i wielokrotnie groził, że siłą odbierze jej dziecko. Wystarała się o tymczasowy sądowy zakaz zbliżania się do niej na odległość mniejszą niż sto metrów, wątpiła jednak w to, że będzie go przestrzegał. Widocznie pragnęła uzyskać od sierżanta Reeka pomoc w tej sprawie i wydawało się, że zapomniała, z jakiego powodu zjawiała się u niej policja.

Ze względu na mgłę Valerie potrzebowała nieco więcej czasu, by dotrzeć na miejsce, toteż zjawiała się z niewielkim opóźnieniem. Przedstawivszy się, rozważała przez chwilę, czy istotnie ma do czynienia z problemem wiarygodności świadka. Czy Marga Krusiński zmyślała te bzdurne historie, żeby zwrócić uwagę policji na swoje trudne położenie?

Zachowaj bezstronność, napominała się.

W dość skromnie urządzonej pokoju dziennym siedziała w fotelu Mrs Willerton, trzymając w dłoni kieliszek wódki. Jej zaczerwieniony nos pozwalał sądzić, że nie był to pierwszy kieliszek wypity w nadziei, że dzięki temu pozbędzie się strachu.

- Przymkniecie go teraz? - spytała jednym tchem, ujrzawszy Valerie. - Przymkniecie go wreszcie, zanim zarżnie kilka następnych niewinnych kobiet?

- W zasadzie to nie przestępstwo, że tamtego wieczora Mr Tanner ponownie wyszedł z mieszkania - wyjaśniła Valerie. - Dziwi jednak fakt, że to przemilczał. Będzie musiał dokładnie wyjaśnić, dokąd się udał, kiedy i dlaczego.

Mrs Willerton prychnęła. - Przecież on kłamie jak z nut!

- Nic więcej nie ustaliłem - wtrącił zdenerwowany sierżant Reek.



Przerwała mu Marga Krusiński. - Czy może mi pani jakoś pomóc?

- Najpierw to pani musi pomóc nam - oznajmiła Valerie. - W rozmowie z Mrs Willerton powiedziała pani, że w sobotni wieczór Mr Tanner wyszedł z domu około godziny dziewiątej, zgadza się?

- Tak.

- Z którego miejsca go pani obserwowała?

- Z tego pokoju - odparła Marga. - Patrzyłam przez okno. Widać stąd wyraźnie dom Mrs Willerton.

Valerie podeszła do okna i spojrzała przez firankę. Zobaczyła stojący naprzeciwko dom, nic nie przesłaniało widoku drzwi wejściowych oraz schodów prowadzących na ulicę. Dostrzegła latarnię ustawioną tuż przed ogródkiem. Mimo to zapytała: - Było ciemno. Jak...

- Latarnia - wyjaśniła Marga - świeci bardzo jasno. Dobrze widziałam Mr Tannera, bez trudu go rozpoznałam.

- Przypadkiem wyjrzała pani wtedy przez okno?

Marga zrobiła kwaśną minę. - Dopiero co wszystko wyjaśniłam - powiedziała, wskazując ruchem głowy sierżanta Reeka.

- A tak - potwierdził spieszenie Reek. - Pani inspektor wie, że są problemy z byłym mężem Mrs Krusiński. W sobotę pojawił się tu wczesnym wieczorem i dopadł ją, kiedy wracała ze spaceru z synkiem. Groził jej w ostrych słowach i próbował zastraszyć. Na szczęście zjawili się sąsiedzi, a wtedy uciekł.

- Czy obowiązywał już wówczas tymczasowy zakaz?

Reek potrząsnął głową. - Dopiero od poniedziałku.

- Rozumiem. I...

- Mrs Krusiński przez cały wieczór była, ze zrozumiałych względów, bardzo niespokojna. Bała się, że on może się czaić gdzieś

za domem, dlatego wciąż wyglądała przez okno, zarówno tu w pokoju dziennym, jak i z tyłu, w kuchni. Gdyby go dostrzegła, miała natychmiast dzwonić na policję.

- I tym sposobem zobaczyła Tannera, kiedy wychodził z domu?

- Tak - potwierdzili zgodnym chórem Reek, Marga i Mrs Willerton.

Valerie zwróciła się do Margi. - I jest pani absolutnie pewna, że to był Dave Tanner?

- No coś takiego - zaprotestowała Mrs Willerton. - A jak pani myśli, ilu to mężczyzn wychodzi wieczorami z mojego domu?

Valerie istotnie nie potrafiła sobie wyobrazić nikogo innego.

- To był Mr Tanner - upierała się Marga - poznałam go. Jestem całkowicie pewna!

- A co z godziną? Jej także jest pani pewna?

- Tak, choć nie co do minuty. Byłam taka niespokojna, co chwila patrzyłam na zegar. Ostatni raz za kwadrans dziewiąta. A Mr Tannera widziałam jakieś piętnaście albo dwadzieścia minut później.

- Co dokładnie robił Mr Tanner?

- Wsiadł do samochodu i odjechał.

- Był sam?

- Tak. Zupełnie sam. Trochę to trwało, zanim silnik odpalił. Znam to. Jego samochód to szmelc.

- I nie widziała pani, kiedy wrócił?

Marga potrząsnęła głową. - Tamtego wieczora długo byłam na nogach. Położyłam się dopiero przed samą dwunastą, ale nie mogłam zasnąć. Zrywałam się przy najdrobniejszym odgłosie.

- Czyli do tego czasu, do północy, na pewno nie wrócił?

- Nie. Wciąż wyglądałam na ulicę, ale samochodu nie było. Pojawił się dopiero następnego dnia. Wstałam o dziewiątej. Auto stało zaparkowane po drugiej stronie.

Valerie potarła koniuszkami palców skronie, poczuła w nich delikatne pulsowanie. *Przeoczenie, przeoczenie, przeoczenie* - powtarzał ból.

A jednak musiała zadać to pytanie, raz jeszcze włożyć palec we własną ranę. Sierżant Reek, w przeciwieństwie do obu kobiet, z pewnością to zauważy.

- Jak to się stało, że dopiero teraz opowiedziała pani o tym Mrs Willerton? - zapytała.

- Wyszło to *ode mnie* - wmieszała się do rozmowy Mrs Willerton, wyraźnie z siebie zadowolona. - Nie sypiam już w nocy we własnym domu, i to nie bez przyczyny. Dziś po południu przyszedłam do Mrs Krusiński, żeby zapytać, czy mogę spędzić u niej najbliższą noc. I tak zaczęłyśmy rozmawiać na temat pana Tannera. Opowiedziałam, że właściwie to nie wiem, czy w chwili, gdy zamordowano Fionę Barnes, a więc późnym wieczorem w sobotę, siedział w domu. Mrs Krusiński nagle spojrzała na mnie i mówi: Ależ ja wiem, był poza domem! I opowiedziała mi całą tę historię! - Po tych słowach Mrs Willerton wypła spory łyk wódki. - Nigdy więcej nie przyjmę do domu lokatora, nigdy, gwarantuję to wam! Wymówiłam mu od pierwszego listopada, ale jeśli go dziś nie przymkniecie, gotów wam jeszcze zwać, zobaczycie! Ani dnia dłużej, ani dnia dłużej nie zniosę go pod moim dachem!

- Domyślałam się, że nie ma go teraz w domu? - Valerie zwróciła się do Reeka.

Potrząsnął głową. - Nie ma go, sprawdziłem.

- Mogłaby pani sama na to wpaść i popytać wśród sąsiadów - powiedziała z wyrzutem Mrs Willerton. - Czy to ja muszę wyjaśniać całą sprawę?!

Valerie miała na końcu języka ostrą ripostę, ale ją przełknęła.

Nie mogła być tak głupia, żeby wdać się w kłótnię z tą prostacką, żądną uznania i agresywną Willerton. I to w kwestii, co do której błąd rzeczywiście leżał po jej stronie. Nie mogła rozdmuchiwać tej sprawy. Pomięła więc tę uwagę milczeniem i zwróciła się chłodno do sierżanta Reeka: - Zaczekacie tu jeszcze chwilę, sierżancie. Najlepiej na zewnątrz, w samochodzie. Jeśli zjawi się Tanner, przywieziecie go na przesłuchanie do komisariatu.

- Okay, pani inspektor.

Zwróciła się do Mrs Krusiński. - Dziękuję pani za tę informację, Mrs Krusiński. Być może będę musiała spisać protokół, ale wcześniej do pani zadzwonię. Mrs Willerton! - pożegnała chłodno gospodynię, po czym spieszonym krokiem opuściła dom. Na zewnątrz przystanąła na chwilę i oparłszy się o ścianę, głęboko zaczerpnęła powietrza. Twarz jej płonęła, po raz pierwszy tego dnia poczuła kojące działanie mgły.

To oczywista porażka, pomyślała.

Przymuszała się, żeby oddychać głęboko.

Wszystko się ułoży.

## 7.

Tego dnia mgła miała się przerzedzić. Można już było zauważyć pierwsze oznaki. Co prawda utrzymywała się jeszcze niby ściana z waty, pochłaniając wszystko, sprawiając, że każdy odgłos zdawał się odległy i przytłumiony. Lecz tu i ówdzie przenikał wąty promień światła, na krótką chwilę, niby przez pomyłkę, jak

posłaniec, zwiastujący, że gdzieś tam istnieje błękit nieba, że mgła nie na zawsze spowiła zatokę i miasto.

Leslie i Dave opuścili kawiarnię i szli teraz nadbrzeżną promenadą Marine Drive, szeroką, umocnioną drogą, prowadzącą wokół zamku aż do zatoki północnej.

Po lewej stronie piętrzyły się poszarpane skały wzgórza, z prawej droga była odgradzona murem z jasnego kamienia. Przylegały doń wielkie betonowe bloki służące za falochron.

Za nim ciągnęło się morze, dziś ledwo widoczne. Mgła wciąż była zbyt gęsta.

Zamierzali przejść się tylko kilka kroków, lecz chłodne powietrze w płucach przynosiło rozkoszne uczucie, nawet wilgoć na ich policzkach wyglądała uwodzicielsko. Szli coraz dalej i dalej, nie myśląc ani dokąd zmierzają, ani kiedy wrócą.

Zapytał ją, jaką osobą była jej matka, ona zaś dziwiła się, że odpowiedziała swobodnie i bez wahania.

- Zawsze była radosna. Nosiała długie barwne szaty, włosy sięgały jej do pasa. Wplatała w nie kolorowe wstążki. Właściwie była blondynką jak ja, ale farbowała włosy henną na czerwono. Henna barwiła także jej dłonie. Pamiętam, że miały ten dziwny pomarańczowy odcień. Myślę, że jej radosny nastrój brał się stąd, że zawsze chodziła naćpana. Jeździła z jednego hipisowskiego festiwalu na drugi. Mam przed oczami ogniska, wokół nich mnóstwo obcych mężczyzn i kobiet, a wszyscy ubrani podobnie jak mama. Bez przerwy grano na gitarze. Bez przerwy krążyły jointy. Myślę, że próbowali też LSD i Bóg jeden wie czego jeszcze. Matka tańczyła ze mną. Wokół ogniska, ale także w domu, w naszym pokoju dziennym. Uwielbiała muzykę Simona i Garfunkela. Do znużenia słuchała *Bridge over troubled water*.

W tym miejscu przerwała potok słów i spojrzała na niego, zaskoczona, że zwierza mu się z tego wszystkiego. - Do dziś nie mogę słuchać tej piosenki, Dave. Żeby o niej nie myśleć, żeby nie krzyczeć z żalu. Natychmiast wyłączam radio albo wychodzę z pomieszczenia, w którym jest grana. Nie potrafię tego znieść.

Jego twarz lśniła od wilgoci. - Ona była twoją mamą. Kochała cię. Ty też ją kochałaś.

Spojrzała mu przez ramię w szarą nicość. - Pamiętam, jak często mi powtarzała, że jestem najwspanialszym prezentem jej życia. Najwspanialszym ze wszystkich.

- A twój ojciec...

Wzruszyła ramionami. - Nie wiedziała, kim był. Moja babcia też tego nie wiedziała. Mama czasem mówiła, że *schwytala* mnie na jakimś festiwalu, że jestem jak wspaniały motyl, który do niej przyfrunął i już z nią pozostał. Później zrozumiałam, że mogło to oznaczać jedynie tyle: pieprzyła się bez sensu i umiaru, nie mając jeszcze osiemnastu lat, zaszła w ciążę i mimo najlepszych chęci nie potrafiła powiedzieć, kogo można by w ogóle brać pod uwagę. Do dziś tego nie wiem, Dave. I nigdy się nie dowiem. Będąc dzieckiem, a potem nastolatką wymyślałam sobie przeróżnych ojców. Świętych facetów, którzy podróżowali służbowo po całym świecie i dlatego nigdy się ich nie widywało. Pewnego razu oświadczyłam nawet, że mój ojciec pracuje w Białym Domu w Waszyngtonie, ale nikt w klasie w to nie uwierzył. Od tego dnia miałam przechłapanie. Wciąż mnie pytali, czy mój *dad* jest prezydentem Stanów Zjednoczonych, po czym zaśmiewali się do rozpuku. Od tamtej chwili nigdy już nie wspominałam o ojcu. I tak nie było o czym wspominać.

Uśmiechnął się, lecz nadal patrzył z powagą w oczach. - Pewnie nie było łatwo. To znaczy, mnóstwo dzieci z najrozmaitszych powodów musi dorastać bez ojca, lecz przynajmniej znają go albo wiedzą, kim jest. Ma nazwisko i twarz. Zawód, karierę, rodzinę, z której pochodzi. Ale żeby w ogóle nie wiedzieć *kim* on jest? Nie mieć jakiegokolwiek punktu zaczepienia... Przypuszczam, że poszukiwania nic by nie dały?

- Nie, niby jak? Zadawała się z różnymi ludźmi, przeważnie z facetami, których zupełnie nie znała, a przy tym była tak naćpana, że pięć minut po numerku nie byłaby już w stanie ich rozpoznać. Byłam za mała, żeby pamiętać, w jakich miejscowościach przebywałyśmy, nie mówiąc o tym, kto jeszcze się tam wałęsał. To były późne lata sześćdziesiąte, początek siedemdziesiątych. A moja mama w samym środku tego szaleństwa.

Ostrożnie zapytał: - Mówisz, że brała prochy. Znaczy to... no więc, wyobrażam sobie, że była nie tylko wesoła. Była troskliwa. Czula. Ludzie, którzy biorą prochy...

Nie dokończył, lecz domyślała się, co chciał powiedzieć.

- Najbardziej pokręcone jest to, Dave, że kiedy o niej pomyślę, zawsze mam przed oczami wspaniałe momenty, czuję te cudowne chwile. Widzę, jak tańczy i śmieje się, czuję, jak mnie do siebie przytula. Nic tego obrazu nie zaciemnia. Kiedy jednak zastanowię się nad tym świadomie i w skupieniu... wówczas pojawia się coś jeszcze, i nie jest to już takie piękne. Widzę wtedy inne rzeczy...

widzę ją śpiącą w łóżku przez cały dzień, a ja stoję obok i próbuję ją obudzić, bo jestem strasznie głodna. I jest mi zimno. Ona jednak się nie budzi. Czuję lęk, gdy zrywam się w nocy, a jej przy mnie nie ma. Jestem w domu zupełnie sama. Szukam wszędzie, w każdym kącie, schodzę nawet do piwnicy... Przez pewien czas

mieszkałyśmy w Londynie, w nadającej się bodaj do rozbiórki ogrodowej altanie, którą wynajęła za śmieszne pieniądze. Skrzypiała tam każda belka, wiatr szarpał ramami okien. Strasznie ciągnęło. Dom można było ogrzewać tylko żeliwnym piecem, to jednak wymagało zakupu drewna. *Ona* musiała je kupić. Czy kiedykolwiek to zrobiła? Moja babcia Fiona opowiadała mi kiedyś, że dziwiła się, jak ja w ogóle przeżyłam moje wczesne dzieciństwo. Twierdziła, że zawsze panował u nas lodowaty chłód, lodówka wciąż była pusta, a po kątach siedzieli w kucki dziwni długowłosi mężczyźni i skręcali papierosy Fiona nieczęsto przychodziła w odwiedziny, gdyż nie potrafiły się z mamą dogadać. Mama uciekła z domu, mając szesnaście lat, spędziła rok w jakimś przytułku, wróciła, żeby znów uciec tuż przed swymi osiemnastymi urodzinami. Potem zaszła w ciążę, miała się rozmaitych prac, które jednak niewiele jej dawały. Musiała podtrzymywać kontakty ze swoją matką, bo wciąż potrzebowała pieniędzy. Fiona mówiła mi, że pomagała jej tylko ze względu na mnie, gdyby nie ja, w ogóle nie kontaktowałyby się z córką. Kiedy już miałam osiemnaście lat, Fiona opowiedziała mi, że z mojego powodu wszczęła nawet proces o przyznanie jej praw do opieki nade mną. Miałam, wówczas trzy lata, Fiona była przekonana, że mama nie jest w stanie porządnie mnie wychować. Możesz to sobie wyobrazić, Dave? Procesowała się z własną córką. Przegrała, lecz później wciąż wracała do tej historii, żebym wiedziała, jak bardzo się dla mnie starała, za co powinnam być jej wdzięczna. Być może powinnam być wdzięczna. - Przerazona spostrzegła, że łzy napływają jej do oczu. Desperacko broniła się przed tym.

- Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałam u Fiony, często przychodzili w odwiedziny jej przyjaciele, i niemal zawsze ktoś z



nich gładził mnie po włosach, mówiąc, jaka ze mnie szczęściara, że mam taką babcię. I że tak to się wszystko dla mnie ułożyło. Co właściwie znaczyło: całe szczęście, że moja mama tak wcześnie umarła. - Łzy spłynęły jej po policzkach. Czuła, że w każdej chwili może stracić nad sobą panowanie.

- Więc byłam wdzięczna. I spełniałam życzenia Fiony. Dobrze się uczyłam. Studiowałam medycynę. Jestem cenioną lekarką. Fiona pragnęła dla mnie statecznego męża, więc wyszłam za Stephena. Mieliśmy ładne mieszkanie. Zarabialiśmy pieniądze. Cieszyliśmy się poważaniem. I czułam się dobrze, kiedy Fiona okazywała swe zadowolenie. Naprawiałam to, co zaprzepaściła jej własna córka. Córka hipiska, która zmarła w narkotykowym upojeniu. Teraz miała przynajmniej wnuczkę na pokaz. Pewnej wszakże przysługi jej nie wyświadczyłam: chciała, żebym widziała mamę taką, jaka w istocie była - jako osobę życiowo niezaradną, nieodpowiedzialną, lekkomyślną, słabą. Nie potrafię, Dave. - Spojrzała na niego. Jej głos drżał, dławiła się łzami. Pomyślała: cholera, ryczę jak mała dziewczynka.

- Chcę zatrzymać w pamięci inne obrazy, Dave. Obrazy, w których ona tańczy, śpiewa, śmieje się. I mówi mi, że jestem najwspanialszym prezentem jej życia. Ona mnie kochała. Potrafiła kochać. Fiona tego nie umiała. Aż do samego końca.

Zalewała się łzami, jakby nie potrafiła ich powstrzymać. Naraz zaświtała jej w głowie myśl: jak mogło do tego dojść? Co sprawiło, że mu o tym wszystkim mówię? Jak zdołał doprowadzić mnie do łez? Stephenowi nigdy o tym nie opowiadałam w taki sposób. Przy Stephenie nigdy nie płakałam.

Pozwoliła, by wziął ją w ramiona i przytulił do siebie. Gdzieś rozległ się przytłumiony krzyk nadmorskiego ptaka. Stała we mgle

nad brzegiem morza, chowała twarz w ramionach obcego mężczyzny, płakała. Płakała za swoją zmarłą babcią. Płakała za matką.

Płakała, bo marzła. Bo marzła przez całe swe życie.

8.

- Boję się, że popełniam błąd - wyznała Ena - albo że kiedyś strasznie pożałuję mojej decyzji. Tak długo byłam sama, wie pani o tym. A kiedy pojawił się Stan... Ale jakoś... To nie działa. Nie jest tak, jak być powinno.

Siedziały w kawiarence w samym centrum miasta. Na niewielkim okrągłym bistrowym stoliku stały przed nimi dwie puste filiżanki po kawie i dwie szklanki wody. Kawiarnia pełna była ludzi szukających schronienia przed aurą. Wokół unosiła się woń przemokniętych wełnianych płaszczy, a w chwili, gdy ktoś wchodził albo wychodził, do środka wdzierała się wilgoć. Ena wyglądała na stroskaną i nieszczęśliwą.

Jennifer nachyliła się. - Jakiego błędu tak się pani obawia?

Ena westchnęła głęboko. - Decyzji o rozstaniu. Boję się, że okaże się błędem. Ale boję się również, że popełniam błąd, zostając z nim. Chciałabym dobrze wybrać.

- Czym się pani zajmuje zawodowo?

- Pracuję u adwokata. Tu w Scarborough.

- Dziś ma pani wolne?

- Wzięłam wolny dzień. Żeby mieć czas do namysłu. Ponieważ... zupełnie nie mogę się skupić. Nie mogę spać.

Jennifer skinęła na kelnerkę i zamówiła dwie kolejne filiżanki kawy. To mogło potrwać dłużej. Spodziewała się tego.

- Jak długo jesteście już razem ze Stanem?

Ena nie namyślała się ani chwili. - Od dwudziestego sierpnia. To była środa. Zaprosił mnie po kursie na lampkę wina, a potem wyznał, że... że się we mnie zakochał.

- Była tym pani zaskoczona?

- Gwen przez cały czas twierdziła, że wpadłam mu w oko. Z Gwen trochę się zaprzyjaźniłam. Jego firma budowlana pracowała w szkole od początku sierpnia. Niemal we wszystkich budynkach przestawiali ściany i powiększali pomieszczenia, dlatego prace się przeciągały. Stan wciąż jeszcze pracował, kiedy wszyscy pozostali już sobie poszli. Zajmował się jakimiś błahymi sprawami przed salą, w której mieliśmy kurs. Spoglądał na mnie... tak, sama to zauważyłam. Było to dla mnie coś nowego. To znaczy, że patrzy na mnie jakiś mężczyzna.

- Ale bywała tam pani jedynie w środy. Nie widywał pani zbyt często, zanim nie wyznał swoich uczuć.

- Owszem. Dlatego byłam sceptycznie nastawiona. Ale Stan wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia. Mówi, iż od razu wie, że się zakochał w jakiejś kobiecie. Pojawia się to u niego w pierwszej sekundzie albo wcale. A w moim przypadku... to była właśnie ta pierwsza sekunda.

- Nie wierzy mu pani?

- Wierzę - odparła nieswojo Ena - ale...

Kelnerka podała kawę. Jennifer zamieszała w filizance, choć nie dodała ani mleka, ani cukru. Pila czarną. Musiała jednak zająć czymś dłonie.

- Ale? Eno, co panią niepokoi? Dlaczego sprawia pani wrażenie tak... nieszczęśliwej, podupadłej na duchu? Czemu rozważa pani możliwość rozstania?

Ena się wahała. - Brakuje mi już oddechu - wyznała w końcu. - On mnie bez reszty osacza. Decyduje o wszystkim. Co będziemy jeść. Co będziemy pić. Czy wyjdziemy wieczorem czy nie. Co obejrzymy w telewizji. Kiedy położymy się spać. Kiedy wstaniemy. W co mam się ubrać. Jak mam uczesać włosy. O wszystkim. Pojmuje pani? O niczym sama nie mogę decydować, dosłownie. No chyba że jest w pracy. Wtedy mogę sobie pozwolić na coś takiego - po prostu posiedzieć z panią i napić się kawy. Ale wieczorem będzie chciał usłyszeć szczegółową relację z przebiegu mojego dnia. Wie, że dziś nie poszłam do pracy. Nie sposób tego przed nim zataić, bo często dzwoni do mnie do biura. Tak często, że mój szef zaczyna się irytować. Ale kiedy mu o tym powiedziałam, rozzłościł się. Powiedział, że powinnam poszukać sobie nowej posady. Będzie do mnie wydzwaniał tak często, jak tylko zechce.

Umilkła na chwilę, po czym podjęła cichszym głosem: - Jednocześnie jest bardzo troskliwy. A wtedy mam wyrzuty sumienia. I zastanawiam się, czy ja sobie tego wszystkiego nie wmawiam. Może po prostu potrzebuję czasu, żeby przywyknąć do myśli, że w moim życiu istnieje ktoś jeszcze. Może on jest zupełnie normalny. A ja reaguję jak histeryczka, bo jestem już takim dziwadłem, że... - Urwała wpół słowa.

W głowie Jennifer zrodziło się podejrzenie. - Czy to *on* tak mówi? Że jest pani histeryczka i dziwadłem? On zaś reaguje całkiem normalnie?

- Daje mi to do zrozumienia, owszem.

Jennifer starała się ostrożnie dobrać słowa: - Eno, ledwie panią znam. Pani przyjaciela również. W zasadzie nie powinnam pozwalać sobie na ocenę tej sytuacji i szczerze mówiąc, czuję się w tej chwili wciągnięta w coś, co właściwie przerasta moje siły. Ale to,

co pani mówi... cóż, ja również całkiem spontanicznie odniosłam wrażenie, że on jest człowiekiem wyraźnie dominującym. Może ma dobre chęci, nie bierze jednak zbyt pod uwagę, czego pani naprawdę pragnie, jakim właściwie jest pani człowiekiem. Może nie musicie od razu kończyć waszego związku. Może powinniście zachować dystans. Rozstać się na jakiś czas. Sprawdzić, co pani czuje, nie widując go przez kilka tygodni. Również on będzie miał wtedy okazję zastanowić się nad własnym postępowaniem. Zmienić je. Może on nie jest świadom tego, jak bardzo się pani męczy.

Ena miała wątpliwości. - On się na to nie zgodzi.

- Będzie musiał to zaakceptować - odparła Jennifer.

Ena skinęła głową, zamknięta w sobie, pogrążona w myślach. Po chwili znów spojrzała na Jennifer, tym jednak razem w jej oczach błyszczała determinacja, jakiej Jennifer przedtem w nich nie dostrzegała. - Jennifer, czy wyświadczy mi pani wielką przysługę?

- Jeśli tylko zdołam...

- Jest coś jeszcze. Coś, co mnie trapi bardziej niż cała reszta. Chciałam pomówić o tym z Gwen. Muszę z kimś porozmawiać, w przeciwnym razie oszaleję.

- Eno ja...

- Nie mam nikogo. Potrzebuję obiektywnej opinii, inaczej będę zupełnie zrozpaczona. Nie potrafię odnaleźć spokoju.

Zaniepokojona gwałtownością tych słów, Jennifer zapytała:

- Czy to również ma związek ze Stanem Gibsonem?

- Tak. Ale nie dotyczy naszego związku.

- Nie do końca rozumiem...

Ena sięgnęła do torebki przewieszanej przez oparcie krzesła i wyciągnęła z bocznej kieszonki pęk kluczy. - Proszę. To klucze do

jego mieszkania. Mogę tam wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcę. Teraz nie ma go w domu. Poszłaby tam pani ze mną?

Jennifer poczuła się nad wyraz nieswojo. Nie miała nic wspólnego ani z Eną Witty, ani ze Stanem Gibsonem. Nie знаła ich. Myśl o tym, żeby pod nieobecność zupełnie obcego człowieka wchodzić do jego mieszkania, zupełnie jej się nie spodobała.

- Nie możemy porozmawiać o tym tu, w kawiarni?

- Nie. Muszę coś pani pokazać.

- Niezbyt to dla mnie przyjemne - stwierdziła Jennifer.

- Proszę. To nie potrwa długo. Dziesięć minut. Ma pani tyle czasu?

Było pół do drugiej. Następny autobus do Staintondale odjeżdżał kwadrans po czwartej. Jennifer zdawała sobie sprawę, że będzie musiała wałęsać się bez końca po mieście, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć. Przysługa wyświadczona Enie Witty, o którą tak bardzo prosiła, oznaczała przynajmniej tyle, że może sensownie wypełni sobie czas.

- Tak, mam trochę czasu - rzekła w końcu - ale... Okay, pójdę z panią. Jednak dłużej niż te dziesięć minut na pewno w mieszkaniu nie zostanę.

Ulga malująca się na twarzy Eny była niemal namacalna.

- Dziękuję pani. Tak bardzo pani dziękuję. Stan mieszka niedaleko. Przy St. Nicholas Cliff.

- W takim razie chodźmy - odparła Jennifer, wyjmując z torebki portfel. - Jest pani pewna, że w południe nie wróci do domu? To mogłaby być przykra sytuacja.

- Dzisiaj pracuje na budowie w Hull. Na pewno nie przyjdzie. Poza tym, Stan mówi, że jego dom jest też moim domem. Pani jest

dobrą przyjaciółką Gwen. Nie miałby nic przeciwko temu, bym zaprosiła panią do nas.

Zapłaciły, po czym wyszły na ulicę. Tymczasem zaczęło padać. Mgła rozproszyła się, lecz promienie słońca wciąż nie mogły się przebić.

- Musimy pójść w dół Bar Street - powiedziała Ena.

Dlaczego to właśnie do mnie zwracają się zawsze ludzie potrzebujący pomocy? - zastanawiała się Jennifer. I dlaczego nie potrafię wyzbyć się tej roli, choć straciłam przez to pracę, zaufanie do samej siebie i samodzielność?

Ruszyła ulicą w ślad za Eną.

## 9.

- Do mnie czy do ciebie? - zapytał Dave.

Weszli po stromych schodach prowadzących z portu do miasta, a teraz stali w strugach ulewnego deszczu, przybierającego z każdą minutą na sile.

Leslie się zawahała.

- Nie wiem, jak się czujesz - podjął Dave - ale według mnie na dworze robi się coraz mniej przyjemnie. Nie mam ochoty siedzieć w jakiejś zatłoczonej kawiarni, w której człowiek czuje zapach przemokniętych płaszczy i w ogólnym gwarze nie rozumie nawet własnych słów.

Spojrzała mu w oczy. Piękne, inteligentne oczy emanujące energią, której Stephenowi zawsze brakowało. Oto człowiek, który nie potrafił zapanować nad własnym życiem, a mimo to nie roztaczał wokół siebie aury wiecznego nieudacznika. Tkwiło w nim za to mnóstwo owej siły, z jaką podejmował życiowe wyzwania. Dave Tanner pociągał ją jako mężczyzna; ta świadomość niemal ją przeraziła.

Jednakże już po chwili przerażenie gdzieś się rozplynęło, ustępując miejsca równie nieoczekiwanemu, co w dziwny sposób uszczęśliwiającemu poczuciu, iż Dave jest odpowiedzią na pytanie, które wciąż na nowo zadawała sobie od dwóch lat. Pytanie o *Potem*. Życie po rozstaniu ze Stephenem. Co jeszcze mogło czekać w życiu kobietę u progu czterdziestki, rozwiedzioną, odnoszącą zawodowe sukcesy, lecz w sferze prywatnej lękającą się samotnej przyszłości? Co wieczór samotny powrót do ciemnego mieszkania. Co niedziela samotne śniadanie. Każdy sobotni wieczór spędzany samotnie przed telewizorem, a do tego tyle alkoholu, że nikomu nie mogłoby to wyjść na zdrowie. I tak przez następne trzydzieści, czterdzieści lat?

Nagle pomyślała: ależ oczywiście, że istnieje przyszłość! Oczywiście, że znów się z kimś związę! Nie teraz, nie tuż po śmierci Fiony. Nie z Dave'em. Jest narzeczonym Gwen. Ale są jeszcze inni. I będę się mogła przed nimi otworzyć.

Jakby wiarołomstwo Stephena nakryło ją swego rodzaju szklanym kloszem, co prawda przezroczystym, tak że mogła patrzeć na świat i na życie, lecz tak hermetycznie zamkniętym, że nie była w stanie w nim uczestniczyć, nie mogła niczego do siebie dopuścić. Wykonywała swój zawód, energicznie i umiejętnie panowała nad codziennością, wewnątrz wszelako była oziębła, obca wszystkim ludziom, samotna. Niezdolna do odkrywania uczuć, jakimi darzyli ją inni, tym bardziej niezdolna do ich odwzajemnienia.

Coś się jednak zmieniło. Stała w deszczu nad brzegiem morza w Scarborough i potrafiła uznać pewnego mężczyznę za ujmującego. Nie przeszła obok niego obojętnie. Płakała skulona w jego ramionach.



Ledwie przed tygodniem uznałaby taką scenę za niedorzeczność.

Doktor Leslie Cramer przytuliła się do piersi obcego mężczyzny i wyszlochała z siebie cały chłód i zagubienie swego dzieciństwa i młodości. Była tym tak bardzo porzytowana, że o mało się nie roześmiała, raczej bezradnie niż radośnie. Zdołała się jednak powstrzymać. Śmiech do tej chwili zwyczajnie nie pasował.

- Myślałem, że napijemy się herbaty - odezwał się Dave - porozmawiamy, może posłuchamy muzyki. Nic więcej. Co w tym złego?

- Moje mieszkanie, a właściwie mieszkanie Fiony, nie jest chyba najlepszym miejscem - odparła Leslie. - Chyba że masz ochotę poznać mojego eks.

- Nie za bardzo - przyznał Dave.

- A więc do ciebie. - Leslie wolała nie myśleć, co powie Gwen na tę schadzke w pokoju Dave'a. Nie miała wrażenia, że igra z ogniem, uznała, że zarówno ona, jak i Dave znaleźli się w niejasnej dla nich obojga, kłopotliwej sytuacji, są zszokowani zbrodnią, która tak raptownie wkroczyła w ich życie, i właściwie żadne z nich nie wie, jak to wszystko może się dla nich zakończyć.

Mimo to Gwen wcale nie musi wiedzieć o ich spotkaniu. A co się w jego pokoju wydarzy, i tak zależy tylko ode mnie, postanowiła w myślach Leslie.

Ruszyli piechotą w zgodnym milczeniu. Oboje byli zupełnie przemoknięci, nawet nie zwracali już na to uwagi.

Przy brzydkiej pogodzie Friargate Road wyglądała na ponurą i opustoszałą. Deszczówka spływała po okiennych szybach, pluskała z rynien i wsiąkała w ziemię w maleńkich ogródkach. Z któregoś domu dobiegała hałaśliwa muzyka. Przed halą targową zebrało się

kilku nastolatków; słuchali muzyki ze swoich iPodów, popijali piwo, kopali puste puszki i marzli. Obrzucili Dave'a i Leslie wiązką obscenicznych wyzwisk, po czym wybuchnęli śmiechem, zdradzającym, że byli już mocno podpici.

Kiedy dotarli pod dom Mrs Willerton, z samochodu zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy wysiadł jakiś mężczyzna. W pierwszej chwili Leslie w ogóle go nie zauważyła. Mężczyzna, klnąc pod nosem, postawił kołnierz płaszcza i podbiegł do nich pędem przez deszcz. Jego twarz wydała się Leslie dziwnie znajoma, nie zdołała go jednak od razu rozpoznać. Przystanął tuż przed nimi, zagradzając im drogę. Podsunął im pod nos legitymację.

- Sierżant Reek - przedstawił się. - Mr Tanner?

- Witam, sierżancie - odrzekł uprzejmie Dave.

Reek schował legitymację do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

- Mr Tanner, muszę pana prosić, by niezwłocznie udał się pan ze mną do komisariatu. Inspektor Almond ma do pana trochę pytań.

- Teraz?

- Tak. Natychmiast.

- Jak pan widzi, sierżancie, mam gościa i...

- Natychmiast - powtórzył z naciskiem Reek.

Dave odgarnął z czoła kilka mokrych kosmyków. Nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego, lecz poirytowanego. - Czy to oznacza, że mnie pan aresztuje?

- Mr Tanner, chodzi wyłącznie o kilka pytań, na które musi pan niezwłocznie odpowiedzieć. Pojawiły się poważne wątpliwości odnośnie do pańskiego zeznania dotyczącego wydarzeń sobotniego wieczoru. W pańskim interesie leży możliwie szybkie ich wyjaśnienie. - Sposób mówienia oraz ton głosu Reeka, mimo całej

jego uprzejmości, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, iż Dave nie miał właściwie innego wyboru, jak tylko podporządkować się temu wezwaniu.

Dave spojrział po sobie. - Czy mogę szybko włożyć na siebie jakieś suche rzeczy? Szczerze mówiąc, kompletnie przemokłem, a nie chciałbym nabawić się w pańskim komisariacie przeziębienia, sierzancie.

- Pójdę z panem - oświadczył Reek.

Dave zwrócił się do Leslie. - Przykro mi. Nic na to nie poradzę.

- Co mogą mieć na ciebie, Dave? - spytała Leslie.

Wzruszył ramionami. - Nie mam pojęcia. Pewnie wszystko szybko się wyjaśni. Chcę jednak, Leslie, żebyś wiedziała, że cokolwiek mi zarzucają, nie zabiłem twojej babci. Podobnie zresztą jak Amy Mills. Nie włóczę się nocami po okolicy i nie morduję kobiet, przysięgam. Proszę, nie zwątp we mnie.

Skinęła głową, on jednak zdawał się wyczuwać jej zaniepokojenie, bo uniósł dłoń i równie bezradnym, co delikatnie ujmującym gestem dotknął jej twarzy. - Proszę - powtórzył.

- Nie zwątpię - zapewniła posłusznie, by po chwili zapytać samą siebie, dlaczego koniecznie chciała mu ułatwić całą tę sytuację.

- Mr Tanner - napomniał zniecierpliwiony Reek, moknący coraz bardziej na deszczu.

- Już idę - odparł Dave. Obaj mężczyźni odeszli w stronę domu Mrs Willerton. Leslie stała w strugach deszczu i spoglądała za nimi, obserwując scenę, która wydała jej się dziwnie nierzeczywista. Patrzyła, jak Dave wyciąga klucz i otwiera drzwi. Jak razem z sierżantem Reekiem wchodzi do środka. Jak drzwi zamykają się za nimi.

Dave Tanner ani razu się nie obejrzał.

10.

- To dziwne - powiedział Colin - że Jennifer jeszcze nie wróciła.

Stał w progu niewielkiego gabinetu. Gwen siedziała przy biurku przed włączonym komputerem i w skupieniu poruszała myszką wte i wewte.

Uniosła wzrok. - Niby czemu?

- Dochodzi już druga. Dzisiejsza aura to prawdziwa katastrofa. Co ona tak długo porabia w mieście?

- Siedzi w jakiejś kawiarni i czeka, aż deszcz nieco zelżeje, żeby przejść suchą stopą na przystanek - wyjaśniła Gwen w przystępie pragmatyzmu, którym dysponowała w nadmiarze, choć niezbyt często demonstrowała go innym. - Poza tym, jeśli spóźniła się na autobus o pierwszej, następny odjeżdża dopiero kwadrans po czwartej. My tu mamy prawdziwą prowincję!

- Hm - mruknął Colin.

Za nim zjawiły się Cal i Wotan. Wotan cicho skamlał.

- Psy za nią tęsknią.

- Na pewno niedługo wróci - odparła w roztargnieniu Gwen.

Colin wszedł do środka. - Gdzie twój ojciec?

- Położył się. Nie czuje się dobrze. Myślę, że śmierć Fiony dała mu się bardzo we znaki.

- No tak - przyznał Colin.

Spojrzeli na siebie ponad blatem biurka.

- Powiedziałaś przedtem... że Dave Tanner zna całą historię? - zapytał Colin przytłumionym głosem. Chad Beckett w każdej chwili mógł się pojawić na schodach.

Gwen westchnęła głęboko. - Tak.

- Dałaś mu ją do przeczytania?

- Tak.

- I jak zareagował?

- Jeszcze nic na ten temat nie mówił.

- Lektura chyba nie wpłynęła pozytywnie na opinię, jaką wyrobił sobie o Fionie.

- Pewnie nie - przyznała Gwen. Colin zauważył, że wygląda na bardzo zmęczoną. Zmęczoną i przygnębioną.

Dwadzieścia cztery godziny spędzone z narzeczoną chyba nie były zbyt miłe, pomyślał Colin.

Widząc, w jak kiepskim jest stanie, najchętniej zostawiłby ją teraz w spokoju, jedna wszakże kwestia ciążyła mu na sumieniu.

- Nie uważasz, że całą tę historię o twoim ojcu i Fionie powinna poznać policja? - zapytał ostrożnie.

Spojrzała na niego. W jej wzroku nie było wzburzenia ani przerażenia, lecz jedynie smutek. - Wtedy ojciec się dowie, że czytałam e-maile pisane do niego przez Fionę. Że je wydrukowałam i pokazałam tobie i Jennifer. I Dave'owi. A tego nigdy mi nie wybaczy.

- Może jest mu obojętne, czy ktoś poza nim pozna tę historię. Chad wydaje mi się jakby... omotany smutkiem z powodu utraty Fiony. Nie sądzę, by cokolwiek mogło go jakoś szczególnie zirytować.

- Mimo wszystko nie chcę, żeby się o tym dowiedział - stwierdziła Gwen. - I dlatego policja również nie może o tym wiedzieć. - Jej słowa zabrzmiały bardziej stanowczo niż zazwyczaj. Colin wiedział, jak bardzo była przywiązana do ojca. Poróżnienie się z Chadem byłoby dla niej prawdziwym ciosem. Poza tym nie chciała oczerniać jego dobrego imienia, wyjawiając jego przeszłość policji, a tym samym pewnie i opinii publicznej. To samo dotyczyło nieżyjącej Fiony. Pamięć o niej również zostałaby zszargana, a

przecież Fiona była dla niej przez lata jak matka. Gwen pękłoby serce, gdyby tych dwoje starych ludzi, którzy w jakimś sensie stanowili jej najbliższą rodzinę, a którzy nie mogli się sami bronić - Fiona już nie żyła, Chad zaś zamknął się w sobie - wystawiono na ostrze powszechnej krytyki z całą jej surowością i bezwzględnością.

- Gwen... - zaczął ostrożnie Colin, ona jednak przerwała mu zaskakująco ostrym tonem: - Policja musi się najpierw dowiedzieć o czymś zupełnie innym, Colin. O czymś, co wydaje mi się o wiele ważniejsze niż dawne dzieje.

- Co to takiego?

- Jennifer - odparła krótko.

Nie zrozumiał jej. - Jennifer?

Gwen nie patrzyła na niego. - Zadręczam się tym przez cały czas. Sobotni wieczór, Colin. Wiesz, że wszystkich nas pytano o to, co robiliśmy w chwili zabójstwa i gdzie wtedy byliśmy.

- Wiem. W czym problem?

Wydawało się, że Gwen zмага się sama z sobą. Colin uzmysłowił sobie potem, że tego, co następnie powiedziała, nigdy by nie wyjawiała, gdyby nie poczuła się przyparta do muru. Musiała go w jakiś sposób odwieść od dalszych nagabywań, nie chciała, żeby policja poznała historię Fiony. Uczyniła to w jedyny sposób, jakim dysponowała: skupiła swoją i jego uwagę na innej osobie. Mimo to, dziwnym trafem, ani przez chwilę nie wątpił w prawdziwość jej słów.

- Wkrótce po tym, jak dowiedzieliśmy się o śmierci Fiony, przyszła do mnie Jennifer - wyjaśniła. - Uważała, że mogę popaść w tarapaty, bo miałam prawdopodobny motyw, żeby ją zabić - bądź co bądź praktycznie przegnała mojego narzeczonego z farmy. Jennifer powiedziała, że mogę się znaleźć w kłopotliwym położeniu.

- W kłopotliwym położeniu... podczas policyjnego przesłuchania?  
- Tak. I miała rację. Istotnie, tamtego wieczoru tylko dwoje ludzi miało powód, żeby się rozzłościć na Fionę: Dave Tanner... i ja.

- No tak, ale...

- zaproponowała, że da mi alibi.

- Co takiego? - spytał osłupiały Colin.

- Uznała, że powinnam zeznać, że byłam razem z nią i psami nad zatoką. Ona to potwierdzi. Byłam... tak zbita z tropu, tak zastraszona, że się zgodziłam.

Colin był przerażony. - To znaczy, że tak naprawdę nie byłaś...?

- Nie. Nie byłam razem z nią nad zatoką. Przez jakiś czas siedziałyśmy w moim pokoju, pocieszała mnie, ale potem... poszła sama. Ja zostałam w domu. Przez całą noc. Czego nikt nie może potwierdzić.

Pokiwał głową. - Gwen, wiesz, co ty wygadujesz?

- Mówię to tylko tobie - odparła Gwen. - Nie powiedziałabym o tym nikomu, ale... nie daje mi to spokoju... Jennifer w chwili morderstwa włączyła się tam całkiem sama. Już wtedy przyszło mi na myśl, że mogło być zupełnie inaczej, rozumiesz?

- Inaczej? - spytał powoli Colin, jakby uderzony obuchem.

*Jak Jennifer mogła być tak głupia?*

- Że może nie chodziło jej wcale o to, by to *mnie* dać alibi. Że ona sama go potrzebowała. Nie sądzę, że ona... no więc, ani przez sekundę nie pomyślałam, że to ona mogłaby zamordować Fionę. Niby czemu miałyby to robić? Ale to dziwne, Colin, nieprawdaż? Dlaczego okłamała policję? Czemu zdecydowała się na takie ryzyko? Dlaczego koniecznie chciała się zabezpieczyć?

Wszystkie duże domy wielorodzinne przy St. Nicholas Cliff wyglądały na nieco zaniedbane, nie wyłączając budynku Grand Hotelu, którego fasada w ostatnich latach szczególnie ucierpiała od wiatru i soli. Dom, w którym mieszkał Stan Gibson, znajdował się przy górnym jego krańcu i sprawiał wrażenie bardzo zapuszczonego. Na parterze mieścił się sklep z modą damską, którego oferta, jeśli sądzić po wystawie, skierowana była do kobiet w średnim wieku i o raczej skromnych dochodach. Mieszkania powyżej miały małe okna; z zewnątrz widać było, że z trudem się domykają i wpuszczają do pomieszczeń niewiele światła.

Ogólnie rzecz biorąc, pomyślała Jennifer, nie jest to budynek, w którym chciałabym zamieszkać.

Z niemiłym uczuciem stąpała za Eną przez mroczną klatkę schodową. Strome skrzypiące stopnie. Okropna kwiecista tapeta na ścianach. Woń stęchlizny.

- Zaraz będzie lepiej - zapewniła Ena. - Jego mieszkanie jest naprawdę ładne.

Jennifer jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Na trzecim piętrze Ena przystanąła przed drzwiami i otworzyła je. - Sam je przebudował - wyjaśniła. - Właściciel się zgodził. Uważam, że rezultat prezentuje się całkiem nieźle. - Wpuściła Jennifer do środka.

Rzeczywiście, Stan Gibson stanął na wysokości zadania, Jennifer musiała to przyznać. Domyśliła się, że mieszkanie składało się uprzednio z kilku niewielkich i wąskich pomieszczeń. Stan zburzył jednak kilka ścian działowych i stworzył jeden duży pokój, który dzięki kilku pozostawionym słupom, po części połączonym z sobą drewnianymi regałami, sprawiał bardzo przytulne wrażenie. Kuchnia była otwarta, w całości utrzymana w



błyszczącej stali szlachetnej i czarnym granicie. W kącie, wokół sztucznego, lecz ładnie obmurowanego kominka, stała wielka sofa. Skandynawskie meble nie wyglądały na drogie, były jednak bardzo jasne i przyjemne dla oka. Lakierowane na biało drzwi prowadziły, jak wyjaśniła Ena, do sypialni, za nią mieściła się jeszcze łazienka.

- Cała w nowych kafelkach, z fajnym prysznicem, wielką umywalką i licznymi lustrami...

Jeśli już nie sam Stan, pomyślała Jennifer, to przynajmniej podoba jej się jego mieszkanie. Lepsze to niż nic.

Przeszła kilka kroków przez pokój i wyrzała przez okno. Jako że mieszkanie mieściło się na trzecim piętrze, widać było stąd morze. Poniżej budynku biegła szeroka ulica, której oba kierunki ruchu były oddzielone pasem zieleni. Naprzeciwko stało kilka domów mieszkalnych i sklepów oraz Grand Hotel.

Chyba nawet nieźle się tu mieszka, Jennifer zrewidowała w myślach swój pierwszy osąd.

Wzdrygnęła się, kiedy Ena stanęła nagle obok niej.

- W tym domu naprzeciwko - wskazała - mieszka Linda Gardner.

Budynek przywodził na myśl długi cienki ząb z ukruszonym nieco bokiem.

- Kim jest Linda Gardner? - zapytała Jennifer.

- To kobieta, u której pracowała Amy Mills. Studentka...

- A tak, już wiem - przerwała jej Jennifer. - Straszna historia. Przerazająca.

Podobnie jak nasza, dodała w myślach.

- Z tego domu naprzeciwko wyszła tamtej lipcowej nocy - wyjaśniła Ena - i skierowała się przez most do ogrodów Esplanade

Gardens. To jej ostatnia droga. Mieszkanie Mrs Gardner znajduje się na tej samej wysokości co mieszkanie Stana.

Jennifer przyjrzała się oknom. Mroczne pieczary obramowane falbaniastymi firankami.

Przeszedł ją dreszcz, być może z powodu szarej, deszczowej aury. Odwróciła się od okna. - Chciała mi pani coś opowiedzieć. I pokazać.

- Tak - odparła Ena - to właśnie chciałam pani pokazać. Ten dom naprzeciwko. Mieszkanie. I to tutaj. - Wyciągnęła z kąta pokoju trójnożny statyw, na którym zamocowana była czarna luneta.

Ustawiła go przed oknem.

- Stąd ją obserwował.

W pierwszej chwili Jennifer nie zrozumiała. - Kto? Kto kogo obserwował?

- Stan. Obserwował Amy Mills. Wieczorami, kiedy przebywała w tamtym domu. Przez tę lunetę doskonale widać mieszkanie, można dojrzeć wszystko. W każdym razie wieczorami, kiedy pali się światło. A ona przychodziła tam właśnie wieczorami.

- Co takiego? - spytała Jennifer, która co prawda rozumiała słowa Eny, miała wszakże nadzieję, że mimo wszystko czegoś jednak nie pojmuje. - O czym pani mówi, Eno?

- To nie jest jakiś mój absurdalny wymysł, Jennifer. On mi o tym opowiedział. Kilka dni temu. Stan wyznał mi, że podglądał Amy Mills, i pokazał, że faktycznie wszystko stąd doskonale widać. Mogliśmy zobaczyć Mrs Gardner i jej córkę. Czytała jej na głos i...

- Opowiedział pani o tym, że obserwował Amy Mills?

- Tak. Chyba całymi miesiącami. Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę... był z tego dumny. *Ta mała, która zginęła, dobrze ją*

znałem. Tak powiedział. A potem wyciągnął ten sprzęt. Byłam przerażona, ale on tego nie zauważył. Chwalił się tą swoją świetną lunetą i tym, że zna nawet... zna nawet kolor jej majtek. Wie pani, można stąd zajrzeć nawet do łazienki.

Jennifer dotknęła dłonią skroni. Poczowała delikatny tik. - Toto rzeczywiście niepokojące - powiedziała w końcu.

- Ale to jeszcze nie wszystko - oznajmiła Ena. Było po niej widać, jak wielką poczuła ulgę, że wreszcie może się komuś zwierzyć. - Przedwczoraj odkryłam coś, co... I od tej pory źle się z tym czuję... i wiem, że nie wolno mi tego wszystkiego ukrywać...

Pociągnęła Jennifer w stronę niewielkiej komody, uklękła przed nią i usiłowała otworzyć najniższą szufladę.

Jennifer nerwowo odwróciła się ku drzwiom. Czuła coraz mocniejsze mrowienie, wiedziała już, że nie ma to nic wspólnego z panującym tego dnia chłodem. - Jest pani absolutnie pewna, że on nie zjawi się tu niespodziewanie?

- Z Hull nie zdołałby w południe wyskoczyć ot tak, na chwilę, do domu - odparła Ena, lecz jej słowa nie zabrzmiały przekonująco.

- Szybko - ponagliła - proszę tu spojrzeć!

Wreszcie udało jej się wysunąć szufladę. Po same brzegi wypełniały ją zdjęcia - fotografie we wszelkich rozmiarach, kolorowe i czarno-białe. Niektóre były oprawione w ramki, niektóre zaś tkwiły w papierowych passe-partout. Ena chwyciła stos zdjęć i wcisnęła je w dłoń Jennifer, która przykucnęła obok. - Proszę!

Wszystkie fotografie przedstawiały młodą kobietę. W większości były to powiększenia o grubym ziarnie, widocznie zdjęcia zrobiono z dużej odległości. Ukazywały młodą kobietę podczas spaceru wśród skał. Na plaży. Kiedy szła ulicą. Wychodziła z supermarketu. Jadła

w McDonalddie. Siedziała w mieszkaniu. Czytała. Wyglądała przez okno.

- Kto to jest? - spytała Jennifer, choć znała odpowiedź. Jej głos zabrzmiał ochryple.

- To Amy Mills - odrzekła Ena. - Jestem tego pewna, ponieważ po zabójstwie jej zdjęcie stale publikowano w gazecie. Amy Mills praktycznie w każdej sytuacji. Widzi pani - wskazała dłonią zawartość otwartej szuflady - pełno tu tego.

- Większość zrobiono teleobiektywem - zauważyła Jennifer - i nie wygląda na to, żeby Amy Mills wiedziała, że ktoś ją fotografuje.

- On musiał ciągle za nią chodzić - stwierdziła Ena. - Przynajmniej w weekendy, kiedy nie pracował na budowie. Albo podczas urlopu. Wieczorami. I bez przerwy robił zdjęcia.

Jennifer przełknęła ślinę. Zupełnie zaschło jej w gardle. Znowu spojrzała w stronę drzwi.

- Czy zdjęcia także pani pokazał?

Ena potrząsnęła głową. - Nie. Jak mówiłam, sama je znalazłam. Nie rozmawiałam z nim o tym. Wie pani, już ta sprawa z lunetą wcale mi się nie spodobała, ale próbowałam sobie wmówić, że to zwykły przypadek, iż obserwował akurat Amy. Powtarzałam sobie, no cóż, po prostu bywała w mieszkaniu naprzeciwko, i to okropny przypadek, że później właśnie ona padła ofiarą mordercy. Ale te zdjęcia... to wygląda na...

- Był nią opętany - zauważyła Jennifer. - To, co tu widzimy, Eno, to *stalking*\*. Nawet jeśli ofiara nic o tym nie wiedziała.

\* Uporczywe, złośliwe nękanie jakiejś osoby, mogące wywołać u niej poczucie zagrożenia [przyp. tłum.].

- Stalkerzy to jednak niekoniecznie mordercy - odparła Ena.

Słowo *mordercy* zabrzmiało w cichym mieszkaniu niczym osobliwy dysonans. Dysonans tak ostry, tak przenikliwy jak jakaś szkaradna woń. Wyrwał on Jennifer z odrętwienia. Wstała, trzymając w dłoni zdjęcia. - O tym chciała pani rozmawiać z Gwen?

Ena także się podniosła. - Chciałam ją zapytać, co robić. Sama nie potrafiłam już sobie z tym poradzić.

Jennifer mocno przycisnęła do siebie zdjęcia. Jej wzrok znów powędrował w kierunku drzwi. - Musimy stąd uciekać. Jeśli nas tu zaskoczy...

- Sądzi pani, że on...?

- Tego nie wiem. Nie wiem, jak bardzo jest wplątany w morderstwo Amy Mills, nie wiem, jak bardzo niebezpieczny mógłby się dla nas okazać, ale przynajmniej tego drugiego wcale nie chcę wiedzieć. Chodźmy. Musimy stąd zniknąć.

- A potem?

- Te zdjęcia zabieram z sobą. I zaniemiemy je na policję. Eno, musi im pani wszystko opowiedzieć. Policja *musi o tym wiedzieć*.

Ena sprawiała wrażenie, jakby cała energia, która ożywiała ją przez ostatnie pół godziny, nagle ją opuściła. Jej ramiona zwisały jak zwiotczałe.

- A co się stanie ze mną? Po tym wszystkim on już nie będzie chciał mnie widzieć.

- Chce pani być z kimś, kto...

- Co takiego?

- Kto być może popełnił straszną zbrodnię?

- A co, jeśli to nie on?

Jennifer pomachała fotografiami. - Już samo to nie jest normalne! A luneta?! Tak czy siak ten człowiek ma jakieś zaburzenia. Poza tym i tak nie jest pani z nim szczęśliwa, o czym

mi pani rozwlekłe opowiadała. Eno, proszę, zbierajmy się! Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej!

Ena wreszcie odzyskała energię. Schyliła się, wsunęła szufladę.

- Tak. Dobrze. Spakuję tylko parę rzeczy. Mam tu już kilka osobistych drobiazgów, a nie wiem, czy jeszcze kiedyś... - Jej głos zadrżał.

- Byle szybko - ponaglała Jennifer.

Ponownie podeszła do okna, gdy tymczasem Ena biegła po mieszkaniu. Deszcz. Nic tylko deszcz. I ciemne okna w mieszkaniu naprzeciwko, w którym Amy Mills spędzała środowe wieczory.

Ciemne okna, które, jeśli tylko je rozświetlić, pozwalały na mnóstwo wejrzeń.

Stan Gibson. Podglądacz? Prześladowca?

A może morderca?

Deszcz.

Nagle zrozumiała, dlaczego była taka niespokojna. Dlaczego wciąż zerkała w stronę drzwi. Dlaczego jej serce bilo tak głośno i tak szybko.

Lało jak z cebra. W takim deszczu nie prowadzono prac na żadnej budowie. I nie zanosilo się na to, żeby deszcz miał wkrótce ustać.

Obróciła się do Eny, która właśnie zdejmowała z kominka dwa oprawione w ramki zdjęcia i wkładała je do plastikowej torby.

- Eno! Idę o zakład, że on wróci dziś wcześniej. Gotowa? *Musimy stąd uciekać!*

- Prawie - odparła Ena.

Jennifer znów wyjrzała przez okno, zlustrowała ulicę.

Jej głos wibrował. - Zabierajmy się stąd, i to już!

Kiedy Leslie wróciła do mieszkania, nie zastała w nim Stephena. W pierwszej chwili pomyślała, że może wyszedł na spacer albo dla zabicia czasu włóczył się po mieście, potem jednak zajrzała przez uchylone drzwi do pokoju gościnnego i zobaczyła, że brakuje torby podróżnej, która przez cały czas stała na krześle pod oknem.

Weszła do środka. Łóżko było starannie zasłane, drzwi szafy na ubrania otwarte, jej wnętrze puste. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkaniiec tego pokoju wyjechał.

Na nocnym stoliku Leslie znalazła kartkę zapisaną drobnym, mało czytelnym, odręcznym pismem Stephena:

*Droga Leslie,*

*czuję, że jestem dla ciebie ciężarem. Przykro mi, jeśli moje odwiedziny odebrałaś jako najście. Nie chciałbym, żeby moja obecność pogorszyła jeszcze twoje samopoczucie, i tak już wystarczająco złe z powodu śmierci Fiony - zapewniam, że nie było to moim zamiarem! Wręcz przeciwnie, chciałem ci pomóc, być w pobliżu, jeśli byś potrzebowała kogoś bliskiego, zaufanego. Mimo wszystko, jak sądzę, wciąż nim dla ciebie jestem: zaufanym człowiekiem.*

*Moją propozycję, żeby być blisko ciebie, gotów do rozmowy na wszelkie tematy, nadal podtrzymuję. Myślę jednak, że pewien dystans dobrze nam zrobi. Wynająłem pokój w Crown Spa Hotel, wiesz, niedaleko stąd, w dół ulicy. Zostanę tam jeszcze przez kilka dni, nie będę ci się jednak narzucał. Jeśli będziesz mnie potrzebować, po prostu wpadnij.*

*Sprawisz mi radość.*

*Stephen.*

Ot i cały Stephen. Taktowny, uprzejmy. Odsuwa na bok własne sprawy, a jednak w subtelny sposób wzbudza przez to poczucie winy. W jego obecności człowiek zawsze uznawał się za kogoś gorszego. Leslie uświadomiła sobie, że było tak nawet po jego miłosnej przygodzie: kiedy wreszcie zerwała ich związek, poczuła się jak jakiś nikczemnik. A przecież to on swą gorącą knajpianą miłością zbrukał ich małżeńskie łóżce.

Zmięła list i cisnęła go w kąt.

Podczas ulewnego deszczu samotność panująca w ogromnym budynku, w którym mieszkała jej babcia, wydała jej się jeszcze bardziej dojmująca. Zazwyczaj spojrzenie w dal wynagradzało wszystko: albo dzięki słonecznemu światłu, połyskującemu na błękitnych wodach zatoki, albo potężnym, skłębionym formacjom chmur na niebie. South Bay ukazywała cały swój urok przy pięknej pogodzie, lecz również podczas wietrznej i burzowej aury. Ale ta ołowiana, deszczowa, ponura beznadziejność dzisiejszego dnia nie budziła żadnych uczuć prócz jednego: poczucia beznadziejności właśnie.

W całym domu jak zwykle nie było słyhać żadnych odgłosów. Nigdzie nie skrzypiały drzwi, nie otwierały się ani nie zamykały okna, nawet nie szumiała woda w tej czy innej toalecie. Większość apartamentów była niezamieszкана, i tak miało zostać przez jesień i zimę. Dom tchnął chłodem i pustką.

Nagle, przez krótką chwilę, której intensywność prawie ją obezwładniła, Leslie mogła poczuć samotność, w jakiej zanurzona żyła jej babcia. Napełniło ją to fizycznym niemal bólem. W ciągu minionych lat Fiona przeżyła wiele takich właśnie dni: szarych, zimnych i przeszywająco cichych. Jakimś sposobem przetrwała je i nigdy się nie skarżyła. A jednak cierpiała. Leslie zrozumiała to w



tej chwili, choć nie potrafiłaby powiedzieć, skąd miała tę pewność. Być może po prostu kryła się w tych czterech ścianach, promieniując z taką mocą, że nie dało się jej zignorować.

Weszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę. Zastanawiała się z niepokojem, co policja może zarzucić Dave'owi. Czyżby podawała w wątpliwość jego zeznanie dotyczące sobotniego wieczoru?

To nie on. Nie on zabił Fionę. Mogłaby przysiąc, choć opierała się wyłącznie na własnym instynkcie, ten zaś był miernym probierzem przy ocenie kryminalnych skłonności innych ludzi. A ściśle mówiąc: żadnym. Dave utrzymywał, że wrócił do domu i położył się spać. Jeśli było inaczej, z jakiego powodu ukrywał prawdę?

Wrzuciła do kubka torebkę herbaty imbirowej, dodała nieco miodu i zalała wrzątkiem. Czekała, aż herbata się zaparzy, wyrzała przez okno nad zlewem, wychodzące na niewielki, zadbane park, który malowniczo okalał róg Esplanade i Prince-of-Wales-Terrace. Jakaś starsza kobieta, nie zważając na brzydką pogodę, człapała po błotnistej drodze. Czy ona także jest samotna? Czy dlatego nie wytrzymała dłużej w mieszkaniu i wymknęła się na dwór, ryzykując gripę lub nawet zapalenie płuc? Istnieją ludzie, którzy uznają samotność za chorobę najgorszą ze wszystkich, gorszą nawet niż śmierć. Czy Fiona się do nich zaliczała?

Leslie odwróciła się od okna. Jej wzrok padł na niewielką metalową tabliczkę wiszącą obok lodówki. Za pomocą magnesów można było przyczepiać do niej karteczki. Widniała tam lista zakupów, zapisana znajomym, wyrazistym, odręcznym pismem Fiony, po którym nie było widać drżenia ręki. Zanotowała: „cukier, zielona sałata” oraz „winogrona”.

Obok wisiała pocztówka, którą poprzedniego roku Leslie przysłała babce z wakacji, gdy razem z dwiema koleżankami wędrowała po Grecji. Widać było na niej słoneczną zatokę otoczoną przez skały, a nad nią niemal kiczowato błękitne niebo. Obok niej... Leslie podeszła bliżej. Afisz zapraszający na przyjęcie świąteczne do Spa Complex. Christmas Eve z udziałem brzuchomówcy i jaskrawo kolorowej lalki. Leslie odwróciła kartkę, której przednią stronę zdobiła odświętnie przybrana choinka. Hey Presto Dancers oraz Naughty Oscar, który ma pokazać niezwykle sztuczki. Zabawa dla całej rodziny - zachęcała ulotka - w ten najbardziej ekscytujący i magiczny wieczór roku.

Program pochodził z poprzedniego roku.

Dlaczego wciąż tu wisi? Czy Fiona tam poszła? Leslie wiedziała, że nic w tym występie by jej nie zaciekawiło ani nie rozbawiło. Nedorzeczny rwetes, przyjemny może dla dzieci, które nie wiedzą, jak spędzić czas do następnego poranka, kiedy będą mogły rozpakować prezenty. Ale starsza dama, odcytana, o krytycznym spojrzeniu, zrządzająca na każdy program komediowy nadawany w telewizji?

Czuła się samotna, nie wiedziała, jak przetrwać wigilię. To było jedyne wytłumaczenie. Boże Narodzenie, wielka, problematyczna rafa w kalendarzu, której samotni ludzie zazwyczaj nie potrafią opłynąć. Rafa tak mroczna, stroma i niepokojąca, że wybiera się nawet najbardziej nedorzecznią rozrywkę, byleby tylko nie siedzieć w osamotnieniu własnych czterech ścian.

Dlaczego nic mi o tym nie mówiła? - zastanawiała się Leslie.

Powróciła myślą do ostatnich świąt. Również dla niej był to kłopotliwy okres. Żeby uniknąć prawdopodobnego kociokwiku, dobrowolnie wyznaczyła sobie na ten dzień dyżur w szpitalu.

Poprzedni wieczór spędziła w jednym z pubów razem z dwiema znacznie od siebie starszymi koleżankami, z których jedna była wdową, a druga panną. Słowem, całkiem dobrze przebrnęła przez te trudne dni. Pełna wyrzutów sumienia zastanawiała się teraz, dlaczego ani przez chwilę nie pomyślała o babci. Nic prostszego, niż przyjechać na tydzień do Yorkshire i wspólnie z nią spędzić święta.

Bo była taką cholernie twardą, nieugiętą staruchą, pomyślała, to dlatego nikomu w ogóle nie przyszło do głowy, że święta mogą być dla niej udręką. To nie do pomyślenia, żeby cokolwiek mogło być dla niej kłopotliwe, niepokojące albo druzgocące. Być może żywiła takie uczucia jak smutek, zmartwienie czy strach, ale dlaczego nigdy nie okazała choćby najdrobniejszego ich przejawu?

Widocznie nie doszło też do spotkania na farmie Beckettów. Mogła przecież pojechać do Chada i Gwen. Chad jednak, ten małomówny dziwak, pewnie nawet nie wpadł na to, żeby ją zaprosić, Gwen zaś rzadko sama podejmowała jakiegokolwiek decyzje. Fiona z całą pewnością była osobą nazbyt dumną, żeby mogła wyjść pierwsza z taką propozycją.

I być może do ostatniej chwili żywiła nadzieję, że pojawi się u niej wnuczka.

Zadzwoił telefon, wyrrywając Leslie z pełnych poczucia winy rozmyślań. Podniosła słuchawkę i w tej samej chwili pomyślała: to chyba nie jest znowu ten anonim!

- Tak? - odezwała się.

To był Colin. Tym razem poszukiwał Jennifer. W jego głosie słychać było niezadowolenie, że kolejną wiadomość o zaginięciu znów musi przekazać akurat Leslie.

- Zamierzała zrobić zakupy i może wstąpić gdzieś na obiad. Wiem, że ostatni autobus odjechał o pierwszej, a następny jest

dopiero po czwartej, ale...

- W takim razie w czym problem? - zapytała Leslie. - Jest pół do trzeciej. Zatem może się jej pan spodziewać za nieco ponad dwie godziny.

- Pogoda - odparł Colin - oto problem. Chodzenie po mieście w deszczu nie daje dużo frajdy, więc pomyślałem, że mógłbym po nią przyjechać, gdybym tylko wiedział, gdzie się podziewa. Ale... u pani najwyraźniej jej nie znajdę?

- Nie - potwierdziła Leslie - tu jej nie ma. A poza tym, Colin, dowiedziałam się, że Gwen, za którą tak pan wczoraj rozpaczliwie wydzwaniał, spędziła noc u Dave'a Tannera. Tak jak przypuszczałam.

- Gwen tymczasem wróciła do domu - przyznał Colin - z pewnością za bardzo się o nią martwiłem. Ale moja żona też zamierzała przypuszczalnie odwiedzić Dave'a Tannera, co mnie... cóż, trochę zaniepokoiło.

- A to niby dlaczego?

- Może to pani sobie wyobrazić - odparł Colin.

Czyżby to była aluzja do faktu, że podejrzenie, jakoby Dave miał coś wspólnego z morderstwem Fiony, wciąż nie zostało oddalone?

Leslie powiedziała na głos: - Dziś rano spotkałam Dave'a w pobliżu portu i przez cały czas byłam razem z nim w mieście. Pożegnaliśmy się jakieś trzy kwadranse temu. Jeśli Jennifer chciała go zastać w domu, chyba jej się to nie udało.

- Hm - mruknął Colin. Trudno było powiedzieć, czy ta wiadomość go uspokoiła.

Leslie cicho westchnęła. - Colin, dręczy pana chyba jakiś problem, skoro kobiety w pańskim otoczeniu nie...

- Nic mnie nie dręczy - odparł Colin ostrym tonem - ale moja żona ma kłopoty i dlatego się o nią martwię.

- Na pewno nic się nie stało.

- Do widzenia - rzucił chłodno Colin i odłożył słuchawkę.

Leslie wzięła herbatę i przeszła do pokoju dziennego. Wzmianka o Davie Tannerze przypomniła jej o tym, że być może w tej chwili zмага się on z niemałymi trudnościami. Być może potrzebuje pomocy. Może znajdzie się coś w zapiskach Fiony. Będzie musiała przeczytać je wreszcie do końca.

Usiadła na sofie, popijała małymi łykami herbatę. Była bardzo znużona. Chętnie położyłaby się na chwilkę, tylko na kilka minut.

Odstawiła filiżankę i wyciągnęła się na sofie. Zasnęła, zanim zdołała o czymkolwiek pomyśleć.

### 13.

To nie było przesłuchanie. A przynajmniej Valerie nie chciała na razie wywołać takiego wrażenia. Poprosiła Dave'a Tannera do siebie do pokoju i wskazała miejsce po drugiej stronie biurka. Reek podał obojgu kawę. Gdy przychodziło do poważnych, ostrych rozmów, Valerie korzystała z innego pomieszczenia, pustego, bez okien, wyposażonego jedynie w stół i kilka krzeseł. Do tego etapu jeszcze z Tannerem nie doszła. Być może dlatego, że Tanner nie był jej głównym podejrzanym - choć nie odważyłaby się otwarcie tego przyznać. Jej instynkt i wszystkie zmysły wskazywały inny kierunek. Nie mogła wszakże pominąć sprzeczności wynikających z podanego przezeń opisu sobotniego wieczoru. Niczego nie mogła przedwcześnie wykluczać. Nie mogła sobie pozwolić na wyciąganie pochopnych wniosków jedynie z powodu presji zniecierpliwienia, jaką na sobie czuła.

*Nie mogła, nie mogła, nie mogła...*

Zastanawiała się przez chwilę, czy kiedyś wreszcie przestanie powtarzać sobie jak uczennica zasady postępowania funkcjonariuszy śledczych. Kiedy wreszcie przestanie tracić połowę energii na to, żeby kontrolować i porządkować swoje myśli. I trzymać na wodzy własny niepokój.

Nie rozmyślaj o tym w tej chwili, rozkazała sobie, skup się na Tannerze!

Obserwowała go. Właśnie wypił łyk kawy. Skrzywił się, bo napój był gorący. Nie wyglądał na człowieka świadomego swej winy, lecz był nieco skrępowany. To jeszcze nie świadczyło o tym, że się czegoś dopuścił. Większość ludzi woli spędzać czas w jakikolwiek inny sposób niż na przesłuchaniu w komisariacie policji.

- Mr Tanner, jak już poinformował pana sierżant Reek, istnieje kilka... nieścisłości dotyczących pańskiego zeznania, jakoby w sobotni wieczór wrócił pan do domu i położył się spać - zaczęła. - Dysponujemy zeznaniem jednej z pańskich sąsiadek...

Odstawił filiżankę na stół i spojrzał na nią w skupieniu.

- Tak?

- Pewna kobieta mieszkająca naprzeciwko widziała, jak około godziny dziewiętej wieczorem wyszedł pan z domu swojej gospodyni, wsiadł do samochodu i odjechał.

Dave westchnął. - Mrs Krusiński, zgadza się? Nic tylko dzień i noc obserwuje ulicę, bo żyje w panicznym strachu przed swoim byłym mężem. Czy uważają pani za osobę wiarygodną?

- To w tej chwili nieistotne. Chciałabym po prostu usłyszeć, co ma pan w tej sprawie do powiedzenia.

W głowie zakłębiło mu się od myśli, mogła to wyczytać w jego twarzy. Ma bardzo wyraziste rysy, zauważyła. Potrafiła nawet

rozpoznać moment, w którym skapitulował.

- Zgadza się - potwierdził. - Tamtego wieczoru raz jeszcze wyszedłem.

- Dokąd?

- Do pubu w pobliżu portu.

- Którego?

- The Golden Ball.

Valerie знаła ten pub. Zanotowała jego nazwę. - Czy był pan sam? To znaczy... umówił się pan z kimś?

Zawahał się nieznacznie.

Valerie rozparła się na krześle. - Mr Tanner, powinien mi pan powiedzieć prawdę. To nie jest zabawa. To dochodzenie w sprawie morderstwa. Z powodu sobotnich wydarzeń na pańskim przyjęciu zaręczynowym zalicza się pan do ścisłego kręgu podejrzanych. Fakt, że złożył pan fałszywe zeznania, nie przemawia na pańską korzyść, z czego na pewno zdaje pan sobie sprawę. Proszę nie pogarszać swojego położenia. Niech pan niczego nie przemilcza ani nie przeinacza.

Zebrał się w sobie. - Spotkałem się tam z pewną kobietą.

- Z kim konkretnie?

- Czy to istotne?

- Owszem. Będzie musiała potwierdzić pańskie słowa.

- Karen Ward.

- Karen Ward? - spytała zaskoczona Valerie. Już dwukrotnie rozmawiała z tą studentką w związku z dochodzeniem w sprawie morderstwa Amy Mills. Niewiele z tego wynikło. Karen Ward знаła Amy Mills jedynie przelotnie i w zasadzie nie potrafiła pomóc policji.

Jaki ten świat mały, pomyślała Valerie.

- Studentka ze Scarborough - powiedziała. - Mieszka w akademiku przy Filey Road, jeśli dobrze pamiętam. Róg Holbeck Road.

Przytaknął. - Tak. Wiem, że już z nią pani rozmawiała. Z powodu...

- Amy Mills, owszem. Idźmy dalej. Czyli spotkał się pan z Miss Ward?

- Zadzwoiłem do niej na komórkę. W soboty pracuje zazwyczaj w Newcastle Packet. To jest...

- Znam. Także przy porcie. Bar karaoke.

- Tak. Była bardzo zmęczona, powiedziała mi, że rozmawiała już z szefem i że zgodził się, żeby wyszła o dziewiątej. W knajpie nie było praktycznie żadnego ruchu. Zaproponowałem, że przyjdę po nią i wpadniemy gdzieś jeszcze na drinka. Zgodziła się. I tak wylądowaliśmy w barze Golden Ball.

- Około piętnaście, dwadzieścia po dziewiątej, domyślam się.

- Tak.

- Zapytamy o to zarówno Miss Ward, jak i obsługę baru, Mr Tanner. Muszę spytać o charakter pańskich kontaktów z Karen Ward.

Sprawił wrażenie odrobinę zbyt niefrasobliwego: - Byliśmy razem. Przez jakieś półtora roku.

- Byliście parą?

- Tak.

- Związek zakończył się, gdy poznał pan Gwen Beckett?

- Krótco potem, zgadza się. Ale już wcześniej nasze stosunki uległy ochłodzeniu. W każdym razie z mojej strony.

- Aha. Mimo to chciał się pan z nią koniecznie zobaczyć po swych nieudanych zaręczynach?



Wykrzywił twarz. - Niekoniecznie. Wieczór przybrał po prostu nieprzyjemny obrót i uznałem, że w żadnym razie nie położę się od razu spać. Bardzo chciałem gdzieś jeszcze wyjść. Karen i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. To dlatego do niej wtedy zadzwoniłem.

- Jesteście dobrymi przyjaciółmi? Po tym, jak przed trzema miesiącami rzucił ją pan dla innej kobiety?

Dave milczał.

- Czy Miss Ward wie, że jest pan, by tak rzec, zaręczony? - drażzyła Valerie. - Czy ona w ogóle wie o pojawieniu się w pańskim życiu Gwen Beckett?

- Podobno doniesiono jej o tym, owszem.

- Ale pan jej o tym nie poinformował?

- Nie wypierałem się tego. Chryste... o co tu właściwie chodzi, pani inspektor? O moje związki z kobietami?

- O pańską wiarygodność - odparła Valerie.

Zniecierpliwiony machnął ręką. - Moja sytuacja... moje życie prywatne jest obecnie... skomplikowane. Ale z tego powodu nie przemieniłem się w mordercę!

- Przypuszczam, że przez cały ten czas... podtrzymywał pan kontakt z Miss Ward, mam rację? Dla chwil, kiedy czuł się pan sfrustrowany? Ponieważ Gwen Beckett niezupełnie jest kobietą pańskich marzeń?

- Czy podlegam tu jakiejś ocenie moralnej?

- Dlaczego nie powiedział pan od razu, że poszedł ze swą dawną przyjaciółką do Golden Ball?

- Bo czeka mnie mnóstwo nieprzyjemności ze strony Gwen, jeśli ona się o tym dowie.

- Naprawdę? Czy ona jest aż taka zazdrosna? Mnóstwo nieprzyjemności tylko dlatego, że w obecności innych ludzi pije pan w jakimś pubie drinka z dawną przyjaciółką?

- Nie chciałem ryzykować.

- Dokąd poszedł pan potem? - zapytała Valerie.

Spojrzał na nią uważnie. - Potem?

- No cóż, kiedyś wreszcie wyszedł pan chyba z tego pubu. Nasz świadek obserwowała ulicę do późna w nocy, lecz pański samochód tam się nie pojawił. Golden Ball nie jest wiecznie otwarty! - Zagrała pokerowo. Marga Krusiński podała, że czuwała przy oknie do północy. Wizyta w pubie mogła tyle potrwać. Ale Tanner nie musi znać szczegółów jej zeznania.

Poruszył się niespokojnie na krześle, po czym oznajmił: - Okay, pani inspektor, wszystko jedno. Poszliśmy jeszcze do mieszkania Karen Ward.

- I został pan tam do...

- Około szóstej rano. Następnie wróciłem do siebie. Nie chciałem, żeby moja gospodyni dowiedziała się, że byłem poza domem, wybrałem więc taką porę, kiedy ona jeszcze śpi. Wziąłem prysznic, przebrałem się, a potem ruszyłem na dłuższy spacer. Pogoda była wspaniała.

- Czyli spędził pan całą noc u Karen Ward?

- Tak.

- A ona przystała na to, mimo że zamierza pan właśnie poślubić inną kobietę?

- Oczywiście, że przystała. W przeciwnym razie chyba nie zabrałaby mnie do siebie.

Zdaniem Valerie sytuacja przedstawiała się dość klarownie. Podejrzenia Fiony Barnes okazały się w pełni uzasadnione.

Zainteresowanie Dave'a Tannera osobą Gwen Beckett było czystą kalkulacją, miało służyć wyłącznie zdobyciu terenu należącego do farmy Beckettów. Jednocześnie spotykał się ze swą dawną przyjaciółką, młodą studentką, która od razu wydała się Valerie bardzo atrakcyjna. Znacznie lepiej pasowała do obytego w świecie Dave'a Tannera niż niepozorna, niedoświadczona Gwen Beckett. Co prawda wiedziała o istnieniu Gwen i pewnie przeżywała prawdziwą udrękę, jednakże uchwyciła się nadziei, że zdoła odzyskać Dave'a i pozwalała mu się do woli wykorzystywać.

Valerie zrozumiała coś jeszcze: Dave Tanner wcale nie porzucił zamiaru poślubienia Gwen Beckett. Karen Ward bowiem mogła dać mu alibi na noc, kiedy zamordowano Fionę Barnes. Mimo że znalazł się w niekorzystnej dla siebie sytuacji, dotąd nie posłużył się nim w kontaktach z policją - z obawy przed utratą Gwen. Zależało mu na tym, żeby rozpocząć nowe życie. Być może wszystko od tego właśnie zależało.

Sprawdzi jego zeznania, była jednak niemal pewna, że powiedział prawdę.

Podniosła się z krzesła. - W porządku, Mr Tanner. Może pan już iść. W tej chwili nie mam więcej pytań. Porozmawiamy z Miss Ward i z barmanem z pubu Golden Ball. Zakładam, że oboje potwierdzą pańskie zeznanie.

Również Dave wstał z miejsca. Nic nie mówił, lecz wiedziała, jakie pytanie ma na końcu języka.

- Mr Tanner, nie widzę powodu, żeby informować kogokolwiek z pańskiego otoczenia o naszej rozmowie. Jeśli potwierdzą się pańskie zeznania odnośnie do nocy, gdy dokonano zabójstwa, zostanie pan ostatecznie skreślony z listy podejrzanych. Spiszę

oczywiście raport, lecz pozostanie on wyłącznie do wiadomości policji.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Ciepły, pełen życia. Valerie pomyślała, że Karen Ward jest co prawda głupią gąską, skoro pozwala się w ten sposób wykorzystywać, rozumiała jednak, że kobiecie rzeczywiście trudno byłoby się rozstać z takim mężczyzną. Kiedy ona została ostatnio obdarowana takim uśmiechem? Zbyt dawno, żeby o tym pamiętać. Szybko otrząsnęła się z tej myśli.

- Dziękuję, pani inspektor - powiedział Dave i podał jej dłoń.

Uścisnęła ją.

- Moralna ocena pańskiego postępowania nie należy oczywiście do mnie, Mr Tanner. Dam panu jednak radę: niech się pan zdecyduje i wybierze jedną drogę. I niech nią pan podąży. Konsekwentnie. Wszystkie inne rozwiązania... po prostu się nie sprawdzają.

Ku jej zaskoczeniu Dave spowaźniał. - Wiem o tym. I jeszcze raz dziękuję. Za wszystko.

Wyszedł z pokoju.

Trochę zbyt długo za nim patrzyła. Przywołała się do porządku. Przestań, Valerie! Tacy mężczyźni tylko unieszczęśliwiają kobiety. To pewne jak amen w pacierzu. Skup się teraz na dochodzeniu.

Reek musi natychmiast udać się do pubu Golden Ball. A potem spróbować nawiązać kontakt z Karen Ward.

A wtedy skreślimy Dave'a Tannera z listy podejrzanych w sprawie zabójstwa tej starej Barnes.

Zadzwoił telefon. Był to sierżant Reek.

- Pani inspektor, mam Jennifer Brankley na drugiej linii. Mogę przełączyć? Mówi, że to pilne.

Dzwoni do niej Brankley? Czegóż ona od niej chce?

- Oczywiście - odparła - proszę przełączyć!  
Może wreszcie sprawa ruszy z miejsca.

14.

- Te zdjęcia rzeczywiście są... podejrzane. W najwyższym stopniu podejrzane - powiedział sierżant Reek.

Z iście akrybiczną dokładnością przejrzał zawartość szuflady z mieszkania Stana Gibsona, nie znalazł jednak niczego, co mogłoby służyć wyjaśnieniu sprawy morderstwa młodej kobiety. Bez wątpienia fotografie przedstawiały postać Amy Mills. Nie ulegało też wątpliwości, że młoda kobieta była stale obserwowana przez Gibsona - jeśli rzeczywiście to on był autorem zdjęć. Cały swój wolny czas musiał poświęcić na to, żeby śledzić i fotografować studentkę, kiedy tylko nadarzyła się po temu sposobność. Do tego doszło jeszcze zeznanie Eny Witty, wedle której obserwował on Miss Mills przez lunetę, kiedy przebywała w mieszkaniu Lindy Gardner.

Od rozmowy telefonicznej z Jennifer Brankley Valerie czuła wprost gorączkową ekscytację. To nie mógł być przypadek. Człowiek, który mieszkał w bezpośrednim sąsiedztwie domu, gdzie Amy Mills spędziła ostatni wieczór swego życia. Aktualnej dziewczynie wyznał, że obserwował Amy, gdy przychodziła co tydzień opiekować się dzieckiem, podglądał ją nawet w najbardziej intymnych sytuacjach. Jego szuflada w komodzie stojącej w pokoju dziennym pełna była fotografii zamordowanej.

I niech ktoś powie, że ten facet jest tylko niegroźnym pomyłencem!

A jednak niełatwo było wystarać się o nakaz rewizji.

Spotkała się z Eną Witty i Jennifer Brankley w mieszkaniu Eny. Ena była blada jak płótno, sprawiała wrażenie zupełnie

wytraconej z równowagi faktem, że jej nowy chłopak okaże się być może groźnym przestępcą. Valerie musiała przyznać, że takie odkrycie mogłoby zwalić z nóg nawet kobietę bardziej pewną siebie i zaradną niż Ena Witty. Przynajmniej Jennifer Brankley trzymała nerwy na wodzy. To pewnie ona była na tyle przytomna, żeby zabrać z mieszkania podejrzanego plik zdjęć, dzięki czemu Valerie, dosłownie, miała w ręku coś, co mogła podsunąć pod nos sędziemu.

- Wszystko odbyło się tak szybko - wyjaśniła Jennifer. - Panicznie się bałam, że Gibson nagle stanie w drzwiach. Porwałam zdjęcia, Ena spakowała jeszcze trochę osobistych rzeczy, a potem zmykałyśmy ile sił w nogach.

Valerie rozmawiała z Eną Witty bardzo ostrożnie. Korciło ją co prawda, żeby czym prędzej wydobyć z niej jak najwięcej informacji, młoda kobieta wyglądała jednak na tak wstrząśniętą, że w rozmowie z nią należało raczej zachować ostrożność.

- Powiedział, że obserwował Amy Mills przez lunetę, kiedy opiekowała się dzieckiem Lindy Gardner?

- Tak. Mówił to wiele razy. Pokazał mi też lunetę. Stoi w pokoju dziennym. Był dumny z tego, że tak dobrze mógł ją widzieć!

Do tego te zdjęcia... Valerie wiedziała, że musi się dostać do jego mieszkania. Najlepiej zanim jeszcze Stan Gibson wyczuje zagrożenie i zdoła usunąć obciążające go materiały.

- Nie wrócił jednak do domu, kiedy tam byliście? - upewniała się. - Czy może widział was, jak opuszczaliście mieszkanie?

- Niczego takiego nie zauważyliśmy - odparła Jennifer - i myślę, że zagadnąłby nas, gdyby nas zobaczył. Wie pani, strasznie się bałam z powodu tego deszczu. Ena mówi, że on pracuje na budowie w Hull, ale skoro leje jak z cebra, pewnie przerwą pracę. Myślałam, że w każdej chwili może wrócić.

- Sprawdzimy, gdzie przebywa - oznajmiła Valerie. - Gdzieś przecież musi się podziewać. Miss Witty, z pewnością dziś będę musiała z panią jeszcze rozmawiać. Zostanie pani w swoim mieszkaniu?

- Oczywiście. Ja... nie wiedziałabym, dokąd pójść. Boję się. On się strasznie zezłości, pani inspektor. Może on nie ma nic wspólnego z morderstwem Amy Mills. Nigdy mi tego nie wybaczy, że zgłosiłam się na policję...

- Nie było innego wyjścia, Eno, już to pani tłumaczyłam - powiedziała łagodnym głosem Jennifer. Valerie zrozumiała, że powiadomienie policji o bardzo dziwnym zachowaniu Stana Gibsona było wyłącznie zasługą Jennifer Brankley. Ena Witty sama nigdy by się nie odważyła na taki krok. Tak długo by zwlekała i narzekała, aż Gibson zauważyłby jej zakłopotanie i przynajmniej zdjęcia ukryłby w bezpiecznym miejscu.

- Zostanę przez jakiś czas z Eną - powiedziała cicho Jennifer, odprowadzając Valerie Almond do drzwi. - Myślę, że nie powinna teraz zostać sama.

Ta sytuacja dodaje jej sił, pomyślała Valerie, wyzwania dobrze jej robią. Nie odczuwa już takiego silnego napięcia. Sprawia wrażenie spokojniejszej i bardziej samodzielnej.

Sędzia wcale nie był zachwycony, kiedy Valerie pojawiła się u niego z wnioskiem o wydanie nakazu rewizji w mieszkaniu Gibsona. Było już po czwartej, zamierzał właśnie wyjść do domu i nie chciał w ostatniej chwili zajmować się szczególnie nielubianym problemem. Jeśli Gibson jest niewinnym obywatelem, który ma po prostu bzika, to media, skoro tylko zwietrzą sprawę, natychmiast podniosą larum o *pogwałceniu podstawowych praw*.

- Nie ma pani nic więcej do zaproponowania prócz tego podejrzenia? - zapytał z niechęcią. Wskazała na zdjęcia, które rozrzuciła mu na biurku. - To coś więcej niż tylko podejrzenie! Te zdjęcia to fakty! Całymi tygodniami i miesiącami śledził i po kryjomu fotografował Amy Mills.

- Póki ofiara nie wniesie zażalenia, nie jest to przestępstwo, którym musielibyśmy się zająć!

- Ofiara nie może wnieść zażalenia. Ofiara nie żyje.

- Pani inspektor...

- Obserwował ją przez lunetę, gdy przebywała w mieszkaniu naprzeciwko. Był nią opętany. Widać to aż nazbyt wyraźnie. Może fantazjował o niej jako o kobiecie swego życia. Kiedy nie chciała się dopasować do jego wyobrażeń, zabił ją. Sposób dokonania mordu świadczy o ogromnej wprost nienawiści i nieokiełznanej wściekłości. Dokładnie o tym, czego można się spodziewać, gdy odrzucony zostaje mężczyzna, który przedtem... - tu wskazała na fotografię - który przedtem żył w tak dziwnym świecie własnych fantazji!

- To są czyste przypuszczenia z pani strony!

- Które pewnie będę mogła potwierdzić, jeśli dostanę się do jego mieszkania.

- Dlaczego najpierw nie aresztuje pani Gibsona?

- Chwilowo nie można go znaleźć. Sierżant Reek skontaktował się z firmą budowlaną, w której pracuje Gibson. Był dziś przydzielony do pracy na budowie w Hull, lecz z powodu deszczu w południe przerwano tam prace. Dokąd udał się potem, nikt nie wie. Brygadzysta mówi, że kilku pracowników wybierało się na drinka, Gibson mógł się do nich przyłączyć.

- To nie jest zabronione.



- Owszem. Ale kiedy wróci do domu, od razu skontaktuje się ze swoją dziewczyną. Zauważy, że coś nie gra, bo ta młoda kobieta jest zupełnie wytrącona z równowagi. Chcę przeszukać mieszkanie *zanim* zniszczy wszystko, co może okazać się dla mnie wskazówką!

Sędzia mruknął coś pod nosem. Prawo przewiduje możliwość wydania zgody na przeszukanie mieszkania w przypadku, gdy istnieje szansa na zabezpieczenie istotnego materiału dowodowego w związku z czynem karalnym. Ponadto jest też możliwość przeszukania mieszkania bez informowania o tym właściciela, jeśli zachodzi uzasadnione podejrzenie, że powiadomienie go doprowadzi do zniszczenia przez niego tegoż materiału.

Valerie zagrała ostatnim atutem. Nic wielkiego, przełomowego, ot drobny puzzel w układance. - Sierżant Reek dowiedział się czegoś jeszcze, sir. Firma, w której pracuje Gibson, wznosi również budynek przy Esplanade Gardens. Gibson brał udział w tych robotach. To plac budowy, na którym przesunięto dwa parkany i ustawiono je w taki sposób, że zagroziły Amy Mills najkrótszą drogę do domu, przez co została zmuszona do przejścia przez najciemniejszy i najbardziej opustoszały fragment parku.

- Każdy przechodzień mógł przesunąć te parkany. Każdy głupawy nastolatek. Każdy włóczęga. Nie trzeba pracować na budowie, żeby się tam dostać.

- Nie. Ale kiedy się tam pracuje i całymi dniami patrzy na te parkany, z łatwością można wpaść na pomysł, żeby je wykorzystać i skierować kroki Amy Mills w odpowiednią stronę. Każdy punkt analizowany z osobna jest może faktycznie mało istotny, sir, przyznaję. Ale zebrane wszystkie razem stawiają tego Stana Gibsona w dość podejrzanym świetle. Decyzję o przeszukaniu mieszkania uważam za uzasadnioną.

Ostatecznie zdobyła potrzebny świstek. Może tylko dlatego, że sędzia chciał wreszcie pójść do domu i zrozumiał, że inaczej nie zdoła się pozbyć funkcjonariuszki. Potrafiła być bardzo uparta. Szczególnie w sytuacji, gdy czuła się przyparta do muru i wreszcie, *wreszcie* dostrzegła punkt zaczepienia, dzięki któremu śledztwo być może posunie się naprzód. Albo nawet dokona się w nim przełom.

Na razie jednak nic w mieszkaniu Gibsona na to nie wskazywało. Znalaziono opisany przez Enę statyw z lunetą, znaleziono dalszych pięćset zdjęć. To wszystko.

Zbyt mało, żeby oskarżyć o dokonanie morderstwa, pomyślała Valerie.

Za oknem zmierzchało. Dzień chylił się ku końcowi. Deszcz zelżał.

Czterech funkcjonariuszy przewróciło mieszkanie Gibsona do góry nogami. Nie znaleźli nic nadzwyczajnego. Valerie zbierało się na płacz, tak była przygnębiona. Musiała dziś skreślić Dave'a Tannera z listy podejrzanych. Wyglądało na to, że może się pożegnać z kolejnym kandydatem do tytułu głównego podejrzanego. Zanim jeszcze zdołała poważnie się nim zająć.

- Wszystko to nawet w przybliżeniu nie wystarczy, żeby oskarżyć o morderstwo - powiedziała zniechęcona.

Reek nie mógł zaprzeczyć. - Nawet żeby go aresztować, jeśli mam być szczery.

Żachnęła się. - Nakaz aresztowania! Jeśli pojawię się z tym u sędziego, z miejsca wyrzuci mnie za drzwi! I tak będzie zły, że dał sobie wydrzeć nakaz rewizji.

- Musimy przesłuchać Gibsona. Mamy niezbyt mocne karty, ale to nie znaczy, że nie mamy ich wcale. Śledził, a także naruszał sferę prywatności kobiety, która została następnie w brutalny

sposób zamordowana w środku nocy w parku. Będzie nam musiał to i owo wyjaśnić!

Na twarzy Valerie pojawił się zawzięty wyraz. - Na przykład gdzie był w nocy z zeszłej soboty na niedzielę, kiedy zamordowano Fionę Barnes.

Za plecami usłyszała śmiech. Odwróciła się. Reek również spojrzał w kierunku drzwi. Stał w nich mężczyzna o młodzieńczym wyglądzie, w dzinsach i sportowych butach. To mógł być tylko właściciel mieszkania. Stan Gibson.

- Chętnie to pani wyjaśnię - odezwał się. Uśmiechał się przyjaźnie, co wydawało się nad wyraz dziwne, zważywszy na bałagan panujący w pokoju dziennym oraz krzątających się tam policjantów. - Byłem w Londynie. Od sobotniego przedpołudnia aż do późnego popołudnia w niedzielę. W odwiedzinach u moich rodziców. Razem z moją przyjaciółką Eną Witty. Przedstawiłem ją rodzicom. Zarówno oni, jak i Miss Witty mogą to potwierdzić.

Valerie potrzebowała sekundy, żeby się otrząsnąć z zaskoczenia, przerażenia oraz zadziwienia absurdalnością sytuacji. Następnie zrobiła trzy kroki w kierunku obcego mężczyzny.

- Stan Gibson, jak przypuszczam? - spytała ostrym głosem. - Czy może pan okazać jakiś dokument tożsamości?

Pogrzebał w kieszeniach dzinsów, znalazł portfel, wyjął dowód osobisty i podsunął Valerie pod nos.

- Zadowolona? - Nadal się uśmiechał. - A... ech... *M'am*, a czy *pani* może się wylegitymować?

Wyciągnęła legitymację i pomachała nią razem z nakazem rewizji. - Inspektor Valerie Almond. A to jest sądowe zezwolenie na przeszukanie pańskiego mieszkania.

- Rozumiem. Dozorca już mi powiedział, że musiał otworzyć moje mieszkanie kilku funkcjonariuszom policji. Byłoby miło, gdyby mi pani wyjaśniła...

- Chętnie. Będę jednak pana prosić, by udał się pan ze mną do komisariatu. Musimy odbyć dłuższą rozmowę. O Miss Amy Mills. O jej zamordowaniu.

- Czy jestem aresztowany, pani inspektor?

- Chodzi jedynie o rozmowę - odparła uprzejmie Valerie, dodając w duchu: Ależ bardzo chętnie, ty dupku! Nawet nie wiesz, z jaką ochotą bym cię od razu przymknęła, razem z tym twoim ohydny uśmiechem!

Ten facet nie jest normalny. Ktoś, kto wraca do domu i widzi, jak policjanci przewracają jego mieszkanie do góry nogami, nie uśmiecha się bez przerwy w ten sposób. W każdym razie, jeśli jest niewinny. Stan Gibson miał mnóstwo na sumieniu, była o tym przekonana, a szczyrzył zęby od ucha do ucha, bo czuł się zupełnie bezpieczny. Ta sytuacja go bawiła. Miał ochotę na gierki z policją.

Tylko miej się na baczności, pomyślała.

- Może pan wezwać swojego adwokata - przypomniała mu z niechęcią jego prawa, lecz Gibson po chwili źle udawanego namysłu potrząsnął głową. - Nie. Po co? Nie potrzebuję adwokata. Możemy iść, pani inspektor. Chodźmy!

Spojrzał na nią tak, jakby właśnie zaprosił ją na piwo. Wesoło. Na luzie.

Zachowaj spokój, napominała się, gdy razem z Gibsonem i sierżantem Reekiem schodziła po schodach. O to mu właśnie chodzi, i to mu się nie uda. Powinien się przygotować. Zrzędzie mu mina.

Zawsze uważała, że ma nosa do psychopatów.

Poszłaby o zakład, że takiego właśnie ma przed sobą.  
Psychopatę najgorszego rodzaju.

Niezwykłe inteligentnego.

## Drugie dziecko.doc

11.

Minęło wiele, bardzo wiele czasu, nim znów zawitałam na farmę Beckettów. Znalazłam się tam dopiero rok po zakończeniu wojny. Powodem była moja matka. Ze szpitala wróciła odmieniona, już nigdy nie była taka jak przedtem. Znałam ją jako energiczną, rezolutną kobietę, czasem nieco ostrą i szorstką, lecz także wesołą i ufną. Taką, co to bierze, jak mawiają, życie za rogi. Kiedy jednak straciła dziecko, syna, którego tak gorąco pragnął Harold, zniknęły gdzieś jej optymizm i pozytywne myślenie o przyszłości. Nie tylko źle wyglądała, posiwiała i wychudła, sprawiała również wrażenie zatrwożonej, zdeprimowanej i bardzo nieszczęśliwej. Często wybuchała płaczem bez żadnego wyraźnego powodu. Całymi godzinami przesiadywała przy oknie i patrzyła przed siebie. Wszystko wywoływało w niej przygnębienie ponad miarę: wojna, miasto zniszczone przez bomby, źle ubrani ludzie, racjonowana żywność. Było to tak wstrząsające, gdyż wcześniej tego rodzaju przeciwności nie zdołałyby jej zniechęcić.

- Mogłoby być gorzej - mawiała zwykle *przedtem*.

*Potem zaś* mówiła: - Nigdy jeszcze życie nie było takie okropne jak teraz!

Tymczasem budziła się coraz większa nadzieja. Niemcy dostawali zadyszki. Na pewno przegrają tę wojnę, byli już o tym przekonani nawet najwięksi pesymiści - poza moją matką. Wszyscy się dziwili, dlaczego wciąż jeszcze brną dalej.

Los nazistów został ostatecznie przypieczętowany 6 czerwca 1944 roku, w tak zwanym D-Day, dniu, w którym zachodni alianci rozpoczęli akcję Overlord i liczone w tysiącach oddziały wielu narodowości wylądowały na rozległych plażach Normandii.

Francja wkrótce zostanie wyzwolona, powtarzali wszyscy, a potem przyjdzie kolej na inne kraje. Ze wschodu ku granicom Niemiec nadciągała ogromna armia rosyjska. Słuchając BBC, człowiek się zastanawiał, dlaczego Hitler natychmiast nie zarządził kapitulacji.

Zamiast tego tracił swoje siły zbrojne, najwyraźniej zdeterminowany, żeby się nie poddawać, póki w jego oddziałach służy choćby jeden żywy żołnierz.

- Wariat - mawiał często Harold - zupełny wariat! - Harold nie miał właściwie żadnego pojęcia o polityce, przyznawałam mu jednak rację, kiedy w ten sposób oceniał Hitlera. Nie potrzeba było wszakże szczególnej inteligencji, żeby dostrzec obłąd *Führera*.

Kiedy zatem wszyscy wyczekiwali końca wojny i pełni nadziei snuli plany na przyszłość, moja matka nie dała się porwać choćby jednej pozytywnej myśli.

- Zgoda, może wojna wkrótce się skończy - przyznała w końcu - ale kto wie, co przyjdzie potem? Może będzie jeszcze gorzej. Może zdarzą się jakieś okropne rzeczy, i kiedyś wspomnimy, że nawet bomby z czterdziestego roku nie były takie straszne jak wszystko to, co nastąpiło później!

W obliczu jej głębokiej depresji zupełnie poniechałam starań, żeby wrócić do Yorkshire, a przynajmniej odłożyłam je w czasie. Nawet wówczas, gdy naziści w odwecie za Overlord podjęli swego rodzaju ostatni zryw i znów zaczęli bombardować Londyn, tym razem za pomocą osławionych rakiet V2, ani przez sekundę nie rozważałam możliwości ponownej ucieczki. Zdawałam sobie sprawę, że mama mnie potrzebuje, mnie, jedyne dziecko, jakie jej pozostało. Nie mogłam jej zawieść. Niemal przyłgnęła do mnie, denerwując się, kiedy przychodziłam ze szkoły pół godziny później

lub marudziłam na zakupach. Pogodziłam się z jej stanem. Nie czułam się z tym dobrze, lecz cóż mi pozostało?

Będąc w Staintondale i tak nie nacieszyłam się obecnością Chada, gdyż walczył na froncie. Nasz kontakt listowny zupełnie zamarł, nie miałam adresu, pod który mogłabym przesłać mu wiadomość, on zaś... no cóż, nigdy nie lubił pisać. Później dowiedziałam się, że wziął udział w lądowaniu aliantów w Normandii, byłam nawet wdzięczna za brak wieści od niego w owym czasie. Byłabym oszalała ze strachu, słyszeliśmy przecież w wiadomościach, jak wielu żołnierzy przypłaciło tę inwazję życiem. Kiedy już wszystko dobrze się skończyło, czułam oczywiście wielką dumę, że brał udział w tym rozstrzygającym wydarzeniu.

Konieczność pozostania w Londynie nie była już dla mnie tak wielką udręką, prawdopodobnie także dlatego, że stan psychiczny mamy zmuszał mnie do wzięcia na siebie odpowiedzialności, dzięki czemu czułam się potrzebna. Pobyt tu nie wydawał się już tak bezsensowny.

Poza tym zmienił się też sam Harold. Oczywiście nie radykalnie, niemniej jednak słabość mamy pobudziła jego dobre strony. Już nie włączył się pijany po mieście, lecz po powrocie z pracy zajmował się wraz ze mną domem, a dopiero potem sięgał po alkohol. Był to jakiś postęp. Patrzyłam na niego inaczej, tamte bowiem dramatyczne zdarzenia, poronienie, moja ucieczka do Yorkshire, pokazały, że naprawdę kochał moją matkę i chciał ją uszczęśliwić, choć na swój własny sposób. Zależało mu na tym, żebym nie zadawała jej więcej bólu. Dlatego trzymałam się naszej umowy, by nigdy nie wyjawić mamie szczegółów mojego spieszego wyjazdu do Staintondale w lutym 1943 roku. Aż do swojej śmierci w roku 1971 nigdy się o tym nie dowiedziała.



W maju 1945 roku wojna dobiegła końca, ludzie tańczyli na ulicach. Winston Churchill pokazał się razem z rodziną królewską na balkonie pałacu Buckingham, tłumy wiwatowały na ich cześć i śpiewały *God Save the King* oraz *Rule, Britannia*. Byłam przy tym, zalewałam się łzami, kiedy tak trzymaliśmy się za ręce i intonowaliśmy najpopularniejszą i najbardziej patriotyczną - a także najbardziej sentymentalną - pieśń okresu wojny:

*There'll be blue birds over the white cliffs of Dover... tomorrow, when the world is free...*

Wiele rodzin opłakiwało poległych, ulice wciąż zalegał gruz, spoglądaliśmy jednak w przyszłość, uprzątaaliśmy zgliszcza, przystępowaliśmy do odbudowy. Byliśmy szczęśliwi, wiedząc, że nasi mężowie, synowie i przyjaciele są już bezpieczni, że już nie musimy obawiać się nalotów i drzeć o to, że naziści zdołają zająć naszą wyspę.

Koszmar minął.

W roku 1946 ukończyłam szkołę i... nie miałam pojęcia, co dalej. Mój radosny, wprost euforyczny nastrój z dni tuż po zakończeniu wojny nieco przygasł, przytłumiony świadomością, że muszę teraz wziąć sprawy we własne ręce. Nie wiedziałam jednak, dokąd mam skierować swe kroki. O czymże to ja rozmyślałam przez te wszystkie lata? Marzyłam o Yorkshire, wciąż próbując uporać się z każdym kolejnym dniem. Widziałam co prawda moją przyszłość zanurzoną w słonecznej poświacie, lecz na tym się zazwyczaj kończyło. Nie snułam żadnych możliwych do zrealizowania planów.

- A może coś związanego z opieką nad dziećmi - zaproponowała moja matka, kiedy pod koniec lipca siedzieliśmy z okazji moich siedemnastych urodzin przy kawie i torcie (białkowy puch zamiast

bitej śmietany), ja zaś użalałam się nad moją niepewną przyszłością.

- Zawód dziecięcej pielęgniarki uważam za wspaniały!

Od kiedy poroniła, wciąż rozmyślała o dzieciach. Nie biorąc za to pieniędzy, opiekowała się dziećmi z sąsiedztwa, chodziła z nimi na spacer, czytała im książki albo pomagała odrabiać lekcje. Haroldowi i mnie strasznie to działało na nerwy, nie odzywaliśmy się jednak ani słowem, zajęcia te bowiem najwyraźniej stanowiły dla niej pewien rodzaj terapii. Sama nie utrzymywałam kontaktów z nikim, kto nie miał przynajmniej czternastu lat. Od razu też odmówiłam. - Nie, mam, naprawdę. Nie umiem obchodzić się z dziećmi, przecież wiesz o tym!

- Według mnie najlepsza byłaby nauka księgowości - powiedział Harold. - W biurach stale poszukują pracowników, mogłabyś powoli piąć się w górę.

Brzmiało to śmiertelnie nudno.

- Nie. Sama nie wiem... Boże, chyba nic mi nie przyjdzie do głowy! - Gapiłam się ponuro na przeciwległą ścianę. Księgowa, pielęgniarka dziecięca. Równie dobrze mogłabym dać się pogrzebać żywcem.

Potem jednak moja matka sama wysunęła propozycję, która bardzo mnie zaskoczyła. - Może po prostu potrzebujesz nieco dystansu do Londynu. Do nas. Wyglądasz mi na kogoś, kto drepcze w ciasnej klatce i widzi przed sobą same tylko pręty, zamiast świata za nimi.

Spojrzałam na mamę zdumionym wzrokiem. Jej słowa dość dobrze oddawały mój wewnętrzny nastrój.

- W Yorkshire bardzo ci się spodobało podczas wojny - ciągnęła. - Może powinnaś tam pojechać na parę tygodni. Pospacerować nad

morzem, poczuć wiatr we włosach. Czasem wystarczy zmienić otoczenie, żeby ujrzeć przed sobą nowe możliwości.

Harold i ja, zaskoczeni, wymieniliśmy spojrzenia.

- Jakże ona się nazywa... ta kobieta, która cię wtedy przyjęła? Emma Beckett, prawda? Może znów mogłabyś u niej nocować? Oczywiście zwrócilibyśmy jej koszty, jakoś byśmy sobie poradzili.

Nie wspomnieliśmy mamie o mojej pamiętnej ucieczce, toteż nie wiedziała, że Emma już nie żyje. Lepiej, że nie poznała prawdy. Wątpię, by pozwoliła mi zamieszkać tylko z Chadem - jeśli on w ogóle przeżył wojnę - Arvidem i Niktosiem.

- Mamo, czy ty mówisz poważnie? - spytałam.

Była zdziwiona. - A czemuż by nie?

Ponownie spojrzałam na Harolda i upewniłam się, że nie puści pary z ust w sprawie śmierci Emmy.

Serce zaczęło mi mocno bić. Dzień był mroczny, nieprzenikniony. Teraz zaś przede mną rozbłysła promienna jasność.

Znów ujrzę wszystko to, co tak bardzo pokochałam. Chada. Farmę. Morze. Naszą zatokę. Rozległe pagórkowate pola Yorkshire.

I to z błogosławieństwem mamy.

## 12.

W sierpniu 1946 roku przybyłam do Scarborough. Ledwo postawiłam stopę na peronie, od razu wiedziałam, że znów znalazłam się w domu i nigdy więcej stąd nie wyjadę. Musiałam posłużyć się drobnym fortelem, ponieważ moja matka chciała porozumieć się z Emmą. Zapewniłam ją jednak, że jestem w stałym kontakcie z Beckettami i w każdym liście ponawiają swe zaproszenie dla mnie. Mamie wydało się to wiarygodne, gdyż nie uszła jej uwagi sympatia, jaką kiedyś darzyła mnie Emma.

Telefonu nie mieliśmy, podobnie zresztą jak Beckettowie na farmie, poczta zaś działała w owych powojennych latach powolnie i często dość zawodnie. Należało się spodziewać, że gdyby matka sama napisała do Beckettów, na odpowiedź trzeba by czekać bardzo długo, zakładając, że jej list w ogóle dotarłby do Staintondale. Ostatecznie przystała na to, żebym pojechała tam, by tak rzec, w ciemno. Kiedy wreszcie znalazłam się w pociągu, przeżegnałam się trzykrotnie. Aż do ostatniej chwili obawiałam się, że mama może się rozmyślić.

Mimo wszystko byłam jednak trochę zdenerwowana. Minęły przecież ponad trzy lata. Kogo albo co tam zastanę? Czy Chad żyje? A jeśli tak, czy wrócił na farmę? Co się stało z Arvidem? Może przemienił się w zgorzkniałego samotnego wdowca, który w ogóle się nie ucieszy na mój widok? Może popadł w alkoholizm i jest teraz w jeszcze gorszym stanie, niż był Harold w swych najlepszych latach? Tylko Niktoś pewnie nic a nic się nie zmienił. Miał teraz ze czternaście lat, lecz fakt, że nawet w wieku lat czterdziestu będzie się zachowywał jak małe dziecko, czynił go w pewnym sensie przewidywalnym.

Długo musiałam czekać na autobus. Dopiero pod wieczór dotarłam wreszcie do Staintondale. Na szczęście w sierpniu mrok zapada dość późno. Zmierzchało już, kiedy ruszyłam z głównej szosy przez pola w kierunku farmy. Dzień był chłodny i słoneczny. Wszystko, co z sobą zabrałam, dźwigałam w plecaku, a było tego niewiele. Czułam się wolna i szczęśliwa. Wokół mnie pasły się konie, owce i krowy.

A nad moją głową skrzeczały mewy.

Kiedy w oddali zobaczyłam farmę, zaczęłam biec. Nie tylko z radości, lecz także z trwożliwego zdenerwowania. Chciałam w

końcu wiedzieć, jak się rzeczy mają.

Letni wieczór stanowił dla farmy tło najlepsze z możliwych - zupełnie inaczej wyglądałaby w deszczowy dzień zimą. Mimo to byłam przerażona widząc, jak bardzo podupadła. Brama na podwórze wyskoczyła z zawiasów i widocznie nie dawała się już zamknąć. Stan ten trwa zresztą do dziś. Nigdy nie mogłam wyjść ze zdziwienia, że przez całe półwiecze nikt nie znalazł dość energii i determinacji, żeby się z tą sprawą uporać.

Zniszczone, nadające się tylko na złom narzędzia wszelkiego rodzaju zalegały podwórze, pomiędzy nimi biegały kury, które przedtem miały osobną, wydzieloną zagrodę. Wiklinowe ogrodzenia dla owiec wymagały natychmiastowej naprawy, nawet z murów wypadło tak wiele kamieni, że zwierzęta mogły się po nich wspinać. Dom wyglądał posępnie, jakby nikt w nim nie mieszkał. Zielsko pieniało się aż pod same drzwi. Zniknęła ławka, na której Emma tak chętnie przesiadywała w wieczornym słońcu, drewno pewnie zużyto na opał. Okna lepiły się od brudu. Mało prawdopodobne, żeby dało się przez nie podziwiać wspaniałe krajobraz.

Powietrze pachniało jednak jak dawniej. I morze z pewnością się nie zmieniło, i zatoka, i ta szczególna poświata, która spowijała wszystko pod wieczór.

Myśl o zatoce skłoniła mnie do powzięcia decyzji. Naraz zrozumiałam, dokąd powinnam pójść najpierw.

Postawiłam plecak przed drzwiami w kępie pokrzyw, po czym, uwolniona od ciężaru, lekkim krokiem ruszyłam w drogę.

Gdy tylko wynurzyłam się z mroku wąwozu i weszłam na plażę kąpaną w świetle zmierzchu, od razu dostrzegłam Chada. Słońce skryło się za skałami, morze barwił nieprzenikniony nocny błękit. Zatoka, tak zazwyczaj rozległa, ograniczała się teraz do wąskiego

pasa lądu. Jednakże kulminacja przyływu już minęła, woda powoli opadała.

Chad siedział na głazie, kryjąc twarz w dłoniach.

Powoli podeszłam bliżej.

- Dobry wieczór, Chad - odezwałam się w końcu.

Drgnął, uniósł wzrok i aż podskoczył. Wyglądał na zupełnie osłupiałego. - Fiona! Skąd się tu wzięłaś?

- Z Londynu.

- Co takiego? To znaczy... tak po prostu?

Nie zabrzmiało to tak serdecznie, jakbym sobie życzyła, lecz nie było również nieuprzejme. Po prostu był zupełnie zaskoczony.

- Czyli przeżyłeś wojnę - zagadnęłam niezbyt inteligentnie. Po chwili dodałam: - Nie można powiedzieć, żebym mogła zaczerpnąć tę radosną wiadomość z twojej ożywionej korespondencji ze mną!

Zakłopotany przeczesał dłonią włosy. Gest ten przypomniiał mi postać piętnastoletniego chłopaka, jakim był wówczas, kiedy go poznałam. Nawet w szybko gasnącym świetle wieczoru dostrzegłam, że już dawno przestał nim być. Miał teraz dwadzieścia jeden lat i zupełnie się zmienił. W tamtej chwili nie potrafiłabym jeszcze wyrazić w słowach, na czym dokładnie polegała ta przemiana, poza tym, że był o cztery lata starszy niż w dniu naszego ostatniego spotkania. Tego jednak należało się przecież spodziewać. Sądzę, że zafrapowało mnie głównie to, że postarzał się znacznie bardziej, niż można by oczekiwać. I nie chodziło tu o bruzdy i zmarszczki, lecz o wyraz jego twarzy, jego emocji. Nie wyglądał na dwudziestojednoletniego młodzieńca. Mógłby sobie liczyć lat trzydzieści albo i czterdzieści.

Dopiero kiedy rozmyślałam o tym w ciągu następnych tygodni, zrozumiałam, że to wojna okazała się prawdziwym grabieżcą czasu.

Mężczyźni, którzy będąc jeszcze niemal dziećmi, zgłaszali się na front niesieni patriotycznym zapałem, zwiedzeni naiwną zazwyczaj oceną tego, co ich tam czeka, w ciągu kilku miesięcy przeżyli więcej, nabyli sroższych doświadczeń aniżeli inni ludzie w trakcie całego życia. Widzieli, jak ich koledzy padają martwi, wciąż mieli przed oczami własną śmierć, zabijali, żeby nie zginąć. Trwali w lodowato zimnych, wilgotnych okopach, znosili szarpiący nerwy, ciągnący się całymi godzinami ogień artyleryjski, musieli słuchać przeraźliwych krzyków rannych. Nic im nie pozostało z dawnego, często beztroskiego, a przynajmniej bezpiecznego życia.

Alianci odnieśli zwycięstwo nad hitlerowskimi Niemcami; świadomość tego nadawała sens wszystkiemu, co mężczyźni tacy jak Chad musieli znosić. Nie miało to wszakże wpływu na obrazy, jakie będą w sobie nosić do końca życia. Nie miało to wpływu na bezwzględne okrucieństwo, z jakim z dnia na dzień przyszło im się mierzyć w życiu, którego żaden z nich wcześniej nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić.

Nigdy zresztą, ani wówczas, ani kiedykolwiek potem, Chad nie opowiadał mi o swych wojennych przeżyciach. Któregoś dnia, po latach, odkryłam na regale w jego gabinecie na farmie Beckettów rewolwer, leżący pomiędzy segregatorami. Na moje pytanie odparł tylko: - Moja broń. Z okresu wojny.

- Po co ją przechowujesz?

- Tak tylko. Może zjawi się kiedyś jakiś włamywacz.

Wzięłam ją do rąk. - Dość ciężka - stwierdziłam.

- Odłóż to! - wrzasnął na mnie. - Nie chcę już mieć z tym nic do czynienia!

Zrozumiałam. Nigdy więcej nie wspominałam o jego broni ani też nie odważyłam się wypytywać o tamten traumatyczny okres

jego życia.

Chad powiedział do mnie: - Przykro mi. Powinienem był się odezwać. To było... - tu wykonał gest przesyty - to było zbyt wiele.

- Jak się miewa twój ojciec?

- Nie daje rady. Nie robi już prawie nic w zagrodzie. Siedzi w domu i gapi się w ścianę. Nigdy nie mógł się pogodzić ze śmiercią mojej matki.

Wcale nie byłam tym zaskoczona. Już jako jedenastoletnia dziewczynka intuicyjnie wyczuwałam, że Emma była duszą farmy Beckettów, że to ona, w znacznie większym stopniu niż jej mąż, mobilizowała wszystkich do przewycięzania życiowych problemów. Bez niej Arvid stał się pustą skorupą. Pasował do wyobrażenia, jakie zawsze o nim miałam.

- Robię wszystko, co w mojej mocy - ciągnął Chad - ale ciężko rozruszać farmę doprowadzoną do zupełnej ruiny. W tych czasach...

Obrzucił mnie przenikliwym spojrzeniem. - Zmieniłaś się, jesteś już prawdziwą młodą kobietą - powiedział, zmieniając nagle temat.

Czułam, że się rumienię.

- Skończyłam szkołę - odparłam - i nie wiem, co mam dalej począć. Moja matka uważała, że muszę oderwać się na chwilę od codziennego życia w Londynie. Dlatego przyjechałam. Chętnie zostałabym tu na jakiś czas... jeśli mogę.

- Pewnie. Potrzebujemy do pracy każdej pary rąk - powiedział Chad i wyszczerzył zęby.

Nie to miał na myśli. Uśmiechnęłam się.

I naraz, w ciągu jednej chwili, znów stał się dawnym Chadem, jakiego znałam, chłopcem, który tak subtelnie odwzajemnił moje pierwsze egzaltowane uczucia. Rozłożył ramiona, a ja skryłam się w nich, rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa, jakim zdawał



się emanować. Tamtego wieczora na plaży chyba rzeczywiście mi je ofiarował; później jednak miało się ono okazać złudne. Nie wiem, czy z powodu wojny, czy też idąc w ślady zamkniętego w sobie ojca, Chad zmieniał się właśnie w małomównego, powściągliwego człowieka, którego miała cechować całkowita niezdolność do okazywania jakichkolwiek uczuć.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ów proces przemiany już się zaczął, byłam zresztą chyba za młoda, żeby to właściwie zrozumieć. Poza tym w tamtej chwili czułam się nazbyt zakochana i szczęśliwa, by myśleć o czymkolwiek innym. Gorycz i brzemie minionych lat rozplynęły się w nicość. Londyn, wojna, moja pogrążona w depresji matka, Harold, wszystko to nagle wydało się odległe i nieistotne. Ja wreszcie dotarłam. Do miejsca, do którego należałam. Do mężczyzny, którego kochałam.

Takie oto romantyczne myśli snułam w owej godzinie na pogrążającej się w mroku plaży. Niedługo potem zapadła noc, szum morza zmienił swe brzmienie wraz z nastaniem odpływu. Niebo było usiane gwiazdami. Sierpniowe noce cechowała szczególnego rodzaju magia. Kto wie, może ta czy inna gwiazda spadała właśnie do morza, w każdym razie wyobrażałam sobie potem, że tak być musiało. Tam, w tej kamienistej zatoce w Staintondale, kochaliśmy się po raz pierwszy.

Przyznaję, że brzmi to kiczowato. Ciepła letnia noc, gwiazdy, szum morza. Dwoje młodych ludzi. Pierwsza miłość. Przemienne poczucie szczęścia po latach niedostatku. Brzmi może nazbyt doskonale, ale muszę wyznać, że tak właśnie to postrzegałam, oczywiście przez pryzmat skłonności do idealizowania, jakiej człowiek ulega w latach młodości. Dziś pamiętam, że kamyki strasznie uwierały. Że cuchnęły wodorostami i morską trawą. Że po

niebie sunęły pojedyncze obłoki, przesłaniając co chwila gwiazdy. Że nie pojawiła się ani jedna spadająca gwiazda, która by znikła pośród czarnej kipieli, i że w końcu ochłodziło się na tyle, że zaczęliśmy marznąć. Wtedy jednak tego nie odczuwałam. Było jak we śnie, niczym niezakłóconym, niczym niezmaconym śnie. Absolutna bliskość Chada, stopienie się z nim zdało mi się najcudowniejszą chwilą mego życia. Wierzyłam w swej naiwności, jaka wówczas jeszcze mimo wszystko mnie cechowała, że od tej pory jesteśmy nierozzerwalnie z sobą złączeni.

Chad miał przy sobie papierosy, więc siedzieliśmy jeszcze jakiś czas na głazie, mocno do siebie przytuleni, i paliliśmy. Nie przyznałam się, że również i to robiłam po raz pierwszy w życiu, nie chciałam bowiem wyglądać w jego oczach zbyt dziecinnie. Możliwie spokojnie i pewnie zaciągałam się dymem, na szczęście nie musiałam zakasłać ani też się nie zakrztusiłam. Chad objął mnie ramieniem. Długo nie odezwał się ani słowem.

W końcu powiedział: - Zimno mi. Wracamy na farmę?

Dopiero wtedy zauważyłam, że ja też marznę. Skinęłam głową, co zdołał chyba zauważyć, gdyż podniósł się, ujął mnie za rękę i podciągnął w górę. W milczeniu, trzymając się za ręce, brnęliśmy po omacku przez wąwóz. Kiedy dotarliśmy na szczyt, odetchnęłam - gwiazdy i księżyc znów ofiarowały nam odrobinę światła.

Chad zaniósł mój plecak do domu. W środku było brudno, spostrzegłam to na pierwszy rzut oka. Zapach też nie należał do przyjemnych - jak gdyby psująca się żywność zbyt długo przeleżała w kuchni. Było jasne, że zewnętrzny upadek tego domu już dawno objął również jego wnętrze. Nie było to już owo co prawda skromne i ubogie, lecz mimo wszystko przytulne gniazdo, które stworzyła Emma. Panowały tam chłód, wilgoć i niechlujstwo. Nawet ja,

zawsze gotowa uznać farmę Beckettów, w jakimkolwiek byłaby stanie, za raj na ziemi, musiałam przyznać, że nie sposób poczuć się tu komfortowo. Byłam zdeterminowana, by już następnego dnia znów zaprowadzić tam ład i porządek.

Chad włączył światło w kuchni. Brudne naczynia zalegały w zlewie, na stole widniały resztki napoczętej kolacji.

- Ojciec widocznie położył się już spać - oznajmił Chad. - Niestety, zazwyczaj nie ma siły po sobie uprzątnąć!

Z odrazą spojrział na nadgryzione salami, chleb, z którego Arvid odrywał kawałki, zamiast odkroić kromkę, filiżankę do połowy napełnioną kawą, na której powierzchni pływały oka tłuszczu. - Z każdym dniem jest coraz gorzej!

- Posprzątam tu - zaproponowałam bez wahania, lecz Chad przytrzymał mnie za ramię.

- Nie! Ja po nim nie sprzątam i ty też nie będziesz! On nie jest chory, po prostu się nie stara. Nie potrafię tego zrozumieć!

- To się zepsuje, będzie cuchnąć. Pozwól mi przynajmniej włożyć kiełbasę do lodówki!

Na farmie mieli staroświecką lodówkę, do której trzeba było regularnie wkładać lodowe bloki. Okazało się jednak, że chyba od dawna nikt ich już nie uzupełniał, gdyż wewnątrz lodówki było równie ciepło, jak w całym pomieszczeniu. Leżało w niej kilka nieokreślonych produktów, które okropnie cuchnęły i już dawno należało je wyrzucić.

Chad wyglądał na nieco zakłopotanego. - Farma zabiera mi cały czas i wszystkie siły. O dom musi się zatroszczyć ojciec, ale... - Nie dokończył zdania. Aż nazbyt wyraźnie było widać, że domem nikt się nie zajmował.

W końcu zaniiosłam kiełbasę i chleb do pozbawionej okien spizarni, w której było ciemno i kilka stopni chłodniej niż w domu.

- Jutro musimy koniecznie postarać się o lód - powiedziałam takim tonem, jakbym była już gospodynią tej farmy.

Chad przytaknął. - Zajmę się tym. Obiecuję.

Staliśmy naprzeciw siebie, patrzyliśmy sobie w oczy. Pomyślałam: powiedz teraz, że mnie kochasz. Powiedz, żebym tu została na zawsze! Nie pozwól, żeby ta niezwykła noc minęła bezpowrotnie.

On jednak nie przestał spoglądać posępnym wzrokiem w stronę stołu. Było wyraźnie widać, że jest wściekły na ojca, i pewnie w ogóle już nie myślał o tym, co zaszło przedtem na plaży.

Nagle zrozumiałam, dlaczego przez cały czas czułam poirytowanie.

Czegoś mi brakowało. Kogoś, kto z pewnością zauważyłby nasze przybycie i wyszedł nam na spotkanie.

- A gdzie się podziewa Niktoś? - zapytałam.

Chad spuścił wzrok. W kuchni zaległa upiorna cisza. Usłyszałam, że gdzieś, prawdopodobnie w spizarni, coś zaszleściło. Pewnie mysz, pomyślałam.

Niemal złąkniona powtórzyłam pytanie.

- Chad! Gdzie jest Niktoś?

13.

- No więc - rzekł Chad rozwlekłe - dłużej się już nie dało.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole, tuż pod lampą, w której świetle Chad wyglądał na zmęczonego i posiwiąłego, ja zresztą pewnie podobnie. Chad otworzył butelkę piwa, chciał mnie poczęstować, ale odmówiłam. Traktowałam bardzo poważnie moje postanowienie, żeby unikać wszelkiego alkoholu.

Wieczór przemieniał się w noc. Kuchnia ze swym zapachem zgnilizny, wilgotne powietrze wewnątrz domu, przecucie, że czeka mnie coś strasznego. Dygotałam. Naraz poczułam się fatalnie.

- Co to znaczy: *dłużej się już nie dało?* - indagowałam.

Chad wlepił wzrok w swoją szklankę. - Nie był już tym małym chłopcem, jakiego pamiętasz. Nagle strasznie wyrósł, był duży jak na swój wiek - zresztą, nawet dokładnie nie wiemy, ile właściwie ma lat. Szacuję, że czternaście, może piętnaście. Jeszcze chwila, a przemieni się w mężczyznę.

Pomyślałam o wyrosłym, zdziecinniałym jasnowłosym młodzieńcu. Minęło ledwie trzy i pół roku, odkąd widziałam go po raz ostatni, lecz w tym czasie mógł się rzecz jasna bardzo zmienić. Z trudem mogłam to sobie wyobrazić.

- Tak... i co?

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie. - Fiona, jego umysł nie rozwija się wraz z nim. On nadal ma rozum małego dziecka, i to się już pewnie nigdy nie zmieni. Moja matka zawsze uważała, że on się pewnego dnia przebudzi, ale to nonsens. Niktós jest poważnie upośledzony, nic na to nie poradzisz.

- To przecież nic nowego - odparłam.

- Znałaś go jako dziecko. Był wtedy niedorozwinięty, lecz niegroźny. To się jednak zmieniło. On... - Chad urwał.

- Co takiego? - spytałam. Byłam coraz bardziej zaniepokojona.

- To się zdarzyło w marcu tego roku - odrzekł Chad - kiedy tu na podwórzu zjawiała się młoda kobieta. Jakaś obca, szukała pracy i dlatego objeżdżała okoliczne farmy. Pracy mieliśmy pod dostatkiem, ale żadnych pieniędzy na zapłatę. Musieliśmy ją odprawić Już miała odejść... gdy nagle z domu wyszedł Niktós.

Czekałam.

- Kobieta, jak mówiłem, była dość młoda. Nie miała nawet dwudziestu lat. Miała bardzo ładne, długie blond włosy.

Domyśliłam się reszty. - Niktós ją...?

- Podbiegł, wyszczerzył zęby i chwycił ją za włosy. Wydawał przy tym te swoje niezrozumiałe dźwięki, jak zawsze, gdy próbuje nawiązać rozmowę. Kobieta wyglądała na śmiertelnie przerażoną, usiłowała się wyrwać, on jednak wciąż szarpał ją za włosy. Potem sięgnął do jej piersi. Strasznie się przy tym ślinił. Był... zauważyłem to u niego po raz pierwszy... był silnie pobudzony. Kobieta zaczęła krzyczeć. Zdołałem odciągnąć go od niej i przytrzymać, wtedy rzuciła się do ucieczki. Gnała tak szybko, jak mogła. Ryknąłem na niego, lecz on nadal szczyrzył tylko zęby. Ledwie go puściłem, zaczął gwałtownie pocierać rękami krocze. To było odrażające. *On* był odrażający.

Zaschło mi w gardle, przełknęłam ślinę. - To... to naprawdę okropne.

Chad nachylił się. - I będzie coraz gorzej. Ma w sobie popęd mężczyzny, lecz rozum i dojrzałość małego dziecka. To znaczy, w ogóle nie potrafi zapanować nad pożądaniem. Nawet nie wie, co się z nim właściwie dzieje. Stanowi zagrożenie dla każdej napotkanej kobiety. A ojciec i ja nie możemy go przez cały dzień pilnować.

Sądziłam, że już wiem, co się potem wydarzyło, nieco się odprężyłam. Bądź co bądź już nieraz rozważaliśmy taką możliwość.

- A zatem oddaliście go do sierocińca - powiedziałam. - Z pewnością było to najrozsądniejsze, co mogliście uczynić.

Chad znów wlepił wzrok w szklanekę z piwem. - Sierociniec... tak, o tym też myśleliśmy z tatą. Ale... pojawiły się problemy...

- Niby jakie? - spytałam. Chad ponownie uniósł wzrok. Wtedy zobaczyłam, że go trochę zdenerwowałam, prawdopodobnie moją

tępotą, a także tym, że zmuszałam go do przypomnienia całej tej historii, zamiast po prostu zamilknąć i pogrzebać postać Niktosia i jego los w niepamięci.

- Chryste, Fiona, nie bądźże taka naiwna! Przecież nie można ot tak sobie przyprowadzić do sierocińca wyrosniętego chłopca i powiedzieć: cześć, ten tu mieszka u nas już prawie sześć lat, ale dłużej tak być nie może, zabierzcie go, proszę. Natychmiast mielibyśmy na karku jakichś urzędników. Od samego początku cała ta historia źle się potoczyła. Niktós w ogóle nie powinien był się znaleźć wśród ewakuowanych dzieci. Moja matka nie powinna go była zabrać na farmę. On nie powinien dorastać u nas, trzymany jako rodzinny, by tak rzec, sekret.

Powróciłam myślą do tamtego mrocznego wieczoru w listopadzie 1940 roku, do tamtej łąki opodal skromnego urzędu pocztowego w Staintondale. Zastraszone dzieci siedzące w kucki...

- Opiekunki transportu zgodziły się jednak, żeby Emma go zabrała - odparłam. - W tamtej chwili one także nie wiedziały, co z nim począć. Chciały to omówić z przełożonymi, a potem miały się odezwać. To przecież nie nasza wina, że tego nie zrobiły.

- Ale moja matka powinna była to zgłosić, kiedy zauważyła, że o sprawie najwyraźniej zapomniano albo ją przeoczono. Ona nie miała do niego żadnych praw. Nie był jej dzieckiem, choćby i przybranym. Był po prostu *drugim dzieckiem*, jak mawiał mój ojciec. Ty byłaś u nas oficjalnie, on nie. Matka nie powinna była całymi latami zatajać tego faktu.

- Chciała go chronić. W dobrej wierze.

- Najpóźniej po jej śmierci ojciec powinien był coś z tym zrobić. Sam nie wiem, co mu w tym przeszkodziło: letarg, przez który wszystko się wlokło, czy może swego rodzaju lojalność wobec mojej

matki. Nieważne. Wojna dobiegła końca, wróciłem do domu. I też nic nie zrobiłem. Jakoś... w ogóle nie przyszło mi to do głowy. W pewnym sensie przywykliśmy do jego obecności, właściwie nam nie przeszkadzała. Aż do... tamtego zdarzenia. Zdałem sobie wtedy sprawę, że to prawdziwa bomba zegarowa. Że wpadliśmy w poważne tarapaty. Ta kobieta mogła to przecież zgłosić. Mamy wielkie szczęście, że tego nie zrobiła.

Nachyliłam się. - *Gdzie jest Niktoś?* - spytałam, akcentując każde słowo. Powoli zaczynałam się obawiać, że mogli go utopić w wannie albo przepędzić na pełne morze.

- Nadarzyła się okazja - odrzekł Chad. - Ojciec chciał sprzedać stary pług, rozповідаłem o tym tu i ówdzie po okolicy. Pojawił się wtedy u nas pewien farmer z Ravenscar. Zobaczył też Niktosia wałęsającego się w pobliżu.

- I?

- Zapytał, kto to jest. Ojciec napomknął mu o problemie. Dziecko, które w trakcie wojennej ewakuacji trafiło na naszą farmę. Nie miało jednak rodziców ani krewnych. Nie wiedzieliśmy, co z nim począć... Ów farmer, nazwiskiem Gordon McBright, powiedział, że pilnie potrzebuje rąk do pracy u siebie na farmie. Oczywiście ostrzeżliśmy go. Że Niktoś do żadnej pracy się nie nadaje, nic nie rozumie, że narobi więcej szkód, niż przyniesie pożytku. Tato zwrócił nawet uwagę na jego ogromny apetyt, który nijak się ma do pracy, jaką jest w stanie wykonać. Ale ten McBright nadal twierdził, że Niktoś może mu się przydać. Więc razem z ojcem ostatecznie się zgodziliśmy.

Nie mogłam nie zapytać: - Niktoś... pewnie nie odszedł dobrowolnie?



Chad wstał gwałtownie. Wydawało się, że ta część historii irytowała go bardziej niż cała reszta.

- Owszem. Nie odszedł dobrowolnie - odpowiedział, stojąc odwrócony do mnie plecami.

Pewnie się bronił. Krzyczał. Walczył. Farma Beckettów była mu domem, jedynym bodaj miejscem, w którym czuł się pewnie, być może nawet bezpiecznie. Chad i Arvid oddali go w ręce jakiegoś zupełnie obcego człowieka i odesłali razem z nim. Znałam Niktosia i jego gwałtowne reakcje. Popatrzyłam na Chada, który nie potrafił spojrzeć mi w oczy.

Musiała się wtedy rozegrać przerażająca scena.

Przełknęłam ślinę. - Ale...

Chad odwrócił się do mnie, jego twarz wykrzywił grymas wściekłości.

- Do diabła, tylko nie praw mi teraz morałów! - prychnął, choć nie powiedziałam nic poza nieśmiałym *Ale*. - To ty nam nawarzyłaś tego piwa! Ty go z sobą przywlokłaś! Nie było cię tu całe lata, nie masz pojęcia, co ja miałem z tym wielgachnym i zarazem zupełnie tępym stworem! Ciebie nikt by nie pociągnął do odpowiedzialności. Byłaś dzieckiem, a teraz masz ledwie siedemnaście lat. Ciebie to nie dotyczy! Kto wie, jakie czekały nas kłopoty, ojca i mnie! Niktós powinien chodzić do szkoły, która specjalizuje się w opiece nad takimi dziećmi jak on. Jego miejsce jest w zakładzie opiekuńczym. Powinien być pod opieką fachowców. A zamiast tego wyrósł tu na jakieś dzikie zwierzę. Mogliby nam urządzić istne piekło. Jeszcze stanęlibyśmy przed sądem!

Jego głos nieco przycichł. - Fiona, rozejrzyj się dokoła - rzekł gorzko. - Walczymy tu o przetrwanie. Po śmierci mamy ojciec praktycznie nic nie robił, a ja byłem na froncie. Wszystko jest

zaniedbane i zrujnowane, siedzimy w długach po uszy. Nie chcę być zmuszony do sprzedaży gruntu. Haruję od rana do wieczora. Nie potrzeba mi jeszcze dodatkowych kłopotów. Żadnego urzędowego dochodzenia, po którym będę musiał nająć sobie adwokata, a nie mam go czym opłacić. Tylko dlatego, że umieszczę Niktosia w zakładzie opiekuńczym i tym samym podam informację o jego istnieniu do publicznej wiadomości. A zatrzymać go tu? Mam czekać, aż zgwałci jakąś kobietę? Mam czekać, aż kogoś zabije, bo ten ktoś będzie miał coś, czego on zapragnie? I co wtedy powiem policji? Fiona, łatwo ci teraz robić wielkie oczy, ale co byś uczyniła na moim miejscu?

Wstałam i podeszłam do niego. Chciałam mu pokazać, że go rozumiem, że nie jestem przeciwko niemu. Przecież go kochałam!

- Przepraszam, nie chciałam dać ci odczuć, że cię osądzam. Jakżebyś mogła? Z pewnością niełatwo ci przyszło podjąć tę decyzję.

Potrząsnął głową. - Owszem. Niełatwo.

Staliśmy blisko siebie. Zauważyłam, że Chad dygoce. Chciałam go jeszcze o coś zapytać, choć bałam się, że może to wywołać ponowny wybuch gniewu. Moje pytanie bowiem znów zaczynało się od słowa *Ale*. Mimo to odważyłam się.

- Ale... czemu ten Gordon McBright zdecydował się na to? Przecież on także może mieć kłopoty, jeśli Niktoś coś zbroi.

Chad wzruszył ramionami. - Mówiliśmy mu o tym. On jednak uznał, że nie będzie tym sobie głowy zawracał.

- Nie może go stale trzymać pod kluczem. Albo wiązać.

Chad ponownie wzruszył ramionami, zarazem jednak przygryzł wargi. Nagle odniosłam wrażenie, że tego się właśnie obawiał, lecz nie chciał o tym mówić: Gordon McBright istotnie tak postąpi.

Będzie trzymał Niktosia pod kluczem albo na uwięzi, kiedy tylko nie będzie mu potrzebny do pracy. Będzie go traktował jak niewolnika.

- Jaki... jest ten Gordon McBright? - spytałam nerwowo.

- Na dobrą sprawę w ogóle go nie znam - odparł Chad i spojrzał w mrok za oknem.

- Ale miałeś z nim kontakt.

Widać było wyraźnie, że Chad nie chce odpowiedzieć na to pytanie.

- To nieistotne.

- Gdzie on mieszka?

- W okolicy Ravenscar. Gdzieś na obrzeżach. Na odosobnionej farmie.

Ravenscar leżało nie tak daleko od Staintondale, kawałek drogi wzdłuż wybrzeża w kierunku Whitby.

- Mogłabym go odwiedzić - zaproponowałam. - To znaczy Niktosia. A przy tym poznać tego McBrighta.

- Nie rób tego! Niktós wpadnie w szal, kiedy cię zobaczy, a McBright...

- Tak?

- Jeszcze poszczuje na ciebie psa albo wyceluje do ciebie z broni. Podobno reaguje brutalnie, jeśli ktoś zbliży się do jego farmy. On nie potrafi rozmawiać z innymi ludźmi. Wątpię, żeby pozwolił ci podejść do farmy bliżej niż na tysiąc kroków.

- Skąd o tym wiesz?

- Wypytywałem o niego kilku ludzi z Ravenscar - mruknął Chad niewyraźnie.

*Jak on i Arvid mogli oddać Niktosia takiemu człowiekowi?*

Nie miałam odwagi wypowiedzieć tego pytania na głos, gdyż bałam się ponownie rozgniewać Chada. I tak już czułam się przyparty do muru, musiał się usprawiedliwiać, a przy tym sam miał - było to wyraźnie widać - niemałe wyrzuty sumienia na myśl o losie Niktosia. Owszem, podzielałam to uczucie, ledwie udawało mi się ukryć przerażenie. Nigdy nie żywiłam do Niktosia szczególnej sympatii, był dla mnie przede wszystkim ciężarem, lecz w jakimś sensie stał się częścią życia na farmie Beckettów. Będąc już dojrzałą siedemnastolatką, czułam się odpowiedzialna za tego bezbronного chłopca.

Postanowiłam, że bez względu na wszystko odwiedzę go w nowym domu, choć ostrzeżenia Chada rzecz jasna napełniły mnie lękiem. Wmawiałam sobie, że Gordon McBright nie może przecież strzelać do każdego niegroźnego wędrowca, jaki zawita na jego farmę - w przeciwnym razie już dawno znalazłby się w więzieniu.

- Jestem zmęczony - odezwał się Chad - a jutro muszę wstać bardzo wcześnie. Chyba położę się spać.

Sądziłam - i miałam nadzieję - że poprosi mnie, żebym poszła z nim do jego pokoju. Myślałam, że spędzimy tę noc razem, przytuleni, trzymając się w objęciach. Chad jednak nic więcej nie powiedział, tylko wyszedł z kuchni. Zaraz potem usłyszałam odgłos jego kroków na schodach.

Napiłam się jeszcze trochę wody, po czym zgasiłam światło i poszłam na górę. W moim dawnym pokoju nic się nie zmieniło - pomijając to, że wszystkie meble pokrywała gruba warstwa kurzu, pościel zaś, ta sama, w której spałam podczas mojej ostatniej wizyty w roku 1943, najwyraźniej nie została zmieniona ani wyprana, i cuchnęła stęchlizną. Natychmiast otworzyłam okno,

żeby wpuścić do środka nieco świeżego, chłodnego nocnego powietrza. Przycisnęłam dłonie do rozpalonej twarzy.

Zbyt wiele wszystkiego. Zaczarowane godziny na plaży. A potem nagle zmiana nastroju, kiedy zaczęliśmy rozmawiać o Niktosiu. Od tej chwili rozdzielił nas bolesny dla mnie dystans. Tak samo bolesny jak upadek farmy Beckettów, brud i dewastacja wszędzie, gdzie tylko spojrzeć.

Zrozumiałam coś jeszcze: byłam rozczarowana zachowaniem Chada. I to mnie najbardziej dotknęło. Zawsze wszystko mu wybaczalam: protekcyjność, z jaką mnie z początku traktował, fakt, że nie powiadomił mnie o śmierci swej matki i o wyruszeniu na front, że rzadko odpisywał na moje listy, że zostawił mnie w niepewności, czy aby w ogóle przeżył wojnę. Nie brałam tego wszystkiego do siebie. Przecież go znałam. Nie był człowiekiem skorym do wynurzeń i nigdy takim nie będzie. Potrafiłam to przeboleć. A jednak sposób, w jaki pozbył się Niktosia, budził we mnie przerażenie. Jak wielkie? Tamtego wieczoru nie potrafiłam tego jeszcze w pełni ocenić. W łączące nas uczucia wsączyła się trucizna, jej działanie było powolne. Chad wyjawiał mi motywy swego postępowania. Zrozumiałam je. Potrafiłam je sobie wytłumaczyć. A jednak uznałam za niewystarczające, żeby drugiemu człowiekowi uczynić to, co on zrobił Niktosiu.

Pocieszałam się myślą, że być może w moich oczach wszystko to wyglądało gorzej, niż było w rzeczywistości. Równie dobrze jednak wszystko mogło się okazać jeszcze gorsze, niż potrafiłam sobie wyobrazić.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Rozmyślałam.

Było mi smutno.

Już nazajutrz wybrałam się w drogę do Ravenscar. Gdy po przebudzeniu usłyszałam, że Chad krząta się z samego rana w kuchni, rozmyślnie pozostałam w łóżku. Nie chciałam odpowiadać na jego pytania, co zamierzam robić przez cały dzień, wtedy bowiem musiałabym go okłamać. Choć zupełnie wybita ze snu i zdenerwowana, długo jeszcze leżałam w pościeli; wstałam dopiero wtedy, gdy przez pewien czas nie słyszałam w domu żadnych dźwięków.

Istotnie, Chad już wyszedł. Zniknął też jeep zaparkowany zwykle na podwórzu, co pozwalało mieć nadzieję, że oddalił się spory kawałek drogi od farmy i nieprędko wróci. Nie widziałam też nigdzie Arvida. Pewnie jeszcze spał.

Nie marudziłam długo przy śniadaniu, lecz zaraz pobiegłam do szopy, w której Emma zwykle trzymała rower. Rzeczywiście, stał nadal oparty o ścianę, nawet kosz, w którym przewoziła zakupy, wciąż był przytwierdzony za siodełkiem.

Oczy mi zwilgotniały. Bardzo zatęskniłam za Emmą.

W oponach było niewiele powietrza, miałam jednak nadzieję, że jakoś zdołam dojechać do Ravenscar i wrócić. Nigdzie nie mogłam znaleźć pompki, nie chciałam tracić czasu na poszukiwania. Bądź co bądź nie miałam pewności, czy Chad nie zjawi się lada moment.

Dzień był pochmurny, w nocy zerwał się wiatr z północy. Powietrze było chłodne i suche. Wprost idealne na rowerową wycieczkę. Jazda po polnych drogach sprawiała mi jeszcze nieco trudności, lecz kiedy dotarłam do wąskiej szosy, całkiem żwawo posuwałam się naprzód. Matka włożyła mi do plecaka czekoladę, której nawet nie napoczęłam; wiozłam ją teraz w koszyku dla Niktosia. Na pewno się ucieszy, ja zaś obiecuję mu częściej go odwiedzać i zawsze przywozić mu coś dobrego. To go z pewnością

rozweseli - o ile w ogóle jest przygnębiony. Może spotkam całkiem zadowolonego młodzieńca.

Wraz z nastaniem świtu obudziła się we mnie ufność. O ile w nocy los Niktosia postrzegałam w mrocznych barwach, o tyle teraz, o poranku, cała historia nie wydawała mi się już tak groźna. Być może u Gordona McBrighta będzie mu nawet lepiej niż u Arvida, który marniał w oczach, i u Chada, który za dnia nie miał dlań ani chwili czasu. U McBrightów dadzą mu przynajmniej jakieś zajęcie. Nawet jeśli Gordon jest człowiekiem szorstkim w obejściu, jak większość farmerów na północy, nie znaczy to jeszcze, że musi być nieludzki i okrutny.

Ravenscar to miejscowość złożona z niewielu domów, wówczas tylko nieznacznie mniejsza niż dziś, uroczo położona na wzniesieniu, ze wspaniałym widokiem na pobliską zatokę oraz rozległy, zielony pagórkowaty teren. Rozrzucone po okolicy farmy przypominały kleksy pośród zieleni. Oczywiście nie miałam pojęcia, która z nich należy do McBrightów, postanowiłam o to zapytać.

Ktoś na pewno udzieli mi informacji.

- McBright? - spytała kobieta stojąca za ladą niewielkiego warzywniaka przy plaży, w którym sprzedawała główki sałaty i fasolę z własnej uprawy. - A czegoż pani u *niego* szuka?

- Chcę kogoś odwiedzić - odparłam zgodnie z prawdą.

Popatrzyła na mnie, jakbym postradała zmysły. - Chce pani odwiedzić Gordona McBrighta? Stanowczo odradzam, moja droga. Ten człowiek jest... - tu popukała się w czoło.

Nie dodała mi tym otuchy, poprosiłam jednak, żeby mi wyjaśniła, jak dotrzeć do jego farmy. Raz zmyliłam drogę i znów musiałam o nią zapytać na innej farmie. Również i tam kiwano głową.

- Ale pani odważna - rzekł pewien rolnik, mierząc mnie zdumionym wzrokiem.

- Chcę tylko odwiedzić starego przyjaciela - mruknęłam, po czym odwróciłam się i wsiadłam na rower. W głębi ducha miałam nadzieję, że ktoś zagadnie mnie o Niktosia. W końcu mieszkał u McBrighta od niemal pół roku, więc ludzie mogli się już dowiedzieć o jego istnieniu.

Poczułabym głęboką ulgę, gdyby słysząc moje słowa: *chcę odwiedzić starego przyjaciela*, ktoś mi odpowiedział: - Ach, ma pani pewnie na myśli tego miłego chłopca, który mieszka u Gordona! Trochę on upośledzony na umyśle, ale całkiem nieźle się rozwija. Dużo pomaga na farmie. Dla Gordona jest jak rodzony syn!

Jakże byłam naiwna, mogąc tak sądzić! Jak bardzo starałam się naginać fakty, by życie stało się łatwiejsze. Niktós nie był *trochę upośledzony na umyśle*. Był tak bardzo upośledzony, że nadawał się do mało której pracy, nawet z tych wymagających wyłącznie siły fizycznej. Nawet przy nich bowiem musiałyby co nieco rozumieć, choćby tylko wydawane mu polecenia. Z moich doświadczeń wynikało, że do pracy można go było nakłonić jedynie fizycznym przymusem, który łamał opór, jaki stawiał jego zamroczony umysł. Nie chciałam jednak nawet o tym myśleć.

A to: ... *dla Gordona jest jak rodzony syn!* Ten Gordon McBright uchodził wśród mieszkańców Ravenscar za wcielenie diabła. Nikt nie utrzymywał z nim kontaktów, nikt nie mógł uwierzyć, że naprawdę zamierzam go odwiedzić.

Akurat Niktós miałby zmiękczyć jego serce?

Najchętniej bym zawróciła. Czułam strach - przed Gordonem McBrightem, lecz również przed tym, w jakim nastroju zastanę Niktosia. Co będzie, jeśli uznam, że trzeba pójść na policję?



Kochałam Chada, chciałam go poślubić. Jeślibym zdecydowała się ratować Niktosia, nasza miłość nie przetrwałaby takiej próby. Chad nigdy by mi nie wybaczył, gdybym wpędziła go przez to w tarapaty. Sprawiał wrażenie tak wyczerpanego, tak przygniecionego zmartwieniami. Walczył o to, by uratować posiadłość rodziców, widać było, że ledwie sobie radzi.

*Nie potrzeba mi jeszcze dodatkowych kłopotów*, powiedział zeszłej nocy w zaniebanej kuchni swego domu. Sprawiał przy tym wrażenie człowieka zdesperowanego.

Czy akurat ja miałabym narazić go na nieprzyjemności, których tak bardzo się obawiał?

Mimo to pędziłam dalej, z całych sił naciskając na pedały starego roweru, z którego opon uchodziło powietrze, co z każdą chwilą bardziej utrudniało jazdę. Wysiłkiem fizycznym usiłowałam zagłuszyć dręczące mnie myśli. Po raz pierwszy w życiu stanę oto przed trudnym wyborem moralnym. Naraz zaczęłam żałować, że przyjechałam do Yorkshire.

Już z daleka dostrzegłam farmę. Oddalona od centrum Ravenscar, leżała spory kawałek od morza, właściwie dość daleko w głębi lądu. Zabudowania stały na niewielkim wzniesieniu, powyżej granicy leśnych zarośli. Wokół jak okiem sięgnąć nie było żadnych innych domostw. Panował tu nastrój osamotnienia i zupełnej izolacji.

Dzień był pozbawiony słońca. Tylko gdzieniegdzie przez nieliczne przerwy w warstwie chmur przebierał błękit nieba. Mimo wszystko jednak był to jasny sierpniowy dzień. Dzień pełen uroku. Wiatr przyginał łodygi wysokich traw i dął ponad kamiennymi murami. Roznosił zapach morza i lata. Również w tak bezludnej okolicy może być pięknie, romantycznie, w ów pierwotny,

nieokreślony sposób. Tak jednak nie było. Obejście sprawiało wrażenie ponure i groźne, nawet nie umiałabym powiedzieć, dlaczego tak było. Nawet z dużej odległości wyglądało na zaniedbane, choć z pewnością nie było aż tak podupadłe jak farma Beckettów. Zdawało się emanować chłodną atmosferą grozy; zaczęłam dygotać. A może zupełnie niepotrzebnie nasłuchiwałam się ludzkich opowieści?

Z wahaniem podjechałam bliżej. Polna droga pełna była kamieni i ostów, coraz trudniej przychodziło mi utrzymać równowagę. W końcu droga zaczęła się wznosić; musiałam zsiąść i pchać dalej rower. Wiele razy przystawałam. Zrobiło mi się gorąco, całe moje ciało ociekało potem.

Nie napotkawszy nikogo, dotarłam aż pod samą bramę, która zagradszała wejście na podwórze. Stajnie i stodoły otaczały półkolem dom mieszkalny, tworząc swego rodzaju mur, okalający zagrodę niczym twierdzę. Pomiedzy rozstawionymi wszędzie wokół zardzewiałymi sprzętami pieniały się osty i pokrzywy. Samochód parkował tuż przed drzwiami wejściowymi do domu. Widocznie wciąż go używano, bo nie zarosły go chwasty.

Mogłam to wszystko dostrzec, wspinając się na palce i zerkając ponad drewnianą bramą. Rower porzuciłam w trawie na poboczu drogi. Nie słyszałam wokół żadnych odgłosów prócz mocnych, głośnych i szybkich uderzeń własnego serca.

Nie mogę powiedzieć, że coś się wydarzyło. Coś dramatycznego albo strasznego. Nie rzucił się na mnie żaden pies z obnażonymi kłami ani nie pojawił się Gordon McBright z bronią gotową do strzału. Nikt mnie nie zwymyślał, nikt nie przegnał. Stałam po prostu przed bramą i patrzyłam. I nic się nie wydarzyło.

A jednak, w pewnym sensie, który trudno opisać, ta pustka była znacznie gorsza od szalejącego McBrighta. Gdyby pojawił się we własnej osobie w zasięgu wzroku, mogłabym się z nim zmierzyć, porównać, wyrobić sobie o nim zdanie. A tak pozostał jedynie zjawą.

Rzecz niesamowita: wyczuwałam jednak, iż on tam jest. Wyczuwałam, że na podwórzu przebywają ludzie, podwórzu, które wyglądało na opuszczone, zupełnie wymarłe. Świadczyły o tym pośrednio ślady opon samochodowych, biegnące na ukos przez podwórze, odcisnięte w trawie i chwastach, które jeszcze nie zdołały się podnieść. Oceniałam, że najwyżej przed godziną przejeżdżał tędy samochód. Jak zresztą można się było stąd wydostać bez samochodu?

Nie potrzebowałam jednak żadnego dowodu. Po prostu wiedziałam, że nie jestem sama. Wyczuwałam spojrzenia skierowane na mnie zza okiennych szyb. Czułam, że panująca tu cisza nie była ciszą osamotnienia. Była to cisza przerażenia, cisza zgrozy. Cisza zła. Nawet przyroda wstrzymywała oddech.

Przed laty przeczytałam w pewnej książce następujące zdanie: *Miejsce, które upadło z rąk Boga.*

Teraz zrozumiałam myśl autora.

W tej zgubnej, przeraźliwej ciszy usłyszałam krzyk Niktosia. Nie uszami, gdyż wokół nadal trwało milczenie. Odebrałam go jednak wszystkimi pozostałymi zmysłami, mogę przysiąc. Słyszałam, jak krzyczy o pomoc. Słyszałam, jak za mną woła. Słyszałam jego rozpacz i śmiertelny strach. Był to krzyk opuszczonego dziecka, udręczony i pełen bólu.

Podniosłam z ziemi rower, wskoczyłam na siodełko i popędziłam co sił drogą w dół wzniesienia. Dwukrotnie omal nie upadłam, gdyż

w oponach roweru nie było już praktycznie powietrza. Chciałam uciec od tego miejsca, uciec od tego krzyku, który zdawał się podążać w ślad za mną. Wiedziałam już, że Niktoś trafił do piekła. Cokolwiek działo się na tej farmie, on zameczał się na śmierć. Był zupełnie bezsilny; nawet gdyby Gordon McBright go zabił, nikt by tego nie zauważył. Mógł zagrzebać zwłoki na polu, nikt by się o tym nie dowiedział. Imię, jakie Chad i ja lekkomyślnie mu nadaliśmy, niewolni od zwyczajnej złośliwości, w jakiś straszliwy sposób okazało się aż nazbyt trafne. Niktoś. Ten chłopak nie istniał. Wskutek splotu nieszczęśliwych okoliczności Brian Somerville przepadł w wirze wojennej zawieruchy i urzędowych procedur. Stał się Nikim. Nic go nie chroniło. Przez swoją przypadłość nie był też w stanie chronić się sam. Był wydany na łaskę i niełaskę każdego człowieka, któremu wpadł w ręce.

O Niktosiu i jego losie wiedziały trzy osoby: Chad, Arvid i ja. Powinniśmy byli coś uczynić, powinniśmy byli mu pomóc.

Nie zrobiliśmy tego. Mieliśmy swoje powody, przede wszystkim przejmował nas strach. Wiem już, że nie ma dla nas żadnego usprawiedliwienia. To, co zrobiliśmy - a raczej, czego nie zrobiliśmy - jest niewybaczalne.

Zapłacałam za to. Przez dziesiątki lat mego życia, na jawie i we śnie, nawiedzał mnie ów ostatni obraz Briana Somerville'a, jaki pozostał w mej pamięci. Mały, marznący chłopiec stoi w lutowym śniegu przy bramie farmy Beckettów, patrzy za mną oczami nabrzmiałymi od łez, gdyż od niego odchodzę, a mimo to próbuje się uśmiechnąć, wierzy bowiem, że wrócę i go z sobą zabiorę.

Próbuje się uśmiechnąć, ponieważ mi ufa.

## Czwartek, 16 października

1.

Nie miała ochoty czytać dalej. Wstała, wyjrzała przez okno. Noc była ciemna, pochmurna, nie było widać ani tarczy księżyca, ani gwiazd. W porcie rozbłysło kilka świateł. Morze sprawiało wrażenie czarnej falującej masy.

Weszła do kuchni, spojrzała na zegar. Było już po północy. Otworzyła butelkę whisky, przycisnęła do ust i pociągnęła kilka sporych łyków. Otarła wargi rękawem swetra. Nagle się rozplakała.

Co się stało z Brianem Somerville'em, tym *drugim dzieckiem*?

Przez głowę przemykały jej nieuporządkowane obrazy: babcia jako siedemnastoletnia dziewczyna, Chad Beckett jako młodzieniec mający zbyt wiele trosk na głowie, zaniedbana, stojąca na skraju bankructwa farma. Dopiero co zakończona wojna.

Spróbuj ją zrozumieć, odezwał się w niej jakiś głos. Spróbuj jej nie osądzać. Spróbuj jej wybaczyć.

Zalała się łzami, ponownie sięgnęła po butelkę. Ujrzała przed sobą małego chłopca, który od pierwszego dnia swego życia był ofiarą, i ofiarą pozostał, gdyż... Fiona wzbraniała się go chronić. Postawiona wobec dylematu, zdecydowała się chronić Chada Becketta. Człowieka, którego kochała.

A przynajmniej sądziła, że go kocha.

Jakby Fiona Barnes kogokolwiek w swym życiu kochała.

Dostała zawrotów głowy. Od dawna nic nie jadła, a teraz wlewała w siebie wysokoprocentowy alkohol.

Dlaczego w dzieciństwie zawsze, zawsze marzłam? Dlaczego moja matka brała narkotyki?

Musi się dowiedzieć, co się stało z Brianem Somerville'em. Zostało jeszcze tylko kilka stron tekstu. Nie mogą zawierać opisu całego późniejszego życia Fiony. Może dają choćby wgląd w dalsze losy Briana.

- Teraz nie dam rady - mruknęła.

Piła whisky jak wodę. Następne pytanie: *Dlaczego stałam się alkoholiczką?*

Oczywiście nie została prawdziwą alkoholiczką. Piła tylko trochę za dużo i trochę za często. Zawsze wtedy, gdy rozmaite sprawy urastały do rangi problemów.

Wiedziała, że musi natychmiast z tym skończyć.

Stała pośrodku kuchni z otwartą butelką w dłoni i spoglądała na znajome przedmioty wokół siebie. Ekspres do kawy, półka z kubkami do kawy, którą pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Gliniana, pomalowana w kwiaty popielniczka na stole, którą sama zrobiła dla Fiony na szkolnych zajęciach. Jak widać, babcia ją zachowała i jej używała. W przypadku takiej kobiety jak Fiona to bardzo wiele.

Odstawiła butelkę na kredens, natychmiast jednak chwyciła ją z powrotem i wypila kilka kolejnych łyków. Upije się teraz. Będzie pić do upadłego, a potem, jeśli jeszcze da radę, dotoczy się do łóżka i będzie spać do jutra. Gdy się wreszcie przebudzi, będzie się czuła fatalnie, lecz ból głowy przytłumi myśli, wiedziała to z doświadczenia. Prawdziwy, silny kac świetnie się nadaje, żeby się odciąć od otaczającego świata. Suchość w ustach, mdłości, ukłucia w skroniach zadawały tak wielką torturę, że cała reszta traciła na

znaczeniu. Nagle zatęskniła za tym. Żeby się rozchorować. Leżeć w łóżku i jęczeć. Naciągnąć kołdrę na głowę.

Być dzieckiem i zaznać pociechy.

Tyle że pociecha każe na siebie czekać. Brak matki, brak babki Zresztą, umiejętność pocieszania nigdy nie należała do mocnych stron Fiony. Stephen się wyprowadził. Leżał w łóżku w Crown Spa Hotel kilka domów dalej w dół ulicy i prawdopodobnie błogo spał.

Była sama.

*Ej, Cramer, tylko niech cię teraz nie zaleje fala litości dla samej siebie,* pomyślała, gdy po jej policzkach spływały potoki łez.

W tej właśnie chwili ktoś zadzwonił do drzwi.

Dopiero kiedy uruchomiła otwieranie drzwi i stojąc w progu mieszkania, czekała na swego nocnego gościa, uświadomiła sobie, że to niezupełnie bezpieczne przyjmować kogoś o pół do pierwszej w nocy. Być może to wpływ alkoholu lub poczucie zagubienia sprawiły, że mimo wszystko czekała na klatce schodowej i wsłuchiwała się w odgłos kroków na schodach. Oświetlenie włączyło się automatycznie; bardzo jasne, niemal białe światło sprawiło, że zmrużyła oczy. W dłoni nadal trzymała otwartą butelkę. Makijaż pewnie się rozmazał, a włosy potargały.

Było jej to zupełnie obojętne.

Pojawił się Dave Tanner ze sporą walizką w ręku. Przystanął.

- Dzięki Bogu - odezwał się - nie spałaś jeszcze?

Spojrzała na siebie. Ubrana była w dzinsy i sweter, do tego tenisówki.

- Nie spałam - potwierdziła.

Sprawił wrażenie, jakby poczuł ulgę. - Bałem się, że nie otworzysz - powiedział z uśmiechem. - Powinnaś jednak sprawdzać przez domofon, kto dzwoni! Jest już pół do pierwszej w nocy!

Wzruszyła ramionami.

- Mogę wejść? - zapytał Dave.

Odsunęła się na bok. Dave wszedł do środka i z westchnieniem ulgi odstawił walizkę.

- Chryste, ale ciężka - przyznał. - Jest w niej prawie wszystko, co posiadam. Musiałem iść pieszo, bo mój samochód ostatecznie wyzionął ducha. Posłuchaj, Leslie, czy mogę tu dziś przenocować? Moja gospodyni wyrzuciła mnie z mieszkania.

Leslie usiłowała podążać zamroczonym przez alkohol umysłem za jego słowami i zrozumieć ich sens. - Wyrzuciła cię? - spytała powoli. - Mogła ot tak, po prostu?

- Nie mam pojęcia. Ale wpadła w zupełną histerię. Zaczęła krzyczeć, wzywać policję, szaleć... Nie było sensu dłużej tam zostawać. Próbowałem się skontaktować z dawną przyjaciółką, ale ma wyłączoną komórkę. Pracuje w barze niedaleko portu, czekałem tam na nią od dziesiątej niemal do północy, ale się nie zjawiła. Potem przyszedłem tutaj, w nadziei, że jesteś i udzielisz mi azylu. Uwierz mi, Leslie, nie posunę się za daleko. - Przerwał i wlepił w nią wzrok. - Wszystko w porządku?

Nie zdołała powstrzymać łez. - Tak. To znaczy, nie. Chodzi o Fionę. To... - przetarła oczy - to potrwa, zanim wszystko przetrawię.

Ostrożnie wyjął jej z dłoni butelkę i postawił ją na stolku w przedpokoju.

- Masz już porządnie w czubie, Leslie. Lepiej przestań. Bo jutro z rana odlećisz.

- Może tak byłoby lepiej.

Potrząsnął głową. - Nie.

Z przekorą małego dziecka odparła: - A właśnie że tak!



Chwycił ją za ramiona, pchnął przed siebie w kierunku kuchni, po czym łagodnym, lecz stanowczym ruchem zmusił, by usiadła na krześle.

- Zrobię ci teraz dobrej gorącej herbaty. Z miodem. Masz tu gdzieś miód?

Była zbyt wyczerpana, żeby się bronić przed jego opiekuńczością. A może, pomyślała, wcale tego nie chcę.

- Tak. Gdzieś tu jest. Ale pojęcia nie mam gdzie.

- Okay. Jakoś sobie poradzę.

Beznamiętnie przyglądała mu się, jak krząta się po kuchni, nastawia wodę, bierze z półki dwa kubki, otwiera kilka szafek, aż wreszcie odkrywa półkę z różnymi gatunkami herbaty. Słoik miodu znalazł na regale nad piekarnikiem. Leslie obserwowała, jak złocista ciecz spływa do kubków. Woda się zagotowała. Dave zalał herbatę, postawił oba kubki na stole, po czym usiadł naprzeciw Leslie.

- Co się stało?

Potrząsnęła głową, ostrożnie skosztowała pierwszy łyk. Było jej niedobrze od whisky.

Za dużo, za szybko, i to na pusty żołądek. Zerwała się, popędziła do łazienki, w ostatniej chwili zdążyła do toalety.

Dławiąc się i kaszląc, zwymiotowała. Niewiele więcej poza cuchnącą zólcia.

Dave, który pobiegł za nią, odgarnął jej włosy z twarzy, położył dłoń na jej mokrym od potu karku.

- Dobrze - powiedział - dobrze, jeśli wszystko z ciebie wyjdzie.

Wyprostowała się, chwiejnym krokiem podeszła do umywalki, zanurzyła dłonie w zimnej wodzie i przemyła usta.

- Tak mi przykro - mruknęła w końcu. Spojrzała na swą bladą jak płótno twarz odbijającą się w lustrze. Potargane włosy, rozmazany cień wokół oczu. Drżące wargi.

- Kiedy ostatnio coś jadłaś? - spytał Dave.

Próbowała sobie przypomnieć. Wszystko, ostatnie dni, zdawały się tak odległe.

- Śniadanie z tobą - odparła. - W porcie. Wczoraj.

- Ledwie jeden kęs *scone*, jeśli dobrze pamiętam. No, cudownie! - Pokiwał głową. - Co się dzieje, Leslie? Czemu siedzisz w środku nocy w mieszkaniu i bezsensownie wlewasz w siebie whisky? Gdzie się podziewa twój były mąż?

- Stephen przeniósł się do hotelu. Zostawił tylko list.

Obrzucił ją baczny spojrzeniem. - Czy to tak tobą wstrząsnęło?

- Bzdura! - Uświadomiła sobie, że chyba zareagowała zbyt gwałtownie. Czyżby zirytowało ją ciche odejście Stephena? Czyżby obudził się dręczący ją ból, który drzemał w niej od dnia, kiedy Stephen ją zdradził, a przez to usunął jej grunt spod stóp?

- Wcale nie chciałam, żeby tu przyjeżdżał. Jak miałoby mną wstrząsnąć to, że znów odszedł?

Zawroty głowy ustępowały. Poczłapała powoli do kuchni, opadła na krzesło, przysunęła kubek z herbatą. Pachniała wanilią i miodem. Uspokajająco i znajomo.

- Czemu twoja gospodyni wyrzuciła cię teraz za drzwi? - spytała Dave'a, który pojawił się za nią.

Usiadł naprzeciw niej. - Ona uważa mnie za podwójnego mordercę. Fakt, że policja już na mnie czekała, gdy wczoraj w południe wracałem do domu, ostatecznie utwierdził ją w tym przeświadczeniu. Nie chciała ani minuty dłużej przebywać ze mną pod jednym dachem. Nie przekonał jej argument, że nie

wypuściliby mnie na wolność, gdyby coś na mnie mieli. Nawet ją trochę rozumiem.

- Czego od ciebie chcieli w komisariacie?

Machnął ręką na znak dezaprobaty. - Pojawiły się jakieś niedorzeczności w związku z miejscem mojego pobytu w minioną sobotę w nocy. Wyjaśniłem to. Inaczej bym tu nie siedział.

Była o tym przekonana. Oczywiście, że nic nie przeszkrobał. Policja nie puszcza wolno morderców - a przynajmniej nie wtedy, gdy już siedzą w areszcie.

Dave nachylił się. Raz jeszcze zapytał: - Co się dzieje, Leslie? Co się stało? Wyglądasz na strasznie wyczerpaną. Co cię zdręcza?

Wyraz jego twarzy zdradzał zatroskanie. I budził zaufanie. Przyjaciel, który się o nią martwi. Przez chwilę była gotowa opowiedzieć mu o wszystkim. O wojnie, o Brianie Somerville'u, o Fionie i Chadzie, i o tym nieszczęsnym fatum, które nad nimi zawisło. A jednak zdecydowała inaczej. Poczucie, że musi chronić Fionę, okazało się silniejsze niż pragnienie zwierzenia się komuś.

Dlatego powiedziała tylko: - Myślę, że sama dla siebie jestem udręką. Udręką jest moje życie. Nie wiem, w którą stronę powinnam w przyszłości podążyć. Tak wiele się wydarzyło.

- Zatrzymasz to mieszkanie? Teraz chyba należy do ciebie.

- Nie sądzę, bym miała je zatrzymać. Nigdy nie czułam się tu dobrze. Ten zimny, olbrzymi dom, zawsze w połowie pusty... Myślę, że je sprzedam. A co zrobię z pieniędzmi... nie mam pojęcia. Może kupię sobie małe mieszkanko w Londynie. Uwiję sobie jakieś gniazdko, które będzie należało tylko do mnie. Być może... zaznam wtedy poczucia, że jestem u siebie. Że wreszcie zawinęłam do portu.

- Jeszcze go nie znalazłaś?

- A gdzie miałyby być? Mam prawie czterdziestkę. Moje małżeństwo się rozpadło. Ostatnia moja krewna nie żyje. W pracy odnoszę sukcesy, ale to nie dodaje otuchy.

- Małe mieszkanko w Londynie - powtórzył za nią - to brzmi strasznie... samotnie. A gdzie mąż, dzieci, wielki pies, bo ja wiem. Coś, co dodaje otuchy?

Roześmiała się. Zabrzmiało to nienaturalnie i jak zauważyła z przerażeniem, nieco desperacko. - Owszem. Ale czy ty myślisz, że wystarczy, żebym pstryknęła palcami, a już pojawi się mężczyzna, który będzie do mnie pasował, ożeni się ze mną, z którym będę mieć trójkę udanych dzieci, a w weekendy zabierze nas na wieś razem z naszym wielkim psem? Takich mężczyzn nie spotyka się na ulicy. Ja przynajmniej nigdy się na takiego nie natknęłam. Właściwie to... jestem w takiej samej przeklętej sytuacji jak Gwen. Sama i pozbawiona nadziei.

- Ale ty nie jesteś Gwen. Odnosisz sukcesy, jesteś energiczna i konsekwentna w działaniu. W przeciwieństwie do Gwen wiesz dobrze, na czym polega życie. Tylko jedno was łączy: zbyt mocno trzymacie się przeszłości. I pewnie nie zauważacie, jak bardzo was to blokuje.

- Nie sądzę, bym...

Wszedł jej w słowo. - Spójrz na Gwen. Siedzi na tej swojej farmie, zastygła w epoce, która dawno już nie istnieje. Epoce, w której kobiety nie uczą się zawodu. W której zostają przy rodzicach, aż się zestarzeją i posiwieją. Chyba że pojawi się jakiś mężczyzna i zabierze je do swego domu. Wówczas go ubóstwiają i podporządkowują się mu. Jak sądzisz, czemu jej się to nie udaje? Ponieważ dzisiejsi mężczyźni takich kobiet nie chcą. Bo pragną

partnerki. Kobiety samodzielnej. Takiej, która potrafi iść własną drogą.

- Ciebie jednak zdobyła.

Milczał przez chwilę.

- Wiesz przecież, jak do tego doszło - odparł w końcu.

- To się nie uda, Dave.

- Wiem - przyznał cicho.

Nachyliła się ku niemu. - Dave, ja nie trzymam się przeszłości.

- Ależ owszem, Leslie. Tylko w zupełnie inny sposób niż Gwen. Pozwalasz, by twoja przeszłość nad tobą zapanowała. Rozmyślasz, kim był twój ojciec. Do dziś toczysz wewnętrzne boje z własną matką, żeby w swej ocenie oddać jej sprawiedliwość. Sprzeczasz się z babcią, rozdarta pomiędzy uczuciem wdzięczności dla niej a gniewem, który coraz mocniej draży twoją świadomość, kiedy wracasz myślą do swej spędzonej u niej młodości. Przepędziłaś w diabły męża, kiedy cię zdradził, ale ciągle o nim myślisz, analizujesz jego, siebie, pytasz, jak mogło do tego dojść. Nie jesteś wolna, Leslie. Na tyle wolna, żeby zacząć nowe życie.

Zdała sobie sprawę, że jej oczy znów napełniają się łzami, zaciekle się przed tym broniła.

- Jak tu być wolnym? Nie mogę przecież postępować tak, jakby moja przeszłość w ogóle nie istniała!

- Ale możesz wreszcie zostawić ją taką, jaka jest. Nie możesz jej zmienić, a zatem zaakceptuj ją. Zaakceptuj siebie i swoje uczucia. Nigdy się nie dowiesz, kim był twój ojciec. Będziesz musiała nauczyć się żyć ze świadomością, że twoja matka była to aniołem, to znów osobą zupełnie nieodpowiedzialną. Swojej babce możesz być wdzięczna za wsparcie, a jednocześnie możesz czuć do niej złość o to, że była nieustępliwą jędzą i nie zadała sobie wiele trudu, żeby

zajrzeć w duszę dziewczynki, którą jej nagle oddano pod opiekę. I, do diabła, zostaw tego Stephena! Zdradził cię. Czy potrzebujesz takiego mężczyzny? I czy myślisz, że pojedynczy skok w bok skłoniłby cię, żeby go wyrzucić z domu, gdyby wszystko między wami się układało? Dobry związek jest w stanie przetrwać tego rodzaju historie. Istnieją wszakże związki, w których taki *one-night-stand* jest kroplą przepełniającą czarę goryczy. Przypuszczam, że tak właśnie było w waszym przypadku.

Z trudem uśmiechnęła się przez łyży. - Akurat ty mienisz się ekspertem od związków? Doradcą od spraw życiowych?

Zachował powagę. - Jestem zupełnym nieudacznikiem, pod każdym względem. Zarówno w kwestii związków międzyludzkich, jak i życia w ogóle. Niemniej jednak ktoś, kto nie daje sobie rady z samym sobą, może mimo wszystko zachować zdrowy osąd o innych. Te sprawy się nie wykluczają.

Popijała herbatę drobnymi, powolnymi łykami. Ciepło posłużyło jej, miód łagodził uwieranie w żołądku. Pomyślała, jak to dobrze, że Dave zjawił się u niej w środku nocy. Była w takim nastroju, że mogła się przecież upić do nieprzytomności. Była wdzięczna, że nie musi być sama. To właściwy moment, pomyślała, powoli odzyskując jasność umysłu, spokój i opanowanie. Uniosła głowę, napotkała jego wzrok.

Wytrzymała jego spojrzenie, to, co się w nim kryło. Nie odsunęła się, gdy Dave wstał, obszedł stół, wziął ją za rękę i powoli podciągnął w górę. Poddała się jego uściskowi, ponieważ niósł delikatność i pocieszenie. Ponieważ był tym, czego w tej chwili potrzebowała. Pragnęła wsparcia, pragnęła opieki, tylko tej jednej nocy, pragnęła poczuć bicie serca innego człowieka, chciała zapomnieć o Fionie i o wszystkim, czego się o niej dowiedziała.

Musnął wargami jej czoło. Uniosła głowę, jej usta spotkały się z jego ustami. Pocałowała go w przypiływie rozpaczy i złości, on zaś odwzajemnił pocałunek miękko i bardzo delikatnie. To niedorzeczne, na co się poważyła, zupełnie nietrafione, z pewnością niewłaściwe, być może fatalne. Był zaręczony z inną kobietą, był podejrzany w sprawie o morderstwo. Ale już od tak dawna nikomu się nie oddała. I lubiła go. Był zupełnie inny niż Stephen. Był mężczyzną, którego babcia nigdy by nie zaakceptowała. Wydawał jej się nieprzenikniony i obcy, może nieobliczalny, zupełnie odmienny od wszystkich mężczyzn, jakich kiedykolwiek знаła. Zarazem jednak, choć dla niej samej zabrzmiało to jak czysta sprzeczność, również bardziej przejrzysty i przewidywalny. Zdolny student, idealista, reformator świata, pseudorewolucjonista, ktoś, kto swe życie zagrzebał w piasku, kto będąc w sile wieku, mieścił cały swój majątek w jednej walizce. Naraz człowiek ten wydał jej się personifikacją przeciwieństwa mężczyzny pokroju Stephena, który ukończył studia i został lekarzem specjalistą, który dobrze zarabiał i miał pewną posadę, cieszył się poważaniem i uchodził za idealnego partnera, a jednak poszedł rozładować tłumioną przez lata frustrację w jakiejś nedorzecznej miłostce. Zrozumiała teraz, dlaczego związek ze Stephenem nigdy, tak czy owak, nie mógł się udać: on nie dorastał jej do pięt. Był zbyt ugrzeczniony. Zbyt obliczalny nawet wówczas, gdy dopuścił się rzeczy niepojętej: okłamał ją i zdradził. Nawet wtedy pozostał nowicjuszem, który już po jednej nocy stracił wigor i koniecznie musiał wyrzucić to z siebie. Choć wszystko miał już za sobą, nie poradził sobie ze swym zapierającym dech postępkim - albo może też z faktem, że nie został na tym przyłapany.

Był fragmentem jej życiowej drogi, odcinkiem. Tyle.

Dłonie Dave'a wśliznęły się pod jej sweter. Przymknęła oczy, kiedy jego palce dotknęły jej piersi.

- Nie powinniśmy tego robić - mruknęła, zastanawiając się jednocześnie, czy naprawdę tak sądzi, czy tylko chce uspokoić swoje sumienie, stawiając przynajmniej przez kilka chwil opór.

- Dlaczego? - spytał cicho Dave.

W tej chwili byłoby to takie proste, odczuwała wielkie pragnienie, by ulec swej tęsknocie za ciepłem, opieką, bezpieczeństwem. Znaleźć schronienie w cielesnym zespoleniu z mężczyzną, po to, by zapomnieć o wszystkim, co ją gnębiło i trapiło.

Przytulić się. To było dla niej ważniejsze od seksu. Pragnęła odnaleźć swoje miejsce na ziemi. Już od wielu lat. Być może od zawsze, przez całe dotychczasowe życie.

Wątpliwe, żeby odnalazła to miejsce, oddając się na kuchennej podłodze lub gdzie bądź mężczyźnie, który z całą pewnością silnie na nią oddziaływał seksualnie - i to w chwili największej fizycznej słabości, trapiąca przez głód i nudności, w stanie psychicznego rozchwiania, kiedy dowiedziała się o Fionie rzeczy wstrząsających.

Uczucie, jakby jej ciało rozpływało się w rozkoszy, osłabło, ustępując miejsca rozsądkowi.

Usiłowała cofnąć się o krok, natknęła się jednak na ścianę.

- Nie mogę - powiedziała.

- Dlaczego? - powtórzył Dave. Językiem dotykał jej warg. Lubiała sposób, w jaki ją całował, lubiała dreszcz, jaki na jej ciele wzbudzały jego dłonie. A jednak się bała. Bała się, że pustka, jaka potem nastanie, okaże się tym większa.

Odwróciła twarz w bok.

- Naprawdę nie chcę, Dave - powiedziała nagle ostrym głosem.

Odsunął się, uniósł obie ręce. - Przepraszam!



- Już dobrze. W porządku.

Sprawiał wrażenie poirytowanego. - Leslie, naprawdę sądziłem, że ty...

- Że co?

- Że *my* - poprawił się - przed chwilą pragnęliśmy tego samego.

- Owszem. Przed chwilą. Ale teraz... już nie.

Spojrzał na nią zamyślony. - W czym problem, Leslie? Albo raczej - kto stanowi problem? Gwen?

- Tak. Również Gwen. Ale także to, że... czuję się teraz bardzo wrażliwa. Nie chcę przespać się z mężczyzną, którego ledwie znam, teraz, gdy tak łatwo mnie zranić.

Taksował ją przenikliwym wzrokiem. W jego oczach wyczytała zrozumienie. - Kiedyś - odrzekł - musisz wreszcie wyjść z tej swojej skorupy. Tak bardzo się boisz, że ktoś cię zrani, że ledwie masz odwagę żyć. Od pewnego momentu... zsuwasz się w dół po spirali, Leslie. Przerwij to, zanim nie będziesz już mogła wydostać się stamtąd o własnych siłach.

- Bez obaw. Panuję nad sobą i moim życiem.

Nie odpowiedział, i to ją nagle rozgniewało. Uznała, że on nie ma prawa analizować w ten sposób jej osoby i jej życia - nie w okolicznościach, w jakich się znalazł: podejrzliwie obserwowany przez policję, wyrzucony na bruk przez gospodynię, przypuszczalnie mając puste konto bankowe i decydując się na zaręczyny, które okazały się bez wartości... I jak taki człowiek może jej prawić o życiu?

- Kiedy mężczyźni nie zaspokoją swojego popędu - powiedziała agresywnym tonem - wtedy gadają mnóstwo rzeczy, które chyba lepiej przemilczeć. Może powinniście znaleźć sobie inne sposoby, żeby zrekompensować własne seksualne frustracje.

Uśmiechnął się, nie pogardliwie, raczej z rezygnacją. - Wierz mi, potrafię znieść *niezaspokojenie swojego popędu*, jak to nazwałaś. Wszystko, co przed chwilą powiedziałem, w żadnej mierze nie służyło zrekompensowaniu czegokolwiek. Chciałem tylko wyjaśnić, jak oceniam ciebie i twoje położenie. Ale masz rację, pewnie było to nadużyciem.

- Ja w każdym razie tak to odebrałam - odparła Leslie.

- Przykro mi.

Stali naprzeciw siebie, okazując nieomal powściągliwość. Wszystko zostało powiedziane. Do niczego nie doszło.

Leslie poczuła się znużona i samotna. - Położę się spać - oznajmiła. - Możesz zająć pokój gościnny. Stephen już go nie potrzebuje.

- Dzięki. Oczywiście jutro poszukam sobie innego lokum.

- Nie spiesz się.

Patrzyła za nim, gdy wychodził z kuchni.

Pomyślała, że powinna poczuć ulgę, gdyż postąpiła słusznie. Zamiast tego była przygnębiona i zbита z tropu. Usiadła, wyciągnęła paczkę papierosów, zapaliła.

I znów zareagowała niewłaściwie. Umocniła tylko własną wewnętrzną blokadę. Podciągnęła wyżej mury. Wzmocniła własną izolację. Dlaczego po prostu nie zrobiła tego, czego pragnęła zmysłami? Nie myśląc o tym, co będzie *potem*? Czy rzeczywiście nie potrafi już zwyczajnie żyć?

Pogrążona w myślach obserwowała kręgi dymu unoszące się w jasno rozświetlonej kuchni; gdzieś w jej środku rozpływały się w nicość.

Dzisiejszej nocy trudno jej będzie zasnąć.

Choć Valerie późno położyła się spać, wstała wczesnym rankiem. Właśnie wychodziła z łazienki, gdy zadzwoniła jej komórka. Owinąwszy się ręcznikiem, pognąła do sypialni, gdzie telefon podłączony był do ładowarki.

- Tak? - zgłosiła się.

Dzwonił sierżant Reek, który najwyraźniej zaczął służbę przed siódmą. - Obudziłem panią? - spytał zatroskany.

- Jem już śniadanie - skłamała Valerie. - O co chodzi?

- Niestety nie mam nic, co by panią ucieszyło. Wczoraj późnym wieczorem skontaktowałem się z rodzicami Stana Gibsona w Londynie. Oświadczyli, że ich syn spędził poprzedni weekend u nich w Londynie, była z nim Miss Witty, którą chciał przedstawić rodzinie jako swoją towarzyszkę życia. Przypuszczam, że także Miss Witty to potwierdzi. Gibson nie jest aż takim durniem, żeby nas okłamywać w tak łatwej do zweryfikowania sprawie.

- Niestety, Gibson w ogóle nie jest durniem, Reek, w tym właśnie nasz problem, jeden z wielu. Czyjego rodzice wyglądają na wiarygodnych?

- Tak. Byli zupełnie zszokowani, ale nie okłamaliby nas z tego powodu. Poza tym są w tej chwili strasznie przejęci. Nie potrafią uwierzyć, by ich syn mógł popełnić jakieś przestępstwo. Opisują go jako grzecznego, godnego zaufania i uczynnego chłopca. Chyba dość często zmieniał partnerki, jego matka zrzuca oczywiście całą winę na kobiety, które, jak uważa, nie potrafiły docenić zalet jej syna. Według mnie żadna nie zdołała długo z nim wytrzymać; o powodach mogłaby z pewnością więcej powiedzieć Miss Witty. Ale...

- ...ale to nie posuwa nas naprzód we właściwej sprawie - dokończyła zdanie Valerie. - W sprawie morderstwa Amy Mills.

- Najwyraźniej jednak nie możemy obarczyć go winą za zabójstwo Fiony Barnes - podsumował Reek.

- Na to wygląda - przyznała z rezygnacją Valerie.

- Jadę teraz w górę Filey Road i ponownie spróbuję szczęścia u Karen Ward - wyjaśnił Reek. Zabrzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć: Głowa do góry, mamy jeszcze inne możliwości! - Wczoraj nie było jej w mieszkaniu, ale może pojawiła się tam w nocy.

- Byliście w Newcastle Packet?

- Jasne. Ale wczoraj tam nie pracowała. Jej współlokatorzy też nie mieli pojęcia, gdzie się podziewa. Co ciekawe: mówili, że wczoraj wieczorem Dave Tanner dwukrotnie próbował złapać Miss Ward w jej mieszkaniu. Poza tym wieczorem pojawił się też w Newcastle Packet i jak mi tam powiedziano, wypytywał o nią. Wygląda na to, że strasznie mu zależało na rozmowie.

- To nic nadzwyczajnego. Wciąż utrzymuje z nią intymne kontakty.

- Ja w każdym razie nie skreślam Tannera, póki ta Ward nie potwierdzi jego zeznania. Poza tym byłem wczoraj także w Golden Ball. Pamiętają tę dwójkę. Zabawili tam jednak dość krótko. Opuścili pub już około dziesiątej. Dlatego to zeznanie może nam nie wystarczyć.

Valerie z wdzięcznością pomyślała o Reeku. Był współpracownikiem o nieocenionych zaletach. Harował po godzinach, a nigdy jeszcze nie słyszała, żeby żalił się z tego powodu.

- Naprawdę świetna robota, Reek - powiedziała z uznaniem. Nawet przez telefon mogła wyczuć, jak sierżant promienieje z zadowolenia.

- Wyjaśnię teraz sprawę z tą Ward - oznajmił krótko i rozłączył się.

Valerie narzuciła ubranie; zauważyła przy tym, jak ociążały i znużone są jej ruchy. Poczowała się zupełnym przeciwieństwem rześkiego, wibrującego energią sierżanta Reeka. Czy było to jedynie rozczarowanie? Że nie rozwikłała dwóch spraw za jednym razem?

Czy w ogóle rozwikłała choćby *jedną* sprawę?

Począpała do kuchni, włączyła ekspres do kawy. Filizanka kawy, niczego więcej nie pragnęła. Nie miała dziś ochoty nawet na tradycyjne śniadanie.

Poprzedniego wieczora jeszcze przez niemal dwie godziny rozmawiała ze Stanem Gibsonem. Ani na chwilę nie zdołała zmącić jego dobrego humoru. Na każde jej pytanie odpowiadał z uśmiechem na twarzy, uprzejmie, cierpliwie, nie okazując ani krzty gniewu czy rozdrażnienia.

Owszem, o morderstwie Amy Mills oczywiście słyszał i czytał, całe Scarborough nie znało latem innego tematu do rozmów. Okropna, straszna historia. Że też ludzie są zdolni do czegoś takiego! Oczywiście, że poczuł się tym osobiście dotknięty. Amy wiele dla niego znaczyła, choć nigdy nie znalazł w sobie dość odwagi, żeby ją zagadnąć. Nie wygląda na człowieka nieśmiałego w kontaktach z kobietami? Valerie nie powinna dać się zwieść pozorom! Nigdy nie nawiązał z Amy osobistej znajomości.

Tak, luneta. Zdjęcia! Oczywiście wiedział, iż nie powinno się tak postępować. Ale nie jest to też zabronione, prawda? Bardzo mu się spodobała. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy? Cóż, pomyślmy, to było chyba w styczniu. Ot tak, po prostu, dla zabicia czasu zaglądał do okolicznych mieszkań. Wtedy to odkrył ją u Lindy Gardner. Opiekowała się dzieckiem. Jej falujące włosy wydały mu się niczym

aureola. Zaczął się nią interesować, owszem, któż jednak miałby mu z tego powodu czynić wyrzuty?

Opętanie? Nie jemu to oceniać. Okay, często skradał się za nią, na ile pozwalała mu ograniczona swoboda. Chodziła na długie samotne spacerunki. Wydawało mu się, że jest bardzo samotna. Rzadko spotykała się z koleżankami na kawie czy na plotkach, naprawdę rzadko. Zazwyczaj była sama.

Czy zbliżył się do niej? Został odrzucony? Czy to rozbudziło w nim gniew? Ależ skąd, pani inspektor Almond całkowicie się myli w tej kwestii. Nigdy jej nie zagadnął, już to przecież mówił. Stąd też nie mogła go odrzucić. Zresztą, potrafiłby się z tym pogodzić. Nie miał w zwyczaju zabijać kobiet, które dały mu kosza. Przy czym musi zaznaczyć, że właściwie nigdy kosza nie dostał. Nigdy! Nie miał żadnych problemów w kontaktach z kobietami. Przede wszystkim żadnych problemów z zaskarbianiem sobie ich sympatii. Zatem, jeśli ma być szczery, właściwie nie wie, jak się czuje mężczyzna, kiedy zostaje odrzucony przez kobietę.

I tak przez cały czas toczyła się ta rozmowa. Ciągłe się uśmiechał. A wszystkie zmysły Valerie, każdy jej nerw, intuicja, doświadczenie, wycucie, cokolwiek by tu wymienił, wszystko podpowiadało jej, że on to zrobił. Że ten szczerzący zęby typ siedzący przed nią ma na sumieniu Amy Mills.

Czekając, aż zaparzy się kawa, Valerie zastanawiała się, co właściwie dołąła ustalić.

Nic, jeśli ma być zupełnie szczerą.

Nie miała nic prócz poszlak, które naprowadziły ją na ślad Gibsona, nic prócz własnej intuicji, krzyczącej głośno: *morderca* - a także nikłej nadziei. Nadziei, czerpanej z wrażenia, jakie wyniosła z rozmowy z Gibsonem.

Kawa była gotowa. Piła małymi łykami, spoglądając przy tym za okno. Było jeszcze ciemno, zdawało jej się jednak, że przestało padać. Również mgła już chyba nie powróci.

Gibson mógł się chełpić przed całym światem, iż jest miłym, sympatycznym, uśmiechniętym młodzieńcem, który na pierwszy rzut oka ucieleśnia sobą marzenie każdej teściowej. Lecz ona, Valerie, ani przez chwilę nie dała się zwieść. W jego uśmiechu dostrzegła coś chorobliwego, a w jego oczach - szaleństwo. Wiedziała, że dręczy go jakiś poważny problem. Nawet jeśli nie dość dobrze go poznała i nie miała bliższych informacji o przeszłości, uświadamiała sobie, że kobiety, jego stosunek do nich, stanowiły katalizator, który tę udrękę mógł przemienić w prawdziwy dramat. Taki, w którym na końcu dochodzą do głosu nienawiść, żądza odwetu, morderczy gniew oraz niepohamowana brutalność. Zwłoki Amy Mills były tego aż nadto wyrazistym dowodem.

Wedle jej oceny problem tkwił w odrzuceniu. Podczas przesłuchania Gibson obstawał przy swoim twierdzeniu, jakoby jeszcze nigdy nie został odrzucony przez kobietę. Zbyt często to akcentował, dostrzegła to nawet w jego oczach. Przypuszczała, że tu właśnie kryje się powód, dla którego Amy Mills musiała umrzeć, a jej śmierci towarzyszyła tak gwałtowna przemoc. Gibson dosłownie zawziął się na nią, dowodziły tego liczne zdjęcia, które wykonał. Ona go jednak nie zaakceptowała. W którymś momencie, albo w dniach poprzedzających jej zabójstwo, albo najpóźniej tamtej nocy w parku, wyraziła swoją dłań dezaprobatę. Valerie była przekonana, że Gibson nie potrafił znieść myśli o odrzuceniu przez kobietę.

Wiedziała, co powie teraz sierżant Reek. - Fakty, pani inspektor, fakty! Proszę się w to nie wikłać tylko dlatego, że koniecznie chce pani mieć sprawcę. Tylko dlatego, że chce pani koniecznie przedstawić wyjaśnienie tej sprawy. Proszę trzymać się faktów!

A może nie były to wcale słowa Reeka? Może to własny wewnętrzny głos jej doradzał?

Minionej nocy czasem się budziła; zastanawiała się wówczas, dlaczego nagle poszło jak z płatka. Całymi miesiącami nie miała żadnego śladu, żadnego punktu zaczepienia, zupełnie nic. A teraz nagle zjawia się taka Ena Witty i dygocząc ze strachu, opowiada o kilku dziwnych zdarzeniach związanych z postacią jej przyjaciela. I już mamy oto podejrzanego, mamy zdjęcia świadczące o szaleńczej skłonności do zamordowanej kobiety, mamy lunetę wycelowaną w mieszkanie, z którego Amy Mills wyruszyła w swą ostatnią drogę.

Pośród ciszy i mroku owej nocy zastanawiała się, czy to wszystko nie przypomina zbyt srebroj tacy, na której podano jej nazwisko podejrzanego. Człowieka, który pojawił się nagle niby as wyciągnięty z rękawa, i właśnie dlatego zwyczajnie nie mógł być sprawcą. Domniemany morderca Amy Mills dosłownie padł jej do stóp, a w życiu czy raczej - mówiąc bardziej przyziemnie - w jej zawodzie takie rzeczy zazwyczaj się nie zdarzają.

Teraz jednak, wczesnym rankiem, już wiedziała. Znała odpowiedź na wszystkie pytania, które sobie z takim sceptycyzmem zadawała. Otóż sprawca stanął przed nią tak raptownie i niespodziewanie, ponieważ sam tego chciał. Teraz, dokładnie w tej chwili. Stan Gibson chciał się ujawnić. Policja w jego mieszkaniu. Przesłuchanie. Pytania, które z góry przewidział. Jego nieustanny uśmiech na twarzy, o którym wiedział, że będzie szarpać nerwy



funkcjonariuszki aż do granic wytrzymałości. Chciał tego, i właśnie z tego powodu opowiedział Enie o lunecie. Dlatego umieścił zdjęcia w takim miejscu, żeby myszkując po pokoju, musiała kiedyś na nie natrafić. Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili w głowie Eny zadźwięczą wszystkie dzwonki alarmowe. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy sama zgłosi się na policję albo wtajemniczy jakąś przyjaciółkę, która uczyni to za nią.

On to wszystko zaplanował. I w końcu dopiął swego.

Valerie uświadomiła sobie coś jeszcze: zatroszczył się o to, żeby nie zdołali mu niczego udowodnić. Nie był zaskoczony przebiegiem dochodzenia, wszystkie jego etapy dokładnie obmyślił i uporządkował. Nie podsunąłby policji za pośrednictwem Eny tych wszystkich poszlak, które wskazywały na jego osobę, gdyby w którymkolwiek punkcie stanowiły dlań zagrożenie. Działał w sposób przebiegły i racjonalny. Valerie mogłaby wywrócić cały świat do góry nogami, a i tak nie znalazłaby dowodu, dzięki któremu Gibson powędrowałby za kratki.

Taki dowód nie istniał.

Gdyby rzeczywiście istniał, wówczas Gibson by się nie ujawnił. Podczas przesłuchania w komisariacie zrezygnowałby ze swego uśmiešku.

Nalała sobie drugą filiżankę kawy, wypila ją spieszenie, jakby wraz z nią chciała przełknąć rozgoryczenie i frustrację, zanim staną się zbyt nabrzmiałe.

Mimo to wyczuwała nadzieję, dostrzegła jej promyk; nadzieję makabryczną, niemal cyniczną, płynącą z przyjemności, jakiej mogła zaznać podczas wczorajszej rozmowy z Gibsonem. Zaistniała sytuacja sprawiła mu niezmierną frajdę, przyprawiła go o dreszczyk emocji, napełniła euforią, której był spragniony. Jak

narkotyku. Wczoraj wszakże to *ona* manipulowała *nim*, i dzięki temu zyskała nad nim niewielką przewagę, z czego on nie zdawał sobie sprawy. Nadto poczyniła dwa spostrzeżenia, nieocenionej wprost wagi. Pierwsze: on rzeczywiście jest chory. Oraz drugie: będzie to chciał powtórzyć.

Zarówno sam czyn, jak i całą tę zabawę w kotka i myszkę z policją.

Była tego absolutnie pewna, mogłaby przysiąc na wszystkie świętości.

Resztkę kawy wylała do zlewu. Cóż, trzeba wziąć się do pracy. Musi potwierdzić zeznania Dave'a Tannera. Miała nadzieję, że Reek możliwie szybko odnajdzie Karen Ward. Raz jeszcze porozmawia z Eną Witty, która może odzyskała już równowagę i przypomni sobie ten czy inny istotny szczegół ze swego krótkotrwałego związku ze Stanem Gibsonem. Pewnie nie zdoła go tym pogrążyć, Valerie nie miała co do tego żadnych złudzeń. Musiała wszakże wykonywać swoją pracę. Działać rutynowo, tak jak się tego nauczyła. Poza tym należało się zbliżyć do Gibsona. Dowiedzieć się o nim wszystkiego, co tylko możliwe.

Od tej chwili depte ci po piętach krwawa bestia, Gibson, pomyślała zawzięcie. Nadejdzie dzień, w którym twój uśmiezek zastygnie ci na twarzy i wreszcie zrozumiesz, jak głęboko ugrzązłeś w bagnie!

Zabrała torebkę i kluczyki do samochodu, przerzuciła przez ramię płaszcz i wyszła z mieszkania.

## Drugie dziecko.doc

15.

Drogi Chadzie,

ostatni rozdział naszej historii przesyłam ci w formie listu. Wszystko bowiem, co istotne, już opowiedziałam, pragnę jeszcze tylko wyjaśnić ci powody, dla których historię tę w ogóle spisałam.

Znam cię jako oszczędnego w słowach pragmatyka, dla którego wartość ma tylko to, czym można się posłużyć w sposób bezpośredni, bez konieczności zbędnego interpretowania. Wiem, co sobie myślisz, przeczytawszy całą tę historię:

Niepotrzebna pisanina! Oto nasza historia - i co? Jakbym jej dokładnie nie znał!

Po co to wszystko?

Historia ta zawsze mnie zasmucała, Chad. Z wielorakich powodów. Przede wszystkim ze względu na Briana Somerville'a. Może byłam dla tego chłopca kimś bliższym niż ty, choć przecież przez lata mieszkał pod twoim dachem, nawet pod moją nieobecność, i w gruncie rzeczy spędziłeś z nim znacznie więcej czasu.

Opuścił Londyn jako mały, osierocony chłopiec, uczepiwszy się mojego rękawa. To mojej bliskości szukał przez cały czas pobytu w Scarborough. Tylko mnie nazywał po imieniu. Do nikogo prócz mnie nie zwracał się bezpośrednio, czy kiedykolwiek zwróciłeś na to uwagę? Nawet do Emmy, która kochała go bardziej niż ktokolwiek inny. Właściwie jedynie ona go kochała. On jednak wybrał właśnie mnie, od samego początku, pewnego listopadowego poranka w zbombardowanym Londynie, stojąc przed dymiącymi jeszcze zgliszczami swego rodzinnego domu. I choć nigdy nie odwzajemniłam jego sympatii, wciąż zawodziłam jego zaufanie,

pozostał mi wierny. Czasem myślę sobie, że nikt w moim życiu nie darzył mnie tak niezłomną wiernością jak właśnie Brian Somerville.

Drugi powód, dla którego nigdy nie potrafiłam myśleć o nas inaczej jak tylko z przygnębieniem, nieomal melancholią, kryje się w sposobie, w jaki ułożyły się nasze życiowe ścieżki, w tym mianowicie, że nigdy nie złączyły się we wspólną drogę, jak to sobie wymarzyłam. Do dziś jestem przekonana, że naszym przeznaczeniem było wieść wspólnie życie. Mężczyzna, którego później poślubiłam, nie dał mi szczęścia, ty również go nie zaznałeś z kobietą, którą w końcu sobie wybrałeś w dość zaawansowanym już wieku. Jestem pewna, że nasze związki nie zostały pobłogosławione dlatego właśnie, że nie były nam pisane. To dlatego oboje doznaliśmy samych tylko rozczarowań ze strony naszych dzieci: ty od Gwen, która stała się oderwaną od życia starą panną i bardzo jej teraz zależy na tym, żeby wyjść za szarmanckiego oszusta matrymonialnego, który upatrzył sobie jej majątek i jeszcze przed zaręczynami, idę tu o zakład, oszukiwał ją do woli. A moja córka... no cóż, sam przecież wiesz.

Hipisowskie komuny, haszysz, LSD, żadnego porządnego zawodu, sypianie z kim popadnie. Za rzecz najgorszą uważałam zupełnie nieodpowiedzialny sposób, w jaki wychowywała swoją córeczkę. Wcale mnie nie zdziwiło, że w końcu zmarła wskutek przedawkowania narkotyków i alkoholu; właściwie się tego spodziewałam. Oczywiście życzylabym sobie dla niej innego życia.

Postać Briana Somerville'a oraz fakt, iż nasze drogi życiowe się rozeszły, bez wątpienia są z sobą związane. Choć w tamtej chwili nie mogliśmy tego jeszcze pojąć, nasza historia rozstrzygnęła się owego dnia w sierpniu roku 1946, kiedy na sflaczałym rowerze

twojej matki dotarłam do upiornej, odosobnionej zagrody Gordona McBrighta. Zrozumiałam, że stało się tam coś potwornego i będziemy musieli interweniować. Pamiętasz, wspomniałam ci o tym tamtego wieczoru. W naszej zatoce.

Tym jednak razem nie spowijał nas romantyczny nastrój owego pamiętnego wieczoru, pełnego szczęścia i światła, kiedy to spotkaliśmy się ponownie i kochaliśmy się, a ja miałam przed oczami naszą wspólną przyszłość, jasną i promienną. Podczas tego drugiego spotkania wywiązała się między nami kłótnia. Opowiedziałam ci o mojej wyprawie, ty zaś wziąłeś mi za złe, że w ogóle się tam wybrałam. Tak głośno wyrażałeś swoje niezadowolenie, stałeś się taki agresywny, że w końcu wybuchnęłam płaczem. Wówczas nie potrafiłam jeszcze zrozumieć, dlaczego zwróciłeś się przeciwko mnie. Dziś już wiem, że powodem był strach. Strach, że mogłabym podjąć dalsze kroki, mogłabym przysporzyć ci kłopotów, których tak bardzo się obawiałeś. Zareagowałeś szyderstwem i pogardą, kiedy chciałam ci wyjaśnić, jak namacalne było dla mnie zło, okrucieństwo, zbrodnicość tamtego miejsca. Odważyłam się nawet powiedzieć ci o krzykach Briana, które słyszałam w mojej głowie.

Nie chciałeś się z tym pogodzić. W twoich oczach dostrzegłam niemal nienawiść. W tamtej chwili uznałeś mnie za wroga. I zagrożenie.

Dałeś mi do zrozumienia, że nie będzie między nami zgody, jeśli nie zostawię w spokoju tej *historii Somerville'a*. Że nie będę mieć wstępu na farmę Beckettów. Słowem: żadnych kontaktów, nigdy więcej. To kres nie tylko naszej miłości i naszej przyjaźni. Odtąd nie będziesz nawet chciał mnie znać.

Przypominając tobie i sobie samej wydarzenia tamtego wieczoru, nie chcę zrzucić na ciebie winy za los Briana Somerville'a. Nawet jeśli uznać, że miałam dopiero siedemnaście lat, byłam zakochana, bezradna i niedoświadczona, świadoma, że ponad moje siły było ignorowanie groźnych konsekwencji i czynienie tego, co po prostu nakazywało mi sumienie - w ciągu następnych lat wciąż pojawiały się sposobności, żeby wykazać odwagę. Żeby wszcząć poszukiwania, by coś przedsięwziąć. Nie zawsze miałam lat siedemnaście, nie mogłam się wiecznie powoływać na moją młodość i wynikającą z niej bezradność.

Któregoś dnia moje sumienie powinno się było okazać mocniejsze niż... no właśnie, niż co? Dużo rozmyślałam o tym, Chad, co wywołało we mnie tę wieczną blokadę. Niepokój, że utracę twoją przyjaźń? Myślę, że jakkolwiek zawsze byłeś dla mnie ważny, i nadal jesteś, ten strach nie wystarczyłby jednak, by stłumić we mnie głos, który tak często przypominał mi o Brianie. Nie sądzę, bym moje milczenie mogła wyjaśnić, a już na pewno nie usprawiedliwić, jedynie tym, że byłam kiedyś w tobie zakochana. Nawet tym, że być może kochałam cię przez całe życie.

Nie, wyjaśnienie jest znacznie bardziej banalne i nosi charakter niemal zgodny z prawem natury: im dalej i dłużej podążamy jakąś drogą, tym trudniejsza i obfitsza w konsekwencje jest droga powrotna. Zawsze istnieje punkt, w którym możemy zawołać *Nie!* i odmówić dalszego marszu. Jeśli ów punkt przegapimy, każdy późniejszy krok staje się coraz bardziej skomplikowany, zmuszając nas do wyjaśnień, dlaczego nie wcześniej... W którymś momencie nie mamy już po prostu odwagi. Zabrnęliśmy tak daleko, że odwrót staje się niemożliwy. A przynajmniej taki, który by w jakimś stopniu dawał nam jeszcze powód do dumy. I maszerujemy dalej,

zaciskając zęby, głośno gwizdząc i nucąc melodie, zajmując się wieloma pobocznymi sprawami tylko po to, żeby zagłuszyć w sobie głos własnego sumienia. Tak właśnie czyniłam.

Ty pewnie też, choć tego nie wiem. Czasem obawiam się, że z powodu tragedii Somerville'a sumienie nie zadręczało cię ani w połowie tak bardzo jak mnie. Kwestii tej nigdy nie zdołałam wyjaśnić. Tych kilka prób rozmowy z tobą o Brianie i naszej roli w jego dramacie, jakie podjęłam przez te wszystkie lata, torpedowałeś za każdym razem. Nie chciałeś o tym mówić! Koniec. Kropka.

Tamtego lata, już kilka dni po moim przyjeździe do Yorkshire, wyruszyłam w drogę powrotną do Londynu. Wszystko się zmieniło. Nie potrafiłam znieść twojego dystansu, twojego chłodu. Tego, jak zawzięcie mnie unikałeś, jak dawałeś mi do zrozumienia, że nie zyczysz sobie jakiegokolwiek ze mną kontaktu. Nie spędzaliśmy już wieczorów nad zatoką. Nie rozmawialiśmy, nie wspominając już o jakiegokolwiek czułości. Rozdzielił nas Brian Somerville - oraz zagrożenie, jakie dla ciebie stanowił. Nie mogłeś zbliżyć się do mnie ani na krok. Sądzę, że poczułeś głęboką ulgę, gdy w końcu spakowałam plecak i opuściłam farmę.

Nie pamiętam już, co rzekłam zdumionej matce i osłupiałemu Haroldowi. Cokolwiek. Przypuszczam, że i tak wiedzieli swoje. Nigdy nie mówiłam o moich uczuciach do ciebie, lecz przynajmniej mama na pewno czegoś się domyślała. Teraz zaś pewnie uznała, że nic z tego nie wyszło. Że na łeb na szyję wyjechałam ze Scarborough z powodu miłosnego zawodu i rozczarowania. Aż tak bardzo się nie myliła, choć nic nie wiedziała o zagmatwanych zdarzeniach, które do tej sytuacji doprowadziły.

Pod koniec września poszłam w Londynie do urzędu ewidencji ludności, żeby dowiedzieć się czegoś o losach rodziny Somerville'ów.

Podalam ich wcześniejszy adres, powiedzialam, ze chodzi o moich znajomych i chcialabym poznac miejsce ich pobytu. Tego rodzaju pytania nie byly w owym czasie, ledwie poltora roku po zakonczeniu wojny, niczym niezwyklym. Mężczyźni nie wracali z frontu, całe rodziny ewakuowano z wielkich miast z powodu bombardowań, a potem ginęły one bez wieści. Dzieci wciąż szukały rodziców, rodzice poszukiwali dzieci, kobiety mężów i narzeczonych, mężczyźni swych żon. Czerwony Krzyż wywieszał długie listy poszukiwanych. Ludzie odnajdywali bliskich, choć stracili już wszelką nadzieję.

Wojna wciąż kładła się cieniem.

O Somerville'ach dowiedziałam się tego, czego można się było spodziewać: cała rodzina zginęła podczas nalotu w listopadzie 1940 roku.

- Wszyscy? - spytałam młodą kobietę siedzącą w okienku, która przeszukała dla mnie akta.

Popatrzyła na mnie ze współczuciem.

- Niestety, wszyscy. Mr i Mrs Somerville oraz sześćoro ich dzieci. Dom się zawalił, nie zdołali się wydostać ze schronu w piwnicy.

- I wszystkich wygrzebano potem z gruzowiska? - dopytywałam się.

- Tak. Bardzo mi przykro, że nie mogę pani przekazać żadnych pocieszających wieści.

- Dziękuję - mruknełam.

Splonęła wówczas połowa Londynu, wszędzie odgrzebywano z gruzów rannych lub nieżywych. Nie dziw zatem, że w przypadku domu wielorodzinnego, którego wszyscy mieszkańcy zginęli w piwnicy, nie dało się szczegółowo ustalić, czy rzeczywiście sześćoro



dzieci pewnej rodziny przebywało wówczas z rodzicami. Wciąż pamiętałam dobrze słowa biednej, wstrząśniętej Miss Taylor, wypowiedziane tamtego listopadowego poranka: - Wszystkich odkopano... a przynajmniej to, co z nich zostało.

Może tu leżała noga, tam znów ręka... Któż wówczas, w samym środku piekła, jakie noc za nocą rozgrywało się nad miastem, miałby czas i sposobność, żeby przeprowadzać dokładne badania patologiczne?

Oficjalnie, jak się przekonałam, Brian Somerville nie żył od prawie sześciu lat. Niktós rzeczywiście stał się nikim. Nie istniał. W notatniku siostry z Czerwonego Krzyża widniała przed laty adnotacja na jego temat, lecz widocznie zaginęła w wędrówce od jednej instancji do drugiej. To dlatego nikt o Briana nie wypytywał. I nikt już o niego nie zapyta. Stało się to, co dziś, w naszym oplecionym cyfrową siecią, doskonale skomputeryzowanym świecie wydaje się nie do pomyślenia: pewien człowiek został wykasowany z wszelkich systemów. Istniał fizycznie, lecz oficjalnie nie żył. Nie dosięgnie go ani obowiązek szkolny, ani też konieczność płacenia podatków. Nie posiadał ubezpieczenia zdrowotnego, nie otrzymał powiadomienia o prawie do głosowania.

I w najmniejszym stopniu nie skorzystał z ochrony, jaką cywilizowane społeczeństwo otacza obywateli.

Powlokłam się do domu i napisałam do ciebie list, w którym poinformowałam o moich ustaleniach. Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz ten list, w każdym razie był jednym z niewielu, na które mi odpisałeś - i to dość szybko. Przypuszczam, że poczułeś ulgę, słysząc o oficjalnej „śmierci” Briana, teraz bowiem mogłeś mieć pewność, że żadne urzędy nie będą cię nękać pytaniami. Póki trzymałam buzię na kłódkę, nie miałeś się czego obawiać.

Podziękowałaś mi za list i poprosiłaś, żebym się nie martwiła. Bądź co bądź nie wiedziałam, czy Brianowi aż tak źle się żyje, jak pomyślałam w owej *pierwszej gorączkowej chwili* (pamiętam dokładnie twoje sformułowanie). Powinnam też wyobrazić sobie alternatywę: zakład opiekuńczy - a nic innego nie wchodziło przecież w rachubę - z pewnością nie byłby idealnym miejscem dla takiego chłopca jak Niktoś. Pacjenci przykuci do swych łóżek wegetują tam, leżąc bezradnie we własnych odchodach, polewani zimną wodą, kiedy trzeba ich umyć... Nierzadko też dochodziło do ich maltretowania i niewyjaśnionych przypadków śmierci...

Nakreśliłaś przejmujący dreszczem obraz, którego nie powstydzilby się sam Charles Dickens. Jeszcze dziś, patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie myliłaś się w tej kwestii. Zakładów dla upośledzonych umysłowo z lat czterdziestych ubiegłego stulecia nie da się porównać do obecnych, a przecież nawet i w naszych czasach co rusz wstrząsają nami doniesienia o skandalach, jakie ten czy inny dziennikarz odkrywa w miejscach, do których posyłamy chorych i starców.

A mimo to... Chad, mam już prawie osiemdziesiąt lat i w obliczu własnej zbliżającej się śmierci - która pewnie nie każe już długo na siebie czekać - nie mogę okłamywać samej siebie i mamie innych.

To, co uczyniliśmy, nie było w porządku. A od czasu skandalu, który na początku lat siedemdziesiątych wywołała Semira Newton, nawet ty nie możesz dłużej żywić przekonania, że droga, jaką wybraliśmy, była choćby w najmniejszym stopniu właściwa.

Była to droga naznaczona przez okrucieństwo, brak odpowiedzialności, brak skrupułów. Pełna egoizmu i tchórzostwa.

Tak, być może właśnie to słowo opisuje nas najlepiej: byliśmy tchórzami.

Zwyczajnymi tchórzami.

## 16.

Co wydarzyło się potem? Zrobiłam to, o czym wcześniej nawet nie chciałam myśleć. Wstąpiłam do szkoły handlowej, nauczyłam się maszynopisania i stenografii, a potem pracowałam w rozmaitych londyńskich biurach. Przypominam sobie właśnie, że w tamtym czasie moja matka całkiem niespodziewanie, siedząc przy śniadaniu w niedzielny poranek, zapytała mnie o Briana.

- Co się właściwie stało z tym drugim dzieckiem? - Z przerażenia aż zakrztusiłam się herbatą. - Wiesz, ten mały... jak nazywali się ci ludzie? Somerville, jeśli dobrze pamiętam? Ten chłopiec, którego zabrałaś wówczas z sobą...

- Już od dawna przebywa w zakładzie, mamó, od lat - odparłam, delikatnie wycierając serwetką krople herbaty ze swetra. - Wiesz przecież, on był trochę... - Wymownie popukałam palcem w czoło.

- Ach tak - powiedziała mama. I na tym koniec. Nigdy więcej o nim nie wspomniała. Dla niej sprawa była zamknięta, zresztą to pytanie krótko zajmowało jej myśli. Odpowiedź właściwie wcale jej nie interesowała.

W sierpniu 1949 roku poślubiłam pierwszego chłopaka, jakiego miałam po rozstaniu z tobą. Olivera Barnes, miłego studenta ostatniego semestru historii, poznałam podczas pracy dorywczej w uniwersyteckiej bibliotece. Myślę, że byłam w nim nawet trochę zakochana, choć z pewnością nie była to prawdziwa miłość. Być może w wieku lat dwudziestu nie jest się jeszcze na tyle dojrzałym, żeby umieć te sprawy należycie rozróżnić. Wyszłam za niego, gdyż uznałam go za sympatycznego, on zaś mnie adorował. Wciąż

jeszcze mieszkał z rodzicami, miał jednak w ich przestronnym domu własne mieszkanie w suterenie, do którego mogłam się wprowadzić. Dzięki temu opuściłam wreszcie ciasne lokum mojej matki i Harolda. W każdym razie mój status materialny ogromnie się poprawił, co niesamowicie imponowało matce. Lubiła Olivera, aż do śmierci żyła w przekonaniu, że odnalazłam w nim wielką miłość mojego życia. Pozostawiłam ją w tym przeświadczeniu, bo i po cóż miałabym ją niepotrzebnie martwić?

Miałam ledwie dwadzieścia jeden lat, kiedy urodziła się nasza córka Alicia. A dwadzieścia osiem, gdy mojemu mężowi, który tymczasem został asystentem profesora historii, zaproponowano posadę na uniwersytecie w Hull.

Przypadek czy zrządzenie losu? Znów znalazłam się w Yorkshire.

Nie chcę cię zanudzać opisem lat, jakie później nastąpiły.

Fiasko naszego wspólnego życia dokonało się - na owym rozstrzygającym rozstaju dróg każde z nas poszło w swoją stronę. Tego nie dało się uniknąć. Odbierałam to - i do dziś odbieram - jako tragiczne zrządzenie. Czy ty również czujesz podobnie? Tego nie wiem, nigdy nie można było z tobą porozmawiać o tego rodzaju sprawach. Z biegiem lat stawałaś się coraz większym dziwakiem, coraz bardziej zamykałaś się w sobie. To ja podtrzymywałam kontakt, wciąż cię odwiedzałam, próbowałam wyrwać cię z tego stanu. Nawet wówczas, gdy w wieku lat czterdziestu pięciu w końcu postanowiłaś się ożenić, z kobietą o dwadzieścia lat młodszą. Widać było, jak powoli marniała z powodu twojej niezdolności do jakiegokolwiek formy dialogu. Jest to dla mnie absolutnie logiczne, że zmarła wcześniej, choć była od ciebie znacznie młodsza.

Przywodziła mi zawsze na myśl kwiat, którego nikt nie podlewa, który powoli więdnie i pewnego dnia zwyczajnie obumiera.

Również Gwen cierpiała z tego powodu. Ona jednak jest twoją córką, od kiedy przyszła na świat, nie знаła innego ojca prócz tego, który praktycznie nie mówi ani słowa, który wewnętrznie odsunął się od rodziny, który niby jest, lecz właściwie go nie ma. Mogła wytworzyć w sobie mechanizmy, które pozwoliłyby jej przeżyć nawet na pustyni. Twoja żona natomiast, choć młoda wiekiem, była na to za stara. Wypaliła się przy tobie. W końcu zmarła przytłoczona przez zmartwienia i frustrację. Guz w piersi był jedynie fizycznym znakiem jej nieszczęścia.

Dlaczego mówię ci o tym w tak ostrych słowach? Ponieważ równie ostro osądzam w tej sprawie także siebie. W jakim stopniu ponoszę winę za to, że byłeś tak obcy dla własnej rodziny, tak mało się angażowałeś, byłeś formalnie mężem i ojcem, lecz nigdy w sposób prawdziwy, rzeczywisty?

Przeforsowałam pomysł, żeby zamieszkać w Scarborough. Hull byłoby, rzecz jasna, korzystniejsze dla Olivera, on jednak, jak zawsze, poddał się mojej woli. Nie zamieszkaliśmy przy Prince-of-Wales-Terrace, lecz w naprawdę uroczym domu nieco dalej, przy Sea Cliff Road, wysadzonej drzewami ulicy, której kraniec zdaje się niknąć w morzu. Mieszczą się przy niej przestronne domy i ładnie utrzymane ogrody. Moglibyśmy tu żyć jak naprawdę szczęśliwa rodzina, mnie zaś mogłoby pochłonąć to nowe życie. A jednak wciąż coś mnie ciągnęło na farmę Beckettów. Długo nie zdawałam sobie sprawy, ile czasu w istocie tam spędzałam. Któregoś dnia doszło jednak do pewnej przykrej sceny. Moja córka Alicia miała wówczas dwadzieścia lub dwadzieścia jeden lat, była już mamą małej Leslie,

prowadziła pozbawione celu, nieuporządkowane życie. Wytknęłam jej, że mogłaby się postarać o lepszą przyszłość dla siebie.

- Nigdy niczego ci nie brakowało! - wrzasnęłam. - Nie możesz twierdzić jak niektórzy młodzi ludzie, że musiałaś się bez czegoś obejść. Czy kiedykolwiek czegoś ci brakowało?

Jej cera już wówczas miała niezdrowy żółtawy odcień, ciągle skarżyła się na dolegliwości wątroby i woreczka żółciowego, a to z powodu zażywania narkotyków i zupełnie nieodpowiedniego odżywiania. Pamiętam, że ten chorobliwy odcień jeszcze się pogłębił, gdy odpowiedziała bardzo ostrym tonem: - Czego mi brakowało? Mojej matki! Brakowało mi własnej matki!

Byłam szczerze zdumiona. - Mnie?

- Innej matki niestety nie mam.

- Ale ja...

- Nigdy cię nie było - przerwała mi w pół słowa. - Ciągle tylko włóczyłaś się po tej farmie i łąziłaś za Chadem Beckettem. Kiedy przychodziłam ze szkoły, praktycznie dzień w dzień czekało na mnie przygotowane jedzenie oraz kartka z informacją, że jesteś na farmie Beckettów i wrócisz późno. Szkoda, że tych kartek nie przechowałam. Mogłabym nimi zapełnić całe kontenery!

Uzmysłowiłam sobie, że miała rację. Nigdy się od ciebie nie uwolniłam, Chad. Nieważne, jak małomówny i nieprzystępny w końcu się stałeś, dla mnie pozostałeś tym szalonym, przystojnym młodzieńcem z lat wojny, który siedział ze mną o zmierzchu nad zatoką w Staintondale i chciał wyruszyć na front, żeby ratować świat. Chłopcem, którego ubóstwiałam, z którym wiązałam wszelkie moje nadzieje, razem z którym w mojej wyobraźni wymarzyłam sobie cały wszechświat - nie uświadamiając sobie, że dzieje się to jedynie w mojej wyobraźni, nie w twojej. Dla ciebie

przez dziesiątki lat pozostałam romantyczką - choć sama nie wierzę, by można mnie było posądzać o romantyczny charakter. Okłamywałam samą siebie. Wmawiałam sobie, że ktoś - akurat ja! - musi cię wspierać. Twój ojciec zmarł, na długie lata pozostałeś na farmie zupełnie sam. Pracowałeś, żeby spłacić długi, byłeś przemęczony i przytłoczony zmartwieniami. Gotowałam dla ciebie, zabierałam z sobą twoje rzeczy do prania. Rozmawiałam z tobą o kłopotach przy zniwach i spadających cenach zbóż. Znacznie więcej wiedziałam o twojej codziennej pracy na farmie niż o pracy mojego męża na uniwersytecie, która w ogóle mnie nie zajmowała. Przede wszystkim jednak straciłam kontakt z własną córką, nie wiedziałam, co się dzieje w jej głowie, w duszy i w życiu. Znałam cenę kilograma owczej wełny. Nie znałam terminu szkolnego przedstawienia, w którym ona śpiewała solo.

Kiedy wreszcie się ożeniłeś, zostałeś ojcem, tak bardzo już przywykłam do tego dziwnego życia z tobą, że nie znalazłam sposobu, by się od niego uwolnić. Nie mogłam cię zostawić tylko dlatego, że teraz pojawiła się inna kobieta. Wmówiłam sobie nawet, że ją także muszę wspierać. Była młoda, brakowało jej doświadczenia, zbyt wiele od niej wymagano. Ja zaś zawsze byłam gotowa do pomocy, gdyby tylko „zaszła taka potrzeba”. Szkopuł w tym, że nigdy nie zaszła. Rodzina nie miała problemów nie do rozwiązania. Jedynym prawdziwym problemem byłam chyba ja sama.

Twoja żona, Chad, chyba naprawdę miała mnie czasem dość. Lecz była uległa, zastraszona. Znosiła cierpienia w milczeniu.

Niesamowite jest to, że nigdy nie mieliśmy romansu.

Cieleśnie nigdy nie zdradziliśmy naszych małżonków. Być może to by wszystko uprościło, a przynajmniej rozjaśniło sytuację. Być

może Oliver wystąpiłby o rozwód, gdyby się o tym dowiedział. Może twoja żona miałaby dość siły, by odejść, gdyby nakryła nas razem w łóżku. A tak nikt nie wiedział, co właściwie można by nam zarzucić. Tym bardziej że udawałam dobrą samarytankę.

Często zadawałam sobie pytanie, czy bez Briana Somerville'a wszystko ułożyłoby się inaczej. Czy pobralibyśmy się, mielibyśmy kilkoro udanych dzieci, żylibyśmy szczęśliwie? A może znów usiłuję sobie coś wmówić? Może nasz związek przetrwałby mimo całej tej historii z Brianem, gdybyśmy rzeczywiście byli sobie przeznaczeni? To przygnębiające, a zarazem fascynujące, wyobrazić sobie, że życie dwojga ludzi, a tym samym losy ich późniejszych partnerów i dzieci, rozstrzygnęło się zupełnie przez przypadek. Gdyby tamtego ranka w listopadzie 1940 roku moja matka wyruszyła ze mną w drogę na stację nieco wcześniej bądź trochę później, prawdopodobnie nie spotkalibyśmy Miss Taylor i Briana.

I niektóre sprawy potoczyłyby się inaczej. Może nawet wszystkie.

Skandal z roku 1970, dramat związany z osobą Semiry Newton, policja, zamęt w prasie, wszystko to przetrwaliśmy lepiej, niż można by oczekiwać. Co zaskakujące, nikt nie czynił mi wyrzutów. Tłumaczono bowiem, że kiedy działy się rozstrzygające wydarzenia, byłam jeszcze dzieckiem, przyjęto również, że nie miałam pojęcia o późniejszym strasznym losie Briana. Prawie w ogóle nie byłam nękana przez media, wspomniano o mnie jedynie przy okazji, zazwyczaj nie podawano nawet pełnego nazwiska. Także w twoim przypadku skłaniano się raczej, i to bez jakichkolwiek starań z twojej strony, do tego, żeby zrzucić wszystko na barki twoich rodziców. Ogólnie uznano, że to twój ojciec oddał Briana w ręce Gordona McBrighta, ty zaś temu nie zaprzeczyłaś. Wcale nie



dlatego, że chciałeś się usunąć z linii strzału i obciążyć winą ojca. Ty z zasady odrzucałeś możliwość wszelkiej rozmowy. I to nie ze względu na temat. Głównie dlatego, że w owym czasie nie godziłeś się już na jakąkolwiek formę porozumienia z otoczeniem.

Cała ta historia wzbudziła ogromną sensację i niemałe zamieszanie. W gazetach pojawiały się tytuły w rodzaju *Zapomniane dziecko* albo *Dziecko bez imienia*. Oczywiście prasa wszystko porządnie wypatroszyła, ale dzięki temu, że mogliśmy się powołać na naszą młodość, przypadającą na czas decydujących wydarzeń, wyszliśmy z tego, jak już pisałam, obronną ręką. Opinia publiczna obciążyła odpowiedzialnością głównie Arvida Becketta, człowieka, który nie chciał przyjąć do siebie Briana i pozostał dlań niemal zupełnie obojętny. Uczyniliście to jednak razem, ty i on, w dodatku Arvid był już wówczas schorowanym, po części nieodpowiedzialnym starcem, który prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji tego kroku.

Kto jednak miałby na tym skorzystać, gdyby przekazać tę wiedzę opinii publicznej, a tym samym wpędzić nas i nasze rodziny w kłopoty?

Zbyt dobrze cię znam, Chad, może nawet lepiej niż jakiegokolwiek innego człowieka, którego spotkałam w moim życiu. I wiem, że jeśli to wszystko przeczytałeś albo przynajmniej przejrzałeś, zapytasz teraz ze zdumieniem: I co? Nadal nie rozumiem, po co te dawne dzieje znów wywlokłaś na światło dzienne...

Nie mam pewności, czy moje wyjaśnienie zdoła cię przekonać, lecz mimo to spróbuję.

Opisałam to wszystko dlatego, że chciałam zmierzyć się z prawdą. A mogłam to uczynić z całą jasnością i bezwzględnością

jedynie pod warunkiem, że to wszystko spiszę. Myśli nagle się urywają, ulatują, zatracają się, pozostają niedokończone. Podczas pisania nie ma wymówek. Pisanie zmusza do skupienia, do tego, by precyzyjnie sformułować także to, co z pozoru niewyraźne. Nie da się w piśmie pozostawić zdań niedokończonych. Uzupełnia się je, nawet jeśli umysł wzbrania się przed tym, a palce nie chcą dotykać klawiatury. Człowiek chciałby uciec, a jednak pisze dalej.

Doświadczyłam tego.

Dlaczego wysłałam ci to wszystko?

Ponieważ jesteś częścią mojej opowieści, Chad, i częścią mojej prawdy. Ponieważ nasze losy są powiązane - z sobą i z losem Briana Somerville'a. Na ścieżce życia, którą podążaliśmy, żadne z nas nie mogło się obejść bez dwojga pozostałych. Czuję się z wami związana, w ów piękny, smutny, szczególny pod każdym względem sposób. Dlatego nie mogłam uznać za słuszne, żeby naszą historię zachować tylko dla siebie.

Jeśli posyłam ci tych kilkanaście rozdziałów, być może powoduje mną także pewna tęsknota za sprawiedliwością. Nie było mi łatwo, Chad, zmierzyć się z prawdą, uważam, że byłoby fair, gdybyś i ty uczynił podobnie. Oczywiście nie mogę cię zmusić do tego, żebyś je wszystkie przeczytał. Może zwyczajnie to skasujesz, ledwie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi.

Być może zechcesz się bronić i zlekceważysz to wszystko. Także i to potrafię zrozumieć.

Ale: chciałam dzielić z tobą moje życie. W ten czy przynajmniej w inny sposób.

Fiona

## Czwartek, 16 października

### 3.

Leslie zastanawiała się, dlaczego tak okropnie ją mdli. Chyba nie przez tę whisky, a może jednak? Zeszłej nocy solidnie wymiotowała, gorzej już chyba być nie mogło. Może za krótko spała? Najwyżej dwie godziny. I za dużo czytała, to ją dobiło. Sprawy wcale nie przedstawiały się prościej, wręcz przeciwnie, coraz bardziej zatracaly się w niejasnościach.

Co się stało z Brianem Somerville'em?

I kim była Semira Newton?

Wyszła z sypialni. Za oknem powoli świtało, pomiędzy zwałami ciemnych obłoków zawieszonych ponad powierzchnią morza połyskiwał świetlisty pas czerwieni. Wschodziło słońce, lecz Leslie wątpiła, by się przedarło zza chmur. Znow będzie szary jesienny dzień.

Weszła do pokoju dziennego, gdzie ku swemu zaskoczeniu zastała Dave'a, który, już ubrany, właśnie podnosił słuchawkę. Wzdrygnął się i odłożył ją na miejsce. Widocznie nie lubił być zaskakiwany podczas rozmowy telefonicznej.

- Już nie śpisz - odezwał się.

- Ty też - odparła Leslie.

- Nie spałem zbyt dobrze - przyznał Dave - rozmyślałem... - Nie rozwinął tego zdania, lecz Leslie bez trudu wszystkiego się domyśliła.

- Pewnie nie wiesz, co począć ze swoim życiem.

Uśmiechnął się nieswojo. - Mało powiedziane. Zabrnąłem w ślepią uliczkę i mam poczucie, że nie potrafię znaleźć własnej drogi, nie mogę się ruszyć ani w przód, ani wstecz. Zagubiony, zupełnie zagubiony.

Wskazała na telefon. - Chciałeś porozmawiać z Gwen?

- Nie. Chciałem zadzwonić do starej przyjaciółki, ale... to nieistotne.

- Ach tak.

Obrzucił ją zamyślonym spojrzeniem. - Wyglądasz na zmęczoną, Leslie. Domyślam się, że ty również nie spałaś zbyt dobrze.

- Na pewno za krótko. - Nie chciała mu opowiadać o zapiskach babki, a tym samym o długich godzinach spędzonych na lekturze.

Odsunęła od siebie myśli o Brianie Somerville'u i Semirze Newton, kimkolwiek ona była. Usiłowała skupić się na Davie.

- Czemu policja miała wątpliwości co do twojego zeznania na temat sobotnich wydarzeń? - zapytała. Dzisiejszej nocy była za bardzo pijana i w zbyt fatalnym nastroju, żeby zgłębiać tę kwestię. Później jednak, leżąc w łóżku, wciąż roztrząsała w myślach to pytanie. Mówił o jakichś *niedorzecznościach*, lecz zaraz potem zmienił temat rozmowy.

Z wyrazu jego twarzy mogła wyczytać, że błyskawicznie rozważył, co i ile chciał jej powiedzieć. W końcu z pewną przynoszącą ulgę rezygnacją postanowił jej opowiedzieć, co zaszło w biurze inspektor Almond.

- Jedna z sąsiadek widziała, jak w sobotę wieczorem po raz drugi wyszedłem z mieszkania - oznajmił. - Ja tymczasem utrzymywałem, że już więcej go nie opuszczałem. Opowiedziała to policji.

- I to prawda? Wyszedłeś ponownie?

- Tak.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. - Ale dlaczego... i dokąd...?

Dostrzegł w jej oczach nieufność i strach. Uniósł ręce w uspokajającym geście. - Nie zabiłem twojej babki, Leslie, naprawdę, uwierz mi wreszcie. Wyszedłem ponownie, ale nie chciałem o tym mówić.

Domyśliła się. — Byłeś u innej kobiety?

Przez cały czas stał pośrodku pokoju, teraz opadł na jeden z foteli, wyciągnął przed siebie nogi, jakby gotów skapitulować na całej linii. - Tak.

- Przez całą noc?

- Tak.

- Dave...

- Wiem. Jestem potworem, zachowałem się okropnie, okłamałem i zdradziłem Gwen... *wiem*.

- Kim jest ta kobieta?

- Karen. Studentka. Byliśmy przez pewien czas razem. Rozstałem się z nią z powodu Gwen.

- Najwyraźniej niezupełnie.

- Właściwie tak. Ale czasem ulegałem. Ona nie chciała mnie stracić, zawsze mi ułatwiała... Ale masz rację, tak nie powinno być.

Zrobiła krok w jego stronę. - Dave. Masz romans ze swoją byłą dziewczyną. Dzisiejszej nocy chciałeś się przespać ze mną. A...

Przerwał jej. - Bardzo mi przykro, jeśli...

Weszła mu w słowo. - Nie czuję się zraniona, Dave. Obecnie jesteś chyba gotów uszczęśliwić niemal każdą kobietę w Scarborough, która ci się choć trochę spodoba i stanowczo nie odmówi. Nie biorę tego do siebie, że byłabym jedną z wielu.

Spoglądał na nią, zdawało jej się, z życzliwością. - Ty nie byłabyś jedną z wielu, Leslie. Ty *nie jesteś* jedną z wielu.

- Jestem częścią twojej chaotycznej i przerażającej sytuacji życiowej, Dave. Tak samo jak ta Karen. Tak jak Gwen. Jesteś w dołku, postępujesz w sposób nieprzemyślany i chaotyczny, żywiąc rozpaczliwą nadzieję, że gdzieś otworzy się dla ciebie jakieś wyjście. Twój pomysł na życie okazał się fiaskiem, albo też właśnie zrozumiałeś, że błędem było nigdy żadnego nie posiadać. Tego rodzaju sprawy zauważa się zwykle około czterdziestki. A wtedy człowiek zazwyczaj wpada w panikę.

Uśmiechnął się nieznacznie. - Tak jak ty?

- Ja nie jestem podejrzana o morderstwo. I nikogo nie zdradzam. A napady paniki tłumię własnymi siłami.

- I dużą ilością whisky.

- Nawet konsekwencje picia whisky ponoszę sama.

Wstał, był teraz pełen napięcia. - Czego ty chcesz, Leslie? Ten wykład wygłaszasz nie tylko dlatego, że nie masz nic lepszego do roboty. Do czego zmierzasz?

Zaczerpnęła głęboko powietrza. - Znam Gwen od wieków. Moja babcia i jej ojciec przyjaźnili się przez całe życie. Sporo czasu spędziłam na farmie Beckettów. Nie twierdzę, że łączy mnie z Gwen zażyła przyjaźń, za bardzo się różnimy. Czuję się jednak za nią odpowiedzialna. W jakimś sensie jest dla mnie jak członek rodziny. Nie mogę się beczynnie przyglądać, jak...

- ... jak oddaje się takiemu lekkoduchowi jak ja?

- Zdradzasz ją nawet przed ślubem. Myśl o intymnych stosunkach z nią napawa cię odrazą. Nie chcesz mieć z nią nic do czynienia. Moja babcia miała rację: rzeczywiście zależy ci wyłącznie na farmie. Na ziemi. Nic więcej.

Wzruszył ramionami. - Dawno ci już o tym mówiłem.

- Nie mogę pozwolić, żeby to spotkało Gwen.

- Chcesz jej o wszystkim powiedzieć? O Karen? O... nas?

- Chcę, żebyś to ty jej o wszystkim powiedział.

- Leslie, ja...

- Dave, proszę. Idź do niej. Uporządkuj wszystkie sprawy.

Wyznaj jej prawdę. O sobotniej nocy i o sobie.

- Załamię się, jeśli to zrobię.

- Jeśli się pobierzecie i spotka was razem gigantyczne nieszczęście, będzie to dla niej jeszcze większa tragedia. A może sądzisz, że swoje romanse, wymówki, całe to swoje nieszczęście w małżeństwie będziesz mógł przed nią wiecznie ukrywać?

- Pewnie nie - przyznał.

- Miej to jak najszybciej za sobą.

Nie odpowiedział. Domyślała się, że rozważa rozmaite możliwości. Zawsze starał się lawirować przez życie, używając wybiegów, nikomu się nie narazić, wyplątywać się z nieprzyjemnych sytuacji. Nie nawykł do tego, by podążać prostą drogą, najeżoną przykrymi konsekwencjami. I nigdy jeszcze nie musiał zmagać się ze sprawą o morderstwo. Okropna śmierć Fiony nie tylko wywróciła plan Dave'a do góry nogami, sprawiła też, iż znalazł się w sytuacji, w której wszelkie jego oszustwa, wymówki i sztuczki okazały się zupełnie nieprzydatne. Zwodzić z gracją kobiety, które doń wzdychały - to jedno. Tłumaczyć się przed policją w sprawie o morderstwo to coś zupełnie innego. Coś, do cholery, znacznie poważniejszego, pomyślała Leslie.

- Domyślałam się, że nie pozostawiasz mi wyboru - odezwał się w końcu. - Jeśli nie pójde do Gwen, zrobisz to ty, prawda?

- Gdyby miało dojść do waszego ślubu - owszem.

- W takim razie chciałbym się z tym szybko uporać - oświadczył Dave.

Przeczuwała, że przystał na to nie tylko dlatego, że przystawiła mu do piersi pistolet. Gdyby chodziło wyłącznie o nią i jej twarde żądania, byłby pertraktował. Użyłby swego osobistego uroku, posłużyłby się darem przekonywania. Podjąłby walkę. Zauważyła jednak, że był zmęczony zmaganiem. Że uznał bezcelowość drogi, jaką dla siebie obrał. Że był gotów wycofać się z tej bitwy, ponieważ tak czy inaczej była nie do wygrania.

- Mogę cię podwieźć do Staintondale - zaproponowała Leslie.

- Byłoby miło. Na razie zostawię tu moją walizkę, a potem...

- Już ci mówiłam zeszłej nocy, że nie musisz się spieszyć z poszukiwaniem nowego lokum. Naprawdę, to mieszkanie jest ogromne. Nie widzę problemu, żebyś został tu na kilka dni. Dam ci drugi klucz, będziesz mógł wchodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcesz.

Wydawało się, że poczuł ulgę. - Dziękuję, Leslie. Czy przed wyjściem napijemy się jeszcze kawy i zjemy parę tostów? Nie sądzę, bym mógł stanąć przed Gwen o pustym żołądku.

- Oczywiście. Ja też napiłabym się kawy.

Śniadanie zjedli w kuchni. Dave, któremu czekająca go przeprawa z Gwen chyba wcale nie odebrała apetytu, usmażył sobie do tostów jajka i obficie polał je keczupem. Leslie, która nie tknęła niczego poza dwiema filiżankami czarnej kawy, patrzyła na niego z przerażeniem. Spiesznie wypaliła trzy papierosy, jeden za drugim, co o dziwo złagodziło nieco nudności, a teraz szykowała się, żeby odeprzeć nieunikniony komentarz Dave'a.

- Za mało jesz - powiedział szybko - a za dużo palisz i pijesz.



Tyle razy już to słyszała. - Od dawna tak robię. Mimo to nic mi nie jest.

Spojrzał na nią zamyślony, z powątpiewaniem.

- Co cię dziś tak bardzo nurtuje? - zapytał. - Jakoś nie wydaje mi się, żeby miało to związek jedynie ze mną i Gwen.

Spytała krótko i zdecydowanie: - Znasz niejaką Semirę Newton?

- Nie. Kto to?

- Nie wiem. Pytam ciebie.

- Semira Newton... - Zamyślił się. - Skąd wzięłaś to nazwisko?

- Chodzi o pewien... epizod z życia mojej babci - odparła wymijająco Leslie. - Na razie nie mogę nic więcej powiedzieć. A czy mówi ci coś nazwisko Brian Somerville?

- Nie.

Leslie zgasiła papierosa, po czym wstała. - Ruszajmy. Im szybciej pomówisz z Gwen, tym lepiej.

Dave także podniósł się z miejsca. - Przejdźmy się najpierw po plaży - poprosił.

Zgodziła się. - Ale chyba nie potrwa to godzinę albo i dwie.

Uśmiechnął się z ulgą.

#### 4.

Sierżant Reek miał wrażenie, że jego praca w ostatnich dniach polega głównie na siedzeniu w samochodzie i wyczekiwaniu na ludzi, którym powrót do domu zajmował niesłychanie dużo czasu. Zadanie to uznawał za nadzwyczaj nudne, znosił je wszakże w uległym przekonaniu, że po prostu musi zostać wykonane. Ponadto pocieszał się myślą, że jego zawodowa przyszłość będzie obfitować w zupełnie inne zajęcia. Któregoś dnia otrzyma kolejny awans. Któregoś dnia sam będzie przydzielał swoich podwładnych do tego rodzaju idiotycznych zadań. Pochwała szefowej, którą usłyszał dziś

wczesnym rankiem, utwierdziła go w nadziei, że następny szczebel jego kariery nie jest aż tak bardzo odległy.

- Naprawdę dobrze wykonujecie swoją pracę - powiedziała do niego.

Takie słowa dodają otuchy.

Na Filey Road jak zawsze panował spory ruch i gwar. Uczniowie i studenci całymi chmarami włączyli się po chodnikach. Niektórzy nosili już czapki i szaliki. Rankiem powietrze było chłodne. Przynajmniej nie padało, lecz jesień nadciągała już z całą mocą. Pierwszy tydzień października miał w sobie coś z aury późnego lata. Od tego czasu wszystko się zmieniło, teraz można już było myśleć nawet o świętach.

Boże Narodzenie! 16 października! Reek aż pokiwał głową. W strefie dla pieszych widniały już rozwieszane nad ulicą obowiązkowe girlandy z gwiazdami. Może to wcale nie jest takie idiotyczne, żeby już teraz zacząć myśleć o świątecznych prezentach. A wtedy w grudniu będzie więcej czasu. Reek zazwyczaj dopiero 24 grudnia uganiał się po sklepach i za każdym razem przyrzekał sobie poirytowany, że nigdy więcej nie dopuści do podobnej sytuacji. Tylko po to, żeby rok później przeżywać dokładnie to samo.

Wzdrygnął się przerażony. Zatopiony w myślach, jedynie kątem oka dostrzegł jakiś ruch na wybrukowanym dziedzińcu przed dużym budynkiem z cegły, w którym mieszkała Karen Ward. Tak to bywa, kiedy się planuje przedświąteczne zakupy, zamiast obserwować teren. Szybko wysiadł z samochodu. Młoda blondynka, która właśnie podchodziła do drzwi wejściowych, mogła być którąkolwiek z mieszanek tego domu, intuicja podpowiadała jednak sierżantowi, że to z pewnością Karen Ward. Niosła w ręce torbę podróżną, sprawiając przez to wrażenie, że nie nocowała dziś

u siebie. Co zresztą było chyba prawdą, bo aż do późnego wieczora nie można jej było zastać w mieszkaniu. Reek dość karkołomnie przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy i otworzył prowadzącą na dziedziniec bramę.

- Miss Ward? - zawołał.

Kobieta odwróciła się. Wyglądała na trochę niewyspaną, Reek od razu to zauważył.

- Tak? - spytała.

Podszedł do niej i pokazał legitymację. - Policja. Sierżant Reek. Chciałbym zadać pani kilka pytań. Czy mogę zająć dziesięć minut?

Spojrzała na zegarek. - Chciałam się tylko przebrać, a potem szybko na uniwersytet...

- Naprawdę tylko dziesięć minut - powtórzył Reek.

- Wszystko, co wiem o Amy Mills, powiedziałam już inspektor Almond.

- Tym razem chodzi o coś innego - wyjaśnił Reek.

Dała za wygraną. - Okay. Wejdzie pan ze mną na górę?

W przestronnym i jasnym mieszkaniu panował niesamowity bałagan. Nie było w nim żywego ducha. W kuchni piętrzył się w zlewie stos brudnych naczyń. Puste kubki, butelka z keczupem i słoik majonezu stały na upstrzonym okruchami tostów stole. Obok drzwi leżały porzucone niedbale, oblepione błotem buty. Widać było, że nikt z mieszkających tu studentów nie czuł się w obowiązku, by posprzątać, pościierać i pozmywać.

Pewnie jeden zwała to na drugiego, pomyślał Reek, i w końcu wszyscy przyzwyczajają się do życia w bałaganie.

On, pedant i fanatyk porządku, poczuł wewnętrzny dreszcz.

- Przykro mi, że taki tu bałagan - usprawiedliwiała się Karen. - Ustaliliśmy, kto i kiedy ma sprzątać, ale jakoś nigdy to nie

wychodzi. Proszę usiąść. Napije się pan herbaty?

- Nie, dziękuję - odparł Reek, dyskretnie uprzętnął z drewnianego krzesła kilka osobliwych resztek jedzenia, usiadł, wyciągnął notes i ołówek.

- Tak więc, Miss Ward, jak już mówiłem, nie chciałbym zabierać pani dużo czasu. Chodzi jedynie o potwierdzenie pewnego zeznania.

Usiadła naprzeciw niego. Zauważył, że ma lekko zaczerwienione oczy. Pewnie płakała zeszłej nocy.

- Tak? - odezwała się.

- Zna pani Mr Dave'a Tannera?

Drgnęła. - Tak.

- Mr Tanner twierdzi, że spędził razem z panią noc z zeszłej soboty na niedzielę. Ściślej mówiąc, od godziny mniej więcej dziewiątej dwadzieścia do dziesiątej w Golden Ball niedaleko portu. A następnie tutaj, w pani mieszkaniu, aż do godziny szóstej rano. Czy może to pani potwierdzić?

Jej dłonie zacisnęły się na stojącym przed nią pustym kubku, rozluźniły się, ponownie zacisnęły. - Rozumiem - powiedziała w końcu - więc to dlatego od wczoraj ciągle wydzwania do mnie na komórkę. Lista pokazuje co najmniej tuzin połączeń.

- Nie była pani dostępna?

- Widziałam jego numer i nie odbierałam.

Reek nie odpowiedział, patrzył wyczekująco.

- Ostatnią noc spędziłam u przyjaciółki - wyjaśniła Karen. - Mieszka niedaleko stąd, w dół ulicy. Ja... nie czuję się teraz zbyt dobrze. Tu w mieszkaniu nikt mnie właściwie nie rozumie, dlatego... śpiam obecnie gdzie indziej.

- Rozumiem - odparł Reek, chociaż miał tylko pewne podejrzenie i nie wiedział, czy słuszne. - Czy pani... problemy mają związek z

Mr Tannerem?

Wyglądała tak, jakby w każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem. Reek miał jednak nadzieję, że zdoła nad sobą zapanować.

- Tak. Pewnie już się pan od niego dowiedział, że przez dłuższy czas byliśmy parą. W lipcu, ot tak, z dnia na dzień, rozstał się ze mną. Przypuszczalnie dlatego, że chemia między nami już nie działała. Tymczasem dowiedziałam się, że chodzi o inną kobietę.

- Miss Gwendolyn Beckett.

- Tak się nazywa? Słyszałam tylko tyle, że jest starsza i dość niepozorna - wyznała Karen.

Reek dyskretnie zmierzył ją wzrokiem. Choć miała za sobą wyraźnie trudny okres, wyglądała na wyczerpaną i znużoną, to jednak była piękną młodą kobietą. Osobą pasującą do Dave'a Tannera. W przeciwieństwie do nieefektywnej Gwen.

- Dlaczego to w ogóle takie ważne, co Dave porabiał w zeszłą sobotę? - zapytała Karen. Dopiero teraz zaczęła sobie z wolna uświadamiać, że wypytują ją o zdarzenia, o których absolutnie nic nie wie.

Reek nie czuł się dobrze w roli herolda złych wieści.

- To jest... cóż, w minioną sobotę wieczorem na farmie, gdzie mieszka Miss Beckett, odbyła się pewna... uroczystość. Był tam również obecny Mr Tanner. - Reekowi nie przeszło przez gardło słowo zaręczyny. - Między nim a jednym z gości doszło wówczas do kłótni. Chodzi o Mrs Fionę Barnes. Z tego powodu uroczystość została nagle przerwana.

Karen zmarszczyła czoło. - Fiona Barnes? To przecież ta starsza kobieta, którą znaleziono martwą w Staintondale. Czytałam o tym w gazecie.

- Zgadza się - potwierdził Reek.

Wyraz jej twarzy zdradzał budzące się w niej zrozumienie.

- Och - odezwała się - a skoro Dave się z nią pokłócił...

- Sprawdzamy każdego z obecnych tam gości - pospieszył z wyjaśnieniem Reek.

Karen rozparła się na krześle. Miała bardzo wyraziste rysy twarzy. Widać było, jak targają nią emocje.

- Miss Ward, proszę. Prosta odpowiedź na proste pytanie. Czy Dave Tanner był u pani do godziny szóstej rano? Proszę powiedzieć prawdę.

- Prawda! - odparła gwałtownie Karen. Nagle wstała i zaciśniętymi dłońmi przetarła policzki, na których połyskiwało kilka łez. - Prawda jest taka, że dla niego zrobiłabym wszystko! *Wszystko!* Tak bardzo go kochałam. On nie ma pieniędzy, nie ma przyszłości, nie ma porządnego zawodu, gnieździ się w tym okropnym wynajętym pokoju, ale to wszystko było mi obojętne. Zupełnie obojętne! Jeśli tylko mogłam być razem z nim. Rozmawiać z nim, śmiać się, chodzić na spacer. Sypiać z nim. Chciałam spędzić z nim całe życie. Czasem mam uczucie, że umrę przez to, że mnie zostawił. To mnie wykończy!

Także Reek podniósł się, wstrząśnięty jej wybuchem. - Miss Ward, myślę, że pani...

- Czy pan wie, że on nadal wykorzystywał mnie i moje uczucia? Do dziś nie potrafię tego zrozumieć, ale z tą... Gwendolyn chyba nie układa mu się jak w bajce. W każdym razie on wciąż mnie potrzebował. Chciał rozmawiać. Wyjść na miasto. Powygłupiać się. No i kochać się ze mną. A ja byłam taka głupia i zawsze się na to godziłam, kiedy tylko pstryknął palcami. Tylko po to, żeby później znów siedzieć tu samotnie i czekać, i całymi dniami nie mieć od

niego żadnych wieści. Wie pan, że zaczęłam rozmyślać o samobójstwie?

Reek zdawał sobie sprawę, że jego słowa nie zdołają jej w tej chwili przekonać, a jednak postanowił je wypowiedzieć, gdyż były prawdziwe. - Jest pani jeszcze taka młoda. Zjawi się ktoś inny. Na pewno.

Odpowiedziała tak, jak można się było spodziewać. - Nie chcę nikogo innego.

- Ale - odparł ostrożnie Reek - jego też już chyba pani nie chce? Nie odbiera pani jego telefonów.

Opuściła ramiona. Rozluźniła zaciśnięte pięści.

- Nie chcę z tego powodu rozpaczać - powiedziała. Naraz wydała się bardzo znużona. - Chcę się od niego uwolnić. Chcę o nim zapomnieć.

- W sobotę spotkał się z panią w Newcastle Packet i poszliście razem do Golden Ball - Reek powrócił rzeczowo do właściwego tematu. - Sprawdziliśmy to. A zatem w sobotę była jeszcze pani gotowa z nim rozmawiać?

- Właściwie nie. Postanowiłam zerwać z nim wszelki kontakt, żeby przez tę całą historię zupełnie nie stracić zdrowia i poczucia własnej godności. Choć może powinnam odwrócić kolejność: poczucia własnej godności i zdrowia. Tak, moje poczucie godności zostało nadszarpnięte najbardziej... nadal jest...

Patrzyła przez okno. Reek uzmysłowił sobie, że jest rzeczywiście strasznie blada, niemal przezroczysta.

- Ale poszła z nim pani do Golden Ball?

- Dałam się namówić. Wiedziałam jednak, że to był błąd. Na miejscu szybko się zorientowałam, o co mu chodzi. Znow był sfrustrowany, niezadowolony. Nie przyznał się, co mu zepsuło

humor - wyraźnie jednak miało to związek z kłótnią, o której pan wspomniał. W każdym razie znowu miałam mu posłużyć do rozrywki. Wskoczył z nim do łóżka i umilił kilka godzin. Następnego ranka byłby wstał i zniknął, a potem całymi dniami w ogóle by o mnie nie myślał. Tak to właśnie bywało od lipca. Ja zaś nie chciałam już dłużej dawać się w ten sposób wykorzystywać.

Reek wstrzymał oddech. - To znaczy, że pani...

Nie dokończył pytania, lecz Karen je zrozumiała. - Tak. To znaczy, że wypiliśmy z nim lampkę wina, pogadałam o jakichś błażostkach, oparłam się jego próbom zbliżenia, a potem oświadczyłam, że czuję się zmęczona i chcę wracać do domu. Sama.

- Czyli on tu z panią nie przyszedł?

- Nie. Nie chciałam tego. Odrzuciłam nawet jego propozycję, że mnie odwiezie do domu. Aż za dobrze znam jego urok osobisty. Nie wiedziałam, czy zdołam pozostać konsekwentna.

- Czy rozumie pani wagę swoich słów? Twierdzi pani, że Mr Tanner skłamał w swoich zeznaniach dotyczących sobotniego wieczoru. Pani wypowiedź oznacza również, że Mr Tanner nie ma żadnego alibi w czasie, kiedy zamordowano Mrs Barnes.

Karen zachowała spokój. - Być może. Ja w każdym razie mówię panu, jak było naprawdę.

- Być może będzie pani musiała potwierdzić swoje zeznanie pod przysięgą.

Uśmiechnęła się nieznacznie. - Moja wypowiedź to nie jest żaden akt zemsty na mężczyźnie, który mnie zostawił, sierżancie Reek. Po prostu taka jest prawda. Oczywiście, że mogę złożyć zeznanie pod przysięgą.

Reek wsunął notatnik i ołówek do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Dziękuję pani za rozmowę, Miss Ward. Bardzo nam pani pomogła.



Spojrzała na niego wzrokiem pełnym smutku. Reek zdał sobie sprawę, jak rozpaczliwie musiała się poczuć. Tanner mnóstwo razy dzwonił do niej na komórkę. Mimo że była zdecydowana zamknąć ten rozdział swojego życia, mogło to jednak rozpaćić w niej iskrę złudnej nadziei. Nadziei na nowy początek, na zmianę w zachowaniu mężczyzny, którego kochała. Tymczasem przekonała się, że on znów chciał ją wykorzystać, tym razem, żeby zapewnić sobie alibi. Od przesłuchania przez Valerie Almond Tanner wydzwaniał zawzięcie do swej byłej dziewczyny po to, żeby omówić z nią swoje zeznanie i naprowadzić ją na właściwą ścieżkę.

Miałeś pecha, pomyślał Reek z pewną dozą *schadenfreude*. Pecha, przyjacielu, że ona akurat teraz postanowiła z tobą skończyć. Jesteś w niezłych tarapatach!

- Do widzenia, Miss Ward - powiedział, a po chwili wahania dodał: - Proszę mi pozwolić na osobistą uwagę: niech pani nie płacze po Tannerze. On nie jest tego wart.

5.

- Muszę zadzwonić do mojego szefa - powiedziała Ena Witty. - Chcę dziś znowu wziąć wolne, nie potrafię się skupić na pracy.

Valerie skinęła głową ze współczuciem. Stała w niewielkim, bardzo przytulnie urządzonej pokoju dziennym Eny. Właśnie odmówiła filiżanki kawy; już dość wlała dziś w siebie tego napoju, czarnego, gorącego i zbyt mocnego. Serce biło jej za szybko, miała wrażenie, że niemal zbyt głośno. Być może jednak to adrenalina w wielkich ilościach krążyła po całym jej ciele. Z powodu niepokoju najchętniej zatrzepotałaby rękami, jak ptak skrzydłami.

Ku jej zaskoczeniu drzwi otworzyła Jennifer Brankley, nieco przemęczona, z potarganymi włosami i oznakami niewyspania na twarzy.

- Pani już tu jest czy może *wciąż jeszcze*? - zapytała Valerie.

Dziwne, że nie zdołała stłumić w sobie pewnej niechęci wobec tej Brankley.

- Jeszcze - odparła Jennifer. - Wczoraj wieczorem Ena bardzo źle się czuła, była zrozpaczona, że będzie musiała spać tu sama. Zadzwoiłam więc do mojego męża, wyjaśniłam wszystko i zostałam z nią na noc. Za chwilę ma po mnie przyjechać Gwen Beckett. Chciała załatwić w mieście parę sprawunków i zabierze mnie potem na farmę.

- Czy Mr Gibson dotarł tu wczoraj wieczorem lub dziś w nocy?

- Nie.

Pobladła Ena siedziała przy stole w pokoju dziennym. Miała przed sobą tost z marmoladą, którego widocznie nie była w stanie nawet tknąć. - Czy to on? - zapytała od razu, kiedy tylko ujrzała Valerie. - Czy on to zrobił? On zabił Amy Mills?

Valerie mogła odpowiedzieć jedynie wymijająco. - Tego nie wiemy. On zaprzecza, a niezbitego dowodu nie mamy.

Ena wyglądała tak, jakby nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy raczej rozplakać. - To znaczy... może się okazać, że jest niewinny?

- Niestety, na razie pozostaje to kwestią otwartą - odparła Valerie. Potrząsnęła głową, gdy Jennifer zamierzała podać jej filiżankę, po czym zajęła miejsce przy stole naprzeciw Eny.

- Skoro bierze dziś pani wolne - zaproponowała - mogłaby pani przyjść do mnie w południe do komisariatu. Pozostało jeszcze parę pytań.

Ena przytaknęła przygnębiona.

- Proszę powiedzieć - indagowała Valerie - gdzie była pani w zeszłą sobotę wieczorem? Pamięta pani?

- Tak. Oczywiście. Byliśmy w Londynie. Stan i ja. Wyruszyliśmy w sobotę rano, wróciliśmy do Scarborough w niedzielny wieczór.

Stan chciał przedstawić mnie swoim rodzicom. Dlaczego pani pyta?

- Chodzi o Fionę Barnes, prawda? - wtrąciła Jennifer.

Valerie przytaknęła. Sprawdzenie tej kwestii było czystą formalnością. Podobnie jak sierżant Reek, nie wierzyła, żeby Gibson kłamał. W sprawie morderstwa Fiony Barnes był poza wszelkim podejrzeniem.

- Byłoby dobrze, Miss Witty, gdyby przypomniała sobie pani jeszcze jakieś szczegóły na temat Mr Gibsona - powiedziała. - Wszystko może się okazać istotne. Jego zachowanie, sprawy, o których mówił ot tak, przygodnie. Jakieś dziwactwa... albo też rzeczy zupełnie niepozorne. Wszystko. Proszę się nie bać opowiadać o sprawach banalnych. Często to właśnie na ich podstawie zyskujemy obraz danego człowieka.

- Nie znam go zbyt długo - odparła cicho Ena.

- Dość długo, żeby zdecydować o rozstaniu - wtrąciła Jennifer.

Valerie spojrzała na Enę. - Czy to prawda? Chciała się pani z nim rozstać?

- Ja... myślałam o tym, tak. Nie byłam pewna, ale...

- Czy ma to związek z jego... fascynacją Amy Mills? Czy może są jakieś inne powody?

- Doskwierał mi jego władczy sposób bycia - odrzekła Ena. - Wszystko musiało być tak, jak on tego chciał. Zawsze. Był uroczy i troskliwy, jeśli się podporządkowało jego wyobrażeniom, w przypadku sprzeciwu natomiast strasznie się złościł. Zmieniał się wtedy tembr jego głosu, wyraz twarzy, słowem: wszystko.

- Czy w takich momentach bała się go pani?

Ena się zawahała. - Nie bezpośrednio - odparła w końcu. - Ale mogłam sobie wyobrazić, że któregoś dnia naprawdę się przestraszę. Wydawało mi się, że to z czasem narasta. Kiedy sprzeciwiłam mu się po raz pierwszy, a chodziło o jakąś błahostkę, zareagował jeszcze dość spokojnie. Następnym razem było już gorzej. A potem coraz gorzej. Wie pani... zastanawiałam się, dokąd to może prowadzić.

- Czy często sprzeczyliście się z tego powodu?

Ena skrzywiła się. Sprawiała wrażenie przygnębionej. - Nie należę do kobiet, które często się sprzeciwiają, pani inspektor. Niestety. Dlatego właśnie uczęszczałam na kurs, na którym poznałam Gwen Beckett. Właściwie nigdy nie nauczyłam się stawać okoniem. Myślę, że to właśnie dlatego Stan mnie wybrał. Nie, nieczęsto się kłóciliśmy. Tym bardziej przerażał mnie jego gniew przy tych nielicznych okazjach.

- A czy miała pani wrażenie, że on mógłby stracić nad sobą panowanie? Że mógłby stać się brutalny wobec człowieka... wobec kobiety, gdyby sprzeciwiła się jego planom i zamiarom?

- Tak, potrafię to sobie wyobrazić - przyznała Ena.

Valerie pokiwała głową. Profil Stana Gibsona wyglądał się. Poszczególne fragmenty pasowały do siebie, składały się w jedną całość. Wszystko to jednak, niestety, nie posuwało jej naprzód w dochodzeniu.

Wstała. - Dziękuję, Miss Witty. To bardzo istotne. Proszę przyjść do mnie do komisariatu o drugiej. I proszę notować wszystko, co sobie pani do tego czasu przypomni.

Jennifer odprowadziła ją do drzwi.

- Sądzi pani, że to on? - zapytała.

Valerie chętnie by przytaknęła, nie mogła jednak tego zrobić, zważywszy na skąpy materiał dowodowy. - Mój osąd nie ma tu niestety żadnego znaczenia - odparła. - Decydujące jest to, czego mogę dowieść. A w tej kwestii wciąż poruszamy się jak we mgle.

- Do widzenia, pani inspektor - pożegnała ją Jennifer.

Valerie skinęła głową. Kiedy wyszła na ulicę, po jej drugiej stronie spostrzegła Gwen Beckett, która właśnie wysiadała z samochodu. Miała na sobie ciepłą wiatrówkę, włosy zaś jak zwykle splotła w warkocz, tym razem upięty w węzeł. Nie zauważyła policjantki. Po chwili wahania Valerie ruszyła przez ulicę i podeszła do niej.

- Dzień dobry, Miss Beckett. Przyjechała pani po Mrs Brankley, prawda?

Gwen aż drgnęła przestraszona. - Och... nie słyszałam pani kroków... Dzień dobry. - Zarumieniła się, jak zawsze, gdy ktoś ją niespodziewanie zagadnął.

Biedne stworzenie, pomyślała Valerie.

- Wcześniej dziś pani na nogach.

- Owszem. Jak już pani wspomniała, przyjechałam po Jennifer. Zwariowana historia, prawda? Nie mogłam w to uwierzyć, gdy Colin mi o wszystkim opowiedział.

- Dopiero co byłam na górze. Wydaje mi się, że Miss Witty uspokoili się na tyle, że może już zostać sama.

- To dobrze - ucieszyła się Gwen. Sprawiała wrażenie trochę niezdecydowanej. Zamknęła samochód, włożyła do torebki kluczyki. - Odważyłam się przyjechać samochodem - wyznała po chwili niemal przeproszającym tonem. - Niechętnie prowadzę, wie pani, ale koniecznie chciałam zabrać Jennifer. Autobus tak rzadko

kursuje... Poza tym mogłam zrobić zakupy. Colin pożyczył mi swoje auto. Łatwiej się nim parkuje niż samochodem ojca.

- Colin... Mr Brankley jest na farmie?

- Jennifer chciała, żeby został z psami. Zawsze się o nie martwi.

- Wkrótce znów je zobaczy. Skoro już panią widzę... - Valerie postanowiła skorzystać ze sposobności. - Znała pani Stana Gibsona?

- Raczej przelotnie.

- Jak dobrze?

Gwen się zamyśliła. - Nieszczególnie. Pracował w firmie budowlanej, która prowadziła w szkole przebudowę. Zawsze zajmował się czymś koło sali, w której odbywał się nasz kurs. Widać było, że upatrzył sobie Enę. Oboje zresztą dość szybko zostali parą. Czasem po zajęciach szliśmy we trójkę... ja na przystanek, Stan i Ena do miasta. Właściwie to była jedyna okazja, żebym mogła go trochę bliżej poznać - o ile można tu mówić o *poznawaniu*.

- Jakiego wywarł na pani wrażenie?

- Był... tak, był wyraźnie zainteresowany Eną. Szarmancki i uprzejmy. Za którymś razem, kiedy po nią przyszedł, przyniósł jej nawet czerwoną różę. Ale był także...

- Tak? - spytała Valerie, gdy Gwen się zawahała.

- Był bardzo stanowczy - odparła Gwen. - Miły, uprzejmy, ale jakimś sposobem nigdy nie pozostawiał wątpliwości, że wszystko musi być tak, jak on tego chce. Zawsze zawczasu planował wieczór lub weekend, nigdy nie pytał Eny, czy może miałyby ochotę na coś innego. Odnosiło się wrażenie, że mógłby gwałtownie zareagować, gdyby mu się sprzeciwić.

- Skąd taki wniosek?

- Sama nie wiem... takie po prostu odniosłam wrażenie.

- Czy Ena Witty sprzeciwiła mu się kiedyś w pani obecności?

- Nie. Ale często nie wyglądała na uszczęśliwioną. Raz czy dwa słyszałam też, że był przeciwny jej udziałowi w tym kursie. Uważał, że to wszystko bzdury, pytał, dlaczego koniecznie chce zyskać większą pewność siebie. Pozwolił sobie przy tym na nieprzychylny komentarz w rodzaju: po takim kursie zostaje się zwariowaną emancypantką... czy coś w tym stylu. W niemal obraźliwy sposób wyśmiewał się z ćwiczeń grupowych z podziałem na role, o których Ena mu powiedziała.

- Ćwiczeń z podziałem na role? - dopytywała się poirytowana Valerie.

Gwen odwróciła się. Wydawało się, że ten temat jest dla niej przykry. - No cóż... ćwiczyliśmy zachowania w sytuacjach krytycznych. Właśnie poprzez odgrywanie zadanych ról.

- A co kryje się pod pojęciem sytuacji *krytycznych*?

- Sytuacje, które... cóż, wszystko to, co ludziom takim jak my przychodzi z trudem. Pójść samemu na przyjęcie. Wyjść do restauracji. Zagadnąć obcego człowieka. Poradzić się w sklepie sprzedawczynie, żeby ostatecznie nic jednak nie kupić. Tego typu rzeczy. Pani pewnie wyda się to śmieszne, ale...

Valerie potrząsnęła głową. - Ależ skąd. Wręcz przeciwnie. Jak pani myśli, ile to już razy kupiłam rzeczy, których naprawdę wcale nie zamierzałam kupić, i to tylko dlatego, że nie wiedziałam, jak odmówić sprzedawczynie. Lepiej czy gorzej, chyba każdy zna tego rodzaju problemy.

- Naprawdę? - spytała Gwen, szczerze zaskoczona.

Jej wyobrażenie o wszechmocnej policjantce właśnie legło w gruzach, pomyślała Valerie. Odrzekła sucho: - Naprawdę. Miss

Beckett, a zatem on się z tego naśmiewał. Deprecjonował wartość kursu, a przynajmniej płynący zeń pożytek. Nie był zainteresowany tym, że jego nowa przyjaciółka mogłaby się nauczyć, jak być samodzielnym i pewnym siebie człowiekiem?

- Nie był tym w najmniejszym stopniu zainteresowany. Zawsze myślałam sobie, że Stan Gibson pragnie kobiety uległej. To człowiek, który nie znosi słowa „nie”.

- Ciekawe sformułowanie - przyznała Valerie. - Jak pani sądzi, do czego byłby zdolny, gdyby jakaś kobieta oparła się jego awansom? A zatem powiedziała mu stanowcze „nie”, podczas gdy on zabiegałby o jej względy?

- Sama nie wiem - odparła Gwen - ale na pewno bałabym się, gdybym musiała mu odmówić.

- Rozumiem - powiedziała Valerie, podając Gwen rękę. - Dziękuję, Miss Beckett. Bardzo mi pani pomogła. - Odwróciła się, by odejść.

Gwen ją powstrzymała. - Pani inspektor, czy on... to znaczy... Stan Gibson... czy on zabił także Fionę?

Pytanie to w sposób oczywisty nasuwało się każdemu, kto znał całą tę historię.

- Jak dotąd nie wiemy nawet, czy miał coś wspólnego z zabójstwem Amy Mills - przyznała Valerie. - Jeśli chodzi o Mr Gibsona, nasze dochodzenie właściwie jest jeszcze w powijakach.

Pożegnała się i ruszyła w kierunku swojego samochodu. Ledwie wsiadła i uruchomiła silnik, zadzwoniła jej komórka. Usłyszała radośnie podekscytowany głos Reeka.

- Pani inspektor, uwaga, mam dla pani prawdziwą bombę. Wracam właśnie od Karen Ward. Dave Tanner znalazł się w prawdziwych opałach. Ward potwierdziła spotkanie w Golden Ball,



co i tak zostało już wyjaśnione. Ale teraz najlepsze: po spotkaniu wróciła do domu *sama*. I sama tam została. Co oznacza, że nikt nie może potwierdzić miejsca pobytu Tannera od mniej więcej dziesiątej wieczorem. Znów nas okłamał.

Valerie łąpała powietrze. - Czy można jej ufać?

- Tak.

- A to ci dopiero ananas - odparła Valerie. - Za dużo sobie pozwala!

- Od wczoraj bombarduje ją telefonami - ciągnął Reek - pewnie po to, żeby się zabezpieczyć. Na nieszczęście - dla niego! - ona właśnie teraz postanowiła ostatecznie z nim zerwać. To dlatego nie odbierała jego telefonów.

- Jestem koło mieszkania Eny Witty - powiedziała Valerie - za pięć minut będę pod domem Tannera.

- Ja też zaraz tam będę - rzucił Reek i rozłączył się.

## 6.

Na pierwszy rzut oka farma Beckettów wyglądała na wymarłą. Stary samochód Chada stał zaparkowany obok szopy, nigdzie jednak nie było widać żywej duszy. Kiedy Leslie wysiadła z samochodu, zauważyła, że ucichł wiatr, który jeszcze rano wiał od morza w stronę lądu. Dzień popadł w osobliwy stan odrętwienia. Zapanował całkowity bezruch. Na niebie zawisły ołowiane chmury.

Także Dave wysiadł z auta. Sprawiał wrażenie spiętego. Odbyli długi spacer, przysiadali na klifach, palili papierosy, rozmawiali, czasem także się śmiali. Nadeszło południe, nim wyruszyli do Staintondale. W końcu to Dave ich ponaglił.

- Chcę zakończyć całą tę historię - oznajmił. - Chcę to wreszcie wyjaśnić.

Nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby nie mógł doczekać się chwili, gdy rozstanie się z Gwen. Uwolni się od związku, w który się wplątał, wyzwoli się z sieci własnych kłamstw.

- Wygląda, jakby nikogo tu nie było - zauważyła Leslie. Nie ma samochodu Brankleyów.

Podeszli do domu, zapukali do drzwi. Kiedy nikt nie odpowiedział, Leslie zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte.

- Halo? - zawołała.

Z położonej naprzeciw wejścia kuchni wyłonił się jakiś cień. Wysoki, przygarbiony, poruszający się z trudem mężczyzna. Chad Beckett.

- Leslie? - zapytał.

- Tak, to ja. Jest ze mną Dave. Czy zastaliśmy Gwen?

- Wyjechała wczesnym rankiem, ma przywieźć Jennifer. Chciała też zrobić zakupy. Pewnie zjedzą coś jeszcze po drodze. Pojęcia nie mam. - Skierował wzrok na swego niedoszłego zięcia, który pojawił się za plecami Leslie. - Dzień dobry, panie Tanner. Była tu policja i wypytywała o pana.

- Kiedy? - zapytał poirytowany Dave.

- Ze dwie godziny temu. Nie wiem jednak, czego chcieli.

- Zgłoszę się do nich - odparł Dave - ale najpierw chcę porozmawiać z Gwen.

- No to będzie się pan musiał uzbroić w cierpliwość.

- Dlaczego Gwen ma przywieźć Jennifer? I skąd? - spytała Leslie.

Chad zmarszczył czoło. - Jennifer poszła wczoraj w południe na policję. Z jakąś znajomą Gwen, jeśli dobrze zrozumiałem. Jej przyjaciel ma widocznie coś wspólnego z zabójstwem tej studentki,

dziewczyny, którą w lipcu zamordowano w Scarborough. Ta przyjaciółka chyba przejrzała jego kruczki i zwróciła się z tym do Jennifer.

Dave i Jennifer spojrzeli na niego. - Co takiego?

Widać było, że Chad nieszczerze interesował się całą tą historią i pewnie nie przysłuchiwał się rozmowie na tyle dokładnie, by znać wszystkie szczegóły. - Musicie zapytać Jennifer, ona na pewno wszystko wam opowie. Wiem tylko tyle, ile przekazał mi Colin po rozmowie telefonicznej z nią. Nocowała u tej znajomej Gwen, bo tamta była bliska załamania nerwowego i nie mogła zostać sama. Gwen chciała dziś po nią pojechać.

- To nieprawdopodobne - powiedziała skonsternowana Leslie.

- Znaczy to, że już wiadomo, kto zabił Amy Mills? - zapytał Dave.

Chad jak zwykle zdawał się niewzruszony. - Być może.

- W takim razie pozbyłem się przynajmniej tego podejrzenia - stwierdził Dave.

- A gdzie jest Colin? - spytała Leslie, mając nadzieję, że młodszy mężczyzna przekaze jej dokładniejsze informacje. Zadawała sobie to samo pytanie, co każdy słyszający te nowiny: Skoro ujęto mordercę Amy Mills, czy to oznacza, że w ręce policji wpadł również morderca Fiony?

- Colin wyszedł z psami - wyjaśnił Chad.

Wydawało się, że w tej chwili niczego więcej się nie dowiedzą. Leslie potarła obiema dłońmi skronie, usiłując wzmocnić tym gestem swoją koncentrację. Właśnie dowiedziała się rzeczy zupełnie niewiarygodnych, lecz skoro nie mogła porozmawiać ani z Jennifer, ani z policją, żeby zadać setki dręczących ją pytań, musiała zrobić to, po co tu przyjechała.

- Chad, chciałabym z tobą krótko porozmawiać - poprosiła.

Chad się zgodził. - Chodź do kuchni. Właśnie przyszykowałem sobie coś do jedzenia.

- Zaczekam na zewnątrz - zaproponował Dave - i tak muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Leslie podążyła za Chadem do kuchni. Na stole stała patelnia z bladożółtą, dość płynną jajecznicą. Wkroił do niej kilka kawałków tłustej kiełbasy, które leżały na samym wierzchu i zapewne były zimne.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam w jedzeniu - odezwała się Leslie.

Chad machnął ręką, usiadł na ławie, przysunął jeden z talerzy leżących na stole od śniadania, zgarnął z niego okruchy chleba i nałożył sobie mało apetyczny posiłek. - Niewielka to przyjemność jeść samemu. Chcesz trochę?

Leslie aż się wzdrygnęła. - Nie, dziękuję.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem. - Jesteś za chuda.

- Zawsze taka byłam.

Wydał z siebie nieokreślony dźwięk. Leslie usiadła naprzeciw niego, otworzyła torbę i zdecydowanym ruchem wyciągnęła plik kartek, które kilka dni wcześniej wręczył jej Colin.

- Wiesz, co to jest?

Podniósł wzrok, nie przerywając jedzenia. - Nie.

- Wydruki komputerowe. Plików załączonych do e-maili, które pisała do ciebie moja babcia. Z ostatniego półrocza.

Chad znieruchomiał na chwilę, kiedy zrozumiał, co trzymała w rękach. Opuścił widelec. - Skąd to masz? - spytał ostrym tonem.

- Nieważne.

- Grzebałaś w komputerze swojej babki?

Leslie pomyślała, że najprościej będzie utwierdzić go na razie w tym przekonaniu, toteż nie zaprzeczyła.

- Jest tam sporo rzeczy, o których już wcześniej wiedziałam. I parę, o których nie miałam pojęcia. Nigdy, *przenigdy* nie słyszałam o istnieniu niejakiego Briana Somerville'a.

Kiedy wymawiała to nazwisko, w jej głosie dało się słyszeć brzęk. Dziwnie klarowny, bardzo twardy, z uporem zawisł w powietrzu.

- Brian Somerville - powtórzył Chad. Odsunął od siebie talerz. Choć zawsze wydawał się człowiekiem niewzruszonym, teraz jednak chyba stracił apetyt.

- Owszem. Brian Somerville.

- Co chcesz wiedzieć?

- Co się z nim stało?

- Tego nie wiem. Nawet nie wiem, czy nadal żyje.

- Nie ciekawi cię to?

- To dla mnie temat zamknięty.

- Od mniej więcej sześćdziesięciu lat, jeśli wierzyć wydrukowanym tu słowom.

- Tak. Od mniej więcej sześćdziesięciu lat.

Oboje mierzyli się wzrokiem ponad powierzchnią stołu. Milczeli. Wreszcie odezwał się Chad: - Jeśli przeczytałaś wszystko, to zapewne wiesz, że wówczas nie było innego wyjścia. To nie ja sprowadziłem tu Briana. Nie byłem za niego odpowiedzialny. Zatroszczyłem się o to, żeby miał gdzie mieszkać. By miał dach nad głową. Tutaj nie mógł zostać.

- Powinieneś był zawiadomić urzędników.

- Wiesz, czemu tego nie zrobiłem. Łatwo tu teraz przyjechać i... - Urwał w pół słowa, wstał z miejsca, podszedł do okna. Spojrzał na

zastygły w bezruchu dzień.

- Patrząc z perspektywy czasu, wszystko zawsze wygląda zupełnie inaczej - powiedział po chwili. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie interesują cię jego dalsze losy.

- W takim razie tego nie zrozumiesz.

- Kim jest Semira Newton?

Odwrócił się. Leslie zauważyła, że tętnica na jego skroni lekko pulsuje. Był bardziej wzburzony, niż skłonny był przyznać. - Semira Newton? Ona go wtedy... odkryła.

- Briana?

- Tak.

- W roku 1970?

- Dokładnie nie pamiętam. Minęło już tyle czasu. Tak... to mógł być 1970.

- Ona go odkryła? Co dokładnie masz na myśli?

Znow odwrócił się twarzą do okna. - To, co mówię. Odkryła. Urządziła niesamowite widowisko. Policja. Prasa. Co tam jeszcze.

- *Odkryła* go u Gordona McBrighta?

- Tak.

Leslie podniosła się z miejsca. Drżała, choć w kuchni wcale nie było zimno. - Co właściwie odkryła, Chad?

- Znalazła go. Briana. Widziała go, nie był chyba... w najlepszym stanie. Chryste, Leslie, co ty właściwie, do cholery, chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Co tam się stało. Chcę wiedzieć to, o czym listy Fiony nie mówią.

- Zapytaj Semirę Newton.

- Gdzie ją znajdę?

- Wydaje mi się, że mieszka w Robin Hood's Bay.

Robin Hood's Bay. Wioska rybacka, położona w połowie drogi między Scarborough i Whitby. Leslie ją znała. Miejscowość była na tyle mała, że można tam było odnaleźć człowieka, zwyczajnie wypytując o niego w jednym z tamtejszych domów.

- Więc nie chcesz ze mną o tym mówić? - spytała jeszcze raz.

- Nie - odparł Chad - nie chcę. - Uparcie stał odwrócony do niej plecami.

- Nie boisz się? - zapytała Leslie.

- Czego?

- Coś się tam stało niedobrego, Chad, nie odmienisz tego faktu, nie rozmawiając o tym. Fiona i ty byliście w tę sprawę uwikłani. Czy zastanawiałeś się nad tym, że śmierć Fiony może mieć z tym coś wspólnego? A jeśli tak jest w istocie, ty również możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Odwrócił się, w jego wzroku malowało się autentyczne zdumienie. - Śmierć Fiony? Przecież już mają mordercę. Ten człowiek nie ma nic wspólnego z historią Somerville'a.

- Domniemany morderca Amy Mills?

- Właśnie ten. Colin twierdzi, że to jakiś psychopata. Śledzi kobiety, aż w końcu je zabija. Zupełnie zwariowany typ. Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale na pewno nie ma to związku z moją i Fiony przeszłością.

- Być może. Kto ci jednak powiedział, że morderca Amy Mills i zabójca Fiony to ta sama osoba?

- Wydaje się, że policja przyjęła takie właśnie założenie.

- A wiesz, czy nadal tak jest? W każdym razie nie będę wnikać w tę teorię - powiedziała Leslie. Wepchnęła plik papierów z powrotem do torby. - Zachowaj ostrożność, Chad. Obecnie sporo czasu spędzasz tu sam.

- Dokąd idziesz?

Wygrzebała kluczyki do samochodu. - Jadę do Robin Hood's Bay. Do Semiry Newton. Dowiem się, o co tu chodzi, Chad. Możesz być tego pewny!

7.

- To tak, jakby tłuc głową w mur - powiedziała Valerie. Oparła się plecami o drzwi i spojrzała posępnym wzrokiem na sierżanta Reeka. Po ponownej dwugodzinnej rozmowie odprowadziła właśnie do wyjścia Stana Gibsona, zgrzytając zębami, że musi puścić go wolno.

- Nie popełnia żadnych błędów.

- Jest pani pewna, że to on? - spytał Reek. - Że to on zamordował Amy Mills?

- Jestem tego absolutnie pewna, Reek. Szczyrzy do mnie zęby, bo wie, że ja wiem, i wie też, że nic nie mogę zrobić. Bawi go igranie ze mną. Jest uprzejmy, cierpliwy. Niemal gotowy do pomocy. A w duchu zaśmiewa się w kułak.

- A rozmowa z Miss Witty też nic nie dała?

Valerie rozmawiała wcześniej przez godzinę z Eną Witty. Nie dowiedziała się niczego nowego. - Nie. Raz jeszcze potwierdziła tylko wyjazd do Londynu, przypadający na czas, gdy zamordowano Barnes. Poza tym powtórzyła, jak spędzała dzień powszedni ze Stanem Gibsonem. Bała się go, Reek, a przynajmniej niewiele brakowało, żeby się go przestraszyła. Gibson jest strasznie sfiksowany i ona coraz silniej to wyczuwała. Sama to czuję. Ten facet jest bardzo niebezpieczny, lecz doskonale się kamufluje. Za tym grzecznym uśmiechem czai się niezrównoważony psychotyk. Mogłabym przysiąc na wszystkie świętości.



- Sfikszowany, psychotyk, przysięga? Z czymś takim prokurator wyrzuci panią w mgnieniu oka.

- Wiem. Stoję z pustymi rękami.

- Ta sprawa bardzo nadszarpnęła pani nerwy... - zaczął ostrożnie Reek, lecz zaraz poprawił się taktownie - nadszarpnęła *nam* nerwy. Przerazające morderstwo, a potem przez całe miesiące żadnego śladu. Nie wolno nam teraz atakować kogoś tylko dlatego, że...

Zaśmiała się niewesoło. - Ach, Reek! Powiedzcie otwarcie, co naprawdę myślicie! Że uczepiłam się Gibsona, bo wreszcie chcę mieć sprawcę? Nie. To by było nielogiczne. Gibson doskonale się zabezpieczył. Rozpracowywanie go w sytuacji, kiedy nie jestem do końca pewna, czy to rzeczywiście on, byłoby idiotyczne, bo nie zdołałabym dowieść jego winy. Nie teraz. Nie w przypadku tego zabójstwa.

Reek przetarł oczy. Liczne nadgodziny dawały o sobie znać.

- A zatem co robimy?

- Przekopię każdy milimetr ziemi wokół niego - odparła Valerie.  
- W przerośni oczywiście. Przepytam każdego człowieka, który go zna, nieważne, jak dobrze. Jego szefa, kolegów z pracy. Ludzi mieszkających w tym samym co on domu. Każdego znajomego, krewnego, przyjaciela. Przesieję piasek w nadziei, że wreszcie natrafimy na okruch złota.

- Obecnie jest pani przekonana, że nie możemy go oskarżyć?

- On jest przebiegły. Cwany. Bystry. Ale jest też człowiekiem. Kiedyś popełni błąd. Ja zaś nieprzerwanie będę mu deptać po piętach, żeby w tym właśnie momencie zaatakować.

- Jakiego rodzaju mógłby to być błąd? - spytał Reek.

Valerie podeszła do okna, wyjrzała na zewnątrz. Nie wiedziała, czy Gibson przyjechał samochodem, czy przyszedł na piechotę. Na parkingu go jednak nie było. Być może już się oddalił. Pewnie gwizdże sobie wesoło w drodze do domu.

- On znów to zrobi, Reek. Z dwóch powodów. Znowu zapragnie kobiety, lecz nie będzie to Ena Witty, od niej się odczepi, bo wie, że ją obserwujemy. Nie, upatry sobie jakąś inną. I któregoś dnia ona mu się sprzeciwi. Wówczas on będzie miał problem. A z tym właśnie nie potrafi sobie poradzić.

- A drugi powód?

- Jest na tyle postrzelony, że nie zadowoli się pojedynczym sukcesem. Inspektor śledcza, która niemal dostaje wrzodów, bo niczego nie może mu udowodnić. To jego jedyny jak dotąd triumf. Upaja się szczęściem, Reek. W tej chwili. Ale niedługo znów go zapragnie.

- To niebezpieczna gra, pani inspektor.

Odwróciła się. Reek niemal się przeraził, widząc w jej oczach wściekłość. - Owszem. Cholerna gra, Reek, macie rację. Ale nie ma innego sposobu. Czekać. A potem zaatakować. To moja jedyna szansa.

- To jednak nie wyjaśnia sprawy Amy Mills. W każdym razie nie w sposób oficjalny, nie dla jej krewnych. Jej matka i ojciec mogą nigdy nie doczekać chwili, kiedy drań, który ma na sumieniu ich córkę, zostanie za to skazany.

- To możliwe. I wierzcie mi, Reek, świadomość tego dobija mnie co najmniej tak samo jak was. Ale tak już bywa. Wciąż, bez końca. Nie złapiemy każdego. Nie złapiemy każdego za to, czego się dopuścił. Nie zawsze możemy spełnić pragnienie krewnych ofiar, którzy domagają się sprawiedliwości. To straszne, ale tak właśnie

jest. W przypadku Gibsona chodzi mi już tylko o to, żeby wykluczyć ze społeczeństwa skrajnie niebezpieczne indywiduum. By zapobiec dalszym nieszczęściom. - Valerie nagle poczuła się wyczerpana, domyślała się, że tak też musi wyglądać. - Sprawa oficjalnie niezamknięta. Niezbyt to pocieszające.

I nie przyspieszy awansu, dodała w myślach zawstydzona.

- Czasem tak właśnie bywa - stwierdził Reek. Zauważył, jak bardzo zdeprymowana jest jego przełożona.

- Pani inspektor, udowodnienie winy Stanowi Gibsonowi tak czy owak nie pomogłoby nam w sprawie morderstwa Fiony Barnes. To oznacza, że nie musimy przynajmniej zawracać sobie głowy tym, czy puściliśmy wolno jedno- czy dwukrotnego mordercę.

- Przynajmniej nie w przypadku Barnes - odparła Valerie. - Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się nie dowiemy, czy Gibson ma na sumieniu jeszcze jakieś morderstwo albo ten czy inny gwałt. A w sprawie Barnes błędzimy po omacku tak samo jak na początku - i nie jest to pocieszająca świadomość. Nadal żadnego śladu Tannera?

Rankiem spotkali się przed drzwiami domu przy Friargate Road. Jedynie po to, by dowiedzieć się od gospodyni, że poprzedniego wieczoru wyrzuciła Dave'a Tannera na bruk.

- Ani sekundy dłużej nie chciałam mieć w domu mordercy! - zaskrzeczała, wciąż jeszcze, lub znowu, na skraju hysterii. - Wyrzuciłam go. Ze wszystkimi manatkami. Nie mam ochoty być następną w kolejności, rozumie pani?

- To prawie pewne, że on nie ma nic wspólnego z zabójstwem Amy Mills - wyjaśniła Valerie - w przypadku zaś Barnes brak jakichkolwiek dowodów jego winy.

- Ale przecież wiemy już, że w sobotę w nocy wymknął się stąd - zaoponowała Mrs Willerton - a wcześniej twierdził coś zupełnie innego!

Owszem, i nie jest to niestety jego jedyne kłamstwo, pomyślała Valerie, lecz oczywiście nie wspomniała o tym w rozmowie ze wzburzoną Mrs Willerton.

- Czy domyśla się pani, dokąd mógł się udać? - zapytała. - Przypuszczam, że poszukał sobie jakiegoś dachu nad głową.

- Pojęcia nie mam. Może do tej swojej narzeczonej, jeśli ona go jeszcze chce. Będąc z takim typkiem, człowiek boi się o swoje życie. Jak tylko pomyślę, w jakim ja byłam niebezpieczeństwie...

Na farmie Beckettów, z którą skontaktowali się w następnej kolejności, również nie zastali Tannera. Nie można też było oczekiwać, że przyjeła go Karen Ward, nie po tym wszystkim, czego wczesnym rankiem dowiedział się Reek.

- Nadal ani śladu - rzekł krótko sierżant. - Pytałem pracownika Friarage School. Tanner ma dziś od godziny szóstej prowadzić kurs hiszpańskiego. Mam jednak przeczucie, że się tam nie pojawi. Może powinniśmy zarządzić pościg?

- On nie ucieka. Został wyrzucony przez swoją gospodynię, siłą rzeczy poszukał sobie nowego lokum i nie ma pojęcia, że go szukamy - zauważyła Valerie.

- Okłamał nas w sprawie miejsca swego pobytu w noc morderstwa - przypomniał Reek - i to dwukrotnie!

Valerie spojrzała na zegarek. - Jest kwadrans po piątej. Zaczekamy jeszcze godzinę. Jeśli nie pojawi się na kursie hiszpańskiego, podejmujemy stosowne działania.

Wymienili spojrzenia.

- Rozpoczynamy pościg za Dave'em Tannerem - oznajmiła Valerie.

## 8.

Zgodnie z przypuszczeniami Leslie bez trudu odnalazła w Robin Hood's Bay dom, w którym mieszkała Semira Newton. Zapytała o nią w pewnym sklepie z pamiątkami, sprzedawczyni od razu skinęła głową. - Oczywiście, że znam Semirę. Do niej należy ten niewielki sklep garncarski, dalej w dół, przy tej samej ulicy. Nie sposób go przegapić.

Leslie ruszyła stromą uliczką we wskazanym kierunku. Robin Hood's Bay przyłgnęło do zbocza wzniesienia i ciągnęło się niemal do samej zatoki. Wioska, choć o wyraźnym już turystycznym charakterze, upstrzona licznymi sklepikami i składzikami, zachowała jednak swój pierwotny urok. Niewielkie niskie domy, bruk z kamienia polnego, szemrzący strumyk płynący przez osadę w kierunku morza. Miniaturowe ogródki, w których kwitły ostatnie tego roku kwiaty. Niewielkie tarasy, na których stały ciasno zsunięte lakierowane krzesła i stoły, snując opowieści o cichych letnich wieczorach pod gołym niebem. A wszystko to spowijała nawiewana od strony zatoki woń soli i alg.

Leslie szybko znalazła garncarnię. Mieściła się tuż powyżej miejsca, w którym ulica poszerzała się i otwierała na plażę. Dom był równie mały i podszyty wiatrem, jak większość budynków we wsi. Miał bielone wapnem ściany i drzwi wejściowe z lśniącego czernią drewna. Obok drzwi widniały dwa okna wystawowe, w których eksponowano oferowane przez Semirę towary: kubki, filiżanki, talerze oraz miski z glazurowanej gliny, grube, czasem trochę niekształtne, lecz niezwykle, pierwotne. Żaden fragment nie został pomalowany. W zależności od temperatury wypalania oraz

rodzaju szkliska odcień brązu zmieniał się od jasnego beżu aż po soczysty ciemny brąz, na tym jednak kończyła się różnorodność barw. Leslie, która nie znosiła malowanych w kwiatki naczyń, spodobała się prostota tej wystawy.

Niestety, nie zastała Semiry Newton w domu, a przynajmniej nie było jej w sklepie. Na drzwiach wisiała kartka: „Wracam około czwartej!”.

Leslie spojrzała na zegarek. Dochodziła druga.

Mimo to zapukała kilka razy, popatrzyła też w okna na górze w nadziei, że ktoś się tam poruszy, jednakże za białymi firankami nie było widać żywego ducha. Wszystko wskazywało na to, że Semiry rzeczywiście nie ma w domu.

Leslie zeszła na plażę. O tej porze roku bawiło tam niewielu turystów. Około dwudziestu uzbrojonych w bloki rysunkowe uczniów - w wieku ośmiu, dziewięciu lat siedziało na płaskich, podłużnych skałach okalających zatokę. Towarzysząca im nauczycielka czytała książkę, podczas gdy ubrane w kolorowe kurtki dzieci w najwyższym skupieniu, wsuwając język między wargi, oddawały się malowaniu. Morze, piasek... Przechodząc obok, Leslie rzuciła okiem na kilka prac.

Jak uroczo, pomyślała, urządzić tu lekcje rysunku.

Dwie starsze kobiety, brodząc w mule, zbierały kamyki i muszle. Jakiś człowiek oparł się o mur odgradzający domy położone na skraju wsi, tuż ponad zatoką i patrzył zamyślony w dal. Inny znów rzucał swemu psu piłki tenisowe, a zwierzę gnało długimi susami wzdłuż plaży, radośnie szczekając. Leslie przez chwilę wodziła za nim wzrokiem, po czym przysiadła na głazie i mocniej naciągnęła kurtkę. Dygotała, mimo że wcale nie było zimno. Wiedziała dlaczego: obawiała się rozmowy z Semirą Newton.

Może powinnam zawrócić do Scarborough, pomyślała, i zostawić dawne dzieje w spokoju.

Chyba jednak było już na to za późno. Zbyt dużo już wiedziała. To, co niewyjaśnione, będzie ją prześladować. Mogła zostawić przeszłość w spokoju, lecz czy przeszłość uczyni to samo? Pozostawi ją, Leslie, w spokoju?

Plaża powoli pustoszała, nadchodził bowiem przypływ. Zniknął mężczyzna z psem, uczniowie pakowali bloki i ołówki. Obie starsze kobiety ruszyły w drogę powrotną. Gdy o godzinie czwartej Leslie skierowała się ku garncami, na plaży pozostał jedynie samotny człowiek wsparty o mur, uporczywie wpatrzony w odległy punkt na horyzoncie, którego pewnie nikt poza nim samym nie dostrzegał.

Wbrew zapewnieniu, że wróci o czwartej, Semira Newton nie zjawiała się ani kwadrans po czwartej, ani nawet pół do piątej. Leslie, krążąc tam i z powrotem przed domem, wypaliła kilka papierosów, coraz bardziej marzła i czuła się niepewnie. Była gotowa uznać to za znak od losu: Nie powinnaś. Nic to nie da, nie przyniesie nic dobrego. Być może nadarza się po prostu okazja uniknięcia spotkania z Semirą. Kiedyś możesz żałować, że z niej nie skorzystałaś.

Za dziesięć piąta postanowiła wyjechać z Robin Hood's Bay, lecz w tej właśnie chwili zobaczyła jakąś postać idącą w dół ulicy. Instynktownie wyczuła, że jest to kobieta, na którą czekała całe popołudnie. Niska postać, wspierając się na kuli, poruszała się z trudem, tym większym, że ulica stromo opadała w dół. Szła bardzo powoli, wydawało się, że każdy krok wymaga od niej wysiłku woli i skupienia. Miała na sobie beżowe spodnie i brązową wiatrówkę, ubierała się zatem w barwach wyrobów garncarskich, które

wytwarzała i sprzedawała. Ciemna cera, czarne włosy i także oczy wskazywały na Hinduskę lub Pakistankę.

Leslie poczuła drzenie serca. Podeszła kilka kroków ku starszej kobiecie.

- Mrs Newton? - zapytała.

Kobieta, która przez cały czas patrzyła pod nogi, uniosła wzrok.

- Tak?

- Jestem doktor Cramer. Leslie Cramer. Czekałam na panią.

- Trochę dłużej to trwało - odparła Semira. Nie zamierzała się usprawiedliwiać, podała jednak wyjaśnienie. - Zawsze w czwartki biorę masaż. U przyjaciółki, tu we wsi. To dla mnie ważne, bo mój szkielet - miała oczywiście na myśli kościec - jest taki pokrzywiony. Potem napiłyśmy się jeszcze herbaty i zagadałyśmy się. - Dobrnęła do drzwi sklepu, z kieszeni kurtki wygrzebała nieporadnie klucz i otworzyła je. - O tej porze roku mało kto do mnie przychodzi i chce coś kupić. Latem to co innego, ale teraz... Nie przypuszczałam, że ktoś może tu czekać. - Powoli weszła do środka, włączyła światło. - Czy chce pani coś kupić, doktor Cramer?

Wnętrze sklepu było bardzo skromnie urządzone. Drewniane regały z wystawionymi wyrobami garncarskimi biegły wzdłuż ścian. Pośrodku znajdował się stół, na nim duża blaszana szkatuła, pewnie sklepowa kasa. Drzwi prowadziły do innego pomieszczenia; Leslie domyśliła się, że mieści się tam warsztat.

Semira z trudem obeszła stół i stękawszy, opadła na stojące przy nim krzesło. Kulę trzymała przy boku.

- Przepraszam, że od razu siadam. Ale chodzenie i stanie bardzo mnie wyczerpuje. Choć powinnam robić to częściej. Mój lekarz wciąż mi to wypomina, ale cóż, on nie cierpi na bóle kości! - Spojrzała na Leslie. - No więc, chce pani coś kupić?



- Właściwie przychodzę z innego powodu - odparła Leslie. - Ja... chciałabym z panią krótko porozmawiać, Mrs Newton.

Semira wskazała na stojący w kącie stół. - Proszę, niech go sobie pani przysunie i usiądzie. Niestety, nic wygodniejszego nie mogę pani zaproponować.

Leslie przysunęła stół i ustawiła go po drugiej stronie stołu, tak że usiadła naprzeciw Semiry. - Nic nie szkodzi - zapewniła.

- A zatem? - spytała ponownie Semira. Skupiła teraz wzrok na swym gościu. Mądre, żywe oczy, stwierdziła Leslie. Semira Newton może i porusza się jak osiemdziesięciolatka, jednakże umysł z pewnością ma sprawny.

Leslie zebrała się na odwagę. - Jestem wnuczką Fiony Barnes - zaczęła - nazwisko panińskie Fiona Swales. - Zaczekała na reakcję, nic jednak nie nastąpiło. Semira pozostawała niewzruszona.

- Znała pani moją babcię, prawda? - zapytała Leslie.

- Owszem, spotkałam ją parę razy. Ale to było całe wieki temu.

- Ona... w nocy z zeszłej soboty na niedzielę... została zamordowana... - powiedziała Leslie. Wiadomość ta ledwie przeszła jej przez gardło. Brzmiała tak dziwnie.

- Czytałam o tym w gazecie - odparła Semira. - Czy już wiadomo, kto to zrobił? I dlaczego?

- Nie. Policja błądzi jak we mgle. A przynajmniej tak to wygląda. Nic nie wskazuje na to, żeby natrafiła na jakiś ślad.

- Czytałam ostatnio, że bardzo wiele zbrodni pozostaje niewyjaśnionych - powiedziała Semira takim tonem, jakby prowadziła błahą konwersację na odchodnym. Leslie wyczuła skrytość tej kobiety. Rozmowa z nią z pewnością nie będzie łatwa.

- Owszem, tak to niestety bywa - przytaknęła. Spojrzała na Semirę poważnym wzrokiem. - Pewnie się pani domyśla, dlaczego tu jestem, prawda?

- Proszę powiedzieć.

- Nigdy nie wiedziałam wszystkiego o życiu mojej babki. Niektóre szczegóły poznałam dopiero teraz, po jej śmierci, i to zupełnie przez przypadek. Pojawiły się nazwiska osób, których wcześniej nie znałam. Na przykład Briana Somerville'a.

Semira znieruchomiała. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

Leslie powtórzyła z naciskiem: - Wie pani, o kim mówię?

- Tak. I pani też o tym wie. Czego zatem chce pani ode mnie?

- Z listu, który babcia napisała do Chada Becketta na kilka tygodni przed śmiercią, dowiedziałam się, że w roku 1970 doszło do jakiegoś skandalu związanego z osobą Briana Somerville'a. Piszona ona o strasznej wrzawie, jaka podniosła się w prasie. O policyjnym dochodzeniu... i o pani. Jeśli dobrze zrozumiałam, to pani ją wywołała.

Semira uśmiechnęła się nieznacznie. Nie wyglądała na spiętą, raczej na zmęczoną. Nieco zrezygnowaną. Jak człowiek, który raz jeszcze musi zająć się tematem, który od dziesięcioleci stał się treścią jego życia, i nie potrafi dłań wykrzesać z siebie energii.

- Owszem - powiedziała powoli - to ja ją wywołałam. Powiadomiłam policję i prasę. W każdym razie wtedy, gdy cudem uniknęłam śmierci i znów mogłam działać.

- Powiadomiła pani policję i prasę, ponieważ... znalazła pani Briana Somerville'a?

- Było to w grudniu - odparła Semira; nawet teraz jej głos pozostawał monotony, a twarz niewzruszona. - Dokładnie 19

grudnia, w roku 1970. Sobota. Panował straszny ziąb. Nadciągała śnieżycą. Mój mąż i ja mieszkaliśmy wtedy w Ravenscar. Mąż był kucharzem w domu starców w Scarborough, mieszkanie tam byłoby jednak droższe, więc... Ravenscar. Ja nie miałam pracy.

Wcześniej byłam pracownicą socjalną w Londynie, lecz zawędrowaliśmy na północ, bo mój mąż po długim okresie bezrobocia wreszcie otrzymał tu posadę. Miałam nadzieję znaleźć gdzieś jakieś zajęcie, ale w wiejskiej okolicy jak ta, w tamtym czasie... jako Pakistanka nie miałam wielu atutów. Wciąż panowały uprzedzenia, wciąż mi odmawiano. Mimo to nie byłam niezadowolona. John, mój mąż, i ja bardzo się kochaliśmy.

Mieliśmy nadzieję, że doczekamy się dziecka. - Przerwała, sprawiając przez chwilę wrażenie, jakby wczuwała się w nastrój przeszłości.

- Cóż, na początku grudnia zaczęły mnie dzieci kolegi Johna z pracy - podjęła po chwili. - Włóczyły się po okolicy, wałęsały się też w pobliżu farmy Gordona McBrighta. Wszyscy rodzice stanowczo tego swoim dzieciom zabraniali. Prawie nikt nigdy nie widział McBrighta, ale krążyło mnóstwo pogłosek. Uchodził on za nieobliczalnego, brutalnego i niebezpiecznego. Niektórzy widzieli w nim uosobienie samego zła.

- Gordon McBright...

Semira Newton skierowała wzrok ku oknu i popatrzyła na gasnące paździenikowe popołudnie. - Ono istnieje - wyznała. - Zło. Bardziej niewyobrażalne, bezlitosne i przebiegłe, niż większość z nas przeczuwa. Ja w każdym razie, mając dwadzieścia osiem lat, choć byłam pracownicą opieki społecznej w Londynie i oglądałam niekoniecznie słoneczną stronę świata, zupełnie, Bóg mi świadkiem, nie znałam *prawdziwego zła*.

Odbiegała od tematu, Leslie to zauważyła. Niełatwo jej było powrócić wspomnieniami do tamtego grudniowego dnia sprzed niemal czterdziestu laty.

- Wie pani, o czym się dowiedziałam kilka miesięcy temu? - spytała Semira. - Wyczytałam, w jaki sposób wielu ludzi w Hiszpanii pozbywa się swoich psów. Wieszają je na drzewach. Ale nie tak, żeby szybko zdechły. Wieszają je w ten sposób, by pazurami tylnych łap ledwie dotykały ziemi. To opóźnia ostateczny koniec. Psy walczą przez wiele godzin, zanim zdechną.

Leslie przełknęła ślinę.

- I wie pani, jak oni to nazywają? - zapytała Semira. - Ci Hiszpanie?

- Nie - odparła Leslie. Owo *Nie* zabrzmiało tak skrzekliwie, że było prawie niezrozumiałe. Odchrząknęła. - Nie - powtórzyła.

- Nazywają to *grą na fortepianie* - wyjaśniła Semira. - Ponieważ psy bez przerwy przestępują z nogi na nogę, desperackim wysiłkiem próbując dotknąć koniuszkami łap ziemi, żeby uniknąć uduszenia. Podobnie jak pianista porusza palcami, muskając klawisze fortepianu.

Leslie milczała. Była przerażona i zszokowana.

- Tak - ciągnęła Semira - wstrząsnęło mną to do głębi. Nie tylko sposób ich postępowania. Również nazwa, jaką nadali temu okrutnemu przedstawieniu. Być może potęgę zła daje się najsilniej odczuć nie wtedy, gdy staniemy wobec samej tylko tępej brutalności, lecz wówczas, gdy brutalności towarzyszy cynizm. Wtedy bowiem uczestniczy w tym akcie także rozum. A czyż można pogodzić się ze świadomością, że ludzie dopuszczają się takich rzeczy *przy współudziale rozumu*?

- Tak - odparła cicho Leslie - to prawda.

- Ale nie przyszła tu pani - rzekła Semira - żeby rozmawiać ze mną o istnieniu w świecie zła. Fakt, że przez wszystkie te lata zajmowałam się tym problemem tak często i tak intensywnie, ma związek z moją konkretną historią. Ma związek z Gordonem McBrightem. I z Brianem Somerville'em.

- I z moją babcią? - spytała Leslie.

Semira zaśmiała się. - Ach, chce pani wiedzieć, czy w miniony weekend zabiłam pani babkę? Chce pani wiedzieć, czy miałam motyw? Owszem, doktor Cramer, miałam. Lecz muszę panią rozczarować. Gdybym chciała zabić Fionę Barnes, nie zrobiłabym tego dopiero kilka dni temu. Pod koniec wygodnego życia, po to, by oszczędzić jej na starość wszelkich uciążliwości, trudu i samotności? Dlaczego miałabym być tak uprzejma? Poza tym: proszę na mnie spojrzeć. Czytałam, że pani babkę zamordowano, a potem zrzucono do jakiegoś wężozu na skraju pastwiska dla owiec. W środku nocy. Czy uważa pani, że zdołałabym dokonać czegoś takiego? Mając zamiast ciała wrak, w którym jestem uwięziona?

Leslie potrząsnęła głową. - Trudno to sobie wyobrazić.

- To niemożliwe. Miałabym trudności z zabiciem samej siebie. A co dopiero kogoś innego... Nie. I nic na to nie poradzę.

- Wcale nie chciałam insynuować, że pani...

- Nie, wcale pani tego nie chciała, moja droga, wiem o tym. Chciałaby pani mieć jasność, zrozumiałam. Wie pani, zawsze czułam do pani babki nienawiść. Do Chada Becketta również. Niewinna parka, która tak cholernie ułatwiła sobie życie. Zawsze myśląc tylko o ratowaniu własnej skóry. Bądź co bądź moje spaprane życie ściśle wiąże się z sobkostwem, tchórzostwem i egoizmem tych dwojga. Mogę pani o tym opowiedzieć, jeśli pan chce, doktor Cramer. Mogę pani opowiedzieć, jak to się stało, że

przed czterdziestu laty Gordon McBright uczynił ze mnie kalekę na całe życie. Mogę pani opowiedzieć, co mi zrobił, i z całą pewnością nie będzie to w najmniejszym stopniu przypominać czegokolwiek, co musiała pani znosić w swoim życiu, Leslie. Nie sądzę, żeby miała pani łatwe życie, będąc wnuczką Fiony Barnes, niemniej jednak wymiar mojego cierpienia jest zupełnie inny, może być pani pewna.

- Chętnie o tym posłucham - odrzekła Leslie.

9.

- Ale dlaczego to zrobiłaś? - spytał Colin.

Stał zwrócony plecami do niewielkiego okna w pokoju na poddaszu, który zajmowali od lat, kiedy spędzali wakacje na farmie Beckettów. Choć nie był postawnym mężczyzną, zakrył je niemal zupełnie, nie wpuszczając do wnętrza późnopołudniowego światła.

Jennifer siedziała na łóżku, Wotan i Cal wyciągnęły się u jej stóp. Oba psy położyły nosy na kolanach Jennifer i spoglądały na nią, skrywając w oczach prośbę o pieszczoty. Pograżona w myślach drapała lekko oba wielkie łby.

- Nie wiem - odparła w końcu na pytanie Colina.

- Jennifer, naprawdę... - Potrząsnął głową. - Złożyłaś przed policją fałszywe zeznanie. W dochodzeniu w sprawie o morderstwo! Możesz mieć ogromne kłopoty. A ty po prostu mówisz, że nie wiesz, czemu to zrobiłaś?

Jennifer pozostawała niewzruszona. - Może zachowałam się zbyt impulsywnie. Miałam wrażenie, że lepiej będzie... mieć jakieś alibi. Ta policjantka... ona przypomina krwawą bestię. Chce rozwikłać tę sprawę za wszelką cenę, nawet jeśli człowiek, którego w końcu uzna za sprawcę, wcale sprawcą nie jest. Chciałam być zapobiegliwa.

- I oświadczyłaś, że przez cały wieczór byłaś razem z Gwen, choć to nieprawda?

- Jest aż tak źle?

Złapał się za głowę. Takiej Jennifer jeszcze nie znał, tak naiwnej i zarazem aż tak zaciętrzewionej. - To *składanie fałszywych zeznań*. Jeśli to wyjdzie na jaw, wpadniesz w kłopoty.

- Czemu miałyby wyjść na jaw?

- No cóż, przecież Gwen mi o tym powiedziała. Całkiem po prostu zadręcza się pytaniem, dlaczego uznałaś za konieczne zmyślić tę historię. Zaraz porozmawia o tym z Dave'em. Potem może ze swoim ojcem. Leslie Cramer też byłaby dla niej dobrą powiernicą. I w końcu któregoś dnia dotrze to do uszu policji, tego możesz być pewna. Jennifer, jak mogłaś uznać Gwen za osobę godną zaufania? Ona jest jak mała dziewczynka, która wciąż potrzebuje kogoś, kogo może zapytać o radę. Znasz ją przecież od lat!

- I co z tego? Co z tego, że dowie się o tym policja? Colin, mam absolutnie czyste sumienie. Inspektor Almond może sobie myśleć, co chce, udowodnić niczego mi nie zdoła. Bo nic nie zrobiłam. Przecież nie zabiłam Fiony Barnes.

- Postępujesz nielogicznie. Najpierw mówisz, że chcesz się zabezpieczyć, żeby ta krwawa bestia z policji nic ci nie mogła zarzucić. A teraz, kiedy ją chyba naprawdę rozwścieczyłaś, kłamiąc w sprawie arcyistotnego szczegółu, zachowujesz się tak, jakby to wszystko było ci zupełnie obojętne, ona zaś nic ci nie mogła zrobić. Skąd ta zmiana?

Jennifer nadal drapała psy, które śliniły się ze szczęścia. - Ona i tak była wobec mnie podejrzliwa. Z powodu tamtej historii. To

zupełnie nieistotne, czy coś jeszcze do tego dojdzie. Od początku uwzięła się na mnie.

- A ty jedynie utwierdzisz ją w tej nieufności.

- Być może wyjdzie jednak na jaw, że zrobił to Gibson. A wtedy i tak będzie po sprawie.

Colin odszedł od okna, przysunął sobie stojące w kącie krzesło i usiadł naprzeciw Jennifer. - Sama mi opowiadałaś, że w chwili zabójstwa nie było go w okolicy. Potwierdza to nawet kobieta, która na niego doniosła, ona zaś naprawdę nie miałaby powodu, żeby go kryć. Przez to oboje, tak jak do tej pory, jesteśmy na celowniku, czy tego chcemy czy nie.

- Nic by to nie zmieniło, gdybym niczego nie uzgadniała z Gwen.

- Tak, ale wtedy nie znalazłabyś się w centrum uwagi. Tamtej historii z dziewczyną nikt, nawet inspektor Almond, nie może potraktować jako punktu wyjścia do oskarżenia o morderstwo. Nic by przez to nie osiągnęła. Twoje fałszywe zeznanie zmienia jednak postać rzeczy.

- W równej mierze dotyczy to Gwen.

- Tylko że to nie był pomysł Gwen, ale twój. Wszyscy byliśmy zszokowani po śmierci Fiony, przypuszczam, że w tej sytuacji bez trudu zdołałaś przekonać tę naszą naiwną Gwen, że najlepiej będzie przyjąć twoją propozycję. Teraz wszakże ona zaczyna to wszystko analizować, i mam wrażenie, że czuje się coraz bardziej nieswojo, mając świadomość, że skłamała. Jennifer, jej niepokój będzie narastał, im dłużej potrwa dochodzenie oraz im bardziej intensywnie będzie ono prowadzone. Nawet jeśli nie wypałe tego całemu światu, to i tak kiedyś załamie się podczas policyjnego przesłuchania. Niestety, jestem tego pewien.

- Nie mogę już tego odwrócić - odparła z rezygnacją Jennifer.



Colin odniósł niepokojące wrażenie, że wszystko to nie ma już dla niej żadnego znaczenia.

- Idź do tej Almond - poprosił - idź i wyjaśnij, jak do tego doszło. Opowiedz jej to, co mi opowiedziałaś: że się bałaś, bo wyszłaś z psami na spacer i przez to od razu mogłaś się znaleźć wśród podejrzanych. Że chciałaś temu zapobiec, wpadłaś w panikę i postąpiłaś nierozważnie.

- A wtedy ona będzie się zastanawiać, skąd się wzięła moja nierozwaga. Moja panika. Colin, to niemal jak przyznanie się do winy!

- Będzie gorzej, jeśli dowie się tego od Gwen. Albo od kogoś innego. Znacznie gorzej.

Spojrzeni na siebie. Psy wyczuły napięcie, jakie zapanowało w pokoju, strzygły uszami i czujnie patrzyły to na jedno, to na drugie.

- Chyba chcę wracać do domu - powiedziała cicho Jennifer.

- W sobotę tak czy inaczej musimy wracać. W poniedziałek kończy mi się urlop.

- Ja chcę wyjechać jeszcze dziś.

- Teraz? Jeszcze dziś?

- Tak.

- Moim zdaniem nie możemy tego zrobić.

- Policja ma nasze nazwiska. Ma nasze adresy. Mieszkamy półtorej godziny drogi stąd. Nie sędzę, żeby to stanowiło jakiś problem.

Piekły go oczy. Domyślał się, że wygląda na równie zmęczonego jak jego żona. Zastanawiał się, skąd się wzięło to paralizujące znużenie, które ogarnęło ich oboje i napełniło nieokreślonym smutkiem.

- Uważam, że powinnaś zgłosić się na policję - upierał się.

- Równie dobrze mogę zadzwonić tam z domu.

- A zrobisz to?

- Oczywiście!

Miał wrażenie, że w tej chwili była gotowa obiecać mu wszystko, co tylko chciał usłyszeć, jeśli zgodzi się bezzwłocznie opuścić razem z nią farmę Beckettów. Wyciągnął ku niej rękę, uchwycił jej dłoń.

- Co się stało, Jennifer? Skąd ten nagły pośpiech? Czy to... z powodu tych zdarzeń? Przeżyłaś coś wstrząsającego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyś była wzburzona. Może powinniśmy jeszcze raz porozmawiać. O tym dniu, o tym człowieku, o twoim strachu. O tym, że przez cały czas musiałaś być silna, że musiałaś wspierać tę kobietę, a może sama potrzebowałaś kogoś, kto wspierałby ciebie.

- To nie tylko sprawa Stana Gibsona mnie prześladowa - powiedziała. - Ale... wszystko. Farma. Gwen. Dave Tanner. Policja. Wszystko na tej farmie jest szare, nie zwróciłeś na to uwagi? Bez życia. Chad Beckett jest bez życia. Życie Gwen to w ogóle nie jest życie. Tanner to zwyczajny pasożyt, żadna z niego znakomitość. Czy możesz sobie wyobrazić całą tę trójkę razem, Chada, Gwen i Tannera? Bez Fiony, która czasem wkroczyłaby między nich ze swym ciętym językiem?

Nie wierzył własnym uszom. - Wszystko na tej farmie jest szare? Bez życia? Przecież to *ty* zawsze chciałaś tu przyjeżdżać, to *ty* się do tego wszystkiego przywiązałaś. Do krajobrazu, morza, domu, do Gwen. Miałem wrażenie... że farma Beckettów była dla ciebie wszystkim. A teraz... mówisz mi coś takiego?

- Tak - odparła Jennifer - teraz mówię ci coś takiego. - Wstała. Emanowała dziwną mieszaniną smutku i kielkującej desperacji.

- Zmieniamy się, Colin. Wszyscy. Przez te ostatnie dni zmieniałam się i ja.

On również się podniósł. - Pod jakim względem?

- Trudno to opisać. Nie wiem też dokładnie, kiedy to się zaczęło. Może w chwili, gdy Almond wygrzebała tę dawną historię i podsunęła mi ją pod nos. Kiedy z powodu tej sprawy znów poczułam się przyparta do muru. Zrozumiałam to jednak dopiero wczoraj. Gdy razem z Eną Witty przeżywałam strach przed Stanem Gibsonem. Jej wahanie. Jej zwlekanie. Czy powinna go rzucić? Czy powinna zostać? Czy on ma coś wspólnego z Amy Mills? Czy jego dziwne zachowanie na co dzień to tylko jej urojenie? Nieustanne rozważanie wszystkich za i przeciw, a przy tym emanująca z niej niepewność, słabość, niezdecydowanie, zniechęcenie. Spędziłam z nią całe wczorajsze popołudnie. Wieczór. Noc. Dzisiejsze przedpołudnie. I w pewnym momencie pragnęłam już tylko znaleźć się jak najdalej od niej. Uciec. Nie mogłam jej znieść ani chwili dłużej!

- Tej biedaczki? Nie mogłaś jej dłużej ścierpieć?

- Strasznie mnie rozzłościła! Potwornie. Ta jej uległość. Strach. To jej ciągle biadolenie. Wszystko, co mi opowiadała o tygodniach spędzonych z Gibsonem. Jak mogła mu się tak podporządkować? Jak mogła dać się tak osłabić, a jemu pozwolić tak się wzmocnić? Słuchałam tego wszystkiego z odrazą. Mało nie pękłam ze złości. Nawet teraz jeszcze mną szarpie!

- Rozumiem - odparł uspokajająco Colin, choć właściwie nie pojmował, co też chciała mu powiedzieć.

Spojrzała nań z niemal pogardliwym wyrzutem. - Nie sądzę, żebyś mnie rozumiał, Colin. Sama potrzebowałam czasu, by to

zrozumieć. Widzisz... bo właściwie nie jestem zła na nią. Czuję złość do samej siebie.

- Do siebie?

- Widziałam przed sobą tę okropną Enę Witty i musiałam pomyśleć o Amy Mills, o tym, co o niej wiadomo dzięki prasie. Pewnie była do niej zupełnie podobna. Była typem ofiary. Stan Gibson upodobał sobie takie właśnie kobiety. Kobiety uległe. Takie, które traktują go jak swego pana i władcę. A co najgorsze: on je znajduje. Takie kobiety istnieją. I wcale nie jest ich mało.

- Niestety, najwyraźniej tak właśnie jest. Ale ty...

Unikała jego wzroku. Wpatrywała się nieruchomo w jakiś niewidzialny punkt na przeciwległej ścianie. - Ja także taka jestem. Ja także mogłabym nią być. Ofiarą. Ofiarą tego człowieka.

Był osłupiały. - Ależ skąd, wcale taka nie jesteś! Masz swoje problemy, ale w żadnym wypadku nie nazwałbym cię osobą nieśmiałą, uległą.

- Mój przypadek wygląda inaczej niż przypadek Eny Witty. Albo Amy Mills. Ale zżera mnie zwątpienie we własne siły, Colin, wiesz o tym. Obecnie nie jest to aż tak dotkliwe tylko dlatego, że prawie zupełnie odsunęłam się od normalnego życia. Ty i psy jesteście przez większość czasu moim jedynym towarzystwem. Mam trudności z wyjściem między ludzi. Nawet nie mogę jeździć samochodem, bo już nie ufam samej sobie. Paraliżują mnie niezliczone lęki. Potrafię to jednak ukrywać lepiej niż inni.

- Czy taki Stan Gibson zdołałby cię przejrzeć?

- Jestem o tym przekonana. Ma doskonałe wyczucie. Gdyby nie ty, byłabym zupełnie osamotniona. Udręczona przez wszelkie możliwe lęki. I pewnie gotowa do mnóstwa wyznań, byle tylko ktoś się o mnie zatroszczył.

Nie przychodził mu do głowy żaden argument, którym mógłby obalić jej teorię. - Ach, Jennifer - powiedział bezradnie. A po chwili dodał: - Masz przecież mnie. Zawsze będę przy tobie.

Nie o to jednak chodziło, nie to miała na myśli. Wiedział o tym.

- A jak sądzisz, dlaczego inspektor Almond od razu wzięła mnie na cel? - ciągnęła Jennifer, nie zważając na słowa Colina. - Tu też stałam się ofiarą - w mgnieniu oka i bez rzeczywistego powodu.

- Cóż, musisz pamiętać...

Nie dała mu dojść do słowa. - Jestem tak strasznie zła, Colin, tak niesamowicie zła, i myślę, że z każdym kolejnym dniem moja złość będzie się potęgować. Jestem wściekła o sposób, w jaki mnie wówczas odsunęli od zawodu. O to, jak ta policjantka usiłowała wykorzystać moją przeszłość przeciwko mnie. O to, jak bardzo zaszyłam się przez te wszystkie lata. Jak przestałam żyć. Jak się czułam - zraniona, obezwładniona, zaatakowana. O to, co tak naprawdę ciągnęło mnie na farmę Beckettów: czułam się tutaj dobrze, dlatego że Gwen i jej ojciec właściwie nie żyją, a jedynie egzystują, jak pogrzebani żywcem. Pasowałam do nich, bo sama byłam bez życia, byłam jak skamieniała. Nie chcę tego więcej. Nie chcę już do nich pasować, do tego odosobnionego domu nad morzem, w którym usiłują odciąć się od świata. Chcę znów być częścią świata. Nie jego ofiarą.

Z myślą o zakończeniu tej rozmowy Colin chciał powiedzieć: I znów wpędzasz się w rolę ofiary, inicjując tę zawiłą historię z Gwen?

A jednak milczał. Te słowa nie pasowały do sytuacji. Jennifer popełniła błąd, lecz na drodze, którą właśnie zamierzała obrać, taka małostkowa krytyka nieprzemyślanego zachowania byłaby jedynie niepotrzebnym wtrętem. Miała ważniejsze i poważniejsze

plany aniżeli roztrząsanie kwestii, kto i dlaczego zamordował Fionę Barnes oraz kto jeszcze znajdzie się na celowniku policji. Nawet gdyby chodziło o nią samą: wydawało się, że nie ma to dla niej jakiegokolwiek znaczenia. Dlatego uśmiechnął się, raczej ulegle niż radośnie.

Uśmiech ten jednak miał zapewnić Jennifer o jego wsparciu.

- Dobrze - odezwał się - spakujmy się zatem i ruszajmy. I na zawsze porzucmy ten pokój, zgoda? Sądzę, że nigdy więcej już go nie ujrzymy.

- Na pewno nie - zapewniła Jennifer.

10.

- No więc - podjęła Semira - dzieci kolegi mojego męża dwukrotnie zwróciły się do mnie, mówiąc, że były na farmie McBrighta i zauważyły tam coś dziwnego i niepokojącego... jakies dziecko siedzące w kucki w opuszczonej szopie dla owiec. Miało ono jakoby założoną na szyi żelazną obręcz i było przywiązane łańcuchem. Ledwie mogło się poruszać i dygotało z zimna.

- I nie powiadomiła pani natychmiast policji? - spytała Leslie.

Sama poczuła lodowaty chłód spływający aż po koniuszki palców. Nie zdjęła kurtki, żeby się nieco rozgrzać.

- Zastanawiałam się nad tym - odparła Semira - ale John mi odradził. Dzieci te były znane z przejaskrawionych opowieści z dreszczykiem, które chętnie rozpowiadały wszystkim dokoła. John uważał, że ośmieszyłabym się, gdybym zwróciła się z tym do władz. Poradził, żebym nie traktowała tej sprawy poważnie. Dziecko trzymane na łańcuchu! To zupełnie niedorzeczne!

- Ale ta historia nie dawała pani spokoju - domyśliła się Leslie.

- Tak właśnie było. W przeciwieństwie do Johna, który zawsze pracował jako kucharz, ja nigdy nie miałam pewności, czy

naprawdę istnieją rzeczy zbyt nieprawdopodobne, by mogły się wydarzyć. Szczególnie w odniesieniu do tego, co ludzie zdolni są uczynić innym. Jak już mówiłam, byłam w Londynie pracownicą socjalną. Spotkałam się z mnóstwem przypadków najokrutniejszej przemocy domowej. Byłam od Johna sześć lat młodsza, lecz znacznie mniej naiwna.

- Poszła pani na tę farmę.

- Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli sama to sprawdzę, a potem powiadomię policję i urząd do spraw młodzieży - jeśliby opowieści dzieci miały się potwierdzić. Bałam się. Jak mówiłam, Gordon McBright cieszył się w Ravenscar złą sławą. Choć wówczas jeszcze nie mieszkaliśmy tam długo, dużo już o nim słyszałam. Człowiek pełen nienawiści, brutalny, zupełnie aspołeczny - w takich słowach go opisywano. Podobno jako dziecko sam był przez lata maltretowany przez własnego ojca, ale nie wiem, czy ta pogłoska była prawdziwa. Służyła za wyjaśnienie, dlaczego żył w tak nieprawdopodobnym gniewie wobec Boga i świata, i do każdego człowieka żywił jedynie pogardę i złość. Miał żonę, o której mówiono, że jest fizycznie kompletnym wrakiem. Przez wszystkie te lata widziano ją we wsi może dwa lub trzy razy. Mawiano, że nie miała już wcale zębów, była skrajnie wychudzona i żyła w panicznym strachu przed mężem. Chyba jednak nigdy do nikogo nie zwróciła się o pomoc, także do policji. Nikt z własnej woli do tego się nie mieszał. Wszyscy za bardzo się bali McBrighta.

- To było... wydaje mi się to istnym szaleństwem, żeby iść tam samemu - powiedziała Leslie.

- O tak - przyznała Semira - później to zrozumiałam. Wówczas jednak, choć oczywiście się bałam, nie doceniałam zagrożenia, jakie stanowił ten człowiek. A musi pani pamiętać, że z racji mojego

zawodu byłam przyzwyczajona do składania wizyt brutalom i grania im na nerwach. Jak pani myśli, z ilu już agresywnymi, bezwzględnymi ojcami rodzin miałam do czynienia? W Londynie byłam jednak częścią systemu opieki społecznej, dzięki temu czułam się pewnie. Dokądkolwiek się wybierałam, moi współpracownicy o tym wiedzieli. Albo też zabierałam ze sobą koleżankę. Albo od razu towarzyszyła nam policja, jeśli sytuacja była drastyczna. W tym zaś przypadku tak oczywiście nie było. - Przerwała na chwilę, po czym dodała zamyślona: - Największym błędem było to, że nikomu o tym nie powiedziałam. Absolutnie nikt nie wiedział o moich zamiarach. *To* było szaleństwem, Leslie. Pojechać na odcięte od świata odludzie, do takiego zbrodniarza jak Gordon McBright, i nie zostawić na stole w kuchni nawet kartki, na której widniałaby informacja, co zamierzam.

- Znalazła pani dziecko?

Semira potrząsnęła głową. - Nie. Nie dziecko. Znalazłam mężczyznę. W starej szopie dla owiec, tuż obok domu mieszkalnego. Leżał na ziemi skulony jak embrion, przez co sprawiał wrażenie znacznie mniejszego, niż był w rzeczywistości. Do szopy prawie w ogóle nie wnikało światło. Dzieci wzięły go za dziecko, lecz pomyliły się tylko w tej jednej kwestii. Poza tym wszystko się zgadzało. Żelazna obroza na szyi. Łańcuch owinięty wokół belki i zabezpieczony kłódką. Brudna słoma, na której leżał. Okropny ziąb, na którym marzł, prawie zupełnie nagi. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Jeszcze dziś, czterdzieści lat później, nie mogę uwierzyć, kiedy o tym opowiadam. Choć wszystko to zmieniło moje życie, pozostało dziwnie nierzeczywiste. - Spojrzała na Leslie, przeszła ją wzrokiem na wylot. - Odnalazłam Briana Somerville'a - powiedziała.



Milczała prawie piętnaście minut, wpatrzona w wymyślony punkt na ścianie. Zegar zdawał się tykać dwa razy głośniejsze niż do tej pory. Za oknem zapadł zmrok.

Leslie nie miała odwagi jakimkolwiek słowem przerwać tego milczenia.

- Był umierający - powiedziała w końcu Semira tak niespodziewanie, że Leslie aż drgnęła. - Był wychudły jak szkielet. Jego ciało pokrywały ogromne ropiejące rany, ślady ciągłego znęcania się nad nim. Później dowiedzieliśmy się od Mrs McBright, że traktowano go jak niewolnika i zmuszano do najcięższej pracy fizycznej, nawet wówczas, gdy był jeszcze chłopcem. Jako że wyjaśnianie mu czegokolwiek mijało się z celem, bo i tak nic nie rozumiał, Gordon McBright regularnie bił go tak niemiłosiernie, aż zaczął go słuchać.

Mrs McBright opowiadała, że często bała się, iż jej mąż zatłucze Briana na śmierć. I trwało to przez dwadzieścia cztery lata. Przez dwadzieścia cztery lata Brian żył w tym piekle. Nie dostawał prawie nic do jedzenia, a co wieczór oraz wtedy, gdy nie pracował, wiązano go w szopie na łańcuchu. Mrs McBright zaniósł mu kiedyś koc, ale mąż ją na tym przyłapał. Później już nigdy nie miała odwagi zrobić nic podobnego. W pewnym sensie, jak wynika z jej późniejszych zeznań, obecność Briana na farmie przyniosła jej ulgę, choć twierdziła, że musiała zatykać sobie uszy, żeby nie słyszeć jego rozpaczliwych jęków. Jej mąż tak bardzo bowiem nienawidził chłopca, że głównie na nim wyładowywał swoją agresję, dzięki czemu Mrs McBright już nie tak często padała ofiarą wybuchów jego złości. Być może dlatego właśnie nie podjęła żadnych kroków, żeby pomóc temu bezbronnemu dziecku - a z początku Brian był przecież dzieckiem. Choć może, bez względu na

wszystko, i tak nic by nie zrobiła. W końcu nie pomogła nawet samej sobie. Była człowiekiem zupełnie złamanym. Już od lat nie miała w sobie właściwie żadnej woli życia.

Semira potrząsnęła głową, jak gdyby wszystko to wykraczało poza jej zdolność pojmowania. A przecież, pomyślała Leslie, prawdopodobnie lepiej niż większość ludzi znała ów fenomen: kobiety, które się nie bronią. Albo zaczynają się bronić zbyt późno.

- W każdym razie - ciągnęła - tamtej zimy roku 1970 Brian był bliski śmierci. Nie miał jeszcze czterdziestu lat, a wyglądał co najmniej jak sześćdziesięciolatek. Nie wiem, co McBright ostatecznie z nim uczynił, wyglądało jednak na to, że raczej tego nie przeżyje. To, co znalazłam na ziemi w szopie dla owiec, jeszcze dyszało, lecz choć nie jestem lekarką, wiedziałam, że nawet medyczna pomoc nic by chyba nie dała. I znów zareagowałam niewłaściwie. Zamiast natychmiast uciekać, jakby gonił mnie sam diabeł, wskoczyłam do samochodu i pędziłam na policję, przykucnęłam przy nim. Odwróciłam go. Rozejrzałam się za wodą, gdyż wydawało mi się, że umiera z pragnienia. Chciałam mu pomóc. Od razu. Na miejscu. I za długo zostałam w tej szopie. Po prostu za długo.

- Zaskoczył panią McBright?

- Nie w szopie - odparła Semira. - Udało mi się wydostać na zewnątrz przez okno. Szopa stanowiła część zewnętrznego muru okalającego podwórze, okno zaś wychodziło na pole uprawne za zabudowaniami. W oknie chyba już od dawna nie było szyby. W każdym razie musiałam ponownie obejść posiadłość, żeby dotrzeć do podnóża wzniesienia, gdzie zostawiłam samochód. I wtedy nagle pojawił się on. Przed bramą prowadzącą na podwórze. Wyjrzał przez okno i zauważył zaparkowany samochód. Pozostawiłam go w pewnej odległości, pomiędzy drzewami, uświadomiłam sobie

jednak, że można go było dostrzec z pokoju na piętrze. Pozbawione liści drzewa nie zasłaniały go dostatecznie. Jakkolwiek było, stanął nagle przede mną. Gdybym nie zatrzymała się tak długo przy Brianie, pewnie siedziałabym już w samochodzie.

Spojrzała przed siebie na blat stołu, przebiegła palcami po kilku karbach. - Od razu wiedziałam, że grozi mi wielkie niebezpieczeństwo. Miałam do czynienia z sadystą, który nie cofnie się przed niczym. Jeśli się dowie, że odkryłam jego tajemnicę, nie pozwoli mi tak po prostu odjechać. Do dziś pamiętam, jak strasznie waliło mi serce i jak potwornie zaschło mi w ustach. Nogi się przede mną ugięły. Próbowałam omamić go niefrasobliwością. Mówiłam, że nie znam tej okolicy, zabłądziłam i obeszałam podwórze w nadziei, że spotkam kogoś, kto mógłby mi pomóc. Słuchał moich słów, lecz zauważyłam, że patrzy na mnie podejrzliwie. Nie był pewien. Najwyraźniej nie widział, jak wchodziłam do szopy, ale chyba sądził, że się tam kręciłam. Jego wzrok dosłownie mnie przeszywał. Mój Boże, w całym moim życiu nigdy nie widziałam bardziej lodowatych oczu. - Potrząsnęła głową. - Już myślałam, że wyjdę z tego bez szwanku. Wyraził kilka nieprzychylnych uwag o Pakistańczykach, po czym powiedział, żebym stamtąd zmiatała. Odwróciłam się więc i ruszyłam drogą w dół. Niezbyt szybko, by nie wzbudzić w nim podejrzeń. Ale potem... rozmyślił się. Zawołał do mnie. Spojrzał na mnie. I... coś mu podpowiedziało, że znam prawdę. Że widziałam Briana.

- Próbowała pani uciec? - dopytywała się Leslie głosem, który nawet w jej własnych uszach zabrzmiał obco.

- Gnałam, żeby ratować życie. Biegł za mną. Nie był już młodym człowiekiem, ale był silny i zdeterminowany. Z każdą chwilą zbliżał się coraz bardziej. Wiedziałam, że nie zdołam otworzyć samochodu i

do niego wsiąść. Nie zdążę. Był tam niewielki zagajnik, nieco na uboczu, poniżej farmy. Skręciłam tam bez zastanowienia. Kierowałam się raczej instynktem, szukając kryjówki, gdyż wiedziałam, iż ucieczka się nie powiedzie. Drzewa rosły tam jednak rzadko i nie miały liści, więc ani przez chwilę nie zniknęłam z oczu memu prześladowcy.

Leslie wzięła głęboki oddech. Nawet gdyby Semira tego nie powiedziała, wystarczyło spojrzeć na jej udręczone ciało, przypomnieć sobie mozolne ruchy, kiedy do niej podeszła, by odgadnąć, że McBright ją doścignął i wyładował na niej swą niepohamowaną wściekłość.

- Nie chcę opowiadać w szczegółach o tym, co się potem wydarzyło - wyznała Semira. - Złapał mnie, był jak oszalały. Myślę, że czuł się niejako uprawniony, żeby potraktować mnie tak, jak mu się podobało. Wtargnęłam na teren jego posiadłości. Było mu zupełnie obojętne, czy dotarłam do jego szopy; postąpiłby pewnie tak samo, gdyby mnie przyłapał na tym, że kradnę z jego pokoju portfel. To był człowiek o zupełnie chorej psychice, niebezpieczny psychopata. Zresztą, zmarł później nie w więzieniu, lecz odizolowany ze względu na bezpieczeństwo społeczne. Na szczęście nie znalazł się nikt, kto byłby gotów znów go wypuścić między ludzi.

- Jak się pani udało... przeżyć?

- Nawet dla mnie jest to do dziś zagadką - odparła Semira i zaśmiała się pełna goryczy. - Nie sądzę też, aby McBright dopuszczał myśl, że mogłoby mi się udać. Także i to potwierdza, jak bardzo był niezrównoważony. To znaczy, zgodnie z logiką powinien był się upewnić, że faktycznie jestem martwa, a w razie konieczności tak długo się nade mną znęcać, aż nabierze takiego

przekonania. Następnie powinien był pogrzebać moje zwłoki, zatrzeć ślady. Zatopić mój samochód w najbliższym bajorze, i co tam jeszcze. Ale on tego wszystkiego nie zrobił. Nie czuł się winny, nie czuł się jak człowiek, który może zostać pociągnięty do odpowiedzialności za to, czego się dopuścił, i dlatego musi uważać, by go nie przyłapano. Uczynił to, co uważał za słuszne. Zostawił mnie leżącą w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zagajniku, i odszedł, nie troszcząc się o to, co się ze mną stanie.

- Mąż pod wieczór zauważył pani nieobecność?

- Niestety, nie pod wieczór. Tamtej soboty miał dyżur, po powrocie do domu planowaliśmy jeszcze pójść razem do kina. Spóźnił się, a kiedy mnie nie zastał, pomyślał, że wybrałam się sama. Albo z koleżanką, z którą po seansie wstąpimy jeszcze do pubu. Czasem tak robiłam, gdy on nie miał czasu, stąd też, nie namyślając się długo, poszedł spać. Dopiero w niedzielny poranek, kiedy się obudził i stwierdził, że wciąż jeszcze nie wróciłam, domyślił się, że coś mi się przytrafiło.

- A pani przez cały czas leżała porzucona w lesie?

Semira przytaknęła. - Na wpół martwa i niemal nieprzytomna. Obie szczęki miałam wielokrotnie złamane, podobnie jak nos, który tak bardzo spuchł, że z trudem oddychałam. Grubym konarem pogruchotał mi miednicę. Czułam niesamowity ból, ale na szczęście, jak mówiłam, wciąż traciłam przytomność. Kiedy próbuję to sobie przypomnieć, wszystko się rozplywa. Pamiętam, że panował lodowaty ziąb. I wilgoć. I mrok. Kiedy zrobiło się jasno, widziałam nad sobą pozbawione liści wierzchołki drzew oraz chmury, nisko zwieszane na zimowym niebie. Słyszałam krzyk ptaków. Pamiętam posmak krwi w ustach. Wiem, że nie mogłam się poruszyć, ani trochę. Czasem widziałam ludzi, których znałam

jeszcze z czasów londyńskich, oraz dreczące wokół mnie zwierzęta. Pewnie miałam wysoką gorączkę. Byłam przekonana, że umrę. Nie wpadłam z tego powodu w panikę, byłam jednak zdumiona. Przez cały czas zgoła inaczej wyobrażałam sobie umieranie, chociaż nie wiedziałam, jak powinno ono wyglądać. Tylko inaczej. Po prostu inaczej.

Leslie przełknęła ślinę. - Kiedy panią znaleziono?

- W poniedziałek późnym popołudniem. Czterdzieści osiem godzin po tym, jak Gordon McBright zaatakował mnie niczym szalenciec i połamał mi praktycznie wszystkie kości. John, mój mąż, zgłosił się na policji w niedzielne popołudnie, tam jednak nie potraktowali sprawy poważnie. Przypuszczali, że doszło do małżeńskiej kłótni, albo że przeniosłam się do mojego *klanu*. W opisie zaginionej John musiał podać, że jestem Pakistanką. Nie potrafię tego dowieść, lecz jestem niemal pewna, że fakt ten jeszcze bardziej osłabił zainteresowanie policji całą sprawą. W owym czasie małżeństwa mieszane i tak traktowano nad wyraz sceptycznie, uważano, że nie są to po prostu udane związki. Pomyśleli, że zwyczajnie uciekłam, Johna uznali pewnie za szczególny przypadek idioty, skoro w ogóle się ze mną zadawał. W każdym razie z początku nic się nie działo. John bez przerwy wydzwaniał po okolicy, rozpytywał najdalszych i najdziwniejszych znajomych, czy może coś o mnie wiedzą. Ponieważ sprzed domu zniknął mój samochód, stało się jasne, że musiałam dokądś pojechać. Ale dokąd? John łamał sobie głowę. Nie pokłóciliśmy się. Miał to być weekend jak każdy inny. Policja nie otrzymała żadnego meldunku o wypadku, mimo to John obdzwonił wszystkie szpitale w północnej Anglii z pytaniem, czy nie przyjęto młodej Pakistanki. Dopiero w poniedziałek w południe przyszła mu do głowy historia z Gordonem

McBrightem. Natychmiast ponownie powiadomił policję. Na miejsce wysłano nadzwyczaj sceptycznego funkcjonariusza, który, jak mówił John, bez ogródek wyraził swoje niezadowolenie z tego, że w deszczu, śniegu i chłodzie musiał jechać na odludną farmę. John także pojechał. Od razu znaleźli mój samochód, wreszcie pojawił się jakiś ślad. McBright zatrzasnął policjantowi drzwi przed nosem. Zaraz potem funkcjonariusz odkrył jednak umierającego w szopie Briana Somerville'a i wezwał posiłki. Cóż, dalej wszystko przebiegało już sprawnie. Przeczesał okolicę i w końcu natknęli się na mnie. Od dłuższego czasu leżałam nieprzytomna. Nic do mnie nie docierało. Dopiero dzień później doszłam w szpitalu do siebie.

Umilkła. Upłynęła dłuższa chwila, zanim Leslie znów była w stanie coś powiedzieć. Czowała się oszołomiona i zszokowana, naraz pożałowała, że w ogóle tu przyjechała. I że przeczytała listy babci do Chada Becketta.

- Domyślam się - rzekła w końcu - że dla Briana pomoc nadeszła zbyt późno, czy tak? Zmarł, prawda? Zmarł, ponieważ moja babcia i Chad Beckett...

- Pewnie należałoby mu tego życzyć - odparła Semira. - Nie, on nie umarł. Lekarze go uratowali, chyba naprawdę miał końskie zdrowie. W istocie przeżył sadystycznego Gordona McBrighta.

- A teraz...

- Teraz jest starszym człowiekiem - powiedziała Semira. - Odwiedzam go czasem, lecz jest to dla mnie spory wysiłek, bo ledwie mogę się poruszać. Przebywa w zakładzie dla chroników w Whitby. Wiedziała pani o tym?

Leslie zaprzeczyła ruchem głowy.

- No cóż - odrzekła Semira - Fiona Barnes o tym wiedziała. Przez długi czas nawet nie mogła mieć nadziei, że umarł, bo do niedawna posyłałam jej zawsze bożonarodzeniową kartkę i wspominałam o nim. Parę lat temu zaniechałam tego zwyczaju, lecz łatwo sama się mogła o niego dowiedzieć. Nieustannie powtarzałam jej, że on wciąż na nią czeka. Pyta o nią. Prawie nic nie mówi, ale każdego dnia dopytuje się opiekunki, kiedy wreszcie przyjdzie Fiona. Wiem od niej, że w lutym 1943 roku obiecała mu wrócić do niego. Dziś, po ponad sześćdziesięciu latach, on nadal nie stracił nadziei, że dotrzyma słowa. A jednak nie pojawiła się u niego ani razu. Właśnie za to, Leslie, nienawidziłam pani babki. Bardziej niż za cokolwiek innego. Za to najbardziej.

11.

Za oknem zmierzchało. Dzień, taki szary i pozbawiony życia, taki ołowiany, przemieniał się w cichy wieczór. Mimo to Gwen wahała się zapalić światło. Nie chciała oświetlać ani własnej twarzy, ani twarzy siedzącego naprzeciw niej Dave'a. Zastanawiała się, skąd się brał ów niepokój. Może obawiała się, że światło rozjaśni swym blaskiem również prawdę. Ta zaś wydawała jej się nie do zniesienia.

Prawda, że Dave ją porzuci.

Od prawie godziny siedzieli w pokoju dziennym na farmie Beckettów. Przez cały ten czas niewiele mówili. Słyszeli krzątających się Brankleyów. Gwen zastanawiała się, czym oboje są tak bardzo zajęci. Słysząc było drapanie psich pazurów po drewnianej podłodze. Psy również, miast poczłapać w jakiś kąt i drzemać, sprawiały wrażenie zaniepokojonych. Gwen uznała jednak, że nie ma to żadnego znaczenia, co Jennifer i Colin robią na górze, co zamierzają albo knują.



Było to zupełnie nieistotne wobec faktu, że jej własna przyszłość legła właśnie w gruzach.

Właściwie spodziewała się tego. Zadawała sobie pytanie, czy świadomość, że pozostając w związku z Dave'em, stąpa po kruchym lodzie, który w końcu się załamie, tkwiła w niej od samego początku, już od pierwszej chwili. Pojawiało się mnóstwo wskazówek i sygnałów. Przywołała w pamięci dzień, w którym zjawiała się u niego i poprosiła, żeby się z nią kochał. Było to przed dwoma dniami, czy może trzema? Wykręcił się. Unikał jej. Wciągnął ją w rozmowę. W końcu z wyraźną ulgą ruszył do szkoły. Wciąż zerkał na zegarek, jakby nie mógł się doczekać chwili, gdy wreszcie zacznie się jego kurs, dzięki czemu będzie miał powód, żeby na parę godzin opuścić pokój oraz swą przyszłą żonę. Wrócił późno. Przez całą noc czytał, wczesnym rankiem wyszedł na spacer, odrzucając jej propozycję, że będzie mu towarzyszyć.

- Muszę pobyć sam - powiedział. Została, czekała przez chwilę, zgnębiona i upokorzona. W końcu opuściła jego pokój, wyszła z domu, przez kilka godzin włóczyła się bez celu po mieście, by wreszcie wrócić na farmę taksówką. Nie przespała się z nim. Wiedziała, że nigdy tego nie zrobią. Nigdy nie będą uprawiać seksu.

Nie budziła w nim bowiem pożądania. Nie miał na nią najmniejszej ochoty. Pewnie wolałby to robić ze swoją gospodynią niż z własną narzeczoną. Nie dość, że jej nie kochał, to jeszcze prawdopodobnie uważał ją za odpychającą. Nic go do niej nie ciągnęło. Nic - prócz kawałka ziemi nad morzem, który ona pewnego dnia odziedziczy.

A teraz nawet i z niego zrezygnował. Od razu się tego domyśliła, kiedy wczesnym popołudniem wróciły z Jennifer z miasta na farmę.

Niemal całą wieczność spędziły u Eny Witty, która nagle znów zalała się łzami i nie chciała, żeby odeszły, zanim raz jeszcze nie przetrawią od początku do końca tematu Stana Gibsona. Kiedy wreszcie zdołały się stamtąd wyrwać, Jennifer nie chciała od razu wracać do domu. Włóczyły się jeszcze jakiś czas po mieście, po czym wstąpiły na obiad do włoskiej knajpki przy Huntriss Row. Następnie poszły w kierunku portu, napiły się tam herbaty, a Jennifer pozwoliła sobie nawet na dwa kieliszki wódki. Gwen uznała, że Jennifer jest jakaś odmieniona. Stan Gibson nie dawał jej spokoju. Przez cały czas mówiła tylko o nim, o Enie Witty, Amy Mills i o sobie samej. Krążyła wokół kwestii, dlaczego Gibson znalazł w Amy Mills idealną dla siebie ofiarę i dlaczego niektórzy ludzie zdają się predestynowani do roli ofiar, gdy tymczasem innych nie sposób zaliczyć do tej kategorii. Nie można powiedzieć, żeby temat ten nie zainteresował Gwen, lecz trapiły ją inne zmartwienia: Kim ma być? Jak ma wyglądać jej przyszłość?

Dave siedział w pokoju dziennym razem z Colinem. Pomiedzy nimi rozłożyły się na dywanie psy, chrapały. Ktoś rozpalił ogień w kominku. Miły powrót do domu, zauważyła Gwen, przynajmniej z pozoru, bo ta sytuacja nie potrwa wiecznie, a przez to ma znacznie mniejszą wartość. Psy zerwą się na równe nogi, będą się łasić, ziejąc i merdając ogonami; obaj mężczyźni podejną do kobiet. Ciepło bijące od ognia, błogość chwili. Wszystko to było ulotne, było jedynie obrazem czegoś, co mogłoby istnieć. Kochający mąż, dzieci radośnie witające matkę. Zamiast tego wszystko pozostanie jak dotychczas. Z nielicznych wycieczek do Scarborough będzie wracać do zimnego domu, gdzie nikt na nią nie czeka prócz starego ojca, który nic prawie nie wie o niej, o jej życiu, jej troskach. Nikogo więcej tu nie będzie.

Colin i Jennifer zaszyli się u siebie, Chad zaś, jak zwykle, w ogóle się nie pokazywał. Po chwili milczenia Dave powiedział cicho:

- Muszę ci coś wyznać, Gwen...

Od tamtej chwili nic więcej nie dodał, bo Gwen odparła:

- Wiem.

On: - Tak. A zatem nie trzeba chyba niczego wyjaśniać.

Ona na to: - Nie.

I znów zapadło milczenie, w milczeniu tym wiele się jednak działo. Milczenie, w którym związek dwojga ludzi dobiega końca. Związek, który zdaniem Gwen zapewne nigdy nie był tym, czym być powinien, a mimo to w jakiś niezwykły sposób był związkiem. Po jego stronie wyrachowanie, po jej stronie nadzieja. Być może jakimś sposobem mogłoby to funkcjonować, gdyby tylko oboje się trochę postarali.

Być może... ale jak owo *być może* mogłoby wyglądać, tego nigdy się nie dowie.

Żadne z nich nie zauważyło, że ogień w kominku przygasł. Dopiero nieprzyjemny chłód, jaki zapanował w pokoju, wyrwał ich z zamyślenia, w którym oboje się pogrążyli.

- Dochodzi pół do szóstej - odezwał się Dave - niedługo zapadnie zmrok. Czeka mnie jeszcze spory kawałek drogi na przystanek...

- Możesz tu przenocować, jeśli chcesz.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli wrócę do Scarborough - stwierdził Dave, podnosząc się z miejsca. - Nie wiem zresztą, kiedy odchodzi ostatni autobus. Jeśli w ogóle jeszcze jakiś pojedzie.

- Chcesz iść na piechotę?

- Nie mam pojęcia - odparł. Wyczuła to: on koniecznie chce stąd odejść. Było mu obojętne, co się potem stanie. Nawet gdyby miał iść piechotą, najważniejsze, żeby się ode mnie uwolnić.

Ona także się podniosła; pomyślała: To nie może się tak zakończyć! Żeby po prostu wstał i wyszedł. I nigdy już nie wrócił.

- Ja... proszę, nie odchodź teraz. Nie mogę zostać teraz sama.

Widać było po nim wyraźny niesmak, lecz i poczucie winy.

- Nie jesteś sama. Są tu Jennifer i Colin. I twój ojciec...

- Mój ojciec! - Wykonała lekceważący ruch ręką. Na Boga, przecież zna jej ojca! - A z Jennifer nie chcę teraz o tym wszystkim rozmawiać. Później. Ale nie teraz.

- Okay - uspokajał Dave - okay.

Wyrzwał przez okno. Przypomniał sobie o kursie hiszpańskiego, lecz na to i tak było już za późno. Poza tym wątpił, żeby w taki dzień zdołał zebrać w sobie potrzebną energię.

- Mogę cię później odwiedzić - zaproponowała Gwen - ale proszę, zostań jeszcze trochę.

Myśl o tym, że ulega jej prośbie z litości, była potworna, lecz w tej chwili nie miała w sobie dość siły, by zachować dumę i zrezygnować z jego współczucia.

Alternatywą była najboleśniej samotność. Nieważne, jak bardzo musiała się poniżyć: litość wciąż wydawała jej się mniejszym złem.

## 12.

- Owszem - powiedziała Semira - wszystko to wywołało oczywiście ogromny skandal, prasa gorączkowo rzuciła się na temat. Znalazłam mężczyznę około czterdziestki, upośledzonego umysłowo, którego trzymano w szopie, człowieka, który mało nie skonał wskutek zadawanych mu tortur, a przeżył jedynie cudem - człowieka, o którym nikt z początku nie wiedział, kim właściwie jest. Policja przyjęła najpierw założenie, że chodzi o syna McBrighta, którego istnienie być może przemilczano z powodu jego

upośledzenia. Gordon McBright nie udzielił żadnych wyjaśnień, a Mrs McBright wymagała wielotygodniowej pomocy psychologa, zanim można ją było w końcu przesłuchać. Oświadczyła wówczas, że jest bezdzietna. Któregoś dnia tuż po zakończeniu wojny jej mąż wrócił do domu z czternastoletnim bodaj chłopcem i oznajmił, że wystarczył się o parę rąk do pracy w zagrodzie. Nazywali go Niktoś. Tym imieniem posługiwał się jej mąż.

Leslie powróciła myślą do listów swej babci, w których to pejoratywne określenie często się pojawiało. Fiona i Chad w swym dziecięcym okrucieństwie ochrzczili tak małego Briana. Trudno sobie jednak wyobrazić, że dorosły Chad Beckett oddał go dręczycielowi, nazywając go tym imieniem. *Oto i nasz Niktoś. Może go pan sobie zabrać.*

A jednak tak właśnie być musiało.

- Z upływem czasu pewne sprawy się wyjaśniły - ciągnęła Semira. - Ślad Niktosia prowadził na farmę Beckettów. Do dziś nie wiem dokładnie, jakim sposobem Chad Beckett się z tego wywinął, niemniej w oczach opinii publicznej odpowiedzialność za całą tę tragedię spoczęła głównie na jego zmarłym tymczasem ojcu. Nie sądzę, żeby Beckett powiedział dużo policji, nie mówiąc już o mediach. Nie jest zbyt elokwentny. Z tych niewielu informacji, jakie wyjawiał, zarysował się taki oto obraz: Arvid i Emma Beckettowie zdecydowali się przygarnąć sierotę, nie powiadamiając o tym żadnego urzędu, odebrali też dziecku jakąkolwiek możliwość rozwoju - przy czym trzeba oczywiście zaznaczyć, że w tamtych czasach, w latach czterdziestych, możliwości tych nie było zbyt wiele. W raporcie stwierdzono ogólnie, że Chad wrócił z wojny udreńczony traumatycznymi przeżyciami, opieka zaś nad coraz starszym i trudniejszym we współżyciu Brianem przerastała jego

siły. Nie oponował, gdy jego ojciec zdecydował się oddać chłopca na farmę, gdzie nie było dzieci. Dziś nie ma to już większego znaczenia, lecz wówczas, w roku 1970, ludzie tacy jak Chad Beckett, którzy brali udział w lądowaniu aliantów w Normandii, wciąż jeszcze cieszyli się sporym poważaniem. Od tamtych wydarzeń minęło już dużo czasu, niemniej jednak ludzi tych nadal szanowano za ich odwagę w walce z Hitlerem. Fakt, że będąc jeszcze prawie dzieckiem, dobrowolnie wyruszył na front, w sposób zupełnie irracjonalny zdawał się go rozgrzeszać z ewentualnych późniejszych zaniedbań czy błędnych decyzji. Prasa w gruncie rzeczy nie miała odwagi dobrać się mu do skóry. Tak więc przez pewien czas wyrażano oburzenie postawą jego ojca, po czym zapadła cisza.

- A moja babcia? - spytała Leslie. - Ona także wyszła z tego bez szwanku, prawda?

- Oczywiście ustalono, że Brian Somerville opuścił Londyn, uczepiwszy się, by tak rzec, jej rękawa. Ale ona miała wówczas ledwie jedenaście lat! Nie szesnaście, jak w momencie zakończenia wojny. Zresztą, od dawna mieszkała już w Londynie. Któż ośmieliłby się poważnie ją zaatakować?

- Jak to się stało, że od samego początku postrzegała pani to wszystko zupełnie inaczej? - zapytała Leslie. - Przecież obciąża pani odpowiedzialnością Chada Becketta i Fionę Barnes!

Dłoń Semiry niespokojnie wędrowała po blacie stołu. Jest bardzo nerwową kobietą, stwierdziła Leslie, zauważa się to jednak dopiero po dłuższej chwili. Zmagając się przez całe dziesięciolecia z własnym ciałem, które wciąż sprawiało jej ból i stale przysparzało kłopotów, przywykła do tego, by nad sobą panować, siła jej woli kruszała jednak, gdy górę brało zmęczenie. Semira Newton

wyglądała teraz na wyraźnie wyczerpaną. Długim siedzeniem na drewnianym krześle, szczegółową rekonstrukcją swej życiowej traumy.

Jej palce lekko drżały.

- Widzi pani, ta historia naznaczyła moje życie - odpowiedziała na zadane przez Leslie pytanie. - Po niej nie byłam już tą samą osobą.

Kiedy Gordon McBright zatłukł mnie w lesie prawie na śmierć, prócz fizycznych obrażeń doznałam również szoku, tak przynajmniej mówili psychologowie. Wiele lat później przebywałam przez dłuższy czas w klinice. Z powodu utrzymującej się depresji. Tam właśnie nauczyłam się garncarstwa. Zajęcia kreatywne jako rodzaj terapii. Nie sądzę, żeby mi to pomogło w sferze psychiki, lecz dzięki temu mogę przynajmniej dorobić trochę do renty, zawsze to coś. Już nigdy nie byłam zdolna podjąć jakiegokolwiek pracy, moje małżeństwo rozpadło się w roku 1977. Jako ofiara zbrodni otrzymuję coś w rodzaju renty dla kalek. Niewiele to, lecz i niewiele mi trzeba. No cóż, miło też dostać od czasu do czasu kilka dodatkowych funtów za te krzywe miski i filiżanki.

- Czy pani rozwód...

- ...miał związek z historią Somerville'a? Tak. Wie pani, John ożenił się z wesołą, energiczną, pewną siebie kobietą, odważnie kroczącą przez życie. Teraz zaś miał u boku pogruchotaną istotę, kobietę, która nie potrafiła przestać mówić o swych przeżyciach z 19 grudnia 1970 roku. Która ciągle rozmyślała nad tym, skąd w świecie bierze się zło i jak mu się przeciwstawić. Która martwiła się o Briana Somerville'a i nie mogła pogodzić się z tym, że sprawców jego nieszczęścia nie spotkała żadna kara, że mogli nadal żyć tak, jakby nic się nie stało. Która ponadto musiała się poddać licznym

operacjom, wciąż miewała bóle, często dostawała zawrotów głowy od nadmiaru lekarstw. Nie byłam już tą Semirą, w której się zakochał. Dziś już nie biorę mu za złe, że w końcu inna kobieta zdobyła jego serce i zawiadnęła jego życiem. On po prostu ode mnie odszedł. Nie spotkaliśmy się nigdy więcej.

To zrozumiałe, pomyślała Leslie. A jednak takie okrutne.

- W każdym razie, jak mówiłam, dramat ten naznaczył całe moje życie. W odróżnieniu od lekarzy i psychologów uważam, że to nie pobicie, lecz widok uwięzianego w szopie na łańcuchu Briana wywołał moją traumę. Historia tego dziecka, tego bezradnego mężczyzny nigdy tak naprawdę mnie nie opuściła. Nie potrafiłam tego przeboleć. Nie dawało mi to spokoju. Dlatego odwiedzałam osoby, które miały z tym coś wspólnego: Fionę Barnes i Chada Becketta. Wielekroć. Szukałam wyjaśnień. Chciałam zrozumieć. Chciałam się od tego wszystkiego uwolnić. Najpierw jednak musiałam pojąć, jak mogło do tego dojść. I widzi pani, w trakcie tych rozmów nabrałam przekonania, że ci ludzie w żadnym razie nie są bez winy. Doskonale zdawali sobie sprawę ze swojego postępowania. Byli odpowiedzialni za los Briana Somerville'a. A w sposób pośredni także za moje pogruchotane życie.

- Chad Beckett rozmawiał z panią?

- Rzadko. Niewiele. Ryby są bardziej rozmowne od niego. Fiona parę razy zgodziła się ze mną spotkać. Opowiedziała co nieco. Sądzę, że również ona szukała sposobu, żeby się z tym uporać. W pewnym jednak momencie uznała mnie za natręta. Nie chciała mieć ze mną nic wspólnego. Od roku 1979 bez słowa odkładała słuchawkę, kiedy do niej dzwoniłam. Nigdy więcej się nie spotkałyśmy. Wiedziałam już jednak wystarczająco dużo. I w odróżnieniu od mediów czy policji z całego serca obwiniałam



Barnes i Becketta. I tak jest do dziś. To, czego się dopuścili, jest niewybaczalne.

W głowie Leslie kotłowało się od myśli.

Miała motyw. Spośród wszystkich osób, które znalazły się na liście podejrzanych Valerie Almond, z Dave'em Tannerem na czele, Semira miała motyw najbardziej oczywisty, przekonujący i zrozumiały: zemstę. Zemstę za złamane życie. Życie Briana Somerville'a oraz jej własne.

Leslie spoglądała na tę drobną kobietę o śniadej cerze, gładkich czarnych włosach, z których niejeden już posiwiął, i o dużych brązowych oczach, zdradzających co nieco z jej dawnej urody. Nie sprawiała wrażenia kogoś, kto złorzeczy losowi, kim w głębi serca targa nienawiść i pragnienie zadośćuczynienia. Ale czyż takie uczucia odzwierciedlają się na twarzy człowieka? Czy nie jesteśmy często zaskoczeni tym, jak niewinnie, jak zgoła niepozornie wyglądają na fotografiach niebezpieczni przestępcy, nieobliczalni psychopaci?

Nasunęło jej się pytanie, nachyliła się. - Semira, proszę mi wybaczyć to pytanie, ale chciałabym mieć jasność... Czy jeszcze kiedyś dzwoniła pani do mojej babci? Choć ona zerwała z panią wszelki kontakt. Czy dzwoniła pani i po prostu... milczała?

- Ma pani na myśli to, czy nękałam ją anonimowymi telefonami? - zapytała Semira. - Owszem. Ale dopiero od tygodnia czy dwóch. Ostatni raz w zeszły wtorek, zanim przeczytałam w gazecie, że nie żyje. Myślałam czasem, że wybuchnę, i wtedy odkryłam ten sposób odreagowania. Kiedy odwiedzałam Briana Somerville'a i patrzyłam na jego nieszczęście, albo kiedy źle się czułam, dokuczał mi ból lub na powrót popadałam w głęboką depresję, myślałam sobie: dlaczego jej tak dobrze się wiedzie? Dlaczego ona może prowadzić wesołe

życie, nie zwracając sobie głowy tym, czego się dopuściła? Tak, z ręką na sercu przyznaję: czułam satysfakcję, słysząc jej głos pytający, któż u diabła czai się po drugiej stronie. Z każdym pytaniem jej głos brzmiał coraz ostrzej, coraz bardziej panicznie. Czułam się wówczas nieco lepiej. Myślałam sobie: Zaniepokoiło cię to, i teraz zaczynasz rozmyślać, i może zastanawiasz się, czy ta dawna historia, o której wolałabyś zapomnieć, znów cię nie dopadnie. A wtedy mój dzień nabierał barw.

- Rozumiem - odparła Leslie. Naprawdę rozumiała. Życie Semiry Newton, naznaczone przez mozolne zmagania z trudnościami, było ubogie i samotne. Robin Hood's Bay to urocza miejscowość, lecz jesienią i zimą zapadała tu martwa cisza, w listopadzie i grudniu mgła całymi dniami zalegała wybrzeże niczym ołów, tłumiąc wszelkie dźwięki i odgłosy, pozbawiając światła i barwy. Wtedy Semira siedziała sama w tym pochyłym, starym domu, zajęta garncarstwem, które, nim nastanie wczesne lato, nie przyniesie jej żadnego dochodu... Albo wsiadała w autobus do Whitby, żeby odwiedzić ciężko upośledzonego mężczyznę, który wytrwale czekał, aż pojawi się osoba, która przed ponad sześćdziesięciu laty przyrzekła, że do niego wróci. I wiedziała, że jego czekanie jest daremne. W jakim nastroju wracała z tych odwiedzin do swego ponurego pokoiku?

Na samą myśl o tym Leslie przeszedł dreszcz.

Wstała niezgrabnie, zeszywniała od długiego siedzenia na niewygodnym krześle.

- Muszę już iść - powiedziała, podając Semirze rękę. - Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu, Semiro. I że była pani tak otwarta.

- Ach, wie pani, niewiele w moim życiu urozmaicenia - odrzekła przyjaźnie Semira. Dłoń, którą podała Leslie, była lodowato zimna.

- Miło, że ktoś tu przychodzi. I że można porozmawiać.

- Ja... nie mogę odmienić tego, co uczyniła moja babcia - powiedziała Leslie - ale... jest mi przykro. Jest mi przykro z całego serca, że tak się stało.

- Niepotrzebnie. - Semira z trudem podniosła się z krzesła. - Nic pani na to nie poradzi! Zastanawiam się tylko, co się stało. Dlaczego ta dawna historia budzi naraz tak duże zainteresowanie.

Leslie, która już zamierzała odwrócić się ku wyjściu, zamarła.

- Co ma pani na myśli, mówiąc o tak dużym zainteresowaniu?

- Cóż, to dziwne. Przez całe dziesięciolecia nikogo to nie obchodziło, a teraz w przeciągu dwóch dni zjawiają się tu dwie osoby i chcą, żeby im o wszystkim dokładnie opowiedzieć.

Leslie zaskoczona wstrzymała oddech. - Kto jeszcze?

- Ten mężczyzna... jakże on się nazywał? Był tu wczoraj późnym popołudniem. Mr Tanner, jak sądzę, albo jakoś podobnie.

- Dave Tanner!

- Właśnie. Dave. Tak się nazywał. Dave Tanner. Dziennikarz. Sporo wiedział, przekopał stare archiwa, tak przynajmniej twierdził. Ode mnie jednak chciał się dowiedzieć nowych szczegółów. Długo z nim rozmawiałam. To oczywiście w moim interesie, żeby media podchwyciły ten temat.

- Dla jakiej gazety pracuje?

Semira zamyśliła się. - Tego dokładnie nie wiem - przyznała w końcu - to znaczy, mówił wprawdzie, ale chyba nie dosłyszałam. Czy to istotne?

- Legitymacji dziennikarskiej też pani od niego nie zażądała? - domyśliła się Leslie.

- Nie.

- Dave Tanner nie jest dziennikarzem - wyjaśniła Leslie. - Proszę, niech pani nie będzie taka łatwowierna, Semiro. Człowiek nie zawsze jest tym, za kogo się podaje. Proszę nie wpuszczać tu każdego. I proszę nie opowiadać wszystkiego, co pani wie.

Semira spojrzała na nią zmieszana. - Kim zatem jest ten Dave Tanner?

Leslie się zachnęła. - To zupełnie bez znaczenia. Ważniejsze jest to, dlaczego tu przyszedł. I tego mam zamiar się dowiedzieć.

- A pani... pani powiedziała mi prawdę, czy tak? Pani naprawdę jest wnuczką Fiony Barnes?

- Niestety tak - odrzekła Leslie, po czym wyszła na ciemną stromą uliczkę.

Mogła usłyszeć szum morza, wyraźny, bardzo bliski.

Przyływ osiągnął punkt kulminacyjny.

13.

Siedząc w samochodzie, usiłowała uporządkować myśli, które bezładnie kołatały jej się po głowie. Jaką grę prowadzi Dave Tanner? Dzisiejszego ranka spytała go, czy mówi mu coś nazwisko Semira Newton. Zdecydowanie zaprzeczył. A przy tym sprawiał wrażenie niewiniątka.

*Nie. A kto to jest?*

W tamtej chwili mijało właśnie dwanaście godzin, odkąd pojawił się u niej w Robin Hood's Bay i dokładnie ją wypytywał. I najwyraźniej znał już mnóstwo szczegółów. Co przypuszczalnie oznaczało, że on także przeczytał listy Fiony do Chada. Czy zdobył je po kryjomu? Czy dostał od Gwen?

Gwen! Leslie uderzyła dłonią w kierownicę. Ot i cała Gwen. Grzebała w e-mailach swego ojca. Znalazła kontrowersyjną

historię, która najwyraźniej nie była przeznaczona dla obcych oczu. Wydrukowała ją i pokazała praktycznie każdemu, kogo знаła.

To było tak niedojrzałe z jej strony. Miało niewiele wspólnego z dorosłością.

Nie bądź niesprawiedliwa, Leslie, napominała samą siebie. Gwen nie potrafiła pogodzić się z tym, czego się dowiedziała. Musiała z kimś porozmawiać.

Z Dave'em?

Bądź co bądź to mężczyzna, którego zamierzała poślubić. Przynajmniej w tamtym momencie. Czy można brać jej za złe, że pokazała mu coś, co nią wstrząsnęło? Zajmowało? Niepokoiło? Jak bardzo musiał ucierpieć na tym obraz jej ojca, jaki zachowała w pamięci.

Poza tym pokazała wydruk także Jennifer. Następnie dostał się on w ręce Colina. Colin zaś przekazał go jej, Leslie. Maszyna rozpowszechniania informacji zaczęła pracować pełną parą.

Była zupełnie sama na lokalnej drodze łączącej miasteczka Scarborough i Whitby. Mrok, ciemne, ciche lasy po prawej i lewej. Krąg światła rzucany przez reflektory samochodu obejmował pobocze drogi. Naraz rozbłysły ślepią jakiegoś zwierzęcia; przypuszczała, że to lis. Uzmysłowała sobie, jak szybko jedzie, przyhamowała nieco. Nikt nie powinien zginąć tylko dlatego, że ona jest tak bardzo wzburzona.

Kiedy po lewej stronie zauważyła szeroką leśną drogę, zdecydowanym ruchem skręciła i zatrzymała się. Potrzebowała chwili spokoju, musiała wszystko przemyśleć.

Zagłębiła się w fotelu, wzięła głęboki oddech. Dave przeczytał zapiski albo to Gwen o wszystkim mu opowiedziała, i chcąc wyrobić sobie klarowny obraz, odwiedził Semirę Newton. Dokładnie tak, jak

ona. Podał fałszywe dane na temat własnej osoby, ale i to było zrozumiałe. Nie mógł przecież wiedzieć, czy Semira w ogóle zgodzi się zamienić z nim choćby słowo, jeśli nie przypisze sobie jakiejś znaczącej roli. A rola dziennikarza to niezły pomysł, zważywszy, że mnóstwo przykrości sprawił tej kobiecie sposób, w jaki potraktowano tragedię Briana Somerville'a - to mianowicie, że jej odpowiednio nie nagłośniono.

*Dlaczego mnie okłamał?*

*Bo jestem wnuczką Fiony. Bo nie mógł wiedzieć, ile ja wiem. Bo nie chciał być tym, kto opowie mi parę wstrząsających szczegółów na temat charakteru mojej babci.*

Przymknęła oczy. Pod osłoną powiek ujrzała twarz Semiry Newton. Lekko nabrzmiałe rysy, świadczące o tym, że zbyt długo już brała mnóstwo leków. Przypuszczalnie były to środki przeciwbólowe. Kiedy ją znaleziono, jej ciało musiało być kupą pogruchotanych kości. Z całą pewnością bywały dni, kiedy każda kość, każdy mięsień pulsowały bólem. Każdy ruch stawał się męczarnią. Pomyślała o Gordonie McBrighcie. O człowieku, który półżywą ofiarę porzucił w lesie jak worek śmieci. Człowieku, który zmarł odizolowany od świata ze względu na bezpieczeństwo społeczne.

Fiona i Chad oddali Briana Somerville'a w ręce człowieka, którego najbardziej nawet życzliwy psychiatra nigdy nie wypuściłby między ludzi. Otworzyła oczy, obrazy stawały się bowiem zbyt okrutne i zbyt natarczywe.

Dwoje ludzi z wyraźnym motywem, żeby zabić Fionę Barnes i porzucić ją w leśnym wąwozie: Brian Somerville i Semira Newton. Pierwszy miał siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat, był upośledzony i przebywał w zakładzie opiekuńczym w Whitby. Druga miała około

sześćdziesięciu pięciu lat i z trudem mogła się poruszać, wspierając się na kuli.

- Żadne z nich nie zdołałoby tego zrobić - powiedziała Leslie na głos, pogrążona w ciemnościach. Ale mogli kogoś opłacić - przynajmniej Semira Newton.

Dave'a Tannera?

Jednakże Dave Tanner odwiedził Semirę dopiero poprzedniego dnia. Wiele dni po zamordowaniu Fiony.

Abstrahując od tego: czy Dave Tanner byłby gotów zabić dla pieniędzy? Dave Tanner, którego znała?

Właściwie go nie zna, jeśli ma być szczerą. Lubi go. Ale go nie zna. Przez chwilę pomyślała ze zdziwieniem, że nie kryje się w tym żadna sprzeczność.

Jedno było dla niej jasne: nie powinna ukrywać swojej wiedzy o tym, co się wydarzyło. Tę historię powinna poznać inspektor Almond, i to możliwie jak najszybciej. W przeciwnym razie wina spadnie na mnie, pomyślała. Znowu powróciła myśl, która już wcześniej ją przeraziła: Chadowi Beckettowi może grozić poważne niebezpieczeństwo.

Włączyła oświetlenie wewnątrz samochodu i zaczęła szperać w torebce. W bocznej przegródce znalazła wizytówkę inspektora Almond.

Otrzymała ją od policjantki po ich pierwszej rozmowie. Na wypadek, gdyby coś sobie przypomniała w związku z morderstwem babci, nieważne, jak bardzo banalne mogłoby się to wydawać...

- Mam pani coś do przekazania, i nie jest to żaden banał, mruknęła pod nosem.

Wystukała numer telefonu. Zasięg w tym rejonie nie był najlepszy, lecz okazał się wystarczający. Inspektor Almond

odebrała po czwartym sygnale. Mówiła, jakby brakowało jej tchu. - Tak?

- Pani inspektor? Tu Leslie Cramer.

- Doktor Cramer! Dziś wieczór miałam do pani zadzwonić.

W tle słyhać było trąbienie samochodów, warkot silników i jakieś głosy. Wyglądało na to, że Valerie Almond gna właśnie przez miasto.

- Koniecznie muszę z panią porozmawiać - oznajmiła Leslie. - Chodzi o morderstwo mojej babci.

- Gdzie się pani w tej chwili znajduje?

- Wracam z Robin Hood's Bay, jestem niedaleko Staintondale. Mogę być w Scarborough za dwadzieścia minut.

- Właśnie zmierzam do pizzerii - odparła Valerie, po czym dodała nieco zakłopotana: - Nic dziś jeszcze nie jadłam. Czy może tam pani przyjść? Do Huntriss Row.

- Oczywiście. Wiem, gdzie to jest.

- À propos - dodała Valerie - wie pani, że mamy podejrzanego w sprawie zabójstwa panny Mills? Czy Mrs Brankley mówiła pani o tym?

Pomyślała o nieco chaotycznej relacji Chada z godzin południowych. - Owszem, Chad Beckett mi o tym wspominał.

- Dochodzenie jest nad wyraz trudne, ale możemy już powiedzieć, że wykluczamy go z kręgu podejrzanych o morderstwo Fiony Barnes. Tyle ustaliliśmy. Ma alibi.

Nowiny te nie były dla Leslie zaskoczeniem.

- Pani inspektor, słabo panią słyszę - powiedziała - niedługo będę u pani, a wtedy...

- Jeszcze tylko jedno, króciutko - przerwała jej Valerie. - Domyśla się pani, gdzie może przebywać Dave Tanner?



Mogłaby odpowiedzieć: *Tak, dziś w południe był na farmie Beckettów, a jeśli tam już go pani nie zastanie, pewnie wrócił do mieszkania mojej babci.*

Zamiast tego zapytała ostrożnie: - Czemu pani pyta? - Być może czuła wobec niego pewną dozę lojalności, może też powodowała nią obawa, nie chciała bowiem przyznać się policjantce, że Tanner, przynajmniej na pewien czas, zamieszkał u niej. Mogłaby tym wywołać dwuznaczne skojarzenia.

- Szukamy go - wyjaśniła Valerie. - Jego zeznania na temat tego, gdzie i jak spędził noc z soboty na niedzielę, okazały się fałszywe. Musimy koniecznie z nim pomówić.

Leslie przez chwilę nie mogła wydobyć słowa. Zaszło jej w ustach, z trudem przełknęła ślinę.

- Czy słyszała mnie pani? - spytała Valerie.

- Tak. Tak, słyszałam. Ale trudno to... zaraz u pani będę. - Po tych słowach rozłączyła się i wsunęła telefon do torebki.

Poczuła przyspieszone bicie swego serca.

Znała historię, o której wspomniała Valerie Almond. Tę samą, którą przedstawił jej rankiem: o miłosnej nocy ze swą byłą dziewczyną. Historię, po której każdy mógł się zorientować, że ukrywał ją z początku, bo jej wyjawienie mogło narazić na szwank jego związek z Gwen. Dopiero kiedy sytuacja zaczęła się zmieniać na jego niekorzyść, wyciągnął asa z rękawa. I co? Czyżby jego eks nie chciała uczestniczyć w tej grze? Musiało się wydarzyć coś, co sprawiło, że Valerie przestała mu wierzyć. A nawet wysłała za nim pościg.

Znów posunął się do kłamstwa. Skłamał, kiedy go zapytała o Semirę Newton. Skłamał w kwestii swego miejsca pobytu w czasie,

gdy doszło do morderstwa. Skłamał już na samym początku, utrzymując, że całą noc spędził błogo we własnym łóżku.

Kłamał, kiedy tylko otwierał usta.

Ona zaś zabrała go na farmę Beckettów. Zostawiła go tam samego - razem z Chadem, człowiekiem, o którym jeszcze przed paroma minutami pomyślała, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Chad, stary i ociężały. Pod względem fizycznym absolutnie nie mógł się równać z Dave'em Tannerem.

Uruchomiła silnik. Kiedy dodała gazu, koła zabuksowały na piaszczystej leśnej drodze. Po chwili z piskiem opon wjechała na jezdnię. Od razu ruszyła z kopyta, pędziła szybko, szybciej, niż pozwalały na to przepisy. Kiedy dotarła do wąskiej drogi lokalnej prowadzącej do Staintondale, porzuciła główną szosę w kierunku Scarborough. Skręciła. Chciała nabrać pewności.

Inspektor Almond będzie musiała trochę zaczekać.

#### 14.

Od razu zauważyła, że na podwórzu przed domem, podobnie jak w południe, brakuje samochodu Brankleyów. Czy to możliwe, żeby Gwen i Jennifer nie wróciły jeszcze z miasta? Było już parę minut po siódmej. Gdzie, na litość boską, włączyły się przez całutki dzień?

Zatrzymała samochód i wysiadła.

Wszędzie panowała cisza. Zastanawiała się, dlaczego ją to irytuje. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przez ostatnie dni przywykła do szczekania psów. Dogi Jennifer. Głośno reagowały, gdy tylko ktoś pojawił się na podwórzu. Dziś w południe było inaczej, okazało się jednak, że Colin zabrał je na spacer. Czyżby teraz zrobił podobnie?

O tej porze, po zmroku?

W domu nie paliło się chyba żadne światło, lecz to jeszcze o niczym nie świadczyło, bo od podwórza nie było widać okien wychodzących na drugą stronę domu. Zapukała do drzwi, jak zawsze z czystej kurtuazji, po czym po prostu weszła do środka.

Włączyła światło.

Dom wydał jej się dziwnie opuszczony, jakby nie było w nim żywego ducha.

Psy, pomyślała, rzeczywiście brakuje psów. Jeśli się przywykło do dwóch ogromnych, nadpobudliwych dogów, które wyskakują na powitanie i chcą człowiekowi polizać twarz, wówczas pod ich nieobecność ma się wrażenie, jakby się wchodziło do jakiegoś mauzoleum.

Zastanawiała się, dlaczego pomyślała akurat o mauzoleum, zaraz jednak porzuciła tę myśl. Nie powinna się teraz oddawać jakimś przerażającym fantazjom.

- Dave? - zawołała. Jej głos zabrzmiał o wiele za cicho. Odchrząknęła.

- Dave? - krzyknęła głośniejszym głosem. - Chad?

Nikt nie odpowiedział. Przeszła przez sieni, zajrzała do kuchni, także i tu zapaliła światło. Było pusto. Panował nieporządek. Niechlujny bałagan, jak zawsze. Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś przygotowywał kolację.

Przyległy pokój dzienny też był pusty. Zapach spalonego drewna świadczył o tym, że przez cały dzień w kominku musiał płonąć ogień. Dostrzegła w popiele kilka tłących się ogników. Na stole zauważyła dwie puste filiżanki do kawy. Widok ten do pewnego stopnia ją uspokoił. Dwie filiżanki do kawy i ogień w kominku kojarzyły się z atmosferą normalności, tej zaś w ciągu ostatnich godzin niemal zupełnie jej zabrakło.

Wyszła z pokoju dziennego i zauważyła blask światła, przenikający przez szparę pod drzwiami gabinetu. Odetchnęła głęboko.

Ktoś jednak jest w domu.

Zapukała i weszła do środka. Poczowała ulgę, widząc Chada siedzącego przy biurku i wpatzonego w ekran komputera. W pokoju panował lodowaty chłód, stary człowiek zdawał się tym jednak w ogóle nie przejmować. Nie przeszkadzało mu także to, że miał na sobie zbyt cienką bawełnianą koszulę, a stopy bez skarpet tkwiły w filcowych pantoflach. Był tak skupiony na czytaniu, że głos Leslie przestraszył go. - Chad?

Sprawiał wrażenie, jakby został wyrwany z innego świata. Nic nie rozumiejąc, wlepił wzrok w Leslie i odezwał się dopiero po kilku sekundach milczenia. - Ach, to ty, Leslie.

- Przepraszam, że cię wystraszyłam. Wołałam, pukałam, ale...

- Pograżyłem się w rozmyślaniach - odrzekł Chad.

Choć nie mogła dostrzec, co tak bardzo przykuło jego uwagę, wszystkiego się domyśliła. - Listy Fiony?

- Przeczytałem je ponownie - odparł Chad. - Zanim je wykasuję. Byłoby niedobrze, gdyby... wpadły w ręce innych osób.

Poniechała myśli, by mu wyjawić, że wszyscy z jego najbliższego otoczenia znają już każdy ich szczegół.

- Byłam dziś u Semiry Newton - oznajmiła, obserwując wyraz jego twarzy, gdy wymawiała jej nazwisko. Odniosła wrażenie, że natychmiast przywdział maskę.

- Ach, tak?

- Schorowana kobieta, doświadczona przez cierpienie.

- Owszem - przyznał.

- Wiesz, że Brian Somerville nadal żyje?

- Tak przypuszczałem.

- Nie sądzisz, że mógłbyś... to znaczy, zawiozłabym cię...

- Nie.

Obrzuciła go spojrzeniem. Nie unikał jej wzroku, pozostał jednak nieprzystępny.

- Siedzisz tu całkiem sam? - spytała po chwili, w której milcząco mierzyli się wzrokiem. - Gdzie są Jennifer i Colin? Gdzie Dave? Gwen?

- Jennifer i Colin wyjechali. Nagle. Dziś późnym popołudniem.

- A to dlaczego?

- Pewnie te wakacje były im nie w smak. Wcale mnie to nie dziwi.

- Czy inspektor Almond o tym wie?

- Nie mam pojęcia.

- A Dave?

- Wyszedł z Gwen na spacer.

- Zrobiło się już ciemno!

Wyjrzał przez okno. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz zauważył nadejście zmierzchu. - Rzeczywiście - powiedział zdumiony. - Która to godzina?

- Kwadrans po siódmej.

- Ach... już? - Przetarł twarz dłonią. Oczy miał zaczerwienione od wysiłku przy wytężonym czytaniu. - W takim razie długo ich nie ma. Wydaje mi się, że wyszli około pół do szóstej.

- To już prawie dwie godziny temu. Czy między nimi wszystko w porządku? - Zastanawiała się, czy Dave zdobył się na to, by powiedzieć Gwen o rozstaniu. Czy może odłożył to wyznanie na czas spaceru? A może znów zmienił plany?

- Nie wiem - odrzekł niewyraźnie Chad - myślę, że... A co miałoby nie być w porządku?

Spojrzała na niego i pomyślała: Gwen mogłaby umrzeć na twoich oczach, a ty byś tego nawet nie zauważył. Nie rozumiesz zagnatanej sytuacji życiowej własnej córki, bo uważasz, że nie jest warta tego, żeby się nią choćby przez chwilę zajmować. Nie chciałeś nawet poznać bliżej człowieka, z którym zamierzała spędzić resztę życia. Człowieka, który może okazać się dla niej bardzo niebezpieczny, i to pod każdym względem. Nie widzisz tego. Ty nigdy niczego nie widzisz! Na miłość, którą ona okazywała ci przez całe życie, na rozpaczliwą miłość córki do ojca, który po przedwczesnej śmierci matki został dla niej jedynym żyjącym krewnym, na tę miłość właściwie nigdy sobie nie zasłużyłeś.

- Chad, mówiłeś mi dziś w południe, że była tu policja i pytała o Dave'a Tannera. Dowiedziałam się tymczasem, że jest poszukiwany. Nie ma alibi na czas, kiedy zamordowano moją babcię. Okłamał policję.

Chad ledwie na nią spojrzał. Jego letarg doprowadzał ją do szału.

- Chad! Policja go szuka! Oni byli także u ciebie! A ty najzwyczajniej w świecie pozwalasz mu zabrać własną córkę i po dwóch godzinach nieobecności nadal nie zachodzisz w głowę, czy rzeczywiście wszystko jest w porządku?

- Czy Tannerowi przedstawiono jakiś konkretny zarzut? - zapytał Chad.

Postanowiła go już więcej nie oszczędzać. - Jego kłamstwa. Wie o nich również policja. O drugiej sprawie wiem tylko ja. Dave Tanner zna całą historię o tobie i Fionie. O Brianie Somerville'u i Semirze Newton. Wszystko, co masz w komputerze, jest mu znane.

Przynajmniej zdołała poruszyć jego obojętność. Wydawał się poirytowany.

- Niby skąd? Dałaś mu to wszystko do przeczytania? Czy może Fiona?

- To nie ma teraz żadnego znaczenia. W każdym razie był też u Semiry Newton. Zdaje się, że ta historia go zainteresowała.

Przypuszczała, że w jego głowie kołaczą się podobne myśli, z jego twarzy wyczytała jednak, że od razu uznał je za *fantazyjki*.

- Jakiż to powód mógłby mieć Tanner, żeby zainteresować się tymi dawnymi dziejami? - zapytał.

- Jest przebiegły - odparła Leslie - i potrzebuje pieniędzy. Pilnie. Prawdopodobnie jest mu zupełnie obojętne, w jaki sposób je zdobędzie.

- Sądysz, że zabił twoją babcię i dostał za to od tej Newton pieniądze? - spytał Chad.

- Był u niej dopiero wczoraj. Dlatego ta teoria nie współgra z rzeczywistym przebiegiem zdarzeń, być może jednak istnieje jakieś wyjaśnienie. Sama już nie wiem, co mam myśleć, Chad. W każdym razie jedno jest pewne: człowiek, który najprawdopodobniej zabił Amy Mills, nie jest mordercą Fiony. Valerie Almond twierdzi, że on ma alibi. W odróżnieniu od Dave'a. Jego alibi było zmyślane.

- To zadzwoń na policję - odrzekł Chad - i powiedz im, żeby tu przyjechali. Niech szukają Dave'a i Gwen, niech coś zrobią.

Przez chwilę rozważała jego słowa, potem jednak potrząsnęła głową. - Sama pójdę i się rozejrzę. Jeśli nie wrócę za pół godziny, zadzwońisz do inspektor Almond, okay? Masz - wyjęła z torebki wizytówkę i wcisnęła ją w dłoń Chada - to jej numer. I uważaj. Najlepiej zamknij drzwi.

- Czemu miałbym...

Ofuknęła go zniecierpliwiona: - Bo jeśli to kruczata zemsty, grozi ci niebezpieczeństwo, oto dlaczego! W całej tej sprawie masz tyle samo na sumieniu, co Fiona, powinienesz to sobie wreszcie uświadomić!

Wykrzywił nerwowo twarz; odniosła wrażenie, że tylko udaje spokojnego. Również dla niego sytuacja nie była komfortowa, lecz to raczej nie strach trapił go najbardziej. Nie podobało mu się, gdy go budzono z letargu, ze stanu całkowitego zatopienia się we własnym świecie. Nie minął jeszcze tydzień od śmierci Fiony, a w ciągu niewielu dni musiał rozmawiać z większą liczbą osób niż przez ostatnie dziesięć lat. Wciąż pojawiała się coś nowego, ciągle ktoś czegoś od niego chciał. Musiał poczuć się obserwowany i gnębiony. Był starym człowiekiem i nie miał ochoty zmieniać swego trybu życia, nawet wówczas, gdy jego przyjaciółka, którą znał całe życie, została zamordowana nocą na pastwisku dla owiec, jemu samemu groziło niebezpieczeństwo, a jego córka zniknęła w mroku z mężczyzną o zupełnie niezgłębionej naturze. Leslie zrozumiała, że nawet jej prośbę, by po półgodzinie powiadomił policję, Chad uznał za bezczelność. Podążał własną ścieżką i już przed kilkudziesięciu laty postanowił nigdy się nie rozglądać na prawo i lewo. Jego ojciec miał chyba podobne usposobienie; być może Chad nic nie mógł poradzić na to, że odziedziczył po nim niemalże autystyczny charakter.

Byłby to istny cud, gdyby zatroszczył się o Briana Somerville'a, pomyślała Leslie. On nie jest do czegoś takiego zdolny. Nie potrafi wzruszyć się losem innych ludzi na tyle, żeby się w coś lub dla kogoś angażować. - Masz może jakąś latarkę? - zapytała.

Wstał, poczłapał do sieni i wyjął latarkę z regału, na którym piętrzył się stos zakurzonych szali, czapek i rękawiczek.



- Proszę. Powinna jeszcze działać.

Na szczęście się nie mylił. Baterie nie były zupełnie rozładowane.

- W porządku - powiedziała Leslie. - Rozejrzę się po podwórzu i najbliższej okolicy. I jak mówiłam: zamknij drzwi!

Mruknął coś pod nosem, lecz po wyjściu usłyszała, jak przekręca klucz w zamku.

Coś było nie tak. Podążając za snopem światła przez podwórze w kierunku dawnych stajni, zadawała sobie pytanie, dlaczego od razu nie zadzwoniła do Valerie Almond. Policjantka siedzi teraz w pizzerii i wkrótce zacznie się zastanawiać, gdzie się podziewa Leslie. Czy nie byłoby lepiej od razu jej powiadomić? Podobnie jak odpowiedzieć bez ogródek na pytanie o Dave'a Tannera. Dlaczego zatem tego nie zrobiła?

Znała odpowiedź, wiedziała jednak, że dla nikogo nie zabrzmiała przekonująco, być może nawet dla niej samej: bo lubiła Dave'a Tannera. Bo traktowała go jak przyjaciela, przynajmniej od ostatniej nocy. Choć ją okłamał, i to dwukrotnie. Nie chciała go zadenuncjować. Chciała z nim pomówić. Zapytać, dlaczego w którymś momencie całej tej zagmatwanej historii nie spróbował powiedzieć prawdy. A potem poprosić go, żeby sam zgłosił się na policję.

Co niewątpliwie uczyni z ochotą, jeśli istotnie jest mordercą Fiony, pomyślała. Być może Gwen jest teraz w niebezpieczeństwie. A Leslie marnuje tu cenny czas.

Jeszcze tylko pół godziny, postanowiła.

Dotarła do zabudowań stajennych, poświeciła latarką. Było tam pusto, jeśli nie liczyć złożonych w środku, rdzewiejących powoli rupieci. Nie było żywego ducha, wydawało się, że wcześniej też nikt

się tu nie kręcił. Żadnych śladów stóp odcisniętych w całorocznej warstwie kurzu i błota.

Leslie musiała odkaszlnąć, odwróciła się. Spojrzała w stronę domu. Na powrót pogrążył się w ciemności. Pewnie Chad znów zaszył się w gabinecie. Kasował w komputerze listy od Fiony. I sądził, że dzięki temu zmyje ze swego życia całą winę. Ot, wystarczy kliknięcie myszką i po wszystkim.

Po sekundzie namysłu Leslie postanowiła rozejrzeć się jeszcze kawałek dalej i wyjść poza najbliższe sąsiedztwo domu.

Ruszyła drogą w kierunku plaży.

15.

Chmury całkowicie przesłaniały blask księżyca, latarka pożyczona od Chada dawała jednak mocne, jasne światło. Leslie bez trudu mogła podążać wydeptaną ścieżką. Wiedziała, że Gwen lubi tę plażę, kiedy tylko wychodziła na spacer, zawsze ciągnęło ją w tamtą stronę. Być może nadal przebywa tam razem z Dave'em. Przysiedli na ogromnych skałach i rozmawiają. Choć dotkliwie zimno daje się już we znaki. Może są ciepło ubrani. Może tak bardzo pogrążyli się w rozmowie, że w ogóle nie czują chłodu i coraz mniej przyjemnej wilgoci.

Leslie przystanąła na chwilę, wyciągnęła komórkę, włączyła podświetlenie ekranu. Brak zasięgu, tak jak przypuszczała. Nieważne. Jeszcze tylko dziesięć minut, a wtedy Chad zadzwoni po Valerie. Całą sprawę przejmie policja. Ona, Leslie, i tak dała Dave'owi trzydziestominutową szansę. Dalsza zwłoka byłaby dowodem nieodpowiedzialności.

Nikogo nie spotkała, gnając po falistych łąkach. Raz tylko z zarośli zerwało się stadko spłoszonych pardw. Poza tym jednak Leslie miała wrażenie, jakby została zupełnie sama na świecie.

Oczywiście jej myśli mogły podążać w zupełnie niewłaściwym kierunku: kto powiedział, że Gwen i Dave w ogóle przebywają w pobliżu farmy?

Samochód Chada stał na swoim miejscu, lecz mogli przecież pojechać autobusem. Być może udali się do Scarborough. Wstąpili do pubu, każde z nich próbuje przetrwać tę przygnębiającą sytuację przy dużej szklance guinnessa. Ale czy Dave rzeczywiście tak by postąpił, skoro próbował zerwać zaręczyny? Zabranie nieszczęśliwej narzeczonej do miasta pociągało za sobą konieczność towarzyszenia jej w drodze powrotnej do domu. Naraz zaświtała jej w głowie nowa myśl: A jeśli Dave od dawna już przebywa w mieszkaniu Fiony? Gwen zaś błądzi sama w ciemnościach, zrozpaczona, rozbita, śmiertelnie nieszczęśliwa i głęboko zraniona? Leslie cicho zaklęła, gdyż nie przyszło jej do głowy, by zadzwonić do domu i sprawdzić tę ewentualność. Ponownie otworzyła klapkę telefonu, nie miała jednak wielkich nadziei. I rzeczywiście: tak jak poprzednio, brak zasięgu.

Weszła na drewniany wiszący most, który wydał jej się bardziej chybotliwy niż zazwyczaj. Wiedziała jednak, że to tylko złudzenie. Poniżej rozwierała się czarna przepaść, bezkres ciemności, w której wąwóz zdawał się niknąć. Mimo światła latarki przeprawa nie była całkiem bezpieczna. Teren był nierówny i niepewny, wąwóz głęboki i po części skalisty. Ona sama dawno już tu nie była. Co prawda pamiętała do pewnego stopnia topografię tego miejsca, nie miała jednak owej lunatycznej niemal pewności, z jaką wędrowała tędy w dzieciństwie. W czasach, kiedy prawie każdego popołudnia przychodziła z babcią na farmę Beckettów i razem z Gwen bawiła się w tym wąwozie i na plaży, podczas gdy Fiona... No właśnie, co? Co Fiona, Chad i jego żona porabiali przez te długie godziny? Będąc dzieckiem, nigdy się nad tym nie zastanawiała, zupełnie

zwyczajnie traktowała fakt, że razem z babcią więcej czasu spędzały z inną rodziną niż we własnym domu. Później ten temat w ogóle jej nie zajmował. Teraz zaś pewnie już nigdy nie pozna odpowiedzi. Żona Chada od dawna nie żyła. Teraz także Fiona. Chad natomiast nie był człowiekiem, który byłby gotów cokolwiek wyjaśnić.

Dotarła do końca wiszącego mostu. Tam zaczynało się zejście do wąwozu. Pamiętała, jak będąc jeszcze dzieckiem, skakała w dół niczym kozica. Teraz szła raczej jak stara kobieta, bojaźliwie i mozolnie posuwając się naprzód. Czy już wówczas było tu tak stromo? Czy skały tworzące swego rodzaju schody, były aż tak szeroko rozrzucone, że nie dało się ich pokonać jednym krokiem, lecz trzeba było przestępować ostrożnie z jednego stopnia na drugi? W końcu usiadła na ziemi i zjechała w dół na siedzeniu, musiała się jednak przy tym oburącz podeprzeć, a to utrudniało pewne trzymanie latarki. W którymś momencie wysliznęła jej się z dłoni, upadając na szczęście na najbliższy skalny stopień. Drżąc z przerażenia, Leslie podniosła ją z ziemi. Przysiadła i zaczęła się zastanawiać. To szaleństwo, co tu wyprawia. Nie miała bladego pojęcia, czy to w ogóle ma jakiś sens. Jeśli zgubi latarkę, straci szansę na odnalezienie drogi powrotnej bez narażania się przy tym na poważne niebezpieczeństwo zwichnięcia czy nawet złamania kostki.

Leslie postanowiła zawrócić.

Policja pewnie już dotarła na farmę, a jeśli nie, funkcjonariusze zjawią się tam lada moment. To oni powinni prowadzić poszukiwania. Są do tego lepiej przygotowani.

Ruszyła w drogę powrotną, która okazała się jednak nad wyraz trudna, Leslie miała bowiem tylko jedną rękę wolną. Kiedy dotarła

do mostu, ciężko dyszała i zalewała się potem. Spojrzenie na zegarek uświadomiło jej, że od chwili, gdy opuściła farmę, upłynęła już prawie godzina. Straciła mnóstwo czasu na wspinaczkę.

Szybciej niż poprzednio przebiegła przez most, jakby zdążyła już przywyknąć zarówno do jego chybotliwości, jak i sięgającej w nieskończoność otchłani. W rzeczywistości jednak to strach kazał jej przyspieszyć kroku, silniejszy, gdyż wzmocniony przez coraz bardziej przerażające i intensywne obrazy, jakie podsuwała jej wyobraźnia. W gruncie rzeczy pozostały tylko dwie możliwości, i obie budziły grozę. Albo to Dave Tanner stał za morderstwem Fiony i teraz zniknął razem z Gwen, co dla Gwen nie mogło się dobrze skończyć. Albo też nic złego nie uczynił - *dłaczego w takim razie ciągle kłamał?* - i po zerwaniu zaręczyn wrócił do Scarborough. To zaś oznaczałoby, że Gwen błąka się po nocy sama, zrozpaczona, i może planować coś strasznego. Czy igra z myślą o samobójstwie? Leslie nie potrafiła tego ocenić, wiedziała wszakże, że zawód miłosny, zranione i zawiedzione uczucia należą do najczęstszych powodów targnięcia się na własne życie. Kto zaś naprawdę wie, co się dzieje w głowie Gwen? Kto to kiedykolwiek wiedział?

Dotarwszy do pastwiska, mogła przyspieszyć kroku. Gnała teraz ile sił w nogach. Słyszała głuchy tupot własnych stóp po łące i swój świszczący oddech. Uświadomiła sobie, że ma marną kondycję. Choć w tym momencie nie miało to najmniejszego znaczenia, postanowiła w przyszłości regularnie uprawiać jogging. Myśl ta zdumiała ją, tłumaczyła sobie jednak, że być może nie jest to reakcja zupełnie nietypowa - uchwycić się jakiegoś banału, kiedy strach mógł się przeobrazić w panikę. Zastanawiała się, czy gdzieś w szafie nie leży jeszcze jej stary dres; myśl ta przyniosła jej w tej

chwili pewną ulgę. Sprawy, nad którymi powinna się teraz zastanowić, budziły w niej zbyt wielkie przerażenie.

Przystanąła, gdy ujrzała przed sobą farmę położoną u stóp wzniesienia. Wszędzie było ciemno, zupełnie ciemno. Z trudem dostrzegła dach domu, obok niego dachy stajni oraz szopę. Nic się nie poruszało. Gdzie jest policja? Samochody, reflektory, latarki migające to tu, to tam, światła, głos wrzeszczący przez megafon...

*Na Boga, Leslie, czy naprawdę sądziłaś, że pojawi się cała sotnia, tylko dlatego, że Chad zadzwonił do Valerie Almond i oświadczył, że jego córka wyszła przed paroma godzinami z narzeczoną?*

Bądź co bądź trwał jednak pościg za tym narzeczoną. Na farmie powinien się pojawić przynajmniej jakiś funkcjonariusz. Może sama Valerie, która i tak czekała na spotkanie. Czyżby w spokoju objadała się pizzą, zanim wskoczy do samochodu i popędzi do Staintondale?

Leslie zbiegła ze wzgórza, minęła bramę prowadzącą na podwórze. Tuż za wjazdem ujrzała kruczoczarny cień swojego samochodu, w sporej odległości za nim stał jeep Chada. Nie dostrzegła żadnego innego pojazdu. Nie było policji - ani Valerie, ani nikogo innego.

Może Chad zadzwonił nieco później. Albo w ogóle nie zadzwonił. Zapomniał o tym w chwili, gdy Leslie ruszyła ku drzwiom. To całkiem do niego podobne.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je. Czemu nie były zamknięte? Sama przecież słyszała, jak Chad przekręcał klucz w zamku.

- Chad?

Żadnej odpowiedzi. Sień była ciemna i pusta.

Wychodząc, zostawiła zapalone światło, była tego pewna. Być może jednak Chad, człowiek oszczędny, zgasił je.

Włączyła światło, przebiegła przez korytarz.

Drzwi do gabinetu Chada były przymknięte. Ostrożnie je uchyliła i zajrzała do środka. Pusto. Lampa na biurku paliła się, komputer był włączony, poznała po cichym buczeniu.

- Chad? - zapytała ponownie.

Weszła do kuchni, pstryknęła kontakt lampy sufitowej, światło powinno się palić - czuła się nieco pewniej, gdy dom nie był pogrążony w zupełnej ciemności.

Dlaczego Chad nie odpowiada?

Coś tu nie gra. Chad, kładąc się do łóżka, nie zostawiłby włączonego komputera i zapalonego światła - jego mania oszczędzania czasem doprowadzała domowników do szału. On musi być gdzieś w pobliżu, nie ma też powodu, żeby się przede mną chować.

- Chad? - zawołała znów, zauważając przy tym, że jej głos brzmi bojaźliwie.

Weszła do pokoju dziennego, zapaliła światło - i wtedy ujrzała Chada rozciągniętego na podłodze na środku pokoju. Leżał na brzuchu, z głową obróconą na bok, tak iż mogła dostrzec jego bladą jak płótno twarz. Oczy miał zamknięte, ramiona zdawały się ściśle przylegać do tułowia.

Patrzyła na niego przez chwilę, zbyt przerażona, by cokolwiek uczynić. Potem jednak otrząsnęła się, zrobiła dwa kroki naprzód, przyklękła przy nim i odruchowo poszukała pulsu. Był bardzo słaby, lecz jednak wyczuwalny. Bardzo ostrożnie obróciła go twarzą do siebie.

- Chad! Co się stało?

Jego powieki drgały. Leslie poczuła, że dotknęła czegoś ciepłego, lepkiego. Uniosła prawą dłoń. Była czerwona od krwi. Krew było też widać na podłodze, rozlała się po kamiennej posadzce i wsiąkała w fugi. Cienka niebieska koszula, którą miał na sobie, była przesiąknięta krwią. Leslie zauważyła jednak, że krwawienie chwilowo ustało, nie musiała w tym momencie udzielać mu pierwszej pomocy lekarskiej. Ostrze noża albo kula, domyśliła się. Nie było lepszego wyjaśnienia, a to oznaczało, że został zaatakowany, kiedy ona wyszła z domu.

Ktokolwiek to zrobił, wciąż mógł się kręcić w pobliżu.



Starala się nie wpaść w histerię i nie pognać natychmiast do samochodu. Musiała wezwać karetkę i policję, nie mogła zostawić Chada samego. Był w stanie krytycznym, stracił sporo krwi, nie miała pojęcia, jak rozległe są obrażenia wewnętrzne.

Delikatnie dotknęła jego policzka. - Chad! To ja, Leslie. Chad, co się stało?

Jego powieki znów zaczęły drgać, tym razem jednak zdołał otworzyć oczy. Wzrok miał niewyraźny i błędny. Był w szoku. - Leslie - szepnął.

Ułożyła jego głowę na swych kolanach. - Wszystko będzie dobrze, Chad. Sprowadzę pomoc. Pojedziesz do szpitala...

Jego wzrok stał się nieco bardziej przytomny. - Dave - szepnął. Wydawało się, że mówienie przychodzi mu z największym trudem. - Dave... on...

- Tak, Chad, ty...

- On... jest... wciąż... - Jego spojrzenie zmętniało. Sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś więcej, lecz język odmawiał mu posłuszeństwa. Dobył z siebie jeszcze tylko niezrozumiały bełkot.

Leslie zdołała wszakże zrozumieć, co chciał jej przekazać: Dave Tanner tu jest. Wciąż krąży po farmie, po tym jak niemal śmiertelnie ranił Chada, pewnie szuka teraz jej, Leslie. Jej samochód stoi dobrze widoczny pośrodku podwórza. Dave wie, że ona tu jest. Wie, jak może być dla niego niebezpieczna.

Czy przeszukał już dom, a teraz jest na zewnątrz, przemyka jak bezszelestny cień pomiędzy szopami i stajniami? Może ma z sobą latarkę, zagląda w ukryte zakamarki, domyśla się, że ona będzie próbować przed nim uciec? Czy może nadal kręci się po domu? Może zaczął się na piętrze, w którejś sypialni?

Wiedziała, że po górnej kondygnacji domu niełatwo było się poruszać, nie powodując przy tym skrzywienia desek w korytarzu. Bezgłośnie chodzenie po pokojach było praktycznie niemożliwe. Zaczęła nasłuchiwać, lecz nie dosłyszała nic prócz szumu krwi we własnych uszach.

Musi teraz działać rozważnie. Nie może się narazić na żadne ryzyko.

Ostrożnie ułożyła głowę Chada z powrotem na podłodze, wstała i błyskawicznie doskoczyła do drzwi. Zamknęła je i przekręciła klucz w zamku. Z westchnieniem ulgi oparła się o nie plecami. Odrobina bezpieczeństwa, może chwila zyskana na czasie. Nie wątpiła, że Dave byłby w stanie wyważyć te stare drzwi, zabierze mu to jednak przynajmniej kilka minut. A minuty te w obecnej sytuacji mogą decydować o życiu.

Zgasiła światło. Na wypadek, gdyby Dave krążył gdzieś na zewnątrz. Nie chciała zdradzić, w którym pokoju akurat przebywa. Tym bardziej że mógł mieć przy sobie broń.

Chwyciła za komórkę. Brak zasięgu. Połączenia komórkowe w Staintondale, a zwłaszcza na farmie Beckettów, mogły doprowadzić człowieka do szału. Spróbowała w innym miejscu pokoju, również bezskutecznie. Nawet w pobliżu okna wcale nie było lepiej. Wiedziała, że miałyby szansę złapać sygnał, gdyby wyszła na podwórze i skierowała się ku szosie, to jednak niosłoby z sobą ryzyko napotkania Dave'a. Wciąż tu był, właśnie usiłował zabić człowieka, nie będzie zatem stał i przyglądał się spokojnie, jak ona wzywa policję. Mimo wszystko wystukała numer Valerie, lecz zgodnie z przewidywaniem połączenie nie zostało nawiązane. Spróbowała z numerem alarmowym policji, ten jednak również nie działał. O mały włos nie rzuciła z wściekłości bezużytecznym

urządzeniem w kącie, w ostatniej wszakże chwili zdołała nad sobą zapanować. Kto wie, do czego się jeszcze może przydać.

Jej wzrok trochę przywykł do panujących w pokoju ciemności. Dostrzegła cień leżącego na podłodze Chada; w ogóle się nie ruszał, pewnie stracił przytomność. Źle z nim będzie, jeśli szybko nie udzieli mu pomocy. Choć sama była lekarką, w tej sytuacji, w tym miejscu, praktycznie nic nie mogła dla niego zrobić. Nawet przeniesienie go na sofę i wygodniejsze ułożenie wydawało się zbyt niebezpieczne, nie wiedziała bowiem, jakiego rodzaju odniósł obrażenia. Nie miała zaś przy sobie nic, żadnego opatrunku, zupełnie nic. Jedynie telefon, i to poza zasięgiem sieci. A gdzieś tam na zewnątrz krążył szaleniec, który nie mógł dopuścić, żeby uciekła albo sprowadziła pomoc. Dlaczego to robił? Dlaczego właśnie Chad? Dlaczego - najprawdopodobniej - także Fiona? Czy rzeczywiście działał na zlecenie Semiry Newton, która pragnęła zaspokoić żądzę zemsty - nie zważając przy tym na własne słowa, że wcale nie chciałyby oszczędzić Fionie starości z wszelkimi jej uciążliwościami? A może Dave zabił Fionę z własnej inicjatywy, a wczoraj zaoferował Semirze, że wymierzy zasłużoną karę także Chadowi? Może Semira skłamała i Dave był u niej już dużo wcześniej? Może wcale nie podawał się za dziennikarza? Czy Dave i starsza kobieta z Robin Hood's Bay stanowili o wiele bardziej wyrafinowaną, podstępna parę, niż Leslie mogła przypuszczać? Ale po co w takim razie Semira w ogóle wspominała o jego odwiedzinach? Bardziej logiczne byłoby przemilczenie faktu, że kiedykolwiek nawiązali z sobą kontakt.

A jeśli to nie Semira stoi za tym wszystkim? Jeśli Dave działał z własnych pobudek? Leslie spojrzała na leżącego bez ruchu Chada. Ten człowiek stanął Dave'owi na drodze prowadzącej do

ureczywistnienia marzenia, jakim było przejęcie farmy Beckettów. Czy nie w tym właśnie tkwi źródło całego dramatu? Dave był gotów poślubić kobietę, na której mu nie zależało, jedynie po to, żeby wreszcie odnaleźć w życiu jakieś perspektywy. Dysponować majątkiem mógłby wszakże dopiero wówczas, gdy jego teść pożegna się z życiem. Czyżby nie miał zamiaru czekać? Czy zamordował Fionę, żeby swym ciętym językiem nie pokrzyżowała mu planów, Chada zaś po to, żeby od razu, bez zbędnej zwłoki, móc swobodnie działać? W takim razie na czym, na Boga, polega w całej tej historii rola Gwen? Mało prawdopodobne, że na jej oczach zastrzelił jej ukochanego ojca. Jej samej zaś też nic nie mógł zrobić, chcąc bowiem dotrzeć tam, dokąd zmierzał, potrzebował Gwen jako swej małżonki.

*Gdzie jest Gwen?*

Nie czas na rozmyślania, zdecydowała. To nie jest moment, w którym mogłaby rozwikłać tę zagadkę.

Musi zatelefonować. To następny, absolutnie niezbędny krok, nic innego się nie liczy.

Telefon stał w gabinecie. Pytanie tylko, czy mogła zaryzykować i opuścić pokój dzienny, w którym na razie czuła się choć trochę bezpiecznie, przemknąć przez sień, zabarykadować się w gabinecie i wykonać połączenie. Jeśli po drodze natknie się na Dave'a, będzie zgubiona. Nie miała złudzeń: on po prostu nie mógł zostawić jej przy życiu. Była dlań najpoważniejszym niebezpieczeństwem. Musiał ją wyeliminować, nie miała wątpliwości, że uczyni to bez wahania. Nawet jeśli nie zdołała do końca go przejrzeć, była niemal pewna, iż jest to dla niego rozgrywka o wszystko. Z pewnością dokładnie zaplanował wszelkie swe działania i przemyślał ich konsekwencje. Gdziekolwiek kryła się jego wygrana, nie pozwoli,

żeby ktokolwiek przeszkodził mu w osiągnięciu celu. Był niebezpieczny, okrutny i pozbawiony zasad moralnych. Jego wieczne kłamstwa stanowiły ledwie wierzchołek góry lodowej. Alternatywne rozwiązanie? Pozostać w tym pokoju i mieć nadzieję, że nadejdzie pomoc - Leslie nie miała jednak pojęcia, kiedy mogłoby to nastąpić i czy w ogóle należało żywić jakąkolwiek nadzieję. Co zrobi Valerie Almond, gdy wbrew swej zapowiedzi Leslie nie pojawiła się w pizzerii, w miejscu, do którego winna była dotrzeć już dawno temu? Pewnie próbowała skontaktować się z nią telefonicznie - bezskutecznie. Może pojedzie na Prince-of-Wales-Terrace i zacznie dzwonić do drzwi, lecz nikt jej nie otworzy. Czy będzie się wówczas zamartwiać? I wpadnie na myśl, żeby się udać na farmę Beckettów?

Brankleyowie wyjechali. Nie wiedziała też, co się dzieje z Gwen. Tym samym nadzieja na nadejście pomocy zmalała do minimum. Minimalne były też szanse, że Chad przeżyje. Nawet gdyby była medycznym laikiem, zrozumiałaby, że staremu człowiekowi zostało już niewiele czasu. Nie przetrzyma nocy, jeśli nie znajdzie się jak najszybciej w szpitalu.

Podeszła do drzwi, bezgłośnie przekręciła klucz. Wstrzymując oddech, powoli je otworzyła. Spodziewała się niemal, że ujrzy przed sobą Dave'a, sień jednak była jasno rozświetlona i pusta. Nadal też z żadnego zakamarka domu nie dochodził jakikolwiek odgłos.

*Albo jest na zewnątrz, albo stoi tu gdzieś, wstrzymując oddech, i czeka, aż popełnię błąd.*

Serce waliło jej jak oszalałe, krew szumiała w uszach. Nie wiedziała dotąd, co oznacza prawdziwy strach. Znała strach przed egzaminem. Strach przed samotnością. Strach przed nieprzyjemną rozmową, wizytą u dentysty, przed terminem rozwodu. Znała tysiąc

rodzajów strachu, lecz to, co odczuwała obecnie, to był strach śmiertelny, coś zupełnie nowego. Nigdy przedtem nie doświadczyła czegoś podobnego. Był to strach ekstremalny, fizyczny: potoki potu, spływające po całym ciele. Dudnienie w uszach. Raptowna suchość w ustach. Niemożność przełykania. A mimo to posuwała się dzielnie w głąb korytarza. Podłoga była tu, podobnie jak w pokoju dziennym, wyłożona kamieniem. Leslie poruszała się, nie wydając najłżejszego dźwięku.

Jeszcze tylko kilka metrów, może trzy albo cztery. Zdawały się bezkresnym szlakiem, a minuta potrzebna na ich przebycie - wiecznością. W każdej chwili spodziewała się, że poczuje na ramieniu uścisk czyjejś ręki. Że przemówi do niej jakiś głos. Nic jednak się nie wydarzyło. Nic nie przerwało panującej wokół ciszy.

Dotarła do gabinetu, weszła do środka. Nic się tam nie zmieniło. Paląca się na biurku lampa. Cicho buczący komputer.

Błyskawicznym ruchem zamknęła za sobą drzwi - i zamarła, kiedy stwierdziła, że w zamku nie ma klucza.

Zebrawszy w sobie całą odwagę, ponownie otworzyła drzwi, obejrzała zamek od drugiej strony, lecz i tam niczego nie znalazła. Była święcie przekonana, że gabinet zamykano na klucz. Cóż, nie pozostało jej nic innego, jak zatelefonować przy niezamkniętych drzwiach, najszybciej jak tylko zdoła, i modlić się, żeby nikt jej w tym nie przeszkodził. Podniosła słuchawkę.

- Nie robiłabym tego - odezwał się głos za jej plecami. - Odłożyłabym natychmiast słuchawkę i powoli się odwróciła.

Leslie zaczęła dygotać. Ze strachu, z przerażenia i... z zaskoczenia.

Odwróciła się skonsternowana, szeroko wytrzeszczając oczy.

W drzwiach stała Gwen.

W dłoni trzymała rewolwer i mierzyła do swej przyjaciółki. Była zupełnie opanowana, pewnie dzierżyła broń.

Jej twarz przypominała wyrazem oblicze szaleńca.

16.

Jak to miło znów być w domu, pomyślała Jennifer. Po dwóch tygodniach nieobecności w środku unosił się trochę dziwny zapach, Jennifer otworzyła jednak wszystkie okna, wpuszczając do środka powiew świeżego jesiennego powietrza. Colin przeglądał stos korespondencji, którą sąsiadka sumiennie wyjmowała ze skrzynki i układała na stole w jadalni. Cal i Wotan dostały kolację i wyciągnęły się teraz błogo na miękkich kocach w znajomych kątach pokoju dziennego. W tle cicho brzęczał telewizor.

Co będę jutro robić, zastanawiała się Jennifer. Stała w otwartych drzwiach kuchni, patrząc na ciemny ogród pachnący jesiennym listowiem, wilgocią, zwiędłą trawą. Lubiła jesień, uwielbiała zmierzchające popołudnia, wczesne wieczory, zwiastuny zbliżających się świąt. Długie spacerunki z Caliem i Wotanem po spowitych mgłą polach, powrót do ciepłego domu, trzaskającego ognia w kominku, palących się w oknach świec. Wewnętrzne ciepło towarzyszące owej atmosferze zawsze jej służyło. A jednak w jej życiu musiało prócz tego istnieć coś jeszcze. Kontakt z innymi ludźmi. Stres, złość, lecz również chwile radości, których źródłem jest towarzystwo innych. Uczestnictwo w życiu, tego właśnie potrzebowała. Tego powinna szukać.

A zatem praca. To sprawa numer jeden. Punkt wyjścia dla wszystkich innych. Przewertuje gazety. Być może nawet sama zamieści ogłoszenie. Była przecież nauczycielką, studiowała anglistykę i romanistykę. Może udzielać korepetycji. Poza tym być może również w Leeds istnieje placówka podobna do Friarage

School w Scarborough, z ofertą kursów językowych dla dorosłych. Sprawiłoby jej radość, gdyby w dwa, może trzy wieczory w tygodniu prowadziła zajęcia z francuskiego, a przy tym znalazła nowych przyjaciół.

Wspomnienie Friarage School zwróciło jej uwagę na postać Dave'a Tannera. Już w czasie podróży ze Staintondale do Leeds coś snuło jej się po głowie, jakaś myśl, jakieś pytanie, była jednak tak zajęta sobą i własnymi planami na przyszłość, że zbytnio się tym nie przejęła.

Teraz wszakże opadły ją obrazy minionego popołudnia. Kiedy razem z Gwen wróciły z miasta, Dave Tanner siedział wraz z Colinem w pokoju dziennym na farmie Beckettów. Zamienili parę błahych słów, po czym Jennifer natychmiast poszła na górę. Chciała być sama, chciała podzielić się z Colinem przemyśleniami, opowiedzieć mu o swoich planach. Nic innego jej nie interesowało.

Zamknęła drzwi do kuchni, przeszła do jadalni, gdzie Colin, marszcząc czoło, studiował jakieś urzędowe pismo.

- Nasze składki emerytalne... - zaczął, lecz Jennifer weszła mu w słowo: - Colin, czego właściwie szukał dziś na farmie Tanner?

Sprawialiście wrażenie bardzo skupionych na rozmowie, kiedy siedzieliście przy kominku...

- Chłopak nareszcie nabrał rozsądku - odparł Colin, nie odrywając wzroku od trzymanego w dłoni pisma. - To znaczy, ten pomysł, żeby się żenić z Gwen... wszystkim było to nie w smak, nikt nie był temu przychylny...

Jennifer poczuła gęsią skórę na ramionach, nie od razu pojmując, dlaczego. - I co? - spytała.

- Chciał jej o tym powiedzieć - wyjaśnił Colin - i oczywiście, biedaczek, nie czuł się z tym najlepiej. No cóż, dzięki mnie chyba



szybciej minął mu czas.

- Co takiego? - spytała Jennifer. - Co chciał jej powiedzieć? I komu? Gwen?

- Oczywiście, że Gwen. Komuż by innemu - odparł Colin, unosząc wreszcie wzrok. - Zamierzał jej powiedzieć, że nie widzi już żadnego sensu w ich wspólnej przyszłości i chyba będzie lepiej, jeśli ich drogi się teraz rozejdą. Coś w ten deseń. Myślę, że to rozsądne. Z jego strony to nigdy nie była wielka miłość, ona zaś znów budowała jakieś zamki na lodzie, które nie wytrzymałyby zderzenia z rzeczywistością.

Mrowienie na ramionach Jennifer nasilało się. - Mój Boże - powiedziała cicho.

- Lepszy okrutny koniec niż okrucieństwo bez końca - oznajmił Colin. - To trudne dla Gwen, ale nie uważasz, że ona przeczuwała to już od pewnego czasu? Przecież nie jest zupełnie niewrażliwa. Nie sądzę, żeby taki rozwój wypadków był dla niej zupełnym zaskoczeniem.

- Ale ostateczny moment zawsze jest... - Nie dokończyła. Przez chwilę wydawało się, że uczucie strachu, które zaczęło się w niej budzić, zupełnie nią zawładnie.

Zachowaj spokój, napominała się, może widzisz jedynie upiory.

- Myślę, że powinnam zadzwonić do Gwen - oświadczyła.

- A ja myślę, że sama musi przez to przejść - zaproponował Colin. - Nie możesz jej wiecznie wyręczać.

- W takiej sytuacji każdy potrzebuje wsparcia - odparła Jennifer. Wyjęła przenośny telefon z ładowarki umieszczonej na stole w jadalni i wystukała numer farmy Beckettów. Wyczekiwała nerwowo. Nikt nie podniósł słuchawki.

Ponowiła próbę, równie bezskutecznie.

- Dziwne. Przecież powinni być w domu. W każdym razie Chad. A także Gwen.

- Nie znasz Chada, tego dziwaka? Pewnie nie ma akurat ochoty podejść do telefonu. A Gwen wypłakuje sobie oczy.

- Mimo to mogłaby odebrać.

- Poradzi sobie bez ciebie. Musi. I tak nie możesz jej pomóc.

- Mam złe przeczucia.

- Przecież nie odbierze sobie życia. Nie Gwen. To delikatna roślinka, ale w jej żyłach płynie też dobra krew osiadłych rolników. Da sobie radę.

- Szkoda, że mnie tam nie ma - powiedziała zaniepokojona Jennifer.

- Niby czemu?

- Chciałabym się przekonać, że wszystko jest w porządku.

- A cóż by miało nie być w porządku?

Spojrzała przez otwarte okno. - Jeśli Dave powiedział jej, że to koniec...

- ...życie Gwen mimo to będzie się toczyć dalej - dokończył zniecierpliwiony Colin. - Jennifer, każdy z nas musi kiedyś przez coś takiego przejść. Sądziliśmy, że świat się kończy, by następnie stwierdzić, że kręci się nadal, pewnie i stabilnie. Gwen dojdzie do takiego samego wniosku.

Nadal nie patrzyła na niego. - Wcale nie martwię się o Gwen - powiedziała powoli.

Colin zmarszczył czoło. - Tylko o kogo?

Odwróciła się twarzą do niego. Dostrzegł, że poblądła jak płótno.

- Martwię się o Dave'a Tannera - odrzekła.

Telefon dzwonił kilka razy. Gdy Leslie przy pierwszym dzwonku odruchowo poruszyła dłonią, Gwen natychmiast powstrzymała ją ostrym tonem: - Nie! Zostawisz słuchawkę w spokoju! Nikogo nie ma w domu!

Stały naprzeciw siebie w małym pokoju, Leslie obok biurka, Gwen w progu. Lampa u sufitu rozjaśniała wnętrze, komputer nadal cicho szumiał. Mogłaby to być całkiem zwyczajna sytuacja - oto dwie kobiety rozmawiają w gabinecie pod koniec dnia - gdyby jedna z nich nie trzymała w dłoni rewolweru, mierząc z niego do drugiej.

To jakiś koszmar, pomyślała Leslie, zupełnie absurdalny koszmar.

Usiłowała zrozumieć, co tu w ogóle zaszło, ale czuła się jak ktoś, kto w trakcie rozmowy stracił wątek i naraz nie potrafi pojąć kolejnego zwrotu akcji. Wyglądało to tak, jakby Gwen, Gwen z rewolwerem w dłoni, spadła nagle z nieba i pojawiła się na scenie. Ktoś musi teraz zawołać *Stop!* Jakiś niewidzialny reżyser, któremu akcja wymknęła się spod kontroli, najpóźniej teraz, w tym właśnie momencie, musi podjąć interwencję. Nikt jednak nie wołał *Stop!* Nikt nie interweniował. Leslie została sama, bezradnie usiłując znaleźć wytłumaczenie tego, co się stało.

- Gwen, co z tobą? - zapytała, kiedy minęła pierwsza sekunda grozy. Gwen się uśmiechnęła.

- A co ma być? Biorę moje życie we własne ręce. Robię to, co zawsze radziliście mi zrobić.

- To, co my ci zawsze radziliśmy?

- Po co tu w ogóle przyjechałaś? - zapytała Gwen. - Czyżbyś szukała Dave'a? Podoba ci się, prawda? Przystojny mężczyzna.

Myślałaś może, że zaciągniesz go do łóżka, teraz, kiedy on już mnie nie chce? A miejsce obok ciebie od tak dawna jest puste!

Leslie nadal nic nie rozumiała. Wspomnienie Dave'a ożywiło w jej pamięci słowa wymamrotane z trudem przez Chada.

- Gwen, twój ojciec ostrzegał mnie przed Dave'em. On jest niebezpieczny. Ciężko go ranił. On... - Urwała w pół słowa, w tej bowiem chwili pojawił się u niej pierwszy przeblysłk zrozumienia.

- Czy to *ty* strzeliłaś do swego ojca? - zapytała.

Gwen znów się uśmiechnęła owym dziwnym uśmiechem, w którym nie kryje się wesołość. - Sprytnie, Leslie! Zawsze taka byłaś! Leslie, nasza spryciula! Dobrze to rozgryzłaś. To ja strzeliłam do ojca. A jeśli wspomniał coś o Davie, to pewnie chciał ci zwrócić uwagę, że może potrzebować pomocy. Leży w naszej zatoce. Postrzelony. Będzie niewesoło, kiedy jutro nadejdzie przyływ. Ale to już nie moje zmartwienie.

Zanim Leslie zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Ponieważ nie miała już żadnych wątpliwości, że Gwen rzeczywiście zdolna jest użyć broni, poddała się poleceniu dawnej przyjaciółki, by trzymać ręce przy sobie. Kiedy aparat po kilku chwilach ciszy ponownie zaczął dzwonić, nawet nie poruszyła palcami.

- Cóż, pojawia się pytanie, co mam teraz z tobą zrobić? - zastanawiała się Gwen. - To była naprawdę głupia myśl, żeby tu przychodzić, Leslie. Ach tak, tego punktu jeszcze do końca nie wyjaśniłyśmy: to z powodu Dave'a, prawda?

- Ale nie tak, jak myślisz. Sądziłam, że to Dave. Że to Dave zamordował moją babcię. I bałam się o Chada. Myślałam, że motyw zabójstwa mógł mieć związek z Brianem Somerville'em. I Semirą Newton. A wówczas Chad znalazłby się w niebezpieczeństwie. -

Wymawiając oba nazwiska, patrzyła uważnie na Gwen, jednakże na jej twarzy wciąż widniał przyklejony uśmiech.

- Wzruszające - odparła. - Tyle zmartwień z powodu dobrego Chada! Czy to on udostępnił ci e-maile Fiony? Czy może Jennifer?

- To Colin mi je dał.

- Dobrze rozpowszechniłam tę historię - powiedziała zadowolona z siebie Gwen. - Pomyślałam sobie, że zatoczy szersze kręgi, jeśli najpierw wtajemniczę Jennifer. Historia ta trafi także w ręce policji. A wtedy wyjaśni się, kto zabił Fionę i Chada.

- Czyżby Semira Newton? - spytała Leslie. - Ona ledwie może się poruszać, i to o kuli. A może Brian Somerville? Słyszałam, że przebywa w zakładzie opiekuńczym i zbliża się do osiemdziesiątki, zatrzymawszy się w rozwoju umysłowym na poziomie przedszkolaka. Naprawdę chcesz zarzucić tym dwojgu dokonanie dwóch morderstw? I myślisz, że ktoś to kupi?

- Istnieje coś takiego jak zabójstwo na zlecenie. Słyszałaś?

- Owszem. Ale oceniając według potrzebnych do tego zdolności umysłowych, jedynie Semira Newton byłaby w stanie to uczynić. Abstrahując od tego, że pieniędzy ledwie starczy jej na życie. Należałoby zapytać, z czego właściwie miałyby opłacić zabójcę. Zresztą, nie zdobyłaby się na coś takiego. To wykluczone. Nawet Valerie Almond przyznałaby to od razu.

- Ach, Valerie Almond - odrzekła z pogardą Gwen. - Ona jest dość naiwna. Nie ma zielonego pojęcia o psychologii. Mnie oceniła zupełnie niewłaściwie.

Widocznie jak my wszyscy, dodała w myślach Leslie i mimowolnie się wzdrygnęła. Zapytała na głos: - A gdzie tu miejsce dla Dave'a? Wszystko jedno, czy znajdą go postrzelonego, czy wyłowią jako topielca. A ja? Jeśli mnie również zamierzasz

zastrzelić. Czy moja rola pasuje do teorii, że mamy tu do czynienia z bardzo spóźnionym aktem zemsty starej kobiety?

Gwen przez sekundę sprawiała wrażenie zaniepokojonej, szybko jednak zapanowała nad sobą. - Weszliście mordercy w paradę.

- Dave w zatoce, a ja tutaj? Gwen, ty... ty działasz w amoku. To się dla ciebie źle skończy, wierz mi.

- To się źle skończy dla *ciebie* - odparła Gwen. - Spójrz na to w ten sposób, moja droga.

- Nie sędzę - zaprzeczyła Leslie, nie była jednak pewna, czy może dać wiarę własnym słowom. - Zawsze byliśmy przyjaciółkami, Gwen. Znamy się od dziecka. Przecież nie strzelisz do mnie ot tak, po prostu.

- Mojego ojca znam dłużej niż ciebie - odparła Gwen - Fionę również. To nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego.

Leslie przełknęła ślinę, zupełnie zaschło jej w gardle. - Ale dlaczego, Gwen? Nie rozumiem, dlaczego?

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Niby jak miałybyś to pojąć? Przecież w twoim życiu zawsze świetnie się układało. Co czują ludzie, którym nie wiedzie się tak dobrze jak tobie? O tym nie masz bladego pojęcia!

- W moim życiu wszystko świetnie się układa? - spytała zdumiona Leslie. - Jak możesz tak mówić? Jestem rozwódką, jestem samotna i sfrustrowana. Weekendy spędzam albo na dyżurze, albo przed telewizorem, nadużywając alkoholu. Nawet pies z kulawą nogą nie troszczy się o mnie. Moje koleżanki, przyjaciółki, z którymi studiowałam... obdzwaniam je wszystkie po kolei, żeby się z nimi umówić, ale one mają na głowie rodziny i nie

znajdują dla mnie czasu. Tak oto wygląda moje świetlane życie, Gwen. Nie inaczej.

- Mogłabyś je w każdej chwili odmienić.

- Niby jak?

- Mężczyźni ustawiają się do ciebie w kolejce. Ze Stephenem się nie udało, więc wychodzisz za następnego. To dla ciebie żaden problem.

- Ustawiają się w kolejce? Niestety, jakoś uszło to mojej uwagi.

- Bo nie chcesz tego dostrzec! - Gwen niecierpliwie wymachiwała bronią. - Na przykład Dave ugania się za tobą. Tylko mi nie mów, że tego nie zauważyłaś!

Leslie powróciła myślą do minionej nocy, do sceny w kuchni w mieszkaniu babki. Nic nie odpowiedziała, ale Gwen musiała spostrzec zmieniony wyraz jej twarzy. Roześmiała się. Zabrzmiało to triumfalnie. - No proszę. A więc jednak wiesz o tym. I nie on jeden. Ten twój Stephen zrobi wszystko, by odzyskać twoje względy. Wystarczy, że pstrykniesz palcami. Przed tobą mnóstwo możliwości. A jeśli kiedyś otrząsniesz się wreszcie z szoku, jaki wywołał u ciebie nieplanowany numerek Stephena ze znajomą z baru, znów szczęśliwa przywitasz nowy dzień. - Zamilkła na chwilę, spojrzała na swoją broń. - To znaczy... tak właśnie mogłoby się stać. Oczywiście wszystko potoczy się zupełnie inaczej.

- Gwen, tobie jest potrzebna pomoc.

Gwen znów się roześmiała, tym razem jednak nie triumfowała. W jej śmiechu czaił się raczej cień hysterii. - Fantastyczne, Leslie. To naprawdę fantastyczne! Ja potrzebuję pomocy? W ostatnich chwilach swojego egocentrycznego życia, zupełnie skupionego na twoich własnych sprawach, stwierdzasz, że ta stara dobra Gwen potrzebuje pomocy. Tak, masz rację. Cholerną rację. Potrzebuję

pomocy. Potrzebowałam jej od wielu lat. Ale nikogo z was to nie obchodziło.

- Kiedy tylko się widywałyśmy...

- Co nie zdarzało się zbyt często, nieprawdaż? Dwa razy do roku? Przecież częściej ta zapracowana pani doktor Cramer nie przyjeżdżała z Londynu w odwiedziny do babci. A wtedy, rzeczywiście, za każdym razem obowiązkowa wizyta na farmie Beckettów. *Wpadnę na chwilę na kawę, Gwen!* Na chwilę! Zawsze pod presją czasu, żeby przypadkiem nie przyszło mi do głowy domagać się od ciebie więcej sympatii, niż byłaś gotowa mi ofiarować. A nigdy nie było jej wiele. Uważałaś, że farma jest nudna, mnie uważałaś za nudziarę! Nigdy nie miałam nic szczególnego do powiedzenia. Bo i o czym miałabym mówić? O mojej walce, by uchronić farmę od upadku? O staraniach, żeby wyżyć z lichych pieniędzy mojego ojca? O moich próbach przyciągnięcia na farmę urlopowiczów, choć zawsze przyjeżdżali tylko Jennifer i Colin? Nie mogłam już na nich patrzeć, lecz wciąż musiałam ich usidlać, żeby przynajmniej oni nie zrezygnowali. Ekscytujące tematy, nie sądzisz?

- Mogłaś po prostu powiedzieć prawdę. O tym, że ci się nie wiedzie. Że szukasz pomocy.

- A sama tego nie zauważyłaś? Czy naprawdę wierzyłaś, że mogę czuć się szczęśliwa, prowadząc takie życie? Tutaj, w tym odosobnieniu, odcięta od świata? Razem ze starzejącym się ojcem, który prawie w ogóle się nie odzywa? Z twoją wścibską babką jako dodatkiem? Ciągłe się tu wałęsała, dając mi wyraźnie do zrozumienia, jaką to jestem starą panną, pustą i konwencjonalną, a zależało jej wyłącznie na towarzystwie mojego ojca, tej wielkiej miłości jej życia. Czy sądziłaś, że mi z tym dobrze? Bez przyjaciół,



bez żadnych kontaktów? Bez mężczyzny, który by się mną zainteresował? Bez nadziei na zwyczajne życie? Małżeństwo, dzieci, własny dom. Czy myślałaś, że za tym wszystkim nie tęsknię? Nie mam własnych marzeń? Czy *naprawdę* pomyślałaś o tym, Leslie?

Leslie na sekundę przymknęła powieki. - Nie - odpowiedziała cicho. Z powrotem otworzyła oczy i spojrzała na Gwen. - Nie. Znałam twoje marzenia. Wiedziałam, za czym tęsknisz. Ale...

- Ale co?

- Ale z drugiej strony zawsze byłaś uśmiechnięta i zrównoważona. Zachwycałaś się ojcem, Fionę zaś nazywałaś zastępczą matką. W pewnym sensie... wydawałaś się zadowolona z życia, jakie prowadziłaś. Byłaś... różniłaś się od innych. Powinnam...

- Tak?

- Może powinnam była przyjrzeć ci się dokładniej - dokończyła Leslie.

Obie przez chwilę milczały.

Chryste, zaklinała w myślach Leslie, pozwól mi przemówić jej do sumienia.

- Bardzo mi przykro - odezwała się w końcu, lecz Gwen wzruszyła jedynie ramionami.

- Będąc na twoim miejscu, też bym tak powiedziała.

Znów zapadło milczenie. Leslie poczuła, że jej bijące jak oszalałe serce nieco się uspokaja, wcale jednak nie pozbyła się przez to napięcia i strachu. Zaczęła jaśniej myśleć, odniosła wrażenie, że Gwen nie potrafi sobie poradzić z zaistniałą sytuacją. Wszystko świadczyło o tym, że strzeliła zarówno do Dave'a, jak i do własnego ojca, najwyraźniej nie miała też żadnych skrupułów, żeby ich

zostawić na łasce losu. Losu, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyniesie im śmierć.

Od dobrej pół godziny stała w drzwiach gabinetu, mierzyła do swej niegdysiejszej przyjaciółki, lecz nie nacisnęła spustu. Wydawało się, że nie żywi wobec Leslie tej samej bezimiennej nienawiści, co względem Chada, Dave'a i pewnie również Fiony. Nie przewidziała też, że rozprawa z Leslie nastąpi dzisiejszego wieczoru. Zjawiała się na farmie zupełnie nieoczekiwanie. Nie powinno jej tu być. Gwen chciała wyglądać marsowo, w głębi ducha była jednak niezdecydowana, co właściwie powinna uczynić. W tym właśnie Leslie dostrzegła swoją szansę, nie miała wszakże złudzeń: niepewność Gwen, jak postąpić w tej sytuacji, mogła się okazać zbyt trudna do zniesienia, co znów groziło wybuchem.

Rozmawiaj z nią, jedynie to przychodziło jej do głowy.

- Skąd masz tę broń? - zapytała.

- To wojskowy rewolwer mojego ojca. Miał go na wojnie. Dawno temu, ale jeśli chcesz wiedzieć, czy nadal działa, wystarczy, że obejrzysz sobie Chada. I Dave'a leżącego nad zatoką.

Leslie przypomniała sobie fragment zapisków babci. Któregoś dnia na regale w gabinecie znalazła broń Chada. Próbowała z nim porozmawiać o frontowych przeżyciach, ale bezskutecznie. Przypuszczalnie broń przeleżała w tym właśnie miejscu. Przez długie lata. Z jakiego bowiem powodu Chad miałby ją ukryć w bardziej bezpiecznym miejscu?

- Ty... ćwiczyłaś strzelanie? - zapytała.

- Pomyślałam: kto wie, kiedy może mi się to przydać - odparła Gwen jakby od niechcienia. - I rzeczywiście, miałam nosa. Teraz mogę zrobić z tego użytek.

- Gwen...

- Właściwie to chciałam zastrzelić także Fionę. Kiedy jednak cały świat zaczął mówić o morderstwie tej studentki, pomyślałam, że narobię nieco więcej zamieszania, jeśli zabiję Fionę w podobny sposób, w jaki potraktowano tę biedaczkę. Sprytne, co? Śmiałam się do rozpuku, słuchając rozważań tej niewydarzonej funkcjonariuszki o tym, co mogłoby łączyć starą Fionę z tamtą młodą dziewczyną.

- Bardzo się zmieniłaś, Gwen - powiedziała Leslie, uświadamiając sobie, jak groteskowo brzmi to zdanie nawet w jej własnych uszach. Jakby Gwen zwyczajnie zrobiła sobie nową fryzurę albo zrzuciła kilka kilogramów. Zamiast tego przeobraziła się w seryjną zabójczynię. Gwen, ubrana zawsze w kwieciste bawełniane spódnice, gustująca w kiczowatych romansidłach, strachliwie przywiązana do spokojnego życia na opustoszałej farmie... Samodzielnie, używając prastarej wojskowej broni ojca, wyszkoliła się na niezawodnego strzelca, zdobyła amunicję, opracowała plan. Natrafiła na listy słane przez Fionę do Chada i dostrzegła szansę, żeby wysnuć z nich motyw morderstwa ich obojga. Zupełnie celowo rozpowszechniła te listy. Nie powodowała nią naiwność, jak wszyscy sądzili.

- Czy to ty wysłałaś Dave'a do Semiry? - spytała. - Żeby zrzucić na niego podejrzenie?

- On był u tej Newton? Domyślałam się, że to zrobi. Nie, nie wysłałam go do niej, ale zauważyłam, jak bardzo zrobił się ciekawski. Powtarzałam sobie: na pewno do niej pójdzie! Gdy dwa dni temu byłam u niego, dałam mu drugi wydruk plików. Przeczytał wszystko jeszcze tej samej nocy, ucieszony, że dostał coś, czym może się wykręcić, byleby tylko nie pójść ze mną do łóżka. Mój plan trochę się posypał. Dave miał najpierw poznać historię

Somerville'a, a dopiero potem miała umrzeć Fiona. Jednakże po tamtej kłótni na oczach was wszystkich nadarzyła się aż nazbyt sprzyjająca okazja. Na schodach usłyszałam, jak mówiła, że w oczekiwaniu na taksówkę wyjdzie jej naprzeciw. Zrozumiałam, że to niepowtarzalna sposobność. Poszłam za nią i... cóż, to było bardzo proste. Miałam przy sobie rewolwer, zmusiłam ją, żeby przeszła spory kawałek ścieżką. Kiedy znalazłyśmy się wystarczająco daleko od szosy, chwyciłam kamień i uderzyłam ją w głowę. I znów. I jeszcze. Aż w ogóle przestała się ruszać. Kamień dzień później wrzuciłam z klifu do morza.

Leslie usiłowała opanować zawroty głowy. Cóż to za kobieta stoi naprzeciw niej? I jak mogła przez tyle lat mylić się zupełnie w jej ocenie? - Czyli Jennifer kłamała, mówiąc, że poszłaś na spacer razem z nią i z psami?

- Stara poczciwa Jennifer. Bała się, że podejrzenie może paść na mnie, dlatego chciała się zabezpieczyć. Ona koniecznie musi pomagać innym. Inaczej po prostu nie potrafi. Cóż, było mi to na rękę. Opowiedziałam później Colinowi, że Jennifer dosłownie narzuciła mi ten pomysł. Powinnaś zobaczyć wtedy jego minę. Dziwne zachowanie żony dało mu wiele do myślenia.

- Działałaś... w sposób bardzo wyrafinowany - przyznała z trudem Leslie - przez cały czas.

- Tak, prawda? Mimochodem poinformowałam Colina, że również Dave zna te dawne dzieje. Założyłam, że później, gdy zostanie już aresztowany pod zarzutem morderstwa, nikt mu nie uwierzy, że dowiedział się o tym dopiero po śmierci Fiony. Wyczułam, jak bardzo Colin był przerażony, pewnie pomyślał sobie, jaka ze mnie plotkara. W duchu zaśmiewałam się na śmierć. Tak

czy owak on wcale nie był lepszy ode mnie. W końcu i tak wszystko tobie roztrąbił.

- Dave zaprzeczył, że zna Semirę Newton, kiedy go o to zapytałam. Twierdził, że nigdy o niej nie słyszał.

- Jasne. Był na czele listy podejrzanych, wiedział, że można by wysnuć z tego motyw. Semira mogła mu zlecić dokonanie zemsty na Fionie Barnes. Postępował zatem tak, jakby o niczym nie miał pojęcia. Niezbyt mądrze. Przecież łatwo było przewidzieć, że któregoś dnia ta sprawa wyjdzie na jaw.

- Od kiedy... od kiedy myślałaś o... zabiciu Fiony i Chada? - zapytała Leslie.

Wydawało się przez moment, że Gwen intensywnie nad czymś myśli, Leslie miała jednak wrażenie, że dobrze zna odpowiedź. Szuka tylko stosownego wyrażenia, dzięki któremu odpowiedź zabrzmiałaby mniej banalnie, niż jest banalna w istocie.

- Od zawsze - odrzekła w końcu.

- Od zawsze? Już jako dziecko? Nastolatka? *Zawsze?*

- Zawsze. Tak, myślę, że od zawsze - przyznała Gwen. Zabrzmiało to szczerze. - Zawsze o tym marzyłam. Zawsze to sobie wyobrażałam. Z biegiem lat pragnienie stawało się coraz silniejsze. I teraz je spełniłam.

Uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

Przerażonej Leslie przemknęło przez myśl: Ona była niczym bomba zegarowa. Przez wszystkie te lata. I nikt z nas tego nie zauważył.

## 18.

Jennifer już po raz trzeci wybrała numer telefonu Fiony Barnes w Scarborough, lecz znów włączyła się automatyczna sekretarka.

- Nie ma jej! - powiedziała zrezygnowana.

Colin, prowadząc samochód z najwyższą dozwoloną na tej drodze prędkością, pędził w kierunku miejscowości, z której wyruszyli kilka godzin wcześniej. - I jesteś pewna, że nie masz numeru komórki Leslie Cramer? - zapytał ponownie.

- Tak, na pewno. Niestety. - Jennifer wiedziała, że w głębi ducha Colin uznał ją za szaloną. Nie pojmował, co się właściwie dzieje.

- Czemu zamartwiasz się o Dave'a? - dopytywał się zupełnie skołowany.

- Obawiam się, że Gwen wpadnie w szal, jeśli on z nią zerwie. Ona się z tym nie pogodzi - wyjaśniła Jennifer.

Colin nie widział w tym wielkiego problemu. - Na Boga, Dave Tanner jest wysoki i silny. Czego się obawiasz? Że Gwen wydrapie mu oczy? Przecież zdoła się obronić!

- Mam niedorzeczne przeczucie. Zupełnie niedorzeczne, Colin. To, że nikt na farmie nie podchodzi do telefonu... wydaje mi się dziwne. Chciałabym... chciałabym koniecznie to sprawdzić!

Colin, choć jednoznacznie uznał, że jego żona zaczyna popadać w histerię, zaproponował, żeby zadzwonić do Leslie. - Może będzie tak miła i pojedzie na farmę, zatroszczy się o Gwen. Albo o Dave'a Tannera - jeśli on rzeczywiście potrzebuje ochrony. - Leslie jednak była widocznie poza domem.

- Jadę do Staintondale - oznajmiła w końcu Jennifer, biorąc z kuchennego stołu kluczyki do samochodu. - Inaczej nie zaznam spokoju. Możesz mnie uznać za wariatkę, Colin, ale pojedę tam!

- To przecież prawie półtorej godziny jazdy! Dopiero co wróciliśmy. Istotnie uważam ten pomysł za nieco zwariowany, Jennifer!

Narzuciła kurtkę i ruszyła w kierunku drzwi. Przez całe lata wzbraniała się usiąść za kierownicą, teraz jednak rzeczywiście była zdecydowana to uczynić. Klnąc w duchu, Colin ruszył za nią, przed garażem wyrwał jej kluczyki z ręki.

- Okay. Ale ja poprowadzę. Nie robiłaś tego od lat. Co się dzieje, Jennifer, na litość boską?

Nie odpowiedziała. W świetle przydomowej latarni dostrzegł jednak, że naprawdę dzieje się z nią coś niedobrego. Wyraźnie się czymś martwiła. Nie po raz pierwszy Colin zastanawiał się, ile jeszcze tajemnic skrywa przed nim jego własna żona.

- Skoro tak się martwisz o tego Tannera - odezwał się - może powinnaś zadzwonić na policję. Zamiast gnać nas po nocy i pozbawiać snu!

- Nie prosiłam, żebyś ze mną jechał!

- Nie mógłbym pozwolić, abyś pojechała sama w tym stanie. Jennifer, czego ty się właściwie boisz?

Nie spojrzała na niego, przywarła policzkiem do szyby. - Sama tego dokładnie nie wiem, Colin. Taka jest prawda. Wiem tylko, że Gwen jest zdolna działać impulsywnie. Jeśli Dave ją rzuci, może stracić nad sobą panowanie.

- Co dokładnie masz w tym przypadku na myśli?

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Jennifer! Co masz na myśli, mówiąc o impulsywnej reakcji? - powtórzył z naciskiem.

Sprawiała wrażenie, że zмага się sama z sobą. - Ona jest pod straszliwą presją - odparła w końcu. - Zzera ją nienawiść i rozpacz. Nie wiem, czy zdoła znieść tę porażkę.

- Nienawiść? Gwen?

Odwróciła się twarzą do niego. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem, po czym znów skupił się na pogrążonej w mroku drodze. Jej duże oczy wypełniał lęk.

- Nie mogę zadzwonić na policję - powiedziała - bo tym samym zwróciłabym ich uwagę na Gwen i wpędziłabym ją w tarapaty, z którymi pewnie by sobie nie poradziła. Wiem jednak, że Gwen już od lat nie może ścierpieć swego życia i postrzega siebie jako osobę, w której skupiło się całe nieszczęście świata. Jest wściekła z tego powodu. Nie powiedziała mi tego wprost, ale zdołałam to wyczuć. Ja to po prostu wiem, Colin.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co ty wygadujesz?

- Tak. Ale to wcale nie oznacza, że ona zabiła Fionę.

- A jednak tego nie wyklucasz?

Jennifer milczała.

Colin zdjął jedną rękę z kierownicy i przetarł nią czoło. Jego skóra była w dotyku zimna i wilgotna. - Alibi - odezwał się - to cholerne fałszywe alibi. Nie siebie chciałaś chronić. Chciałaś chronić ją. Nabrałaś podejrzeń i zamiast powiadomić o tym policję, zatroszczyłaś się o to, żeby Gwen możliwie szybko zeszła z linii ognia. To szaleństwo, Jennifer. To istne szaleństwo.

- Nie powinna cierpieć jeszcze bardziej.

- Ona być może zabiła człowieka!

- Ale tego nie wiemy!

- Powinna to ustalić policja. Ty zaś miałaś obowiązek powiedzieć wszystko, co wiesz. Wpadniemy w poważne tarapaty. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Zamiast odpowiedzieć, zapytała: - Możesz jechać szybciej?

- Musimy zadzwonić na policję, Jennifer. Choćby i teraz.

- Nie.



Z głośnym przekleństwem na ustach Colin wcisnął pedał gazu. Było mu zupełnie obojętne, czy przekracza dozwoloną prędkość.

19.

- Twój ojciec umrze, jeśli zaraz nie otrzyma pomocy - powiedziała Leslie. Prawie nie mogła już ustać na nogach. Nie wiedziała, ile czasu upłynęło. Czuła, że Gwen nie potrafi poradzić sobie z sytuacją, do której sama doprowadziła. Mijały minuty, a wraz z nimi malały szanse Chada na przeżycie. Podobnie jak Dave'a Tannera. Ona zaś nic nie mogła zrobić. Musiała stać naprzeciw tej wariatki z nadzieją, że ta nie wpadnie w popłoch i nie naciśnie spustu.

Gwen wzruszyła ramionami. - Niech umrze. O to właśnie chodzi. Martwa Fiona, martwy Chad. Zniszczył moje życie, a ona mu w tym pomogła. Zresztą, oboje mają na sumieniu moją matkę. Rozchorowała się dlatego, że Fiona nie chciała zostawić ojca w spokoju, on zaś nie potrafił trzymać jej na dystans. A może sądzisz, że świetnie się bawiła, gdy twoja babka dzień w dzień przychodziła na farmę? Nawet gotowała dla ojca. Opiekowała się nim, kiedy był chory. Dzielili z nim troski i zmartwienia. Czasem oboje zachowywali się tak, jakby moja matka w ogóle nie istniała. I ja także. Nie istniałyśmy. Dlatego mama dostała raka. A ja... - Nie dokończyła.

- A ciebie dopadła choroba duszy - stwierdziła Leslie. Ważyła każde wypowiedane słowo. - Potrafię to zrozumieć. Strasznie mi przykro, że na to nie zważałam, że nie dostrzegałam twojego położenia. Miałaś trudne dzieciństwo i młodość, Gwen. Ale dlaczego nie wyjechałaś? Później? Mając osiemnaście lat? Dlaczego tu zostałaś?

- Chciałam się stąd wyrwać. Myślisz, że nie próbowałam? Sądzisz pewnie, że czytuję tylko te głupie romansidła i oddaję się marzeniom. Zamiast tego...

- Tak?

- Odpowiedziałam chyba na ponad setkę ogłoszeń. Sama już nie wiem, z iloma mężczyznami się spotkałam. Od kilku lat także przez Internet. Znam każdy portal matrymonialny. Znam każdy system. Spędzałam przed komputerem po kilka godzin każdego dnia. I mnóstwo wieczorów na randkach z facetami.

Leslie nigdy by nie przypuszczała, z czasem jednak przestało ją cokolwiek dziwić. - Nie było wśród nich tego właściwego - domyśliła się dość ociężale.

Gwen zaśmiała się, zabrzmiało to dość przeraźliwie. - Niepowtarzalna ta nasza Leslie! Zawsze znajduje najwytworniejsze słowo dla największego gówna! *Nie było wśród nich tego właściwego...* Ładnie to sformułowałaś! Dzięki za takt! Nie, tego właściwego wśród nich nie było. Tego właściwego, który by zechciał kogoś takiego jak ja. Straszliwa prawda jest taka: nigdy nie doszło do drugiej randki. Spotykali się ze mną, mężczyli przez cały wieczór, może i płacili za kolację, na którą mnie zapraszali, ale potem się ulatniali. Czując ulgę, że mają to już za sobą. I nigdy więcej się nie odzywali. Nie odpisywali nawet na moje e-maile. Nie mówiąc już o tym, by próbowali ponownie się ze mną spotkać.

- Bardzo mi przykro.

- Tak, to smutne, prawda? Biedna, pożałowania godna Gwen! Ale jeszcze lepsze były wieczory, podczas których prowadzili ze mną te dłużące się rozmowy. Wiesz, przez co musiałam przechodzić? Wyobraź sobie, że siedzisz w restauracji. Jesteś zdenerwowana. Czekasz na mężczyznę, który być może - *być może!*

- okaże się Mr Right. Wystroiłaś się. Wiesz, że nie grzeszysz urodą i nie potrafisz ubrać się sztywnie. Ale dołożyłaś wszelkich starań. Drżysz z przejęcia. I wtedy otwierają się drzwi. Facet, który przez nie wchodzi, wygląda nieźle. Nie jest też niesympatyczny. Wiesz, że to on. Mężczyzna, z którym od kilku tygodni spotykasz się w Internecie. Powoli nabierasz w tym wprawy, rozumiesz? Nie potrzeba żadnych znaków rozpoznawczych, czerwonej róży albo konkretnej gazety pod pachą czy czegoś w tym rodzaju. I tak go zauważysz. On ciebie również. Jego wzrok wędruje po sali i zatrzymuje się na tobie. Poznaje ciebie, tak jak ty poznajesz jego. A wtedy spostrzegasz jego przerażenie. Widzisz, że absolutnie nie jesteś tym, czego się spodziewał. Że z każdą upływającą sekundą ogarnia go coraz większy strach na myśl o tym, że będzie musiał spędzić z tobą ten wieczór i jeszcze za to zapłacić. Błyskawicznie uświadamiasz sobie coś jeszcze: że nie zachowa na tyle przyzwoitości, żeby ten wieczór przetrzymać, a potem w jakiś sposób wyplątać się z romansu.

Leslie domyśliła się dalszego ciągu. - Zachowuje się tak, jakby zmylił drogę, i znika.

- Uroczą sytuacją, prawda? - odrzekła Gwen. - Powiedziałaś wcześniej kelnerowi, że czekasz na kogoś. A teraz musisz mu jakoś wyjaśnić, że twoje spotkanie nie doszło do skutku. Płacisz za szklankę wody, przy której spędziłaś cały ten czas, wstajesz i wychodzisz. Czujesz na sobie kilka litościwych spojrzeń personelu, który zrozumiał sytuację i żał mu ciebie. Wleczesz się do domu. Upokorzona. Odrzucona. Poniżona. I rośnie w tobie nienawiść. Staje się silniejsza niż wszystko inne. W którymś momencie staje się silniejsza nawet od bólu. Nadchodzi chwila, gdy ogarnia cię

uczucie, że składasz się wyłącznie z nienawiści. I myślisz, że eksplodujesz, jeśli nic się nie zmieni.

Leslie rozumiała. Rozumiała, co nagromadziło się w Gwen. Wiedziała, że nienawiść kryjąca się przez lata za gładką fasadą wesołości mogła się przemienić w prawdziwy huragan, nad którym nie sposób zapanować. A jednak musiała zapytać o ukrytą logikę, jaką Gwen zdawała się kierować i rościć sobie do niej prawo.

Niezbyt rozsądne wydawało się zgłaszanie wątpliwości wobec chorej psychicznie kobiety trzymającej w dłoni rewolwer, uczyniła to jednak, gdyż instynkt podpowiadał jej, że musi się wystrzegać tylko jednego: nie wolno jej przerwać rozmowy.

- Dwie kwestie, Gwen - powiedziała - nie dają mi spokoju. Po pierwsze, dlaczego winą za wszystko obarczasz Fionę i Chada? Po drugie, dlaczego nigdy nie spróbowałaś znaleźć innego sposobu, żeby zmienić swe życie, jak tylko usiłując poznać jakiegoś idealnego mężczyznę? Dlaczego nie pomyślałaś o wykształceniu? Zdobyć jakiegoś zawodu? O własnych pieniądzach, niezależności? Tędy wiodła droga. Tylko tędy.

Gwen spojrzała na nią ze zdumieniem. - Nigdy bym tego nie osiągnęła - odparła, nie mogąc ukryć zaskoczenia, że Leslie poruszyła te sprawy. Była niezmiernie zdziwiona jej słowami i Leslie pojęła w mig: zwięzłe wyjaśnienie Gwen, że jest inteligentna i zdolna, że jak niemal każdy człowiek potrafiłaby wyuczyć się zawodu i pójść własną drogą, byłoby niemożliwe. Przypuszczalnie nie udałooby się to nawet wówczas, gdyby miała do dyspozycji miesiąc. Byłby tu potrzebny bardzo dobrze wykształcony psycholog. Mało tego, trzeba by przeanalizować kilkadziesiąt lat życia Gwen, poczynając od najwcześniejszego dzieciństwa, a i tak nie wiadomo, czy cokolwiek by to dało.

- Ach, Gwen - rzekła cichym głosem. Nie upierała się przy odpowiedzi na drugie pytanie, bo wyjaśnienie tej kwestii i bez tego rysowało się jasno i wyraźnie. Nienawiść do Fiony i Chada, obarczenie ich winą ostatecznie doprowadziło do morderstwa. Powód krył się w zwątpieniu we własne siły, które nękało Gwen, w jej lęku przed życiem, w niezdolności do przyjęcia odpowiedzialności za siebie i własną przyszłość. Jej życie naznaczył ból. Niepewność, wieczna uległość. Doświadczenie braku akceptacji, ciągłego odrzucenia. Była na tyle mądra, by zrozumieć, że koleje jej losu wytyczone zostały w dzieciństwie. Ojciec, który okazywał jej wyłącznie obojętność. Fiona całymi latami uparcie rujnująca małżeństwo jej rodziców. Śmierć matki, którą zapewne całkiem słusznie wiązała z niespełnionym, a jednak ciągnącym się bez końca romansiem Chada i Fiony. Przypisywanie im przez Gwen winy nie było wytworem chorego umysłu, wydawało się Leslie logiczne i trafne. Chore okazały się konsekwencje, jakie wyciągnęła stąd Gwen. Dla człowieka jej pokroju, który przez całe życie czuł się przyparty do muru, stanowiły one jedyne, gorzkie, nieuniknione rozwiązanie.

Gwen nie potrafiła już dłużej tego znieść. I zaczęła się bronić.

- Jak już mówiłam, spędzałam długie godziny przed komputerem - powiedziała Gwen. - Natrafiłam wtedy na e-maile, które twoja babka wysłała do mojego ojca. Nie mogłam uwierzyć w to, co w nich wyczytałam. A jednak historia tego biednego Briana Somerville'a tak dobrze pasowała do nich obojga. Pasowała do autyzmu mojego ojca. I do chorobliwego niemal egoizmu Fiony. Kto nie potrafił się bronić, temu rujnowali życie. Tacy właśnie byli. Zawsze tacy byli.

- A ty pomyślałaś, że mogłabyś wykorzystać Briana i Semirę dla własnych celów - stwierdziła Leslie nie bez goryczy. Za szczególny tragizm tych dwojga ludzi, którzy, każde na swój sposób, tak wiele musieli w życiu wycierpieć, uznała to, że w końcu stali się narzędziem, że zostali wykorzystani przez chorą psychicznie morderczynię.

- Okazja nadarzyła się sama - odparła Gwen.

- Czy od samego początku zamierzałaś zrzucić całą winę na Dave'a? - spytała Leslie. W każdym razie Dave, jak sądziła, robił wszystko, żeby go uznano za podejrzanego. Ogarnięty paniką, że może zostać obciążony winą, wikłał się w kolejne kłamstwa. Najpierw przemilczał fakt, że w wieczór morderstwa opuścił ponownie swoje mieszkanie, a kiedy prawda wyszła na jaw, pogрузzył się jeszcze bardziej, wymyślając historię miłosnej nocy ze swą byłą dziewczyną. W gruncie rzeczy Gwen niewiele musiała zrobić, żeby ukazać go w nad wyraz wątpliwym świetle.

Gwen energicznie potrząsnęła głową. - Nie. Dopiero wówczas, gdy zauważyłam, że on... nie traktuje związku ze mną poważnie. Nie jestem głupia, wiesz przecież. Założę się, że wszyscy się zastanawialiście, jak mogłam być na tyle zuchwała, by sądzić, że taki facet jak Dave zainteresował się mną na serio. Pewnie jedno z was namawiało drugiego, by ktoś wreszcie otworzył mi oczy. Co za biedne, naiwne ze mnie stworzenie! Pewnie martwiliście się i zachodziliście w głowę, co będzie, kiedy pewnego dnia to sobie uświadomię... Szczerze mówiąc, Leslie, nie jestem ani w połowie taką kretynką, za jaką zawsze mnie uważaliście. Od samego początku było dla mnie jasne, że Dave nie jest najlepszym kandydatem dla takiej kobiety jak ja, dlatego bacznie go obserwowałam. Nie potrzebowałabym twojej babki, żeby dojść do

przekonania, że pewnie upatrzył sobie mój majątek. Z czasem pojawiała się coraz więcej dowodów na potwierdzenie tej tezy. To było bolesne. Bo wiesz, mimo całego sceptycyzmu, mimo wszelkich moich zastrzeżeń, ja naprawdę się w nim zakochałam. Przeżyłam z nim wspaniały okres. Jego uprzejmość, jego starania, choćby nieszczerze - to było coś niezwykłego. Niczego takiego w całym życiu nie doświadczyłam. To było urocze. Chwile, którymi się rozkoszowałam... Były jak ze snu.

Jej głos przepełniał smutek. W tej chwili dała o sobie znać dawna Gwen - zawsze nieco melancholijna, spokojna Gwen.

Nie spostrzeżliśmy, że ona jest szalona, pomyślała Leslie. Ale dlaczego nie zauważyliśmy przynajmniej tego, że jest taka smutna?

- Czemu do niego strzeliłaś? - zapytała. - To przekreśliło twoje plany, żeby zrzucić na niego całą winę za zabójstwo Fiony i Chada.

- Nie mogłam postąpić inaczej - odrzekła Gwen. - Siedziałam razem z nim w pokoju dziennym, zegnałam się z nim, czułam, jak bardzo pragnie uciec... że wytrwał przez te godziny jedynie z czystej przyzwoitości, w rzeczywistości jednak aż dygotał, gdyż nie mógł już dłużej znieść mojej obecności... Chciał odejść, tylko odejść... To było takie przykre. Tak strasznie bolesne. Nie mogłam pozwolić mu odejść. Nie zniosłabym tego.

- Namówiłaś go, żeby poszedł z tobą na plażę?

- Powiedziałam, że muszę wyjść. Prosiłam, by mi towarzyszył. Opierał się, lecz sądzę, że zrobiło mu się mnie żal. Więc poszedł. Przypuszczam, że w gruncie rzeczy chodziło mu jedynie o to, żeby całą sprawę zakończyć w sposób przyzwoity. To dlatego nie zostawił mnie samej po zerwaniu zaręczyn. Pokornie poszedł ze mną nad zatokę. Zabrałam broń. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, co zrobię, wiedziałam tylko, że nie pozwolę mu odejść.

- Jesteś pewna, że on jeszcze żyje? - spytała Leslie.

- Nie mam pojęcia. Żył, kiedy stamtąd odchodziłam. Albo się wykrwawi, albo zabierze go przyływ... nie wiem. Wszystko jedno. Teraz to i tak bez znaczenia, prawda?

W jej głosie pobrzmiwał ton rezygnacji. Leslie od razu zareagowała. - Wcale nie wszystko jedno, Gwen - powiedziała z naciskiem. - Twój ojciec jeszcze żyje. Być może również Dave. Sprowadźmy lekarza. Proszę. Możesz ich jeszcze uratować. Wówczas... nie byłoby dwóch morderstw, które byś...

Gwen przerwała jej rozgniewana. - Nie, zamiast tego jedno morderstwo Fiony i dwie próby morderstwa. Czy sądzisz, że lepiej na tym wyjdę? Wierzysz, że wtedy lepiej mi będzie za kratkami? Bzdura, Leslie. Dobrze o tym wiesz!

Leslie zrozumiała, że Gwen targają w tej chwili dziwne sprzeczności. Z jednej strony potrafiła dokładnie ocenić sytuację, wiedziała, że trafi do więzienia, i była zdecydowana temu zapobiec. Zarazem jednak sprawiała wrażenie, że nie zdaje sobie sprawy, w jak beznadziejnym położeniu się znalazła. Czy ona naprawdę sądzi, że wyjdzie z tego obronną ręką? Zabije własnego ojca, Dave'a, Leslie, po czym będzie prowadzić normalne życie, jakby nic się nie stało, nienagabywana przez podejrzliwą policję?

Również w działaniu uwidaczniały się jej dwa oblicza. Z największą obojętnością rozpowszechniła wśród osób z najbliższego otoczenia historię Briana Somerville'a, by ujawnić motyw zabójstwa Chada i Fiony. W którymś momencie musiała ona dotrzeć także do policji. W dobrze przemyślany sposób usiłowała też pogrążyć podejrzanego Dave'a. A wszystko po to, żeby nagle zniweczyć własne plany, strzelając do Dave'a z rewolweru.



Owładnięta emocjami, nie potrafiła zaakceptować, nie potrafiła znieść jego pożegnalnych słów.

Działała w sposób bardziej wyrafinowany, mądrzejszy, bardziej przewidujący, niż można by się po niej spodziewać, nie była jednak wystarczająco zimna i niewzruszona. Pozostała nieobliczalna dla innych - i dla samej siebie.

Wszystko to sprawiło - jak stwierdziła Leslie, drżąc w głębi serca ze strachu - że stała się okrutną, nad wyraz niebezpieczną przeciwniczką. Nie sposób było przewidzieć, co się za chwilę wydarzy.

- Zostawiłam Dave'a leżącego na ziemi i wróciłam na farmę - oświadczyła Gwen zupełnie obojętnym głosem, jakby opowiadała o jakimś nieistotnym zdarzeniu. - Zauważyłam cię, jak kręciłaś się tu z latarką w dłoni. Potem poszłaś w kierunku zatoki, pomyślałam jednak: nieważne, nawet jeśli znajdziesz Dave'a, będziesz musiała tu wrócić. Nigdzie nie złapiesz tu zasięgu, co jak widać, ma też swoje zalety. Mój ojciec dzielnie zamknął drzwi, na twoje polecenie jak miemam, otworzył jednak, kiedy usłyszał mój głos. No cóż, kiedy go unieszkodliwiłam, właściwie wystarczyło już tylko na ciebie poczekać. Siedziałam na górze na schodach. Klucz do gabinetu przezornie wyjęłam z zamka. Można było przewidzieć, że zechcesz stamtąd zadzwonić.

- Bardzo sprytnie - przyznała Leslie. - Rzeczywiście przewidziałaś każdy krok.

- Owszem, ta głupia, naiwna, mała Gwen. Nie docenialiście mnie. Przez całe trzydzieści lat. Wszyscy powinniście byli baczniej mnie obserwować!

Leslie zastanawiała się, co mogłaby na to odpowiedzieć. Uznać winę, która choć prawdziwa, nigdy jednak nie zdoła usprawiedliwić

postępowania Gwen? I tak miała wrażenie, że na nic się to zda.

Gwen oszalała. Nie chodziło jej już o to, żeby zyskać zadośćuczynienie, znaleźć zrozumienie. Zabrnęła w ślepią uliczkę. Z jej opacznego punktu widzenia istniało tylko jedno wyjście, i przed nim właśnie drżała Leslie.

Wydawało się, że Gwen zaprzętają podobne dylematy. Powiedziała w zamyśleniu: - Co ja teraz z tobą zrobię, Leslie? Nie możemy przecież tu stać i rozmawiać całą noc. I tak nigdy nie miałyśmy sobie wiele do powiedzenia, dziś jest podobnie.

- Jestem umówiona z inspektorem Almond - odezwała się Leslie. - Powinam być u niej już parę godzin temu. Będzie zachodzić w głowę. Zacznie mnie szukać.

Gwen się uśmiechnęła. Był to przerażający, niemal złośliwy uśmiech.

- A zatem czas, żebym wreszcie coś z tobą zrobiła - odparła.

## 20.

Valerie Almond nie mogła się pozbyć fatalnego przeczucia, które narastało z każdą minutą mijającego wieczoru. Długo czekała w pizzerii, parokrotnie próbowała skontaktować się z Leslie telefonicznie, lecz jej komórka nie odpowiadała. W końcu wróciła do domu, ale i tam nie zaznała spokoju. Kilka razy zadzwoniła do mieszkania Fiony Barnes, nikt niestety nie odbierał. Około pół do dziesiątej nie wytrzymała dłużej. Wsiadła do samochodu i pojechała na Prince-of-Wales-Terrace. Co prawda uznała za mało prawdopodobne, że zastanie tam Leslie, nie znalazła bowiem powodu, dla którego nie mogłaby ona podejść do telefonu, niemniej jednak koniecznie chciała się upewnić.

Może to przesadna chęć działania, pomyślała, parkując samochód w wolnym miejscu. Czuję się bezradna i dlatego

postępuję pochopnie. Bo lepsze to niż bezczynność.

Wysiadła. Była po prostu zaniepokojona tym, że Leslie nie daje znaku życia. Przecież chciała jej powiedzieć coś istotnego na temat morderstwa babki. Kiedy do niej zadzwoniła, był zdenerwowana, spięta. Miała dotrzeć do pizzerii w ciągu dwudziestu minut. Dobrze знаła Scarborough, tutaj dorastała. Wykluczone, żeby zablądziła.

Dlaczego w takim razie nie zadzwoniła?

Coś tu nie gra, pomyślała Valerie.

Nadal nie natrafiła na ślad Dave'a Tannera. A teraz wydawało się, że zaginęła również Leslie.

Przed drzwiami wejściowymi do ogromnego apartamentowca stał jakiś mężczyzna. Valerie zastanawiała się, dlaczego włóczy się tu o tej porze. Nie sprawiał jednak wrażenia człowieka, który miałby złe zamiary. Już raczej kogoś bezradnego.

Przeszła obok niego i nacisnęła dzwonek obok wywieszki z nazwiskiem Fiony Barnes.

- Nikt nie odpowiada - odezwał się mężczyzna za jej plecami.

Valerie odwróciła się. - Nie? Czy pan również chce się dostać do mieszkania zmarłej Mrs Barnes?

- Próbowałem trzy razy, ale... - Mężczyzna rozłożył ręce. Następnie przedstawił się: - Doktor Stephen Cramer. Chciałem się spotkać z moją żoną... z moją byłą żoną, Leslie Cramer. Ale wygląda na to, że jej nie ma. Na górze nie pali się żadne światło.

- Inspektor Valerie Almond - odrzekła Valerie, pokazując legitymację, którą on obrzucił przelotnym spojrzeniem. - Ja też do Mrs Cramer.

Sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Rozejrzałem się wokół - przyznał - i nigdzie nie widzę jej samochodu.

- Nie ma pan kluczy do mieszkania?

- Nie. Mieszkam w Crown Spa Hotel, niedaleko stąd. Nie widziałem się z Leslie od dwóch dni.

- Czy to coś niezwykłego?

Zawahał się. - Cóż... ona wie, gdzie mnie szukać. Ale być może nie widzi powodu, żeby mnie odwiedzić. Tylko gdzie ona się teraz podziewa? O tej porze?

Valerie odniosła wrażenie, że były mąż Leslie wciąż zadręcza się rozwodem. Prawdopodobnie od dwóch dni przebiera w hotelu nogami, czekając z nadzieją, że jego była żona zjawi się u niego - co jak widać, nie przeszło jej nawet przez myśl. W końcu nie wytrzymał dłużej i zaczął ją szpiegować. Fakt, że nie siedziała grzecznie w domu, ostatecznie go dobił.

Biedaczek, pomyślała Valerie.

Naraz chyba sobie uzmysłowił, że to całkiem nietypowa sytuacja, by późnym wieczorem przed drzwiami mieszkania swojej eks spotkać wysokiej rangi policjantkę, która najwyraźniej chciała z nią omówić coś, co nie mogło poczekać rana. - Czy coś się stało? - spytał zaniepokojony.

- Czy wie pan, gdzie przebywa Dave Tanner? - zapytała Valerie.

Stephen zmarszczył czoło. - Dave Tanner? Narzeczony Gwen Beckett, zgadza się? Nie, nie mam pojęcia. Dlaczego pani pyta?

- Chciałabym z nim pomówić - odparła wymijająco Valerie.

- I ma pani nadzieję znaleźć go tutaj?

- Właściwie to nie. Nie, martwię się o Leslie Cramer. Zadzwoiła do mnie około siódmej i chciała się ze mną spotkać, żeby mi powiedzieć coś ważnego w związku z zabójstwem jej babki. Umówiłyśmy się w pizzerii. Nie pojawiła się tam jednak. Nie zadzwoniła już więcej, sama też nie odbiera. Wydaje mi się to trochę dziwne, dlatego tu przyjechałam.

- To istotnie bardzo dziwne - odparł Stephen. - Skąd dzwoniła?

- Była w samochodzie. Gdzieś niedaleko Staintondale. Mówiła, że wraca właśnie z Robin Hood's Bay. Wie pan może, co tam porabiała?

- Nie. Jak już wspomniałem... niestety, przez ostatnie dni nie mieliśmy z sobą kontaktu.

- W tym czasie coś się musiało wydarzyć... - mruknęła Valerie.

- Może pojechała na farmę Beckettów? Skoro była w pobliżu.

- Po co miałyby to robić? Tak czy owak spróbuję tam zadzwonić. Ma pan może numer?

Stephen zajrzał do spisu telefonów w swojej komórce. Ale u Beckettów również nikt nie odpowiadał.

- To więcej niż dziwne - oznajmił Stephen. - O ile mi wiadomo, stary Chad Beckett praktycznie nie rusza się z domu! Czemu go tam nie ma? Zastanawiam się... - Zawahał się.

- Tak? - zapytała Valerie.

- Leslie nie wspominała pani o tych listach? Które Fiona Barnes pisała do Chada Becketta?

- Nie. Co to za listy?

- E-maile - odparł niepewnie Stephen. - Gwen chyba się na nie natknęła i dała do przeczytania temu małżeństwu... tym wczasowiczom. Potem dotarły do rąk Leslie. Nie wiem, o czym dokładnie traktują, Leslie mówiła mi jednak, że przed laty Chad i Fiona najwyraźniej w coś się uwikłali... że w ich życiu jest jakaś mroczna historia, o której nikt dotąd nie miał pojęcia. Była tym zaniepokojona.

Valerie wlepiła w niego wzrok, łapiąc przy tym powietrze. - To niemożliwe! To nie może być prawdą! Dlaczego ja nic o tym nie wiem?

Stephen wydawał się jeszcze bardziej zaniepokojony. - Nalegałem, żeby Leslie przekazała pani te papiery. Byłem przekonany, że pod żadnym pozorem nie powinna ich zatrzymać dla siebie. Ale ona... wahała się. Fiona... jej babka... jest tam ukazana w niekorzystnym świetle. Leslie miała skrupuły, nie chciała udostępnić swej wiedzy innym ludziom.

- Jej babka została *zamordowana*, na litość boską. Wszystko, absolutnie wszystko, co w jakikolwiek sposób wiąże się z tą starszą kobietą, powinno być do mnie dotrzeć! - krzyknęła Valerie. - Nie do wiary! Być może...

- Tak? - spytał Stephen.

- Również Chadowi Beckettowi może grozić niebezpieczeństwo. Bądź co bądź chodzi tu o jakieś wzajemne powiązania, jeśli dobrze zrozumiałam. - Wyjęła z torebki kluczyki do samochodu. - Natychmiast ruszam na farmę Beckettów.

- Czy mogę jechać z panią? - poprosił Stephen. A kiedy się zawahała, dodał: - W przeciwnym razie wezmę swój samochód, pani inspektor. Tak czy inaczej nie pozbędzie się mnie pani.

Valerie ustąpiła. - Okay. Pojedziemy razem. - Pobiegnęła do samochodu.

Stephen ruszył za nią.

Widział, że wsiadając do auta, Valerie rozmawiała przez telefon. Wzywała posiłki.

## 21.

Od razu zauważyli samochód Leslie zaparkowany na środku podwórza. Obok stał inny pojazd, Valerie rozpoznała w nim auto Brankleyów. W domu paliło się światło. Drzwi były otwarte na oścież.

Kiedy Valerie zatrzymała samochód, Stephen zerwał się z siedzenia pasażera i chciał wybiec, lecz funkcjonariuszka go powstrzymała.

- Nie. Pan zostanie tutaj. Kto wie, co tam się dzieje. Ja wejdę do środka.

Usłuchał, lecz kiedy tylko dotarła do drzwi domu, wybiegł za nią.

Valerie weszła do jasno oświetlonej sieni. - Mr Beckett? Miss Beckett? Tu inspektor Almond. Gdzie jesteście?

Usłyszała męski głos. - W pokoju dziennym! Szybko!

Pobiegła w głąb korytarza. Kiedy stanęła w progu pokoju dziennego, ujrzała Chada Becketta leżącego bez ruchu na podłodze. Obok niego klęczał Colin Brankley, odgarniał mu z czoła rzadkie siwe włosy i powtarzał jego imię.

- Chad! Niech się pan ocknie, Chad! Co tu się stało?

- Mr Brankley - odezwała się Valerie.

Odwrócił się. - Znaleźliśmy go w tym stanie, pani inspektor. Leżał tutaj. Wydaje mi się, że ktoś do niego strzelał.

- Gdzie państwo byli przez ostatnie godziny? - zapytała Valerie, pochylając się nad Chadem. Błada jak płótno twarz i zupełny bezruch nie zwiastowały nic dobrego.

- Byliśmy w Leeds. Nagle, późnym popołudniem, Jennifer postanowiła wrócić do domu. Ale...

Nie dokończył. Nadszedł Stephen i odsunął go na bok. - Proszę mnie do niego dopuścić. Jestem lekarzem.

Szukał tętna.

- Nie mieliście pozwolenia na wyjazd - powiedziała ostro Valerie.

Stephen uniósł głowę. - Nie żyje - oznajmił. - Wykrwawił się. Wygląda to na ranę postrzałową.

- Chryste - wyszeptał wstrząśnięty Colin.

- Niczego nie wolno tu ruszać - napomniała Valerie.

Stephen wstał. Valerie zauważyła, że jest zrozpaczony. – Gdzie Leslie? - warknął do Colina.

- Nie ma jej tu. Znaleźliśmy tylko Chada. W całym domu nie ma nikogo innego - odparł Colin, po czym zmarszczył czoło. - Kim pan jest?

- Stephen Cramer. Były mąż Leslie. Jej samochód stoi przed domem. Ona musi gdzieś tu być.

- Gdzie pańska żona, Mr Brankley? - spytała Valerie.

Colin rozejrzał się dookoła zmieszany. - Dopiero tu była. Może ponownie przeszukuje dom.

- Panowie, zostaniecie tutaj - poleciła Valerie. Wyciągnęła broń, odbezpieczyła ją. - Idę na górę.

- W całym domu nie ma nikogo - zapewnił Colin - sprawdziliśmy każdy pokój.

- Wolę się upewnić - odparła Valerie.

Kiedy wyszła, Colin i Stephen spojrzeli na siebie ponad ciałem martwego Chada.

- Co się tu dzieje? - zapytał cicho Stephen. - Fiona została zamordowana. Teraz Chad. Na Boga, cóż za szaleniec tu grasuje?

- Nie wiem - odrzekł Colin.

- Chodzi o tę historię, prawda? Tę historię z życia Fiony i Chada. Oboje popełnili jakieś cholerne głupstwo, które widocznie tak bardzo kogoś wnerwiło, że zastrzelił ich oboje.

- Zna pan tę historię? - zapytał Colin.



Stephen potrząsnął głową. - Wiem tylko tyle, że w przeszłości oboje nawarzyli sobie piwa. Tyle wyjawiała mi Leslie.

Colin nie odpowiedział.

Valerie wróciła do pokoju dziennego. - Nikogo nie ma.

- Ale gdzieś tu musi być Jennifer! - stwierdził przerażony Colin.

Zamierzał wyjść na korytarz, lecz Valerie go powstrzymała.

- Mr Brankley, kto przebywał na farmie w chwili, gdy pan i pańska żona wyjeżdżaliście?

- Chad - odparł Colin. - Oraz Gwen. I Dave Tanner.

Valerie syknęła przez zęby. - Tanner?

- Czekał tu na Gwen. Chciał jej powiedzieć, że z nią zrywa. Uznałem to za rozsądne. Jednakże z tego właśnie powodu Jennifer chciała tu wrócić, skoro tylko dotarliśmy do Leeds. Wpadła niemal w popłoch, kiedy opowiedziałem jej o zamiarach Tannera. Z początku sądziłem, że martwi się o Gwen. O to, że ona nie pogodzi się z rozstaniem. Potem jednak wyznała, że niepokoi się o Dave'a Tannera, a tego nie potrafiłem już pojąć.

- Wyjaśniła to?

- Nie. Pytałem, lecz odparła, że wytłumaczy mi to później. Była zdenerwowana jak nigdy dotąd. Przyjechaliśmy tutaj, znaleźliśmy leżącego na podłodze martwego Chada - z początku mieliśmy nadzieję, że jest tylko ciężko ranny. Zauważyliśmy samochód Leslie Cramer... Przeszukaliśmy wszystkie pomieszczenia, ale nigdzie nie było żywego ducha. A potem zjawiała się pani... - Bezradnie rozejrzał się wokół. - Gdzie jest Jennifer?

- Gdzie Leslie? - zapytał Stephen.

- Może Jennifer jest na dworze i myszkuje po stodołach - odezwała się Valerie. Starła się emanować spokojem, choć wszystko to wydawało jej się prawdziwym koszmarem. Gdzieś tu

kraży morderca, jego tożsamość pozostaje nieznana. Na podłodze leży martwy mężczyzna, kolejny mężczyzna oraz trzy kobiety zniknęli. Zapadła noc, okoliczności stawały się nieprzeniknione, dosłownie i w przenośni. Modliła się, żeby wreszcie zjawiły się posiłki, a ona do tego czasu zdołała zapanować nad wzburzeniem obu mężczyzn, którzy targani niepokojem, najchętniej rzuciliby się na poszukiwanie kobiet. Byłaby to dla Valerie istna tragedia, gdyby obaj na domiar złego przypadli teraz w ciemnościach.

- Jennifer dopiero co tu była - powtórzył Colin.

- Zostanie pan z Chadem - ponowiła Valerie swój rozkaz, wydany przed dziesięcioma minutami. Starła się, by jej głos zabrzmiał czysto i zdecydowanie, dzięki czemu przynajmniej na chwilę zmusi obu mężczyzn do posłuchu. - Rozejrzę się na zewnątrz.

- Kiedy zjawią się pani ludzie? - dopytywał się Stephen.

- Lada chwila - zapewniła Valerie.

Wiedziała, że rozsądniej byłoby poczekać, tak przynajmniej nakazywały procedury. Wyjście na zewnątrz w pojedynkę było wielce ryzykowne. Miała jednak świadomość, że nie zdołałaby zapanować nad Colinem i Stephenem, gdyby teraz usiedli razem w pokoju obok martwego Chada w oczekiwaniu na posiłki. Obaj mężczyźni w każdej chwili mogliby stracić cierpliwość i zacząć działać na własną rękę.

- Zaraz wracam - oznajmiła.

## 22.

Jennifer gnała przez mrok nocy. Dość dobrze radziła sobie w ciemności, bo często wychodziła z Calem i Wotanem na spacer wieczorami lub o wczesnym, pogrążonym jeszcze w mroku poranku. Mimo to raczej domyślała się właściwego kierunku, ledwie

dostrzegając zarys ścieżki. Chmury zasnuwające niebo przesłaniały blask księżyca i gwiazd, co pogarszało jeszcze sytuację. Na otwartym polu posuwała się jednak dość szybko naprzód. Wiedziała, że krytyczne chwile czekały ją po drugiej stronie wiszącego mostu. Zejście do wąwozu w takich warunkach, bez latarki, wydawało się istnym szaleństwem, jednakże Jennifer postanowiła na to nie zważać. Kiedy dotrze na miejsce, zdecyduje, jak sobie z tym poradzić.

Czuła przyspieszone bicie serca, kłuło ją w płucach. Była wysportowana, ale nie nawykła do tak szybkiego tempa, tym bardziej że część drogi wiodła pod górę. O dziwo, nie miała wątpliwości, że zmierza we właściwym kierunku. Znała Gwen. A Gwen zawsze ciągnęła ją nad zatokę.

Gwendolyn Beckett.

Czuła na sobie brzemień winy, ciążyła jej niczym kamień młyński, przygniatając serce i wyciskając łzy - gdyby tylko na łzy mogła sobie pozwolić. Jeśli się okaże, że to Gwen zostawia po sobie ów krwawy ślad, że to Gwen zatłukła Fionę i zastrzeliła swego ojca, ma coś wspólnego z zaginięciem Dave'a Tannera i Leslie, której samochód stał zaparkowany na podwórzu, wówczas wina spadnie na nią, Jennifer - a przynajmniej część winy.

Dlaczego milczała?

Przez cały ten czas nie żywiła jakiegoś konkretnego podejrzenia. Gdyby tak było, pewnie udałaby się na policję, z niejakim wahaniem, lecz jednak w pełnym przekonaniu o słuszności tego kroku. Jednakże w ciągu ostatnich dni wielokrotnie wydawało jej się, że podejrzewanie Gwen jest zupełnie nieuzasadnione. Gwen miałyby zabić starszą kobietę, którą znała całe życie, która w

pewnej mierze ją wychowała, która, obok ojca, stanowiła dla niej jedyny punkt odniesienia?

W końcu jednak pojawiły się te wydruki, które Gwen wręczyła jej na początku jesienno-urlopu. - Przeczytaj to, Jennifer, proszę. Są tu rzeczy... Sama nie wiem, co o tym sądzić... Nie mam pojęcia, co robić!

Po zamordowaniu Fiony Jennifer niemal z ulgą uchwyciła się myśli, że tu właśnie należy szukać rozwiązania zagadki. To drugie dziecko, które wtedy, w latach wojny, przybyło na farmę. Fiona i Chad zawinili, nawet jeśli w sposób nieumyślny, to jednak na tyle lekkomyślnie, że nie można im było owej winy całkiem darować.

Gwen opowiedziała jej również o Semirze Newton: - Poszperałam w Internecie. Semira Newton odnalazła wówczas Briana Somerville'a. Na zapomnianej przez Boga farmie. Na wpół żywego. Została zaskoczona przez właściciela farmy. Szaleńca. Stłukł ją tak, że została kaleką.

A później: - Ona wciąż żyje. Ta stara kobieta. W Robin Hood's Bay. Znalazłam ją w wykazie adresów. To musi być ona. Przecież nie ma aż tylu osób o tym nazwisku!

Przypadek wydawał się klarowny. Oczywiście Jennifer zaczęła w końcu przebiegiwać o powiadomieniu policji. Gwen omal nie wybuchnęła płaczem. - Znow wszystko wyjdzie na jaw. Minęło prawie czterdzieści lat, nikt już nie mówi o tej historii. Czy Fionę znowu trzeba obrzucać błotem? A mój ojciec... jest już starym człowiekiem, odczuwa bóle w nodze... mam mu teraz zrobić coś takiego?

Także Colin chciał bezzwłocznie poinformować o wszystkim Valerie Almond, lecz na prośbę Jennifer odstąpił od tego zamiaru - ze względu na Gwen. Przypuszczała, że w swojej bezradności

zwrócił się z tym do Leslie. Jeden zrzucił odpowiedzialność na drugiego, i nikt nie zrobił tego, co uczynić należało: natychmiast powiadomić policję. Uczucia Gwen wobec ojca i Fiony nie mogły być w takiej sytuacji rozstrzygające.

Ona zaś, Jennifer, przez cały czas myślała: Bez przesady, to nie Gwen. Gwen nie ma z tym nic wspólnego. Przecież wiedziałabym o tym!

Wszelako wątpliwości nigdy jej właściwie nie opuściły - co skłoniło ją do tego, by w pierwszych przerażających godzinach po odkryciu morderstwa zapewnić Gwen alibi na wypadek spotkania z policją.

Lepiej będzie od razu zagwarantować jej bezpieczeństwo, pomyślała wówczas, bądź co bądź miałyby motyw, zważywszy na słowa wypowiedziane owego wieczoru przez Fionę. Po prostu należy się na wszelki wypadek zabezpieczyć.

Jennifer przystanęła na chwilę, pochyliła się i podparła rękami obolałe boki.

Oddychaj głęboko, rozkazała sobie, inaczej zaraz będzie z tobą kiepsko.

Obejrzała się za siebie, popatrzyła w stronę farmy, nic jednak nie dostrzegła w mroku nocy. Colin chyba za nią nie szedł. Wykorzystała moment, kiedy klęczał przerażony obok Chada, powiedziała, że poszuka materiałów opatrunkowych. Tymczasem szybko i bezszelestnie wyszła z domu. Nigdy by jej nie pozwolił iść samej, chciałby pójść razem z nią albo domagałby się wyjaśnień. I co miałyby mu powiedzieć? Że intuicyjny strach, iż to Gwen może być morderczynią, od samego początku zagnieździł się w jej głowie niczym drobny, trujący cierni, że ten cierni przez ostatnie godziny pęczniał, sprawiając coraz większy ból, że tuż po przybyciu na

farmę trucizna rozeszła się po całym jej ciele, niemal odbierając dech? Że bała się o Dave'a Tannera i o Leslie Cramer, i nie chciała czekać, aż zjawi się policja, którą Colin z pewnością natychmiast wezwie. Zatrzeszczy się też o karetkę dla Chada. Ona w tej chwili nie była na farmie potrzebna.

Pobiegła dalej, próbując wykrzesać z siebie resztki sił.

Wiedziała, że była jedyną osobą, która zdołała przeniknąć fasadę pozorów, za jaką ukryła się Gwen Beckett, praktycznie już podczas pierwszego letniego urlopu, który spędzili z Colinem na farmie. Dostrzegła w niej nie tylko miłą, uprzejmą, nieco naiwną i pozbawioną polotu kobietę, która sprawiała wrażenie zadowolonej ze swego monotonnego, niemal zupełnie pozbawionego perspektyw życia. Źródłem radości było dla niej otoczenie. Wspaniałe, rozległe krajobraz dający poczucie wolności, morze w swych licznych zmieniających się barwach, niebo, tak nieogarnione i wysokie jak nigdzie indziej na świecie, dzikie strome wybrzeże oraz ukryta gdzieś między skałami zatoczka, do której często zachodziła. Ojciec, którego kochała i o którego się troszczyła. Zapuszczony, lecz przytulny dom. Życie z dala od świata. To, czego ludzie czasem poszukują, gdy przytłaczają ich stresy dnia codziennego, troski, pośpiech i kłopoty. Gwen to wszystko miała. Na pierwszy rzut oka ktoś mógłby jej nawet pozazdrościć.

Jennifer patrzyła jednak głębiej. Po części kierowała nią wrodzona empatia, która bywała dla niej dobrodziejstwem - albo przekleństwem. Często sama nie wiedziała, czy ma się z tego powodu cieszyć, czy może uzalać nad sobą. Dostrzegła złość, jaka targała sercem Gwen. Smutek. Bezimienny gniew. Ból. Zwątpienie. Widziała więdnące życie, które nigdy nie rozkwitło, widziała zrodzone stąd cierpienie, widziała niezliczone niewypłakane łzy

tłoczące się do oczu Gwen w obliczu niepojętej obojętności, jaka ją otaczała. Ukochany ojciec, który niczego nie zauważał, nic go bowiem nie obchodziło. Oraz Fiona, która nie potrafiła zostawić w spokoju tej skromnej rodziny. Gwen już dawno zdemaskowała obsesję, z jaką przyłgnęła do Chada Becketta, obsesję skrywaną pod płaszczykiem troskliwości. W gruncie rzeczy również Fiona wcale nie interesowała się Gwen. Jennifer dopuszczała nawet taką możliwość, że atak Fiony na Dave'a Tannera w wieczór zaręczynowy nie zrodził się z obawy, by związek z tym mężczyzną nie stał się dla Gwen nieszczęściem, lecz raczej z troski o to, co może się stać z Chadem, jeśli znacznie młodszy, świadomy swych celów człowiek przejmie naraz rządy na farmie. Nieważne, jak usilnie słyszała zapewnienia, Jennifer nigdy nie uwierzyła w słowa Fiony, że zależy jej na losie Gwen.

Czasem zastanawiała się nad tym, co się stanie, jeśli to wszystko znajdzie dla siebie ujście. Wszystko, co od lat, dziesiątków lat, tkwi i kryje się w Gwen. Cała jej złość, cała nienawiść... Co się stanie, jeśli wewnętrzny napór okaże się zbyt silny?

Na myśl o tym zawsze ogarniał ją strach.

Mimo to morderstwo było czymś tak niepojętym, tak bardzo wykraczającym poza wszelkie wyobrażenie, że Jennifer tłumiła w sobie ów strach ze wszystkich sił. Narastała w niej potrzeba chronienia innych, tym silniejsza, im lepiej poznawała inspektor Almond. Zdawała sobie sprawę, że ta kobieta, niczym wygłodniały pies, rzuci się na każdy ochłap, jaki się jej podsunie. Także i w jej przypadku rozumiała znacznie więcej niż Colin i pozostali. Almond chciała się pokazać jako osoba energiczna, kompetentna i pewna siebie. Za tą maską kryła się kobieta targana lękami i zwątpieniem we własne siły. Nerwowa funkcjonariuszka policji, która sama nie

potrafi uwierzyć w to, jak wiele już osiągnęła w swoim zawodzie. Gnana niezdrową myślą o wyższych szczeblach zawodowej kariery, bardzo obawiała się porażki przy wyjaśnianiu okoliczności śmierci Fiony Barnes. Jennifer wyczuwała jej wibracje. Ta kobieta była kłębkim nerwów.

Podsuń jej Gwen, a wpije w nią kły i nigdy już jej nie wypuści. Nieważne, czy Gwen jest w to w jakikolwiek sposób zamieszana.

Tego, myślała sobie, zrobić Gwen nie mogę.

A teraz jej milczenie może doprowadzić do tragedii.

Dotarła do najwyższego punktu rozległego wzniesienia. Stąd już niedaleko do wiszącego mostu i wąwozu. Czekał ją najtrudniejszy odcinek drogi. Nie mogła teraz myśleć wyłącznie o tym, żeby jak najszybciej posuwać się naprzód. Musiała zważać na własne bezpieczeństwo. Nikomu to nie pomoże, jeśli teraz złamie nogę.

Złamana noga... Jakbyś nie wiedziała, że może cię spotkać coś straszniejszego, pomyślała.

Zawsze czuła litość dla Gwen. Zawsze chciała ją ochraniać. Była jednak na tyle realistką, żeby wiedzieć, że Gwen w gruncie rzeczy nigdy nie odwzajemniała jej sympatii. Dla Gwen była jedynie płacącą za pobyt wczasowiczką. Oraz osobą, która od czasu do czasu potrzebowała w życiu jakiegoś urozmaicenia. Nigdy jednak nie obdarzyła jej życzliwością czy przyjaźnią. Gwen nie emanowała życzliwymi uczuciami. Jej miły uśmiech nigdy nie brał się z głębi serca.

Jennifer podążała wydeptaną ścieżką, która wijąc się w dół, kończyła się nieco dalej nad urwistym skalnym zboczem wąwozu. Tam czekała ją przeprawa przez most wiszący, a następnie po wykutych w skale, nierównych stopniach, których wysokość i



odstępy zmieniały się w sposób trudny do przewidzenia. Będzie musiała je pokonać niemal na ślepo.

Nie doszła jeszcze do końca ścieżki, gdy spostrzegła przed sobą w ciemnościach blask światła. Nie potrafiła dokładnie ustalić jego źródła, miała jednak wrażenie, że docierał albo z drugiej strony wąwozu, albo też z krańca wiszącego mostu. Źródło światła nie poruszało się.

Jennifer przystanęła. Z największym wysiłkiem starała się przeniknąć wzrokiem ciemności. Niczego nie mogła dojrzeć, stała zbyt daleko. Musiała podejść bliżej, by stwierdzić, czy rzeczywiście, tak jak przypuszczała, ktoś świecił latarką. Dlaczego jednak pozostawał w bezruchu? Czyżby znajdujące się w oddali osoby - a mogli to być albo Gwen, albo Leslie, albo Dave, albo też wszyscy troje - dotarły do celu? Czy może zauważyły, że są śledzone, i postanowiły zaczekać?

Ale wówczas zgasiłyby przecież latarkę, pomyślała Jennifer.

Wstrzymując oddech, podeszła bliżej.

Kiedy dotarła do mostu, potwierdziły się jej najgorsze obawy. Latarka leżała na skale po drugiej stronie wąwozu, oświetlając swym mocnym, niemal oślepiającym blaskiem upiorną scenę. Leslie Cramer stała prawie na samym skraju mostu, oparta plecami o balustradę ze splecionych lin. Przed nią Gwen. Trzymała w dłoni broń i mierzyła do Leslie. Obie kobiety patrzyły sobie w oczy, bez ruchu, bez słowa.

- A teraz skacz! - powiedziała nagle Gwen.

- Nie. Nie skoczę - odparła Leslie. - Jesteś szalona, Gwen. Nie zrobię tego, co każe mi szaleniec.

- Zastrzelę cię - rzekła Gwen - a potem zrzucę na dół. Przemyślałabym to, Leslie. Jeśli skoczysz sama, może ci się

poszcześci.

- Nie mam żadnych szans, jeśli skoczę w tę przepaść - odparła Leslie.

Gwen uniosła rękę. W absolutnej ciszy nocy dało się słyszeć ciche kliknięcie naciąganego kurka.

- Proszę - błagała Leslie.

Jennifer zrobiła krok naprzód. - Gwen! - krzyknęła.

Gwen odwróciła się gwałtownie. Spojrzała w kierunku, skąd usłyszała swoje imię, wydawało się jednak, że nie rozpoznała, kto je wymówił.

- Kto tam jest? - zapytała ostrym tonem.

Jennifer weszła na most. Wiedziała, że jego chybotanie zdradza jej kroki, wiedziała również, że Gwen nie tak łatwo będzie w nią trafić, osłaniał ją bowiem mrok nocy.

- To ja - odpowiedziała - Jennifer.

- Nie podchodź ani na krok! - ostrzegła Gwen.

Jennifer przystanęła. Była dostatecznie blisko, żeby dostrzec przerażenie na oświetlonej latarką twarzy Leslie. Rysy Gwen skrywał cień.

- Gwen, bądź rozsądna - prosiła Jennifer. - Colin jest na farmie. Dzwoni na policję. Zaraz zaroi się tu od funkcjonariuszy. Nie masz żadnych szans, więc pozwól Leslie odejść. Nic ci nie zrobiła.

- Zostawiła mnie, jak wy wszyscy - odrzekła Gwen.

- Ale strzelanie do ludzi, z którymi nie potrafimy się porozumieć, to nie jest żadne rozwiązanie. Gwen, proszę. Odlóż broń i chodź do mnie.

Gwen się roześmiała. Śmiechem przerażającym, lecz zarazem pełnym smutku. - Bardzo by ci to pasowało, Jennifer. Dobrze ci radzę: zmiataj stąd, bo będziesz następna! Nie mieszaj się do

spraw, które ciebie nie dotyczą. Wracaj do Colina i do tych swoich kundli, prowadź sobie to twoje syte i puste życie. Zostaw w spokoju ludzi, którym się wiedzie gorzej niż tobie!

- Moje życie nigdy nie było syte i puste. Tyle powinnaś wiedzieć po tych wszystkich latach. Także Leslie nie jest tym, za kogo ją bierzesz. Gwen, inni ludzie też zmagają się z problemami, nawet jeśli nie potrafisz sobie tego wyobrazić.

- Bądź wreszcie cicho! - prychnęła Gwen.

Jennifer miała wrażenie, że broń w jej dłoni nieco drży. Gwen była zdenerwowana i niepewna. Widocznie spodziewała się, że Leslie skoczy na jej rozkaz w przepaść, jeśli tylko pogrozi jej rewolwerem. Wydawało się, że niełatwo przyjdzie jej strzelić do dawnej przyjaciółki. A teraz zniemacka pojawił się ktoś jeszcze, do tego stał w ciemnościach, stanowiąc niewidzialne zagrożenie. Gwen sprawiała wrażenie przypartej do muru. A to w każdej chwili mogło tylko pogorszyć sytuację.

- Gwen, nieważne, co teraz czujesz, Leslie i ja zawsze byliśmy twoimi przyjaciółkami - powiedziała Jennifer - i nadal nimi jesteśmy. Proszę. Odłóż broń. Pomówmy.

- Nie chcę z wami rozmawiać - krzyknęła Gwen. - Chcę, żebyście zostawiły mnie w spokoju. Żebyście wszyscy wreszcie zniknęli.

Leslie się poruszyła. Gwen natychmiast odwróciła się i znowu do niej wycelowwała. - Zaraz zginiesz! - ostrzegła.

Jennifer odważyła się podejść jeszcze bliżej. - Gwen. Nie rób tego.

Gwen ponownie zwróciła się w jej stronę. Mierzyła prosto w pierś Jennifer. - Widzę cię - powiedziała; jej głos zabrzmiał triumfująco. - Widzę cię, Jennifer, i ostrzegam: jeszcze krok, a cię zastrzelę. Możesz być pewna.

- Gwen - zaklinała Jennifer.

Zrobiła jeszcze jeden krok do przodu.

Sekundę później padł strzał.

Wszystko nastąpiło jednocześnie: Leslie przeraźliwie wrzasnęła. Jennifer uchwyciła się poręczy, most bowiem niebezpiecznie zachybotał. Czekwała na pojawienie się bólu, sądziła, że przeszyje ją niczym nóż. Czekwała, aż nogi ugną się pod nią, myślała, że upadnie.

Czekala, aż pojawi się krew.

Tymczasem zobaczyła, jak upada Gwen. Powoli, jakby w zwolnionym tempie. Osunęła się na drewniany most, upadła gibko niczym tancerka, która przyjmuje nową pozycję. Broń wysliznęła jej się z dłoni, potoczyła w bok i zatrzymała tuż przed balustradą. Mało brakowało, a spadłaby w przepaść.

Leslie przyklękła obok Gwen, chwyciła jej rękę, sprawdziła puls. Jennifer patrzyła na to i wciąż się dziwiła, że stoi o własnych siłach. Że nie czuje bólu.

Po chwili usłyszała za plecami czyjś głos:

- Policja. Nie ruszać się!

Odwróciła się. Jakiś cień wynurzył się z mroku, wszedł na most. Jennifer rozpoznała Valerie Almond, która trzymała w ręku pistolet. I wtedy zrozumiała, kto strzelił do Gwen.

Przekonała się, że sama nie odniosła żadnej rany.

I nie musi już czekać, aż pojawi się ból.

## Sobota, 18 października

Było szaro i wietrznie, znacznie chłodniej niż w poprzednich dniach. Czeredy nabrzmiałych, wściekle skłębionych chmur pędziły po niebie. Po wyżynnych torfowiskach hulał lodowato zimny wiatr. U stóp wzgórza skuliło się kilka owiec. Nic nie pozostało ze złotej aury października, obecnej jeszcze na początku tygodnia, nic też jednak nie przypominało listopadowej atmosfery mglistych, deszczowych dni. Dzień zdawał się zanurzony w osobliwej pustce. Zwyczajna szarość. Dzień wyzuty ze wszystkiego.

Może jedynie dla mnie, pomyślała Leslie, może dostrzegam w nim tylko moją własną pustkę.

Siedziała w samochodzie, podążając drogą w kierunku Whitby. A w głębi serca czuła chłód i osamotnienie.

Zadzwoiła do Semiry Newton i zapytała o adres zakładu, w którym przebywał Brian Somerville. Po kilku chwilach wahania Semira podała jej potrzebne dane.

- Tylko niech go pani nie zrani - poprosiła.

Leslie miała nadzieję, że sam fakt jej wizyty nie wzburzy starego człowieka.

W każdej chwili mogę zawrócić, rozważała w myślach, gdy przy drodze pojawiły się pierwsze szeregowce Whitby. Po lewej ciągnął się rozległy teren dużego cmentarza. Droga prowadziła dość stromo w dół, do centrum miejscowości. Po prawej, na wzgórzu, wznosiło się słynne opactwo.

Ledwie pamiętała, jak minął poprzedni dzień.

Była w mieszkaniu Fiony, paliła papierosa, gapiła się przez okno. W pewnej chwili wyruszyła na spacer. Przez godzinę czy dwie włączyła się po plaży, doszła aż do północnej zatoki, po czym zawróciła. W końcu kupiła bilet na kolejkę kursującą spod Spa Complex w górę, aż do Prince-of-Wales-Terrace. Siedzieli w pięcioro na drewnianej ławce w wagoniku sunącym po biegnących stromo pod górę szynach. Leslie pamiętała, że nie czuła żadnej styczności z pozostałymi osobami, które przebywały razem z nią w tym ciasnym wnętrzu. Była tego dnia świadkiem zbyt wielu okropności.

Chad nie żył. Wiedziała, że jeszcze oddychał, kiedy razem z Gwen opuszczały dom, usłyszała bowiem jego ciche westchnienie. Kiedy Valerie Almond i Stephen przybyli na miejsce, Stephen mógł już tylko stwierdzić jego zgon. Wykrwawił się. Można go było uratować, gdyby wcześniej udzielono mu pomocy.

Gwen Beckett została postrzelona w nogę przez inspektora Almond. Leżała w szpitalu, wkrótce jednak zostanie stamtąd wypisana. Czekają ją proces sądowy, postawiono jej zarzuty podwójnego morderstwa, usiłowania zabójstwa oraz pogwałcenia wolności i stosowania przymusu. Pytanie tylko, czy psychiatra orzeknie o jej poczytalności. Leslie uznała za prawdopodobne, że Gwen trafi nie do więzienia, lecz do kliniki psychiatrycznej. Być może na zawsze.

Przez cały poprzedni długi dzień wciąż miała przed oczami scenę na moście. Jaskrawe światło latarki. Gwen osuwająca się do jej stóp. Jennifer Brankley, która niczym cień stała w pewnej odległości i po wystrzale nie mogła się ruszyć z miejsca. Oraz Valerie Almond, która wyłoniła się z mroku niby opatrzniościowy anioł i powiedziała spokojnym głosem: - Jest tylko lekko ranna. Bez

obaw. Tylko ją lekko zraniłam. - Miała oczywiście na myśli Gwen. Leslie przypominała sobie, że zerwała się, krzycząc: - Musimy zejść do zatoki! Szybko! Tam leży Dave Tanner. Ona do niego strzeliła! Szybko! Szybko!

Powtórzyła to chyba kilka razy, aż w końcu Valerie Almond położyła jej dłoń na ramieniu, popatrzyła prosto w oczy i wyrazistym, nieznoszącym sprzeciwu głosem oznajmiła: - Zajmiemy się nim. Okay? Niech pani nie schodzi teraz na dół. Zaraz będą tu moi ludzie. Proszę się nie martwić.

Późniejsze obrazy, jakie podsuwała jej pamięć, były dość niewyraźne. Siedziała na farmie Beckettów, wokół niej roilo się od funkcjonariuszy i sanitariuszy, ktoś okrył jej ramiona kocem i wcisnął w dłoń kubek gorącej, bardzo słodkiej herbaty. Ku jej zaskoczeniu był tam również Stephen; to on przekazał jej wiadomość, że Tanner jest co prawda ranny, lecz został uratowany.

- Wyjdzie z tego. Ale trzeba przyznać, że miał szczęście. Stracił przytomność. Nad ranem zabrałby go przyływ.

Późno w nocy Stephen odwiózł ją do mieszkania Fiony i został przy niej. Nie oponowała, czuła się zbyt bezsilna, żeby się jeszcze przed kimś lub przed czymś bronić. Zapytał ją, czy może przeczytać listy Fiony; zgodziła się. I tak wszyscy się o tym dowiedzą, dlaczego on miałby być wyjątkiem? Później opowiedziała mu jeszcze o Semirze i o Brianie, który mieszkał tak blisko Scarborough, a jednak Fiona widocznie nie potrafiła się przemóc, by go odwiedzić.

Po południu odbyła długą rozmowę z Valerie Almond. Funkcjonariuszka wróciła właśnie ze szpitala, gdzie rozmawiała z Dave'em Tannerem.

- Naprawdę miał szczęście. Mógłby się wykrwawić albo utonąć. Cała ta historia o mały włos nie zakończyła się dla niego tragicznie.

Dave został oczyszczony z wszelkich podejrzeń, Leslie chciała to jednak usłyszeć osobiście: - Gdzie się podziewał w sobotnią noc? Skoro nie był u swojej byłej dziewczyny?

- Oboje byli w pubie - wyjaśniła Valerie - w tej kwestii jego zeznania są prawdziwe. Ale potem ona wróciła do domu sama, Tanner zaś jeździł bez celu samochodem po okolicy. Zatrzymywał się gdzie popadło, palił papierosy, rozmyślał. Na temat swojej dość niepokojącej przyszłości. Dopiero długo po północy wrócił do domu. Obawiał się, że nikt nie uwierzy w tę wersję zdarzeń, dlatego zmyślił historię o miłosnej nocy z Miss Ward - zakładając, że ona będzie trzymać jego stronę. Tu się jednak pomylił.

- Nie powinien był tyle kłaniać. Tylko wszystko pogarszał.

Oczy Valerie Almond się zwężyły. - Nie tylko on nie powinien był tyle kłamać. Także przemilczanie istotnych faktów można uznać za rodzaj kłamstwa. Przynajmniej wówczas, gdy mamy z nim do czynienia w trakcie dochodzenia w sprawie o morderstwo.

Leslie od razu wiedziała, co miała na myśli. - Ale los Briana Somerville'a nie był przecież motywem działania Gwen, pani inspektor - powiedziała. - Historia tego małego chłopca, a potem bezradnego mężczyzny ani trochę jej nie poruszyła. Dostrzegła w niej jedynie szansę na uśmierzenie własnej nienawiści oraz podsunięcie zupełnie fałszywego śladu.

- Mimo to powinnam była o tym wiedzieć - odparła Valerie, po czym dodała: - Pani milczenie mogłoby mieć nawet prawne konsekwencje, doktor Cramer. Dotyczy to oczywiście także Brankleyów. Może również Dave'a Tannera.

Leslie wzruszyła tylko ramionami.

Usiłowała otrząsnąć się z myśli o groźbie zawartej w słowach inspektor Almond i zamiast tego przypomnieć sobie opis drogi,



podany jej przez Semirę Newton.

Przekroczyć rzekę, dalej w lewo przy St. Hilda Catholic Church. Na prawo od dworca. Kierować się zgodnie z szyldem „Szpital”.

Dotarła do portu. Zgodnie z opisem Semiry. Odetchnęła, rozluźniła się. Przynajmniej nie zabłądziła.

- Dokładnie naprzeciwko placówki jest duży parking - powiedziała Semira. - Trzeba skasować bilet, ale za to będzie pani ledwie kilka kroków od celu.

Dostrzegła parking i skręciła. Był dość zatłoczony, lecz zauważyła kilka wolnych miejsc. Zatrzymała się i wysiadła.

Kiedy też wiatr aż tak bardzo się ochłodził? Musiało to nastąpić w nocy. Dygotała z zimna, mocniej naciągnęła płaszcz. Rozejrzała się.

Przyszło jej na myśl, że w pogodny dzień okolica być może wygląda przyjaźniej. Widok na port wydał jej się brzydki i deprymujący. Wielkie czarne dźwigi, rozległe hale magazynowe, statki kołyszące się na ponuro szarych falach. Ponad nimi wszechobecne mewy i ten ich przenikliwy wrzask.

Odwróciła się. A więc to jest ostatnia przystań Briana Somerville'a. Codzienny widok na ten port. Czy go lubił? Czy przyglądał się statkom? Czy ciekawiły go żurawie? Być może, pomyślała, widzi w tym wszystkim ruch, dostrzega życie.

Miała taką nadzieję. Nieutulony smutek szarego dnia ścisnął ją bowiem za gardło. Naprzeciwko portu piętrzyło się wzgórze, na którym stało opactwo, ale z tego miejsca nie można było dojrzeć jego potężnych zabudowań. Poniżej, wzdłuż ulicy, ciągnął się rząd domów. Captain-Cook-Museum. Zakład fryzjerski. Herbaciarnia. Włoska restauracja. Pub.

Stojący obok budynek z czerwonego klinkieru... to tam musi się mieścić zakład.

Leslie przełknęła ślinę. Podeszła do parkomatu, skasowała bilet, umieściła go starannie za przednią szybą samochodu. Poruszała się powoli, znacznie wolniej niż zwykle. Wiedziała dlaczego: odwlekała moment wejścia do budynku.

Spotka tam bardzo starego mężczyznę, który, jeśli wierzyć zapiskom Fiony i słowom Semiry, zatrzymał się w rozwoju umysłowym na poziomie małego dziecka. Właściwie nie potrafiła go sobie wyobrazić. Bawił się klockami? Gapił się zwyczajnie przed siebie, pogrążony w apatii? Czy może bywały dni, piękne, słoneczne, szczególne dni, kiedy siostra brała go pod ramię i wychodziła z nim na spacer, może nawet pili razem herbatę w pobliskiej kawiarni i częstowali się ciastem?

Zaczerpnęła głęboko tchu i przeszła na drugą stronę ulicy.

Kiedy godzinę później wychodziła z budynku, zobaczyła Stephena. Stał oparty o jej samochód, ręce wsunął głęboko w kieszenie kurtki, z zimna skulił ramiona. Patrzył w kierunku portu. Nic się tymczasem nie zmieniło. Ani chłodny wiatr. Ani zgoła nieprzyjazny smutek dnia.

Stephen odwrócił się, gdy usłyszał jej kroki. Wyglądał na bardzo zmarzniętego.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała na powitanie.

Wykonał nieokreślony ruch ręką. - Pomyślałem... że może nie chcesz być teraz sama.

- Skąd wiedziałeś, że jestem tutaj?

- Zniknęłaś tak nagle. Domyśliłem się. Mówiłaś, że Brian Somerville przebywa w zakładzie opiekuńczym w Whitby. Nietrudno było zdobyć jego adres... Tutaj są tylko dwie takie

placówki. Od razu dobrze trafiłem. Na parkingu zobaczyłem twój samochód i... no cóż, postanowiłem zaczekać.

Uśmiechnęła się nieznacznie. - Dzięki - powiedziała cicho.

Spojrzał na nią uważnie. - Wszystko w porządku?

- Tak. Tak, u mnie okay. - Spojrzała mu przez ramię, utkwiła wzrok w wierzchołku budowlanego żurawia, którego ciemny metal odcinał się wyraźnie na tle pochmurnego nieba. Przysiadła na nim mewa i bacznie obserwowała morze. Gdzieś w oddali rozległa się syrena statku.

- On nadal czeka - wyznała Leslie. Jej głos brzmiał obco, wiedziała, że to z wysiłku, by nie stracić panowania nad sobą. - On nadal czeka, Stephen, i jest przekonany, że Fiona przyjdzie. Czeka od lutego 1943 roku, z radością i nadzieją. Ten stary człowiek pytał mnie o nią, a ja... nie potrafiłam mu powiedzieć... - Nie mogła dalej mówić.

- Nie mogłaś mu powiedzieć, że nie żyje - dokończył za nią zdanie Stephen. - Nie mogłaś mu powiedzieć, że ona już nigdy nie przyjdzie.

- Nie. Po prostu nie mogłam. Ta nadzieja to przecież wszystko, co mu zostało. Niosła go przez całe jego okropne, przerażające życie. Będzie mu towarzyszyć aż do śmierci, i być może... to najbardziej miłosierny uczynek, jaki możemy spełnić: nie odbierać mu jej.

- Dzięki Bogu - odparł Stephen. - Dzięki Bogu, że tak zdecydowałaś.

- Przejdziemy się? - zapytała Leslie. - Jest tak strasznie zimno.

Opuścili parking, poszli ulicą, zagłębili się w wybrukowane zaułki, oplatające dzielnicę portową niczym pajęcza sieć. Stoiska z pamiątkami, puby, mnóstwo małych sklepików oferujących

zaopatrzenie statków. Stephen wziął Leslie pod ramię, nie oponowała.

- Gwen posłużyła się jego historią - powiedziała Leslie. - Nie potrafię pojąć tej bezwzględności. Jakby nawet teraz, w ostatnich chwilach swego życia, znów został wykorzystany. Z powodu nienawiści i żądzy zemsty pewnej kobiety, która czuła się pokrzywdzona, przegrana. Jak mogła zrobić coś takiego?

- Jak Gwen w ogóle mogła się tego wszystkiego dopuścić? - spytał Stephen. - Zabić Fionę. Zabić Chada. A potem usiłować zabić Dave'a Tannera. Zabić ciebie. Zupełnie straciła panowanie nad sobą. Ach, ta nasza Gwen! Ta miła, młoda kobieta o przyjaznym obliczu. Trudno to pojąć.

- W gruncie rzeczy zupełnie jej nie znaliśmy, Stephen. Widzieliśmy jedynie fasadę, i jeśli mam być szczerą, nikt z nas nie zadał sobie trudu, żeby zajrzeć głębiej. Może z wyjątkiem Jennifer Brankley. Ale chyba także i ona nie rozpoznała rzeczywistego rozmiaru zagrożenia.

- To mógłby ocenić jedynie ktoś odpowiednio do tego przygotowany - odparł Stephen. - Wszystkich nas to przerosło.

- Mimo to zadaję sobie pytanie, jak mogłam być aż tak ślepa - wyznała Leslie. - Stało się to dla mnie oczywiste przedwczoraj wieczorem, w gabinecie jej ojca. Kiedy rozmawiała ze mną. Ten dziwny, monotony głos. Te pozbawione wyrazu oczy. Człowiek bez krzty empatii. Bez odrobiny uczucia dla innych. Przecież nie mogła być taka jedynie tamtego wieczora!

- Pewnie nie była. Ale doskonale się maskowała. Była łagodną, dobroduszną, miłą Gwen. A zarazem przepelnioną nienawiścią kobietą, która nastawała na życie innych. Człowiek o dwu

obliczach. Trudno to pojąć, ale tak to już bywa. Czy to rozumiemy, czy nie: po prostu musimy się z tym pogodzić.

Droga zaprowadziła ich na obrzeża portu. Mogli popatrzeć na otwarte morze. W dole przed nimi płytka woda uderzała o wąski skrawek piaszczystej plaży. Leslie uwolniła się z uścisku Stephena i oparła o mur nabrzeża. W oddali woda i niebo stapiały się w jedno.

Widok ten przynosił ukojenie, choć nie potrafiłaby powiedzieć dlaczego. Może był to po prostu ładny pejzaż, ładniejszy niż portowe żurawie i stalowe hale magazynowe.

- Myślę, że dramat Briana Somerville'a był jak trucizna sącząca się w rodzinie Beckettów - powiedziała Leslie. - A także w mojej rodzinie. Czyn, który z taką bezwzględnością się ruguje, taka nieprzetrawiona wina nie zanika ot tak, po prostu, tylko dlatego, że się ją przemilcza. Ujawniła swój wpływ choćby w tym, że zniweczyła rzeczywisty związek Fiony i Chada. I spowodowała dalsze nieszczęśliwe wybory partnerów. A przez to nadal działała w ich dzieciach i wnukach, które żyły w atmosferze owej niezgody - u jej źródeł stało dwoje ludzi, którzy byli dla siebie straceni, a jednak nie odzyskali wolności. Fiona zawładnęła życiem Chada, a my wszyscy cierpieliśmy z tego powodu. Żona Chada, która w tak młodym wieku zachorowała na raka. Moja matka, która uzależniła się od narkotyków. Ja, która musiałam dorastać pod opieką babki. I Gwen... Gwen może najbardziej. Życie razem z tym zamkniętym w sobie ojcem. I z natrętną Fioną. Przez całe dziesięciolecia musiała znosić obecność na farmie tej kobiety, którą z początku intuicyjnie, później zaś całkiem świadomie obwiniała o śmierć swojej matki. Od czegoś takiego można się rozchorować.

- Tak - przyznał Stephen - prawdopodobnie. Ale... już nie zdołamy tego zmienić. Musimy się zastanowić, co dalej.

- Co się stanie z farmą?

- Z pewnością zostanie sprzedana. Chad nie żyje, Gwen trafi na długi czas za kratki - jeśli nie na zawsze.

Leslie spojrzała na niego. - Może gdyby nikt się w to nie wmieszał - rzekła - Gwen i Dave pobraliby się. Dave uczyniłby z farmy prawdziwą perełkę. A Gwen być może pogodziłaby się z życiem. Gdyby...

- Leslie - przerwał jej łagodnie Stephen - ona jest chora. Już od dawna. Jej życie od lat dryfowało ku katastrofie. Tak czy owak stałoby się coś złego. Nikt i nic nie zdołałoby tego powstrzymać. Jestem o tym przekonany.

Wiedziała, że ma rację. Wydawało się, że ta świadomość złagodziła jej wewnętrzne napięcie, które pognało ją aż do Whitby. Naraz poczuła ogromne znużenie. Oczy ją bolały. Nie tylko z powodu nieprzespanej nocy. Była zmęczona ostatnimi wydarzeniami. W trakcie całego zeszłego tygodnia. I ostatnich lat jej życia, które wszystko zmieniły.

Jak gdyby domyślając się, gdzie krążą jej myśli, Stephen zapytał nagle cichym głosem: - A my? Co będzie z nami?

Obawiała się tego pytania od chwili, gdy zobaczyła go stojącego obok samochodu. A mimo to poczuła ulgę, że tam był. Znał ją. Domyślił się, że odwiedzi Briana Somerville'a, i wiedział, że po tym spotkaniu nie będzie się czuła dobrze. Był przecież - a ona miała nadzieję, że zawsze nim pozostanie - przyjacielem, który wie, kiedy jest jej ciężko na sercu. Przyjacielem, który bierze ją w ramiona, by mogła się wypłakać. Przyjacielem, który rozmawia z nią, gdy ona

tego pragnie, i razem z nią milczy, gdy może się porozumiewać wyłącznie bez słów.

Ale nic więcej ponad to. Nikim więcej, jak tylko przyjacielem.

Spojrzała na niego. Z jej oczu wyczytał te myśli. Poznała to po smutku, który zasnuł jego twarz.

- Tak - stwierdził - przeczuwałem to. Nie, ja to wiedziałem. To była tylko... iskierka nadziei.

- Przykro mi - rzekła Leslie.

Przez chwilę żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Milczenie przerwał Stephen. - Chodź - poprosił - napijmy się gorącej herbaty. Jeśli postoiemy tu dłużej, przeziębimy się.

- Tuż obok zakładu opiekuńczego jest herbaciarnia - oznajmiła Leslie. Naraz poczuła się niemal przytłoczona myślą, że ma tam wrócić, do tego domu, w którym Brian Somerville wyczekiwał swego końca i dzień za dniem musiał patrzeć na port. Gdzie czekał na kobietę, która przed sześćdziesięcioma pięcioma laty przyrzekła, że wróci i się o niego zatroszczy. Złość i zwątpienie mieszały się w jej sercu na myśl, że już nigdy nie zdoła uciec od tych wszystkich zdarzeń. Że odtąd będą one częścią jej życia.

- Nie wiem, jak sobie z tym poradzę, Stephen - wyznała, mając świadomość, że to zdanie nie zawiera całej prawdy. Właściwie w ogóle nie miała pojęcia, w jaki sposób mogłaby przetworzyć w sobie wszystkie doświadczenia ostatnich dni. - Ona była moją babcią. Ale dla mnie jest potworem. Może uda mi się co nieco zrozumieć, jednego wszakże nigdy nie zdołam pojąć: dlaczego ani razu go nie odwiedziła! Przez tyle lat. Semira Newton wciąż ją o to prosiła. Dlaczego tego nie zrobiła? Dlaczego nie potrafiła się zdobyć na tak drobny gest człowieczeństwa?

Stephen się zawahał. Na to pytanie znał tylko jedną odpowiedź. Leslie ona nie zadowoli, a Fiony nie rozgrzeszy. A mimo to wydała mu się tą jedyną właściwą. - Ponieważ nikt nie lubi chwil, gdy musi spojrzeć w oczy własnej winie - powiedział.

Powoli wrócili na parking. Przystanęli przed herbaciarnią, w której nie było nikogo prócz nieco znudzonej kobiety wycierającej za ladą kilka filiżanek.

- I co mam teraz zrobić? - spytała Leslie. Stephen zrozumiał, że miała na myśli swoją babkę. Milczał przez chwilę, zanim odważył się wypowiedzieć swoje zdanie.

- Przebaczenie - rzekł - to na dłuższą metę jedyna droga. Zawsze. Wybacz jej. Spróbuj. Dla samej siebie.

- Tak - odparła Leslie - spróbować mogę.

Spojrzała na port.

Poczuła powiew wiatru. Smagał jej policzki, osuszając łzy.

Nie zauważyła, że płacze.

\* \* \*



# Spis treści

[Grudzień 1970 roku](#)

[Sobota, 19 grudnia](#)

[Lipiec 2008 roku](#)

[Środa, 16 lipca](#)

[Październik 2008 roku](#)

[Czwartek, 9 października](#)

[Piątek, 10 października](#)

[Sobota, 11 października](#)

[Niedziela, 12 października](#)

[Niedziela, 12 października](#)

[Poniedziałek, 13 października](#)

[Wtorek, 14 października](#)

[Środa, 15 października](#)

[Czwartek, 16 października](#)

[Czwartek, 16 października](#)

[Sobota, 18 października](#)